

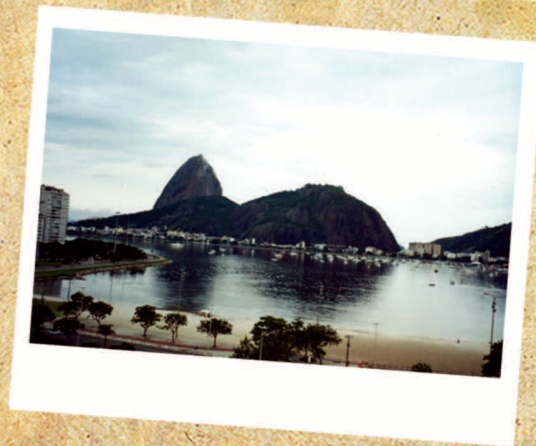
Władysław Tadeusz Lichota

# Dyplomatyczne gawędy

Przygody i podróże  
zwyczajnego dyplomaty

Dyplomatyczne gawędy

Władysław Tadeusz Lichota



 MUZEUM  
NIEPODLEGŁOŚCI

 **Mazowsze.**  
serce Polski

Muzeum Niepodległości w Warszawie jest jednostką organizacyjną  
Samorządu Województwa Mazowieckiego

ISBN 978-83-61924-18-0



9 788361 924180

# Dyplomatyczne gawędy

Przygody i podróże  
zwyczajnego dyplomaty



Koło Służby Zagranicznej Polskiego Stronnictwa Ludowego

Fundacja im. Władysława Orkana

Muzeum Niepodległości

Seria wydawnicza „Autobiografie”  
pod redakcją **Tadeusza Skoczka**

Tom pierwszy:

Jan Wysogład, *Moje ciekawe życie*,  
Warszawa 2009, 2010 (drugie wydanie)

Tom drugi:

Władysław Tadeusz Lichota, *Dyplomatyczne gawędy*,  
Warszawa 2014

*Żonie Marysi oraz dzieciom, Jasiowi i Małgosi, poświęcam*

Władysław Tadeusz Lichota

# Dyplomatyczne gawędy

Przygody i podróże  
zwyčajnego dyplomaty

Redakcja  
Tadeusz Skoczek

Warszawa 2014

Projekt graficzny, skład i łamanie  
**Natalia Roszkowska**

Redakcja językowa  
**Małgorzata Izdebska-Młot**

© copyright by Muzeum Niepodległości  
© copyright by Władysław Tadeusz Lichota

ISBN 978-83-61924-18-0  
Fundacja im. Władysława Orkana

ISBN 978-83-62235-65-0  
Muzeum Niepodległości w Warszawie

Wydanie pierwsze

## Wstęp

Czas biegnie tak nieubłaganie szybko, że ani człowiek się obejrzy, a już mijają lata i dekady. Zostają w dali lata szkolne, studia, praca i nagle przychodzi świadomość, że jest się już człowiekiem wiekowo „starym”, mimo że ciągle młodym duchem. Rodzi się refleksja: czy to co przeżyłeś, należy zapamiętać czy też warte jest zapamiętania, zapisania i przekazania innym?

Pewnych rzeczy człowiek sam nie chce pamiętać, inne, mimo upływu lat, wciąż wywołują smutne wspomnienia. Pozostają jeszcze te, o których z przyjemnością i uśmiechem opowiadamy bliskim i znajomym (i to niejednokrotnie), choć minęło wiele lat. I właśnie kilka takich wspomnień pragnę przekazać tym wszystkim, którzy zdecydują się sięgnąć po tę książkę.

Czytelnikom jestem winien wyjaśnienie tytułu książki. Prawie czterdziestoletnia kariera zawodowa polskiego dyplomaty nie przyniosła mi spektakularnych sukcesów ani stanowisk, także stanowiska ambasadora, do którego wielokrotnie dochodzili moi koledzy ze studiów czy pracy. Nie chcę w tym miejscu rozstrzygać, czy jest to kwestia mojego zachowania i sposobu życia, czy też zbieg różnych okoliczności (personalnych i politycznych) w czasach, w których działałem na niwie dyplomatycznej. Osobiście przeszedłem wszystkie stopnie kariery, pracując na placówkach dyplomatycznych i konsularnych na Kubie, w Brazylii, Argentynie, Hiszpanii, Meksyku i Peru, również służbowo lub prywatnie odwiedziłem kilkadziesiąt krajów na pięciu

kontynentach. Innymi słowy, byłem zwyczajnym dyplomatą, wykonującym swoje obowiązki zawodowe, bez względu na zawirowania polityczne i dziejowe mające miejsce w najnowszej historii Rzeczypospolitej. Jednakże, jako ten zwyczajny dyplomata, miałem bardzo ciekawe i bogate doświadczenia życiowe, obfitujące niejednokrotnie w osobliwe, a nieraz nawet niezwykłe przygody i spotkania z ciekawymi i interesującymi osobami. Były to zarówno postacie z pierwszych stron gazet, z życia politycznego, kulturalnego i społecznego, jak i zwyczajni (niezwyczajni) ludzie, tacy jak księża, artyści, emigranci.

Książka ta nie jest podręcznikiem dyplomacji ani też przewodnikiem turystycznym po krajach czy miastach, o których w niej mowa. Jest to zbiór zdarzeń i przygód przeżytych przez autora, które wyrwały mu się głęboko w pamięci i w wielu przypadkach wpłynęły na jego życie osobiste i zawodowe. Nie jest ona również elementem rozliczeń z przeszłością i osobami, z którymi przez lata autor pracował zarówno w Centrali Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jak i na placówkach lub też spotykał podczas podróży po różnych zakątkach świata. Intencją autora było bowiem przekazanie swoich osobistych wrażeń i uwag z okresu kariery zawodowej, ale bez konwencji zgodnej z protokołem i innymi zasadami sztuki dyplomacji.

Książka opisuje wydarzenia zgodnie z ich chronologią czasową, stąd też przeplatają się w niej opowieści o różnych placówkach dyplomatycznych, na których autor przebywał dłuższy czas oraz o podróżach, które odbywał zarówno w trakcie pracy dyplomatycznej, jak i prywatnie.

Te moje wspomnienia pragnę zadedykować tym wszystkim, z którymi los mnie zetknął w czasie pobytu poza granicami Polski i dzięki którym zwyczajne życie dyplomaty stało się dla mnie niezwykłe, zarówno w działalności zawodowej, jak i w życiu osobistym.

Władysław Tadeusz Lichota

## Rozdział I

### Hawana, „Mazowsze” i ...

Kuba. Jak stwierdził Krzysztof Kolumb przyplływając na wyspę w październiku 1492 roku: „Jest to najpiękniejsze miejsce, jakie ludzkie oko kiedykolwiek widziało”. „Perła Korony Hiszpańskiej”, „perła Karaibów”, „cudowna wyspa” – te i wiele innych określeń nadali jej podróżnicy, pisarze, poeci i zwykli turyści.

W Polsce najbardziej znane jest powiedzenie z piosenki: „Kuba wyspa jak wulkan gorąca”. Dla mnie pozostanie osobiście czasem wielkiej przygody zawodowej – pierwszej placówki dyplomatycznej – i miejscem, gdzie spotkałem miłość mojego życia.

Zanim do tego doszło, najpierw była praca w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, do którego zostałem przyjęty po ukończeniu słynnej (dzięki niektórym publikacjom prasowym mającym charakter polityczny) moskiewskiej szkoły dyplomatycznej. W Państwowym Moskiewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych znalazłem się, dzięki otwartemu konkursowi na studia zagraniczne rozpisane w 1965 roku przez ówczesne Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego i Ministerstwo Spraw Zagranicznych wśród wszystkich ośrodków uniwersyteckich kraju. W wybranej, kilkunastoosobowej grupie znaleźli się studenci pochodzący z uczelni z Warszawy, Wrocławia, Poznania, Gdańska i Lublina (w tym ja – student Wydziału Prawa lubelskiego UMCS). Po pięciu latach studiów większość z nas została przyjęta do MSZ, gdzie przechodziła różne koleje losu, zarówno na drodze kariery zawodowej, jak



i politycznej (zwłaszcza po 1989 roku, kiedy fakt ukończenia wspomnianej uczelni stał się punktem negatywnym w życiorysie, niezależnie od wszystkich walorów merytorycznych osiągniętych w dotychczasowej pracy).

W związku z ukończeniem studiów ze specjalizacją Ameryki Łacińskiej, rozpocząłem pracę w Departamencie Ameryki, w Wydziale zajmującym się stosunkami z krajami latynoamerykańskimi. (Jak na ironię, pół roku wcześniej, jako stażysta przed dyplomem odbywałem praktykę w polskim MSZ, w Departamencie Ameryki Łacińskiej i brałem udział w likwidacji tego samodzielnego Departamentu i połączenia go z Departamentem Ameryki Północnej. Była to pierwsza reorganizacja ministerstwa, w której brałem udział, gdyż później przeżyłem ich jeszcze kilka).

Po trzech latach pracy, z uwagi na znajomość języka portugalskiego, miałem nadzieję wyjechać na placówkę dyplomatyczną lub konsularną do Brazylii. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zaproponowano mi wyjazd do pracy w polskiej ambasadzie w... Hanoi, stolicy Wietnamu (francuski był drugim językiem wyniesionym z uczelni). Jak mawiano wówczas do nas – młodych adeptów w tym zawodzie – pierwszej placówki się nie wybiera tylko jedzie się, gdzie proponują, więc propozycję przyjąłem.

Po pokonaniu wszystkich spraw przygotowawczych (szkolenia, badania itp.) zacząłem oczekiwać daty wyjazdu, która zaczęła się oddalać. I wtedy spotkała mnie kolejna niespodzianka. Zostałem wezwany do Biura Kadr, gdzie poinformowano mnie, że z przyczyn obiektywnych placówka w Hanoi nie wchodzi w rachubę, ale jest możliwość szybkiego wyjazdu do miasta też zaczynającego się na literę „H”, czyli do... Hawany na Kubie.

I tak właśnie znalazłem się na tej cudownej klimatycznie karaibskiej wyspie. W ambasadzie pełniłem dwie odmienne funkcje tj. konsula i attaché prasowego, stąd też miałem możliwość poznania różnych stron dyplomatycznej profesji. Chciałbym jednak skupić się na wydarzeniach, które spowodowały zwrot w moim życiu.

Była wiosna 1976 roku. Ambasador Marian Renke, wybitny dyplomata i wspaniały człowiek, wezwał mnie do gabinetu i poinformował, że na Kubę przyjeżdża z cyklem koncertów Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze” z jego dyrektorem, panią Mirą Zimińską-Sygietyńską. Z racji pełnionych funkcji i młodego wieku (byłem najmłodszy na placówce) zostałem oddelegowany do pełnienia roli opiekuna Zespołu i udzielania mu pomocy we wszystkim, co będzie niezbędne w relacjach z władzami kubańskimi, jeżeli chodzi o pobyt, zakwaterowanie, organizację koncertów itp. Ponadto, z uwagi na osobę pani Miry, miałem obowiązek znalezienia dla niej osobistego tłumacza, spośród członków Polonii kubańskiej lub Kubańczyków znających język polski, po studiach w naszym kraju.

Po wyjściu z gabinetu, ogarnęły mnie sprzeczne uczucia. Z jednej strony, radość z możliwości opiekowania się wieloma pięknymi „mazowszankami”, z drugiej – świadomość czekających mnie sporów i dyskusji z przedstawicielami miejscowej administracji o każdy drobiazg związany z załatwieniem czegokolwiek, zdążyłem tego już doświadczyć osobiście w dotychczasowej pracy. Słynne powiedzenie *mañana*, czyli jutro było najmniejszym problemem, gdyż znałem niesamowitą wręcz zdolność Kubańczyków do improwizacji i robienia czegoś, co wydawało się niemożliwe do realizacji w określonym czasie. Najgorszą rzeczą, była bezwolność i niechęć do podejmowania decyzji ze strony lokalnej administracji, w oczekiwaniu na rozkazy „z góry”, gdy dotyczyło to relacji z cudzoziemcami. Pierwszym zadaniem było jednak znalezienie tłumaczki dla pani dyrektor Miry, o której zachowaniu i postępowaniu opowiadano legendy.

Kto byłby najlepszy do tej roli? Sprawa nie była prosta, gdyż chodziło o dwa tygodnie oderwania się od pracy, studiów czy innych zajęć, poświęcenia się trudnej roli tłumacza i w pewnym sensie opiekuna (bo formalnym pozostałem nadal ja), a więc osoby, do której, mógłbym mieć pełne zaufanie. Ponadto istniało prawdopodobieństwo konieczności wyjazdu poza Hawanę, gdyż koncerty nie ograniczały się tylko do kubańskiej stolicy.

I nagle doznałem olśnienia. Przypomniałem sobie, że wśród grupy absolwentów polskich uczelni, którzy zjawili się kilka tygodni wcześniej w Hawanie, w celu odbycia stażu lub praktyki, jest również absolwentka romanistyki Uniwersytetu Warszawskiego, która otrzymała stypendium Ministerstwa Kultury na pobyt na Kubie i w Meksyku dla zebrania materiałów do swojej pracy doktorskiej na temat kultury latynoamerykańskiej. Była to ładna, szczupła, długonoga i długowłosa brunetka mieszkająca w akademiku kubańskiej Akademii Sztuk Pięknych mieszczącym się stosunkowo blisko naszej placówki. Zjawiała się od czasu do czasu w ambasadzie, wraz z innymi absolwentami, na spotkaniach lub chcąc załatwić różne sprawy administracyjne. Doskonale znała też język hiszpański. Zapamiętałem ją z powodu wypadku, którego doznała po przylocie na Kubę – gdy wsiadała do taksówki na lotnisku, kierowca, zamykając drzwi prawie obciął jej palec u ręki i niezbędna była natychmiastowa interwencja lekarska, w czym pomogła jej ambasada.

Zadzwoiłem do akademika, gdzie mieszkała, a ponieważ była na zajęciach na uczelni, poprosiłem o przekazanie jej wiadomości o potrzebie pilnego kontaktu z ambasadą. Zaskoczona zjawiała się następnego dnia z jeszcze większym zdziwieniem przyjęła propozycję pracy jako tłumaczka pani Miry. Zwróciła się tylko z prośbą o pomoc w uregulowaniu formalnych spraw związanych z jej nieobecnością na uczelni w tym okresie. Jako oficjalny

przedstawiciel ambasady załatwiłem to bez trudu, gdyż chodziło o „Mazowsze”, znane i popularne na Kubie od czasu pobytu kilka lat wcześniej.

I tak zaczęła się historia znajomości z Marysią, która wkrótce przerodziła się w miłość trwającą aż po dzień dzisiejszy. Mimo obecności pięknych dziewcząt z Zespołu, w praktyce okazało się, że więcej czasu musiałem poświęcać nie im, a szanownej pani dyrektor, domagającej się niekończących się interwencji u miejscowych władz w sprawach, które tylko ja mogłem rozwiązywać. Ogromna trudność polegała na tym, że pani Mira, przyzwyczajona do kontaktów na najwyższym szczeblu, co raz chciała interweniować bezpośrednio u samego Fidela Castro i trzeba było wykazać wiele cierpliwości, taktu i rozważagi, aby sprawy rozwiązać należycie, nie wchodząc w konflikt z miejscowymi władzami, i jednocześnie nie urazić pani Miry. Była to dla mnie, przyznaję, prawdziwa szkoła dyplomacji i życia. Jak nietrudno się domyślić, więcej czasu spędzałem z panią Mirą i, oczywiście, z jej tłumaczką, co sprawiło, że najładniejszą „mazowszanką” nie była dla mnie żadna z wielu pięknych dziewcząt z Zespołu, ale właśnie ona – Marysia.

Tymczasem każdy koncert „Mazowsza” w Hawanie i w interiorze wyspy był wielkim wydarzeniem artystycznym i promocyjnym dla Polski. Ponieważ nie były to koncerty codzienne, powstawały przerwy dające członkom Zespołu możliwość odpoczynku, jak i poznania uroków egzotycznej wyspy oraz codziennego życia jej mieszkańców. Z przyjemnością zorganizowałem zwiedzanie zabytków starej Hawany i kąpieli na pięknych plażach niedaleko kubańskiej stolicy. Dla członków Zespołu było to bardzo ważne i potrzebne, gdyż Kuba była ostatnim etapem tournée, trwającego dwa miesiące, a obejmującego Stany Zjednoczone i Meksyk, podczas którego Zespół dał kilkadziesiąt koncertów. Pobyt na wyspie był dla jego członków prawdziwym relaksem, po katorżniczej trasie amerykańskiej, a później meksykańskiej i przemierzaniu autobusami setek kilometrów. Nic też dziwnego, że z pobytu na Kubie wszyscy byli zadowoleni, w czym również miałem swój skromny udział. Dlatego też, gdy wypłynęła propozycja dodatkowego, nieformalnego występu, na terenie ambasady, o który poprosił ambasador Marian Renke, nie było sprzeciwu ani ze strony pani Miry, ani Zespołu.

Zanim przejdę do wspomnianego koncertu, należy jednak powiedzieć kilka słów o ówczesnej sytuacji na Kubie i relacjach polsko-kubańskich w tym okresie. Połowa lat siedemdziesiątych była w historii Kuby ważnym etapem wyjścia z izolacji, na arenie międzynarodowej, narzuconej przez Stany Zjednoczone i ich sojuszników, w związku z socjalistycznym kierunkiem rozwoju wybranym przez kubańskie władze. Wskutek zmieniającej się sytuacji w wielu krajach Ameryki Łacińskiej, które pragnęły zaznaczyć swoją niezależność

od USA i sprzeciw wobec ich wojennego kursu (m.in. wojna w Wietnamie) oraz okazać solidarność latynoamerykańską, nastąpił zwrot polityki tych państw w stosunku do Kuby Fidela Castro. Miało to miejsce zarówno w sferze politycznej (wizyty, kontakty dwustronne, spotkania przywódców i przedstawicieli rządów na forach międzynarodowych), jak i w gospodarce. Ta ostatnia była gołym okiem widoczna na ulicach Hawany. Argentyna prezydenta Juana D. Perona, wbrew zakazom administracji USA, zaczęła dostarczać na Kubę nowoczesne samochody Forda produkowane w tym kraju na licencji amerykańskiej. W sklepach pojawiły się towary codziennego użytku pochodzące z innych krajów latynoamerykańskich, dotychczas niedostępne w kubańskich sklepikach oferujących towary na przydziałowe kartki. Udział wojsk kubańskich w wojnie wyzwolenczej w Angoli stanowił także element wyjścia poza limitowany dotychczas obszar stosunków Kuby ze Związkiem Radzieckim, krajami socjalistycznymi i z niektórymi krajami rozwijającymi się. Był to okres swoistego otwarcia na Kubę ze strony państw Ameryki Łacińskiej, jak i wielu krajów europejskich i Kanady. Zaczęli wracać na Kubę turyści z krajów skandynawskich, Hiszpanii i właśnie z Kanady, którzy obok turystów radzieckich i pochodzących z krajów demokracji ludowej, zaczęli dostarczać gospodarce kubańskiej znaczące wpływy dewizowe.

W tym okresie stosunki polsko-kubańskie układały się znakomicie. Polska była jednym z krajów socjalistycznych, które odwiedził Fidel Castro podczas swojej słynnej podróży w roku 1972, co sprawiało, że nasz kraj był jednym z ważniejszych partnerów politycznych rewolucyjnej Kuby. Stosunki gospodarcze również były w miarę dobre. Polska dostarczała maszyny do kubańskich cukrowni, polscy specjaliści modernizowali kubańskie stocznie oraz budowali pierwszy zakład płyt spilśnionych z odpadów trzciny cukrowej. W 1975 roku wizytę oficjalną złożył na Kubie I Sekretarz KC PZPR Edward Gierek z liczną delegacją polityczno-gospodarczą. Wytyczyła one dalsze plany rozwoju wzajemnych stosunków i umocniła pozytywny obraz i klimat wokół naszego kraju. Dobrze też rozwijała się współpraca kulturalna i naukowa. Liczni polscy artyści przebywali na egzotycznej dla nich Kubie, z kolei, duża ilość studentów kubańskich kształciła się w Polsce na rozmaitych kierunkach wyższych uczelni w różnych miastach naszego kraju. Koordynacją tych wszystkich działań zajmowała się oczywiście polska placówka dyplomatyczna w Hawanie. Personel był stosunkowo liczny, gdyż obok typowych dyplomatów, zajmujących się stosunkami politycznymi, współpracą kulturalną, kontaktami dziennikarskimi i sprawami konsularnymi, działał duży zespół koordynujący sprawy wzajemnych stosunków gospodarczych, w tym pełnomocnik agencji Polservice zatrudniającej polskich specjalistów i ekspertów



Zwiedzanie plantacji trzciny cukrowej.  
Wśród grupy robotników autor  
ze Stanisławem Zembruskim  
– korespondentem PAP,  
z którym odbył podróż do Baracoa



Przejazd łodzią do rezerwatu krokodyli w Guama

na Kubie. Ponadto zainaugurowany został w tym okresie attachat wojskowy, jako pierwsze przedstawicielstwo polskich sił zbrojnych w krajach Ameryki Łacińskiej (nb. pierwszy polski attaché wojskowy na Kubie był później pierwszym polskim attaché wojskowym w Afryce, a konkretnie w Angoli, właśnie z uwagi na doświadczenia kubańskie i obecność wojskową Kuby w tym kraju). Funkcjonowała również polska szkoła, w której uczyły się dzieci pracowników placówki i specjalistów (przebywali oni przeważnie na długotrwałych kontraktach wraz z rodzinami), a nauczycielami, obok pedagogów z kraju, były osoby z doświadczeniem pedagogicznym (głównie żony dyplomatów lub specjalistów). Kolonia polska na Kubie była dość liczna i koncert „Mazowsza” w ogrodach ambasady był dla wszystkich wyjątkowym przeżyciem.

Był jeszcze dodatkowy aspekt tego koncertu, o którym nie wszyscy wiedzieli. Mianowicie, swoją misję dyplomatyczną na Kubie kończył, wspomniany już, ambasador Marian Renke. Był on powszechnie szanowany i poważany zarówno wśród najwyższych przedstawicieli władz kubańskich, jak i wśród korpusu dyplomatycznego akredytowanego na Kubie. On sam, a także jego małżonka Barbara, cieszyli się wielką sympatią całej placówki oraz środowiska polskiego na Kubie. Stąd też narodził się pomysł zorganizowania oficjalnego pożegnania wyjeżdżającego ambasadora połączonego z koncertem „Mazowsza”. Nie było to rzeczą łatwą, jeżeli weźmie się pod uwagę limitowany okres pobytu Zespołu, reguły dyplomatyczne dotyczące wysyłania zaproszeń oraz same przygotowania wewnątrz ambasady związane z organizacją tak przyjęcia, jak i koncertu. Jednakże entuzjazm i chęć pomocy dla lubianego ambasadora oraz możliwość wysłuchania i oglądania z bliska członków Zespołu, a przede wszystkim jego ładniejszej połowy, na własnym podwórku spowodowała, że godziny pracy przestały się liczyć i wszystko było gotowe na czas.

W tym czasie osobiście utrzymywałem stały kontakt z panią Mirą i informowałem ją o kolejnych przygotowaniach do tego, nieplanowanego podczas tournée, koncertu, a także o zaproszeniach wysłanych do najwyższych władz państwowych, korpusu dyplomatycznego i Polaków. Była bardzo ciekawa (my zresztą też), czy na koncercie zjawi się osobiście Fidel Castro, chociaż było to mocno wątpliwe, gdyż przywódca Kuby raczej na tego rodzaju imprezach się nie pokazywał, delegując swojego osobistego przedstawiciela lub przesyłając pismo z życzeniami.

Nadszedł dzień, a właściwie wieczór koncertu. Ambasada, mieszcząca się wówczas w reprezentacyjnej dzielnicy Hawany, Miramar, przy Piątej Alei, była pięknie oświetlona na zewnątrz i w ogrodzie, gdzie miała się odbyć cała uroczystość i koncert. Jeszcze przed ustaloną godziną zostałem delegowany (ponownie, jako najmłodszy dyplomata) do witania przybywających przed

czasem gości, później rolę tę przejmował ambasador, a następnie kolejni pracownicy dyplomatyczni placówki. Ku mojemu zdziwieniu, tuż po objęciu przeze mnie „warty” przed budynkiem ambasady pojawił się elegancki, dwumetrowy Kubańczyk, który nie znoszącym sprzeciwu głosem, poinformował mnie, że razem będziemy przyjmowali gości i mam go informować, kto jest kim wśród osób wchodzących na przyjęcie. Bez pytania zrozumiałem, że jest to osobista ochrona przywódcy kubańskiego, co mogłoby oznaczać, że rzeczywiście on sam się pojawi w ogrodach placówki. Tak rzeczywiście było, co potwierdził sam ochroniarz, gdy już wzajemnie przedstawiliśmy się sobie. Niezwłocznie powiadomiłem o tym ambasadora, który uznał to za dobry znak i polecił mi natychmiast meldować o przyjeździe Fidela, tak aby mógł wyjść przed gmach go przywitać, ponieważ oficjalna ceremonia odbywała się w wewnętrznych pomieszczeniach placówki. Wróciłem więc na swój posturunek i razem z Kubańczykiem zaczęliśmy wpuszczać pierwszych zaproszonych gości. A było ich bardzo dużo. Z jednej strony, ze względu na szacunek dla odjeżdżającego ambasadora, z drugiej, na awizowany koncert „Mazowsza” w plenerze. Przybyłych dziwiła trochę obecność wzmocnionej obstawy policyjnej na zewnątrz ambasady i mój „anioł stróż” przy wejściu, ale ponieważ zaczynał się robić tłum, więc wszyscy szybko przechodzili do wnętrza gmachu, gdzie byli witani przez ambasadora i jego małżonkę, attaché wojskowego i innych, wyższych rangą dyplomatów placówki, a następnie zapraszani do ogrodu, gdzie oczekiwali na nich kelnerzy z napojami i przekąskami oraz ubrani w kolorowe stroje członkowie Zespołu „Mazowsze”. Po niecałej godzinie towarzyszący mi ochroniarz odebrał przez radiotelefon wiadomość o zbliżaniu się samochodu Fidela Castro. Natychmiast powiadomiłem o tym ambasadora, który wyszedł przed gmach i kiedy dostojny gość wysiadał z samochodu był witany już przez gospodarza przyjęcia i również przeze mnie. Obecność Fidela Castro i innych wysokich rangą polityków kubańskich oraz wspaniały koncert „Mazowsza” spowodował, że tradycyjny dyplomatyczny koktajl zamienił się w bardzo długie przyjęcie, wykraczające poza normalny limit czasowy przewidziany dla tego typu spotkań. Luźna, swobodna atmosfera oraz piękne dziewczęta i chłopcy z Zespołu sprawili, że ani Fidel Castro, ani inni goście nie mieli najmniejszej ochoty opuszczać polskiego terytorium, czyli ambasady. Pani Mira, usadowiona przy honorowym stole, doczekała się wreszcie osobistej rozmowy z kubańskim przywódcą i wysłuchiwała wielu komplementów pod adresem Zespołu, jego werwy, kunsztu w tańcach i śpiewie oraz urody „mazowszanek”. Na szczęście (dla mnie), nie musiała już interweniować w żadnych sprawach organizacyjnych dotyczących koncertów Zespołu, gdyż tournée powoli dobiegało końca i pozostawał tylko odlot do Warszawy.

Myślę, że tak jak i mnie, innym uczestnikom tego przyjęcia, pozostało ono na długo w pamięci.

Wieczór z „Mazowszem” jeszcze dla mnie jednak się nie skończył. Wykorzystując pretekst moich zbliżających się urodzin, (czego nigdy nie czyniłem przedtem) postanowiłem zaprosić kilka osób z Zespołu do siebie na lampkę wina i szklaneczkę rumu, a ponieważ mieszkałem dosłownie naprzeciwko ambasady, nie było problemu z przemieszczeniem się z ogrodu placówki do mojej skromnej siedziby. Osoby zaproszone, m.in. Brygida Linertas, Stasio Jopek z żoną i Wiktor Zapała stwierdzili, że skorzystają z miłą chęcią z zaproszenia pod warunkiem, że wyrazi na to zgodę pani Mira. Do rozmowy tej poprosiłem, na wszelki wypadek, „moją” tłumaczkę pani Miry i razem, po wysłuchaniu stosownych rad, poleceń i uwag, dostaliśmy od niej zgodę i błogosławieństwo na dalsze nocne szaleństwa. Dzięki temu, mogłem, po raz pierwszy, usłyszeć, śpiewane na moją cześć „Sto lat”, w wykonaniu najlepszych głosów „Mazowsza” i słynnego Furmana.

Nadszedł czas odlotu Zespołu do kraju. Wykorzystałem jego powrót do załatwienia trudnej i skomplikowanej sprawy konsularnej, którą zajmowałem się z urzędu. Chodziło o to, że podczas przelotu samolotu czarterowego z polskimi rybakami z Peru do Gdańska (w Peru operowała wówczas flota polskich dalekomorskich kutrów rybackich, a wymiana załóg następowała drogą lotniczą z lądowaniem technicznym w Hawanie), na lotnisku hawańskim pozostawiono jednego z członków załogi, który dostał ataku nerwowego i kapitan samolotu obawiał się o jego zachowanie w drodze powrotnej do kraju. Informację tę otrzymałem w dość dziwny sposób, gdyż zostałem zawołany przez sekretarkę placówki (niezapomniana pani Olga) do telefonu – dzwoniła policja z lotniska: „Panie konsulu, pański obywatel biega po lotnisku i przeszkadza w ruchu lotniczym. Proszę przyjechać i go zabrać”. Ponieważ nie mogłem przez telefon uzyskać więcej informacji, pojechałem na lotnisko, gdzie wspomniany obywatel polski (jak się okazało radiooperator z jednego z kutrów) został już zatrzymany przez policję i znajdował się w komisariacie lotniskowym. Po dłuższej rozmowie z nim, podczas której, jasno wyrażane myśli i uwagi przeplatały się z napadami niekontrolowanych ocen i obaw o własne bezpieczeństwo, okazało się, że został on wysadzony z samolotu i pozostawiony na lotnisku, bez żadnego dokumentu, paszportu, biletu ani bagażu. Do czasu wyjaśnienia sprawy podjąłem decyzję o umieszczeniu go w zakładzie psychiatrycznym znajdującym się niedaleko lotniska. Po przyjeździe karetki, widok sanitariuszy w białych ubraniach, rozbudził w nim agresywne nastroje i dopiero sugestia, że pojedę razem z nim poskutkowało i można było udać się do szpitala. Został tam poddany leczeniu i powoli



dochodził do stanu, w którym można było go odesłać do kraju. W międzyczasie został załatwiony dla niego bilet i paszport. Niespodziewanie pojawił się drugi problem, gdyż szpital zażądał, by podróż pacjenta do Polski odbyła się w towarzystwie lekarza. Armator odmówił delegowania lekarza z kraju i stanęliśmy wobec dylematu, jak załatwić sprawę jego powrotu. Podzieliłem się swymi wątpliwościami z członkami Zespołu, wśród nich znajdował się również lekarz, który niezbyt przychylnie ustosunkował się do propozycji do opieki nad pacjentem. Decyzja pani Miry i dyrekcji Zespołu, by przyjść z pomocą ambasadzie i wziąć pod opiekę chorego marynarza podczas przelotu do Polski, przesądziła jednak o pomyślnym zakończeniu sprawy. Po załatwieniu niezbędnych formalności ze szpitalem oraz armatorem (karetka miała oczekiwać na pacjenta na Okęciu w Warszawie, aby go następnie odwieźć do Gdańska) dostarczono marynarza na lotnisko i razem z członkami Zespołu odleciał do kraju. Jak dowiedziałem się później, dzięki lekom zaaplikowanym przez szpital i serdecznej atmosferze otaczającej go w czasie lotu do Polski, pacjent zachowywał się bardzo spokojnie i nie przysporzył żadnego kłopotu. Życzliwość członków Zespołu Mazowsze pozwoliła więc załatwić trudno do rozwiązania problem konsularny i do tego bez dodatkowych kosztów.



Zwiedzanie Muzeum na Playa Giron, gdzie została udaremniona inwazja przeciwników rewolucji Fidela Castro w 1961 roku.  
Na zdjęciu autor przy silniku zestrzelonego samolotu

W takich okolicznościach odbyło się moje pożegnanie na Kubie z panią Mirą Ziemińską-Sygietyńską i Zespołem Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Na pamiątkę tak mile spędzonych dni otrzymałem z rąk pani Miry medal wybity z okazji 25-lecia istnienia Zespołu oraz zawieszkę do kluczy, którą, mimo upływu lat, używam do dzisiaj i traktuję, jako pewnego rodzaju talizman.

Wyjechało „Mazowsze”, wyjechał ambasador Marian Renke, wyjechała także (do Meksyku) tłumaczka pani Miry, Marysia w celu kontynuowania swojego stypendium. Po jej wyjeździe wziąłem urlop i udałem się za nią do Meksyku, razem odbyliśmy dziwne podróże i przeżyliśmy przygody, które jeszcze bardziej zbliżyły nas do siebie. Ale to już całkiem inna historia.

Wkrótce nadszedł czas mojego wyjazdu z Kuby i powrotu do kraju. Na lotnisko odprowadziła mnie większość pracowników placówki, wypiliśmy pożegnalną kawę i tradycyjne kubańskie *mojito*, po czym zająłem miejsce w samolocie Iberii lecącym z Hawany do Madrytu, skąd miałem powrócić do Warszawy polskim Lotem. Jednakże odlot nie okazał się tak prosty. W pewnym momencie wszyscy pasażerowie zostali poproszeni o wyjście z samolotu celem zidentyfikowania nadanego wcześniej bagażu, który znajdował się nie w luku, a na płycie lotniska. Po zakończeniu tej operacji poproszono nas o powrót do samolotu, zabranie bagażu podręcznego i wyjście z nim na zewnątrz. Kiedy to nastąpiło, widzieliśmy jak na jego pokład weszła „czarna brygada” (mówiąc językiem współczesnym – antyterrorysty).

Ponieważ znałem, z racji wielokrotnego przebywania na lotnisku, obsługę naziemną Iberii, zapytałem znajomą, o co chodzi. Wyjaśniła mi, na boku, szeptem, że w samolocie, który leciał z Kostaryki przez Hawanę do Madrytu nie było jednego pasażera i był poszukiwany jego ewentualny bagaż. Miałem jeszcze w pamięci niedawny zamach na samolot kubański na Karaibach, podczas którego zginęło 76 osób, kiedy to zamachowiec wysiadł na jednym z lotnisk tranzytowych, a po starcie, wybuchła bomba znajdująca się w pozostawionym przez niego bagażu. Nie muszę dodawać, że informacja ta nie poprawiła mi nastroju, stojąc wraz z innymi pasażerami obok samolotu, obserwowałem ciemne chmury gromadzące się nad lotniskiem. Myśli moje były bardziej ponure niż niebo nad Hawaną, z którego zaczęły wkrótce spływać potoki tropikalnego deszczu, tak że musieliśmy się schronić pod dachem lotniska.

Po ponadgodzinnej przerwie, zobaczyłem jak antyterrorysty z psami opuszczają samolot i zostaliśmy ponownie zaproszeni na pokład samolotu. Start odbył się w strugach deszczu, który jeszcze się wzmagał przechodząc w burzę z piorunami. Wyładowania atmosferyczne wstrząsały i rzucały samolotem, który co chwila zmieniał pułap wysokości w poszukiwaniu stabilności

lotu. Do niewesołych myśli i obaw, które mnie opanowały, mimo słów otuchy hiszpańskiej pracownicy Iberii po wyjściu „czarnej brygady”, doszła jeszcze jedna. Uświadomiłem sobie, że znajdowaliśmy się obecnie w słynnym Trójkącie Bermudzkiem, cmentarzysku tajemniczo zaginionych samolotów i okrętów, o czym czytałem wielokrotnie. Aby uciec od czarnych myśli zacząłem wspominać kubańskie przygody, bardziej miłe...

Nasze wspólne wycieczki z „tłumaczką” Marysią i jej siostrą do ciekawych i egzotycznych miejsc na Kubie. Pewnego razu znaleźliśmy się w mieście Cienfuegos, gdzie, zgodnie z naszym planem wycieczkowym, mieliśmy zano-cować, a następnego dnia udać się do rezerwatu Guama, słynnego z hodowli krokodyli. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy w hotelu „Passacaballos” otwartym uroczyście kilka dni wcześniej przez Fidela Castro, o czym czytaliśmy w prasie i co oglądaliśmy w telewizji, poinformowano nas, że hotel jeszcze nie przyjmuje gości, gdyż trwa remont (!). Przypomniało nam to podobne przypadki w Polsce. Skierowaliśmy się więc do innego hotelu dla cudzoziemców „Jagua” (zgodnie z zasadą przyjętą przez ówczesne władze, cudzoziemiec mógł nocować tylko w wyznaczonym hotelu, natomiast nie mógł w hotelu przeznaczonym dla Kubańczyków), jednakże nie było w nim wolnych miejsc. Jedyna ewentualna szansa na wolne pokoje rysowała się późnym wieczorem, jeżeliby w awizowanej, licznej wycieczce meksykańskiej nie pojawili się wszyscy jej uczestnicy. Wyszliśmy więc przed hotel i odbywaliśmy bojową naradę, co robić w zaistniałej sytuacji, podziwiając jednocześnie niezwykle oryginalną budowlę, powstałą w 1917 roku, wznoszącą się tuż obok, nazwaną Palacio del Valle, od nazwiska jego pierwszego właściciela, bogatego plantatora trzciny cukrowej. Architektura budynku łączyła w sobie styl wenecki, neogotycki i neomauretański. Po wyjeździe rodziny Valle z Kuby, po zwycięstwie rewolucji w 1959 roku, pałac stał się własnością państwa i przechodził różne koleje losu (od internatu dla dzieci do ekskluzywnej restauracji). Nasze rozważania, co do dalszych planów przerwał nagle młody Mulat, który podszedł do nas i odezwał się do mnie po polsku: „Dzień dobry panie konsulu, co Pan tutaj robi?” Zaskoczony, zapytałem skąd mnie zna, ale po usłyszeniu odpowiedzi, że poznał mnie w ambasadzie przy załatwianiu pewnej sprawy konsularnej, przypomniałem sobie, że jest on jednym z tych Kubańczyków, którzy ukończyli studia w Polsce. Dowiedziawszy się o naszym problemie zaoferował pomoc w znalezieniu miejsca w innym hotelu w mieście. Pojechaliśmy do centrum miasta, gdzie przy jednej z głównych ulic był usytuowany hotel „Pod złotym jeleniem”. Kiedy jednak recepcjonistka usłyszała, że chodzi o zakwaterowanie cudzoziemców, kategorycznie odmówiła. Dopiero perswazja naszego, miejscowego Kubańczyka i nasze oświadczenie, że skoro świt wyniesiemy się z hotelu

skłoniła ją do zmiany stanowiska. Obejrzawszy pokoje, zrozumieliśmy, dlaczego nie chciano lokować tu cudzoziemców. Brak podstawowych urządzeń sanitarnych w pokojach (owszem były, ale nie działały), tylko ogólnodostępne na każdym piętrze oraz koszmarny stan umeblowania nie mogłyby budzić miłych wspomnień u zagranicznych turystów. Dla nas nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż chodziło dosłownie o kilka godzin snu przed kolejnym dniem podróży. Nie było to nam jednak dane. Było jeszcze ciemno, kiedy obudził nas przeraźliwy wrzask, jak gdyby kogoś mordowali na zewnątrz. Po chwili rozległy się dalsze wrzaski i hałasy, wydawało się, że coś się dzieło na dachu budynku przylegającego do hotelu. Dopiero po dłuższej chwili zorientowaliśmy się, że mamy do czynienia z „kocią orkiestrą” harcząca na blaszanym dachu. O dalszym śnie nie było mowy. Spakowaliśmy się i jeszcze przed bladym świtem opuściliśmy hotel, którego dumnie brzmiąca nazwa, do dzisiaj wywołuje u nas śmiech i rozbawienie. Jednak dzięki tej krótkiej nocy zwiedziliśmy jeszcze tego samego dnia fermę krokodyli w La Boca i Guamá, gdzie obok kompleksu hotelowego pobudowano skansen-wioskę dawnych mieszkańców Kuby – Indian Tainów. Dopiero późnym wieczorem wróciliśmy do Hawany.

Z miłych wspomnień znowu wyrwał mnie potężny błysk piorunu za oknem samolotu, połączony z grzmotem i balansowanie samolotu usiłującego wrócić do równowagi w szalejącym żywiole...

Gdy tylko samolot wyrównał trajektorię lotu, znowu oddałem się wspomnieniom. Przypomniała mi się podróż do Baracoa. Pojechałem tam z niezapomnianym Stasiem Zembruskim, który był wówczas korespondentem PAP na Kubie i w Meksyku. Jechaliśmy z Santiago de Cuba dwoma samochodami. W jednym my, w drugim towarzyszące nam osoby z Kubańskiego Instytutu Przyjaźni z Narodami (ICAP). Nasz samochód prowadził ciemny, barczysty Mulat (jak nam powiedziano, były kierowca Raula Castro), drugi – niski, biały, ale o azjatyckich rysach, którego nazwaliśmy między sobą Japończykiem. Kierowca naszego wozu, jak przystało na szofera jednego z wodzów rewolucji, prowadził szybko, bez oglądania się na jakiegokolwiek zakazy czy znaki drogowe, migając światłami lub dając przeraźliwe dźwięki klaksonem. „Japończyk” nie dorównywał mu w tempie, więc jego samochód ciągle zostawał w tyle, co powodowało złość naszego kierowcy i złośliwe docinki pod adresem kolegi. Droga najpierw prowadziła wzdłuż morza, po drugiej stronie szosy wznosiły się nagie, szare ściany niewysokich gór. Jednakże całość przypominała bardziej księżycowy krajobraz, dziki i bezludny, toteż nie mieliśmy naszemu Mulatowi za złe, że chciał przejechać ten odcinek trasy jak najszybciej. Dotarliśmy wreszcie do podnóża gór, skąd wąską szosą, jak gdyby przyczepioną do skał, mieliśmy przejechać góry Sierra del Puril i dojechać do Baracoa, strefy



Katedra w starej części Hawany



Widok Hawany z okna hotelu „Hawana Libre”  
w stronę morza i hotelu „Nacional”

pełnego tropiku i jedyne miejsce na Kubie, gdzie uprawia się kakao. Przed wjazdem na drogę zwaną La Farola (Latarnia), co kilka metrów stały tablice ostrzegawcze: „Sprawdź hamulce”, „Przestrzegaj znaków prędkości”, „Ostrożnie na zakrętach”. Wyjaśniano nam, że szosa, zbudowana już po rewolucji 1959 roku, jest bardzo wąska i kręta, stąd niebezpieczeństwo wypadków i stoczenia się w stromą i głęboką przepaść. Przed zbudowaniem tej drogi tylko wąska, kamienista ścieżka, dostępna wyłącznie dla mułów, łączyła rejon Baracoa z resztą wyspy. Kiedy znaleźliśmy się już na samej La Farola, zrozumiałem w pełni rolę znaków ostrzegawczych stojących u podnóża góry. Szosa wiała się wzdłuż skał, praktycznie bez prostych odcinków, najwyżej do 50 metrów. Cały czas ograniczenie prędkości wahało się od 20 do 30 km/godz. Przy większej trzeba byłoby ścinać zakręty, aby nie spaść w przepaść. Pionowo stojące skały nie pozwalały dostrzec niczego, co kryło się za następnym zakrętem. Tymczasem nasz mistrz kierownicy jechał z szybkością 50-60 km/godz. prowadząc jedną ręką samochód i wybijając drugą rytm słuchanej przez radio melodii. „Japończyk” od razu został w tyle. Na szczęście dla nas, ruch był stosunkowo mały. Próby zwrócenia uwagi, że jedziemy za szybko odnosiły wręcz odwrotny skutek, toteż ze strachem patrzyliśmy na każdy, kolejny zbliżający się zakręt. W miarę wspinaczki na coraz wyższe partie gór zwiększała się coraz bardziej głębokość znajdującej się po drugiej stronie drogi przepaści, nawiasem mówiąc, bez żadnego zabezpieczenia przed upadkiem w prawdziwą otchłań. Przekonałem się wtedy, że naprawdę musi istnieć tzw. szósty zmysł. Tylko dwa razy nasz kierowca z własnej woli przyhamował przed którymś z zakrętów. Raz, kiedy z naprzeciwka wyskoczyła ciężarówka i drugi raz kiedy pojawił się wojskowy jeep. Gdybyśmy jechali bez „szóstego zmysłu” kierowcy najprawdopodobniej zakończylibyśmy naszą jazdę o kilkaset metrów niżej, a z jakimi skutkami dla pasażerów wszystkich pojazdów można się tylko domyślać. Wyobrażając sobie to wszystko oblewał nas gorący pot. W końcu, sparaliżowani strachem, przejechaliśmy na drugą stronę gór wjeżdżając w strefę tropikalną, gdzie znowu obleliśmy się potem, ale już z powodu tropikalnego upału.

Zwiedzając miasto, na miejscu którego znajdowała się niegdyś osada, do której dopłynął Krzysztof Kolumb w swojej pierwszej wyprawie do Ameryki i oglądając w miejscowej katedrze pierwszy krzyż misyjny przywieziony przez hiszpańskiego odkrywcę, nie wiedzieliśmy, kto zmagał się z większym strachem: Krzysztof Kolumb odkrywając nieznaną ląd czy myślał o drodze powrotnej szosą nad przepaściami. Na szczęście, powrót przebiegł bez przeszkód, mimo że styl jazdy naszego kierowcy się nie zmienił, co skończyło się kolejną awanturą Mulata z „Japończykiem”, gdyż musieliśmy sporo czekać na tego ostatniego po zjeździe z gór.

I znowu kolejne błyski i grzmoty, ale już o mniejszej sile, wyrwały mnie z zamyślenia, ale że były już o wiele słabsze, szybko pogrążyłem w kolejnych wspomnieniach.

Przed oczyma przesuwały mi się obrazy starej Hawany ze słynną tawerną „Bodequita del Medio”, muzeum Ernesta Hemingwaya, wspaniałe plaże Varadero i czarna plaża Bibijagua na Wyspie Młodości (dawniej – Sosen-Isla de Pinos), jak i chwile spędzone w tych miejscach. Piękne krajobrazy w prowincji Pinar del Rio z rozległymi plantacjami tytoniu, z którego produkowane są słynne na całym świecie cygara, co mogłem oglądać w jednej z fabryk cygar w Hawanie, sławetne mokradła na półwyspie Zapata, gdzie w Zatoce Świń porażkę ponieśli kubańscy kontrrewolucjoniści podczas inwazji w 1961 roku, o czym przypomina Muzeum na Playa Giron, wspaniałe zabytek-miasto Trinidad z wąskimi i stromymi uliczkami, wzdłuż których stoją domy z podcieniami i przepiękna Starówka z pałacami i budynkami z XVII i XVIII wieku, pamiętająca jeszcze czasy niewolnictwa oraz późniejsze dekady w XIX i XX wieku, gdy miasto stało się kubańską stolicą cukru. W chwili obecnej Trinidad jest wielką atrakcją turystyczną, gdyż został wpisany na listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO. I jeszcze wiele innych miejsc poznanych na wyspie...

Po nich pojawiają się twarze osób poznanych na Kubie. Politycy, artyści, pisarze i dziennikarze, Polacy i Kubańczycy oraz osoby z innych krajów. To na Kubie miałem możliwość poznania m.in. Tadeusza Kulisiewicza i Gustawa Zemłę, Ryszarda Kapuścińskiego i Tony Halika, Mieczysława Rakowskiego i Krzysztofa Zanussiego, Ewę Demarczyk czy spotkać po latach kolegę ze szkolnych lat, Marka Grechutę. Dzięki „kulturalnej” ambasady, Marii Dembowskiej, poznałem słynne osobistości kultury kubańskiej, wśród których byli pisarz i poeta Nicolás Guillén, malarz René Portocarero, primadonna baletu Alicia Alonso, historyk Eusebio Leal (który będąc dyrektorem Muzeum Historycznego miasta Hawany umieścił w nim cegłę ze zrujnowanego Zamku Królewskiego w Warszawie) i wielu, wielu innych.

Odżywały w pamięci twarze kolegów z pracy na placówce: Zbyszka Piechy, Edzia Szustki, Sławka Kuleszy czy też młodego naukowca Andrzeja Dembicza, jego żony i małych wówczas córeczek...

Burza za oknami samolotu powoli zaczęła się uspokajać, samolot wrócił do stabilnego lotu i większość pasażerów ogarnął spokojny sen. Marząc o powrocie, któregoś dnia, raz jeszcze, na cudowną wyspę, też wpadłem w objęcia Morfeusza.

## Rozdział II

# Książę Roman Sanguszko

Był pierwszy września 1980 roku. Na lotnisku Okęcie w Warszawie oczekiwaliśmy, wraz z żoną i małymi dziećmi, Jasiem i Małgosią, na odlot samolotu do Zurichu, a stamtąd dalej do Sao Paulo w Brazylii. W kiosku kupiliśmy gazety z zamieszczonymi w nich tekstami Porozumień Sierpniowych podpisanych między rządem i strajkującymi robotnikami z „Solidarności”, aby je pokazać pracownikom polskiego Konsulatu Generalnego w tym mieście, do którego zostaliśmy skierowani. Dzieci (Małgosia jeszcze w kołysecie) znakomicie znieśli podróż, co pozwoliło również nam odpocząć trochę, po wyczerpujących przygotowaniach do wyjazdu. Sao Paulo – największe miasto Brazylii (wówczas już ok. 10 mln mieszkańców) miało stać się dla nas domem na kilka najbliższych lat, mieliśmy przeżyć tam (jak się okazało) wiele, niezapomnianych chwil i poznać wielu interesujących ludzi. Jednym z najważniejszych kierunków działalności i pracy konsula były kontakty z Polonią zamieszkałą na terenie okręgu konsularnego. Dotyczyło to zarówno kontaktów z organizacjami polonijnymi, jak i osobistych, z czołowymi przedstawicielami tego środowiska. Okręg konsularny polskiego konsulatu w Sao Paulo obejmował wówczas trzy stany brazylijskie: stan Sao Paulo ze stolicą w mieście o tej samej nazwie, stan Rio de Janeiro (podobnie) oraz Minas Gerais ze stolicą w Belo Horizonte. W odróżnieniu od południowych stanów Brazylii tj. Parany, Rio Grande do Sul i Santa Catariny, gdzie emigracja polska



datowała się od lat siedemdziesiątych XIX wieku i była pochodzenia głównie chłopskiego, emigracja w Sao Paulo czy Rio de Janeiro była zasadniczo inna i o wiele mniejsza ilościowo. W Sao Paulo największą grupę narodowościową wywodzącą się z Polski stanowili Żydzi przybyli w latach trzydziestych, czyli przed II wojną światową. Podobna sytuacja była także w Rio de Janeiro. W Sao Paulo mieszkało w latach osiemdziesiątych ponad dwadzieścia tysięcy polskich Żydów, a w Rio de Janeiro kilka tysięcy. Jednakże, poza wyjątkami, nie utrzymywali oni kontaktów z polskimi placówkami konsularnymi, ani też nie uczestniczyli aktywnie w życiu środowiska polonijnego. Ich status społeczny i finansowy był relatywnie wysoki. W następnych latach sytuacja w tej społeczności ulegała powolnym i pozytywnym zmianom, zwłaszcza w kontekście nawiązywania więzi ekonomicznych z krajem pochodzenia.

Kilkutysięczną emigrację stanowili Polacy, którzy przybyli do Brazylii, a szczególnie do Sao Paulo i Rio de Janeiro, po II wojnie światowej z przyczyn politycznych. Dotyczyło to głównie żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych walczących na Zachodzie Europy, którzy nie wrócili do komunistycznej Polski po zakończeniu wojny. Ponadto do tej grupy dołączyli przedstawiciele wielu polskich rodów arystokratycznych (m.in. Czartoryskich, Lubomirskich, Tarnowskich, Sanguszków), jak również duża grupa inteligencji, która nie mogła się pogodzić ze zmianami politycznymi w Polsce i Europie, i szukała nowego miejsca dla siebie za oceanem. Stosunkowo zamożna i aktywna grupa utworzyła organizacje polonijne „Klub 44” w Sao Paulo i Towarzystwo Dobroczynne „Polonia” w Rio de Janeiro. W Sao Paulo działało także Towarzystwo Brazylijskie Kultury Polskiej im. J. Piłsudskiego, gromadzące inteligencję techniczną oraz rzemieślników i wykwalifikowanych robotników. Poza tym, dla podtrzymywania polskich tradycji, działał Zespół Folkloru Polskiego „Wiosna” mający swą siedzibę w miejscowości Ribeirao Pires odległej o 50 km od miasta Sao Paulo. Był on prowadzony i finansowany przez pana Kazimierza Szota i jego rodzinę, której członkowie stanowili wówczas większość Zespołu.

Po naszym przybyciu do Sao Paulo dość szybko nawiązałem liczne znajomości wśród miejscowej Polonii. Szczególnie dotyczyło to środowiska Polaków, którzy przybyli do Brazylii w latach siedemdziesiątych z przyczyn rodzinnych, poszukując pracy lub turystycznie i postanowili tutaj zostać. Ponadto z wieloma z nich byłem w zbliżonym wieku, co ułatwiło mi nawiązanie bliższej znajomości, a nawet przyjaźni. Dzięki nim zacząłem też poznawać środowiska negatywnie nastawione do pracowników konsulatu, uważające ich za przedstawicieli reżymu komunistycznego sprawującego władzę w Polsce. Celowali w tym zwłaszcza członkowie „Klubu 44”. Nic więc dziwnego,

że nie utrzymywali oni żadnych kontaktów z Konsulatem ani nie wyrażali najmniejszej chęci współpracy, nawet w organizacji imprez z okazji rocznic świąt narodowych czy też o charakterze czysto kulturalnym. Siedziba Klubu znajdowała się w budynku mieszczącym także Dom Starców dla osób niemających rodziny i pozbawionych środków do życia. Byli to głównie Polacy. Działalność Domu i finansowanie opieki zapewniał książę Roman Sanguszkowski – najbardziej znamienita i majątna osoba wśród Polonii w Sao Paulo.

O Księżu i jego bardzo barwnym oraz wielce urozmaiconym życiu wiele słyszałem i czytałem. Zgodnie z powszechnie znaną opinią interesowały go w życiu głównie kobiety, konie i samochody. Ponadto, dzięki wykształceniu, intuicji i talentowi do interesów, potrafił dorobić się wielkiego majątku w Brazylii, do której przybył w sierpniu 1940 roku. Posiadał także dobra i pamiątki rodzinne, które udało mu się wywieźć z okupowanej przez Niemców Polski. Jeżeli chodzi o te ostatnie to sporo osób twierdziło, że wiele z nich winno znajdować się w Polsce, w muzeach, a nie w dalekiej Brazylii. Jednakże stosunek samego Księcia, jak i jego najbliższego otoczenia do reżymu panującego w Polsce wykluczała taką możliwość. Podejmowane przez poprzednich konsulów próby nawiązania bliższych kontaktów z Księciem kończyły się fiaskiem głównie z uwagi na postawę jego najbliższego otoczenia, nieprzychylną w stosunku do ówczesnej Polski i jej oficjalnych przedstawicieli, co w praktyce uniemożliwiało podjęcie jakichkolwiek rozmów. Zmianę nastawienia Księcia do idei przekazania czegoś ze swoich zbiorów do Polski uznałem za jeden z priorytetów mojej działalności polonijnej. Nawiązanie bezpośrednich kontaktów z Księciem, ze względu na jego podeszły wiek (80 lat) i częste choroby, a przy tym bierny stosunek do życia towarzyskiego Polonii czy też elit społecznych Sao Paulo, stanowiły dodatkową trudność. Ponieważ wiedziałem, że Książę bardzo interesuje się sytuacją w Polsce i działalnością „Solidarności”, zacząłem przysyłać do niego polską prasę otrzymywaną z kraju przez Konsulat lub przywożoną przez znajome osoby przyjeżdżające z Polski. Niespodziewanie, ku mojemu zdziwieniu, zacząłem otrzymywać telefoniczne podziękowania za przesyłane materiały, osobiście od Księcia. Podczas jednej z rozmów telefonicznych Książę zaprosił mnie do złożenia mu wizyty w hotelu „Brasilton” położonym w centrum Sao Paulo, który był jego własnością i w którym mieszkał.

Na spotkanie to udałem się z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony cieszyłem się z możliwości osobistego poznania Księcia, z drugiej byłem pełen obaw, jak się ono potoczy i czy nie będzie jednocześnie pierwszym i ostatnim. Dlatego też, zachowałem fakt zaproszenia tylko dla siebie i nie poinformowałem o nim ówczesnego Konsula Generalnego, co stanowiło z mojej strony



Książę Roman Sanguszko  
w swojej posiadłości „Sitio Romansa”,  
czyli tzw. Górce  
w okolicach miasta Sao Paulo



Książę Roman Sanguszko z autorem książki i jego dziećmi

niedopełnienie obowiązków służbowych, ale miało – jak się później okazało – pozytywny wpływ na dalszy przebieg wydarzeń. Spotkanie miało miejsce w jednej z sal recepcyjnych hotelu i uczestniczyła w nim przyjaciółka Księcia – pani Elżbieta, elegancka starsza, dystyngowana pani, Polka zamieszkała od lat w Brazylii. Sam Książę był wysokim, postawnym mężczyzną, ubranym elegancko, ale zgodnie z modą sportowo-klubową. Pociągła szczupła twarz o żywych i myślących oczach. Przy krześle, na którym siedział, stała elegancka laska, którą podpierał się chodząc. Rozmowa toczyła się w bardzo miłej i ciepłej atmosferze, a jej tematyka dotyczyła ówczesnej sytuacji w Polsce, która była dla Księcia bardzo interesująca. Chcąc kontynuować rozmowę, zaprosił mnie na kolację. Nie śmiałem odmówić i rozmawialiśmy jeszcze długo tego wieczoru zarówno o sytuacji bieżącej w kraju, o historii Polski, jak i sprawach osobistych. Żegnając się Książę zaproponował mi następne spotkanie, podczas którego obiecał pokazać swoje prywatne zbiory zgromadzone w apartamentach hotelu. Z radością przyjąłem zaproszenie ze względu na to, że Książę wywarł na mnie duże wrażenie, jako ciekawa osobowość oraz interesujący i miły rozmówca. Ogromna wiedza, znajomość historii Polski i Brazylii, a zarazem prostota i jasność w formułowaniu wypowiedzi bez żadnego wywyższania się, ze względu na pochodzenie i status społeczny, a przy tym trafność spostrzeżeń odnosząca się do różnych aspektów życia, zaskoczyły mnie ogromnie. Cieszyłem się również, że pomyślnie przeszedłem pierwszy „egzamin”, skoro zostałem ponownie zaproszony na drugie spotkanie.

Wizyta w prywatnych apartamentach Księcia miała miejsce w jakiś czas potem. Znajdowały się one na dwóch ostatnich kondygnacjach hotelu „Brasilton” przerobionych na jedno piętro, co pozwalało na ścianach salonu pomieścić olbrzymie flamandzkie gobeliny przypominające słynne wawelskie arras. Przedstawiały one krajobrazy z posiadłości rodziny Sanguszków w Polsce i na ziemiach dzisiejszej Ukrainy. Olbrzymi salon przypominał salę muzealną pełną zabytkowych mebli i eksponatów. Na wielkim stole, znajdującym się pośrodku salonu, leżały różnorodne przedmioty, m.in. oprawione w skórę książki i albumy. Wśród nich wyróżniała się buława marszałkowska, a, jak mi wyjaśnił Książę, była to buława hetmańska, gdyż należała do wielkiego hetmana i późniejszego króla Jana III Sobieskiego. Różnego rodzaju i kształtu zabytkowe meble stały przytulone do ścian salonu, niektóre przykryte tkaninami, jak się dowiedziałem później, tureckimi, zdobytymi pod Wiedniem przez króla Sobieskiego. Moją uwagę przykuła raczej niewielka, w stosunku do gobelinów, tkanina wisząca na jednej z bocznych ścian. Bogato zdobiona w elementy roślinne i zwierzęce wyróżniała się swoim pięknem. Zapytany o nią Książę wyjaśnił, że jest to atlasowa kołderka, którą król Jan III

podarował królowej Marysience po zwycięstwie pod Wiedniem. Jako wielbiciel i znawca koni pokazał mi z dumą albumy zawierające rodowody koni arabskich hodowanych od kilku pokoleń w dobrach Sanguszków. Siedząc przy jednym ze stolików i popijając kawę nie mogłem powstrzymać się, aby nie wyrazić podziwu dla oglądanych zbiorów i napomknąć, że w pełni zasługują, aby mogły być prezentowane w Polsce np. na Wawelu lub restaurowanym Zamku Królewskim w Warszawie. W ten sposób mogłyby wyjść z ukrycia i stać się przedmiotem ogólnego podziwu turystów krajowych i zagranicznych. Temat nie został podjęty bezpośrednio, jednak rzucona przez Księcia uwaga, że w wyniku potencjalnej wojny w Europie lub zamieszek w kraju mogłyby one ulec zniszczeniu świadczyła, że moja wypowiedź trafiła na podatny grunt. Innym razem zostałem zaprowadzony do garażu hotelowego, gdzie zobaczyłem stare zabytkowe samochody należące do Księcia. Między nimi wyróżniał się Rolls Royce z lat trzydziestych, wciąż jeszcze na chodzie, który był często wypożyczany przez miejscowych filmowców. Pewnego dnia również Jaś i Małgosia zasiedli za jego kierownicą.

Kolejnym etapem znajomości z Księciem było zaproszenie całej mojej rodziny tj. żony i dzieci, do spędzenia niedzieli w jego posiadłości odległej o kilkadziesiąt kilometrów od Sao Paulo. Pamiętam, jak podczas pierwszej jazdy „na górkę” (tak nazywał ją Książę) jego samochód zatrzymał się przy przydrożnym sprzedawcy zabawek i za chwilę dwa olbrzymie, zrobione z materiału psy wylądowały w naszym samochodzie, jako prezenty dla Jasia i Małgosi. Dzieci nie rozstawały się z nimi przez wiele lat i oczywiście zabrały je do Polski. „Górka” – zgodnie z nazwą, – położona była w górach i obejmowała duży teren porośnięty lasem i stawy z pluskającymi się rybami. Przy jednym z nich stał prosty drewniany, parterowy dom zbudowany z bali, z werandą, na której znajdował się stół i wiklinowe krzesła. Dla dzieci rzeczą najważniejszą był hamak i klatka z papugami. Miejsce stwarzało możliwości spaceru po lesie, przypominającym polskie lasy, i pooddychania świeżym, górskim powietrzem, wolnym od zatrutego smogiem w Sao Paulo. Z uwagi na trudności z chodzeniem, Książę preferował karmienie ryb w stawie położonym obok domu, gdzie siadając rzucał do wody kawałki chleba. Przyzwyczajone do tego ryby podpływały do samego brzegu i wyskakiwały nawet ponad powierzchnię wody w walce o pierwszeństwo w zdobyciu pożywienia. Właśnie przy stawie toczyły się między nami długie rozmowy na najbardziej różnorodnych tematach, od polityki poczynając, poprzez historię, a na zagadnieniach religii i filozofii kończąc. Rozmowy były kontynuowane przy stole na werandzie w towarzystwie pani Elżbiety i mojej żony. Obie panie bardzo sobie przypadły do gustu i z ożywieniem uczestniczyły w wymianie poglądów. W menu królowała zdrowa



Książę Roman Sanguszko wraz z polską reprezentacją w koszykówce kobiecej, na przyjęciu zorganizowanym w Klubie 44 w Sao Paulo



Autor w Rolls-Royce Księcia Romana Sanguszki



Książę Roman Sanguszko i Jaś świętujący swoje urodziny



Książę Roman Sanguszko przy swoim Rolls-Royce.  
Na pierwszym planie żona autora książki

żywność, w tym ulubiona sałatka z surowych kalafiorów, marchewki i majonezu i oczywiście dobre, przygotowane na grillu mięso. Po obiedzie Książę udawał się na sjęstę, a my, z dziećmi szliśmy na spacer do lasu zbierając szyszki lub inne ciekawostki leśne. Spędziliśmy „na górcę” wiele weekendów, zwłaszcza po tym, jak podczas jednej z rozmów Książę przyznał, że wywierano na niego nacisk, aby zerwał kontakty z „komunistycznym” konsulem, szczególnie po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Stąd też wolał nasze spotkania poza miastem niż w hotelu. Wyznanie to, muszę przyznać sprawiło mi dużą przyjemność, że mimo nacisków nasza znajomość nie została zerwana. Nie muszę też dodawać, że podczas długich rozmów nie omieszkalem, w sposób delikatny, wracać do tematu przekazania choćby części zbiorów do Polski, gdzie mogłyby znaleźć godne miejsce prezentacji, a niektóre przedmioty jak np. kołderka królowej Marysienki mogłyby być poddane należytej renowacji i konserwacji przez znakomitych polskich fachowców.

Z każdym spotkaniem i z każdą rozmową z Księciem wzrastał mój szacunek i poważanie dla jego osoby, gdyż dowiadywałem się o jego losach, jak i pomocy, którą świadczył dla swoich przyjaciół i dawnych pracowników mieszkających w Polsce. Były to zarówno przekazy pieniężne, jak też paczki żywnościowe wysyłane z okazji Świąt Bożego Narodzenia czy Wielkanocy. W związku z planowanym przeze mnie wyjazdem do Polski na urlop w sierpniu i wrześniu 1982 roku, zaferowałem możliwość przekazania korespondencji do zaprzyjaźnionych z Księciem osób w kraju. Oferta została zaakceptowana i jako „specjalny posłaniec” zawiozłem listy, m.in. do pani Miry Zimińskiej-Sygietyńskiej („To od mojego przedwojennego wielbiciela i narzeczonego” – jak stwierdziła przy odbiorze) czy też pani Marii Zamoyńskiej i pani Wandy Marossanyi w Krakowie. Podczas rozmów podzieliły one mój pogląd, że najwłaściwszym miejscem dla zbiorów Księcia jest Polska, a w szczególności Wawel czy Zamek Królewski w Warszawie.

Po powrocie do Brazylii dowiedziałem się o nawrocie choroby Księcia i jego pobycie w szpitalu, dlatego też przez pewien czas kontakty odbywały się jedynie drogą telefoniczną. Wywnioskowałem z nich, że pobyt w kraju i rozmowy tam przeprowadzone znalazły odbicie w korespondencji do Księcia, gdyż temat ewentualnego daru dla Wawelu został poruszony przez niego pierwszy raz osobiście. Rozwijając go nawiązywałem do zbliżającej się trzechsetnej rocznicy bitwy pod Wiedniem i przygotowywanych z tej okazji uroczystości mających się odbyć w Polsce i zagranicą. Na początku stycznia 1983 roku spotkałem się z Księciem, który powiedział mi, że podjął decyzję o przekazaniu, w formie daru, kołderki królowej Marysienki dla Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu. Zwrócił się do mnie z prośbą



o przekazanie tego daru adresatowi. Zaskoczony i trochę zdeprimowany zaproponowanym sposobem starałem się wytłumaczyć Księżciu, że należy zachować pewne procedury formalne tj. sprawa powinna zostać oficjalnie przedstawiona mojemu zwierzchnikowi, Konsulowi Generalnemu, a co za tym idzie przekazana, zgodnie z drogą służbową, do Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie. Z pewnymi oporami Książę zgodził się z moją argumentacją i poprosił o zaaranżowanie takiego spotkania. Nie muszę wyjaśniać, na jakie wyzyny dyplomacji się wzniosłem, aby powyższą sprawę przedstawić ówczesnemu Konsulowi Generalnemu, umniejszając do minimum moje osobiste zaangażowanie. Możliwość zabłyśnięcia przed Centralą w Warszawie i osobistego, w końcu, poznania znanego Księcia przekonały go o potrzebie złożenia oficjalnej wizyty i przyjęciu daru. Do spotkania doszło 13 stycznia 1983 roku w domu Księcia, który ponownie był złożony chorobą, ale postanowił nie odkładać tej ceremonii. Wzięli w niej udział najbliżsi współpracownicy księcia Sanguszki oraz Konsul Generalny i ja. Ze względu na chorobę ofiarodawcy nie trwała ona długo. Można powiedzieć, że w sensie służbowym sprawa kołderki królowej Marysienki skończyła się dla mnie definitywnie i do tego z konsekwencjami. Otrzymałem bowiem od swojego przełożonego polecenie napisania notatki o moich kontaktach z Księciem i... jednoczesny zakaz utrzymywania z nim jakichkolwiek kontaktów. Co przekazał do MSZ w sprawie otrzymania daru mogłem, co najwyżej, tylko się domyślać. Z wiadomości, które do mnie dochodziły z kraju, po raz n-ty sprawdzało się powiedzenie, że sukces ma wielu ojców i nie zawsze znajduje się wśród nich ten właściwy. Najważniejszym dla mnie był fakt, że kołderka królowej Marysienki znalazła się w Polsce, a że w toku późniejszych ustaleń wyładowała ostatecznie nie na Wawelu, lecz w muzeum w Wilanowie, było sprawą drugorzędną.

Od powyższego wydarzenia przestałem utrzymywać oficjalne i formalne kontakty z Księciem, co nie oznaczało zerwania naszej znajomości i zakończenia wspólnych wyjazdów „na górkę”, w tajemnicy przed ciekawskimi z obu stron. Trwało do końca lipca 1983 roku tj. do wyjazdu Konsula Generalnego na urlop do kraju i przejęcia przeze mnie na ten okres obowiązków Kierownika Konsulatu. W tym czasie w Brazylii odbywały się IX Mistrzostwa Świata w Koszykówce Kobiet, w których brała udział nasza reprezentacja. Pierwsza faza rozgrywek grupowych miała miejsce w Rio de Janeiro, gdzie Polki zajęły I miejsce w swojej grupie i zakwalifikowały się do finału rozgrywanego w Sao Paulo. Polska drużyna została zakwaterowana w hotelu „Brasilton” tj. tam, gdzie mieszkał książę Sanguszko. Ponieważ żadna z organizacji polonijnych nie wykazywała chęci spotkania się z naszą drużyną, postanowiłem

zorganizować spotkanie, co najmniej z Księciem, jako gospodarzem hotelu, na terenie którego zamieszkiwała drużyna. Na większą imprezę Konsulatu nie było stać ze względów finansowych. Ideę spotkania przedstawiłem zarówno Księciu, jak i kierownictwu polskiej ekipy i z obu stron otrzymałem akceptację. Książę, podczas prywatnej rozmowy, zaproponował, jako miejsce spotkania, teren „Klubu 44”, ale rolę organizatora miał odgrywać Konsulat, a nie kierownictwo Klubu. Ponadto wziął na siebie całość kosztów finansowych tego spotkania. Mimo dość słabego stanu zdrowia obiecał także osobiście wziąć w nim udział. Spotkanie odbyło się w dniu 6 sierpnia, w godzinach południowych na świeżym powietrzu, przy pięknej słonecznej pogodzie. Ekipę sportową witali przedstawiciele Konsulatu oraz przedstawiciele Polonii, w tym kierownictwo „Klubu 44”. Zgodnie z obietnicą (na wózku) przybył również patron spotkania, książę Roman Sanguszko. W sumie wzięło udział około 50 osób. Dla wszystkich gości było przygotowane typowe brazylijskie *churrasco* (grill), a obsługę zapewniali kelnerzy z hotelu „Brasilton”. Atmosfera spotkania była bardzo miła i przyjemna, gospodarz, ze względu na stan zdrowia, nie uczestniczył we wspólnym obiedzie, ale przeprowadził w trakcie pobytu szereg rozmów indywidualnych z osobami z kierownictwa ekipy i niektórymi zawodniczkami. Przed jego odjazdem zrobiono, na pamiątkę, wspólne zdjęcie.

Wydarzenie to nie wpłynęło na zmianę stanowiska Konsula Generalnego, który po powrocie z urlopu podtrzymał swoją decyzję zabraniającą mi kontaktów z Księciem. Nadal więc pozostawały one tajne, ale zmieniły nieco swój charakter. Za radą lekarzy (z uwagi na duże zanieczyszczenie powietrza smogiem w centrum miasta, gdzie znajdował się hotel) Książę wyprowadził się z niego i zamieszkał w wynajętym domu położonym naprzeciwko szpitala na wzgórzach Morumbi – najwyżej położonej części miasta, dość odległej od naszego miejsca zamieszkania. Nie przeszkadzało to jednak nam, z żoną, składać mu wizyt (nawet czasami przyjeżdżaliśmy z dziećmi, które bardzo polubił), zawozić prasę czy wyświetlać najnowsze filmy polskie z przenośnego projektora z konsulatu. Zdawałem sobie sprawę, że utrzymywanie tych stosunków może spowodować moje wcześniejsze odwołanie do kraju, a także, że nie uda mi się uzyskać więcej darów dla Polski, gdyż Książę ustanowił fundację, na rzecz której zapisał swoje pamiątki rodzinne. Ze względu na szacunek do jego osoby i przyjazne relacje łączące mnie z nim, podtrzymywałem nadal nasze kontakty. Na przestrzeni 1984 roku stan jego zdrowia coraz bardziej się pogarszał i kilka razy, tylko dzięki bliskiej odległości domu od szpitala i natychmiastowej akcji lekarzy, udało się uratować mu życie. Jak sam twierdził w rozmowach, że w jego przypadku należy liczyć nie do trzech, a do siedmiu razy sztuka i praktycznie tak było.

Dnia 26 września 1984 roku o godzinie siódmej rano zadzwonił w domu telefon. Początkowo sądziłem, że to Konsul Generalny zapomniał mi o czymś powiedzieć, bo tego dnia rano wyjechał do Belo Horizonte na występy chóru studenckiego z Polski, przybyłego na szereg koncertów do Brazylii. Był to jednak Piotr Sanguszko, syn Księcia informując mnie, że ojciec zmarł przed chwilą i ze względu na więzi łączące mnie z nim mogę oddać mu ostatni hołd jeszcze przed oficjalnym pogrzebem. Natychmiast udałem się do domu pogrzebowego, gdzie zastałem tylko syna Piotra modlącego się przy zmarłym ojcu. Oddawszy w ciszy i skupieniu hołd Księciu dowiedziałem się od syna, że zgodnie z miejscowym prawem, pogrzeb odbędzie się tego samego dnia w godzinach popołudniowych i jeżeli chcę, mogę uczestniczyć w ceremonii żałobnej na cmentarzu. Potwierdziłem moją i żony obecność na pogrzebie, po czym wróciłem do konsulatu. Poleciłem zamówić w kwiaciarni wiązkę biało-czerwonych kwiatów, a następnie zadzwoniłem do Konsula Generalnego do Belo Horizonte informując go o zaistniałej sytuacji i podjętych w związku z tym krokach ze strony konsulatu. Tym razem nie usłyszałem żadnego sprzeciwu z jego strony.

Tego dnia po południu w momencie pogrzebu nad Sao Paulo rozpętała się tropikalna ulewa, jak gdyby niebiosa też opłakiwały śmierć polskiego Księcia – wygnańca chowanego, w dalekiej od Polski, ziemi. W smutku i powadze złożyliśmy z żoną przed trumną Zmarłego kwiaty w narodowych barwach oraz kondolencje rodzinie.

Dla mnie osobiście, było to swojego rodzaju pożegnanie ze wspaniałym Człowiekiem, który umiał żyć i cieszyć się osobiście radościami życia nie zapominając o troskach innych. Potrafił rozmawiać z każdym, bez względu na pochodzenie, status społeczny czy poglądy polityczne, ceniąc w swoim rozmówcy przede wszystkim drugiego człowieka.

I takim zachowałem Go w mej pamięci.

### Rozdział III

## Księża, masoni, znikające plaże i dżungla amazońska

Sao Paulo było i jest największym miastem Brazylii (obecnie ponad 15 milionów mieszkańców) i jednym z największych na świecie, ale w odróżnieniu od Tokio, Szanghaju czy Moskwy, bardziej przypomina Nowy Jork czy Londyn z uwagi na swój kosmopolityczny charakter i mozaikę mieszkającej w nim ludności. Można tutaj spotkać wszystkie rasy i przedstawicieli najróżniejszych religii świata, co stwarza niepowtarzalną i jedyną w swoim rodzaju atmosferę. Mieszkają tu obok siebie Włosi i Hiszpanie, Żydzi i Arabowie, Japończycy i Chińczycy, nie mówiąc już o przybyszach z Europy Wschodniej czy z Korei. W mieście powtarzane jest popularne powiedzenie, że mieszka w nim 50 % Włochów lub osób pochodzenia włoskiego i pozostałe nacje. Mimo przewagi liczebnej rdzennej ludności brazylijskiej w całej swojej złożoności i kolorycie miasto ma – jak wspomniałem – charakter międzynarodowy. Przebywając i pracując w Brazylii chciałem jednak poznać lepiej jej naturalne środowisko i prawdziwe oblicze tego wielkiego kraju-kontynentu.

W ramach obowiązków służbowych i zawodowych w naszym okręgu konsularnym poznałem dawną stolicę Brazylii, słynne Rio de Janeiro i stolicę stanu Minas Gerais – Belo Horizonte. Jak na każdym przybyśzu, szczególnie

Rio, wywarło na mnie wielkie wrażenie. Pomnik Chrystusa na Corcovado, Głowa Cukru, plaże Copacabany, Leblon i Ipanemy, piękne aleje wysadzone palmami oraz niemniej słynne *favela* (dzielnice nędzy) położone na zboczach gór, pozostawiły głęboki i trwały ślad w pamięci, jak również chęć powrotu, aby zobaczyć to wszystko ponownie. Dzięki poznanym Polakom udało mi się to marzenie spełnić i prywatnie byłem tam kilkakrotnie, w tym, na słynnym karnawale w Rio. Do tego jeszcze wrócę w dalszej części książki. Rio de Janeiro, z uwagi na swoją urodę, klimat, plaże i karnawał jest przez cały rok odwiedzane przez rzesze turystów z całego świata i właśnie to oni stanowią znaczną część przebywających tam ludzi.

Nam z żoną chodziło o coś więcej. Chcieliśmy poznać prawdziwą Brazylię, ukrytą w cieniu atrakcji turystycznych, niedostępną dla kilkudniowych turystów. Niespodziewanie pojawiła się taka szansa.

Zgodnie z ówczesną praktyką kadrową MSZ, urlop w kraju, na koszt ministerstwa, przysługiwał dyplomatom raz na dwa lata. Natomiast roczny urlop można było wykorzystać albo w kraju urzędowania, albo w krajach sąsiednich, na własny koszt. Ponieważ w 1983 roku nie mieliśmy przywileju pojechania do Polski (byliśmy tam w roku 1982), postanowiliśmy spędzić urlop zwiedzając Brazylię. Jak zwykle bywa w życiu, trasę podróży wyznaczył szereg przypadków. Najpierw, nasz dobry znajomy, polski inżynier-elektryk Bolek Matuszewski został skierowany przez brazylijską firmę, w której pracował, do budowy gigantycznej zapory wodnej na rzece Tocantins w rejonie Tucuruí, w samym środku dżungli amazońskiej. Po objęciu na budowie kierowniczego stanowiska wysłał nam zaproszenie, gdyż dysponował własnym domem i możliwością zakwaterowania całej naszej rodziny. „Drobiazgiem” było jedynie pokonanie odległości pięciu tysięcy kilometrów dzielącej Sao Paulo od Tucuruí. Dlatego też, podziękowawszy za zaproszenie, nie bardzo widzieliśmy możliwości realizacji tej podróży. Działo się to na początku wspomnianego roku 1983. W jakiś czas potem drugi polski inżynier budownictwa kolejowego, Janek Nowakowski, został wysłany przez swoją firmę do budowy Kolei Transamazońskiej w stanie Sao Luis, skąd także wysłał nam zaproszenie do odwiedzenia tego odległego od Sao Paulo regionu. Stolica stanu San Luis do Maranhao jest bardzo atrakcyjnym miastem położonym nad Oceanem Atlantyckim, ale że była nieco bliżej, o tysiąc kilometrów, od Tucuruí, to idea tej podróży pozostawała nadal jedynie w sferze marzeń. Punktem zwrotnym w urzeczywistnieniu tego marzenia stała się wizyta zakonnika Łukasza, albo Kaszułasa – jak nazywały go dzieci – z zakonu redemptorystów z Salvadoru – stolicy stanu Bahia. Poznaliśmy go przy okazji załatwienia sprawy paszportowej w Konsulacie. Okazał się bardzo

sympatyczny i tak ciekawie opowiadał o swojej pracy misjonarza, że zaprosiliśmy go na polski obiad do naszego domu. Poczęstowany przez żonę domowym bigosem, zajadał się nim – jak się do dzisiaj śmieje żona – na pierwsze i drugie danie oraz na deser, kontynuując opowiadanie o pracy misjonarzy w Bahia, najbardziej afrykańskim stanie Brazylii, który odwiedził w swojej podróży po tym kraju papież Jan Paweł II. Ponieważ podczas rozmowy został poruszony temat naszego urlopu i chęć poznania Brazylii od podszewki, o. Łukasz zaprosił nas do Salvadoru, gdzie polscy misjonarze zarządzali jedną parafią San Lazaro (św. Łazarza) w stolicy stanu oraz drugą parafią w miasteczku Lapa położonym ok. tysiąca kilometrów w głębi stanu, gdzie opiekowali się Sanktuarium Matki Boskiej.

Po wyjeździe przemiłego misjonarza zasiedliśmy do rodzinnej dyskusji i podjęliśmy decyzję o realizacji wyjątkowej podróży urlopowej, łączącej wszystkie zaproszenia i uzupełnionej wizytą w innych miastach wartych odwiedzenia, leżących na trasie. Początkowy wariant podróży obejmował miesiąc i przewidywał podróż naszym samochodem do Salvadoru, a następnie pozostawienie go u polskich zakonników i kontynuowanie podróży samolotem na północ, w kierunku równika, wzdłuż wybrzeża atlantyckiego Brazylii. Szlak ten wiódł przez Recife, Fortalezę, Sao Luís do Maranhao, Belem, Tucurui do Manaus i z powrotem do Salvadoru, skąd następnie samochodem, przez Rio de Janeiro, można wrócić do Sao Paulo. Korzystając z kontaktów w biurach podróży, wyznaczaliśmy trasę, hotele i inne szczegóły tej wycieczki. Kiedy poszedłem z formalnym podaniem o miesięczny urlop do Konsula Generalnego, ten oświadczył, że może udzielić mi urlopu tylko na trzy tygodnie. W tej sytuacji, praktycznie w ostatniej chwili, musieliśmy dokonać poważnej korekty planu podróży. W pierwszym rzędzie skreślona została podróż samochodem do Salvadoru i z powrotem. Zamieniliśmy ją na przelot samolotem. Z uwagi na fakt, że loty z Tucurui do Manaus były tylko raz w tygodniu, z zalem musieliśmy także skreślić Manaus, ze względu na brak czasu. W zamian, zaplanowaliśmy wylot z Tucurui do stolicy kraju, Brasílii i dalej do Sao Paulo.

W przeddzień wyjazdu, odebrałem telefon z agencji turystycznej, w której zamawialiśmy bilety, gdzie poinformowano mnie, że wskutek pewnych zmian w rezerwacji hotelu w Fortalezie, należy dopłacić jeszcze 25 dolarów. Nie potrafiono mi jednak wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Po wydaniu ponad tysiąca dolarów za cztery osoby, nie miało to oczywiście żadnego znaczenia i bez protestu uiściłem wzmiankowaną kwotę, nie wiedząc, jaka za tym kryje się niespodzianka. Praktycznie do dnia wyjazdu trzymaliśmy plan naszych wakacji w tajemnicy przed pozostałymi pracownikami konsulatu,

dowiedziawszy się jednak, że jedziemy w region Amazonii z małymi dziećmi – Jaś miał wówczas 5, a Małgosia 4 lata – niektórzy pukali się w czoło mówiąc o braku odpowiedzialności rodzicielskiej. Spodziewając się takich reakcji, nie mówiliśmy o detalach podróży ani o jej poszczególnych etapach. Czynieiliśmy za to odpowiednie przygotowania, zwłaszcza tam, gdzie mieliśmy przebywać u przyjaciół.

Pierwszym etapem był Salvador i księży redemptoryści. Po pobycie o. Łukasza u nas nie pozostawało nam nic innego jak przygotować pięciokilogramowy garnek polskiego bigosu i tradycyjną polską wódkę. Bigos świetnie zniósł podróż samolotem i w doskonałym stanie doleciał do celu. Ojciec Łukasz czekał na naszą czwórkę na lotnisku położonym dość daleko od miasta. Po drodze mijaliśmy wysokie wydmy białego piasku. Dzieci natychmiast na to zareagowały: „Mama, tata, śnieg”. Pamiętały z Polski, że śnieg jest biały i trzeba było wytłumaczyć, że jest to tylko piasek i że w tych szerokościach geograficznych śnieg nigdy nie pada, m.in. z uwagi na wysoką temperaturę, która tego dnia przewyższała 30 stopni w cieniu. Idealnym autorem tych wyjaśnień stał się „Kaszułasz”, którego opowiadań dzieci słuchały grzecznie i z uwagą.

Po przyjeździe do parafii San Lazaro (św. Łazarza) umieszczono nas w pokoju gościnnym znajdującym się na piętrze kościoła nad głównym ołtarzem, skąd dochodziły nas dźwięki celebrowanych mszy bez wychodzenia z pokoju. Kościół, jeden z 367 świątyń w Salvadorze, który, jak pozostałe, był położony na jednym ze wzgórz miasta, skąd rozciągał się piękny widok na niżej położone dzielnice zamieszkałe – jak nam powiedziano – przez średnio zamożnych mieszkańców Salvadoru. Małe domy wśród niewielkich ogródków z tropikalnymi roślinami wyglądały bardzo uroczo, zwłaszcza z dalszej odległości. Kiedy przejeżdżaliśmy obok nie robiły już takiego wrażenia, gdyż bardziej przypominały, ubóstwem, domy na przedmieściach polskich miast, z innymi oczywiście drzewami i krzewami typowymi dla tej strefy klimatycznej. Parterowe domki, w swojej większości stanowiły jednak prawdziwe pałace w porównaniu z dzielnicami nędzy, *favelami*, które, dzięki uprzejmości ojców misjonarzy, mogliśmy także zobaczyć. Te niby-domy, niby-szałasy zasługujące na miano baraków mieszkalnych, zbudowane były z najprzeróżniejszych materiałów, a właściwie ich resztek. Drewno, blacha, plastiki, maty słomiane, trochę cegieł i kamieni były podstawowymi surowcami tych „domów” chroniąc zamieszkałych tam ludzi przed słońcem i deszczem. Między labiryntem baraków było widać mnóstwo kręcących się bez celu ludzi, w przeważającej masie ciemnoskórych, oraz dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym. Zobaczywszy samochód z białymi ludźmi kobiety i dzieci podbiegły

do nas i wyciągały ręce prosząc o cokolwiek: pieniądze, chleb czy słodycze. Byliśmy na to przygotowani, ale obdarowawszy kilkanaścioro dzieci, natomiast zobaczywszy nadciągający tłum kilkudziesięciu innych musieliśmy pospiesznie odjechać do centrum na dalsze zwiedzanie miasta. Po drodze wysłuchaliśmy tłumaczenia księdza o przyczynach tego zjawiska. Nordeste, czyli północny wschód Brazylii dzieli się na dwie zasadniczo różniące się strefy klimatyczne. W długiej linii brzegowej Oceanu Atlantyckiego, ciągnącej się od Rio de Janeiro aż po Belem, leży szereg innych ważnych miast, rozwiniętych gospodarczo i ofiarowujących swoim mieszkańcom stosunkowo wysoką stopę życiową. W głębi lądu usytuowana jest natomiast strefa klimatyczna zwana *agreste*, która zaliczana jest do najbiedniejszych stref naszego globu i stawiana na równi ze strefą subsaharyjską. Charakteryzuje ją wielomiesięczny brak wody, wysychanie rzek, a co za tym idzie brak jakichkolwiek warunków do uprawy roli i wyginiecie ryb, stanowiących w niedalekiej przeszłości podstawowy pokarm gwarantujący mieszkańcom egzystencję jedynie na poziomie nędzy. Stąd z roku na rok rośnie niekontrolowana migracja ludności z tych rejonów kraju do miast na wybrzeżu Oceanu Atlantyckiego w poszukiwaniu pracy i lepszych warunków życia. Z uwagi jednak na brak kwalifikacji zawodowych, nadzieja tych biednych ludzi kończy się na *favelach* dużych miast. Nie było to dla nas zaskoczeniem, gdyż podobnie działo się w Sao Paulo czy w Rio de Janeiro, jednakże zaskoczyła nas skala tego fenomenu.

Z zaciekawieniem słuchaliśmy też opowiadań misjonarzy o ich przygodach przy zakładaniu Sanktuarium w Lapie (Bom Jesus da Lapa) oddalonego o ponad tysiąc km od Salvadoru, dokąd z braku czasu nie mogliśmy dotrzeć, o karczowaniu dżungli, walce z dzikimi zwierzętami, m.in. kilkumetrowymi węzami boa (*jiboia*), żmijami czy skorpionami. Słuchaliśmy z podziwem o podejmowanych wysiłkach misjonarzy w celu wybudowania kościoła, a następnie szkoły, ośrodka zdrowia czy założenia wodociągów dla mieszkańców. Entuzjazm polskich misjonarzy w kreowaniu nowego sposobu życia powoli, lecz skutecznie wpływał na zmianę stosunku miejscowych ludzi, w odniesieniu do obcych początkowo im misjonarzy, ale także przełammywał opory w stosunku do zmiany dotychczasowego trybu życia. Opowieści te oraz podobne, zasłyszane od innych polskich misjonarzy odwiedzających nasz konsul w Sao Paulo, potwierdzały ich rolę, jako prekursorów nie tylko w szerzeniu wiary katolickiej, ale i popularyzacji współczesnego życia, na miarę drugiej połowy XX wieku.

Miasto Salvador, a właściwie Sao Salvador da Bahia jest stolicą stanu Bahia, którego mieszkańcy, w znakomitej większości pochodzenia afrykańskiego, wywodzą się od swoich niewolniczych przodków przywożonych



tutaj z Czarnego Kontynentu na plantacje bawełny, trzciny cukrowej i kakao. Nadaje to miastu dość specyficzny, afrykański charakter, gdyż, jeżeli spotyka się ciemnoskórych Brazylijczyków w Sao Paulo czy Rio de Janeiro, a nawet w miastach południowych, jak Kurytyba lub Porto Alegre, to stanowią oni tam niewielki procent mieszkańców i nie charakteryzują się tak ciemnym kolorem skóry, jak mieszkańcy Bahia. W Salvadorze nawet karnawał różni się od karnawału w większości miast brazylijskich, ze słynnym Rio na czele. Podczas gdy karnawał w Rio ma charakter widowiska typu show z kwalifikacją sportową, z ligami szkół samby (I i II liga), zwycięzcami i spadkowiczami, to w Salvadorze przebiega on na ulicy, przybierając charakter ludowego, kilkudniowego festynu, trwającego aż do wyczerpania się sił tańczących na ulicach miasta mieszkańców. Pamiętam, oglądając w telewizji transmisję z karnawału w Rio, kończącego się oficjalnie w całej Brazylii rankiem w Środę Popielcową, że na zakończenie programu spiker zadawał pytanie: „A co w Salvadorze...?” i pokazywał widzom bawiący się tłum w tym mieście. Ten sam widok pokazywano w czwartek, piątek i sobotę. Dopiero w niedzielę można było zobaczyć śpiących na ulicach lub zmęczonych uczestników karnawału w Salvadorze wracających do domu.

Dyskutując o historii Brazylii zwiedzaliśmy zabytki miasta, w tym forty obronne wzniesione w XVI i XVII wieku oraz kościoły i klasztory zbudowane w tym samym okresie, które zachowały się jeszcze do naszych czasów. Mając w pamięci historię Brazylii wiedziałem, że właśnie na plaży stanu Bahia, niedaleko dzisiejszego Porto Seguro (Bezpieczny port), dopłynął w 1500 roku portugalski odkrywca Pedro Alvarez Cabral i tam też rozpoczęły się historyczne dzieje tego wielkiego kraju. Najsłynniejszym kościołem w mieście jest Bazylika – Sanktuarium Senhor Bom Jesus do Bonfim (Dobrego Pana Jezusa od Dobrego Końca), w której znajduje się święty obraz przywieziony z Lizbony w 1745 roku i dla którego, w latach 1746 – 1754, Sanktuarium zostało zbudowane. W 1927 roku papież Pius XI nadał kościołowi godność bazyliki. Świątynia reprezentuje styl neoklasycy, natomiast portal wejściowy jest w stylu rokoko. Okazało się, że w czasie naszego pobytu zaistniał konflikt między proboszczem parafii, na terenie której znajdowało się Sanktuarium, a miejscowym biskupem, w rezultacie czego proboszcz został pozbawiony władzy duszpasterskiej, a czasowe obowiązki odprawiania mszy świętych i innych posług religijnych biskup powierzył polskim misjonarzom z parafii San Lazaro (św. Łazarza). Co prawda, nasz przewodnik nie wyjaśnił jasno przyczyn konfliktu, ale z pewnych wypowiedzi można się było domyśleć, że biskup nie chciał tolerować łączenia obrzędów katolickich i afrykańskich, na co pozwalał proboszcz. Podczas zwiedzania kościoła zauważyliśmy próby amatorskiej renowacji ścian. W celu nadania im „świeżego” wyglądu, zamalowano resztki starych fresków i malowideł z poprzednich wieków.

Ani państwo, ani Kościół nie miały pieniędzy na profesjonalną rewitalizację tych prawdziwych skarbów sztuki i historii. Przed kościołem stały kramy, gdzie tradycyjnie ubrane mieszkanki Bahii, *baiany*, sprzedawały pamiątki turystyczne i dewocjonaalia. Te tradycyjne ubiory, tak naprawdę były obrzędowymi strojami religii *candoble* mającej swoje korzenie w wierzeniach i religiach afrykańskich. Zwróciłem uwagę na białe stroje wyszywane ozdobnymi koronkami i charakterystyczne spódnice przypominające wzdęty balon lub stroje dam dworu w Wersalu z czasów Króla Słońce, Ludwika XIV, dzięki siatce z drutu, z tą różnicą, że spódnice *baian* rozszerzały się stopniowo od góry do dołu, podczas gdy suknie dam dworu były szerokie od bioder. Białe koronkowe bluzki pokryte były licznymi sznurami kolorowych koralików, zaś przeguby dłoni obwieszane szeregiem kolorowych bransolet. Głowy ozdabiały charakterystyczne turbany zrobione również z wstążeczek. *Baiany* sprzedawały różnokolorowe wstążeczki z napisem „Pamiątka z Sanktuarium”. Towarzyszący nam misjonarz wytłumaczył, że są to wstążeczki szczęścia. W momencie zawiązywania wstążeczki przez *baianę* na przegubie ręki należało pomyśleć o trzech życzeniach, które winny się spełnić, zanim zawiązana wstążeczka odpadłaby sama, gdyż nie wolno było jej zdejmować przed spełnieniem się życzeń. Oczywiście zastrzegł się, że są to tylko wierzenia ludowe, podobnie jak wróżby Cyganek i nie mają nic wspólnego z wiarą. W latach późniejszych zauważyłem, że na międzynarodowych targach turystycznych – niezależnie od kraju ich przeprowadzania – magnesem ściągającym turystów do stoiska brazylijskiego są właśnie *baiany* wiążące wspomniane wstążki. Mówiąc o strojach mieszanek Bahii, należy dodać, że w każdej szkole samby, podczas karnawału w Rio de Janeiro obowiązkowo musi istnieć grupa *baianas* oceniana oddzielnie przez jury konkursu. Aby nie sprawiać przykrości naszemu misjonarzowi, zamiast poprosić o zawiązanie wstążki kupiliśmy ich kilkanaście i zabraliśmy je ze sobą dla przyjaciół i znajomych.

Idąc główną ulicą w centrum miasta usłyszeliśmy dźwięki rytmu wybijanego na instrumentach perkusyjnych. Niedaleko, na małym placu zobaczyliśmy grupę młodych mężczyzn uderzającą rytmicznie w wysokie bębny, a jeden z muzyków miał instrument podobny do wysokiego łuku, ale trzymanego odwrotnie i grał na jego cięciwie. Był to, jak dowiedzieliśmy się później, jednostrunowy instrument zwany *birimbal*. Obok grupa tancerzy przedstawiała w rytm tej gry na bębnach *batukady*, coś w rodzaju walki albo zbiorowej gimnastyki artystycznej. Nasz nieoceniony misjonarz-przewodnik wyjaśnił, że jest to *capoeira*, czyli ekspresyjne wyrażenie kultury afrobrazylijskiej, mieszaniną muzyki, walki i sportu, bardzo popularne właśnie w tym regionie Brazylii. Pierwsza szkoła *capoeiry* została oficjalnie zarejestrowana w Salvadorze już

w 1932 roku. Obecnie sztuka *capoeiry* jest spotykana na całym świecie, zawędrowała także do Polski.

Inną cechą charakterystyczną miasta Salvador jest jego podział na miasto dolne i górne. W mieście ulice prowadzą w górę i w dół, zaś w samym centrum można tę różnicę poziomów pokonać tylko... windą. Olbrzymia, na kilkadziesiąt osób winda, zwana Lacerda, przewozi ludzi kilkadziesiąt metrów z poziomu dolnego na górny i odwrotnie. Dzięki księżom misjonarzom poznaliśmy różne aspekty życia tej „czarnej” stolicy Brazylii. Wrażenia omawialiśmy wieczorem jedząc przywieziony przez nas polski bigos i nie zapominając o towarzyszącym mu polskim trunku. Czas jednak nieubłaganie nas naglił, więc po kolejnym dniu pobytu podziękowaliśmy przemiłym misjonarzom za gościnę i udaliśmy się w dalszą podróż.

W drodze do naszego „kolejarza” w Sao Luis zwiedziliśmy Recife i Fortalczę, jako zwykli turyści, korzystając w pełni z usług biura turystycznego, takich jak odbiór z lotniska, dojazd do hotelu, zwiedzanie miasta i odwiezienie na lotnisko.

Recife, duże miasto portowe, liczące ok. 2 mln mieszkańców, położone nad Oceanem Atlantyckim, jest stolicą stanu Pernambuco i ważnym centrum finansowym i przemysłowym, stanowiącym strategiczny węzeł komunikacyjny. Dotyczy to szczególnie komunikacji lotniczej, gdyż tutejszy port lotniczy w latach osiemdziesiątych wykorzystywany był przez samoloty przylatujące z Europy do zatankowania paliwa przed dalszymi lotami na kontynencie południowoamerykańskim. W pierwszej połowie XVII wieku miasto i rejon przeżyło próby zawładnięcia przez Holendrów, u których służył polski generał artylerii, mianowany później admirałem, Krzysztof Arciszewski. Próby te zakończyły się jednak niepowodzeniem i Portugalczycy nadal sprawowali tu władzę. Z czasów historycznych zachowały się niektóre budowle i pałace, a także forty obronne, m.in. Fort de Sao Tiago das Cinco Pontas, zbudowany przez Holendrów ok. 1630 roku w celu obrony źródeł wody pitnej miasta. Obecnie mieści się w nim Muzeum miasta Recife. Wiele kościołów w mieście zostało zbudowanych w XVII i XVIII wieku. Z tego samego okresu lub nieco późniejszego pochodzą budynki instytucji publicznych, jak Stanowe Archiwum, Pałac Gubernatora, Teatr św. Izabeli, Pałac Sprawiedliwości i wiele innych. W Recife znajduje się najstarsza w Ameryce Łacińskiej synagoga z XVII wieku „Kahal Zur Israel”, gdzie mieści się obecnie Żydowskie Centrum Kulturalne Stanu Pernambuco. Publiczne targi znalazły swoje miejsce w starych, dziewiętnastowiecznych budowlach, takich jak Mercado de San José (Rynek św. Józefa) czy w byłej siedzibie Stanowego Urzędu Celnego. Natomiast w starym więzieniu stanowym, z XIX wieku, funkcjonuje Dom

Kultury. Te i inne zabytki mogliśmy poznać podczas rutynowego objazdu miasta położonego na trzech wyspach połączonych ze sobą wieloma mostami. Z tego powodu Recife jest nieraz nazywane „brazylijską Wenecją”.

Po intensywnie spędzonym dniu i powrocie do hotelu zmęczone dzieci prawie natychmiast zasnęły, natomiast ja, razem z żoną, poszedłem jeszcze na wieczorny spacer do centrum miasta. Na jednym z placów miejscowi malarze i rzeźbiarze wystawiali swoje prace dla przechadzających się, tak jak my, turystów. W pewnym momencie moją uwagę zwróciła płaskorzeźba charakterystyczna dla tego regionu Brazylii, przedstawiająca twarze ludzkie, zwierzęta i elementy zodiaku. Okazało się, że sprzedający był także jej autorem. Po dłuższej i interesującej rozmowie postanowiłem ją kupić. W tym momencie byłem bardzo zadowolony z zakupu, jako że nie zdawałem sobie sprawy, jakie będę miał z nią problemy w dalszej podróży. Płaskorzeźba była dość wąska (31 cm), ale długa (ponad 90 cm), co powodowało, że do żadnej walizki nie można było jej schować i przez cały okres podróży musiałem ją nosić w ręku. Patrząc na nią, wiszącą teraz w naszym domu, wspominam nieraz dyskusje z załogami samolotów, które nie chciały pozwolić, by zabrać ją na pokład, jako bagaż podręczny. Będąc w Recife nie mogliśmy sobie odmówić wyskoku do sąsiedniego miasta Olinda, która jest wpisana przez UNESCO na Listę Dziedzictwo Kulturalnego Ludzkości. Położone zaledwie 10 kilometrów od Recife miasto zachowało w swojej starej części kolonialny charakter ubiegłych wieków ze swoimi parterowymi domami, wąskimi uliczkami i górującymi nad nimi kościołami. Z ciekawością obejrzelśmy zabytkowe kościoły i z nie mniejszą uwagą Muzeum Afrykańskich Wierzeń mieszczące się nieopodal katedry. Jak już wspominałem przy okazji pobytu w Salvadorze, jest to typowa forma współistnienia i współżycia religii katolickiej i wierzeń afrykańskich przywiezionych przez niewolników sprowadzanych z Czarnego Lądu, powodujących silne przenikanie elementów tych wierzeń do ceremonii mszy. Tak np. istnieje podwójne nazewnictwo tych samych świętych zgodnie z religią *candoble* i religią katolicką. Tej tematyce poświęcona jest olbrzymia literatura dotycząca nie tylko Brazylii, ale i innych krajów, prowadzona przez badaczy całego świata, którą polecam czytelnikom.

Przylot do Fortalezy sprawił niespodziankę dzieciom. Na lotnisku przebywała ekipa telewizyjna bardzo popularnego programu dziecięcego „Magiczny Balon”, nadawanego na TV Globo, największym kanale telewizyjnym w Brazylii i jednym z największych na świecie. Dzieci były zachwycone mogąc zapoznać się i rozmawiać z jego bohaterami. Ale ich radość trwała krótko, ponieważ już oczekiwał nas samochód biura podróży, który zawiózł nas do hotelu. Czekala tam nas kolejna niespodzianka. Byłem ciekawy,

za co dopłacałem w ostatniej chwili pieniądze za wynajęcie pokoju w tym hotelu. Zgłosiliśmy się do recepcji i po przedstawieniu się usłyszałem nagle: „A pan Lichota. Apartament prezydencki czeka”. Rzeczywiście czekał, na ostatnim piętrze, z oddzielnym salonem oraz z cudownym widokiem na zatokę i plaże miejskie Fortalezy. Za taki apartament i takie widoki warto było dopłacić, no i w końcu mieliśmy także rzadką satysfakcję: spaliliśmy w prezydenckim apartamencie i chociaż przez jedną noc mogliśmy się poczuć jak para VIP-ów. Na parterze hotelu zauważyliśmy mnóstwo gości, przeważnie starszych mężczyzn stojących i żywo dyskutujących ze sobą. To, co nas uderzyło na pierwszy rzut oka, to był ich wygląd – byli po prostu obwieszani złotem. Łańcuchy, łańcuszki, bransolety, kolczyki, nie mówiąc już o złotych zegarkach błyskających podczas ruchów rąk. Zaskoczony podszedłem ponownie do recepcji i cichym głosem zapytałem, czy mamy do czynienia z jakimś nadzwyczajnym wydarzeniem. Również szeptem dyżurny recepcjonista poinformował, że w hotelu ma miejsce narodowy, brazylijski kongres masonerii. Praktycznie cały hotel był zajęty przez jego uczestników, dlatego też zapewne biuro podróży zarezerwowało dla nas wspomniany apartament prezydencki.

Podczas pobytu, szczególnie podczas posiłków, spotykaliśmy uczestników kongresu przechadzających się i rozmawiających z ożywieniem. Byli bardzo sympatyczni wobec naszych dzieci, dzięki czemu dostawały one dodatkowe łakocie i były głaskane po swoich jasnych główkach, którymi wyróżniały się zdecydowanie wśród przebywających gości hotelu. Niestety, dla mnie, obrady kongresu były zamknięte i nie sposób było dowiedzieć się o tematyce obrad i ich przebiegu. W naszej obecności rozmówcy wykazywali się dużą elokwencją, ale nie na tematy mnie interesujące.

Zostawiliśmy więc hotel i ruszyliśmy na zwiedzanie miasta, będącego stolicą stanu Ceará, jednego z najbiedniejszych stanów brazylijskich. Jednakże, jak nam wyjaśniano, podczas nieformalnych rozmów z mieszkańcami miasta, ta biedota i nędza dotyczy głównie interioru stanu, nazywanego *agreste*, nawiedzanego przez długotrwałe susze, o czym wspominałem już uprzednio. Sama Fortaleza, położona na brzegu Oceanu Atlantyckiego, mająca ciepły i łagodny klimat oraz wspaniałe plaże, była i jest bardzo licznie odwiedzana przez turystów zarówno z Europy, USA, jak i brazylijskich. Można to było zaobserwować spacerując wzdłuż zatoki i przechodząc koło kolejnych hoteli, z których wylewał się nieprzerwanie różnorodny tłum. Dzięki zostawianym przez nich pieniądzom standard życia miejscowej klasy średniej i wyższej nie odbiegał poziomem życia od Rio de Janeiro czy Sao Paulo. O biedzie i nędzy przybyszy z *agreste* stanu mogliśmy się przekonać zwiedzając miasto i widząc ludzi zebrzących przed kościołami. Porównując ich łachmany z bogatymi

strojami naszych sąsiadów z hotelu, widzieliśmy naocznie przed sobą dwa, tak różne, oblicza rzeczywistości brazylijskiej. Ze świadomością istniejącej niesprawiedliwości społecznej udaliśmy się w dalszą podróż.

Następnym etapem podróży była stolica kolejnego stanu brazylijskiego Maranhao, miasto Sao Luis do Maranhao. Jest ono jednym z trzech stolic stanowych Brazylii, które jest położone na wyspie. Pozostałe to Florianopolis – stan Santa Catarina i Vitoria – stan Espirito Santo. Sao Luis do Maranhao jest znane przede wszystkim ze starej architektury. Mimo że założone przez Francuzów w 1612 roku, zdobywane później przez Holendrów, uważane jest za najbardziej portugalskie miasto w Brazylii, gdyż zostało zbudowane według portugalskiego stylu kolonialnego z XVIII i XIX wieku. Zachowały się stare, piękne, kolorowe rezydencje trzy- i czteropiętrowe, ze ścianami wyłożonymi tradycyjną niebieską glazurą, kolorowe, wąskie uliczki, stare kościoły z XVII wieku z pięknymi ołtarzami. Miejscowa ludność to prawdziwa mozaika etniczna i kulturowa, potomkowie Francuzów, Holendrów i Portugalczyków, a także afrykańskich Murzynów i miejscowych Indian. W 1997 roku Sao Luis zostało wpisane przez UNESCO na Listę Dziedzictwa Kulturalnego Ludzkości.

O tym wszystkim czytałem w samolocie lecąc do tego miasta w oczekiwaniu, że będę mógł wkrótce zobaczyć to na własne oczy oraz poznać słynne piaskowe plaże z wydmami dochodzącymi do Atlantyku. Na lotnisku w Sao Luis czekał na nas Janek Nowakowski i na moje pytania o możliwość zwiedzania miasta, nie tylko odpowiedział twierdząco, ale zapowiedział również inne niespodzianki, w tym wyprawy krajoznawcze. Jako jeden z dyrektorów firmy z Sao Paulo, budującej Kolej Transamazońską, mieszkał w oddzielnym domku, który stał się również naszym domem na czas pobytu, a jego gospodarze stworzyli tak miłą rodzinną atmosferę, że później dzieci nie chciały jechać dalej.

W tym samym dniu zwiedziliśmy miasto i jego zabytki, które zrobiły na nas większe wrażenie niż opisy przeczytane wcześniej. Następnego dnia, w ramach niespodzianki, Janek zawiózł nas na budowę kolei żelaznej, która miała przechodzić przez niezaludnione tereny Amazonii i przynieść za sobą cywilizację, budowę osiedli ludzkich i lokalnego przemysłu. W ten sposób powstałyby załączki gospodarcze całego regionu. Stojąc na kilometrze „zero” linii kolejowej, gdzie zrobiliśmy pamiątkowe zdjęcie, patrzyliśmy na, rozciągającą się aż po horyzont, dżunglę, gdzie znikwały kolejne kilometry szyn. Wtedy zdaliśmy sobie sprawę z ogromu zadań i trudów czekających na budowniczych tej linii kolejowej. Jednocześnie poczułem się dumny, jako Polak, że mój rodak uczestniczy w tym dziele i to nie, jako prosty robotnik,



Autor na kilometrze „0” budowanej Kolei Transamazońskiej w stanie Sao Luis



Autor na drodze w dżungli tzw. Transamazonica w pobliżu hydroelektrowni, Tucuruí

lecz inżynier i jeden z jej głównych konstruktorów. Zauważyłem zresztą, z jakim szacunkiem odnosili się do Janka zarówno inni kierownicy budowy, jak i zwykli robotnicy układający tory. W drodze powrotnej, wiodącej brzegiem oceanu przejeżdżaliśmy obok prywatnej rezydencji byłego gubernatora Maranhao i późniejszego prezydenta Brazylii, José Sarneya. Widok z szosy był imponujący. Schowany za wysokim, kamiennym murem i szpalerem palm, rozległy pałac krył przed ciekawskim wzrokiem przechodniów swoje wspaniałe wnętrza, które można było sobie wyobrazić na podstawie ogromu zabudowań. Jeszcze raz odczułem siłę kontrastu w tych rejonach Brazylii, podziwiając pałac i patrząc jednocześnie na nędzne lepianki okolicznych mieszkańców.

Nasz gospodarz przytoczył nam dowcip opowiedziany przez jego brazylijskich współpracowników. Ponieważ on sam przyjechał do nich z Sao Paulo, zadano mu pytanie, czym się różni korupcja w Sao Paulo, czy też w południowych stanach Brazylii, od korupcji w północno-wschodnich regionach kraju. Ponieważ jako cudzoziemiec zwlekał dyplomatycznie z odpowiedzią, pytający sami na nie odpowiedzieli. Według nich, na Południu, zamieszkałym w dużej mierze przez imigrantów z Europy, rządzący przywłaszczają sobie „tylko” 50%, publicznych pieniędzy, podczas gdy na Północy wskaźnik ten dochodzi do 80-90%. Stąd, ich zdaniem, jest to przyczyna zacofania tej części Brazylii w stosunku do pozostałych regionów. Inny dowcip dotyczył kwestii samochodów jeżdżących po Sao Luis bez tablic rejestracyjnych (faktycznie było ich wiele, na co sam zwróciłem uwagę). Otóż, po pierwsze, miasto nie ma pieniędzy na zatrudnienie pracownika wydającego tablice, a po drugie, podczas częstych napadów na banki trudno zidentyfikować pojazdy przestępców z powodu braku tablic rejestracyjnych. Przy takich i podobnych opowieściach spędzaliśmy wieczory delektując się miejscowymi przysmakami tj. głównie rybami i *frutos do mar* podawanymi z ryżem i warzywami. Gdy wreszcie przyszedł dzień wolny od pracy dla naszego gospodarza, wybraliśmy się na słynne wydmy i plaże atlantyckie, aby zażyć wymarzonej, szczególnie przez dzieci, kąpeli w oceanie. Mimo że wszyscy byli gotowi od samego ranka, gospodarz jakoś dziwnie odwlekał chwilę wyjazdu i raz po raz sprawdzał godzinę na zegarku. Ponieważ słońce zaczęło już mocno doskwierać, dzieci zaniepokoiły się, że z plaży nic nie będzie, ponieważ gospodarz ciągle patrzył na zegarek. Niespodziewanie dał sygnał do wyjazdu. Samochód, po drodze na plażę, wjechał na most nad, wydawało się, wyschniętą rzeką, gdzie na dnie, ku naszemu zdziwieniu stały dwa duże kutry rybackie. Po suchym korycie rzeki biegały dzieci i coś zbierały z jego powierzchni. Janek poprosił nas o zapamiętanie tego widoku, po czym pojechaliśmy dalej. Najpierw szosą nad wysokim



brzegiem, później, w pewnym momencie, zjechaliśmy na plażę, aby dalej jechać już po piasku. Widok był niesamowity. Jak okiem sięgnąć rozciągała się plaża z białego piasku, tworząc w niektórych miejscach różnego kształtu i wysokości wydmy. Kiedy wreszcie samochód stanął, zaczęliśmy protestować, dlaczego stoi tak daleko od wody, bo dzieliło go od niej prawie 300 metrów. Gospodarz był jednak nieugięty, co do miejsca postoju, więc, chcąc nie chcąc, zabraliśmy nasze kłamoty i po parzącym stopy piasku podreptaliśmy nad sam brzeg oceanu. Woda była cudownie ciepła i relatywnie płytka, łagodnie i stopniowo stawała się głębsza, toteż bez obawy patrzyliśmy na szalejące w wodzie dzieci. Sami też nie próżnowaliśmy kapiąc się i biegając po plaży. Przypomniało to mi karaibskie plaże na Kubie w Varadero, tylko, w odróżnieniu od tamtych plaż, wokół nas nie było żadnego człowieka, tylko piasek i woda. W pewnym momencie Janek ponownie spojrzął na zegarek i zarządził powrót do samochodu. Dzieci jeszcze chciały się bawić, ale widząc szybko nadchodzący przypływ żwawo pospieszyliśmy do auta, które niespodziewanie znalazło się blisko nas. Droga, którą przyjechaliśmy rano była już teraz zalana wodą i Janek innym, znanym sobie przejazdem wydostał się na wysoki brzeg, skąd rozciągał się cudowny widok na bezkresny ocean bez najmniejszego paska plaży. W samochodzie opowiedział nam o niefrasobliwych turystach, którzy podjeżdżali samochodami w czasie odpływu nad samą wodę i nie mieli później czasu, aby uciec nimi od przypływu. Zostawiali więc samochody i ratowali się sami. Dopiero po kolejnym odpływie mogli spróbować odnaleźć swoje pojazdy i odholować je razem z pozostawionym przez wodę piaskiem. Słuchając tych opowieści wracaliśmy do domu i znowu przejeżdżaliśmy przez most. Ku naszemu zdziwieniu woda prawie go zalewała, a stojące przedtem na dnie kutry spokojnie kołysały się na falach. Janek znowu wyjaśnił nam, że most jest zbudowany nad ujściem wody, która pojawia się właśnie przy przypływach oceanu. Ponieważ lokalna prasa podaje dokładnie godziny tego zjawiska, stąd też „marudzenie” przed wyjazdem, aby móc przejechać mostem, kiedy nie będzie wody. Okazało się, że dzieci wcześniej widziane, chodzące po suchym dnie zbierały po prostu przyniesione przez wodę kraby, aby później zanieść je do domu lub sprzedać na lokalnym targowisku. Pełni wrażeń, zmęczeni, ale szczęśliwi położyliśmy się wcześniej spać, gdyż następnego dnia czekał nas kolejny etap podróży, w głąb dżungli amazońskiej.

Kolejny lot, tym razem do Belem, stolicy stanu Para, otworzył przed nami na oścież główną bramę wjazdową do Amazonii. W Belem zamierzaliśmy przesiąść się na statek, aby drogą wodną dostać się do miasteczka Tucuruí, gdzie na budowie olbrzymiej elektrowni wodnej, trzeciej co do wielkości na świecie w owym czasie, w samym sercu dżungli amazońskiej, pracował nasz kolejny przyjaciel, też inżynier, Bolek Matuszewski. Na dworcu lotniczym



Autor z inż. Bolesławem Matuszewskim na budowie hydroelektrowni w Tucurui



Autor z rodziną i Janeczką Matuszewską na tle zapory wodnej w Tucurui

czekał na nas jego wysłannik, który, ku naszemu zaskoczeniu, poinformował nas, że... nie popłyniemy, lecz polecimy do miejsca przeznaczenia. Jak nam wyjaśnił, podróż statkiem, mimo, że wydawała się atrakcyjna, trwałaby 2 do 3 dni, co z uwagi na limitowany okres naszych wakacji skróciłaby do minimum nasz pobyt w Tucuruí, o czym gościnny gospodarz nie chciał słyszeć. Wykorzystując fakt, że byliśmy już na lotnisku, poszliśmy na odprawę samolotu do Tucuruí. I tu spotkała nas nowa niespodzianka. Samolot, którym mieliśmy lecieć nie był normalnym samolotem, lecz małą awionetką dla 12 pasażerów i z bagażem ograniczonym do 10 kg dla pasażera. Miejsca były zarezerwowane, ale bagażu wg okrojonych norm mieliśmy za dużo. Zaczęły się długie negocjacje z obsługą lotniska, która na początku była absolutnie nieugięta i nie chciała ustąpić i odprawić nas z całym bagażem. Ze względu na dzieci, my również zajęliśmy niezłomne stanowisko. W przewyciężeniu zaistniałego problemu pomógł nam, jak zwykle, przypadek. I choć tego nie chciałem robić, bo byłem przecież w podróży prywatnej, jako ostatniego argumentu użyłem mojej legitymacji dyplomatycznej. I nagle w odpowiedzi usłyszałem: „O, to pan konsul, ja pana widziałem w telewizji”. I sprawa była załatwiona. Okazało się, że w krajowym wydaniu dziennika telewizyjnego, rok wcześniej, byłem sfilmowany w momencie przyjmowania w konsulacie delegacji związkowców brazylijskich protestujących przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce. Co znaczy potęga telewizji! Ponieważ do wylotu samolotu pozostawało trochę czasu, wykorzystaliśmy uprzejmość naszego wysłannika i razem pojechaliśmy zobaczyć miasto, które swoją nazwę zawdzięcza Portugalczykom. Ślady po ich kolonizacji są widoczne szczególnie w starym centrum. Spotykane już uprzednio dekoracyjne, niebieskie, glazurowe płytki z XVII wieku, zdobiące fasady domów, rezydencji i pałaców urzekały nas swoim pięknem. Fort Castelo, Katedra Wiary i Bazylika Nazaretańska również były zbudowane przez Portugalczyków. Najciekawszym, zwłaszcza dla dzieci okazał się Rynek Miejski, na którym można było kupić wszystko to, co było produkowane lub zbierane w regionie tj. owoce, warzywa, zioła z dżungli, a także wyroby rękodzielnicze produkowane przez lokalnych artystów. Niezwykle interesujące było Muzeum Emilio Goeldi, które jest muzeum tylko z nazwy, bo w rzeczywistości jest to wielki teren porośnięty drzewami, na którym znajduje się ogród zoologiczny ze wszystkimi okazami fauny amazońskiej. Bardzo chcieliśmy go zobaczyć, ale konieczność powrotu na lotnisko nie pozwoliła nam na to. Start naszej awionetki miał miejsce wczesnym popołudniem. Dzięki temu mogliśmy obserwować z niewielkiej wysokości niezmiernie poławie zielonej dżungli amazońskiej rozpościerającej się przed naszymi oczami. Z racji honorowego potraktowania nas przez ekipę lotniskową

zajmowaliśmy miejsca tuż za kabiną pilotów, która przez cały czas lotu była otwarta. Skorzystały z tego natychmiast dzieci, zwłaszcza Jaś, aby wejść do niej i wypytywać pilotów o sposób kierowania samolotem. Piloci bardzo chętnie odpowiadali na pytania, a nawet jeden z nich posadził sobie Jasia na kolanach i uczył go sterować. W międzyczasie, patrząc w dół na zieloną dżunglę z wijącą się między drzewami rzeką, którą mieliśmy płynąć, przychodziły mi do głowy całkiem niewesołe myśli. Gdyby to nasze latające maleństwo musiało gdzieś w tej zielonej gęstwinie wylądować awaryjnie, to raczej należałoby liczyć na cud, żeby nas odnaleziono. Złe myśli przegonił przepiękny zachód słońca, a nadchodzący zmrok sprawił, że nic już nie było widać, zdaliśmy się więc w pełni na umiejętności pilotów i wytrzymałość awionetki.

Na lotnisku w Tucurui czekał na nas gospodarz, Bolek Matuszewski, który ze swoim specyficznym humorem i precyzją inżynierską kazał nam się załadować do samochodu. Ruszyliśmy do jego domu, gdzie mieliśmy spędzić kilka najbliższych dni. Po drodze wyjaśnił, że Tucurui oznacza w tym momencie dwa pojęcia: starą miejscowość o tej nazwie oraz miejsce budowy hydroelektrowni o mocy 8 tysięcy megawatów, drugiej, co do wielkości w Brazylii, po hydroelektrowni Itaipu na granicy brazylijsko-paragwajskiej. Budowa była oddalona od miasteczka i nie wolno było na jej teren wejść ani wjechać bez przepustki lub specjalnego zezwolenia. Około 30 tysięcy osób zatrudnionych bezpośrednio przez głównego wykonawcę, firmę brazylijską Camargo Coreia, przewyższało wielokrotnie liczbę mieszkańców miasteczka. Słuchając tych wyjaśnień dojechalśmy do bramy wjazdowej na budowę, ochranianej przez uzbrojonych w długą broń wartowników. Po starannym wylegitymowaniu się brama otworzyła się i wjechaliśmy do miasteczka specjalnie zbudowanego dla pracowników budowy, aby wkrótce stanąć przed domkiem „pana inżyniera”, gdzie z gorącą kolacją czekała na nas Janeczka, towarzysząca życiu Bolka, z którą zawarł oficjalne małżeństwo w Konsulacie Generalnym RP w Sao Paulo, kilka lat później.

Przy kolacji Bolek wprowadził nas w specyfikę miejscowego środowiska, abyśmy wiedzieli jak i gdzie się poruszać bezpiecznie. Wyjaśnił także drobiazgowo sprawdzanie przy wjeździe. Dzień wcześniej, jeden z pracowników budowy, podczas pobytu w mieście Tucurui, potrafił samochodem pijanego mieszkańca, z winy tego ostatniego. Ofiara wypadku zmarła i miejscowi zapowiedzieli zemstę. Na wszelki wypadek, dyrekcja budowy, w porozumieniu z lokalną policją, przewiozła niewinnego kierowcę na plac budowy, aby uniknąć dalszych konfliktów z lokalną ludnością. Zdecydowana większość ludzi pracująca na budowie pochodziła z centralnych i południowych stanów Brazylii. Dotyczyło to zwłaszcza kadry inżynierskiej i wykwalifikowanej siły roboczej.

Za pracę w trudnych warunkach, oddaleniu od miejsc zamieszkania, otrzymywali oni bardzo wysokie wynagrodzenie, o wiele wyższe niż w swoich stałych miejscach pracy. Kompensując warunki izolacji od cywilizacji, zbudowano tu, w latach siedemdziesiątych, prawdziwe miasteczko z pełną infrastrukturą tj. szpitalem, szkołami, sklepami i supermarketem, a nawet kinem. Później powstało jeszcze centrum sportowe z basenem i kortami tenisowymi oraz klub, gdzie odbywały się różnego rodzaju imprezy i koncerty. Warunki te były dodatkowym bodźcem dla ściągnięcia kadr w głąb amazońskiej dżungli. Bolek wyjaśnił także, że budowę zapory rozpoczęła w 1976 roku tylko jedna firma brazylijska, w odróżnieniu od Itaipu, którą budowało konsorcjum firm brazylijsko-paragwajskich, wspieranych przez kapitał międzynarodowy. Bolek pracował w tym czasie w Sao Paulo w firmie Camargo Correa, która budowała tę zaporę i hydroelektrownię, i został oddelegowany służbowo do pracy. Był odpowiedzialny za Wydział Elektryczny budowy, kierując pracami zespołu liczącego ok. 300 osób. W chwili naszego pobytu, w 1983 roku, zaczęła już funkcjonować pierwsza z dwunastu turbin przyszłej hydroelektrowni, którą uruchomiono w pełni w 1986 roku, kiedy osiągnęła moc 7960 MW, aby po modernizacji w 2006 roku osiągnąć moc 8370 MW, co stawia ją aktualnie na czwartym miejscu na świecie. Jest ona prawie równa mocy trzech największych elektrowni ciepłych w Polsce tj. Bełchatowa, Kozienic i Turowa razem wziętych. W wyniku budowy zapory powstało największe sztuczne jezioro w Brazylii o powierzchni 2430 km<sup>2</sup> i pojemności 45 mld m<sup>3</sup> wody (Największe jezioro w Polsce, Śniardwy zajmuje powierzchnię 113,4 km<sup>2</sup>). Stało się to na skutek zalania wodą części dżungli amazońskiej, skąd wcześniej wycięto najcenniejsze gatunki drzew. Podobno przy tej operacji popełniono szereg gigantycznych nadużyć, ale sprawców nie udało się ustalić. W czasie naszego pobytu Bolek zaprogramował wycieczkę do słynnej drogi Transamazonica, przecinającej całą dżunglę amazońską i oczywiście zwiedzanie samej zapory i jeziora, jak również małego ZOO zorganizowanego przez samych budowniczych ze schwytanych przez siebie okazów miejscowej fauny. Mogliśmy także korzystać ze sportowego centrum mającego baseny i korty tenisowe. Po znakomitej kolacji, nafaszerowani wiadomościami o czekających nas wycieczkach udaliśmy się na spoczynek i, mimo grających cykad oraz odgłosów pobliskiej dżungli, zapadliśmy w głęboki sen.

Rankiem okazało się, że nastąpiła jakaś awaria na budowie i Bolek zamiast nam towarzyszyć w programie pobytu musiał pilnie pojechać na miejsce awarii, aby pokierować jej usunięciem. W tej sytuacji udaliśmy się wraz z Janeczką do centrum sportowego na basen. Dzieciaki zaczęły w nim szaleć. Żona wraz z Janeczką siedząc na jego brzegu rozmawiały, bacznie obserwując dzieci,

a ja po kąpielni zastanawiałem się, co robić dalej. Nie doceniłem jednak Boleka. Zmienacka podszedł do mnie jakiś młody człowiek i upewniwszy się, że rozmawia ze mną, przedstawił się i poinformował, że „pan inżynier” polecił mi, aby zagrał ze mną w tenisa. Po takiej prezentacji, nie pozostawało mi nic innego jak wziąć raketę do ręki i zmierzyć się z nim na korcie. Była to najdziwniejsza partia tenisa, jaką zagrałem w życiu. Rozpoczęliśmy grać około południa, co uwzględniając miejsce spotkania, czyli praktycznie równik, oznaczało to godzinę niesamowitego upału i brak jakiegokolwiek skrawka cienia czy podmuchu wiatru. Po dwóch-trzech gemach miałem już serdecznie dosyć gry i gdybym grał z Bolekiem, na pewno bym ją przerwał i zaproponował pójście do baru na zimne piwo lub powrót do basenu. Jednakże, ambicja przeważyła i grałem dalej, aby nie zblaznić się przed młodym Brazylijczykiem. Sądzę, że po drugiej stronie miało miejsce to samo uczucie tj. chęć spełnienia polecenia zwierzchnika oraz nieustąpienia cudzoziemcowi. Rezultat był taki, że graliśmy zażarcie gem za gemem zwyciężając na przemian. Doszedłem już do takiego stanu, że było mi wszystko jedno, kto zwycięży, marzyłem tylko, aby ten mecz się skończył. I oczywiście się skończył, jednakże dzisiaj nie pamiętam, kto wygrał na korcie, bo poza nim na pewno zwyciężyła przyjaźń polsko-brazylijska potwierdzona zimnym piwem w lokalnym barze. Wieczorem, po kolacji, kiedy zmęczone całodzienna zabawą dzieci położyły się spać, siedliśmy sobie wygodnie na werandzie domu, aby spokojnie wymienić poglądy na temat kończącego się dnia. Bolek opowiedział nam o awarii, której musiał stawić czoła i która została usunięta, ja natomiast o mojej grze w tenisa w tropikalnym słońcu. Wykorzystując atmosferę swobodnej rozmowy zapytałem o początek znajomości naszych gospodarzy, gdyż wiedziałem tylko tyle, że poznali się już w Brazylii. Nie spodziewałem się, że na tak niewinnie postawione pytanie usłyszymy wręcz niesamowitą opowieść o historii życia dwojga Polaków, którzy po wielu osobistych przejściach znaleźli we wspólnym życiu drogę do rodzinnego szczęścia. Janeczka, rodowita warszawianka z Ochoty, będąc kilkunastoletnią dziewczyną brała aktywny udział w Powstaniu Warszawskim jako łączniczka, a także, dzięki przeszkoleniu w udzielaniu pierwszej pomocy, jako sanitariuszka. Aresztowana przez Niemców po tygodniu, w ulicznej łapance, trafiła po przejściu kilku izb zatrzymań do obozu przejściowego w Pruszkowie, gdzie również znaleźli się inni bojownicy z Powstania. Wywieziona do Niemiec, przebywała w kilku miejscowościach, z których zapamiętała szczególnie marsz na bosaka (buty po prostu się rozpadły) po kocich łbach ulic w Strasburgu, zakończony nogami poranionymi do tego stopnia, że musiały ją nieść koleżanki z transportu. Wszystkie trafiły do pracy w fabryce zbrojeniowej w Tübingen. Tam też zastał je koniec wojny.

W Tübingen poznała również swojego przyszłego męża – więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych, m.in. w Auschwitz i Dachau, z którym wzięła ślub w 1945 roku, w tej samej miejscowości. Rok po roku urodziła dwie córki i jak wychodziła z nimi na spacer to śmiało się z niej „że duże dziecko ma mniejsze dzieci”. Ponieważ mąż nie chciał wracać do komunistycznej Polski, ani zostać w Niemczech, zaczął się starać o wyjazd z Niemiec, podczas gdy Janeczka chciała wracać do Polski. Przeważała decyzja męża. Niektóre kraje zachodnie oraz Ameryki Południowej ofiarowały możliwość przyjęcia imigrantów do swoich krajów. Nie zdążyli przygotować odpowiednich papierów dla konsula Wenezueli, ale gdy były już gotowe, przedłożyli je konsulowi Brazylii i po otrzymaniu wiza wyjazdowej wylądowali w tym kraju. Przed samym wyjazdem udało jej się nawiązać kontakt z rodzicami, którzy przeżyli Powstanie i dalej mieszkali w Warszawie. W Brazylii, po krótkim pobycie na Ilha das Flores, gdzie znajdował się obóz imigrantów, zamieszkali w Salvadorze – stolicy stanu Bahia, gdzie mąż Janeczki jako budowlaniec znalazł dobrze płatną pracę w firmie Norberto Odebrecht. Niestety, wysoka pozycja i zarobki



Autor na tle katedry w Brasílii

z dziećmi samą i bez środków do życia. Pomocy przez pewien czas udzielała jej rosyjska rodzina – właściciele Klubu Angielskiego. Nie mogąc znaleźć pracy w Salvadorze przeniosła się do Rio, gdzie przez pewien mieszkała z dziećmi w skromnym hoteliku usiłując znaleźć stałą pracę. Przypadek sprawił, że kierownikiem hoteliku okazał się kolega męża z Niemiec, ożeniony z Portugalką. Za jego radą zdała w szpitalu egzamin pielęgniarstwa i dostała pracę w ambulatorium jednej z fabryk jako sanitariuszka. Po kilku latach przeniosła się do Sao Paulo, gdzie znalazła pracę jako opiekunka do starszych osób. Tam też spotkała Bolka. W tym momencie Bolek przerwał opowieść Janeczki tłumacząc to późną porą i zapowiedział, że ciąg dalszy nastąpi w kolejny wolny wieczór, po czym wszyscy udali się na spoczynek.

Następnego dnia, już razem z Bolkiem, jako przewodnikiem udaliśmy się na zwiedzanie budowy zapory i najbliższej jej okolicy. Jeżdżąc po koronie zapory, mającej 11 km długości mogliśmy podziwiać, patrząc z góry, dziesiątki olbrzymich wywrotek i ciężarówek jeżdżących po terenie budowy, które wywoziły ziemię lub przywoziły materiały budowlane. Między nimi, jak mrówki, kręcili się robotnicy z różnymi maszynami lub narzędziami w rękę. Prawie 80-metrowe, szare betonowe śluzy robiły niesamowite wrażenie, zwłaszcza w porównaniu z jedną, z której tryskała woda spadając z wysokości do przyszłego, nowobudowanego koryta rzeki. Z drugiej zaś strony rozpościerała się niezmierna, po sam horyzont wodna toń sztucznego jeziora, pokrywającego były leśne obszary dżungli. Gdzieś tam można było jeszcze dostrzec pływające pnie i konary drzew i krzewów. Nasz przewodnik opowiadał, że idea budowy hydroelektrowni na rzece Tocantins, położonej w odległości 400 km od Belem, miała na celu wykorzystanie wodnego potencjału rzeki oraz stworzenie bazy energetycznej dla rozwoju gospodarczego całego regionu. Turbiny dla hydroelektrowni były produkowane w Brazylii i Francji, po sześć z każdego kraju. Następnie ruszyliśmy na spotkanie drogi transamazońskiej. Kiedy wjechaliśmy na szeroką, nieutwardzoną drogę między szpalerami drzew i krzewów zapytałem zdziwiony: „To ma być słynna Transamazonica?”. Wszystkowiedzący Bolek zaczął wyjaśniać, że moje wyobrażenie o autostradzie są słuszne, ale dotyczą dalekiej przyszłości, natomiast na razie na tym odcinku jest to po prostu wycięty w dżungli pas drogi oczyszczony z drzew, krzewów i innych naturalnych przeszkód, po którym można jeździć, chyba, że... jest pora deszczowa i wtedy bywa ona nieprzejezdna, nawet dla wielkich ciężarówek. Znajdując się, tak blisko, prawdziwej, dziewiczej amazońskiej dżungli, nie mogłem oprzeć się pokusie, aby nie spróbować podejść do niej i wejść w jej gąszcz. Wyszliśmy więc z samochodu stając na czerwonej ziemi drogi (charakterystyczny kolor z uwagi na zawartość minerałów rudy



żelaznej) i podeszliśmy do zielonej ściany lasu. I to było wszystko, na co mogliśmy sobie pozwolić. Między drzewami na różnych wysokościach rozciągały się liany, a od ziemi wyrastały jakieś kolczaste krzewy, które udaremniały jakąkolwiek próbę wejścia do środka lasu. Bez użycia maczety nie można było wejść w tę zieloną gęstwinę. Dbający o nasze bezpieczeństwo Bolek odradził nam jednak flirt z maczetą i próbę wtargnięcia do środka, gdyż nie wiadomo było, jakie niebezpieczeństwa kryją się we wnętrzu. Chodziło głównie o jadowite węże i skorpiony będące tutaj normalnością. Liznąwszy tylko przez moment pełnej egzotyki, wsiedliśmy z powrotem do samochodu i wróciliśmy do kobiet i dzieci spędzających miło czas na basenie.

Zgodnie z obietnicą wieczorem przyszła kolej na opowieść Bolka. Urodzony w nowosądeckim, uczęszczał do szkoły podstawowej i średniej we Wrocławiu, gdzie ukończył też Wydział Elektryczny Politechniki Wrocławskiej. Na studiach nie tylko wyróżniał się w nauce, ale i w sporcie, będąc m.in. reprezentantem Politechniki w drużynie koszykarskiej. Zgodnie z wykształceniem rozpoczął pracę w Fabryce „Jelcza” w Wrocławiu, aby później przenieść się do Olsztyna. Tam też spotkała go przygoda, która zmieniła jego życie. Na prośbę krewnych zajął się pewną starszą panią z Brazylii, która chciała poznać okolice Olsztyna. Bolek towarzyszył jej w podróżach po całym regionie Warmii i Mazur. W ramach podziękowania obiecała go zaprosić do Brazylii. Bolek jednak odmówił i uczynił to ponownie, kiedy przyszło oficjalne zaproszenie z Brazylii. Kiedy jednak zaproszenie przysłał syn owej Brazylijki postanowił zaryzykować i wyjechać. Mimo pewnych problemów z otrzymaniem paszportu wsiadł na statek PLO, którym dopłynął do Santos, najbliższego portu koło Sao Paulo – miasta, w którym miała się dla niego rozpocząć nowa karta w historii jego życia. Był rok 1975. Po zapoznaniu się z warunkami panującymi w Brazylii postanowił znaleźć pracę, zarobić trochę pieniędzy i wrócić z nimi jako człowiek sukcesu do Polski, aby się tym pochwalić przed rodziną i znajomymi, a przede wszystkim przed ojcem, b. członkiem AK. Dzięki naukom ojca i wychowaniu w szkole miał wpojone zasady, że ludzi należy traktować równo, bez względu na kolor skóry, wyznanie czy status społeczny. Przestrzegając tych zasad Bolek wyrobił sobie szacunek i uznanie w wieloetnicznym i zróżnicowanym społeczeństwie brazylijskim. Początkowo zaczął pracę w firmie prowadzonej przez Polaków, ale po opanowaniu podstaw języka portugalskiego, za ich radą, przeszedł do firmy brazylijskiej, w której, dzięki swojej fachowości w zakresie urządzeń elektrycznych, szybko awansował. Już jako uznany specjalista został zwerbowany do pracy przez największą firmę budowlaną w kraju, Camargo Correa, specjalizującą się w budowie wielkich hydroelektrowni. Stąd trafił na budowę w Tucuruí,



Autor przed siedzibą brazylijskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych  
– Itamaraty w Brasilii



Siedziba Kongresu Narodowego Brazylii:  
Izby Deputowanych i Senatu w stolicy kraju Brasilii

najpierw projektując jej systemy elektryczne i automatyczne, a później wysłany na plac budowy w celu ich wdrożenia.

„A Janeczka, która siedzi z nami przy stole – jak się tu znalazła?” – zapytałem. Bolek tylko się uśmiechnął i stwierdził, że był to jeden z zasadniczych powodów pozostania przez niego w Brazylii. Poznali się w Sao Paulo w domu Brazylijki, która go zapraszała, gdyż jej syn był mężem jednej z córek Janeczki. Używając języka elektrycznego stwierdził, że „coś między nimi zaiskrzyło” i tak już zostało. Poznawszy trochę faktów z jej życia ujęło go to, że mimo przeżywanych trudności nie poddawała się żadnym przeciwnościom losu. Pragnąc zarobić na podróż do Polski, by odwiedzić rodzinę pracowała jako opiekunka starszych osób prawie przez całą dobę w kilku domach. Stała się też jego nauczycielką w doskonaleniu języka portugalskiego, a co za tym idzie, także towarzyszką życia w Brazylii. „I to jest odpowiedź na twoje pytanie” – zakończył wieczorną opowieść Bolek wzywając wszystkich do snu, gdyż następny dzień zapowiadał się bardzo atrakcyjnie i należało być wypoczętym.

Kolejny dzień pobytu zaczął się od pytań dzieci: „Kiedy pójdziemy zobaczyć ZOO?”. Nie było innej rady, jak tylko spełnić obietnice im dane zaraz po przyjeździe. Pojechaliliśmy więc znowu na teren budowy, gdzie w jednym zakątku mieściły się klatki ze zwierzętami i ptakami złowionymi przez samych budowniczych. Klatki były dość prymitywnie zrobione i, jak nam tłumaczył Bolek, dość często przebywające w nich okazy zmieniały miejsce pobytu przenosząc się z powrotem do pobliskiej dżungli. Dzieci były zachwycone. Przekrzykiwały się z różnokolorowymi papugami, które na ich widok jeszcze bardziej zaczęły podnosić swoje głosy i wrzaski. To samo miało miejsce przed klatkami z małpami, których było dużo i różnych gatunków. Kolibry i wielkie kolorowe motyle latały właściwie wszędzie, a tukany dostojnie siedziały na gałęziach. Największe wrażenie zrobił na dzieciach leniwiec. Jego spacer po klatce był wręcz niesamowity i nie dziwię się, że otrzymał taką nazwę. Powolne, pełne skupienia ruchy z dużymi przerwami były tak wolne i dostojne, że nie można było od niego oderwać oczu. Oddzielnie były zamknięte oceloty i aguti (zwierzaki podobne do szopów). Zdumienie wywoływał także mrówkojad, kiedy wyciągał swój długi, wąski język zbierając na nim mrówki. W innych klatkach mogliśmy podziwiać pancerniki, pekari i największego zwierzaka dżungli – tapira. Niestety, wśród zwierząt nie mogliśmy zobaczyć największego drapieżnika – jaguara. Należał on do tej grupy uciekinierów, którzy postanowili wrócić do swojego naturalnego środowiska. Natomiast mogliśmy podziwiać kilkumetrowego węża boa, zażywającego sjęsty po zjedzeniu jakiegoś królika. Pełni wrażeń wróciliśmy jeszcze do klubu sportowego, aby schłodzić przeżyte emocje w ciepłym, ale mokrym basenie.

Wycieczka do miasteczka Tucuruí przypominała nam film „Powrót do przeszłości”. Kiedy tam się znaleźliśmy nie bardzo wiedzieliśmy, w jakim wieku jesteśmy? Może to był wiek XIX czy koniec XVIII, ale na pewno nie XX. W rynku miasteczka usytuowane były wszystkie władze tj. prefekt, proboszcz i sędzia, w adekwatnych budynkach: prefekturze, kościele i sądzie. W zasadzie parterowe domy zgrupowane były przy jednej głównej ulicy, od której odchodziło, co prawda, kilka poprzecznych, ale już po kilkudziesięciu metrach kończyły się one w dżungli. Przy miejskiej przystani, bo raczej trudno było to nazwać portem, stał parostatek, jakby przeniesiony z książki „Chata wuja Toma”, z olbrzymim drewnianym kołem zamachowym. W odróżnieniu od kipiącej od ruchu i zgiełku budowy hydroelektrowni, atmosfera w miasteczku była senna i spokojna, a widziani przez nas jego mieszkańcy nie wykazywali najmniejszych przejawów pośpiechu czy gonitwy. Siedzieli przy piwie w kilku barach położonych przy głównej arterii miasta rozmawiając i przyglądając się z zainteresowaniem obcemu samochodowi zakłócającemu ich spokój. Mając na względzie ostatnie wydarzenia z wypadkiem samochodowym, nie zabawiliśmy długo w miasteczku i z pewną ulgą wróciliśmy do strefy budowy kontrolowanej przez jej ochronę. Jak mówi stare powiedzenie: „Wszystko, co dobre szybko się kończy”. I tak nasz urlop dobiegał końca i trzeba było wracać do pracy w Sao Paulo. Pożegnaliśmy Janeczkę i Bolka, obiecując sobie rychłe spotkanie, co nastąpiło dopiero po wielu, wielu latach w Warszawie. Podczas wznoszenia się samolotu z lotniska, w drodze do stolicy kraju, Brazylii, z rozrzewnieniem pomyśleliśmy, że nawet i tu w samym sercu dżungli amazońskiej zostawiliśmy jeszcze jednego rodaka, o którym wszyscy pracownicy budowy wiedzieli, że jest Polakiem i potrafili na mapie znaleźć jego ojczyznę. Jak już wspominałem do ponownego spotkania z Bolkiem i Janeczką doszło w Warszawie w 2010 roku, chociaż po drodze była moja wizyta u nich w 1988 roku, w Rio de Janeiro przy okazji pobytu z delegacją parlamentarną. Bolek pracował już wówczas w firmie British Petroleum Brascant, która skierowała go na budowę kopalni odkrywkowej cyny w Jacunda, położonej w sercu Amazonii. Już w Warszawie dowiedziałem się, że później jeszcze raz zmienił pracę zostając dyrektorem brazylijskiego oddziału Bank of Boston. Kiedy bank przechodził dwie poważne reorganizacje z uwagi na przejęcie go przez inny, większy bank amerykański Bolek postanowił odejść z pracy na bardzo korzystnych dla niego warunkach. Kolejnym etapem życia Bolka i Janeczki, towarzyszącej mu cały czas, było miasto Natal położone w północno-wschodniej części brazylijskiego wybrzeża. Za zarobione pieniądze zbudowali tam hotel dla turystów oraz restaurację. Ta ostatnia okazała się nieudaną inwestycją, ale dzięki dochodom z hotelu mogli prowadzić dość

wygodne życie. W wolnych chwilach Bolek zajmował się malarstwem i literaturą. Obrazy przedstawiały głównie motywy brazylijskie i portrety miejscowych ludzi. Napisał i wydał także książkę po portugalsku, w której oczywiście przeważały wątki polskie. Jednakże tęsknota za krajem rodzinnym i tropikalny klimat wpływający negatywnie na stan zdrowia Janeczki spowodowały, że podjęli wspólną decyzję o powrocie do Polski, co nastąpiło właśnie w 2010 roku. Od tego czasu utrzymujemy z nimi regularne kontakty.

Z racji obowiązków służbowych byłem już wcześniej w Brasili, ale przylatywałem tam samolotem zawsze w ciągu dnia. Po raz pierwszy mieliśmy tam lądować wieczorem, a właściwie nocą. Zbliżając się do lotniska mogliśmy z góry podziwiać fantastyczną gamę i linię światła, które rozmieszczone na najważniejszych budowlach Brasilii układały się w schemat miasta wyrysowanego przez Oskara Niemeyera, głównego architekta i w pewnym sensie twórcę stolicy. Kształt samolotu, jego skrzydła i ogon, Pałac Prezydencki, budynek parlamentu, dwuszeręg ministerstw, katedrę i wieżę telewizyjną widać było jak na dłoni. Przepiękny widok. Mając go w pamięci, po wylądowaniu udaliśmy się do naszej ambasady, gdzie zanocewaliśmy w pokojach gościnnych placówki. Następnego dnia, mając kilka godzin do odlotu do Sao Paulo, pojechaliśmy na krótką przejażdżkę ulicami stolicy, aby zobaczyć ją w świetle słońca i z poziomu ulicy. Duże wrażenie zrobiły na żonie i dzieciach, które były w tym mieście po raz pierwszy, gmachy użyteczności publicznej, przedzielone olbrzymimi terenami zieleni, wielka flaga Brazylii łopocząca w podmuchach wiatru na Placu Trzech Władz, tj. przed Pałacem Prezydenta Republiki, Kongresem Narodowym z charakterystycznymi półkulami obu izb parlamentu i siedzibą Sądu Najwyższego. Stamtąd przejechaliśmy wzdłuż siedzib poszczególnych ministerstw z najładniejszą, należącą do Ministerstwa Spraw Zagranicznych zwanego popularnie Itamaraty. Kiedy zbliżyliśmy się do katedry stwierdziliśmy, że dzięki sztuce fotografów robiących jej zdjęcia od dołu, wygląda na wielką budowlę, gdy tymczasem widziana z bliska nie traciła na pięknie, ale na wymiarze. Katedra w połowie jest zbudowana poniżej poziomu ulicy, na wysokości której stoją figury świętych apostołów. Punktem zamykającym perspektywę budynków ciągnących się od Placu Trzech Władz jest Memoriał z pomnikiem Jucelino Kubitschka, prezydenta Brazylii, który podjął decyzję o budowie nowej stolicy w centrum kraju, przenosząc ją z Rio de Janeiro w 1960 roku.

Będąc już w samolocie, lecącym do Sao Paulo, zdałem sobie sprawę, że był to mój najdłuższy urlop w sensie przebytych kilometrów w ramach jednego kraju, bo liczył „tylko” około 10 tysięcy kilometrów. Na szczęście wracaliśmy cali i zdrowi oraz pełni niezapomnianych wrażeń.

## Rozdział IV

# Brydż, tenis, futbol i dyplomacja

Mówi przysłowie: „jak sobie pościelesz tak się wyśpisz”. Transponując to na życie dyplomaty w obcym kraju można by rzec „jak sobie zorganizujesz życie poza urzędem, takie ono będzie”. A może być różne, zależy bowiem tak od obiektywnych warunków kraju pobytu, jak również od indywidualnej chęci i ochoty działania każdego członka korpusu dyplomatycznego. Na podstawie własnych obserwacji, jak i kolegów z innych polskich placówek dyplomatycznych, należy stwierdzić, że nie ma jednego schematu postępowania. Zgodnie z zasadami dyplomacji każdy z jej przedstawicieli dla skutecznego działania winien mieć szerokie kontakty w środowiskach, z którymi współpracuje, w celu wykonania postawionych przed nim zadań. Dotyczy to zarówno znajomości elit politycznych i rządowych, kręgów parlamentarnych, najważniejszych partii politycznych, jak i wybitnych przedstawicieli ze sfery kultury i nauki. Nie zawsze oficjalne kontakty przekładają się na relacje towarzyskie, które pozwoliłyby, w sposób nieformalny, na pozytywne załatwienie interesujących nas spraw, normalnie niemożliwych do rozstrzygnięcia na drodze czysto biurokratycznej. Szeroki krąg znajomości i kontaktów towarzyskich pozwala jednak niejednokrotnie szybko i skutecznie wyjaśnić kwestie sporne lub uzyskać zgodę władz na nasze prośby czy proponowane przez nas

rozwiązania, niż suche i formalne wizyty, pisma i petycje. Inny jest bowiem bezpośredni kontakt z człowiekiem, z którym łączą nas wspólne zainteresowania czy pasje, od czysto służbowego podejścia i formalnego stosunku. Choć jest to ogólnie znana prawda, z którą wszyscy się zgadzają, to w praktyce wygląda to często różnie. Niejednokrotnie bywa tak, że posiadanie dobrych i szerokich kontaktów przez jednego dyplomatę budzi zawiść i zazdrość drugiego, który ich nie ma, i w związku z tym stara się zdyskredytować ich wartość. Najgorszym przypadkiem jest, kiedy tego typu chorobliwa zazdrość dotyka szefa i znajduje swoje odzwierciedlenie w stosunku do podwładnych. Tak jak wspomniałem nie dotyczy to wyłącznie środowiska dyplomacji polskiej, ale i pozostałych krajów.

Innym negatywnym przejawem jest niechęć do utrzymywania jakichkolwiek kontaktów czy relacji pozasłużbowych, które wynikają z charakteru placówki. Jedni czynią to z pobudek osobistych, uważając, że kraj, w którym wylądowali nie jest z „ich bajki” i traktują swoją pracę jak zesłanie. Drudzy postępują tak ze względów czysto ekonomicznych, ponieważ życie towarzyskie kosztuje, a oni przecież oszczędzają na mieszkanie, samochód i inne rzeczy potrzebne po powrocie do kraju. Tak różny stosunek do życia powoduje, że nieraz atmosfera wewnątrz zespołu, ludzi bądź co bądź skazanych na siebie w obcym kraju, staje się mało sympatyczna. Jedną z form ucieczki od ciężkiej atmosfery wewnątrz placówki stają się właśnie kontakty zewnętrzne, sport, pasje artystyczne lub hobby np. kolekcjonerskie. Pozwala to pozbyć się stresu, jak i pożytecznie spędzić wolny od pracy czas. Moje wspomnienia z pobytu w Brazylii oraz innych placówek są generalnie pozytywne. Większości kolegów, z którymi przyszło mi współpracować na placówkach mogę tylko wystawić laurki lub pochlebne opinie. O pojedynczych negatywnych przypadkach, które mi się przytrafiły w latach dyplomatycznej kariery szkoda nawet pisać. Było, minęło...

Z przyjemnością i nieraz z łezką w oku wspominam natomiast kontakty towarzyskie, pozaurzędowe, dzięki którym życie i pobyt za granicą pozostaną na zawsze w mej pamięci. Niewątpliwie przyczyniły się do tego z jednej strony, moja chęć poznania nowych ludzi, zwłaszcza Polaków, i historii ich przybycia do tak odległych krajów oraz zajmowanej przez nich pozycji w miejscowych społecznościach i środowiskach, a z drugiej, podobna chęć poznania nowego dyplomaty czy nowości z rodzinnego kraju. Czasami sprzyjały temu przypadkowe okazje czy też wspólne zainteresowania i pasje sportowe. W moim przypadku były to futbol, brydż i tenis. W Brazylii nie grałem w piłkę nożną, w przeciwieństwie do pobytu na Kubie, gdzie w ramach korpusu dyplomatycznego organizowaliśmy w soboty mecze towarzyskie, aby, po prostu pograć

i pobiegać na świeżym powietrzu. W Sao Paulo nie było warunków ani możliwości takiego spędzania wolnego czasu. Jednak być w Brazylii i nie interesować się futbolem, to byłoby wielkie niedopatrzenie oznaczające izolację towarzyską. W ojczyźnie Pele, Garinchy, Zico czy Sokratesa na wszystkich forach i spotkaniach, niezależnie od ich ważności, szczebla czy środowiska futbol był nieodłącznym tematem rozmów. Dlatego też należało znać najlepsze drużyny klubowe w kraju, czołowych zawodników, śledzić wyniki rozgrywek ligowych, a już obowiązkową była znajomość wyników reprezentacji Brazylii, tym bardziej, że był to okres przygotowań, a następnie rozgrywek mistrzostw świata w Hiszpanii w 1982 roku. Nigdy nie zapomnę finału tych mistrzostw i meczu Brazylia – Włochy. Z dwóch powodów. Cały kraj szykował się do wielkiego święta, wywalczenia kolejnego tytułu mistrza świata i z tej okazji dodatkowego karnawału na ulicach miast. Zamiast tego, po końcowym gwizdku, oznajmującym porażkę Brazylii, zapanowała wszędzie przejmująca cisza, a niektórzy młodzi chłopcy sprzedający koszulki z barwami narodowymi Brazylii i napisem „Brazylia – mistrz” płakali i oddawali je za darmo przechodniom. Jednym słowem, następny dzień po finale był dniem tragedii narodowej Brazylii. Tego samego dnia na pierwszych stronach miejscowych gazet ukazała się informacja, że polski wicekonsul handlowy, zamiast wrócić do kraju po zakończeniu pięcioletniego pobytu, poprosił o azyl polityczny w Brazylii, motywując to obawą powrotu do Polski w stanie wojennym. Zrobił to w momencie rozgrywania meczu finałowego, który oglądał już razem z szefem miejscowej policji. Co działo się z tego powodu na linii konsulata – Warszawa, lepiej nie wspominać. Znajomość świata futbolu pozwalała na aktywne uczestnictwo w dyskusjach zarówno w środowisku brazylijskim, jak i międzynarodowym. Przychodziło to nam tym bardziej łatwo, gdyż w tamtych czasach pozycja Polski w światowym futbolu była wysoka i rozmówcy z szacunkiem odnosili się do reprezentanta kraju nad Wisłą. Dyplomatycznie natomiast należało się wyrażać o poszczególnych klubach miejscowych, czy to w Sao Paulo, czy w Rio de Janeiro, nie deklarując jakiego klubu jesteśmy kibicami. Mogło się bowiem okazać, że partner w rozmowie jest akurat fanem przeciwnego klubu i przyjemną atmosferę rozmowy, mógłby zakłócić niepotrzebny spór o wyższości jednej drużyny nad drugą. Problem znajomości futbolu nie dotyczył oczywiście tylko Brazylii, lecz wszystkich krajów latynoamerykańskich, w których przebywałem i oczywiście Hiszpanii, gdzie mogłem na bieżąco śledzić konkurencję Realu Madryt z FC Barceloną.

Pamiętam, jak na początku naszego pobytu w Sao Paulo, na jednym ze spotkań polonijnych podszedł do mnie młody człowiek, przedstawił się, jako Andrzej Barski – pracownik firmy Mercedes Benz w Brazylii i po krótkiej



rozmowie zapytał, czy gram w brydża. Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą zaprosił mnie na rozegranie partyjki w jego domu. Nie spodziewałem się wówczas, że tym sposobem rozpocznie się nasza długa znajomość i że dzięki brydżowi poznam wiele wspaniałych osób z polskiej kolonii w tym mieście oraz w Rio de Janeiro. Po kilku wieczorach brydżowych wszedłem na stałe do tego towarzystwa, a poprzez partnerów zza stolika mogłem poznać nie tylko wielu innych przedstawicieli Polonii, ale i establishmentu brazylijskiego. Jak wiadomo w brydża gra się w czwórkę, jednakże jej skład, jak i miejsce gry często się zmieniały. Dzięki temu poznawałem nowych partnerów oraz nowe dzielnice Sao Paulo, gdyż wieczory brydżowe nie miały stałego adresu ani stałego gospodarza. Stały był tylko dzień tygodnia, a mianowicie poniedziałek. Zapyta ktoś, a dlaczego poniedziałek? Odpowiedź jest prosta: każdy z graczy miał swoją rodzinę, której poświęcał weekendy, a ponadto w ten dzień były zamknięte teatry i w zasadzie nie odbywały się żadne oficjalne imprezy, w których należałoby uczestniczyć. Nie oznaczało to oczywiście rezygnacji z rozegrania partyjki przy okazji innych spotkań towarzyskich, jeżeli były ku temu sprzyjające okoliczności, jak np. wspólne wyjazdy poza miasto m.in. do Monte Verde, czyli Zielonego Wzgórza, gdzie wspomniany Andrzej Barski miał działkę z domkiem wypoczynkowym. Pochodzący z Krakowa Andrzej nie mógł swojej działki inaczej nazwać jak „Cracovia”. Pierwszy raz, kiedy tam pojechaliliśmy o mało nie zakopaliśmy się na błotnistej drodze (było to po tropikalnej ulewie) i tylko pomoc lokalnych mieszkańców z traktorem pomogła nam dojechać do brazylijskiego Krakowa. Andrzej często odwiedzał swoją rodzinę w Krakowie. Z racji licznych podróży zagranicznych, jako szef eksportu, najpierw ciężarówek firmy Mercedesa, a później wagonów kolejowych, po zmianie pracy, wpadał często do Polski. Pamiętam nasze spotkanie w Warszawie, w okresie kartek benzynowych, kiedy do Hotelu Europejskiego dowoziłem mu w karnistrze benzynę, aby mógł wrócić do rodzinnego Krakowa wypożyczonym samochodem. Kolejne spotkanie miało miejsce w Madrycie, gdzie był przelotem między Brazylią a Afryką i miałem wówczas możliwość pokazania mu zabytkowego Toledo i innych miejscowości w okolicach hiszpańskiej stolicy. Był to mały rewanż z mojej strony za te wszystkie miłe chwile spędzone z nim i jego przyjaciółmi w Brazylii. Stałym partnerem w wieczorach brydżowych był również Witek Broda „Pan Doktor”. Przybyły do Brazylii na zaproszenie rodziny, aby móc pracować w swoim zawodzie, mimo ukończenia Śląskiej Akademii Medycznej, musiał praktycznie ponownie zdać egzaminy w miejscowej uczelni medycznej, w języku portugalskim. Kiedy go poznałem, pracował już, jako ceniony chirurg ortopeda w dwóch szpitalach w Sao Paulo. Dzięki temu, mieliśmy zawsze możliwość konsultacji



Autor wraz z Andrzejem Barskim  
– partnerem brydżowym z Sao Paulo  
podczas wizyty w hiszpańskim Toledo



Michał Bogdanowicz  
– inny partner brydżowy  
w mieszkaniu autora  
w Warszawie



Turniej tenisowy zorganizowany przez  
Ministerstwo Spraw Zagranicznych Argentyny w Buenos Aires.  
Na zdjęciu autor z dyrektorem LOT-u w Argentynie Andrzejem Mysłowskim  
i parą funkcjonariuszy argentyńskiego MSZ

medycznych, a pewnego razu, mogłem skorzystać z jego osobistej pomocy podczas niedzielnego dyżuru, kiedy sam zakładał mi gips na złamaną nodze. Odwiedzając go, kilka lat później w Sao Paulo wspominaliśmy tę i inne przygody z okresu mojej pracy w konsulacie w tym mieście. Inny brydżysta, Michał Bogdanowicz, alpinista, zdobywca najwyższego szczytu Brazylii, Pico de Neblina, zorganizował pierwszą wyprawę polsko-brazylijską w Himalaje na szczyt Makalu w 1982 roku, podczas której Polacy dostarczyli sprzęt, a Brazylijczycy dewizy dla opłacenia na miejscu kosztów wyprawy. Szczyt ten zdobył samotnie Andrzej Czok, a sam Bogdanowicz, z przyczyn zdrowotnych, zakończył wyprawę przed ostatnim atakiem na wierzchołek góry. Zresztą życie Michała zasługuje na oddzielne opracowanie, gdyż, tak jak w górach, przeżywał on wzloty i upadki. Zaczynał pobyt w Brazylii jako biedny emigrant przybyły do rodziny dla poprawy swojego losu, poprzez zawrotną karierę biznesmena i człowieka sukcesu aż do dramatu rodzinnego związanego z tragiczną śmiercią syna, co miało bezpośredni wpływ na upadek jego firmy i wyjazd z Sao Paulo. Do dzisiaj pamiętam twarze przemysłowca Ryszarda Goriana, inżyniera Włodka Harasimowicza z fabryki Volkswagena i wielu innych. Znalazł się w tym gronie również kolega z części handlowej konsulatu, Edek Kowalski. Dla mnie bardziej interesujące od samej gry były rozmowy toczone między partnerami przy stoliku, a dotyczące różnych aspektów życia politycznego, gospodarczego, kulturalnego czy społecznego Brazylii lub Sao Paulo. Dzięki temu szybciej wchodziłem w rzeczywistość tego ogromnego państwa oraz miasta. Ponieważ spotkania brydżowe kończyły się późnym wieczorem, zostałem przez swoich partnerów nauczony, jak jeździć nocą po Sao Paulo samochodem, aby nie narazić się na napady ze strony lokalnych rzezimieszków. Chodziło o to, aby samochód cały czas był w ruchu i nie zatrzymywał się na światłach, zwłaszcza czerwonych, gdyż właśnie w tych miejscach dochodziło najczęściej do napadów, co spotkało wielu moich znajomych. Innymi słowy, jechać tak, aby dostosowywać szybkość pojazdu do zmiany świateł, aby mieć tzw. zieloną falę. Przy czerwonych światłach, po uważnym rozejrzeniu się (w nocy ruch jest dość mały) należało przejechać bez zatrzymywania się. Nie wiem, czy dzięki tej metodzie, czy po prostu miałem szczęście, ale jest faktem, że podczas całego pobytu w Brazylii, w jej największych i jednocześnie najniebezpieczniejszych miastach tj. Sao Paulo i Rio de Janeiro nigdy nie miałem żadnej nieprzyjemnej przygody.

A że było niebezpiecznie zarówno za moich czasów, jak jest również obecnie, niech świadczy przypadek, który zdarzył się wspomnianemu wyżej Michałowi Bogdanowiczowi. Do Sao Paulo przyjechał Krzysztof Penderecki,

z żoną Elżbietą, na koncerty, miał dyrygować miejscową orkiestrą. Ponieważ wiedziałem, że Michał jest szkolnym kolegą pani Elżbiety postanowiliśmy zrobić im niespodziankę. Ja sam złożyłem wizytę w hotelu, w którym mieszkali państwo Pendereccy i zaprosiłem ich na kolację do domu. Byłem mile zaskoczony, że przyjęli moje zaproszenie, zamiast np. skorzystać z restauracji luksusowego hotelu. Po drodze do domu uprzedziłem, że czeka ich mała niespodzianka. Okazało się, że była to duża niespodzianka, gdyż praktycznie od szkolnej ławy Michał i pani Elżbieta się nie widzieli. Wieczór upłynął na wspomnieniach oraz opowiadaniach o aspektach życia kulturalnego w Sao Paulo, a szczególnie muzycznego, którym polski kompozytor i dyrygent się interesował. Po kolacji odwoziłem przemiłych gości do hotelu i wróciłem do domu proponując to samo Michałowi. Odmówił, gdyż stwierdził, że spacer o kilka przecznic dzielące nasze domy dobrze mu robi. Po jego wyjściu położyłem się spać. Po jakimś czasie nagle zadzwonił telefon. Był to Michał. Zdenerwowanym głosem poinformował mnie, że w drodze powrotnej został napadnięty przez trzech rabusiów uzbrojonych w noże i ograbiony ze wszystkiego, co miał przy sobie. Po ich ucieczce spotkał policyjny radiowóz i razem jeździli po okolicznych ulicach w nadziei spotkania przestępców, ale bezskutecznie. Pozytywnym akcentem tego rajdu z policjantami było znalezienie ukradzionych dokumentów, które rabusie porzucili na chodniku.

Podobnego rodzaju przypadek przydarzył się mnie i Edkowi Kowalskiemu – attaché handlowemu, z którym graliśmy w tenisa. Klub rekreacyjno-sportowy, do którego należeliśmy, miał korty na drugim końcu miasta. Dlatego graliśmy zawsze wczesnym rankiem lub późnym wieczorem, aby uniknąć niesamowitych korków w godzinach szczytu porannego i popołudniowego. Pewnego dnia, kiedy graliśmy na najbardziej oddalonym korcie od recepcji, przez którą wchodziło się do klubu i gdzie znajdował się mały bar, usłyszeliśmy strzały. Nie zwróciliśmy początkowo uwagi na ten fakt, gdyż naprzeciwko klubu, po drugiej stronie ulicy funkcjonował dom schadzek, gdzie często dochodziło do awantur, strzałów i interwencji policji. Myśleliśmy więc, że jest to kolejna awantura w kłopotliwym sąsiedztwie. Zajęci grą, dopiero po dłuższej chwili zauważyliśmy, że jesteśmy sami, gdyż sąsiednie korty opustoszały. Sądziliśmy, że po prostu inni zakończyli grę, ponieważ zbliżała się godzina zamknięcia klubu tj. 23. Zatem zakończyliśmy i my. Gdy weszliśmy do recepcji udając się do szatni, zwrócił naszą uwagę ponury i milczący nastrój siedzących osób przy barze. Zorientowaliśmy się, że coś było nie tak. Zapytani o to, obecni wyjaśnili nam co się wydarzyło. Tym razem był to napad na nasz klub. O zdecydowanej postawie bandytów świadczyły strzały oddane z broni palnej w celu zastraszenia osób znajdujących się w barze. Została zrabowana kasa oraz

pieniądze, zegarki i inne drobiazgi osobiste członków klubu i pracowników, którzy byli w tym momencie w barze, po czym bandyci ulotnili się ze zrabowanym łupem. Po wysłuchaniu tej relacji szybko udaliśmy się do domu. Dla uniknięcia podobnych przypadków zmieniliśmy godziny gry na poranne.

Mówiąc o tenisie muszę wspomnieć o meczach rozgrywanych ze wspomnianym Edkiem Kowalskim na wysokości prawie 2 000 m n.p.m., w Campos de Jordao, letniskowej miejscowości leżącej w górach, około 100 kilometrów od Sao Paulo. Razem z rodzinami byliśmy tam zapraszani przez „babcię” Helenę Gebe na weekendy do jej dużego domu otoczonego zielenią dużego terenu, gdzie stały huśtawki i inne zabawki dziecięce. Podczas gdy nasze dzieci, Jaś, Małgosia i Julek – syn Kowalskiego, szalały w obecności matek, my graliśmy w tenisa wdychając czyste krystalicznie górskie powietrze i starając się zregenerować nasze płuca przed powrotem do zasnutego smogiem Sao Paulo. Jaki świat jest mały, może świadczyć fakt, że po latach będąc na placówce w Meksyku spotkałem krewnego „babci Heleny” będącego w delegacji służbowej w tym kraju. Jak zwykle, wspomnień i opowieści nie było końca.

Prawdziwy maraton tenisowy przeżyłem podczas pobytu w Argentynie. Tak się złożyło, że ówczesny ambasador, Janusz Balewski oraz przedstawiciel LOT, Andrzej Mysłowski byli namiętymi fanami tenisa, toteż w trójkę bardzo często chodziliśmy na korty znajdujące się zresztą niedaleko ambasady. Wszyscy braliśmy też aktywny udział w rozgrywkach tenisowych organizowanych przez argentyński MSZ dla korpusu dyplomatycznego. Większych sukcesów nie odnosiliśmy, ale znacznie rozszerzyliśmy nasze znajomości wśród urzędników Ministerstwa Spraw Zagranicznych Argentyny, co pozwalało nam później załatwiać pewne trudne sprawy biurokratyczne w sposób przyspieszony, a niejednokrotnie za pomocą jednego telefonu.

Z kolei integracja z kolegami z korpusu dyplomatycznego pozwoliła nam uzyskiwać pewne informacje polityczne czy gospodarcze, których nigdy nie moglibyśmy zdobyć drogą oficjalną. Dzięki turniejowi mogliśmy się np. dowiedzieć o szczegółach zamachu na ambasadę Izraela w Buenos Aires 17 marca 1992 roku, kiedy to zginęło 29 osób, a 242 zostały ranne. Zamach ten miał miejsce w dzień św. Patryka – patrona Irlandii i święta narodowego tego kraju, dlatego też ambasada Irlandii, usytuowana obok izraelskiej, była zamknięta i chociaż budynek w wyniku wybuchu został uszkodzony, obyło się bez ofiar w ludziach, gdyż pracownicy mieli wolny dzień.

Reasumując, nasze prywatne hobby sportowe lub jakiekolwiek inne, niejednokrotnie przyczyniały się do efektywnej i owocnej działalności dyplomatycznej, a znajomość specyfiki danego kraju może ułatwić życie i rozszerzyć krąg znajomości, co sprawia, że pobyt staje się bardziej interesujący.

## Rozdział V

# Szampańsko-benzynowy Sylwester

Sylwester w Brazylii ma swoją specyfikę. Jest to dzień pożegnania Starego Roku z jego kłopotami i zmartwieniami oraz przywitanie Nowego, pełnego nadziei na spełnienie marzeń. Odbywa się to w rytmie samby i innej muzyki, zarówno w klubach, restauracjach, ale także na ulicach, na placach miast i wsi, gdyż w praktyce jest to ostatnia prosta przygotowań do tradycyjnego karnawału. O tym, że Brazylijczycy umieją się bawić i cieszyć życiem nie muszę chyba nikogo przekonywać, ponieważ demonstrują to wszędzie, gdzie tylko przebywają, również w Polsce.

Jedną z ciekawostek Brazylii jest fakt, że datą obejmowania władzy przez nowego prezydenta kraju jest dzień 1 stycznia, czyli Nowy Rok. Z dyplomatycznego punktu widzenia oznacza to, w praktyce, że delegacje zagraniczne przybywające na uroczystości z tym związane, chcąc nie chcąc, muszą pojawić się w Brazylii jeszcze w starym roku, komplikując agendę zaproszonych głów państw lub rządów, zwłaszcza europejskich i zmuszając ich do spędzenia Sylwestra z dala od domu i ojczyzny.

Moje wspomnienia o Sylwestrach brazylijskich są różne. Jednym z nich był Sylwester obchodzony na plaży na południu Brazylii, w stanie Parana.

Podczas gdy tłumy zgromadzone na plaży, o północy, chciały wejść do wody, aby zwyczajowo rzucić na fale wianki i maskotki witające Nowy Rok, lunął nagle tak silny i ulewny tropikalny deszcz, że zmusił wszystkich świętujących do ucieczki. Symptomatyczne było to, że nastąpiło to dokładnie w chwili bicia zegarów i odliczania przez wszystkich ostatnich chwil starego roku.

Sylwestra w 1981 roku nie świętowaliśmy, lecz będąc w domu usiłowaliśmy bezskutecznie dodzwonić się do rodziny przebywającej w Polsce, pogrążonej w mrokach stanu wojennego. Brak wiadomości z kraju, poza oficjalnymi, skrótowymi komunikatami rządowymi, pozostawiał nas na łasce informacji pochodzących z zachodnich agencji prasowych, nieprzychylnych ówczesnemu rządowi, powiększając tylko nasz stres i obawy o los najbliższych.

Najbardziej jednak zapamiętałem Sylwestra w Belo Horizonte w roku 1983. Podczas mojego urzędowania jako konsul poznawałem wielu ludzi, z którymi niekiedy później utrzymywałem bardziej prywatne kontakty. Miało to miejsce także w przypadku dwóch rodzin zamieszkałych w Belo Horizonte, stolicy stanu Minas Gerais. Jedną z nich była to rodzina polskich muzyków Marii i Stanisława Durków, a drugą małżeństwo polsko-brytyjskie Marii i Johna. W pierwszym przypadku, było to typowe małżeństwo zawodowych muzyków wędrujących po świecie zgodnie z zawartymi kontraktami. W Brazylii wylądowali po pobycie w Wenezueli i Niemczech. Ona skrzypaczka, on zaś grał na fagocie. Oboje byli zatrudnieni w miejscowej orkiestrze symfonicznej, a jednocześnie byli wykładowcami swojej specjalności w konserwatorium. W drugim przypadku Maria była żoną przy mężu zatrudnionym w międzynarodowej organizacji FAO (ds. żywienia), oddelegowanym przez Centralę w Rzymie do pracy w Brazylii. Niezależnie, od funkcji odpowiedzialnej matki wychowującej trójkę dzieci, czas wolny poświęcała na zapoznawanie się z florą i fauną brazylijską. Jak nam opowiadała i o czym przekonał się później sami, miała w domu całkiem niezły zwierzyniec: małpę, węża, żółwie i aguti (szop), nie mówiąc już o ptakach. Przy okazji ich pobytu w konsulacie w Sao Paulo zostaliśmy zaproszeni do odwiedzenia ich w Belo Horizonte. Początkowo zaproszenie to nie miało żadnego, konkretnego terminu, ale nagle stało się propozycją wspólnego świętowania Sylwestra. Argumentem koronnym za przyjęciem oferty były dzieci, wszystkie mniej więcej w tym samym wieku, nasze i Marii oraz małżeństwa Durków. Miały one pozostawać pod opieką mamy Marii.

Telefonicznie ustaliliśmy szczegóły imprezy i podział obowiązków zaopatrzeniowych, po czym z entuzjazmem zaczęliśmy się przygotowywać

do wyjazdu. Wystąpiłem do Konsula Generalnego o kilkudniowy urlop, aby spokojnie, bez pośpiechu przejechać 600 kilometrów dzielących Sao Paulo od Belo Horizonte. Ku swojemu zaskoczeniu otrzymałem odmowę z uzasadnieniem, że 31 grudnia pracujemy normalnie tj. do godziny 16. Zmieniało to radykalnie obraz sytuacji, ale podjęliśmy decyzję z żoną, że pojedziemy, mimo wszystkich przeciwności losu. W Sylwestra praca przebiegała normalnie, bez zbytecznego natłoku petentów. Wpadali raczej znajomi, aby złożyć życzenia noworoczne. O godzinie 12 szef łaskawie zwolnił kobiety. Wykorzystując to, uzgodniliśmy z żoną, że dokończy pakowania rzeczy niezbędnych do podróży i przygotuje dzieci, aby natychmiast po moim wyjściu z konsulatu, wsiaść do samochodu i ruszyć w drogę. Po jej wyjściu, nerwowo patrzyłem na zegarek, zdając sobie sprawę, że tej trasy nigdy nie pokonywałem samochodem, a ponadto Belo Horizonte, mimo że dużo mniejsze od Sao Paulo, liczyło już wówczas ponad milion mieszkańców i niełatwo będzie trafić na miejsce późnym wieczorem, bo tak przewidywaliśmy godzinę przyjazdu. Widząc, że nic się nie dzieje, o godzinie 14 szef postanowił zakończyć dzień pracy, więc wszyscy udali się do domu. Tylko czekałem na ten moment. Prawie biegiem przebyłem odległość dzielącą konsulat od domu, gdzie pozostawało tylko zabrać dzieci i rzeczy oraz zejść do garażu, aby wyjechać w nieznaną.

Sao Paulo jest jednak wielkim miastem, toteż nie jest z niego łatwo wydość się w dni normalne, a co mówić dopiero w piątki lub dni przedświąteczne. Wyjazd z miasta, z uwagi na ogromne korki, zabrał mi więcej czasu niż przewidywałem i na szosie wiodącej do Belo Horizonte znalazłem się dopiero po godzinie piątej popołudniu. Jadąc musiałem uwzględniać dwa czynniki: zapadający zmrok oraz kwestię ilości benzyny w baku samochodu. O ile w pierwszym przypadku mogłem wykorzystywać długie światła drogowe dla oświetlenia nieznanego mi szosy, to w drugim musiałem pilnie uważać na mijane stacje benzynowe.

W owym czasie, rząd brazylijski, w ramach walki z kryzysem i w celu ograniczenia importu ropy naftowej i benzyny, zarządził, że stacje benzynowe mogą być otwarte jedynie od poniedziałku do piątku do godziny dwudziestej, a w sobotę i niedzielę mają być zamknięte. Jedyne wyjątki stanowiły miejscowości wypoczynkowe, do których wyjeżdżali mieszkańcy wielkich miast, gdzie stacje benzynowe były otwierane od godziny dwunastej w niedzielę, aby zapewnić powrót wycieczkowiczów do domu. To jednak nie wchodziło w grę w naszym przypadku, gdyż musiałem po drodze jeszcze raz zatankować, aby dojechać do Belo Horizonte i mieć jeszcze zapas, aby jeździć w święto, kiedy stacje będą zamknięte.



Strategia jazdy polegała więc na tym, aby przejechać jak najwięcej kilometrów do godziny ósmej wieczorem i w ostatnim, możliwym momencie zatankować powtórnie. Sytuacja rozwijała się zgodnie z założeniami do godziny mniej więcej siódmej, ponieważ co 30 – 40 kilometrów były widoczne stacje benzynowe, z jednej lub drugiej strony drogi. Kiedy mijalem, około siódmej, ostatnią z nich pomyślałem, że to jeszcze za wcześnie i zatankuję w następnej, za 20 – 30 minut. Ku swojemu zaskoczeniu na następnych kilometrach nie tylko nie pojawiała się żadna stacja, lecz również żadna siedziba ludzka przy drodze. Światła samochodu były jedynymi, które było widać w ciemnościach zapadającej nocy. Przekraczałem wszystkie możliwe limity prędkości, ale sytuacja nie ulegała zmianie. Otaczała nas ciemność po obu stronach szosy i gdzieś daleko na horyzoncie pojawiały się pojedyncze światełka jakichś domostw, tak że nawet nie można było się nikogo zapytać o najbliższą stację benzynową. Będąc świadomy, że z posiadany zapasem nie dojedziemy do celu, naciskałem coraz silniej pedał gazu, aby móc znaleźć jakieś rozwiązanie ratunkowe. Na szczęście dla nas szosa była pusta, co pozwalało mi jechać na długich światłach szybko i bezpiecznie oświetlając zakręty i przydrożne zarośla. Perspektywa postoju na odludziu z małymi, w tym czasie śpiącymi dziećmi, nie napawała mnie optymizmem i ze strachem patrzyłem na zegarek licząc brakujące nam minuty do godziny ósmej. Wiedziałem z poprzednich wyjazdów, że obowiązujący zakaz był przestrzegany przez właścicieli stacji z całą surowością, z obawy przed utratą koncesji. Była za dziesięć ósma, kiedy pojawiły się przed nami światła jakiejś miejscowości i w pięć minut później znaleźliśmy się na stacji benzynowej, aby jako ostatni klienci zatankować samochód. Odprężeni, wypiliśmy mocną kawę i ruszyliśmy w dalszą drogę. Do granic miejskich Belo Horizonte dotarliśmy koło jedenastej w nocy, zadowoleni, że zjawimy się na spotkaniu jeszcze przed Nowym Rokiem. Były to, niestety, tylko złudzenia. Okazało się, że dzielnica, której szukaliśmy jest położona na drugim krańcu miasta i przejazd do niej zajął nam kolejne 40 minut. Tymczasem miasto już żyło świętem. Muzyka, ognie sztuczne wystrzeliwane raz po raz w gwiaździste niebo, tłumy ludzi na ulicach nie ułatwiały nam znalezienia właściwej ulicy. Pytani po drodze przechodnie z uśmiechem na ustach i z kieliszkami lub butelkami alkoholu w ręku potwierdzali nam, że jesteśmy w tej, co trzeba dzielnicy, ale nie bardzo umieli wskazać drogę do poszukiwanej przez nas ulicy. Nawet lokalny policjant stwierdził, że „gdzieś musi być tu niedaleko”. Przez przypadek trafiliśmy na nią sami. Kiedy zatrzymaliśmy się przed udekorowanym domem z niewidocznym numerem i zapytaliśmy

stojące przed nim dzieci o jego numer, usłyszeliśmy w odpowiedzi krzyk po polsku skierowany do wnętrza domu: „Mama, tata, przyjechali!”. W tym momencie rozległy się odgłosy bijącego godzinę dwunastą zegara i ogłuszające wybuchy sztucznych ogni mieszające się z okrzykami szczęśliwych ludzi wychodzących na ulicę. Nie zdążyliśmy wysiąść z samochodu, kiedy podbiegli do nas gospodarze z kieliszkami i butelką szampana, wznosząc pierwszy toast noworoczny niemal w drzwiach samochodu. Weszliśmy do domu i pijąc kolejne toasty dowiedzieliśmy się, jakie były plany na ten wieczór. Musieliśmy szybko się przebrać, porzucić nasze stroje podróżne szorty i koszulki sportowe, zostawić dzieci pod opieką mamy pani Marii i pójść na prawdziwego Sylwestra do ich znajomego Niemca, który w swoim wielkim domu urządzał przyjęcie z tańcami. Jak zostało powiedziane tak i zostało zrobione. Dzieci, a właściwie cała ich gromadka, zaczęły wspólnie się bawić i rodzice mogli spokojnie się oddalić do swojego towarzystwa. Było to spotkanie międzynarodowe, gdyż poza gospodarzem Niemcem byli także inni jego niemieccy współziomkowie, a także Polacy, Anglicy, Francuzi, no i oczywiście Brazylijczycy. Szampańska zabawa trwała do samego rana, pełna humoru, śpiewu i tańca. Wróciwszy do domu Marii zastaliśmy już śpiące dzieci i położywszy się koło nich zapadliśmy w głęboki, kolorowy sen.

Nowy Rok w południe przywitał nas pięknym słońcem i znakomitą letnią pogodą, gdyż w Brazylii o tej porze roku jest pełnia lata, podczas gdy my w kraju przeżywamy walkę ze śniegiem i mrozem. O tych różnicach gawędzieliśmy przy śniadaniu z gospodarzami. Dowiedzieliśmy się też, że John został odwołany do biura Centrali FAO w Rzymie i zaczynają powoli przygotowywać się do wyjazdu. Zapytałem, co mają zamiar robić ze swoją menażerią buszującą po domu. Maria stwierdziła, że ptaki, żółwie i inne stworzenia trafią do znajomych lub do miejscowego ZOO, podobnie jak wąż wylegujący się w słońcu na tarasie. Natomiast ich ulubieniec aguti, który, jak opowiadali, roztrzaskał im dwie oryginalne wazy chińskie, będzie oddany do ogrodu zoologicznego typu safari niedaleko Sao Paulo. Faktycznie, kiedy kilka miesięcy później pojechaliśmy z dziećmi do tego ogrodu, widzieliśmy go jak biegał swobodnie po ogrodzonym terenie, w którym także były małpy skaczące po samochodach i usiłujące zerwać gumy oklejające szyby.

Czas nas gonił, bowiem musieliśmy wracać do Sao Paulo, gdyż jak wspominałem, nie dostałem zgody na urlop i trzeba było stawić się nazajutrz w pracy.

Serdecznie pożegnaliśmy się z małżeństwem Durków. Maria była już w końcowym etapie ciąży i jej pięcioletni syn Marcin, równolatek naszego

Jasia, oczekiwał na braciszka, który urodził się miesiąc później. Stanisław, mąż Marii powiedział mi w sekrecie, że złożył podanie o wyjazd z całą rodziną do Australii, ale prawdopodobnie to długo jeszcze potrwa, gdyż proces biurokratyczny w Australii jest bardzo długi, zwłaszcza, gdy chodzi o wyjazd na stały pobyt. O tym, że im się udało to w 1986 roku dowiedziałem się w Warszawie od naszego Konsula Honorowego, inżyniera Jerzego Markiewicza podczas jego pobytu w Warszawie. Kilka lat później, będąc w podróży służbowej, w Sydney, postanowiłem odszukać Marię i Stanisława (o spotkaniu ze Stasiem będzie mowa w rozdziale o Australii).

W odróżnieniu od niezapomnianej drogi do Belo Horizonte, powrót przebiegał spokojnie i bez przygód. Ponieważ było świąteczne popołudnie, w jednej z miejscowości wypoczynkowych zatankowaliśmy ponownie benzynę i bez przeszkód dojechaliśmy do Sao Paulo, mimo iż ostatni odcinek drogi jechaliśmy również w ciemności. Były to już jednak znane nam miejscowości i znajome drogi.

Tak zakończył się zwariowany wyjazd na Sylwestra, o którym nikt w konsulacie się nie dowiedział do końca naszego pobytu w Brazylii.

## Rozdział VI

# Węże i „dżunglówka”

Życie w wielkim mieście, jakim było Sao Paulo i przebywanie w nim przez siedem dni w tygodniu bez możliwości oderwania się chociaż na chwilę od codziennych problemów jeszcze bardziej potęgowało stres wywołany przez pracę. Dlatego też staraliśmy się, o ile było to możliwe, spędzać koniec tygodnia, jeżeli nie na wyjazdach poza miasto, to na spacerach w parku. Traktowaliśmy z żoną to jako wypoczynek i ucieczkę z zasnutego smogiem miasta, przede wszystkim ze względu na dobro małych dzieci. Pierwszeństwo miały eskapady na plaże w Santos lub Guaruja, miejscowościach nadmorskich położonych w odległości około 80 km od Sao Paulo. Właśnie na plaży w Santos moja córka Małgosia postawiła pierwsze samodzielne kroki.

Pozostając w mieście często jeździliśmy do znanego na świecie Instytutu Butantan, gdzie produkowano surowice przeciw śmiertelnym skutkom ukąszeń jadowitych węży. Instytut był położony w wielkim parku, gdzie można było spokojnie i bez pośpiechu się przechadzać mieszając się z tłumem zwiedzających. Drugim miejscem do pięknych spacerów i odpoczynku był rozległy, miejski parku Ibirapuera. Utworzony w 1954 roku jest jednym z najbardziej uczęszczanych parków w mieście. Zawdzięcza to terenom zielonym, trzem jeziorom, szerokim alejom, ścieżce rowerowej oraz wielu pawilonom,

mieszczącym muzea, teatry, galerie wystawiennicze i wiele innych atrakcji, zawsze można było tam spotkać tłumy ludzi i dzieci. Park ten zajmuje 1,5 km<sup>2</sup> i stanowi „zielone płuca” Sao Paulo. Z tej też racji zawsze jest tam pełno ludzi, dlatego też preferowaliśmy „nasz” park w Instytucie Butantan, do którego ponadto mieliśmy bliżej. Atrakcją parku Instytutu było Muzeum Węży, skorpionów, pajaków i innych tego typu okazów ze wszystkich stron świata, jak i oddzielny pawilon z węzami, przy którym pracownicy Instytutu, w soboty i niedziele, pokazywali obecnym w parku technikę pobierania jadu od węży, z którego później przygotowywano odpowiednie szczepionki. Znajdował się tam także cementowy basen, ale bez wody, zamiast niej na dnie rosła trawa, po której pełzały, różnej wielkości i koloru, jadowite węże. Nie były w stanie jednak się wydostać ze swojej otwartej na pozór klatki, gdyż próby wspinania się po wysokich, betonowych ścianach basenu kończyły się niepowodzeniem i obsunięciem z powrotem na zieloną trawę dna basenu. Zarówno pokazy pobierania jadu, jak i obserwowanie prób wydostania się węży z basenu cieszyły się ogromnym zainteresowaniem odwiedzających park. Dzieci bardzo lubiły tam jeździć i na hasło: „Jedziemy do węży” natychmiast były gotowe do drogi.

Przy samym wejściu do Instytutu znajdował się kościół, który prowadzili polscy zakonnicy z zakonu chrystusowców i za każdym razem odwiedzaliśmy ich na plebanii. Braлиśmy udział w organizowanych przez nich świątach parafialnych czy innego rodzaju imprezach mających na celu zdobycie pieniędzy na potrzeby najbardziej potrzebujących parafian. Była to parafia skupiająca w praktyce tylko Brazylijczyków, gdyż Polacy żyjący w Sao Paulo zamieszkiwali w innych dzielnicach miasta. Jako polski konsul z dumą służyłem pozytywnych opinii o pracy polskich zakonników, nie tylko w kontekście służby kapłańskiej, ale i działań na rzecz poprawy życia parafian, poziomu ich wiedzy i edukacji czy warunków socjalnych wspólnoty, w której mieszkali.

Dzięki innemu zakonnikowi z zakonu werbistów, o. Janowi Zasowskiemu, przeżyliśmy niecodzienne przygody w tzw. paulistańskiej Amazonii odległej od Sao Paulo ok. 200 km. Był to teren rezerwatu przyrody porośnięty lasami, poprzecinany większymi lub mniejszymi rzeczkami i strumieniami spływającymi do rzeki Ribeira de Iguape. Otóż o. Jan opowiadał nam, że raz w miesiącu jeździ w tamte strony, aby odprawiać msze dla Indian zamieszkujących ten rezerwat oraz dla robotników pracujących w lokalnym tartaku, w większości Murzynów lub Mulatów. Ponieważ wyraziliśmy chęć poznania tych miejsc o. Jan zaprosił nas, abyśmy towarzyszyli mu podczas jego kolejnej podróży. W umówioną niedzielę, wczesnym rankiem pojechaliśmy samochodem, nasza czwórka i o. Jan, do wyznaczonego miejsca przy rzece Ribeira, gdzie czekał na nas przewoźnik z łódką, którą mieliśmy dopłynąć do celu. Panowała piękna

pogoda, słońce świeciło wysoko na niebie bez żadnej chmurki, a rzeka leniwie i spokojnie toczyła swoje fale. Z trudem wsiedliśmy do łódki, która poza silnikiem podczepionym do jej rufy dysponowała jeszcze dodatkowym krótkim ratowniczym wiosłem. Zauroczeni jednak świetną pogodą i wspaniałymi widokami nie zwracaliśmy uwagi na skromne wyposażenie naszego „statku” podczas przeprawy w poprzek rzeki mającej około kilometra szerokości. Rzeka ta, jak opowiadał nasz przewoźnik, była nieuregulowana i prawie co roku zalewała okoliczne, przyległe do niej tereny, stając się wtedy szerokim zalewiskiem bardzo niebezpiecznym dla żeglugi. Słuchając tych opowieści powoli zbliżaliśmy się do stojących w wodzie drzew oznaczających linię brzegową głównego koryta rzeki chcąc wpłynąć do jednej z dwóch małych rzeczek wpadających w tym miejscu do głównej rzeki. Ku naszemu zaskoczeniu każda z tych rzek miała inny kolor wody. Jeden był ciemnogrnatowy, natomiast drugi był całkowicie jasny, koloru piasku. Na naszych oczach obydwie te kolory mieszały się ze sobą i, w zależności od odległości od ujścia woda zmieniała swoją barwę. Takie zjawisko – jak nam opowiadano można – zaobserwować na Amazonce w pobliżu Manaus. Tam właśnie dopływy Amazonki – Rio Negro i Solimoes tworzą znany wszystkim fenomen, a liczni turyści wędrują, aby go podziwiać. My nie mieliśmy jednak czasu na podziwianie tego fenomenu natury, który zależał oczywiście od podłoża przepływających przez nie rzek, gdyż z jednej z nich dosłownie wyskoczył duży, nowoczesny jacht z oszkloną nadbudówką. Za jego sterami siedział młody człowiek w kapitańskiej czapce, a na pokładzie dwaj inni młodzi ludzie pokazywali sobie, otwierający się przed nimi, widok na główną rzekę. Nasza łódeczka zakołysała się gwałtownie od uderzenia fal spowodowanych przez wielki jacht, natomiast moja uwaga była skierowana na stojących na jego pokładzie ludzi. Mimo solidności i bezpieczeństwa żeglugi na jachcie obydwie osoby ubrane były w czerwone kapoki bezpieczeństwa.

I wówczas ogarnął mnie strach, kiedy pomyślałem o powrocie i ponownej konieczności przepłynięcia wielkiej rzeki w małym czółenku i tylko z... rezerwowym wiosłem. Rozmyślenia te zostały przerwane w gwałtowny sposób. Gdy wpłynęliśmy już w górę jednej z dwóch rzek, silnik naszej łodzi nagle zaczął się krztusić. Mimo wysiłków naszego sternika i przewoźnika w jednej osobie po kilkunastu minutach zgasł. Jedyłą siłą napędową stanowiło krótkie ratownicze wiosło, które zauważyliśmy wsiadając do łodzi. Sprzyjało nam jednak szczęście. Po krótkim okresie ręcznego wiosłowania dopłynęliśmy do jakiegoś pomostu, w głębi widoczna była, schowana w gęstwinie drzew, chata. Nasz przewoźnik zacumował przy pomoście i wyskoczył na brzeg, po czym skierował tam swoje kroki. Za chwilę wrócił, prawdopodobnie

z jej właścicielem. Obydwaj nieśli do łodzi silnik i szybko go zamontowali na miejsce naszego, zgasłego. Mogliśmy więc płynąć dalej. Rzeka wiła się wśród drzew towarzyszących jej po obu stronach. Od czasu do czasu mijaliśmy pomosty podobne do tego, przy którym wymieniliśmy silnik, aby przy jednym z nich zacumować. Okazało się, że był to cel naszej podróży, gdzie o. Jan miał odprawić mszę dla społeczności indiańskiej i murzyńskiej. Przedstawiciel tej ostatniej już czekał na księdza informując, że wierni są w drodze ze swojej wioski położonej niedaleko.

W oczekiwaniu na nich postanowiliśmy odwiedzić drugą wioskę zamieszkałą przez Indian. Ich domy zgrupowane były na wysokim brzegu rzeki. Idąc wzdłuż nich nie zauważyliśmy ani jednego człowieka, ani żadnego ruchu przed domami. Jedynie uchylane od czasu do czasu zasłony w oknach świadczyły, że jesteśmy pilnie obserwowani przez mieszkańców. Domy były prymitywne, a dookoła nich panował, delikatnie mówiąc, duży bałagan. Widząc to wszystko o. Jan próbował ich usprawiedliwić, tłumacząc, że ponieważ jesteśmy obcymi białymi na ich terenie, nie chcą się nam pokazywać. W zamian zaproponował nam zwiedzanie wioski murzyńskiej, do której zaprowadziłby nas obecny tutaj jej mieszkaniec. Nie mając innej opcji i nie chcąc przeszkadzać w kapłańskiej posłudze udaliśmy się z młodym Murzynem. Droga prowadziła wzdłuż brzegu rzeki leśną ścieżką, na której spotkaliśmy idącą na mszę grupę mieszkańców wioski, do której my z kolei zdążaliśmy. W końcu pojawiły się uprawne poletka fasoli i drzew bananowych. Jak wytłumaczył nam przewodnik, należały one do mieszkańców i były przez nich wspólnie uprawiane. Kiedy doszliśmy do wioski rozłożonej na przestronnej polanie, wypełnionej okrągłymi domami otoczonymi trawą zdaliśmy sobie sprawę z różnicy dzielącej obie te osady. Nasz szacunek dla mieszkańców tej wioski wzrósł jeszcze bardziej po wejściu do domu przewodnika, gdyż, niezależnie od skromnego wyposażenia, wszędzie panowała czystość. Kontrastowało to bardzo z obrazem wioski indiańskiej, z której przyszliśmy. Przewodnik zapytany o warunki życia i pracy opowiedział nam, że większość mieszkańców pracuje przy wyрубie lasu bądź przy transporcie wykarczowanego drzewa lub też przy jego obróbce w tartaku położonym niedaleko małej elektrowni wodnej, skąd dostarczana była energia elektryczna do miejsca pracy. Wysokość zarobków oscylowała wokół minimalnej płacy państwowej. Zakupu artykułów potrzebnych do gospodarstwa domowego mogli dokonywać w sklepie należącym do właściciela terenu leśnego i tartaku. Nigdy go nie widzieli, bo był nim jakiś bogaty Portugalczyk mieszkający poza Brazylią. W jego imieniu zarządzał Chińczyk z Tajwanu mieszkający w Sao Paulo i odwiedzający czasami ich miejsce pracy, w ramach kontroli. Słuchając tej relacji mieliśmy uczucie

jak gdybyśmy byli przeniesieni w czasie do XIX wieku, w okres niewolnictwa, które zostało zniesione w Brazylii dopiero w 1888 roku, a przecież byliśmy pod koniec XX wieku i w odległości niespełna 200 km od jednego z największych miast świata, „lokomotywy” przemysłowej Brazylii, prężnego centrum kultury i nauki. Doprawdy niepojęte!

Ponieważ musieliśmy wrócić do wioski indiańskiej, nieopodal której czekała na nas łódka, a droga prowadziła wysokim brzegiem wzdłuż rzeki, podziękowaliśmy młodemu i sympatycznemu przewodnikowi i ruszyliśmy sami w drogę powrotną. Ścieżka ponownie wiodła przez pola uprawne i drzewa bananowe, a następnie przez las. Była dość wąska, dlatego szliśmy gęsiego. Głowa rodziny, czyli ja, szedłem jako pierwszy, dalej Jasio, a na końcu żona z Małgosią. W pewnym momencie zauważyłem, że przede mną po ścieżce pełźnię wąż. Był dość daleko, ale dzięki prześwitującemu przez konary drzew słońcu mogłem go dość wyraźnie widzieć. Miał około dwóch metrów długości i poruszał się w tym samym kierunku, co my. Zwolniłem nieco kroku i dałem sygnał reszcie rodziny. Zrobiłem nawet gadowi dwa zdjęcia. Nie wiem, co było przyczyną, że wąż nagle zatrzymał się. Być może był to skutek trzasku aparatu lub mojego okrzyku z prośbą o zwolnienie tempa marszu. Stałem więc



Pokaz pobierania jadu węża w Instytucie Butanta w Sao Paulo



i ja. Po chwili wahania wąż zmienił kierunek i zaczął wracać wprost na mnie. Z kolei ja zacząłem się zastanawiać, co w tej sytuacji powinienem robić. Decyzję podjąłem zaraz po odwróceniu się w stronę idącej z tyłu rodziny. Zauważyłem, bowiem, że na ścieżkę między Jasiem, a mną zaczyna, z rosnących z boku zarośli, wypełzać drugi wąż. Tak, więc, znalazłem się między gadem wracającym po ścieżce i drugim ją przecinającym. Schyliłem się, podniosłem z ziemi kawałek gałęzi i krzyknąwszy do Jasia, aby cofnął się do mamy i Małgosi, rzuciłem gałęzią w węża przecinającego leśną ścieżkę z tyłu za mną, aby zapewnić sobie odwrót. To, co się stało, po upadku gałęzi koło węża, będę zawsze pamiętał. Nagle, jak wystrzelona z łuku strzała, wąż przeleciawszy w powietrzu kilka metrów, zapadł się w krzaki po drugiej stronie ścieżki. Nie czekając na dalszy rozwój węzowych ruchów przebiegłem kilka kroków dzielących mnie od reszty rodziny i zarządziłem powrót do wioski. Po przybyciu do niej, opowiedziałem naszemu przewodnikowi, co nas spotkało i poprosiłem o towarzyszenie nam w drodze do zacumowanej łodzi. Zgodził się z ochotą i wyjaśnił, że jest to okres godowy gadów i jeżeli się spotka jednego, na pewno gdzieś w pobliżu jest drugi.

Z naszego opowiadania i opisu spotkanych węży nie umiał dokładnie stwierdzić, czy były one jadowite czy nie. „A ten zielony wąż, co wisiał na gałęzi drzewa nad ścieżką?” – zapytał nagle Jaś. „O, ten na pewno był jadowity i to bardzo” – z całym przekonaniem odpowiedział nasz przewodnik. Zostałem zaskoczony tym pytaniem, gdyż ja żadnego węża nad głową nie dostrzegłem, prawdopodobnie dlatego, że byłem zajęty tymi pełzającymi po ziemi. Z wizyty w Muzeum w Instytucie Butanta i wyjaśnień na pokazach zapamiętałem, że największe węże nie mają najmocniejszego jadu, a jednymi z najgroźniejszych są te żyjące na drzewach. Idąc za naszym przewodnikiem pilnie rozglądaliśmy się nie tylko po bokach ścieżki, którą podążaliśmy, ale również bacznie obserwowaliśmy zwisające nad nią konary drzew, żeby wiedzieć czy nie czyha tam na nas jakieś niebezpieczeństwo.

W połowie drogi spotkaliśmy idącego na nasze spotkanie o. Jana i wracających po nabożeństwie mieszkańców wioski. Jeszcze raz pożegnaliśmy się z nimi i razem z o. Janem wróciliśmy do czekającego na nas w łodzi sternika. Mimo obaw i niepokoju o stan bezpieczeństwa łodzi, zwłaszcza przy pokonywaniu głównej, szerokiej rzeki, powrót przebiegał bez zakłóceń i przykrych niespodzianek, toteż bezpiecznie wylądowaliśmy na przystani, z której wypłynęliśmy. Podziękowaliśmy serdecznie właścicielowi łodzi, wręczając mu drobny upominek przywieziony z Polski.

Będąc już w samochodzie o. Jan zaproponował nam odwiedzenie pewnej rodziny brazylijskiej mieszkającej również w rezerwacie koło innej osady

Indian. Z chęcią przyjęliśmy tę ofertę, gdyż dzięki niej mogliśmy zobaczyć coś jeszcze w czasie tej interesującej wycieczki. Po drodze o. Jan opowiedział nam krótką historię tej rodziny. Mężczyzna, głowa rodziny trudnił się handlem obwoźnym po małych miasteczkach pobliskiego rejonu, sprzedając drobny sprzęt gospodarstwa domowego i zabawki dla dzieci. Matka, przebywając w domu wraz z dziesięcioletnią córką, poświęciła się próbie edukacji mieszkających w rezerwacie Indian. Postanowiła ich przystosowywać do życia w końcu XX wieku i nauczyć zasad oraz zwyczajów obowiązujących w cywilizowanym świecie. Jednak nie wszystko jej się udawało. Kiedyś otworzyła sklepik z towarami, aby nauczyć ich wymiany towarowej np. w zamian za zebrane runo leśne lub upolowaną zwierzynę mogli otrzymywać garnki lub inne naczynia kuchenne potrzebne w gospodarstwie domowym czy też gotowe produkty spożywcze wytwarzane w miastach. Eksperyment się jednak nie powiódł, gdyż Indianie to, co upolowali lub zebrali zachowywali dla siebie, natomiast towary ze sklepiku owszem brali, ale bez jakiegokolwiek zapłaty w pieniądzech czy naturze, gdyż uważali, że im się to należy i że właścicielka sklepu ma obowiązek im to podarować, gdyż ona jest bogata, podczas gdy oni są biedni.

Z uwagi na to, że zabudowania, do których dojechalśmy były oddzielone od drogi małym potokiem, musieliśmy zostawić samochód na brzegu. Stąd do domu można było dopłynąć tylko łódką. Mały potok nas nie przerażał, natomiast zaskoczyła nas przewoźniczka, którą okazała się małaletnia córka gospodarzy. Z wprawą kierowała małym czółnem i szybko znaleźliśmy się w domu jej rodziców. Przyjęto nas serdecznie i poczęstowano lokalnymi specjałami pochodzącymi z rosnącej obok dżungli. Nazw potraw czy surowców, z których zostały sporządzone nawet nie starałem się zapamiętać, gdyż były to nazwy indiańskie, trudne nieraz do wymówienia. Gospodarz poczęstował nas także ciemnobrązowym płynem nalewanym z omszałej butelki po francuskim koniaku. Sądząc jednak po smaku i zapachu nie był to koniak, a bardzo pachnący i dość mocny napój zbliżony smakiem do produkowanej na wschodnich terenach Polski na bazie ziół smorodiniówki czy dzięgielówki. Faktycznie na dnie butelki było, widać pestki, nieznanych mi owoców. Ponieważ bardzo nam to smakowało zrobiliśmy wymianę za polską Wyborową, którą zawsze miałem na podorędziu, aby w awaryjnej sytuacji mieć coś na prezent lub, jak w tym przypadku, na wymianę. Dodatkowo dostałem pęk tych ziół z owocami, świeżo zebranych przez gospodarza w dżungli i przepis na ich użycie, który okazał się rewelacyjnie prosty. Trzeba było tylko zalać owoce białym alkoholem, bimbrem lub wódką i odstawić na pewien czas w ciemne miejsce. Po kilku tygodniach płyn w butelce nabierał koloru koniaku i zyskiwał

niepowtarzalny smak. Radził zastosować to po naszym powrocie do Polski. Po mile spędzonych chwilach pożegnaliśmy gospodarzy i po ponownym pokonaniu strumienia czółnem kierowanym przez córkę gospodarzy dotarliśmy do samochodu i bezpiecznie powróciliśmy – można śmiało powiedzieć – z ubiegłych wieków do czasu nam współczesnego, do miasta Sao Paulo tętniącego życiem 24 godziny na dobę.

Już po powrocie do Polski dowiedzieliśmy się, że o. Jan poprosił o przeniesienie do rejonu Amazonii, aby móc kontynuować swoją działalność duszpasterską wśród mieszkających tam plemion indiańskich. Być może, nasze drogi znów się skrzyżują i wówczas chętnie powspominamy nasze brazylijskie przygody.

Minęło trochę czasu, wróciliśmy do Polski i rozpakowując bagaż, który przyplłynął statkiem z Brazylii zauważyłem pęk zeschniętych ziół z owocami. Nie bardzo wiedziałem, co to może być i dlaczego te suche badyłe znalazły się w moim bagażu. Chciałem je początkowo wyrzucić na śmietnik, ale potem przypomniałem sobie ich historię. Niczego nie ryzykując postanowiłem postąpić zgodnie z usłyszaną wówczas instrukcją i spróbować przygotować oryginalny napój. Suche owoce włożyłem do dużej butelki po whisky i zalałem białą wódką, a następnie odstawiłem na dno szafy. Wkrótce zupełnie zapomniałem o dokonanym eksperymencie. Dopiero przyjazd znajomego z Brazylii i chęć przypomnienia mu w Polsce brazylijskiego napitku ochrzczonego przeze mnie „dżunglówką” sprowokował mnie do sięgnięcia do szafy po butelkę. Jakież moje było zdziwienie, gdy ujrzałem w butelce płyn podobny do whisky. Wrażenia spotęgowane były dodatkowo drwiącym tonem przyjezdnego przyjaciela: „Co to ma być? Whisky brazylijska?”. Po otwarciu butelki i rozejściu się po pomieszczeniu niecodziennego zapachu, zaczął jednak wierzyć w opowiedzianą wcześniej przeze mnie historię produkcji tego eliksiru. Wiara ta umocniła się jeszcze bardziej po wypiciu małego kieliszka. Dziwne ciepło rozeszło się po całym ciele i od razu poczuliśmy się rażniej. Od tego czasu minęło kilkanaście lat i mimo dolewania kolejnej porcji zwykłego alkoholu, po jakiś czasie zamienia się on w eliksir leczniczy i służy, jako lekarstwo w razie choroby, a przede wszystkim stresu. W taki oto sposób „dżunglówka” spod Sao Paulo zawędrowała pod polskie strzechy pomagając, od czasu do czasu, odświeżyć brazylijskie wspomnienia.

## Rozdział VII

# Brazylijski karnawał

Podczas pobytu w Brazylii miałem okazję być dwukrotnie na karnawale w Rio de Janeiro oraz dwukrotnie w Sao Paulo. Jednak opisywanie karnawału, według mnie, mija się z celem, gdyż żadne słowa nie są w stanie oddać w pełni tej feerii barw strojów i dekoracji, szaleńczego rytmu samby, entuzjazmu, energii i eksplozji radości jego uczestników. Mogę tylko podzielić się pewnymi refleksjami na temat tego największego brazylijskiego święta, w którym, bez przesady, uczestniczy większość społeczeństwa.

W Rio de Janeiro, kiedy byłem po raz pierwszy świadkiem karnawału, odbywał się on jeszcze tradycyjnie na ulicy, na Avenida Marquês de Sapucaí. Uczestników szkół samby maszerujących tanecznym krokiem w rytm samby po jezdni dzieliły od widzów stojących na chodnikach jedynie linki przeciągnięte wzdłuż ulicy. Nie było problemów z przejściem pod nimi i wmieszczeniem się na chwilę w tłum jakiejś szkoły, porozmawianiem z pięknymi tancerkami czy zrobieniem sobie z nimi pamiątkowego zdjęcia. Bezpośredni ludzki kontakt, muzyka i temperatura niespadająca w ciągu doby poniżej 30 stopni Celsjusza, rosnąca jeszcze na widok skąpo ubranych tancerek, powodują, że temperament i werwa tancerzy udziela się również widzom stojącym wzdłuż trasy przemarszu grup karnawałowych, tak że w rezultacie cała ulica tańczy



i śpiewa. Drewniane trybuny dla władz, zaproszonych gości i oceniających przemarsz karnawałowy sędziów znajdowały się na ostatnim odcinku Avenidy.

Dzięki miłemu zaproszeniu państwa Aliny i Ignacego Felczaków – polonijnych działaczy w Rio de Janeiro, miałem również szczęście być, wraz z żoną, widzem na pierwszym karnawale odbywającym się na sambodromie zaprojektowanym przez słynnego architekta, Oskara Niemeyera. Jest to tzw. Passarela de Samba usytuowana na tej samej Avenidzie Marquês de Sapucaí, licząca 700 metrów długości i zakończona Placem Apoteozy, gdzie następuje finał przemarszu. Wzdłuż całej siedmiusetmetrowej trasy marszu, po jej obu stronach, są usytuowane trybuny i loże dla widzów, którzy oglądają spektakl karnawałowy jak w teatrze. Mogą one pomieścić 90 tysięcy osób. Trybuny są odgradzone od trasy przemarszu podwójną siatką z wolną przestrzenią w środku tylko dla fotoreporterów i ekip telewizyjnych. Widz jest oddalony od trasy przemarszu aktorów szkół samby o kilka lub kilkanaście metrów, ogłuszany przez muzykę orkiestry spotęgowaną dodatkowo przez potężne głośniki. Zorganizowane w ten sposób widowisko pozwala na lepsze zabezpieczenie widzów, co wzięwszy pod uwagę wzrastającą każdego roku ilość cudzoziemców przyjeżdżających na karnawał do Rio jest bardzo uzasadnionym pomysłem organizatorów. Jednakże brak bezpośredniego kontaktu między uczestnikami przemarszu i widzami nieco oziębia doznania i emocje tych ostatnich, którzy pozostają tylko widzami spektaklu, a nie jego aktywnymi uczestnikami.

Mając możliwość porównania obydwu form karnawału, osobiście wolałem jego pierwszy wariant, uliczny, a nie spektakl teatralny. Zrozumiałem wówczas transmisje telewizyjne z Salvadoru czy Recife pokazujące bawiący się i falujący tanecznie tłum na ulicach tych miast trwający od początku karnawału bez przerwy okrążyły tydzień aż do soboty, mimo obowiązującego już Wielkiego Postu.

Przemarsz szkół samby, niezależnie od muzyki, strojów czy alegorii zbudowanych na karocach karnawałowych, ma również swój wymiar czysto sportowy. Szkoły są oceniane przez jurorów za poszczególne elementy tego swobodnego spektaklu, poczynając od ściśle określonego czasu przemarszu, poprzez oceny za motyw przewodni dekoracji i strojów, wartość muzyczną granej samby, aż po takie elementy, jak zachowanie liderki szkoły idącej na czele ze sztandarem i jej taneczne popisy. Istnieje I i II liga szkół samby, każda liczy po kilka tysięcy osób oraz grupa szkół walczących o wejście do tego elitarnego klubu. Po każdym karnawale następuje awans lub spadek poszczególnych szkół do wyższej lub niższej ligi, podobnie jak to się dzieje w piłce nożnej.

Przygotowania do karnawału trwają faktycznie niemal cały rok, gdyż obejmują kompozycję muzyczną nowej samby, wymyślenie motywu wiodącego

widowiska, a następnie budowę dekorowanych pojazdów oraz żmudne ćwiczenia poszczególnych grup szkoły samby z orkiestrą, która w każdej ligowej szkole stanowi niezbędny element całości. Praktycznie już od Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku w dzielnicach miasta, gdzie mają swoje siedziby szkoły samby słychać *batukadę*, czyli odgłosy rytmicznego uderzania w bębny grup orkiestrowych, przy dźwiękach których ćwiczą grupy taneczne danej szkoły. Nie trzeba dodawać, że dla sąsiadów, mieszkających w pobliżu takiej siedziby i nieuczestniczących w tych przygotowaniach, jest to trochę męczące.

W Sao Paulo byłem zaproszony przed karnawałem na wybory Miss Karnawału, odbywające się wcześniej, podobnie jak wybory Króla-Momo, czyli władcy karnawału, któremu burmistrz przekazuje symboliczne miejskie klucze na okres trwania karnawału. Zazwyczaj jest to mężczyzna o pokaźnej tuszy, więc raczej nas to nie interesowało w przeciwieństwie do kandydatek na Miss. Przed jury i publicznością przedfilowało, kilkanaście kandydatek zgłoszonych przez różne organizacje społeczne. Większość nie przedstawiała raczej sobą ideału kobiecej urody, ale była to okazja do zaprezentowania się szerszej publiczności i wygrania „swoich pięciu minut sławy”. Jak stwierdziliśmy z żoną, obserwując zarówno scenę, jak i widownię, o wiele ładniejsze dziewczyny siedziały wśród publiczności na sali.





Zdjęcia na stronach 82, 84, 85, 87:  
Karnawał w Rio de Janeiro  
– zdjęcia z archiwum autora zrobione na słynnym sambodromie



W okresie karnawału, oprócz ulicznych korowodów, organizuje się dziesiątki i setki imprez w klubach, stowarzyszeniach, organizacjach i restauracjach. Tam też odbywają się konkursy na najładniejsze stroje, wybory lokalnych miss, itp. Zdjęcia i fotoreportaże z tych imprez zapełniają później kolorowe gazety i czasopisma. Nie brakuje na nich znakomitości ze świata polityki, biznesu, kultury i sportu poczytujących sobie za punkt honoru wzięcie, choć raz, udziału w karnawale w Rio. Dotyczy to zarówno znanych polityków, gwiazd filmowych czy sportowych nie tylko Brazylii, ale i innych krajów, w tym USA i z państw Europy Zachodniej, nie mówiąc już o sąsiednich krajach latinoamerykańskich. Niektórzy z nich niejednokrotnie uczestniczą w spektaklu najbardziej znanych szkół samby.

I jeszcze dwa spojrzenia na uczestników karnawału. Jedno osobiste, kiedy wracaliśmy samochodem z Rio de Janeiro do Sao Paulo wczesnym świtem po ostatniej nocy karnawałowej i mijaliśmy po drodze, wracających do domów na ubogich przedmieściach Rio de Janeiro jego uczestników. Zmęczeni, niekiedy słaniający się na nogach, z pogubionymi po drodze częściami strojów, ale bardzo szczęśliwi ze zrealizowanego snu, uśmiechali się do nas i machali rękami serdecznie i przyjaźnie, dzieląc się tak doznany szczęściem.

Drugi obraz oglądany w telewizji argentyńskiej, kilka lat później. Obok bezpośrednich transmisji z karnawału, pełnych przemarszów i szaleństw, argentyńska ekipa nakręciła reportaż o manifestacji antyrządowej zorganizowanej przez emerytów i rencistów w pobliżu sambodromu, niosących w pochodzie hasła domagające się od rządu polepszenia warunków ich życia i podwyżek niskich rent i emerytur. Udzielający wywiadu reporterowi jeden z jego uczestników na pytanie: „Dlaczego demonstranci biorący udział w tej manifestacji tańczą i śpiewają?”, odpowiedział w sposób prosty i lakoniczny: „Przecież teraz jest karnawał”.

## Rozdział VIII

### Parlamentarne podróże

W końcowym okresie istnienia PRL-u Ministrowi Spraw Zagranicznych udało się w praktyce to, co formalnie zawsze istniało na papierze, a mianowicie pełnić koordynacyjną rolę w polityce zagranicznej w stosunku do innych organów państwa. Praktyczny wymiar tego przejawiał się m.in. w uzgadnianiu z MSZ wyjazdów zagranicznych najwyższych przedstawicieli władz państwowych i parlamentu. Ponadto, w skład delegacji, niezależnie od wyższych rangą urzędników ministerstwa, wchodził także eksperci określonych dziedzin lub znawcy regionów geograficznych. Tym sposobem znalazłem się w delegacji parlamentarnej, która wiosną 1988 roku udała się z oficjalnymi wizytami do Kolumbii, Boliwii, Brazylii i Argentyny.

Pierwszym etapem była Kolumbia, w której już wówczas toczyła się wojna domowa, co prawda jeszcze nie taką skalę, jak w następnych latach, ale działały już silne oddziały lewicowej partyzantki walczącej z siłami rządowymi. Dlatego, od momentu przylotu, otrzymaliśmy silną eskortę wojskową, która towarzyszyła nam aż do chwili wylotu z Bogoty. O tym, że było niebezpiecznie przekonał nas fakt, że już pierwszego dnia pobytu, kiedy były prowadzone rozmowy w miejscowym parlamencie, wybuchła bomba w sąsiedztwie hotelu, w którym zamieszkaliśmy.



Autor z konną policją na placu Bolivara – centralnym placu stolicy Kolumbii, Bogoty



Fragment nowoczesnej części stolicy Kolumbii, Bogoty

Przed zwiedzaniem stolicy kraju i oficjalnymi rozmowami, gospodarze zorganizowali nam wycieczkę do, odległego o ok. 50 km od Bogoty, miasta Zipaquira, jednego z większych miast Kolumbii, słynącego z kopalni soli, a szczególnie z Katedry Solnej znajdującej się w jednej z byłych kopalni tego minerału. Złóża soli umiejscowione były w górze wznoszącej się nad miastem, stąd też, aby wejść do Katedry należało wspiąć się po schodach na zboczu i dalej przejść kilkusetmetrową starą sztolnią kopalnianą, w której wykuto 14 tablic drogi krzyżowej. Katedra, jest w rzeczywistości, olbrzymią solną kaplicą mającą 75 metrów długości i 18 metrów wysokości. Posiada trzy nawy, a każda z nich swój ołtarz. Pierwsza poświęcona jest narodzinom i chrzcinom Jezusa, druga Jego życiu i śmierci, a trzecia zmartwychwstaniu. W środku głównej nawy znajdował się olbrzymi krzyż. Zgodnie z wyjaśnieniami przewodnika, w każdą niedzielę odbywają się w Katedrze nabożeństwa, na które przychodzą liczni wierni z okolic i turyści. Dla nich, ale także z okazji różnych uroczystości, jedno z pomieszczeń pełniło rolę sali konferencyjno-koncertowej. Natomiast na zewnątrz utworzono park oraz muzeum, w którym przedstawiona była historia kopalni i techniki wydobywania soli. Zgodnie z opiniami członków delegacji wymienianymi po cichu, polska kopalnia w Wieliczce jest o wiele większa i ładniejsza, a ponadto pełni funkcje rehabilitacyjno-lecznicze. Po powrocie do Bogoty pojechaliśmy do centrum miasta, aby z zewnątrz obejrzeć gmach parlamentu, mieszczącego się na placu Bolívara, gdzie usytuowane były także: Pałac Prezydencki, Sąd Najwyższy, katedra i miejski Ratusz. Paradowała po nim stale konna policja, ale nasi „aniołowie stróż” także nie odstępowali na krok delegacji. Z tego powodu zwiedzanie Bogoty ograniczyło się do starej, kolonialnej dzielnicy Candelarii z kolorowymi kamieniczkami oraz wspaniałego Muzeum Złota, gdzie zgromadzono najcenniejsze znaleziska archeologiczne z czasów przedkolumbijskich wykonane z cennych kruszców i szlachetnych kamieni. Warto wspomnieć, że Kolumbia jest jednym z największych na świecie producentem szmaragdów. Zadziwiające eksponaty, precyzja wykonania i kunszt indiańskich rzemieślników wywołują zdumienie i zachwyt zwiedzających. Obok wymienionych wyżej zabytków udało nam się zwiedzić klasztor i Sanktuarium Czarnej Madonny, La Morenity, na wzgórzu Monserrate, gdzie można wjechać, na wysokość 3100 m, kolejką linową, ale pielgrzymi zazwyczaj idą na szczyt pieszo. Podczas mojego kolejnego pobytu w Bogocie, w samym centrum miasta zwiedziłem Muzeum Fernando Botero, światowej sławy rzeźbiarza i malarza znanego ze swoich „grubych” figur i postaci. Jechałem też autobusem TransMilenio łączącym w sobie zalety metra i autobusu, gdyż porusza się on po wydzielonych pasach i przecina

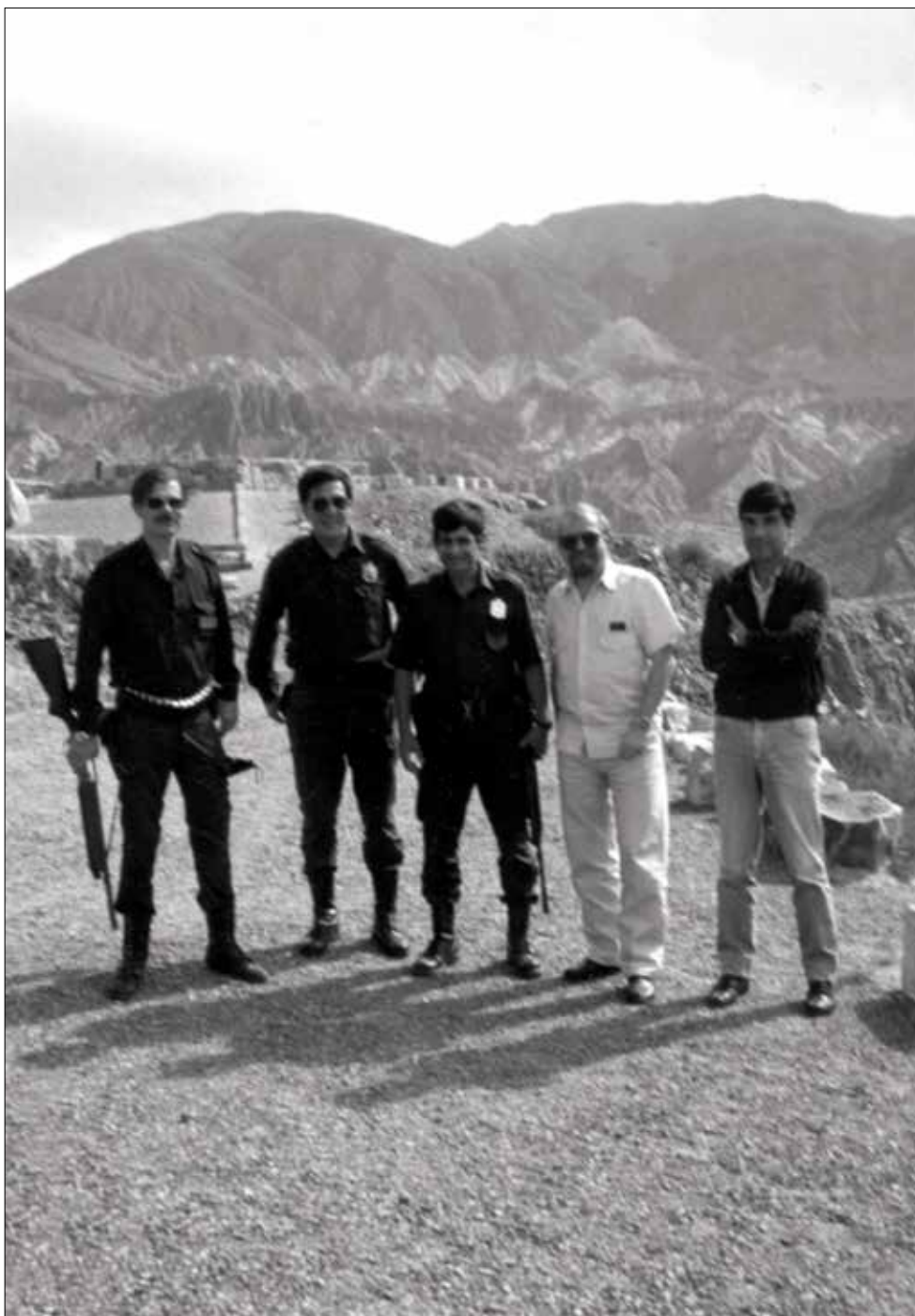
całe miasto. W czasie naszego pobytu, trwała kampania wyborcza do władz lokalnych, toteż miasto było oblepione zdjęciami kandydatów na burmistrzów i radnych. Krajobraz plakatowy mogliśmy oglądać we wszystkich miejscach, w których byliśmy w Kolumbii. Interesująco wyglądało to w Kartagenie (Cartagena de Indias), gdzie jedna z kandydatek postanowiła wzorować się na włoskiej Ciciolinie i jej plakaty, z odsłoniętym biustem, patrzyły na nas na wszystkich ulicach miasta. W Kartagenie znaleźliśmy się na zaproszenie ad hoc Przewodniczącego Senatu, który pochodził z tego terenu i sfinansował całą podróż. Po przylocie z Bogoty (2600 m n.p.m.) odczuliśmy od razu różnice klimatyczne między obu miastami. Cartagena, leżąca na Wybrzeżu Karaibskim Pacyfiku, jest stolicą departamentu Bolivar, głównym portem Kolumbii i ma bogatą historię. Stwierdziliśmy to podczas zwiedzenia miasta, jednego z najpiękniejszych w kraju, o typowej kolonialnej zabudowie, pamiętającej jeszcze czasy panowania hiszpańskiego. Stare miasto jest otoczone fortyfikacjami, gdyż od chwili jego założenia przez Pedro de Heredia w pierwszej połowie XVI wieku (jego pomnik znajduje się na jednym z centralnych placów miasta obok pomnika Krzysztofa Kolumba), miasto przeżywało liczne najazdy i ataki piratów oraz korsarzy w służbie ówczesnych potęg morskich, w tym słynnego angielskiego korsarza Francisa Drake'a w 1586 roku. Dla ich odparcia Hiszpanie nieustannie budowali nowe fortyfikacje, m.in. nigdy nie zdobyty fort Castillo de San Felipe de Barajas na wzgórzu San Lazaro. Obecnie to milionowe miasto jest znanym kurortem, w którym odbywa się Międzynarodowy Festiwal Piosenki. Oferuje przyjeżdżającym wspaniały, tropikalny klimat, piękne plaże nad Pacyfikiem i wiele atrakcji. Jedną z nich mieliśmy poznać.

Po wspomnianym zwiedzaniu miasta i licznych rozmowach ze wszystkimi lokalnymi notablami czekała nas niespodzianka. Gospodarze zorganizowali wycieczkę, dwoma łodziami motorowymi, na tropikalne wyspy leżące około godziny drogi od miasta. Była słoneczna pogoda, żadnej chmurki na niebie, morze gładkie jak stół, nastroje więc mieliśmy znakomite. Kiedy dopłynęliśmy do dwóch małych wyseppek otoczonych rafą koralową, na większej z nich czekał już przygotowany obiad, składający się głównie z owoców morza i tropikalnych owoców. Nie omieszkało także serwować lokalnych napitków, przede wszystkim rumu z różnymi dodatkami. Po obiedzie skorzystaliśmy z kąpieli w błękitnej, przezroczystej wodzie i zasiedliśmy do rozmów pod parasolami. Po prostu rajski zakątek. Żyć nie umierać. Nikt się nie spodziewał, że to powiędzenie w bardzo krótkim czasie przypomni nam przypowieść o rajcu, z którego Adam i Ewa zostali wypędzeni na ziemski padół. Z nami było trochę

Widok ulicy w Kartagenie  
z plakatami wyborczymi kandydatów  
do lokalnego samorządu



Widok na zatokę w Kartagenie



Autor razem z żołnierzami ochrony  
towarzyszącymi polskiej delegacji parlamentarnej w Kolumbii

podobnie. Niepostrzeżenie znikło słońce i zerwał się wiatr wzmagający się z każdą chwilą. Dopiero wówczas organizatorzy zorientowali się, że ciut przesadzili z odpoczynkiem po obiedzie i wezwali wszystkich do łodzi. Po odbiciu od wyspy, fale były jeszcze stosunkowo małe, gdyż osłaniała nas rafa, stąd nadal dopisywały humory i co poniektórzy zaintonowali nawet piosenkę „Morze, nasze morze...”. Piosenka i humory znikły, kiedy wypłynęliśmy na wody poza ochraniającą rafę. Łodzie nagle zaczęły wspinać się na 2-3 metrowe fale, aby potem spadać w dół. I znowu w górę i znowu w dół. Większej części pasażerów obiad wyleciał za burtę, a inni dostawszy morskiej choroby padli na łóżka pod pokładem i nie pokazali się więcej. Sytuacja była zupełnie nieciekawa, gdyż dodatkowo zaczął padać deszcz. Czas podróży na wyspę trwał godzinę, w drodze powrotnej wydłużył się do trzech, przy stale wznoszących i opadających falach. Wymęczeni, bladzi, a niektórzy zieloni, zeszliliśmy na ląd i z ulgą wsiedliśmy do samochodów, aby udać się do hotelu, a później, już z bagażami, na lotnisko, skąd mieliśmy odlecieć z powrotem do Bogoty. Nie był to jednak koniec przygód tego dnia. Samolot, na który czekaliśmy miał przylecieć ze stolicy, ale nasze oczekiwanie na lotnisku zaczęło się przedłużać. Gospodarze zaproponowali nam nagle zjedzenie kolacji, czego nie było w planie, twierdząc, że opóźnienie może potrwać. Brzmiało to dość tajemniczo, tym bardziej, że atmosfera na lotnisku zaczęła stawać się nerwowa. Razem z kolegą, znającym język hiszpański, udaliśmy się, aby zasięgnąć informacji u pracowników lotniska. To, co usłyszeliśmy, odebrało nam na chwilę mowę. Samolot lecący z Bogoty do Kartageny, który miał nas zabrać do stolicy, rozbił się w połowie drogi o zbocze góry z powodu gęstej mgły i padającego deszczu. Wszyscy pasażerowie i załoga samolotu, w sumie ponad pięćdziesiąt osób, zginęli. Z Bogoty wysłano drugi samolot, którym mieliśmy odlecieć. Te smutne wieści przekazaliśmy pozostałym członkom delegacji. Oczekiwanie na samolot, a następnie lot do stolicy minął w minorowych nastrojach, tak różnych od radosnych o poranku.

Następnego dnia mieliśmy odlecieć do stolicy Peru, Limy i po kilku godzinach dalej do La Paz, stolicy Boliwii. Wiedzieliśmy, że polska ambasada w Limie przygotowała na nasz kilkugodzinny, tranzytowy pobyt bogaty program turystyczny i zwiedzanie peruwiańskiej stolicy. Osobiście cieszyłem się bardzo, gdyż dotychczas nie byłem w kraju Inków, a zawsze było to moim marzeniem.

Ale pech prześladował nas nadal. Po przyjeździe na lotnisko poinformowano nas, że z przyczyn technicznych, lot będzie opóźniony. Dla zabicia czasu przechadzaliśmy się po lotnisku i z ciekawości zatrzymaliśmy się w miejscu,



gdzie przez szybę mogliśmy obserwować reperację samolotu stojącego tuż przy dworcu lotniczym. Chodziło o wymianę jednego z kół samolotu. Obrazek, który oglądaliśmy, był typowy nie tylko na tej szerokości geograficznej. Jeden mechanik zajmował się kołem, a trzech inni stali, rozmawiali i prawdopodobnie „mądrze” mu doradzali. Oczywiście papieros, kubek kawy i dalej – znany obrazek. Trwało to cztery godziny. Obserwując to z uśmiechem wymienialiśmy złośliwe uwagi na temat organizacji pracy i szybkości wykonywanego remontu. Uśmiechy zgasły, gdy powiedziano nam, że chodzi o nasz samolot. Z czterogodzinnym opóźnieniem przylecieliśmy więc do Limy, gdzie nastąpiła kontynuacja pechowych zdarzeń. Z programu turystycznego nic nie wyszło, ze względu na brak czasu, gdyż, jak na złość, wiecznie spóźniająca się boliwijska linia lotnicza, której samolotem mieliśmy lecieć do La Paz, tym razem miała odlecieć o czasie, a trzeba było ponownie się poddać odprawie. W zaistniałej sytuacji „bogaty” program turystyczny został zmniejszony do „skromnego”, chwilę później obcięty do „minimum”, gdyż, przy pakowaniu bagażu do samochodu ambasady, jego kierowca w pośpiechu „zamknął” bagażnik na głowie jednego z posłów. Krew, zamieszanie, w końcu lekarz, kilkanaście szwów na głowie poszkodowanego i wreszcie mogliśmy dojechać na znajdujący się w pobliżu bazar wyrobów rękodzielniczych Indian, aby parlamentarzyści mieli choć symboliczne wyobrażenie o sztuce ludowej potomków Inków. Tak się im podobało, że prawie siłą trzeba było odciągać ich z powrotem, ponieważ czas biegł nieubłaganie i trzeba było wracać na lotnisko. Tam zaś, już czekał samolot, którym poleciliśmy nad szczytami Andów, do najwyższej położonej stolicy państwa na świecie, boliwijskiego, La Paz.

Wylądowaliśmy w porcie lotniczym El Alto, na wysokości 4150 m n. p. m., bo tak właśnie jest położone międzynarodowe lotnisko La Paz. Zostaliśmy zaprowadzeni do salonu VIP i z miejsca poczęstowani herbatą *mate de coca* działającą na chorobę wysokościową, zwaną *soroche*. Zauważyłem, że w kącie salonu i w sali przylotów stoją dyżurne butle tlenowe dla ewentualnych cięższych przypadków. Po krótkiej chwili wytchnienia i przyzwyczajeniu się do oddychania rozrzedzonym powietrzem, ruszyliśmy do miasta położonego w dole. Po wyjściu z dworca lotniczego podziwialiśmy widoczny w perspektywie wiecznie ośnieżony szczyt świętej góry Indian, Illimani, wznoszący się na wysokość ponad 6400 m n.p.m. Jego widok towarzyszył nam przez cały pobyt. Wąskim kanionem zjechaliśmy do miasta, odległego o 14 km od lotniska i położonego na wysokościach między 3600–3400 m n.p.m. Jak nam później wyjaśniono, cena terenów miejskich zależy od wysokości, na których są położone, im niżej, tym drożej. Miasto liczące ok. milion mieszkańców jest



Autor na tle olbrzymiego kaktusa w interiorze Kolumbii

właściwie siedzibą rządu, gdyż konstytucyjną stolicą Boliwii jest miasto Sucre. Politycznym centrum kraju jest jednak La Paz, stąd też wizyta naszej delegacji w tym mieście. Była ona jednak krótka, zgodnie z rekomendacjami lekarskimi, ponieważ niektórzy członkowie delegacji w przeszłości mieli problemy sercowe. Po rozmowach w parlamencie, gospodarze zaproponowali nam krótką wycieczkę do ruin przedkolumbijskiej cywilizacji Tiahuanaco, których makietę widzieliśmy podczas przechadzki po mieście. Wszyscy się zgodzili, ale w drodze na przedmieścia El Alto, tam gdzie jest lotnisko i przez które prowadzą drogi do innych regionów Boliwii, przewodnik rzucił niebacznie pytanie: „To co, jedziemy do ruin, czy nad jezioro Titicaca?” W odpowiedzi wszyscy zawołali zgodnym chórem: „Titicaca”. Wszyscy o tym jeziorze, najwyższym położonym zbiorniku słodkowodnym na świecie (ponad 3000 m n.p.m.) słyszeliśmy, więc będąc tak blisko nie chcieliśmy przepuścić takiej okazji. Zanim jednak wjechaliśmy na drogę prowadzącą do jeziora, musieliśmy przejechać przez przedmieście stolicy El Alto, większe od samego La Paz, zamieszkałe głównie przez biedotę. Ciągące się wzdłuż drogi lepianki i wałęsający się bez celu ludzie, a przede wszystkim widok małych, umorusanych dzieci nie robił najlepszego wrażenia. Dopiero, kiedy opuściliśmy



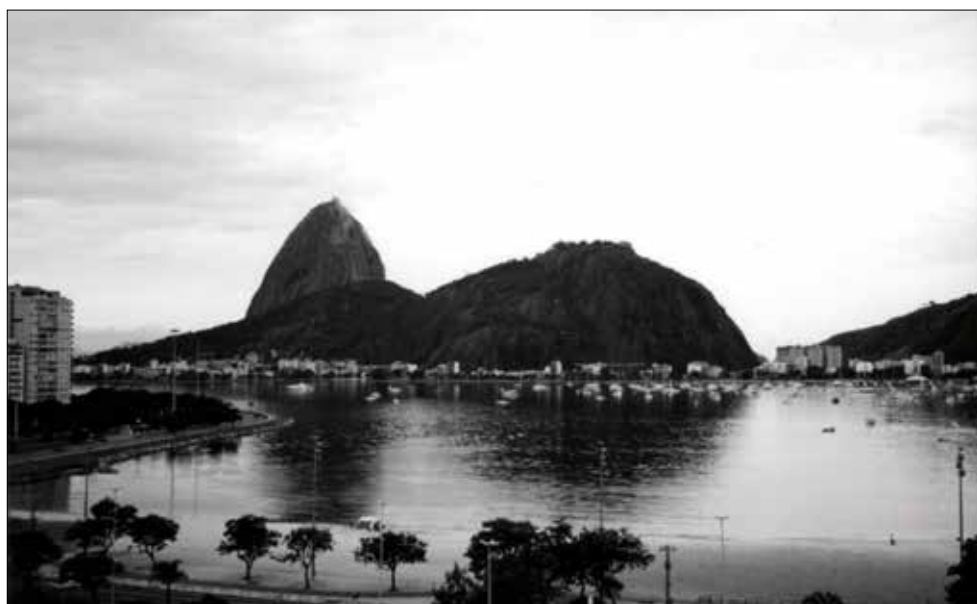
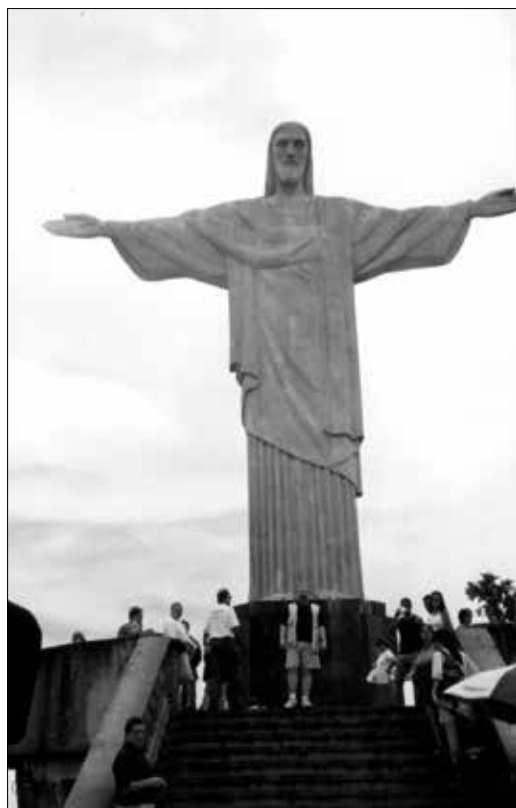
Widok stolicy Boliwii - La Paz

tę strefę i wjechaliliśmy na asfaltową szosę pełnej dziur poczuliśmy, że jesteśmy naprawdę w boliwijskim interiorze. Potwierdzali to nieliczni Indianie wędrujący wzdłuż szosy w charakterystycznych czapkach lub kapelusikach (kobiety) i niosący jakieś tobołki na plecach. Mijając ich, machaliśmy przyjaźnie, a kiedy zobaczyliśmy matkę z małą dziewczynką, zatrzymaliśmy się i zrobiliśmy im zdjęcia, dając jednocześnie małej słodycze. Wreszcie dotarliśmy do osady leżącej nad samym jeziorem. Stało tam kilkanaście chat, z których wyszli tubylcy zaciekawieni przyjazdem obcych, białych ludzi. Dowiedziawszy się, kim jesteśmy, zaoferowali swoje usługi i łodzie, aby wypłynąć nimi na jezioro. Z wielkim żalem musieliśmy podziękować, gdyż czas naglił i trzeba było wracać. Symbolicznie zamoczyliśmy nogi i ręce w jeziorze i wsiedliśmy do autobusu, aby wrócić nim do La Paz i kontynuować podróż.

Następnym etapem była Brazylia, a w pierwszym rzędzie jej stolica, Brasilia. Widziałem ją wcześniej, o czym wspominałem w poprzednich rozdziałach, ale tym razem mogłem ją poznać zupełnie z innej strony. Dzięki oficjalnemu charakterowi wizyty i dobrym stosunkom, jakie Polska miała z Brazylią, nadano wizycie najwyższy poziom protokolarny. Delegację przyjął Prezydent Republiki, José Sarney, Przewodniczący Senatu i Izby Deputowanych oraz Prezes Sądu Najwyższego. Tym sposobem odwiedziliśmy trzy najważniejsze gmachy na Placu Trzech Władz, miałem możliwość osobiście poznać najważniejsze osoby w państwie i zobaczyć wewnętrzne salony recepcyjne i konferencyjne, czego wcześniej nie miałem okazji, oglądając je tylko z zewnątrz. Odwiedziliśmy także piękny gmach Itamaraty tj. MSZ, gdzie odbyło się spotkanie z Ministrem Spraw Zagranicznych. Przyjęcie w reprezentacyjnych salonach naszej ambasady, na cześć brazylijskich gospodarzy, wydane przez przewodniczącego delegacji zakończyło nasz pobyt w brazylijskiej stolicy. Kolejnym etapem było miasto Sao Paulo, gdzie spędziłem kilka lat, co opisałem wcześniej, ale tym razem wylądowaliśmy na nowym, międzynarodowym lotnisku Guarulhos, zbudowanym już po moim wyjeździe. Finansowe i przemysłowe centrum Brazylii, jakim jest Sao Paulo, zwane także lokomotywą brazylijskiej gospodarki, było dogodnym miejscem do spotkania naszej delegacji z czołowymi przedstawicielami kół finansowych i przemysłowych, w celu omówienia perspektyw rozwoju stosunków gospodarczych polsko-brazylijskich. Z ciekawością obserwowałem miny naszych delegatów, kiedy z tarasu 26. piętra wieżowca Federacji Przemysłu Stanu Sao Paulo (FIESP), na słynnej Avenida Paulista, znanej m.in. z serialu telewizyjnego pod tym samym tytułem, mogli podziwiać panoramę miasta, którego końców nie było widać, gdyż Avenida Paulista jest położona na jednym z najwyższych punktów wysokościowych miasta. Jednocześnie można było oglądać stojące

obok siedziby FIESP i kilkanaście innych wieżowców mieszczących banki lub siedziby znanych światowych koncernów. Mogłem usłyszeć ciche rozmowy posłów między sobą, typu: „I to jest Trzeci Świat?” (Nie zapominajmy, że był to rok 1988!). Jeśli do tego dodać zwiedzanie olbrzymiego miasteczka Uniwersytetu Sao Paulo i spotkanie z jego rektorem, José Goldenbergiem, wybitnym specjalistą z dziedziny fizyki jądrowej i późniejszym ministrem federalnym ds. nauki, to trzeba przyznać, że to „trzecioświatowe” miasto wywarło na delegacji ogromne wrażenie. Nowym etapem podróży była Kurytyba, stolica „polskiego” stanu Paraná. Zgodnie z programem i protokołem delegacja złożyła wizyty u Gubernatora Stanu, Przewodniczącego stanowego Zgromadzenia Ustawodawczego, Przewodniczącego stanowego Trybunału Sprawiedliwości oraz burmistrza miasta, ale głównymi punktami pobytu były spotkania z brazylijską Polonią. Jedno z nich odbyło się w siedzibie Stowarzyszenia „Uniao Juventus”, drugie w budynku Stowarzyszenia Polsko-Brazylijskiego im. Tadeusza Kościuszki. Ponadto okazją do spotkań z rodakami było zwiedzanie Parku im. Jana Pawła II, gdzie zgromadzono liczne zabytkowe chaty osadników przybyłych do Brazylii i do Parany w latach 70. XIX wieku i gdzie ufundowano jeden z pierwszych pomników polskiego papieża, w inauguracji którego brałem udział jeszcze jako urzędujący konsul w Sao Paulo. Ukoronowaniem tych polonijnych spotkań było przyjęcie w polskim Konsulacie Generalnym, którego kompetencje obejmują trzy stany brazylijskie: Paraná, Rio Grande do Sul i Santa Catarina, zamieszkałe przez największą liczbę Polaków lub bardziej precyzyjnie mówiąc – Brazylijczyków polskiego pochodzenia. Były to bowiem osoby z czwartego lub nawet piątego pokolenia Polaków przybyłych pod koniec XIX wieku, a głównie po I wojnie światowej lub w latach 30. XX wieku. Rozmowy, nacechowane emocjami i wspomnieniami dotyczącymi przeszłości osobistej lub rodzinnej, trwały bardzo długo i polscy parlamentarzyści, choć w skrócie, mogli na żywo zapoznać się z historią i dziejami polskich emigrantów. Ostatni etap brazylijskiej podróży to słynne Rio de Janeiro. Tym razem, poza spotkaniem z miejscową Polonią w Biurze Rady Handlowego, nie było żadnych oficjalnych spotkań z lokalnymi władzami, więc mieliśmy czas, aby choć trochę zobaczyć to piękne miasto, znane większości członków delegacji tylko z filmów lub zdjęć. Rio de Janeiro pełniło rolę stolicy państwa od początku XIX wieku aż do roku 1960, tj. do czasu zbudowania nowej stolicy, Brasílii, położonej w głębi kraju, a nie na wybrzeżu, narażonym w poprzednich wiekach na ataki piratów morskich. Do dzisiaj jednak mieszkańcy Rio, zwani popularnie *cariocas*, uważają, że ich miasto pozostaje kulturalną stolicą Brazylii. Czyżby przejęli to od mieszkańców Krakowa? Jest faktem, że ilością instytucji kulturalnych, muzeów i zabytków

Pomnik Chrystusa Odkupiciela  
na wzgórzu Corcovado  
w Rio de Janeiro



Zatoka Botafogo w Rio de Janeiro z widokiem na Głowę Cukru

zdecydowanie przewyższa nową stolicę, a jeśli do tego dodamy słynny karnawał, plaże Copacabana, Ipanema, Leblon i szereg innych, to nietrudno się domyśleć, że Rio de Janeiro pozostaje także turystyczną stolicą kraju.

Być w Brazylii i nie odwiedzić Rio jest to po prostu niewybaczalny błąd, podobnie jak być w Rio i nie zobaczyć wspaniałej figury Chrystusa na wzgórzu Corcovado, skąd, z wysokości ponad 700 m, Chrystus Odkupiciel (Cristo Redentor) spogląda na położone pod nim w dole miasto i bierze je pod opiekę szeroko rozpostartymi ramionami. Figura wraz z podstawą ma 38 m wysokości, a rozstaw ramion wynosi 23 m. Projekt pomnika autorstwa Heitora de Silvy powierzono do realizacji, wyłonionemu w konkursie, rzeźbiarzowi francuskiemu Paulowi Landowskiemu, który był z pochodzenia Polakiem, synem powstańca styczniowego. Odsłonięcie pomnika miało miejsce 12 października 1931 roku, a w 50. rocznicę tego wydarzenia iluminację oświetlającą pomnik włączył osobiście papież Jan Paweł II. Dzięki oświetleniu biała figura Chrystusa jest widoczna w nocy z każdego zakątka Rio. Natomiast w dzień, spod figury widać wspaniałą panoramę miasta, włącznie z jego innymi, znanymi symbolami tj. Głową Cukru (Pão de Açúcar) oraz największym stadionem piłkarskim świata, Maracanã, mogącym pomieścić 200 tys. kibiców. Stadion ten dwukrotnie gościł papieża Jana Pawła II w czasie jego pielgrzymek do Brazylii w roku 1980 i 1997. Obecnie jest modernizowany przed Mistrzostwami Świata w Piłce Nożnej w 2014 roku. Wszystkie te piękne widoki można zobaczyć w ładną pogodę, ale niejednokrotnie bywa, że ze względu na usytuowanie figury Chrystusa otacza ją mgła, co zdarzyło mi się osobiście widzieć podczas jednego z poprzednich pobytów w tym miejscu. Ze współczuciem obserwowałem wówczas licznych, zmartwionych turystów z kamerami i aparatami fotograficznymi, pozbawionych możliwości upamiętnienia swojego pobytu przy tym symbolu Cudownego Miasta (Cidade Maravillosa), jak także bywa nazywane Rio. My mieliśmy jednak szczęście i słońce nadal nam towarzyszyło w czasie zwiedzania. Przy Głowie Cukru, nieopodal Czerwonej Plaży, której nazwa pochodzi od piasku o odcieniu czerwonym, spotkaliśmy kolejny polski symbol, pomnik Fryderyka Chopina, którego autorem jest polski rzeźbiarz mieszkający wiele lat w Brazylii, August Zamoyski. Jadąc wzdłuż słynnej na całym świecie plaży Copacabana, a następnie niemniej sławnej plaży Ipanema, upamiętnionej piosenką „Dziewczyna z Ipanemy”, spotkaliśmy pośrodku wysepki rozdzielającej dwa pasy alei pomnik, a właściwie popiersie marszałka Józefa Piłsudskiego, odsłonięte w setną rocznicę jego urodzin. Z okazji Święta Niepodległości Polski składane są przy nim kwiaty od przedstawicieli Polonii. Inną ważną pamiątką polsko-brazylijskiego braterstwa broni jest pomnik poświęcony poległym

w czasie II wojny światowej, w tym także Polakom walczącym w ramach brazylijskiego korpusu w kampanii włoskiej, usytuowany w parku dzielnicy Flamengo. Podczas wieczornego przyjęcia w Biurze Radcy Handlowego polscy kombatanci opowiadali parlamentarzystom, że poczynając od 1965 roku, rokrocznie, w pierwszą niedzielę po 15 sierpnia obchodzony jest uroczystość Dzień Żołnierza Polskiego. Po mszy w kościele, polskim przedstawicielem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów składają pod wspomnianym pomnikiem wieniec w polskich barwach narodowych, w obecności brazylijskiej kompanii honorowej. Podobnie jak w Kurytybie, „nocne rodaków rozmowy” trwały długo i tylko myśl o czekającym nas nazajutrz locie do Buenos Aires, położyła im kres o rozsądnej godzinie.

Odlatując z Rio do stolicy Argentyny przeżyłem osobistą, niemiłą przygodę, na szczęście zakończoną pomyślnie. Jak wiadomo, delegacja poruszała się w zwartej kolumnie eskortowanej przez policję drogową, aby ułatwić przejazd wśród samochodów mknących po ulicach miasta. Zgodnie z protokołem, przy wyjazdach z hotelu najpierw wkładaliśmy bagaże do samochodów i czekaliśmy na wyjście delegacji, szczególnie jej szefa, po czym zajmowaliśmy miejsca w samochodach i kolumna ruszała w drogę. Otóż wychodząc z hotelu, zorientowałem się, że nie mam przy sobie aparatu fotograficznego. W tym momencie nie wiedziałem, czy zapakowałem go do bagażu, który znajdował się już w jednym z samochodów kolumny gotowej do wyjazdu, czy go gdzieś zostawiłem. Trudno to było sprawdzić. Istniała możliwość, że zostawiłem go na stoliku w pokoju hotelowym. Ponieważ jeszcze nie wszyscy członkowie delegacji opuścili hotel, pobiegłem szybko do swojego pokoju. Aparatu tam nie było, a jak wybiegłem przed hotel, kolumny z delegacją nie było też. Zauważyłem jeszcze na zakręcie uliczki hotelowej znikający ostatni samochód eskorty policyjnej. Zostałem sam, bez bagażu i delegacji, która jechała na międzynarodowe lotnisko, aby odlecieć do Buenos Aires. Co robić? Znalazłem się w rozterce, ale trzeba było podjąć jakąś decyzję, aby dogonić delegację i razem z nią polecieć dalej. Machnąłem ręką na najbliższą taksówkę stojącą przed hotelem, wskoczyłem do niej i krzyknąłem do kierowcy: „Na lotnisko. Tylko szybko! Płacę podwójnie”. Chyba ten ostatni argument był najbardziej przekonujący, bo kierowca szalał po ulicach Rio tak, że przyjechaliśmy pierwszy, jeszcze przed kolumną. Gdy ta podjechała, byłem pierwszą osobą witającą delegację. Koledzy się zdziwili i zapytali, jakim samochodem jechałem, gdyż nie zauważyli, w zamieszaniu, mojej nieobecności w kolumnie. W zaistniałej sytuacji nic nie mówiłem o jeździe taksówką, na którą wydałem wszystkie zaoszczędzone pieniądze. Ale czy one były najważniejsze?



Wizyta w Argentynie była również tak krótka, jak w Boliwii. Ograniczyła się do rozmów w argentyńskim Parlamencie, krótkiego zwiedzania Buenos Aires i spotkania z Polonią. Jeżdżąc po ulicach argentyńskiej stolicy zauważyliśmy różnicę jaka dzieli ją od brazylijskich miast Sao Paulo czy Rio de Janeiro, nie mówiąc już o Bogocie czy La Paz. Stolica Argentyny bardziej przypomina miasta europejskie, szczególnie wskazywałby na to wygląd jej mieszkańców. Zdecydowana większość była pochodzenia europejskiego. Osób o kolorowej karnacji skóry praktycznie nie było widać na ulicach. Architektura także bardziej przypominała Europę niż miasta latynoskie. Podziwialiśmy najszerszą, zdaniem gospodarzy, ulicę świata, 9 de Julio (9 lipca) oraz gmach Kongresu i Pałac Prezydenta Republiki, Casa Rosada (Różowy Dom). Tak jak w Brazylii, podczas spotkania z miejscową Polonią poznawaliśmy przedziwne i zakłócone losy polskich emigrantów, których los rzucił nad brzegi rzeki La Platy. Podczas tej wizyty poznałem wiele osób, tak z argentyńskich sfer politycznych, jak i przedstawicieli organizacji i środowisk polonijnych, te znajomości bardzo mi się przydały i to szybciej niż się mogłem spodziewać. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że dosłownie kilka miesięcy później wyląduję ponownie w Buenos Aires, jako radca polskiej ambasady, aby spędzić tam kolejne cztery lata mojego dyplomatycznego życia. Powrót do Polski przebiegł spokojnie, bez niemiłych niespodzianek. Była to pierwsza i ostatnia moja podróż z reprezentantami naszego parlamentu, która rozpoczynała się i kończyła w Warszawie. Po 1989 roku kancelarie obu izb parlamentu przestały korzystać z pomocy doradców i ekspertów MSZ podczas podróży, ograniczając się do uzyskiwania z ministerstwa stosownych materiałów na piśmie, co nie zawsze chroniło parlamentarzystów przed różnego rodzaju wpadkami podczas pobytu za granicą. Ale to już inna historia. W charakterze dyplomaty rezydującego w jednym z krajów, gdzie byłem akredytowany, wielokrotnie towarzyszyłem polskim posłom i senatorom przyjeżdżającym z oficjalnymi wizytami lub na konferencje międzyparlamentarne, ale to też inna opowieść.

## Rozdział IX

### Argentyńska mozaika

„Gdzie Wy jedziecie? Na wojnę?”. Takie i podobne pytania padały w przeddzień naszego wyjazdu do Buenos Aires, gdyż polska telewizja pokazywała czołgi na ulicach argentyńskiej stolicy. Był to bunt jednostki wojskowej dowodzonej przez pułkowników Mohammeda H. Seineldina i Aldo Rico, przeciwko rządowi prezydenta Raula Alfonsina. Szybko się jednak zakończył, ponieważ buntownicy nie zdołali przeciągnąć na swoją stronę większości wojska i poddali się oddziałom wiernym rządowi.

Takim mocnym akcentem rozpoczęła się moja przygoda z Argentyną. Jadąc z międzynarodowego lotniska Ezeiza do ambasady, przez centrum Buenos Aires, mijaliśmy jeszcze, ustawione w strategicznych, punktach miasta, czołgi i samochody opancerzone, z czuwającymi przy nich żołnierzami obwieszonymi bronią gotową do strzału.

Praktycznie miesiąc później nastąpiły kolejne rozruchy. 23 stycznia 1989 roku miał miejsce atak grupy skrajnie lewicowej partyzantki na koszary wojskowe La Tablada położone niedaleko argentyńskiej stolicy. Po częściowym opanowaniu jednostki lewicowi napastnicy bronili zajętych pozycji przez kilka dni przed wojskiem i policją usiłującymi odbić stracone budynki i tereny. W rezultacie walk zginęło ponad 40 osób, głównie spośród atakujących, a później broniących się partyzantów, a kilkudziesięciu uczestników walk

zostało rannych. Schwytani partyzanci z Ruchu Todos a la Patria (Wszyscy za Ojczyznę) zostali postawieni przed sądem i wymierzono im kary długoletniego więzienia. Przywódca ataku, Enrique Gorriaran Merlo został zwolniony dopiero w 2003 roku.

Wspomniane wydarzenia oglądałem głównie w telewizji, natomiast w 1991 roku byłem naocznym świadkiem kolejnego buntu wojskowych przeciwko rządowi prezydenta Carlosa Menema, domagających się, uwolnienia przywódców junty wojskowej z okresu lat siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych, osadzonych w więzieniu przez demokratyczny rząd prezydenta Raula Alfonsina. Zbuntowane oddziały opanowały m.in. olbrzymi kompleks Sztabu Generalnego i kapitanat portu w Buenos Aires, leżące w bezpośrednim sąsiedztwie Casa Rosada tj. siedziby prezydenta. Stamtąd też był prowadzony ostrzał pałacu prezydenckiego. W tym samym czasie zbuntowana jednostka zmotoryzowana z czołgami, stacjonująca pod stolicą, rozpoczęła marsz na Buenos Aires. Jednakże większość armii stanęła po stronie prezydenta i rozpoczęły się negocjacje ze zbuntowanymi wojskowymi. Podczas gdy trwały, ustanowiono zawieszenie broni i miasto dalej normalnie funkcjonowało. Sklepy i urzędy były otwarte, transport miejski działał prawie normalnie. Byłem akurat w centrum miasta, w Biurze Przedstawicielstwa LOT-u znajdującym się w pobliżu miejsca wydarzeń i podszedłem razem, z Dyrektorem Biura, Andrzejem Mysłowskim do końca ulicy Corrientes prowadzącej do portu i Pałacu. Ulica była zamknięta przez policję w odległości bezpiecznej, poza zasięgiem strzałów karabinowych, które rozlegały się od czasu do czasu. Miałem dziwne uczucie, gdyż wydawało się, że jestem na planie filmowym, mając przed sobą aktorów, a z tyłu oglądającą ich publiczność. Tymczasem była to realna próba zamachu stanu. Ludność cywilna traktowała to jako wewnętrzną sprawę wojska. Zakończyła się ona ostatecznie porozumieniem. Zbuntowani poddali się, a prezydent ogłosił amnestię, na mocy której, przywódcy junty wojskowej rządzący Argentyną w latach 1976 – 1983, skazani na dożywotnie więzienie w 1985 roku, zostali uwolnieni, w tym generałowie Jorge Videla i Eduardo E. Massera. W następnych latach amnestia i towarzyszące jej ustawy zostały anulowane i generałowie ponownie znaleźli się w więzieniu. Były to moje osobiste spotkania z rzeczywistością argentyńską, tak dalekie od czytanej literatury i innych źródeł pisanych, tak zaskakujące i niespodziewane, jak widok rzeki La Plata z miejskiego brzegu. Przypominało to raczej widok na morze, ponieważ nie było można dojrzeć drugiego brzegu.

Argentyna jest wielkim krajem liczącym ponad 2 miliony siedemset tysięcy km<sup>2</sup> powierzchni, ale według Argentyńczyków jeszcze większym, ponieważ

do swojego obszaru wliczają Wyspy Malwińskie, o które toczą spór z Wielką Brytanią, i część Antarktydy, czyli jeden milion km<sup>2</sup> więcej. Nic też dziwnego, że niemal od chwili powstania niepodległych państw w Ameryce Południowej, to jest od 200 lat, trwa jej rywalizacja z Brazylią o przywództwo na kontynencie. Ponadto kraj jest bardzo zróżnicowany klimatycznie, od zwrotnikowego na północy, poprzez podzwrotnikowy w części środkowej i umiarkowany na południu, aż do subpolarnego na Ziemi Ognistej. Argentyna należy też, obok Urugwaju i częściowo Chile, do tzw. państw białych ludnościowo, gdyż zdecydowana większość mieszkańców jest pochodzenia europejskiego. W stolicy kraju nader rzadko można było zobaczyć Indian z górzystego zachodu czy też przedstawicieli innych ras w związku z czym, jak wspominałem, Buenos Aires przypominało bardziej jedno z miast europejskich niż latynoamerykańskich. Jak twierdzą niektórzy znawcy, miejska architektura Buenos Aires jest skrzyżowaniem budownictwa Paryża i Madrytu z akcentem latynoskim.

W czasie mojego pobytu w Argentynie stanowisko ambasadora piastował Janusz Balewski, uprzednio radca handlowy w Meksyku i wiceminister handlu zagranicznego. Był on znakomitym znawcą regionu Ameryki Łacińskiej i jego zagadnień gospodarczych. Jako jego zastępca byłem odpowiedzialny za sprawy polityczne, kulturalne i naukowe. W tych dwóch ostatnich wspomagała mnie dzielnie moja małżonka. Uogólniając, działaliśmy razem z szefem na rzecz rozwoju stosunków polsko-argentyńskich. W październiku 1990 roku doszło do pierwszej, historycznej wizyty prezydenta Argentyny, Carlosa S. Menema, w Polsce. Podczas niej została podpisana umowa o zniesieniu wiz na wyjazdy turystyczne obywateli obu krajów. Była to pierwsza umowa tego typu z krajem Ameryki Łacińskiej, a dopiero za nią poszły następne, z innymi krajami kontynentu. Jak zwykle jednak bywa w takich przypadkach informacja o braku konieczności posiadania wiz do Argentyny była przekazywana dość wolno do odpowiednich instytucji rządowych i międzynarodowych, zwłaszcza do punktów kontroli granicznej lotnisk. Stąd też dość często polscy obywatele przylatujący do Buenos Aires dzwoniли do ambasady z prośbą o interwencję u miejscowej straży granicznej, domagającej się wizy argentyńskiej. Osobiście spotkało to mnie w styczniu 1991 roku, w Miami, kiedy wracałem z urlopu z Polski tranzytem przez Stany Zjednoczone. Mimo tłumaczenia przy odprawie, że wizy już nie obowiązują funkcjonariusz wyciągnął swoją książkę „ABC” i pokazał, że według niej, obowiązują i dalej nie polecę, dopóki nie otrzymam stosownej wizy w Konsulacie Argentyny w Miami. Zdesperowany sytuacją wyciągnąłem paszport i pokazałem na jednej ze stron nieważną już wizę argentyńską, na podstawie której wjeżdżałem do Argentyny po raz

pierwszy. Był to jednak szczegół, którego nie zauważył, gdyż najważniejsza dla niego była sama wiza. Dzięki temu mogłem kontynuować podróż.

Niespodziewaną konsekwencją podróży argentyńskiego prezydenta do Europy, w tym do Polski, był wywiad argentyńskiego Ministra Spraw Zagranicznych udzielony korespondentowi gazety „Rzeczpospolita”, który zatytułował go bardzo znamienne: „Argentyna zaprasza imigrantów”. W tekście wywiadu minister informował, że w Brukseli władzom Unii Europejskiej Argentyna przedstawiła propozycje przyjęcia imigrantów z krajów Unii pod warunkiem, że za każdego z nich rząd argentyński otrzyma 20 tysięcy dolarów, w zamian za co imigrant dostanie odpowiednie tereny do zamieszkania i upraw rolnych. W wywiadzie nie było mowy o Polsce ani o imigrantach z Polski, ale tytuł pochodzący od autora artykułu znalazł nagle swoje odbicie w Argentynie, a właściwie na lotnisku w Buenos Aires. Przyleciało dwóch Polaków, którzy zadzwonili z lotniska do ambasady z pretensjami, że ich nikt nie wita i nie chce im dać pieniędzy. Podczas rozmowy konsula z nimi wyjaśniło się, że nasi rodacy przeczytawszy wspomniany wywiad, zinterpretowali go następująco: każdy imigrant przyleciawszy do Argentyny dostanie 20 tysięcy dolarów na urządzenie się w tym kraju. Ponieważ nie mieli czasowo stałej pracy w Polsce, zebrali trochę pieniędzy od przyjaciół i znajomych na bilety w jedną stronę i przylecieli radzieckim Aeroflotem via Moskwa do Buenos Aires, gdzie miały na nich czekać praca i pieniądze, a spotkało wielkie rozczarowanie. Nie mając pieniędzy na powrót, dzięki staraniom placówki, znaleźli schronienie i pracę w kolonii polskiej znajdującej się w okolicach argentyńskiej stolicy.

Co to znaczy czytać tylko tytuły prasowe bez zagłębiania się w ich treść! Z drugiej zaś strony przychodzi refleksja: czy nie należałoby ich podziwiać za odwagę szukania przygód w nieznanym kraju, zamiast krytykować za nieprzemysłane i nierozsądne działania? Jak niekiedy wydarzenia i problemy polityczne kraju mają ogromny wpływ na sprawy bytowe i osobiste niech świadczą dwa przykłady z moich własnych doświadczeń w Argentynie.

Do Argentyny przyjechałem z poleceniem naszego MSZ, by znaleźć i kupić dla siebie mieszkanie, które byłoby własnością ambasady i służyło później moim następcom. Poszukiwania trwały długo, gdyż zgodnie z przyjętymi kryteriami, miało ono być, parafrazując znane powiedzenie, „ładne, wygodne i tanie” i do tego położone blisko naszej placówki. Kiedy te niełatwe warunki zostały spełnione i Centrala je zaakceptowała, dokonaliśmy formalnego i umownego zakupu mieszkania. Z jego zasiedleniem wyniknęły pewne kłopoty, gdyż było ono puste i należało je umeblować. Tymczasem w Argentynie

Obelisk ku czci Konstytucji  
na centralnej ulicy Buenos Aires,  
alei 9 lipca



Malownicza uliczka w portowej dzielnicy Boca w Buenos Aires

nastąpił krach gospodarczy i zaczęła szaleć galopująca inflacja i hiperinflacja, co doprowadziło do przedterminowych wyborów prezydenckich i wcześniejszego przekazania władzy przez Raula Alfonsina zwycięskiemu przywódcy peronistów, Carlosowi S. Menemowi. Jakie przełożenie miała ta wielka polityka na sprawę umeblowania mojego mieszkania? Wbrew pozorom bardzo proste. Można było kupić tylko te meble, które były w ofercie i w posiadaniu sklepu. Dodatkowych mebli, np. większej ilości krzesel do stołu czy foteli nie można było w żaden sposób zamówić, ponieważ sklep nie mógł zagwarantować ani terminu dostawy, ani ceny, gdyż podczas trwania hiperinflacji ceny na poszczególne towary zmieniały się kilka razy dziennie i producenci, nie znając tempa zmiany cen, wstrzymywali się z produkcją i dostawą, zwłaszcza jeżeli nie chodziło o towary pierwszej potrzeby. Mieszkanie zostało umeblowane stosownie do możliwości zakupu mebli, które można było dostać w salonach meblowych, co w omawianej sytuacji również zabrało trochę czasu.

Inną, zaskakującą dla mnie sprawą był podział kompetencji władz federalnych i samorządowych w stolicy kraju, Buenos Aires. Doświadczenie to dotknęło mnie osobiście, bo dotyczyło naszej córki Małgosi. Zdała ona egzamin w szkole podstawowej do klasy wyższej niż jej rówieśniczki, ale nie została przyjęta z uwagi na fakt, że urodziła się w sierpniu czyli, po 30 czerwca. Przepisy oświatowe obowiązujące w mieście umożliwiały takie przejście tylko dzieciom urodzonym przed datą 30 czerwca. Próby zmiany decyzji za pomocą odwołania pisemnego czy interwencji ustnych nie dały żadnego rezultatu. W międzyczasie dowiedziałem się od znajomych Argentyńczyków, będących w podobnej sytuacji, że omijają ten przepis umieszczając dzieci w szkołach znajdujących się poza stolicą tj. w prowincji Buenos Aires, gdzie lokalne przepisy na to pozwalały. Ja jednak nie złożyłem bronii. W czasie jednego z przyjęć dyplomatycznych podszedłem do ministra oświaty i przedstawiłem mu sytuację córki prosząc go o pomoc w załatwieniu tej sprawy. Trochę zaskoczony, zawołał będącego w pobliżu dyrektora gabinetu i polecił mu zainteresować się tym przypadkiem. Razem z nim, zresztą przesympatycznym profesorem uniwersytetu, usiłowaliśmy sprawę rozwiązać, ale okazało się, że Ministerstwo nie ma prawa dokonywania zmian w przepisach lokalnych, gdyż są one uchwalane przez władze samorządowe. Wróciliśmy, więc do punktu wyjścia i pozostawała nadal jedynie interwencja na szczeblu lokalnym. Miałem jednak szczęście, a właściwie to moja córka, gdyż przy następnej wizycie u szefowej lokalnej oświaty zastałem, wskutek zmian kadrowych po wyborach samorządowych, inną osobę i po ponownym przedstawieniu całej historii otrzymałem zgodę, w drodze wyjątku, dzięki czemu córka mogła kontynuować naukę w wyższej klasie.

Jak wspomniałem wcześniej, do moich obowiązków zawodowych należała promocja polskiej kultury i nauki na terenie Argentyny oraz pomoc przy nawiązywaniu kontaktów i współpracy między instytucjami polskimi i argentyńskimi. Z tej racji miałem możliwość poznania wielu wybitnych twórców polskiej kultury przyjeżdżających do Argentyny. Ponownie miałem okazję spotkania się z ikonami naszej kultury, takimi jak Krzysztof Penderecki, w czasie jego tournée po Ameryce Południowej, czy też poznać znakomitego dyrygenta Stanisława Wisłockiego i dramaturga Tadeusza Kantora. Razem z Wojciechem Siemionem montowaliśmy w stołecznym Muzeum Sztuki Współczesnej wystawę polskiej grafiki z eksponatów przywiezionych przez niego w bagażu podręcznym. Poznałem wówczas niezapomnianą Anę Nieniewską, już wówczas znaną argentyńską malarzkę i rzeźbiarkę pochodzącą z Polski, z którą serdecznie się zaprzyjaźniliśmy. Była ona córką żołnierza armii Andersa i prawnuczką autora polskiego hymnu narodowego, Józefa Wybickiego. Urodzona przed wojną w Krośnie, w wieku 12 lat wyjechała do Argentyny, gdzie ukończyła studia w Narodowej Szkole Sztuk Pięknych w Buenos Aires oraz kursy malarstwa akwarelowego i ceramiki. W tych dziedzinach była laureatką licznych nagród państwowych w Argentynie, a jej prace były wystawiane w wielu krajach w Ameryce Południowej i Europy, w tym i w Polsce. Kiedy ją poznaliśmy prowadziła własną szkołę malarstwa i rzeźby w jednej z dzielnic Buenos Aires. Niezależnie od jej artystycznego talentu była wspaniałą osobą i prawdziwym ambasadorem Polski na terenie kraju, w którym mieszkała. Utrzymywała kontakt z Polską i dzięki jej namowom, jej córka Magda Banach, absolwentka argentyńskiej Akademii Sztuk Pięknych, odbyła staż artystyczny na Wydziale Scenografii warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i współpracowała później z polskimi teatrami. Dzięki Anie, jej aktywności i znajomości miejscowych autorytetów, nasza placówka dyplomatyczna mogła organizować wiele imprez kulturalnych z udziałem artystów polskich lub argentyńskich, prezentujących różne aspekty polskiej kultury. Niestety, kilka dni przed naszym powrotem z Argentyny, kiedy omawialiśmy plany wystawy jej prac w Polsce, zginęła tragicznie potrącona przez nieuważnego kierowcę, w momencie kiedy przechodziła przez ulicę w pobliżu swojego domu. Był to dla mnie i mojej żony bolesny cios, który rzucił smutny cień na nasz wyjazd z tego bliskiego uczuciowo i dalekiego geograficznie kraju. Pozostały nam tylko obrazy i rzeźby w naszym domu, które Ją nam przypominają.

Moje funkcje na placówce zawiodły mnie do różnych zakątków Argentyny. Były to podróże, podczas których towarzyszyłem ambasadorowi w jego





Inauguracja placu „Polska” w mieście Crespo w prowincji Entre Rios.  
Na zdjęciu obok autora stoi Mieczysław Trembecki  
– pomysłodawca i główny organizator uroczystości



Inauguracja szkoły „Rzeczpospolita Polska”  
w mieście Apostoles w prowincji Misiones

oficjalnych wizytach lub kiedy w jego zastępstwie sam inaugurowałem różne prezentacje kultury polskiej w odległych prowincjach tego olbrzymiego kraju. I zawsze, potwierdzało się znane powiedzenie: „gdzie kamieniem rzucisz, tam w Polaka trafisz”. Czy było to na północy, na granicy z Boliwią, czy w dalekiej Patagonii, zawsze można było spotkać naszych rodaków lub usłyszeć opowieści o nich z ust lokalnych autorytetów czy zwykłych mieszkańców odwiedzanych zakątków. Zanim do tych zdarzeń przejdę, skreślę kilka słów o Polonii argentyńskiej, o której więcej można znaleźć w wielu książkach historycznych lub reportażach zajmujących się tą problematyką.

Polonia argentyńska jest drugą co do wielkości, po brazylijskiej, na kontynencie Ameryki Południowej. Początki emigracji polskiej do Argentyny datowane są jeszcze na koniec XIX wieku, kiedy kilkanaście rodzin ze wschodniej Małopolski przyjechało, w roku 1897, do Argentyny osiedlając się na terenach prowincji Misiones, graniczącej z południowymi stanami Brazylii, gdzie skupiają się główne centra polskiej emigracji w tym kraju. Założyli miasto Apostoles, osiedlili się też w Oberá, Wandzie oraz wiele innych. Kolejna fala emigracyjna dotarła do Argentyny w latach międzywojennych i była to głównie emigracja zarobkowa, w tym pochodząca z terenów wschodnich II Rzeczypospolitej, podobnie jak hiszpańska z terenów biednej Galicji. W odróżnieniu od emigracji chłopskiej pochodzący z niej Polacy, Żydzi, Ukraińcy czy Białorusini osiedlali się w dużych miastach lub na ich przedmieściach, gdzie otwierali swoje warsztaty rzemieślnicze, sklepy i inne punkty usługowe dla miejscowej ludności. Ostatnią dużą grupą emigracyjną byli Polacy, przybyli do Argentyny po zakończeniu II wojny światowej. Byli to, z jednej strony, zdemobilizowani polscy wojskowi z armii walczących na Zachodzie, głównie z Wielkiej Brytanii, którzy ze względów politycznych nie chcieli wracać do Polski, a w drugiej, przybyli z tych samych powodów, Polacy przebywający w Niemczech do zakończenia wojny w obozach niemieckich lub na przymusowych robotach. Argentyna była wówczas jedynym krajem na kontynencie, który nie wymagał posiadania wiz wjazdowych, a ponadto przeżywała wielki boom gospodarczy bogacąc się na dostawach płodów rolnych do wygłodzonej Europy. O zaskoczeniu przybyszów widokiem bogato iluminowanego Buenos Aires, jego nocnym życiem, przepychem wystaw sklepowych na głównych ulicach miasta można wiele przeczytać w pamiętnikach polskich emigrantów. Liczebność Polaków w Argentynie lub ściślej rzecz biorąc Argentyńczyków polskiego pochodzenia ocenia się od 120 do 200–300 tysięcy, w zależności od źródeł. Na terenie całego kraju istnieje kilkadziesiąt organizacji, towarzystw i klubów polonijnych. Podobnie jak w Brazylii, działała tu także Polska

Misja Katolicka z siedzibą w Buenos Aires, koordynująca działalność polskich księży i sióstr zakonnych w Argentynie. Jak sam mogłem się przekonać księża, obok działalności duszpasterskiej, prowadzili także pracę kulturalną i oświatową przyczyniając się do zachowania polskich tradycji, zwyczajów i języka wśród młodych generacji.

Podczas wizyty, z ambasadorem Balewskim, u gubernatora górskiej prowincji Jujuy, przy granicy z Boliwią, otrzymaliśmy pamiątkowy album o artystach w tej prowincji. Gospodarz z dumą pokazał nam zdjęcia obrazów i wyrobów ceramicznych Any Nieniewskiej, która przez wiele lat w tym miejscu mieszkała i tworzyła. Wizyta ta odbywała się zresztą w dziwnych okolicznościach. Towarzyszący nam pracownik protokołu urzędu gubernatora wprowadził nas do niego tylnym wejściem, gdyż przed głównym gmachem i reprezentacyjnym wejściem grała non stop miejscowa orkiestra, zagłuszając nasze rozmowy z gubernatorem. Wy tłumaczono nam, że jest to swego rodzaju protest z uwagi na niewypłacanie członkom orkiestry od dłuższego czasu pensji. Orkiestra była utrzymywana z budżetu prowincji, której kasa aktualnie świeciła pustkami w oczekiwaniu na dotacje z budżetu federalnego. Zwróciła naszą uwagę także postawa straży ochraniającej gmach urzędu gubernatorskiego pracownicy żującej cały czas coś w ustach. Wy tłumaczenie było niezwykle proste. Żołnierze przeżuwali liście koki i tym sposobem zaspakajali głód i pragnienie. Wiele lat później wyczytałem, że urzędujący prezydent Boliwii, Evo Morales oświadczył, że koka jest bardziej zdrowa niż mleko i zalecił dzieciom w szkole jej żucie.

Krótką podróż po tej prowincji i sąsiedniej, Salta, uświadomiła nam ogromne różnice dzielące je od stołecznego Buenos Aires. Wąskie, kamieniste drogi wijące się wśród pasma gór andyjskich sięgających 5000 – 6000 m n.p.m., schodzące w doliny obok różnokolorowych skał zawdzięczających swoje barwy minerałom wchodzącym w ich skład, niewielkie chaty zbudowane z *adobe* (cegły z wypalanej gliny) z otaczającymi je małymi ogródkami i sadami, lokalni mieszkańcy, Indianie i Metysi oraz wielkie, niezamieszkałe przestrzenie robiły na nas ogromne wrażenie. Ponieważ nie widzieliśmy żadnych plantacji ani zakładów przemysłowych, pytaliśmy gospodarzy o źródła utrzymania miejscowej ludności. Wyjaśniano nam, że mężczyźni przeważnie pracują w kopalniach różnych minerałów położonych wysoko w górach, gdzie przebywają przez cały tydzień, wracając do domu tylko na niedzielę. Kobiety pracują natomiast w domu zajmując się wyrobem tradycyjnych tkanin lub ozdób typowych dla folkloru indiańskiego, sprzedawanych później zagranicznym lub krajowym turystom z innych części kraju. W górach widzieliśmy też

chodzące na wolności lamy. Ostatnio, właśnie w Jujuy, utworzono eksperymentalną hodowlę najbardziej cennej odmiany lam, wikunii, której wełna osiąga niebotyczne ceny na światowych rynkach. Żywa, skoczna muzyka i wesołe tańce z tego regionu, zaprezentowane nam przez gospodarzy, były zdecydowanie odmienne od nostalgicznego nastroju i melodii, granych na rozległej argentyńskiej pampie czy od słynnego tanga w Buenos Aires.

Z innego rodzaju obyczajem spotkaliśmy w Misiones, gdzie przed oficjalnym obiadem gubernator prowincji puścił w obieg dookoła stołu naczynie (*bombilla*) z *yerba mate* (rodzaj herbaty) i wszyscy, poczynając od niego i ambasadora, pili po łyku delektując się jej smakiem i traktując to jak swojego rodzaju indiańską fajkę pokoju. *Yerba mate* jest jedną z eksportowych upraw tej prowincji, dostępną także w Polsce, której uprawy mogliśmy oglądać podczas zwiedzania plantacji. Do jej rozpowszechnienia i eksportu przyczynili się polscy osadnicy, a zwłaszcza rodzina Szychowskich, która produkuje swoją własną markę „Amanda”. Miałem szczęście poznać ich osobiście w posiadłości „La Cachuera”. Jest to gniazdo rodzinne założone przez Jana Szychowskiego „Don Juana” na początku XX wieku. Oprócz gospodarstwa rolnego i zakładu przemysłowego posiada kolekcję maszyn i urządzeń, zaprojektowanych i wykonanych, osobiście przez „Don Juana”, m.in. pierwszą tokarkę wyprodukowaną przez niego w Argentynie. Dzięki staraniom syna, również Jana, kolekcja ta przekształciła się w muzeum imienia swojego założyciela, otwarte w stulecie osadnictwa polskiego w Misiones w 2005 roku. Historia polskiego osadnictwa w tej prowincji, słynnej z kolorowej ziemi (*tierra colorada*), jest obecna w literaturze i warto się z nią zaznajomić, aby poznać historię polskich osadników w takich miejscowościach, jak Apostoles, Obera, Wanda, Eldorado i wielu innych. Właśnie w Apostoles miałem zaszczyt zainaugurować, w miejscowej szkole, nowy budynek pod nazwą „Rzeczpospolita Polska”, wybudowany dzięki staraniom Fundacji „Bronislada K.de Szychowski”, gromadzącej w swoich szeregach Polaków i Argentyńczyków polskiego pochodzenia. Było to dla mnie dużym przeżyciem i ze wzruszeniem rozmawiałem z uczniami i ich rodzicami o historii rodzin i okolicznościach, które ich przyprzewodziły z dalekiej Polski do tego argentyńskiego zakątka usytuowanego między Brazylią a Paragwajem.

Tutaj znajdują się również słynne wodospady Iguazu, w części należące do Brazylii, a w większej – do Argentyny. Rząd argentyński, już w 1939 roku, utworzył wokół nich Park Narodowy, obejmujący powierzchnię ponad 150 tysięcy ha, który stanowi jeden z największych rezerwatów flory i fauny w Ameryce Południowej, gdzie można spotkać unikatowe okazy roślin czy też

zwierząt. Z tego też względu UNESCO objęło go swoim patronatem, w 1986 roku, jako cud natury. Nazwa Iguazu oznacza w języku Indian Guarani „wielką wodę”. Wodospady są tworzone przez rzekę Iguazu na obszarze 4 km<sup>2</sup>, z czego  $\frac{3}{4}$  znajduje się po stronie argentyńskiej, pozostała część po stronie brazylijskiej. Tak naprawdę, jest to sieć ponad 275 różnej wielkości wodospadów, najwyższe dochodzą do 80 metrów wysokości. Większe z nich mają swoje własne nazwy jak: Adam i Ewa, Trzej Muszkieterowie, Dwaj Bracia czy imiona argentyńskich bohaterów narodowych San Martin czy Belgrano. Największym wodospadem jest Garganta del Diablo (Gardziel Diabła). Byłem tam kilkakrotnie, zarówno po stronie brazylijskiej, jak i argentyńskiej, przy różnym stanie wody. Robią one niesamowite wrażenie, zwłaszcza od strony brazylijskiej. Stojąc u podnóża Gardzieli i patrząc na olbrzymie ilości wody spadające w dół, mając wokół widok tej niezwykłej i wszechmocnej przyrody, człowiek zaczyna sobie uświadamiać, jak małym stworzeniem jest wobec natury. Najpiękniej chyba zostały przedstawione wodospady Iguazu w znanym filmie „Misja”, mówiącym o podboju Indian przez jezuickich misjonarzy. Ruiny centrów jezuickich, pochodzące z XVIII wieku, m.in. w San Ignacio należą do atrakcji turystycznych prowincji Misiones. Zwiedzaliśmy je całą rodziną w ramach wycieczki, która zawiodła nas także do argentyńskiego miasta Puerto Iguazu, połączonego mostem z brazylijskim Foz de Iguacu, a to z kolei z paragwajskim Ciudad del Este. Komunikacja miejska łączy te miasta bez potrzeby posiadania wizy wjazdowej do tych krajów. Ponieważ wykorzystaliśmy wycieczkę, aby odwiedzić przyjaciół w Sao Paulo, skąd wracaliśmy samolotem do Buenos Aires, na granicy argentyńsko-brazylijskiej musieliśmy wręcz prosić straż graniczną o przybicie pieczętki wjazdowej do Brazylii. Pamiętając przypadek Miami nie chcieliśmy mieć podobnej sytuacji na lotnisku w Sao Paulo, gdzie zapewne zapytano by nas, skąd znaleźliśmy się w tym kraju bez żadnego stempla wjazdowego. W ramach tej samej 5-dniowej wycieczki z Buenos Aires, która okazała się tańsza niż przejazd i dwudniowy pobyt w hotelu w Puerto Iguazu, zwiedziliśmy inny wielki wodospad, całkowicie zaplanowany i zbudowany przez człowieka, a mianowicie jedną z największych na świecie hydroelektrowni, Itaipu, wykorzystywanej przez systemy energetyczne Brazylii i Paragwaju i będącą własnością obu tych państw. Olbrzymią zapórę, zbudowaną na rzece Parana, można zwiedzać z przewodnikiem, który wyjaśnia historyczne aspekty jej powstania, dane techniczne dotyczące elektrowni i prowadzi do miejsc, skąd można zrobić najlepsze zdjęcia. Mimo całego swojego ogromu zrobiła na nas mniejsze wrażenie niż naturalne wodospady Iguazu czy też indywidualne zwiedzanie, będącej



Fragmety ruin jezuickiej osady San Ignacio w prowincji Misiones



Indianie w argentyńskiej prowincji Salta

jeszcze w budowie, hydroelektrowni w Tucurui. Natomiast bez wizy, mimo obowiązku jej posiadania, wjeżdżałem wcześniej na terytorium Paragwaju ze stolicy prowincji Misiones, Posadas w Argentynie do paragwajskiego miasta Encarnacion, nowo zbudowanym mostem nad rzeką Parana. Wykorzystałem zaproszenie polsko-ukraińskiej rodziny zamieszkałej w tym mieście. Dla ich syna udało nam się uzyskać stypendium Akademii Muzycznej F. Chopina w Warszawie, po ukończeniu której otrzymał kolejne stypendium w USA, gdzie aktualnie przebywa. Dla mieszkańców obu miast przejazd graniczny był wolny i samochody z rejestracją paragwajską nie były ani zatrzymywane, ani sprawdzane przez straż graniczną. Była to niespodziewana, ale bardzo miła wizyta, a rodzice i siostry naszego stypendysty okazali się uroczymi ludźmi, w związku z czym, następnego dnia wróciliśmy do przemiłych gospodarzy, również „nielegalnie”, w celu kontynuacji rozmów dotyczących pobytu przyszłego muzyka i kompozytora w Warszawie.

Na kolejny ślad polskości w Argentynie natrafiliśmy w prowincji Entre Rios (Między Rzekami). Jak sama nazwa wskazuje prowincja jest ograniczona rzekami: Parana, Urugwaj, Mocoreta i Guayquiraro. Niewielkie miasteczko Crespo, liczące kilkanaście tysięcy mieszkańców, oddalone jest 40 km od stolicy prowincji, miasta Parana. Crespo znane jest głównie z hodowli kur i przemysłu drobiarskiego. Jednym z jego mieszkańców był Mieczysław Trembecki, Polak, żołnierz polskich wojsk za Zachodzie, który po wojnie wybrał Argentynę, a nie komunistyczną Polskę. Dzięki swojej pracowitości i talentowi utworzył przedsiębiorstwo produkujące, według jego pomysłu, maszyny chłodnicze dla miejscowego przemysłu drobiarskiego i rolno-spożywczego. Mieszkańcom miasta postanowił zaznaczyć swoją tożsamość narodową, toteż z jego inicjatywy rada miejska nadała jednemu z placów nazwę „Polska”. Jako przedstawiciel polskiej placówki dyplomatycznej, wraz z burmistrzem miasta, uroczystość dokonaliśmy jej inauguracji. I znów, jak przy wielu innych okazjach, usłyszałem mnóstwo pozytywnych opinii na temat Polaków stanowiących część lokalnej społeczności. Los bywa jednak przewrotny i okrutny. Następnego dnia po tym, gdy wróciliśmy do Buenos Aires, w poniedziałek rano, zadzwonił telefon. Bohater niedzielnej uroczystości drżącym i łamiącym się głosem poinformował, że w niedzielę w nocy zginął w wypadku samochodowym jego najstarszy syn, który był obecny na uroczystości i z którym mieliśmy się spotkać wkrótce w ambasadzie. Był to dramatyczny moment dla całej rodziny, a zwłaszcza dla ojca widzącego w nim kontynuatora biznesu. Bardzo to przeżyliśmy z żoną, która towarzyszyła mi w tym wyjeździe i podobnie jak ja, bardzo polubiła rodzinę Trembeckich.

Nie mogę nie wspomnieć o południu Argentyny, ze szczególnym naciskiem na specyficzny krajobraz i klimat, z którym zapoznałem się podczas wizyty w mieście Comodoro Rivadavia w prowincji Chubut. W tym mieście w 1922 roku zostało założone Stowarzyszenie Polskie „Dom Polski”, najdalej położone na południowej części kuli ziemskiej, jak podkreślają jego członkowie. Powstało ono z inicjatywy polskich inżynierów i techników, specjalistów od poszukiwania ropy naftowej przybyłych tutaj z okolic Przemysła, na podstawie umów z rządem argentyńskim. Można powiedzieć krótko: przyjechali, znaleźli ropę i zostali, a nawet ściągnęli innych rodaków. Miałem okazję być tam dwa razy – raz z ambasadorem Balewskim, za drugim razem sam. Wizyta ambasadora zawsze powoduje, niezależnie od celu jego pobytu, pewne procedury oficjalne, takie jak spotkanie z władzami prowincji lub miasta, zwiedzanie lokalnych zabytków czy innych wartych zobaczenia miejsc, według miejscowego zwyczaju. Tak było i tym razem, ale spotkanie z lokalną władzą odbyło się w „Domu Polskim” wraz z kierownictwem polonijnego Stowarzyszenia. Opowieści o historii polskich nafciarzy w argentyńskiej Patagonii trwały długo. Na ich cześć główną ulicę miasta nazwano „Polonia” (Polska), a wśród członków rady miejskiej wielokrotnie zasiadali Polacy lub ich potomkowie. Wjechawszy na górę wznoszącą się nad miastem, skąd rozciągał się widok na bezkresne wody Południowego Atlantyku i leżące na jego brzegu miasto, poczuliśmy potężne uderzenie wiatru, które prawie nas zważyło z nóg. Zaskoczeni, daliśmy temu wyraz, na co towarzyszący nam Polak ze Stowarzyszenia lakonicznie stwierdził, że: „dzisiaj słabo wieje, gdyż wiatr nie ma prędkości ponad 100 km na godzinę”. Następnie opowiedział nam o problemach z wiatrem, jakie mają tutejsi mieszkańcy. Ponieważ wiatry są stale i ludzie, generalnie, są do nich przyzwyczajeni, dlatego też zwracają uwagę tylko na silniejsze wichury. Jednakże stałość tych wiatrów w połączeniu z niezwykle surowym pejzażem powoduje inne zjawisko: depresję i zaburzenia nerwowe, czego nie sprawia zimny klimat, śnieg czy mróz.

Do „Domu Polskiego” powróciłem jeszcze raz, w następnym roku, z okazji Święta Imigranta i festynu zorganizowanego przez miejscowe władze dla wszystkich narodowości zamieszkujących miasto. Aby w tym festynie uczestniczyć, jako przedstawiciel polskiej placówki dyplomatycznej, odbyłem bardzo ciekawą i interesującą podróż. Najpierw poleciałem samolotem z Buenos Aires do Puerto Mandryn, gdzie zainaugurowałem Tydzień Filmu Polskiego. Premierowym filmem był „Vabank”. Podczas jego projekcji przeżyłem małą niespodziankę. Jako że filmy zostały przesłane z innego miasta argentyńskiego, gospodarze nie mieli czasu na przejrzenie





Wieloryby pływające w wodach okalających półwysep Valdes w prowincji Chubut

filmu przed pierwszym seansem i puścili go w takim stanie jakim go otrzymali. Jakież było moje zdziwienie, a przede wszystkim widzów, kiedy okazało się, że film nie ma zakończenia, bo w transporcie zginęła jedna mała taśma (film był na kopii 45 mm), zawierająca dosłownie ostatnie dwie minuty filmu i napisy końcowe. Wobec zaistniałej sytuacji nie pozostało mi nic innego jak wstać i opowiedzieć publiczności jego zakończenie z pokazaniem słynnego już „ucha od śledzia”, za co otrzymałem brawa widzowni. Organizatorzy zaproponowali mi zwiedzanie półwyspu Valdes i wycieczkę łódką po morzu. Był to okres, kiedy w ten rejon przyływały wieloryby, by wydać potomstwo, a ponadto znajdowały się tam małe wysepki zamieszkałe przez pingwiny. W 1999 roku UNESCO uznało rejon półwyspu Valdes za Dziedzictwo Naturalne Ludzkości. Z ochotą skorzystałem z zaproszenia i mimo zimnego wiatru ze zdumieniem obserwowałem wieloryby pływające tuż obok i wykonujące skoki nad wodą. W pewnym momencie olbrzymi ogon wieloryba pojawił się koło łodzi i nas wszystkich, znajdujących się na niej, ogarnął strach, że jego uderzenie spadnie na nas. Na szczęście wieloryb zanurzył się spokojnie, aby z hukiem pojawić się na powierzchni wody kilkadziesiąt metrów dalej. Bardziej spokojna była samica płynąca w towarzystwie nowonarodzonego potomka. Na wszelki wypadek nie podpływaliśmy do niej zbyt blisko ze względów bezpieczeństwa, gdyż mogła nas zaatakować w obronie małego. Była to dla mnie wielka przygoda i szczerze podziękowawszy gospodarzom udałem się w dalszą podróż do Comodoro Rivadavia. Środkiem transportu był tym razem autobus, którym przejechałem kilkaset kilometrów drogą krajową prowadzącą przez Patagonię. Patrząc przez okno autobusu widziałem kamienną pustynię, praktycznie bez roślinności i bez śladu pobytu człowieka. Co jakiś czas zapadałem w drzemkę i budząc się miałem nadzieję, że zobaczę jakiś inny, bardziej przyjazny krajobraz, ale znowu musiałem oglądać niekończące się kamieniste przestrzenie. Z radością dojechałem do celu i świętowałem, wraz ze znajomymi już Polakami, Święto Imigranta. Na polskim stoisku można było skosztować tradycyjnego bigosu i pierogów, popić wódką, a na włoskim, hiszpańskim i innych stoiskach „zagranicznych” również zjeść tradycyjne potrawy i zaspokoić pragnienie typowymi dla tych krajów napitkami. W części kulturalnej festynu miały miejsce występy zespołów tanecznych oraz chórów reprezentujących poszczególne nacje mieszkające w Comodoro Rivadavia i jego okolicach. Nie po raz pierwszy brałem udział w takich imprezach, ale ponieważ miało to miejsce prawie dwa tysiące kilometrów od Buenos Aires i ponad dziesięć tysięcy od Polski, w dalekiej Patagonii, a przy tym wśród przyjaznych rodaków, pozostało mi to na zawsze w pamięci.

To były przykłady pobytu Polaków w różnych częściach Argentyny, jednakże większość Polonii zamieszkuje w stolicy kraju i jego okolicach, czyli tzw. Wielkim Buenos Aires oraz innych dużych miastach, jak Kordoba, Rosario czy Santa Fé. Tam też istnieją stowarzyszenia, kluby czy związki Polaków i Argentyńczyków z polskim rodowodem. Z nimi też najczęściej miałem okazję się spotykać zarówno w życiu zawodowym, jak i prywatnie. Swoistym centrum życia polonijnego w Buenos Aires był „Dom Polski”, będący siedzibą Związku Polaków w Argentynie, skupiający w swoich ramach organizacyjnych większość polskich organizacji polonijnych działających w tym kraju, gdzie mieści się Biblioteka im. Ignacego Domeyki, posiadająca największy zbiór polskich książek w Ameryce Łacińskiej. Warto wspomnieć o polskiej parafii w stolicy, jak i o Polskiej Misji Katolickiej w miejscowości Martin Coronado należącej do prowincji Buenos Aires.

Duża częstotliwość kontaktów ze środowiskiem polonijnym wynikała z kilku przyczyn. Personel dyplomatyczny placówki był niewielki, a stowarzyszeń polonijnych było dużo, stąd i ilość różnego rodzaju przedsięwzięć czy imprez organizowanych przez nie, była również znaczna, co powodowało dość skomplikowaną gimnastykę personelu ambasady, aby zapewnić na nich swoją obecność. Oficjalne lub inne delegacje z kraju również chciały się spotykać z Polonią w towarzystwie pracowników placówki. Stąd też częste wyjazdy do miejscowości położonych w Wielkim Buenos Aires – Berriso, Berazategui, Llavallol, Quilmes i innych. Ze względu na odległość do Kordoby, Rosario lub, już wspomnianych wcześniej Misiones czy Comodoro Rivadavia, jeździłem rzadziej. Wszystkich spotkanych tam wspaniałych ludzi, niezależnie od wykonywanego zawodu, pochodzenia społecznego czy poziomu wykształcenia, łączyło jedno: miłość do dalekiej Ojczyzny nad Wisłą i chęć utrzymania tradycji i zwyczajów wyniesionych z rodzinnego domu. Z drugiej strony zauważalna była duma z bycia Polakiem i manifestowanie tego uczucia wobec otoczenia. A trzeba pamiętać, że zdecydowana większość mieszkańców dzisiejszej Argentyny to potomkowie imigrantów z Europy, głównie z Włoch i Hiszpanii. Jedną z form prezentacji polskiej dumy narodowej była działalność artystyczna. W niektórych organizacjach istniały zespoły pieśni i tańca, z których najwyższy, profesjonalny poziom reprezentował „Nasz Balet” z Buenos Aires oraz Chór im. F. Chopina również działający w ramach Związku Polaków. Trzeba podkreślić, że twórczość polskich malarzy i rzeźbiarzy była wysoko ceniona przez Argentyńczyków.

Poznawszy trochę lokalne środowisko udało mi się zorganizować w Muzeum Sztuk Wizualnych w Quilmes wystawę polskich artystów tworzących

w Argentynie. Wraz z miejscowymi działaczami polonijnymi wykorzystaliśmy w tym celu obchody 60. rocznicy utworzenia lokalnej organizacji noszącej imię Ignacego Paderewskiego i okazję 50. rocznicy śmierci tego wybitnego pianisty i kompozytora oraz polityka. Wystawa została otwarta 22 czerwca 1991 roku i prezentowała prace 14 artystów, żyjących lub zmarłych, pochodzących z Polski. Według alfabetu były to prace: Banach Magdaleny, Giangrande Jadwigi Alicji, Grocholskiego Zygmunta (Zygro), Jesiota Bernardo, Kaniuki Viktora, Kowalskiego Zygmunta, Kosteckiej Danuty, Kozłowskiego Zygmunta, Kuperman Basi, Misiurskiego Enrique, Nieniewskiej Any, Seydy Marii, Skoczylas Barbary i Zapisek Adrian. Była to pierwsza, zbiorowa wystawa tego rodzaju w Argentynie, z czego byłem naprawdę dumny, mimo że kosztowało mnie to mnóstwo zabiegów, łącznie z przywożeniem i odwożeniem prac poszczególnych twórców ma miejsce wystawy i z powrotem do ich domów.

W związku pełnieniem funkcji kulturalnej byłem prawdopodobnie trochę inaczej postrzegany przez środowisko byłych kombatantów i innych niechętnych wobec dyplomatów wysyłanych przez Polskę Ludową, a przecież byłem jednym z nich. Osobiście nigdy tego nie odczułem, o czym może świadczyć następujące zdarzenie. W 1992 roku, po wyjeździe ambasadora Balewskiego, a przed przyjazdem jego następcy pełniłem obowiązki kierownika placówki. Był to okres kilku miesięcy, w tym też miesiąc maj, czyli obchody Święta Konstytucji 3 Maja. Mimo braku funduszy na ten cel, postanowiłem zorganizować godne jego uczczenie, wykorzystując posiadane znajomości wśród argentyńskich instytucji. Mieliśmy w zbiorach placówki świeżo otrzymaną z Polski wystawę o historii Konstytucji 3 Maja, która była tylko raz pokazywana w miejscowym Senacie. Uznałem, że najlepszym miejscem jej ekspozycji będzie „Casa Rosada”, czyli siedziba Prezydenta Republiki, a ściślej rzecz biorąc, Muzeum mieszczące się w tym samym gmachu. Otrzymałem na to zgodę dyrekcji muzeum, a wystawę uzupełniliśmy posiadanymi w ambasadzie fotografiami z wizyty papieża Jana Pawła II w Argentynie, cieszącego się podobnie, jak w innych krajach Ameryki Łacińskiej, olbrzymią popularnością i sympatią. Dodatkowo udało mi się pozyskać sponsora wystawy, lokalnego przedstawiciela francuskiego producenta szampana. Tak więc przybyli na uroczystość przedstawiciele władz argentyńskich, korpusu dyplomatycznego i Polonii, byli witani lampką oryginalnego francuskiego szampana i mogli podziwiać piękne karty polskiej historii umieszczone na planszach wystawy.

Z tej samej okazji środowisko polonijne zorganizowało, po tradycyjnej mszy niedzielnej, występy Zespołu tanecznego „Nasz Balet” w sąsiadującej z polskim kościołem sali widowiskowej. Przed rozpoczęciem podszedł

do mnie były przedstawiciel Rządu Londyńskiego rezydujący i zamieszkały w Argentynie i zapytał, czy niejako w jego imieniu, jako najwyższy przedstawiciel jedynejuż obecnie rządu polskiego, mógłbym wręczyć posiadane przez niego odznaczenie, przyznane jeszcze przez władze londyńskie za działalność kulturalną, kierownicze Zespołu „Nasz Balet”. Zaskoczony i zdziwiony zarazem zgodziłem się, gdyż po raz pierwszy mogłem ze sceny przemówić do zgromadzonych Polaków (dotychczas zapraszany byłem tylko jako uczestnik uroczystości) jako reprezentant polskiej placówki dyplomatycznej, co też wywołało zdziwienie niektórych osób na sali, nie przyzwyczajonych do oficjalnej obecności dyplomatów z Warszawy. W ten sposób i ja stałem się częścią historii naszego kraju i historii polskiej służby dyplomatycznej.

W życiu zawodowego dyplomaty zdarzają się zawsze momenty radości i smutku. Radości, kiedy przybywa po raz pierwszy do nieznanego sobie kraju, chociaż teoretycznie znanego z literatury i z opowieści specjalistów oraz smutku, kiedy po kilku latach pobytu, zawarciu licznych znajomości, a niejednokrotnie przyjaźni, jest zmuszony ponownie pakować walizki i wracać do kraju czy też przenosić się do innego państwa przeznaczenia. I dzieje się tak praktycznie za każdym razem. Przybywa lat, kraje się zmieniają, a te dwa uczucia pozostają niezmiennie, choć oczywiście różny jest stopień zaangażowania. Zgodnie ze zwyczajami dyplomatycznymi, zarówno z okazji przywitania, jak i pożegnania dyplomaty, szef placówki organizuje małe przyjęcie dla znajomych, zarówno ze sfer rządowych, mediów i korpusu dyplomatycznego, jak i środowiska polonijnego. W pierwszym przypadku jest ono okazją do poznania przyszłego otoczenia przez przyjeżdżającego dyplomata i nawiązania pierwszych kontaktów, w drugim, pożegnania tych samych osób przez wyjeżdżającego. Popularnie w żargonie dyplomatycznym jest to tzw. operacja „witaj – żegnaj”. Oczywiście, nie jest to zawsze żelazna reguła, zależy to od wielu okoliczności i przede wszystkim od decyzji szefa placówki.

Tak też było w moim przypadku z Argentyną. Przyszedł czas wyjazdu z tego wielkiego, ciekawego pod każdym względem kraju, gdzie pozostawiałem kolejnych przyjaciół i znajomych. Po przybyciu do Argentyny nie miałem takiego przyjęcia z prostego powodu, ponieważ przyjechałem na nowy etat i nie zastępowałem nikogo w ambasadzie. Liczyłem, że tradycji stanie się zadość przy wyjeździe, tym bardziej, że pojawił się już mój następcą. Kiedy jednak zapytałem o datę spodziewanego przyjęcia pożegnalnego ówczesnego szefa placówki usłyszałem w odpowiedzi po kilku dniach milczenia, że, z uwagi na brak funduszy, ambasada nie może zorganizować wspomnianej imprezy. Zdziwiony, przyjąłem jednak tę informację do wiadomości,



Wodospady Iguazu na granicy argentyńsko-brazylijskiej



Jaś i Małgosia na tle wodospadów Iguazu

ale postanowiłem urządzić pożegnanie z zaprzyjaźnionymi Argentyńczykami, kolegami z korpusu dyplomatycznego i z przedstawicielami Polonii na własny koszt. W związku z tym, że forma, miejsce i czas zależały w tym przypadku wyłącznie ode mnie wybrałem na to sposób typowo argentyński. Pożegnanie miało miejsce w jednym ze słynnych lokali tanga o godzinie 23, w ostatnią noc mojego pobytu w Argentynie. Sama impreza nosiła nazwę „Ostatnia noc w Buenos Aires”, gdyż faktycznie następnego dnia po południu, wraz z rodziną, opuszczałem ten kraj. Dzięki argentyńskim przyjaciółom miałem zarezerwowane pół lokalu, co zapewniało moim gościom i klientom *tangero* normalny pokaz tanga w wykonaniu profesjonalnych artystów. Ponadto, w ramach uprzejmości, pozwolono nam wnieść własny alkohol, co było, z punktu widzenia finansowego, ważną rzeczą, jeżeli chodzi o koszt przyjęcia. Formalnie złożyłem na ręce ambasadora zaproszenie, ale gdy zobaczył godzinę rozpoczęcia imprezy, podziękował i zrezygnował z udziału, co przyznaję szczerze, przyjąłem z zadowoleniem. Zabawa trwała do białego rana, a wśród zaproszonych przeze mnie gości bawiło się kilku zaprzyjaźnionych ambasadorów z Ameryki Łacińskiej, inni koledzy z korpusu dyplomatycznego oraz Argentyńczycy i Polacy, z którymi podczas pobytu nawiązałem bliższe kontakty. Jako honorowy gość miałem zaszczyt odtńczyć tango z właścicielką lokalu, była słynną wykonawczynią tego tańca. Starłem się jak mogłem, ale moje umiejętności odbiegały znacznie od sztuki partnerki, co zostało zapamiętane i podczas następnych krótkich wizyt w Buenos Aires było mi przypominane.

Po tej szalonej nocy pozostało tylko dopakowanie walizek, oddanie kluczy do mieszkania mojemu następcy, pożegnanie się z portierem domu, u którego wylądował szczeniak naszego jamnika Freda, którego dzieje to zupełnie inna historia oraz wyjazd z dziećmi na lotnisko, skąd, via Lizbona, wróciliśmy do Warszawy.

Argentyńskie motywy i poznani tam ludzie będą się jeszcze przewijać niejednokrotnie w tej książce.

## Rozdział X

### **„Złota rybka” w rzece Parana**

Argentyna to nie tylko kraj pampy, z niezliczonymi stadami bydła pasącego się przez cały rok na jej zielonych łąkach czy też kraj z potężnymi górskimi łańcuchami Andów, ale również kraj, przez który przepływają wielkie rzeki. O srebrnej rzece, czyli La Placie pisałem wcześniej, jej ujście do Oceanu Atlantyckiego w pobliżu stolicy kraju, Buenos Aires robi niesamowite wrażenie, gdyż w niczym nie przypomina rzeki, lecz część oceanu. Dlatego też jest ono właściwie nazywane „estuarium La Plata” i jest największe na świecie, powstałe z ujściowych odcinków rzek Parany i Urugwaju. To rozlewisko ma powierzchnię 35 tys. km<sup>2</sup>, a długość 320 km i szerokość od 80 do 220 km. Obok argentyńskiej stolicy jest usytuowana również stolica Urugwaju, Montewideo. Do jednej z najdłuższych rzek świata należy także rzeka Parana licząca prawie 4400 km. Jest to największa, po Amazonce, rzeka Ameryki Południowej, której dorzecze obejmuje powierzchnię 3,1 mln km<sup>2</sup>. Wypływa z Brazylii, przecinając też Paragwaj i Argentynę. Zbudowano na niej jedną z największych elektrowni wodnych świata, Itaipu, o mocy 14 tys. MW, którą wytwarza 14 generatorów po 700 MW każdy. Dopływami rzeki Parany są, z lewej strony, m.in. Tieté, przepływająca przez Sao Paulo, Iguazu, sławna z wodospadów oraz rzeka Urugwaj. Ta ostatnia, licząca 2200 km długości,





Autor ze złowioną przez siebie „złotą rybką”, czyli złotą doradą

w swoim górnym biegu stanowi naturalną granicę między Brazylią i Argentyną, a w dolnym dzieli Urugwaj i Argentynę. W języku Indian Guarani oznacza „rzekę malowanych ptaków”. Z prawej strony wpływa do Parany rzeka Paragwaj o długości 2600 km, która wyznacza granicę między Brazylią i Paragwajem oraz Paragwajem i Argentyną. Do ujścia rzeki Paragwaj do rzeki Parana odcinek tej ostatniej jest popularnie nazywany Alta (Wysoka) Parana.

Właśnie tam, w prowincji Corrientes, w pobliżu miasta Esquina oddalonego od Buenos Aires o ok. 760 km, na rzece Parana przeżyłem swoją wędkarską przygodę. Początek był prozaiczny. Na spotkaniu towarzyskim w naszym domu w argentyńskiej stolicy, wraz z Andrzejem Mysłowskim, ówczesnym dyrektorem LOT-u i jego żoną, był obecny, również z żoną, Jerzy Sosiński, przedstawiciel Polonii, a ponadto podróżnik i fotograf. Jego reportaże z różnych zakątków Argentyny można oglądać w Internecie. Okazał się on wspaniałym gawędziarzem, a w trakcie rozmowy wyszło na jaw, że jednym z jego hobby jest wędkarstwo. Opowiadając swoje przygody wędkarskie proponował, abym podczas urlopu lub w jakiś weekend wybrał się razem z nim na ryby, najlepiej zaś do prowincji Corrientes nad rzekę Parana, której nazwa w języku Guarani oznacza „krewny morza”, gdyż w swoim górnym biegu ma szerokość prawie do 4 km. Podczas męskiej rozmowy, mojej i Andrzeja, z radością zaakceptowaliśmy tę propozycję. Była to okazja do zwiedzenia nowego miejsca w tym kraju, a dodatkowym impulsem była możliwość wędkowania na olbrzymiej rzece i próba złowienia słynnej złotej ryby, czyli „el dorado”, zwanej przez Indian Guarani „pirayú” tj. Rybą Wojownika, walczącej w wodzie i w powietrzu, a w polskim języku wędkarskim złotą doradą.

Minęło parę tygodni, aż w pewną niedzielę zadzwonił Jurek, do Andrzeja i do mnie, z hasłem „jedziemy w następny weekend”. Przygotowani i ubrani w odpowiednie stroje, zarówno na ciepły dzień, jak i chłodny wieczór, wyjechaliśmy w trójkę samochodem, wczesnym piątkowym popołudniem, aby po kilku godzinach drogi dotrzeć do celu, którym było centrum turystyczne „Los Quinchos”, niedaleko miasta Esquina w prowincji Corrientes. Centrum było specjalnie przygotowane dla turystów-amatorów wędkarstwa. Dziewięć 5-osobowych bungalowów krytych słomą zapewniało pełny komfort pobytu dla ich mieszkańców. Zmęczeni podróżą z ulgą położyliśmy się do wygodnych łóżek, aby się wyspać przed oczekującym nas pełnym emocji następnym dniem.

Słoneczne promienie wpadające przez okno obudziły nas wczesnym rankiem następnego dnia. Zjedliśmy szybko śniadanie i poszliśmy do administracji Centrum załatwić formalności związane z wypożyczeniem łodzi motorowej z wyposażeniem wędkarskim oraz zabraniami kierowcy-przewodnika, który

towarzyszyłby nam w czasie wyprawy. Z jednej strony był to wymóg, z drugiej zaś konieczność posiadania na łodzi kogoś, kto znał dobrze rzekę i jej okolice, gdyż w tym rejonie Parana rozlewała się szeroko, tworząc wyspy i wysepki oraz mielizny wśród labiryntu małych rzeczek i strumieni wpływających do wielkiej rzeki. Po wypłynięciu, te właśnie rozlewiska stały się dla nas pierwszym terenem łowieckim. Ku naszemu zaskoczeniu ryby z miejsca zaczęły brać, ale jakież było nasze zdziwienie, gdy nasz przewodnik spojrzawszy na nie, spokojnie wyrzucił je z powrotem do wody. Na nasze zapytanie, wyjaśnił, że są to tzw. śmieci rybne, a wśród nich piranie lub armado mające niebezpieczne kolce w płetwach i na bokach. Zdarzały się także szlachetne gatunki ryb, które jednak nie przekraczały wielkości 70 cm i, zgodnie z zasadami, trzeba było je wypuścić. Tak więc, przewodnik pełnił dodatkowo rolę kontrolera wielkości łowionych ryb! Jednakże jego rola jako przewodnika była nieoceniona, gdyż ani razu nie wpadliśmy na mieliznę ani nie uderzyliśmy w wysoki brzeg. Przy okazji wyjaśniał nam, że na mijanych odcinkach stałego łądu żyją małpy-wyjce i kapibary, a w płytkich wodach można było spotkać kajmany. Po kilkugodzinnym pływaniu wśród mniejszych rzeczek i zatoczek poczuliśmy głód. Ponieważ udało nam się złapać małego, ale wymiarowego *surubi*, czyli miejscowego suma postanowiliśmy się go usmażyć na grillu, znajdującym się na wyposażeniu łodzi. W przerwie między przygotowaniem i jedzeniem naszej zdobyczy, Jurek i przewodnik opowiadali jak należy się zachowywać przy połowie dorady, gdy wpłyniemy na wody głównego nurtu Parany. Złapaną na przynętę dorada walczy wyskakując wysoko nad powierzchnię wody, aby następnie zanurzyć się głęboko usiłując uwolnić się od haczyka wędki. Dzieje się tak przez dłuższy okres czasu między wyskokami i zanurzeniem, stąd pochodzi nazwa Ryby Wojownika. Wędkarz musi zachować spokój i doprowadzić do stopniowego przyciągnięcia ryby do łodzi, aby przy użyciu podbieraka wrzucić ją do środka.

Zaspokoiwszy głód i uzbrojeni w teoretyczną wiedzę, zwłaszcza Andrzej i ja, wypłynęliśmy na szerokie wody Parany. Wędki poszły w ruch i zaczęło się polowanie na „złotą rybkę” Przewodnik kierował łodzią starając się płynąć w miejsca, gdzie powinny znajdować się ich siedliska. Mijały minuty i mimo cierpliwego rzucania wędek, nic nie chciało się do nie złapać. I nagle, jak zazwyczaj bywa w życiu, szczęście uśmiechnęło się do debiutanta, czyli do mnie. Poczujęm jak moje wędzisko wygina się w pałak i spostrzegłem jak w sporej odległości od naszej łodzi wystrzelił nagle nad wodę „złoty” pocisk. Dorada! Wzbiła się dwa metry nad wodą, aby po chwili zniknąć w głębinie. Wędka jednak pozostawała napięta, co oznaczało, że próba zerwania się ryby z haczyka była niemożliwa. Współtowarzysze na łodzi zaczęli mnie

dopingować i radzić: „ściągaaj, ściągaaj, tylko powoli”. Za chwilę nastąpił nowy wyskok nad wodą „mojej dorady” i znowu „nurek” w głębię rzeki. Zaczynała się walka między rybą a człowiekiem. Poczułem się jak stary rybak w opowiadaniu Ernesta Hemingwaya „Stary człowiek i morze”. I znów ponowny wyskok nad wodę i jeszcze, jeszcze i... coraz bliżej łodzi. Palce rozboleły mnie od kręcenia kołowrotkiem, ale nie czułem zmęczenia, bo cała uwaga skupiona była na zbliżającej się doradzie, która wciąż walczyła o życie, ale jej wyskoki nad wodą stawały się coraz słabsze i coraz łatwiej mi było ją przyciągnąć do łodzi. W końcu odetchnąłem z ulgą, kiedy „złota rybka” wylądowała tuż koło burty łodzi. I wtedy z pomocą przyszli mi z pomocą starzy weterani wędkowania. Kiedy ja trzymałem naprężoną wędkę Jurek starał się umieścić rybę w siatce podbieraka, a przewodnik tak kierował łodzią, aby zakończyć sukcesem ten ostatni etap, kiedy to po zdecydowanym ruchu Jurka ryba zatrzepotała w siatce, a chwile później na dnie naszej łodzi. Sukces! Nie zdążyłem jeszcze wyrazić słów radości, gdy Andrzej krzyknął: „Mam” i „jego” dorada zaczęło wykonywać swoje nadwodne salta. Operacja się powtórzyła z powodzeniem, w odróżnieniu od kolejnej, kiedy dorada Jurka zerwała się tuż przy łodzi. Za to Jurek, wkrótce potem zaczął walkę, z największą rybą rzeki tj. *surubi*. I tym razem wyszedł z niej zwycięsko, tak, że miejscowy sum również wylądował u naszych stóp. Kontynuowaliśmy jeszcze połowy,



Uczestnicy wyprawy na ryby, od lewej: autor, Jerzy Sosiński, Andrzej Mysłowski

nawet z niezłymi rezultatami, ale nie wszystkie ryby mogliśmy zachować, gdyż „kontroler” stwierdził, że niektóre nie odpowiadają normie, czyli mierzą mniej niż 70 cm do nasady ogona i, ku naszemu żalowi, wrzucił je z powrotem do rzeki. Tymczasem zaczął zapadać zmrok, co w tamtych szerokościach geograficznych następuje błyskawicznie w odróżnieniu od zmierzchu w Polsce. Po zachodzie słońca zaczęło się robić chłodno, toteż przewodnik dał hasło do odwrotu i powrotu do bazy. Podczas odwrotu Jurkowi udało się jeszcze złapać jedną doradę i jej skoki w świetle księżyca wyglądały wręcz niesamowicie. Zmęczeni, wyczerpani fizycznie, lecz szczęśliwi duchowo wróciliśmy do „Los Quinchos”, gdzie przy dobrej kolacji i winie wspominaliśmy długo przeżyte emocje. Następnego dnia próbowaliśmy powtórzyć sukcesy z poprzedniego, ale tylko piranie i armado stawały się naszym łupem. Po zrobieniu pamiątkowych zdjęć wypuszczaliśmy je z powrotem do rzeki, uważając przy tym, aby piranie nie odgryzły nam palców. Zostawiwszy marzenia o wielkich połowach dorad i *surubi*, zapakowaliśmy wczorajszy „urobek” do odpowiedniego pojemnika i ruszyliśmy w drogę powrotną do Buenos Aires, gdzie czekały rodziny ciekawe naszych opowieści o taaaakich rybach, a dzieci opowiadania o prawdziwej „złotej rybce” złowionej przez ich ojca. Nie muszę dodawać, że kolacja ze złowionych ryb była wspaniała i wszyscy byli wielce zadowoleni.

O naszej wędkarskiej przygodzie rozmawialiśmy z Jurkiem, kilka miesięcy później, kiedy odwiedził nasz dom, aby spotkać się ze znakomitym podróżnikiem i globtroterem, Jackiem Pałkiewiczem, będącym przejazdem w argentyńskiej stolicy w drodze do Peru. Nie wiedziałem wówczas, że spotkam go kilka lat później w Limie, kiedy Peruwiańczycy będą go fetowali jako odkrywcę źródeł Amazonki.

Na pamiątkę przygody ze „złotą rybką” zostały mi wspomnienia i cała seria fotografii dokumentujących tę wyprawę.

## Rozdział XI

# Winna Mendoza, Sylwester w Valparaiso i Santiago de Chile

Jak już było wspomniane wcześniej, dyplomatom pracującym w tzw. krajach normalnych, czyli nietrudnych z punktu widzenia klimatu, takich jak europejskie, Ameryki Północnej, część azjatyckich i południowoamerykańskich, do których zaliczana była też Argentyna, urlop w kraju Ministerstwo finansowało oficjalnie raz na dwa lata, co stwarzało szansę wykorzystania urlopu w innym terminie w zależności od możliwości i chęci zainteresowanego. Na placówkach różnie z tym bywało. Jedni nie jeździli nigdzie, aby zaoszczędzone, wolne dni wykorzystać w Polsce po powrocie z placówki, inni oszczędzali ze względów czysto finansowych, aby jak największą ilość pieniędzy przywieźć do kraju. Nieliczną grupę stanowili ci, którzy, tak jak my z żoną, decydowali się na turystykę w kraju pobytu lub w krajach sąsiednich.

W czasie pobytu w Argentynie pierwszy urlop „niepolski” spędziliśmy, ze względów sentymentalnych, w Brazylii, ale nie omieszkaliśmy też zobaczyć nieznanych nam dotychczas regionów Argentyny. Następnym razem zaplanowaliśmy odwiedzić innego sąsiada Argentyny, a mianowicie Chile. O historii tego kraju, zwłaszcza najnowszej, z okresu zamachu stanu Augusta Pinocheta

we wrześniu 1973 roku na rząd prezydenta Salvadora Allende i o późniejszym okresie dyktatury wojskowej czytaliśmy i słyszeliśmy wiele od uchodźców, których spotykaliśmy w innych krajach latynoamerykańskich. Po odejściu od władzy Augusta Pinocheta i powrocie do demokracji oraz po wznowieniu stosunków dyplomatycznych, zawieszonych w 1973 roku z wieloma krajami, m.in. z Polską, chcieliśmy na własne oczy zobaczyć aktualną rzeczywistość chilijską. Plan podróży dojrzał powoli i, jak zwykle dzięki przypadkowi, nabrał tempa, przybierając konkretną formę szczegółowego harmonogramu.

W naszej ambasadzie w Buenos Aires pojawił się niejaki pan Zbigniew Fularski. Nie pamiętam dokładnie, czy został mi przedstawiony przez konsula, czy też zapukał sam do mojego gabinetu. Wysoki, postawny, z uśmiechem na twarzy i z czekoladkami w ręku, zapraszał do ich skosztowania. Ze zdziwieniem, na kolorowym pudełku ozdobionym wzorami łoświckimi, zobaczyłem czysto polski napis „Mamusia”. Zapytany o to pan Fularski odpowiedział, że czekoladki produkuje w swoim zakładzie, a ich recepturę wymyśliła jego żona zwana popularnie „mamusią”, stąd też nazwa produktu. On sam, z kolei, jest nazywany przez najbliższe otoczenie „Tatusiem”. Oboje z dziećmi mieszkają w wypoczynkowej miejscowości San Martin de los Andes, położonej niedaleko słynnej stolicy argentyńskich Andów, Bariloche. San Martin jest również dobrze znany wielbicielom sportów alpejskich i leży niedaleko od granicy z Chile. Przy okazji wspomniałem mu o naszych planach urlopowych związanych z wyjazdem do tego kraju. Gdy usłyszał o zamiarze odwiedzenia Santiago i ewentualnie leżącej na północ od miasta pustyni Atacama, zaczął mnie namawiać do zmiany trasy podróży i pojechania na południe Chile. Jedząc wspaniałe czekoladki ze skórek pomarańczy oblewanych czekoladą, które szczególnie smakowały dzieciom, omawialiśmy ewentualne warianty podróży. Uzgodniliśmy, że będziemy w kontakcie i weźmiemy pod uwagę w naszych planach odwiedzenie San Martin i poznanie osobiście „Mamusi”, to jest żony oraz zakładu produkującego czekoladę. Na tym nasza pierwsza rozmowa się skończyła.

Pomysł zmiany planu podróży, a także środków transportu bardzo spodobał się mnie i żonie. Początkowo mieliśmy lecieć samolotem do Santiago, a później poruszać się po Chile lokalnymi środkami lokomocji, ale po kolejnych konsultacjach z „Tatusiem” zmieniliśmy dość radykalnie te plany. Z Buenos Aires do Mendoza, stolicy argentyńskiego wina, leżącej u podnóża górskiego pasma Andów, postanowiliśmy pojechać pociągiem, aby następnie autobusem przekroczyć argentyńsko-chilijską granicę Andów, jadąc słynnymi *caracoles* to jest górską szosą z mnóstwem ostrych zakrętów.

Po zwiedzeniu Santiago i okolic, znowu mieliśmy wsiąść do pociągu, aby pojechać na południe do miasta Puerto Montt, gdzie czekałby na nas „Tatuś” ze swoim samochodem. Razem z nim mieliśmy jechać jeszcze dalej i wrócić do Argentyny, zatrzymując się oczywiście w San Martin de los Andes. Z niecierpliwością czekaliśmy na realizację opisanego planu.

Start nastąpił po Świątach Bożego Narodzenia. Wsiedliśmy całą czwórką do pociągu, co prawda „nie byle jakiego”, lecz zmierzającego do Mendoza, do której jechaliśmy cały boży dzień. Bądź co bądź było to ponad tysiąc kilometrów. Ze zdziwieniem zauważyłem, że połowę składu stanowiły wagony -lory, na których umieszczono transportowe tiry z towarem. Jak mi wyjaśnił uprzejmy konduktor, przedsiębiorcom się bardziej opłaca przewozić samochody na tak duże odległości pociągiem, niż pokonywać tę samą odległość drogą. Dopiero po dotarciu do gór, dalej poruszają się samodzielnie jadąc do poszczególnych klientów w Argentynie lub w Chile. Krajobraz za oknem pociągu był przeraźliwie jednostajny. Jechaliśmy przez *pampę*, więc oglądaliśmy piękne, trawiaste równiny i, od czasu do czasu, stada pasących się krów. W jednym miejscu wylała rzeka i krowy stały prawie po kolanach w wodzie, usiłując znaleźć wyżej położone miejsca. Bydło przebywa na tych naturalnych pastwiskach przez okrągły rok i być może dlatego mięso z argentyńskich krów jest tak poszukiwane przez smakoszy na całym świecie. Dotarliśmy wreszcie do miasta Mendoza. W jego okolicach znajduje się najwyższy szczyt Ameryk – Aconcagua – o wysokości 6959 m n.p.m., będący celem licznych wypraw andyjskich, w tym też polskich. Miasto leżące na pustyni jest pełne zieleni, ogrodów i rosnących wzdłuż ulic drzew. Zawdzięcza to wspaniałemu systemowi irygacji składającemu się z sieci kanałów i kanalików rozprowadzających wodę po całym mieście. Budowę tego systemu irygacji zaczęli jeszcze Indianie Huarpes przed najazdem Hiszpanów, którzy rozbudowywali go później przez kolejne wieki. Mendoza, założona w roku 1561, przeżyła trzysta lat później, w 1861 roku potężne trzęsienie ziemi, podczas którego zginęło ponad 5 tysięcy osób i zostało zniszczonych wiele starych budynków. Dzięki odbudowie i późniejszej modernizacji, w XX wieku powstało nowoczesne miasto o szerokich ulicach i placach sąsiadujących z zabytkami zachowanymi z poprzednich epok.

Nie zamierzaliśmy jednak wspinać się na szczyty, ani chodzić z dziećmi po górach, natomiast postanowiliśmy zobaczyć z bliska inną znaną część tego miasta noszącego w Argentynie, i nie tylko, nazwę Wielkiej Stolicy Wina. Dzięki znajomym z Buenos Aires otrzymaliśmy zaproszenie do zwiedzenia jednej z największych i najbardziej znanych wytwórni win argentyńskich



„Trapiche”. Po przybyciu do zakładu zostaliśmy przywitani przez członka dyirekcji, a następnie, w towarzystwie przewodnika i, jak się okazało później, także kiperę, ruszyliśmy na zwiedzanie poszczególnych jego części. Po drodze słuchaliśmy wyjaśnień naszego przewodnika, który ze swadą i humorem opowiadał nam o etapach produkcji wina. Zbierane w winnicach owoce winogron, których olbrzymie uprawy widzieliśmy w czasie podróży, przywożone są do zakładu, gdzie wstępnie są myte i selekcyjonowane. Następnie wyciska się z nich sok i rozpoczyna się proces winifikacji. Winogrona są umieszczane w wielkich beczkach drewnianych lub metalowych i poddawane fermentacji. Nasz przewodnik kontynuował uczony wywód na temat sposobu fermentacji i różnic przy produkcji wina czerwonego i białego wina, podczas gdy my, słuchając jednym uchem tych wyjaśnień, podziwialiśmy olbrzymi zbiornik o pojemności miliona litrów, w którym przebiegał ten proces. Kolejnym etapem było filtrowanie, nawet kilkakrotne w przypadku win białych, lub klarowanie przez samorzutny opad osadu i zbieranie klarownej cieczy, po czym następowało dojrzewanie wina. Mówiąc o tym przewodnik przeszedł wraz z nami do pomieszczeń, gdzie znajdowały się beczki z winem podczas tzw. leżakowania. Zauważyliśmy, że jedne beczki są metalowe, a inne drewniane. Nasz przewodnik, Włoch z pochodzenia, gestykulując z uśmiechem tłumaczył nam, że okres przebywania wina w beczkach, w zależności od gatunku wina, trwa od pół roku do trzech lat. Wtedy następuje przelanie wina z beczek do butelek i następuje kolejny okres leżakowania, co oznaczało dla nas przejście do następnych pomieszczeń, gdzie naszym oczom ukazały się tysiące butelek poukładanych poziomo na olbrzymich regałach ciągnących się przez dziesiątki metrów pomieszczenia. Przy każdym regale były przyłączone odpowiednie tabliczki z oznakowaniem gatunku wina i okresem leżakowania. Na koniec zwiedzania wróciliśmy do punktu wyjścia tj. do sali recepcyjnej, gdzie znajdował się bar i odbywała się degustacja różnych gatunków win. Tutaj nasz przewodnik przemienił się w znakomitego kiperę i tłumaczył nam jaki trudny jest to zawód, gdyż wymaga wielu wyrzeczeń i potrzeby zachowania odpowiedniej diety w celu sprostania jego wymaganiom. Oczywiście, nie obyło się bez degustacji kilku gatunków win, tylko dzieci musiały się zadowolić sokiem i napojami gazowanymi. W trakcie rozmowy zapytaliśmy naszego Włocha, jaka jest różnica między winami argentyńskimi a chilijskimi, które wówczas były bardziej znane w Europie. W odpowiedzi usłyszeliśmy ze śmiechem, że praktycznie nie ma żadnej, jedynie Chilijscy są czasowo lepsi w promocji swoich wyrobów na rynkach międzynarodowych. Ma nadzieję, że sytuacja się zmienia, o czym świadczą ostatnie kontrakty

„Trapiche” na eksport tych win do USA. Na dowód pokazał nam butelki z etykietami specjalnie przygotowanymi do transportu do Stanów Zjednoczonych. Żegnając się, zaprosił nas na wizytę w marcu, kiedy to w pierwszą sobotę tego miesiąca kończy się dwutygodniowy Festiwal Vendimia (La Fiesta Nacional de Vendimia). Obejmuje on prezentacje lokalnych zespołów folklorystycznych, targi regionalnych wyrobów artystycznych i oczywiście degustacje win produkowanych w regionie, przy wieczornej muzyce i tańcu. Festiwal kończy się paradą przedstawicieli wszystkich miejscowości, gdzie znajdują się winnice, podczas której składa się hołd patronce winnic, Matce Boskiej Curradilla i wybiera się Miss Vendimia. Podziękowaliśmy serdecznie za bardzo interesującą wizytę, „winne testy” oraz zaproszenie na obchody Święta Zbiorów i udaliśmy się w dalszą podróż.

Z Mendozy do Santiago de Chile jest około 380 kilometrów, co oznacza do 7-8 godzin jazdy autobusem z uwagi na drogę, która przedziera się przez pasmo Andów na wysokości ponad 3000 metrów. Staraliśmy się jak najwcześniej znaleźć na stacji autobusowej, aby zająć najlepsze miejsca przy oknach gwarantując sobie lepsze możliwości podziwiania widoków, o których nam opowiadano wcześniej. Ponieważ miałem kamerę filmową usiadłem w pierwszym rzędzie po prawej stronie kierowcy, aby móc filmować przez panoramiczną, przednią szybę pojazdu. Siedzące miejsce koło samego kierowcy, które zazwyczaj w autobusach turystycznych zajmuje pilot było wolne i widok był naprawdę doskonały. Niestety, jak to zwykle bywa, los okazał się złośliwy. W ostatniej chwili dotarł spóźniony pasażer i właśnie to miejsce zostało zajęte przez niego. Był to wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna i ku mojemu przerażeniu wyjął z torby podróźnej kamerę, do tego dwa razy większą od mojej. Oznaczało to w praktyce koniec marzeń o filmowaniu na wprost i konieczność skoncentrowania się na pejzażach widocznych przez boczną szybę autobusu. Widoki aż zapierały oddech i to z dwóch powodów. Po pierwsze, z uwagi na bajeczną wprost panoramę wysokich gór i panujących nad nimi szczytów, które, mimo lata, pokrywał śnieg, a po drugie, ze względu na wijącą się i pełną zakrętów drogę, raz wznoszącą się, raz opadającą, dzięki czemu można było zobaczyć kolejne *caracoles*. Mimo że szosa miała dobrą nawierzchnię, to była jednak dość wąska. Stąd też, gdy patrzyło się przez boczną szybę, skraj drogi nie był widoczny i miało się wrażenie, że autobus za chwilę wyląduje na kolejnej spirali, kilkaset metrów niżej. Kierowca prowadził jednak autobus pewną ręką i obawy rozwiewały się przy następnej wspinaczkowej szosie w górę. Korzystając z mikrofonu informował pasażerów o widocznych na horyzoncie szczytach górskich, w tym najwyższym szczycie

Acongaua, o miejscowościach turystycznych znanym amatorom narciarstwa alpejskiego, a także o tym, że niejednokrotnie w okresie zimy, szosa, którą jedziemy, jest nieprzejezdna, z uwagi na obfite opady śniegu i oblodzenie. Podziwiając krajobrazy i słuchając wyjaśnień kierowcy dotarliśmy do punktu granicznego dzielącego Argentynę i Chile. Usytuowany był na wysokości 2600 m n.p.m., przed wjazdem do tunelu przechodzącego pod Andami na terytorium Chile. Wszyscy pasażerowie zostali poproszeni o wyjście z autobusu i przejścia do biura, gdzie urzędowali wspólnie celnicy i straż graniczna obu krajów. Nauczeni amerykańskim doświadczeniem mieliśmy w paszportach wizy chilijskie wydane nam przez ambasadę tego kraju w Buenos Aires. Figurowały one na ostatniej zapisanej kartce w paszporcie. Ku mojemu zdziwieniu, członek chilijskiej straży granicznej, przerzucając poszczególne kartki mojego paszportu, nie dotarł do wizeny chilijskiej, gdyż zobaczywszy wykorzystaną wizę amerykańską, na tym poprzestał, wbił swój stempel i życzył udanego pobytu w Chile. Widocznie amerykańska wiza była ważniejsza dla niego niż wiza jego własnego państwa. Prawdopodobnie wychodził z założenia, że jeżeli Amerykanie nas sprawdzili, to on już nie musi. Ważne było to, że obyło się bez zbędnej straty czasu. Innymi pasażerami autobusu interesowali się bardziej celnicy, gdyż byli to obywatele argentyńscy lub chilijscy. Na szczęście nie było żadnych przykrych niespodzianek i po chwili wszyscy wsiedli z powrotem do autobusu. Dalsza podróż przebiegła bardzo szybko, gdyż po wyjeździe z tunelu droga prowadziła nas wciąż w dół i tak oglądając zmienne krajobrazy dotarliśmy do Santiago.

W chilijskiej stolicy mieliśmy zarezerwowany pokój gościnny w naszej ambasadzie, dokąd dotarliśmy taksówką. Tam dowiedzieliśmy się, że pan ambasador Zdzisław Ryn, powiadomiony, że przyjeżdżamy z dziećmi, polecił przygotować większy pokój usytuowany obok jego roboczego gabinetu. Złożyłem mu wizytę i serdecznie podziękowałem za troskę o naszą wygodę. Poinformowałem jednocześnie o celach naszego turystycznego pobytu w Chile tj. zwiedzaniu Santiago i późniejszej podróży na południe kraju. Z kolei ambasador wyraził żal, że nie może nas zaprosić na Sylwestra do ambasady, ponieważ z przyczyn obiektywnych placówka nie organizowała w tym roku tradycyjnej zabawy dla polskiej kolonii zamieszkałej w stolicy. Odpowiedziałem, że zobaczymy w zamian tak opisywany w przewodnikach turystycznych, sylwestrowy pokaz ogni sztucznych w zatoce Valparaiso, wystrzeliwanych z okrętów marynarki wojennej zacumowanych w porcie o tej samej nazwie. Z tej okazji, jak przeczytałem w jednej ze stołecznych gazet, burmistrz miasta Valparaiso wydaje przyjęcie w Muzeum Historycznym miasta położonym

na wzgórzu, panującym nad całą zatoką. Zatem odważyłem się zasugerować, aby ambasador zadzwonił do burmistrza i wyraził zainteresowanie uczestnictwa w tej imprezie z przyjaciółmi tj. z nami. Mimo dyplomatycznych skrępułów, że to bez uprzedzenia, że ostatni moment w przeddzień przyjęcia itp. poprosił sekretarkę o połączenie z burmistrzem i rozmawiał z nim o ewentualnym zaproszeniu dla niego i „przyjaciół”. Nie minęło 15 minut i zaproszenie przyszło faksem. W zaistniałej sytuacji uzgodniliśmy, że ambasador wraz z żoną pojedzie sam do Valparaiso, gdyż po imprezie w Muzeum ma zaproszenie na zabawę sylwestrową, natomiast ja z żoną, wraz z kierowcą ambasady, samochodem służbowym udamy się na miejsce sami, a po pokazie wrócimy do Santiago. Zadowoleni z takiego obrotu rzeczy, nie chcąc tracić czasu udaliśmy się na zwiedzanie chilijskiej stolicy.

Mając w pamięci zamach Augusto Pinocheta w 1973 roku i obrazy przekazywane wówczas przez telewizję całego świata – nurkujące i bombardujące samoloty nad pałacem prezydenckim, kłęby dymu unoszące się nad nim, udaliśmy się do starego centrum Santiago, aby obejrzeć siedzibę chilijskiego prezydenta i rządu, pałac „Palacio La Moneda”. Wielki, klasycystyczny pałac z końca XVIII wieku położony w centrum miasta zawdzięcza swoją nazwę mennicy, która się w nim mieściła do połowy XIX wieku (*moneda* znaczy po hiszpańsku moneta). Obejrzeliśmy dokładnie wszystkie ściany pałacu szukając śladów wydarzeń z roku 1973, ale bezskutecznie. Jak nam wyjaśniono,



Słynne *caracoles*, czyli górskie serpentyny na drodze z argentyńskiej Mendozy do chilijskiego Santiago



Górski krajobraz w chilijskich Andach



Prezydencki Pałac „La Moneda” w Santiago

Pałac odbudowano w latach osiemdziesiątych i przywrócono mu poprzedni wygląd. Przebywając w Santiago kilka lat później, w podróży służbowej, miałem okazję go zwiedzić, podczas wizyty w Chile ówczesnego premiera Jerzego Buzka. W sąsiedztwie pałacu usytuowane są ważne instytucje państwowe, ministerstwa, Bank Centralny i katedra. A wszystko to wokół Plaza de Armas, (Placu Broni). Tradycyjnie centralne place w wielu stolicach państw Ameryki Łacińskiej, jak również w innych miastach kontynentu, noszą podobną nazwę. Związane jest to z epoką wojen niepodległościowych w XIX wieku, kiedy to na tych placach była rozdawana mieszkańcom miast broń do walki z kolonizatorami hiszpańskimi.

Ponieważ na spacerze byliśmy z dziećmi, które nie chciały podziwiać ani starej, ani nowej architektury miasta, pojechaliśmy na wzgórze San Cristobal (Św. Krzysztofa), na które dotarliśmy kolejką szynową, podobnie jak na Corcovado w Rio de Janeiro. Na szczycie górowała ponad 20-metrowa figura Matki Boskiej z rozpostartymi ramionami, jak gdyby biorąc w swoje objęcia miasto Santiago i jego mieszkańców. Z góry rozpościerał się piękny widok na całe miasto, jednakże, ze względu na smog, nie było widać znajdujących się nieopodal gór. Wyjaśniono nam później, że latem ruch samochodowy jest normalny, natomiast zimą jest ograniczony, aby zmniejszyć ilość smogu w powietrzu. Administracyjnie przeprowadzono to w prosty sposób. Jednego dnia jeżdżą samochody z rejestracją kończącą się na numery parzyste, drugiego na nieparzyste. Jest faktem, że czystość powietrza w chilijskiej stolicy to jeden z problemów, którymi zajmuje się rada miejska. Wynika to z usytuowania miasta w kotlinie, wokół której rozciągają się pasma górskie, podczas okresu zimowego nie pozwalają one wiatrom wiejącym od morza przegonić zawiesiny smogu i gromadzą go nad miastem. Latem kierunek wiatru się zmienia i smog jest wypierany w kierunku morza. Ze wzgórze zeszliśmy piechotą. Na dole zaś było ustawionych mnóstwo kramów z pamiątkami dla turystów, owocami, napojami i łakociami dla dzieci. Nietrudno zgadnąć, że straciliśmy tam trochę czasu. Kupiliśmy na pamiątkę m.in. małe dzwoneczki zrobione z miedzi, stanowiącej bogactwo narodowe Chile, które wiele lat później, w Meksyku dawały nam znać o trzęsieniu ziemi. Pełni wrażeń wróciliśmy do siedziby ambasady.

Następnego dnia pan Janusz, kierowca ambasady zadzwonił rano i zaproponował wcześniejszy wyjazd, aby jeszcze przed przyjęciem u burmistrza Valparaiso, rozpoczynającym się o 22.30, zwiedzić miasto i port oraz sąsiadujący z nim kurort Viña del Mar znany z organizowanych w nim rokrocznie festiwali piosenki. Oczywiście pomysł przyjęliśmy i zaakceptowaliśmy z ochotą.

Uzgodniliśmy wcześniej z miłym państwem mieszkającym w pomieszczeniach placówki, że zaopiekują się naszymi dziećmi podczas naszej nieobecności, gdyż z uwagi na późną porę i oficjalną imprezę nie mogliśmy ich wziąć ze sobą. Pozostawał do wyjaśnienia tylko jeden aspekt wyjazdu, a mianowicie oficjalny strój na przyjęcie. Mimo że na wszelki wypadek zabrałem ze sobą garnitur i żona też coś znalazła na wyjście, jednak po krótkiej naradzie postanowiliśmy wybrać się na sportowo, a oficjalne stroje wrzucić do bagażnika samochodu i przebrać się w nie tuż przed samym przyjęciem, już na miejscu.

Valparaiso leży w odległości ok. 120 km od Santiago i prowadzą do niego dwie drogi: nowa autostrada oraz stara droga wiodąca przez góry. Nasz przewodnik i kierowca zaproponował przejazd w jedną stronę przez góry, a powrót nową autostradą. Stara droga była wąska i kręta, ale przejezdna. W pewnym momencie pan Janusz zatrzymał samochód i wysiedliśmy. Z góry było widać odcinek tej samej drogi, ale leżący znacznie niżej. Pan Janusz opowiedział nam, że właśnie z tego miejsca lewicowi partyzanci dokonali próby zamachu na generała Augusto Pinocheta, kiedy ten wracał ze swojej podmiejskiej rezydencji do stolicy. Zamach nie powiódł się, gdyż wystrzelone pociski trafiły tylko w samochód obstawy generała, a samochód z nim samym zdążył się wycofać i wezwać posiłki. Kontynuowaliśmy podróż, a nasz przewodnik opisywał nam rodzaje skał mijanych po drodze. Okazało się, że był z zawodu inżynierem geologiem i zna rejon Ameryki Południowej, gdyż już przebywał tutaj poprzednio szukając w Boliwii złota. Obecne zajęcie traktował jako przygodę i przerwę w dalszych poszukiwaniach drogocennych minerałów. W następnym roku dowiedzieliśmy się, że faktycznie przestał pracować w ambasadzie i wyjechał do Boliwii. Podziwiając górskie pejzaże i słuchając „dziwnych opowieści” geologa-poszukiwacza o przygodach wśród boliwijskich Indian, dojechaliśmy do miasta Valparaiso, co po hiszpańsku oznacza rajską dolinę, drugiego co do wielkości miasta w Chile i największego portu tego kraju. Z przewodników turystycznych wiedzieliśmy, że zostało założone przez Juana de Saavedra w 1536 roku i nazwane tak na cześć jego rodzinnego miasta w Hiszpanii. Zatoka osłonięta górami od silnych wiatrów znakomicie nadawała się na port, na przestrzeni wieków stał się największym portem na zachodnim wybrzeżu Ameryki Południowej. Mieściła się w nim też baza chilijskiej marynarki wojennej. Właśnie z jej okrętów miały być wystrzelwane słynne fajerwerki i sztuczne ognie o północy tego dnia. W 1990 roku Valparaiso stało się ważnym punktem na mapie politycznej kraju, gdyż właśnie tutaj został przeniesiony Kongres Narodowy złożony z Izby Deputowanych i Senatu. Obejrzeliliśmy jego siedzibę z zewnątrz podczas przejażdżki po mieście,

gdyż były wakacje i Parlament nie obradował. Zwróciliśmy uwagę na nietypowy transport miejski, do którego należy zaliczyć trolejbusy oraz kolejki linowe ułatwiające przemieszczanie się z okolic portu na wzgórze zamieszkałe przez znaczną część ludności miasta. Stare miasto, z zabytkami architektury kolonialnej, podziwialiśmy z samochodu. W 2003 roku zostało wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Ponieważ chcieliśmy wykorzystać kilka godzin, które pozostawało do przyjęcia, zdecydowaliśmy pojechać dalej samochodem do Viña del Mar. Było to tylko 10 km, toteż można powiedzieć, porównując do polskiego Trójmiasta, że jest to „Dwumiasto”, chociaż administracyjnie wchodzi ono do strefy tzw. Wielkiego Valparaiso, do którego należą jeszcze trzy inne miejscowości: Concon, Quilpue i Villa Alemana. Jechaliśmy wzdłuż kamienistego wybrzeża, z drugiej strony, na opadających ku morzu stokach pokazywały się coraz to piękniejsze domy i rezydencje. Viña del Mar, nazywane „miasto-ogród”, jest największym i najbardziej znanym kurortem w Chile. Zawdzięcza to m.in. Miejskiemu Kasynu otwartemu 31 grudnia 1930 roku. W roku następnym miejscowość stała się letnią rezydencją prezydentów Chile, w latach późniejszych powstawały tu kolejne hotele i rezydencje bogatych Chilijczyków. Przyciągała ich zieleń i wolne przestrzenie, tak różne od ciasnego i zatłoczonego starego miasta i portu w Valparaiso, o czym wkrótce mieliśmy się przekonać. Ponadto sławę miastu przyniosły dwa międzynarodowe festiwale: Festiwal Filmowy zainaugurowany w 1967 roku, jako pierwszy tego typu w całej Ameryce Łacińskiej oraz wspomniany wcześniej Festiwal Piosenki mający miejsce w okresie tutejszego lata, w miesiącu lutym. Obecnie, również jeden z ważniejszych turniejów tenisowych ATP jest także rozgrywany w tym chilijskim kurorcie. Jadąc nadmorskim bulwarem zatrzymaliśmy się na chwilę, aby popatrzeć na pluskające się foki i morsy wylegające się na olbrzymich głazach. Woda w Pacyfiku jest zimna, chyba tak jak w naszym Bałtyku, gdyż wzdłuż wybrzeża przepływa zimny morski prąd. Jeszcze raz spojrzeliśmy na drugą stronę szosy, na piękny kwiatowy zegar na olbrzymim zielonym trawniku i wróciliśmy do Valparaiso. Na nabrzeżu portowym spotkaliśmy kramy z pamiątkami oblegane przez turystów, a z głębi zatoki wyłaniały się okręty wojenne, pięknie oflagowane kolorowymi chorągiewkami i przygotowane do noworocznego salutu. Muzeum Miasta, gdzie miało się odbyć przyjęcie połączone z pokazem ogni sztucznych było położone na wzgórzu, skąd rozciągał się piękny widok na port i zatokę. Wjazd był jednak blokowany i wpuszczani byli tylko goście za zaproszeniami. Takowe, co prawda mieliśmy, ale najpierw musieliśmy się przebrać w wizytowe stroje, zwłaszcza po tym, jak zobaczyliśmy wjeżdżających gości: panie w długich,



wieczorowych sukniach i panów w garniturach lub smokingach. Po krótkiej naradzie weszliśmy do najbliższej kawiarni, zamówiliśmy kawę i kolejno, z torbą w rękę udawaliśmy się do kawiarnianej toalety. Tam następowało przebranie w wizytowy strój i powrót do stolika. Obecni w kawiarni ze zdumieniem, ale w spokoju, spoglądali na naszą metamorfozę, dziewczęta zaczęły zaś zalotnie spoglądać na naszego inżyniera, bardzo przystojnego, zwłaszcza kiedy pojawił się przebrany w elegancki smoking. Szybko jednak opuściliśmy kawiarnię i podjechaliśmy samochodem do Muzeum, gdzie po okazaniu zaproszenia zostaliśmy wpuszczeni na przyjęcie. Odbywało się ono na tarasie, a wśród obecnych był również nasz ambasador z żoną. Przed północą kelnerzy roznieśli szampana i wszyscy zaczęli składać sobie najlepsze życzenia noworoczne oraz zajmować miejsca przy balustradzie tarasu, aby jak najlepiej widzieć rozpoczynający się pokaz sztucznych ogni. W nocnym mroku niebo nagle rozbłysło feerią świateł. Z okrętów zacumowanych po obu stronach zatoki raz po raz były wystrzeliwane piękne, różnokolorowe race układające się w przeróżne konfiguracje. Kiedy jedne gasły, niebo rozświetlały następne o innych kolorach i figurach. Piękny spektakl trwał kilkanaście minut i nie było można oderwać od niego oczu. Mogli go podziwiać nie tylko zgromadzeni w porcie, ale również mieszkańcy pobliskich miasteczek położonych nad zatoką. Po ostatnich ogniach rozległy się oklaski gości zebranych na tarasie i składano gratulacje burmistrzowi, za tak wspaniałe widowisko. Mimo, że przyjęcie trwało nadal, to gości szybko ubywało, gdyż praktycznie większość obecnych udawała się na kontynuację nocy sylwestrowej do hoteli lub prywatnych rezydencji.

Wkrótce po tym jak pożegnał się ambasador, my również opuściliśmy teren Muzeum udając się w drogę powrotną do Santiago. Przejazd autostradą do stolicy był szybki i po przyjeździe do ambasady wypiliśmy kolejny toast noworoczny z gospodarzami placówki oraz z naszym wyśmienitym kierowcą-inżynierem, ale bez hałasu, by nie budzić śpiących już dzieci. Wkrótce i my udaliśmy się na spoczynek, gdyż następnego dnia czekała nas długa podróż, która miała być kolejnym etapem podróży po ziemi chilijskiej. Pociąg miał dowieźć nas na umówione spotkanie z „Tatusiem”.

## Rozdział XII

# **Chilijskie wędrówki z „Tatusiem” i czekoladowa „Mamusia” w San Martin de los Andes**

Santiago od Puerto Montt dzieli odległość ponad 1000 km. Pociąg, do którego wsiedliśmy, z zewnątrz nie wyglądał zbyt zachęcająco. Obdrapane wagony nadgryzione zębem czasu sprawiały wrażenie raczej nadających się do remontu niż do jazdy, ale innego wyjścia nie było. W środku jednak było czysto i schludnie, tak że z przyjemnością zajęliśmy miejsca, a dzieci od razu przykleiły się do okien, aby podziwiać mijane pejzaże. Droga, a właściwie linia kolejowa, prowadziła nas na południe Chile. W odróżnieniu od trasy Buenos Aires – Mendoza, ta zaskakiwała nas zmieniającym się krajobrazem. Mijaliśmy znane chilijskie winnice, doliny, rzeki i jeziora, a na horyzoncie były widoczne szczyty Andów, wśród których spotyka się także czynne wulkany. Rzeki spływające z gór kierowały się w stronę wybrzeża Pacyfiku. Podróż trwała długo, ze względu na postoje pociągu na poszczególnych stacjach, tym niemniej nie była nużąca, właśnie z uwagi na zmiany pejzażu i roślinności. Wynikało to ze zmieniających się stref klimatycznych, gdyż cały czas zmierzaliśmy na południe w stronę lodowego kontynentu Antarktydy. Winnice ustąpiły miejsca lasom strefy umiarkowanej, wolnym przestrzeniom

ozdobionym urodą drzew araukarii. Rejon ten jest zamieszkiwany przez plemiona Indian Mapuches, którzy przez stulecia opierali się kolonizacji hiszpańskiej, a po wywalczeniu przez Chile niepodległości w końcu XIX wieku niektóre ziemie należące do nich zostały przejęte przez państwo. Na nich zaczęli się osiedlać Chilijczycy z innych regionów kraju, a także imigranci z Europy, którym podobał się miejscowy klimat, podobny do europejskiego. Najludniejszą nacją wśród osadników zza oceanu byli Niemcy, przybyli jeszcze w połowie XIX wieku, którzy zbudowali wiele miast, na wzór swoich rodzimych, z Niemiec. Nic więc dziwnego, że po II wojnie światowej, wielu hitlerowskich zbrodniarzy szukało kryjówki na chilijskim południu mieszając się ze środowiskami starych osadników niemieckich. Zresztą wpływy niemieckie są widoczne nie tylko w architekturze, ale również np. w wyglądzie mundurów i czapek wojskowych chilijskiej armii.

W trakcie jazdy myśleliśmy o spotkaniu z „Tatusiem”, który miał nas oczekiwać na końcu naszej kolejowej podróży w Puerto Montt. Przypominałem sobie jego opowieści o okupacyjnych przejściach i walce w szeregach AK, o ucieczce z kraju w 1945 roku przez Czechy do Włoch, a później do Argentyny. Dużo słyszałem o nim już przedtem od polskich kombatantów mieszkających w Buenos Aires. Był członkiem ich Związku, a także Stowarzyszenia Kawalerów Orderu Virtuti Militari. Order ten otrzymał za ucieczkę z więzienia gestapo w 1944 roku, kiedy to uwolnił przy okazji czterech innych żołnierzy AK, osadzonych razem z nim. W środowisku kombatantów i Polonii był bardzo lubiany ze względu na swój pogodny charakter i życzliwy, przyjacielski sposób traktowania ludzi, nie mówiąc już o czekoladkach przywożonych do Buenos Aires, które były jego wizytówką i często pomagały mu załatwić sprawy w argentyńskich urzędach. Wierzyłem, że przy kolejnych spotkaniach dowiemy się więcej o przeszłości tego Polaka z Sandomierza i jego losach. Nie zawiedliśmy się, o czym będzie jeszcze mowa na dalszych stronach tej książki. Wreszcie dotarliśmy do Puerto Montt, gdzie już na nas czekał pan Zbigniew „Tatus” Fularski ze swoim samochodem, do którego przenieśliśmy nasze bagaże i pojechaliśmy do uprzednio zarezerwowanego hotelu. Po całodziennej podróży byliśmy wszyscy głodni, toteż po załatwieniu niezbędnych spraw w hotelu udaliśmy się na kolację do... Klubu Niemieckiego w tym mieście. Mimo że znajdowaliśmy się na terytorium chilijskim wystrój restauracji przypominał typowe lokale w Niemczech, a jadłospis oferował tradycyjne dania niemieckie. Po argentyńskiej wołowinie, z przyjemnością zamówiłem golonkę z kapustą i ziemniakami, „Tatus” oraz żona z dziećmi również wybrali

specjały kuchni niemieckiej. Jedzenie było znakomite, a smak tamtej golonki pamiętam do dzisiaj. Obsługa kelnerska też nie była podobna do miejscowych Metysów, raczej przypominała swoim wyglądem postacie z filmów o II wojnie światowej. Na wszelki wypadek ten temat nie pojawił się w naszych rozmowach przy stole. Skoncentrowaliśmy się na ustaleniu planu podróży na najbliższe dni.

„Tatuś”, jako znawca tutejszego regionu zaproponował, abyśmy skorzystali z dobrej pogody i pojechali na wyspę Chiloe, drugą, co do wielkości wyspę Ameryki Południowej, po Ziemi Ognistej, ciekawą, ze względu na swoją historię i architekturę. Wyspa, zamieszkała głównie przez Indian Mapuche, co w ich języku oznacza „lud ziemi”, została podbita przez Hiszpanów w połowie XVI wieku. Jednakże w 1599 roku wybuchło powstanie Indian, którzy zniszczyli hiszpańskie osiedla na kontynencie na południe od rzeki Biobo, która stała się granicą między zamieszkałą przez Indian Mapuche krainą Araukarii, nazywaną tak przez Hiszpanów, a hiszpańską częścią Chile. Jedynym miastem niezniszczonym przez powstańców było Castro, dzisiejsza stolica wyspy Chiloe. Sytuacja taka trwała ponad 200 lat, co pozwoliło mieszkańcom wyspy zachować swoje zwyczaje i tryb życia: uprawę ziemi i rybołówstwo w otaczających wyspę wodach. W XVIII i XIX wieku na wyspę przybyli jezuici, dzięki którym zbudowano około 150 kościołów i kaplic, całkowicie wykonanych z drewna, niektóre bez użycia choćby jednego gwoźdźdza. Kilkanaście z tych kościołów zostało wpisanych na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO. Dopiero w drugiej połowie XIX wieku, w ramach konsolidacji niepodległego już państwa chilijskiego, została przeprowadzona długotrwała operacja wojskowa nazwana „pacyfikacją Araukarii”, w wyniku której władze z Santiago uzyskały kontrolę nad terytorium Indian Mapuche. Natomiast odrębność kulturalno-obyczajowa tego regionu od reszty kraju utrzymuje się do dzisiaj. Zachęceni tak ciekawą historią, następnego dnia udaliśmy się w podróż do Chiloe, którą od Puerto Montt dzieliło niecałe dwieście kilometrów. Na wyspę dotarliśmy promem przez kanał Chacao do miasta Ancud, stanowiącego swoistą bramę wjazdową, a właściwie na tzw. Dużą Wyspę Archipelagu Chiloe, gdyż jest ona oddzielona od kontynentu morzem wewnętrznym, na którym znajdują się grupy małych wysepek, przeważnie niezamieszkałych, tworzących prawdziwy archipelag. Ancud było stolicą wyspy do 1982 roku, kiedy miano to uzyskało Castro – jedno z najstarszych miast w Chile, założone w 1567 roku przez hiszpańskich zdobywców. Jak to zwykle bywa, człowiek chce zobaczyć

jak najwięcej w jak najkrótszym czasie, dlatego nie zwlekając, pojechaliśmy do Castro, aby zobaczyć słynne *palafitos* czyli drewniane domy na wysokich palach. Budowane były w ten sposób, aby uchronić je przed odpływami i przyptywami morza. Dopływało się do nich łodzią, która była „parkowana” pod domem, przywiązana do pali. Dom wznosił się na pomoście, na którym znajdował się również budynek gospodarczy. Do dzisiaj zachowało się jeszcze kilkadziesiąt takich domostw. Po zwiedzeniu na piechotę centrum miasta, którego główny plac to oczywiście, jak w innych miastach, Plaza de Armas (Plac Broni) i po obejrzeniu mieszczącej się przy nim katedry, udaliśmy się na wzgórze z figurą Matki Boskiej, skąd można podziwiać widok na miasto oraz lokalny cmentarz znajdujący się nieopodal. Po tej przechadzce odczuiliśmy głód i za radą „Tatusia” kolejne kroki skierowaliśmy do portu, gdzie w jednej z kilkunastu minirestauracji mieszczących zaledwie dwa-trzy stoliki, obsługiwanej przez kelnera i kucharza w jednej osobie, znaleźliśmy wolne miejsca i zasiedliśmy do prawdziwej uczyty złożonej z miejscowych specjałów prosto z morza. Czekając na zamówione ostrygi, kalmary i inne *frutti di mare* słuchaliśmy opowieści o legendach Chiloe. Jest ich bardzo dużo, poczynając od powstania wyspy jako rezultatu walki między dwoma wężami: złym Cai Cai i dobrym Tren Tren, aż po opowieści o dziwnych stworach jak np. Trauco, niskiego wzrostu gnomie podobnym do człowieka, który zamiast nóg ma dwa pniaki i hipnotyzujące, zwłaszcza na młode kobiety, spojrzenie, czy o Pincoya, podobnej do ładnej, jasnowłosej młodej kobiety, tańczącej na morskich falach i ratującej tonących żeglarzy. Innego rodzaju legendą jest opowieść o statku-widmie, nazywanym tutaj Caleuche, który na swoim pokładzie wozi uwięzionych pasażerów, a w czasie rejsu zbiera ciała zaginionych na morzu. Ponieważ pływa tylko w nocy, nie można go zobaczyć, lecz tylko usłyszeć dźwięki muzyki. Statkiem kierują *brujos* (czarownicy), którzy mocą czarów nie pozwalają na zbliżenie się do statku-widma innych łodzi, znikając pod wodą lub zamieniając się w skałę. Istnieje też legenda o zaginionym mieście pełnym złota i srebra oraz wiecznej szczęśliwości. Miasta tego, podobnie jak słynnego i mitycznego Eldorado, szukali na przestrzeni wieków hiszpańscy zdobywcy, a później różnego rodzaju awanturnicy, jednakże bez rezultatu.

W momencie, kiedy nasz przewodnik rozpoczynał kolejną opowieść o czarownikach działających w lokalnym społeczeństwie, na stole wylądowały zamówione przez nas dania i z „czarodziejskim apetytem” zabraliśmy się do ich spożywania, zwracając głównie uwagę na muszle, ości i inne niejadalne części owoców morza. Biesiada trwała dość długo, aż nadszedł czas powrotu

z czarodziejskiej wyspy do realnego, kontynentalnego Puerto Montt, dokąd dotarliśmy późnym wieczorem.

Przejazd samochodem z Puerto Montt do San Martin de los Andes nastąpił następnego dnia i niestety, nie według planowanego scenariusza. Plan zakładał bowiem przejechanie przez sławny argentyński kurort San Carlos de Bariloche, spędzenie tam co najmniej jednego dnia i dopiero jazdę do domu „Tatusia”. Jednakże telefon od jego córki przewrócił tak misternie skonstruowany plan. Zachorowała żona pana Zbigniewa, czyli „Mamusia”. Decyzja była jednoznaczna. Jedziemy do San Martin natychmiast i to najkrótszą drogą. Trzeba jednak przyznać, że droga ta z punktu widzenia krajobrazowego była niesamowita. Prowadziła wśród lasów i jezior leżących na pograniczu Chile i Argentyny, ze wspomnianymi już szczytami Andów. Zachwycając się wspaniałymi widokami słuchaliśmy jednocześnie „Tatusia” opowiadającego nam o swoich losach w czasach okupacji i o latach powojennych, które zaprowadziły go do Argentyny. A była to barwna opowieść prowadzona ze swadą i humorem, a zarazem z pewną dozą autoironii.

Urodzony w Sobótce k/Sandomierza w 1919 roku Józef Zbigniew Fularski, znany przez większość jako Zbyszek, od najmłodszych lat działał w harcerstwie. Po ukończeniu Gimnazjum im. Marszałka J. Piłsudskiego, w 1937 roku rozpoczął studia w warszawskiej Głównej Szkole Handlowej. Na uczelni zakładał akademickie kręgi starszoharcerskie. W czasie okupacji brał udział w organizacji słynnych harcerskich Szarych Szeregów. W swojej działalności harcerskiej poznał m.in. Aleksandra Kamińskiego – autora powieści „Kamienie na szaniec”. Książkę z dedykacją autora dla jego matki pokazał nam pan Zbyszek w swoim domu w San Martin. Pierwsze lata okupacji spędził w Warszawie działając w konspiracyjnych strukturach AK pod pseudonimem „Poker”. Zapytałem skąd taki pseudonim. Wyjaśnił, że jeden z towarzyszy z konspiracji skojarzył początek jego nazwiska „Ful” z określonym układem kart w popularnej grze hazardowej i tak został „Pokerem”. W 1943 roku został przypadkowo aresztowany przez Niemców, ale po dwóch miesiącach pobytu na Pawiaku został zwolniony. Wówczas – jak się śmieje – na polecenie sztabu AK został skierowany do Kielc do „jajek”. Na nasze pytanie, co to znaczy wyjaśnił, że został zastępcą kierownika skupu jajczarskiego Spółdzielni „Społem”, co pozwalało mu bez podejrzeń poruszać się po całym terenie kielecko-radomskim. Z tej racji został szefem wydziału informacyjnego Sztabu Okręgu AK. Z uśmiechem mówił, że będąc w stopniu kaprała podchorążego, jako szef, miał pod swoją komendą wyższych rangą oficerów, nawet kapitanów

i majorów. Później został oficerem łącznikowym generała Okulickiego „Niedźwiadka”. Jednym z jego zadań było organizacja spotkań generała z ważnymi osobistościami przyjeżdżającymi do rejonu. W czasie jednej podróży, gdy z czterema AK-owcami jechał na spotkanie z generałem, w październiku 1944 roku, wszyscy zostali zatrzymani i aresztowani przez gestapo. Wylądowali w więzieniu w Kielcach w jednej piwnicznej celi. Ponieważ znaleziono przy nich dokumenty konspiracyjne, sytuacja była beznadziejna, pozostawała im tylko ucieczka. Przez kilka dni piłowali kraty w piwnicy pilnikiem dostarczonym przez żonę jednego z zatrzymanych. Wykorzystawszy moment nieuwagi strażnika na zewnątrz budynku, wyłamali nadpiłowane kraty w oknie i uciekli. Dzięki pomocy współtowarzyszy walki z AK pan Zbigniew został natychmiast przerzucony do Częstochowy, do Sztabu Okręgu. Za ucieczkę z więzienia „Tatus” został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

Chcąc usłyszeć o dalszych losach naszego bohatera, kierowcy i przewodnika, musieliśmy uzbroić się w cierpliwość, gdyż wjeżdżaliśmy do miasta San Martin de los Andes. Szybko mijając jego ulice dojechaliśmy do dużego domu położonego pod lasem u podnóża góry, gdzie czekały na nas córki „Tatusia” z wieściami na temat zdrowia „Mamusi”. Na szczęście stan jej się polepszył i chociaż nie mogła się z nami przywitać osobiście, co udało się następnego dnia, przez córki serdecznie zaprosiła nas do gościny w swoim domu. Zostawiwszy bagaże i „Tatusia” udaliśmy się, wraz z jedną z jego córek, na zwiedzanie miasteczka.

San Martin de los Andes zostało założone przez płk. Jorge Juana Rhode w końcu XIX wieku i swoją nazwę zawdzięcza bohaterowi narodowemu Argentyny, generałowi San Martin. Początkowo miasto miało charakter czysto wojskowy, stąd też dużo ulic ma jako swoich patronów nazwiska oficerów i żołnierzy z tamtej epoki. Rozpoczęto także eksploatację miejscowych lasów, dlatego też w starym budownictwie miejskim przeważają domy budowane z kamienia i drewna. Jak powiedziała nam nasza przewodniczka, wielu turystów z Europy porównuje San Martin do kurortów szwajcarskich, właśnie ze względu na otaczające miasto góry i formę budownictwa. Kurortem turystycznym na skalę krajową miasto zaczęło być dopiero w latach siedemdziesiątych, kiedy powstało Centrum Sportów Zimowych Chapelco, które zaczęło ściągać amatorów narciarstwa z Buenos Aires i innych miast Argentyny. Miasto jest położone nad jeziorem Lacar, a w jego pobliżu rozpościera się Park Narodowy Lawin, założony jeszcze w 1937 roku. Jednak dopiero w ostatnich dekadach XX wieku i obecnie, rozpoczął się prawdziwy boom turystyczny związany



Zbigniew Fularski „Tatuś” z żoną autora i dziećmi  
na tle sklepu „Mamusia” w San Martin de los Andes



Państwo Fularscy, czyli „Tatuś” i „Mamusia”  
w swoim domu w San Martin de los Andes wraz z żoną autora



ze wzrostem zainteresowania pięknem natury i uprawiania sportu. W miasteczku powstawały wciąż nowe hotele, pensjonaty, restauracje i inne punkty usługowe dla turystyki krajowej i zagranicznej. Ludność, pracująca głównie poprzednio w przemyśle drzewnym, przerzuciła się do pracy w branży turystycznej i w ten sposób zdecydowana większość mieszkańców utrzymuje się obecnie z turystyki.

Słuchając opowieści o mieście doszliśmy do celu, czyli do sklepu, w którym sprzedaje się czekolady firmy „Mamusia”. Był to duży budynek, usytuowany na rogu głównej ulicy miasta noszącej oczywiście imię gen. San Martina, w którym w dawnych czasach mieściła się lokalna knajpa z „parkingiem” dla koni. Wyremontowany przez „Tatusia” i pomalowany na biało budynek przykuwa wzrok kolorowym napisem „Mamusia, domowa czekolada i inne rodzinne wyroby artystyczne”, upiększony malowanymi motywami łowickimi wyglądającymi zupełnie jak wycinanki z papieru, rozmieszczonymi w różnych punktach budynku. W środku znajdowały się piękne lady i czekoladowy raj. Obok tradycyjnych tabliczek zachwycały różnego rodzaju czekoladowe postaci zwierząt, serduszek, krasnoludków czy też zabawek dziecięcych. Dzieci były wniebowzięte, a dorośli, czyli my, poprosiliśmy o znane już nam skórki pomarańczowe w czekoladzie. Jedna z lad sklepowych różniła się od innych, bo, zamiast czekoladowych produktów, królowały na niej wielokolorowe ozdobne świece różnej wielkości i grubości. Były to właśnie te inne rodzinne wyroby artystyczne, wykonane przez córkę „Tatusia”. Po sklepie kręciło się dużo ludzi podziwiających piękne wystawy i stojące na nich towary, a potem kupujących je w dużych ilościach. Byli wśród nich zarówno Argentyńczycy, jak i zagraniczni turyści z Europy i USA.

Pełni wrażeń wróciliśmy do gościnnego domu państwa Fularskich, gdzie czekała nas już przygotowana kolacja, przy której towarzyszył nam pan Zbigniew. Po kolacji i położeniu spać dzieci poprosiliśmy „Tatusia” o kontynuację opowieści o jego losach, które przywiodły go do tego uroczego miejsca argentyńskiej Patagonii, przzerwanej w momencie wjazdu do San Martin. Uspokojony, polepszającym się stanem zdrowia małżonki z chęcią podjął przerwana opowieść, a my, popijając wyśmienitą, gorącą czekoladę, słuchaliśmy go z uwagą i wzrastającym zainteresowaniem.

Ucieczka z więzienia nie zapobiegła nowemu aresztowaniu „Pokera” w kwietniu 1945 roku, w Pruszkowie, tym razem przez komunistyczne służby UB, które już rozpoczynały prześladowania członków AK. Otrzymawszy stosowne instrukcje od przełożonych, podpisał deklarację o współpracy,

co zaowocowało jego zwolnieniem i wyjazdem do Częstochowy, miejsca pobytu sztabu AK z Kielc. Miał się jednak na baczności, tym bardziej, że kolega ostrzegł go, iż musi uciekać, gdyż na jego tropie jest NKWD. Gdy zobaczył samochód podjeżdżający pod dom, w którym mieszkał, nie czekał aż zbiry z NKWD wejdą do środka, tylko wyskoczył przez tylne okno domu i pobiegł na dworzec kolejowy, gdzie wsiadł do pierwszego, odjeżdżającego pociągu, którym dojechał do Katowic. Stamtąd, na fałszywych papierach, jako czeski uciekinier Jarosław Vanek, 29 maja udało mu się przedostać do strefy amerykańskiej w Niemczech, do obozu polskich żołnierzy w Bambergu. Tam też poznał miłość swego życia, Annę, a właściwie „Majkę”, bo taki był jej pseudonimem okupacyjny z walk w Powstaniu Warszawskim, chętnie przez nią używany w życiu codziennym. Była w obozie bibliotekarką. Poznali się, jak wspominał z rozrzewnieniem „Tatuś”, 20 czerwca. Datę tę doskonale zapamiętał, gdyż trzy tygodnie później byli już małżeństwem. Po ślubie wyjechali do Włoch, gdzie „Tatuś” wstąpił do batalionu komandosów II Korpusu gen. Andersa i razem z nim zawędrował do Anglii. Podczas pobytu na Wyspach Brytyjskich, w ramach kursów organizowanych przez wojsko nauczył się szewskiego rzemiosła, nie wiedząc nawet jak mu się ono przyda w niedalekiej przyszłości. A przyszłość ta wiązała się z kolejną, daleką podróżą aż do... Argentyny. Nie chcąc wracać do komunistycznej Polski i nie mogąc wyjechać do Stanów Zjednoczonych, które zamknęły swoje granice przed Polakami, oboje zdecydowali się wyjechać do bogatej wówczas Argentyny, która nie wymagała wiz ani nie stawiała żadnych warunków dla imigrantów, a wręcz przeciwnie zachęcała do przyjazdu przybyszów ze zrujnowanej wojną Europy. Rodzina Fularskich, powiększona już o córkę Hanię, opuściła w marcu 1949 roku Anglię i statkiem dopłynęła do Buenos Aires. I tak zaczął się argentyński etap ich życia.

Początkowo zamieszkali w stolicy i utrzymywali się z zarobków Zbigniewa pracującego jako szewc. Maja zajmowała się w domu córką i jednocześnie wyrabiała z nici koronki, które następnie sprzedawała wzbogacając w ten sposób domowy budżet. Jak sam podkreślił, przeżywali trudny okres, ale dzięki swojej pracy nawiązał dużo kontaktów z ludźmi, co pomogło mu w szybkim przyswojeniu języka hiszpańskiego. Przez przypadek spotkali znajomą Mai z lat przedwojennych, z Łodzi, pojechali do niej na wakacje do prowincji Neuquen w zachodniej Argentynie. Bardzo im się tam podobało, gdyż przypominało im polski krajobraz z lasami i jeziorami. Podjęli więc decyzję o przeniesieniu się na stałe w tamten rejon. Po kilku latach wyjechali

do zachodniej Argentyny, aby w 1959 roku osiąść na stałe w San Martin de los Andes, bogatsi o jeszcze jedną córkę, urodzoną już w Argentynie. Tu rozpoczęli budowę własnego domu. Zbigniew znalazł pracę, jako księgowy, natomiast Anna-Majka pomagała w lokalnej cukierni przy wyrobie czekolady. Po pewnym czasie zrezygnowała z pracy, aby sama zająć się produkcją czekolady.

W tym momencie nasz przemiły gospodarz ponownie przerwał swoją opowieść informując nas, że o czekoladzie, jej wytwarzaniu i o sklepie opowie następnego dnia osobiście „Mamusia”. Ponadto musieliśmy odpocząć przed czekającą nas *fiestą*. Zaskoczeni usiłowaliśmy się dowiedzieć czegoś więcej na ten temat, ale „Tatuś” pożyczył nam z uśmiechem dobrej nocy i opuścił salon udając się do chorej żony. Śniadanie spożywaliśmy sami, ale wkrótce dołączył do nas gospodarz i zabrał nas na wycieczkę wokół miasteczka. Podziwialiśmy wody jeziora Lacar, lasy rosnące na jego brzegach i samo miasteczko, patrząc na nie z otaczających je wzgórz. W międzyczasie „Tatuś” odślawiał nam tajemnicę *fiesty*. Miało to być po prostu tradycyjne, argentyńskie *asado*, czyli grill, na które zaprosił członków rodziny i kilku przyjaciół, z okazji naszego przyjazdu. Wracając do domu odwiedziliśmy wytwórnię czekolady „Mamusia”. Pracowało w niej zaledwie kilkanaście osób i fabryka przypominała bardziej manufakturę z XIX wieku, niż nowoczesny zakład produkcyjny końca XX wieku. Wrażenie to potwierdził sam właściciel i wyjaśnił, że właśnie dzięki tej rękodzielniczej pracy wytwarzane produkty prezentują najwyższy poziom jakości i niepowtarzalny smak. Stąd też olbrzymia popularność i popyt wśród klientów. Mimo zachęt do utworzenia filii fabryki w Buenos Aires czy Kordobie pp. Fularscy zdecydowanie odrzucali tego typu propozycje z obawy przed koniecznością przejścia na produkcję przemysłową i niechybną utratę jakości produktów. Zwróciliśmy uwagę podczas zwiedzania fabryki na to, z jak wielkim szacunkiem jej pracownicy traktują naszego gospodarza, a z kolei on traktuje ich jak członków rodziny, zwracając się do każdego z nich po imieniu. Prawdziwy „Tatuś”!

Zapytaliśmy o nazwę fabryki „Mamusia”. Pan Zbigniew wyjaśnił nam, że najpierw „Mamusią” została jego żona nazywana tak przez niego z uwagi na to, że zawsze wokół niej koncentrowała się uwaga dzieci czy ludzi ich odwiedzających. Odwzajemniła mu się nazywając go „Tatusiem”. I tak zostało, zarówno w rodzinie, wśród przyjaciół i w samym miasteczku San Martin. Kiedy stanęła sprawa nazwy dla czekolady i fabryki, odbyła się narada rodzinna z udziałem dzieci. Praktycznie to one zdecydowały o nazwie „Mamusia”

argumentując, że przecież to mamusia wymyślała recepturę czekolady, a później sama zaczęła ją produkować. I tak czekolada „Mamusia” zaczęła podbijać świat, a przede wszystkim San Martin de los Andes.

Wróciliśmy do domu, gdzie rozpoczęły się już przygotowania do *assado*. Rozpalono ogień, ustawiano stoły, na których zaczęły się pojawiać różnego rodzaju sałatki i butelki argentyńskiego wina Malbec z Mendozy. Pojawili się także pierwsi goście. Dla nas najważniejsze było to, że w końcu pojawiła się także żywa „Mamusia”, czyli Anna-Majka Fularska. Mimo dużego osłabienia chorobą, co było widoczne na jej bladej twarzy, jej oczy płonęły energią i widać w nich było dobrotliwy uśmiech. Mimo upływu lat i choroby, była wciąż piękną kobietą. Nie dziwiłem się Zbyszkowi, że przed kilkudziesięciu laty, po jej poznaniu, tak szybko zdecydował się na ślub. Przywitała nas serdecznie i z uśmiechem przyjęła wiadomość, że moją żonę jej koledzy i koleżanki ze szkoły też nazywają Majką. Poproszona, „Mamusia” opowiedziała o trudnych początkach samodzielnej produkcji czekolady, która była wytwarzana w domowej kuchni, w kilku garnkach, zgodnie z recepturą i sposobem przyrządzania zapamiętanym z Polski. Pierwsze czekolady pojawiły się, nomen omen, w dniu 20 czerwca 1972, to jest dokładnie 27 lat po ich poznaniu się w Bambergu. Tak zaczął się czekoladowy biznes rodziny Fularskich, trwający do dzisiaj.

Czekolada, przeżycia wojenne, życie imigranckie w Argentynie oraz dzieci i wnuki, tematy te przeplatały się nieustannie podczas rozmów przy stole, gdzie podawano pieczone mięso i rozlewano wino. Wznoszono toasty za „Mamusię” i „Tatusia”, ich córki i wnuki oraz przybyłych gości, w tym i za nas. Zrobiło się troszkę chłodno i „Mamusia” poszła do domu, natomiast gorąca *fiesta* trwała jeszcze do późnego wieczora.

Jak słusznie mówi powiedzenie ludowe: „wszystko co dobre, trwa krótko”, to samo można by odnieść do naszego pobytu w San Martin de los Andes. Niestety, urlop się kończył i trzeba było wracać do Buenos Aires, do pracy. Musieliśmy się pożegnać z rodziną Fularskich: „Mamusią”, „Tatusiem”, córkami i wnukami oraz pięknym regionem Patagonii argentyńskiej. Obdarowani na drogę powrotną czekoladkami wsiedliśmy do autobusu i po 20 godzinach jazdy znaleźliśmy się w argentyńskiej stolicy. Skończyła się piękna przygoda i jak to się mówi „wróciliśmy do rzeczywistości i realnego życia”. Nie oznaczało to jednak końca znajomości ze Zbyszkim „Tatusiem” Fularskim. Co prawda, nie wróciliśmy więcej do San Martin, ale widywali się za każdym przyjazdem „Tatusia” do Buenos Aires. Po powrocie do Polski

nadal widywaliśmy się z nim, gdyż „Tatus” przekazał czekoladowy biznes córce Hani, a sam rokrocznie zaczął odwiedzać ojczysty kraj i swoją rodzinę zamieszkałą w Sandomierzu i w Warszawie. W polskiej stolicy, na Mokotowie, w mieszkaniu jego starszego brata Jerzego, którego życiorys to kolejna piękna karta z okresu wojny, spotykaliśmy się podczas każdej jego wizyty w Polsce. Zawsze miał przy sobie czekoladki, z których najbardziej cieszyły się nasze dzieci, gdyż według nich są to najlepsze czekoladki, jakie jadły w życiu.

Podczas naszego pobytu w Hiszpanii dowiedzieliśmy się o śmierci „Mamusi” oraz że rodzinny biznes czekoladowy przeszedł w ręce wnuczki „Tatusia”, Faustyny, którą poznaliśmy w czasie naszej wizyty w San Martin.

Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce w Polsce latem 2010 roku, przy okazji jego przyjazdu na uroczystości obchodów 100-lecia harcerstwa w Polsce. Zaproszony przez organizatorów, jako gość honorowy Zjazdu nie wziął, niestety, udziału w ich centralnych obchodach ze względu na zły stan zdrowia. Na szczęście, później doszedł do siebie i przed wyjazdem do Argentyny złożył wizytę w naszym domu, co pozwoliło nam na wspólne wspomnienie argentyńsko-chilijskich przygód.

„Tatusiu”! Żyj jak najdłużej i do następnego spotkania w dowolnym miejscu na świecie!

### Rozdział XIII

## **Amerykańskie podróże: Nowy Jork, Waszyngton, Orlando, Miami**

Po dwóch latach pobytu na placówce w Argentynie przysługiwał nam już „polski” urlop. W odróżnieniu do pamiętnej podróży z Sao Paulo, kiedy musieliśmy lecieć przez Buenos Aires i stamtąd „chicken line”, czyli Aeroflotem, tym razem obowiązywał limit najtańszego biletu do Warszawy. Wykorzystaliśmy to i w ramach promocji kupiliśmy bilety Aerolineas Argentinas ,na trasę Buenos Aires – Nowy Jork – Buenos Aires z bezpłatnym postojem w Miami, a z Nowego Jorku do Warszawy bilety na samolot LOT-u, którym również mieliśmy wrócić do „wielkiego jabłka”, jak jest nazywany Nowy Jork. Dzięki takiej kombinacji kupiliśmy bilety poniżej obowiązującego limitu cen, z drugiej zaś strony, mogliśmy zatrzymać się w USA dłużej niż tylko na czas przesiadki tranzytowej. Do Polski poleciliśmy bez zatrzymywania się po drodze, natomiast podróż powrotna do Argentyny miała przewidziane postoje w Stanach Zjednoczonych, co wpłynęło oczywiście na skrócony pobyt w rodzinnych pieleszach, ale jak zwykle chęć poznania świata i nieznanych nam miejsc zwyciężyła.

Wracając z Polski z urlopu pierwszy stres przeżyliśmy na lotnisku w Nowym Jorku. Najpierw czarnoskóry oficer z biura imigracyjnego skrupulatnie oglądał nasze paszporty, w których widniały wizy amerykańskie

wydane przez Ambasadę USA w Buenos Aires. Mimo tego, zapytał o cel pobytu w USA, a po odpowiedzi, że jest to pobyt turystyczny, jeszcze raz dokładnie przejrzał paszporty i dopiero po dłuższej chwili zwrócił je nam z uśmiechem i tradycyjnym „Welcome to USA”. Po przejściu do hali odbioru bagażu kolejny stres nerwowy. Wśród bagaży zestawianych przez pracowników lotniska z pasów dowożących je z samolotu krążył funkcjonariusz służby sanitarnej z psem, który obwąchiwał poszczególne walizki. W tym momencie zdaliśmy sobie sprawę, że w walizkach wieziemy polskie produkty żywnościowe (kielbasy, sery itp.), które mieliśmy dostarczyć dla przyjaciół w Ambasadzie RP w Waszyngtonie. Na szczęście nasze bagaże kręciły się jeszcze na podajnikach, a pies chodził tylko pomiędzy bagażami już zestawionymi. Obserwując czujnie psa i nasze walizki, schwyciliśmy je w momencie, kiedy pies znajdował się w drugim końcu sali i szybko wyszliśmy na zewnątrz. Kolejnym problemem, przed którym stanęliśmy, był przejazd z lotniska do miasta, a konkretnie do naszego Konsulatu Generalnego położonego na Manhattanie, gdzie mieliśmy zarezerwowany pokój gościnny. W czwórkę mieliśmy dużo bagaży, podróż autobusem nie wchodziła w grę, podobnie wzięcie jednej taksówki. Rozwiązaniem, wbrew pozorom, najtańszym i najprostszy okazało się wynajęcie eleganckiej, olbrzymiej limuzyny, gdzie bez trudu zmieścił się nasz bagaż oraz my. Nie przeczę, że wzbudziliśmy małą sensację wśród ochrony konsulatu podjeżdżając pod jego drzwi takim samochodem.

Kolejne dni pobytu były typowo turystyczne, jako że po raz pierwszy znaleźliśmy się w tym mieście. Najbliższe okolice konsulatu na Manhattanie zdeptaliśmy pieszo, zgodnie ze starą turystyczną zasadą, że najlepszym sposobem na zwiedzanie nieznanego miasta, jest wędrowka „per pedes”, czyli na piechotę. Różnokolorowy tłum przechodniów reprezentujący prawie wszystkie rasy świata lub ich mieszanki nie robił na nas specjalnego wrażenia, gdyż z podobną sytuacją mieliśmy do czynienia w brazylijskim Sao Paulo. Dotyczyło to także wieżowców, charakterystycznych dla tej części miasta. Tym niemniej nie mogliśmy sobie odmówić przyjemności przejścia obok lub zwiedzenia słynnych, znanych z filmów budowli i obiektów. Należała do nich Piąta Aleja z jej luksusowymi sklepami, kinami i teatrami oraz licznymi hotelami, wspaniale oświetlonymi wieczorem. Zresztą, chyba jak w każdym wielkim mieście, kulturalno-rozrywkowe centrum wygląda zupełnie inaczej w dzień, a inaczej w nocy, kiedy wszystkie niedostatki, brudy i braki nikną w świetle neonów, lamp i innych podświetlonych ozdób ulicznych. W czasie kolejnego spaceru zwiedziliśmy słynny Empire State Building, jeden z najwyższych wieżowców Nowego Jorku, który wielokrotnie był filmowany lub też stanowił arenę akcji wielu filmów, m.in. „King Konga”. Tutaj też rozgrywany



Małgosia w objęciach King Konga  
na szczycie Empire State Building  
w Nowym Jorku



Widok fragmentu Manhattanu  
z promu płynącego  
na Wyspę Wolności



Panorama Manhattanu



jest coroczny bieg po schodach na 102. piętro budynku. My jednak, jak większość turystów, wjechaliśmy szybką windą na taras widokowy, z którego można oglądać Nowy Jork ze wszystkich stron. Ochronna siatka strzeże zarówno nierozważnych turystów, jak i potencjalnych samobójców przed upadkiem w dół. Podczas naszej wizyty spotkała nas miła niespodzianka. Kiedy weszliśmy na taras, wycofywał się z niego, na przerwę obiadową, olbrzymi King Kong, z którym turyści, a zwłaszcza dzieci chętnie robili sobie zdjęcia. Takie też zdjęcie chciała mieć również Gosia i widząc odchodzącego małpoluda rozpląkała się w głos. Ku naszemu zaskoczeniu, starsza pani, która pilnowała porządku, zwróciła się nagle do King Konga po polsku: „Wróć z powrotem, dziecko chce sobie z tobą zrobić zdjęcie”. Ten posłusznie wrócił, wziął córkę na ręce i w tej pozie mogłem wykonać wymarzone zdjęcie. Jak się później okazało, starsza pani, Polka, pracowała już tam kilkanaście lat, a rolę popularnego małpoluda odgrywał jej kuzyn, także Polak. Ot, taka ciekawostka polonijna.

Dalsze okolice miasta zwiedzaliśmy autobusem „City tour” oglądając m.in. nieistniejące już obecnie dwie wieże, zniszczone podczas ataku terrorystycznego 11 września 2001 roku, gmach ONZ oraz inne znane budowle czy ulice miasta, takie jak Ratusz, katedrę św. Patryka, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, Central Park, Muzeum Guggenheima, Wall Street, Most Brookliński. Nie obyło się też bez wycieczki na wysepkę ze Statuą Wolności. Aby dojechać do promu płynącego na wysepkę trzeba było pojechać nowojorskim metrem do końcowej stacji. Muszę przyznać, że widok stanu wagonów podziemnej kolei i jadących w niej pasażerów nie wywoływał najlepszych skojarzeń, przypominając filmy amerykańskie, ale był to jasny dzień i nic złego nas nie spotkało. Wiedzieliśmy, że po wyjściu z metra musimy znaleźć przystań, z której odchodzą promy do wysepki ze Statuą Wolności, gdyż była również druga, z której płynęły promy do dzielnicy Queens, a nie na wyspę. Przed nami z metra wyszła cała grupa japońskich turystów i skierowała się na jedną z przystani, z której właśnie miał odbić prom. Byliśmy święcie przekonani, że Japończycy, obwieszeni aparatami fotograficznymi i z kamerami w ręku kierują się tam, gdzie my i podążyliśmy, bez zastanowienia, za nimi. Okazało się, że mieliśmy rację, ale z jedną różnicą, cel faktycznie był ten sam, ale Japończycy, a z nimi i my, pomyliliśmy przystanie. Zorientowaliśmy się o pomyłce, dopiero wtedy, kiedy prom mijał Statuę Wolności. W tej sytuacji popłynęliśmy najpierw do Queens, później z powrotem, a następnie, już prawidłowym promem, na Wyspę Wolności, gdzie usytuowana jest Statua Wolności – symbol Nowego Jorku i Stanów Zjednoczonych.

Dzieci z ciekawością zapoznały się z historią tego monumentu. Jego autorem był francuski rzeźbiarz Frédéric Bartholdi, a sama statua była darem

rządu Francji dla Stanów Zjednoczonych z okazji stulecia uchwalenia amerykańskiej Deklaracji Niepodległości w dniu 4 lipca 1776 roku. Sam pomnik ma wysokość 46 metrów, natomiast wraz z podstawą, autorstwa amerykańskiego architekta Richarda Morrisa Hunta, mierzy 93 metry. Autorem konstrukcji stalowej był Gustaw Eiffel, późniejszy twórca symbolu Paryża, wieży Eiffla. Pomnik został dostarczony w częściach z Francji do USA statkiem. Jego uroczyste odsłonięcie, przez ówczesnego prezydenta USA, Grovera Clevelanda, miało miejsce w dniu 28 października 1886 roku. W 1924 roku Statua Wolności została uznana za narodowy pomnik USA, a w roku 1984 wpisana na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. W czasach, kiedy do Stanów Zjednoczonych można było się dostać z Europy jedynie drogą morską, usytuowany u ujścia rzeki Hudson, przed wpłynięciem do Nowego Jorku, pomnik ten stał się dla wielu emigrantów symbolem wolnej, niepodległej i bogatej Ameryki. Wysłuchawszy tej informacji, dzieci szybko pomknęły spiralnymi schodami na taras widokowy, znajdujący się na koronie statui, skąd rozciągał się widok na cztery strony świata. Dzieci żałowały tylko, że nie mogą wejść jeszcze wyżej, aż do pochodni, gdyż tam też wiodły schody, ale jak nam powiedziano, praktycznie od początku udostępnienia pomnika dla zwiedzających, wstęp tam był zabroniony.

Po tym krótkim „liźnięciu” tego „wspaniałego i cudownego” miasta – jak twierdzą niektórzy, lub „prerażającego i straszego”, jak twierdzą inni, udaliśmy się do stolicy Stanów Zjednoczonych, Waszyngtonu. Tym razem podróż odbyliśmy pociągiem, linią „Amtrak”. W porównaniu z polskimi kolejami, jeżeli chodzi o punktualność i czystość wewnątrz, należało przyznać palmę pierwszeństwa kolejom amerykańskim. W Waszyngtonie zamieszkaliśmy na terenie polskiej ambasady. Gmach polskiej placówki dyplomatycznej położonej kiedyś w reprezentacyjnej dzielnicy miasta z biegiem lat znalazł się na jej skraju, który, praktycznie graniczył już z dzielnicą zamieszkałą przez ludność pochodzenia latynoskiego, hałaśliwą i niekiedy niebezpieczną. Dla nas, przybyłych z Ameryki Południowej, nie było w tym nic dziwnego, ale dla tradycyjnych, białych mieszkańców w okolicach naszej ambasady, było to niemiłe sąsiedztwo, stąd też, zaczęli się przenosić do innych dzielnic miasta. Nasz dwudniowy pobyt poświęciliśmy jednak na zwiedzanie centralnej części Waszyngtonu i jego sławnych muzeów, toteż nawet nie mieliśmy czasu, by dostrzec złe lub dobre strony tej dzielnicy i jej mieszkańców.

Zwiedzanie Waszyngtonu zaczęliśmy oczywiście od Białego Domu, oficjalnej rezydencji i miejsca pracy Prezydenta USA. Takie określenie nadał temu budynkowi w roku 1901 prezydent Roosevelt. Poza George Washingtonem mieszkali tam wszyscy amerykańscy prezydenci. Niezależnie od swoich

funkcji oficjalnych, Biały Dom jest również celem wycieczek, a także różnego rodzaju demonstracji organizowanych przez wszelkiego typu stowarzyszenia, związki lub zrzeszenia obywatelskie. Odbywają się one pod czujnym okiem mundurowych policjantów, co mogliśmy sami zauważyć, kiedy oglądaliśmy z zewnątrz budynek z otaczającym go ogrodem, znanym nam dotychczas z telewizyjnych lub filmowych przekazów. Kolejnym symbolem amerykańskiej stolicy był Kapitol będący siedzibą Kongresu Stanów Zjednoczonych, zarówno Senatu, jak i Izby Reprezentantów. Rozpoczęto jego budowę w roku 1793, kamień węgielny położył sam George Washington, a budowę ukończono dopiero w 1865 roku. Normalnie jest on dostępny dla zwiedzających, ale mieliśmy pecha, bo tego dnia jedynie mogliśmy przeczytać informacje, że czasowo wejście dla turystów jest zamknięte. Nie pozostało nam nic innego jak kontynuować przechadzkę i podziwiać inne symbole dostępne dla wszystkich, a które prawie zawsze są pokazywane przy transmisjach ze stolicy USA. Dotyczy to przede wszystkim białego obelisku o wysokości prawie 170 m, który jest Pomnikiem George Washingtona, pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Przy bliższej obserwacji widać, dwa odcienie na jego iglicy. Akurat zatrzymała się jakaś wycieczka i z zaciekawieniem słuchaliśmy



Statua Wolności u wejścia do portu w Nowym Jorku

przewodnika, który właśnie wyjaśniał ten fenomen. Związane to było z historią budowy. Rozpoczęto ją w 1848 roku, ale przerwano, najpierw z powodów finansowych, a później w związku z wojną secesyjną. Dokończono dopiero w 1884 roku, a oficjalnie odsłonięto w 1888. Właśnie z uwagi na przerwę w budowie i działanie czynników atmosferycznych, widać te dwa odcienie jednego koloru. Razem z wycieczką podeszliśmy do pomnika Abrahama Lincolna siedzącego na fotelu w podcieniu budynku zbudowanego na wzór doryckiej, starożytnej świątyni greckiej. Kiedy jednak przewodnik zaczął w detalach wyjaśniać jej budowę i cechy charakterystyczne każdej kolumny, dyskretnie wycofaliśmy się i poszliśmy oglądać najnowszy pomnik, bliższy nam historycznie, a mianowicie pomnik poświęcony pamięci żołnierzy amerykańskich poległych w czasie wojny w Wietnamie. Głównym elementem pomnika, najbardziej znanym, jest tzw. „Vietnam Veterans Memorial Wall”, czyli Ściana Pamięci złożona z dwóch płyt z czarnego granitu długości 75 m każda, na których są wyryte, w kolejności chronologicznej, nazwiska żołnierzy amerykańskich poległych w wojnie wietnamskiej. Jest ich ponad 50 tysięcy. Jedna ściana wychodzi na pomnik Waszyngtona, druga na pomnik Lincolna. Autorką pomnika jest Maya Ling Lin – 21-letnia studentka



Autor z synem na tle  
Białego Domu w Waszyngtonie

architektury, której projekt zwyciężył w ogólnonarodowym konkursie ogłoszonym na początku 1982 roku i zrealizowanym w tym samym roku – jego odsłonięcie miało miejsce 11 listopada 1982. Ściana Pamięci towarzyszy pomnik „Trzech Żołnierzy” (Three Soldiers) dobudowany w 1984 roku. Obok tego pomnika jest ustawiona szklana kabina przypominająca budkę telefoniczną, w której została umieszczona gruba księga zawierająca nazwiska wyryte na Ścianie Pamięci, ale w układzie alfabetycznym. Pamiętając o licznej obecności Polaków w USA postanowiłem sprawdzić swoje nazwisko. Długo przewracałem księgę, przypiętą łańcuchem do pulpitu, aż ku swojemu zaskoczeniu znalazłem nazwisko „Lichota”. Należało do zaledwie 18-letniego żołnierza poległego w roku 1965 w Wietnamie. Niech spoczywa w pokoju! W roku 1993 dobudowano jeszcze jedną część tego pomnika „Vietnam Women’s Memorial”.

Przed kolejną turą zwiedzania dzieci tradycyjnie zażyczyły sobie pójścia do baru „McDonalds’a”, gdyż w ramach poznawczych i porównawczych chodziły do baru tej marki we wszystkich odwiedzanych przez nas miastach w Ameryce Południowej i Północnej. Waszyngtoński bar tej sieci niemiłe nas zaskoczył i to nie tym, że wewnątrz baru znajdowali się sami czarnoskórzy klienci, lecz brudem i bałaganem na niesprzątniętej podłodze. Był to najgorszy bar, jaki dotychczas spotkaliśmy. Kupiliśmy hamburgery i szybko opuściliśmy lokal wybierając konsumpcję na zewnątrz.

Po posiłku kontynuowaliśmy zwiedzanie niektórych atrakcyjnych miejsc w Waszyngtonie. Dzieci zapragnęły w pierwszym rzędzie pójść do Muzeum Historii Naturalnej, o którym uczyły się jeszcze w argentyńskiej szkole. Ma ono ok. 125 mln eksponatów ze świata roślin, zwierząt, skamieniałości, minerałów, skał, meteorytów czy też wytworów kultury ludzkiej. Nie sposób było zobaczyć w krótkim czasie większości zbiorów, nic więc dziwnego, że wylądowaliśmy w hali prezentującej gigantyczne gady prehistoryczne, czyli różnego rodzaju dinozaury; dwunożne i czteronożne, roślinożerne i mięsożerne, chodzące, skaczące, latające i pływające. Patrząc na te, pięknie wyeksponowane i podświetlone gady lub ich szkielety, przypominałem sobie podobne muzeum uniwersyteckie w La Plata, stolicy argentyńskiej prowincji Buenos Aires. Zbiory argentyńskie z uwagi na ilość i wartość naukową, jak czytałem, przewyższały zbiory amerykańskie, ale w sposobie ich prezentacji wyraźnie im ustępowały, głównie z powodów finansowych (brak dostatecznego oświetlenia, oznakowania, itp.). Po raz kolejny amerykańskie zamiłowanie do widowiska typu show brało górę nad oryginalnością.

Kolejnym muzeum, zgodnie z sugestią Jasia, było Narodowe Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej. Według informacji ma ono ponad 50 tysięcy eksponatów, w tym największą na świecie kolekcję statków powietrznych i kosmicznych. Faktycznie, wywołują one duże wrażenie, kiedy się ogląda,

pierwszy na świecie samolot braci Wright skonstruowany w 1903 roku, czy samolot Charlesa Lindbergha, którym przeleciał, bez międzylądowań, po raz pierwszy w 1927 roku Ocean Atlantycki z Ameryki Północnej do Europy. Można również było zobaczyć niemiecką raketę V2 z okresu II wojny światowej, złożoną z oryginalnych części. W części salonu kosmicznego można też było m.in. podziwiać kapsułę, w której astronauta John Glenn odbył lot orbitalny, jako pierwszy Amerykanin lub też moduł dowodzenia statku Columbia z misji Apollo 11, podczas której Neil Armstrong wylądował na Księżycu i wiele, wiele innych tego typu eksponatów.

W drodze powrotnej do domu wstąpiliśmy jeszcze do katedry św. Piotra i Pawła (Washington National Cathedral). Jest to świątynia, w której odbywają się uroczystości o charakterze religijnym i państwowym. Jej neogotycki gmach budowano przez 83 lata. Budowa rozpoczęta w roku 1907, w obecności prezydenta Theodora Roosevelta, a została zakończona w 1990, kiedy to przy kładzeniu ostatniego elementu asystował prezydent George Bush. Katedra była miejscem uroczystości pogrzebowych m.in. prezydentów Dwighta Eisenhowera i Ronalda Reagana. Wewnątrz mogliśmy natomiast zobaczyć stojący przy jednej ze ścian pomnik Abrahama Lincolna oraz grobowiec innego prezydenta USA, Thomasa Woodrowa Wilsona.

Tak jak przyjechaliśmy z Nowego Jorku pociągiem, tak samo i wróciliśmy do tego miasta, aby odlecieć najbliższym samolotem Aerolineas Argentinas do Miami, gdzie mieliśmy planową przerwę w podróży do Buenos Aires. Wykupiliśmy w jednej z argentyńskich agencji podróży pakiet turystyczny, który obejmował dwudniowy pobyt w Miami oraz trzydniowy w Orlando ze zwiedzaniem takich atrakcji jak: Walt Disney World, SeaWorld, Epcot i Universal Studio's. Wspomniane atrakcje w Orlando, były one głównie przeznaczone dla dzieci i z myślą o nich zostały zorganizowane, choć muszę przyznać, że niektóre z nich były ciekawe także dla dorosłych widzów, np. pokazy delfinów czy groźnych orków w morskim parku rozrywki SeaWorld, czy też różnego rodzaju zabawy edukacyjne oparte na najnowocześniejszej technologii w Epcot. Największe wrażenie dla wszystkich wywarła jednak wizyta w filmowym Studiu Universal. W jednej z hal zdjęciowych odbyliśmy fascynującą jazdę pociągiem, podczas której miało miejsce trzęsienie ziemi oraz spotkanie z King Kongiem usiłującym włożyć głowę i łapę z pazurami przez okno wagonu. Interesujący był spacer po ulicach miasteczka Studio, na którego obszarze rozlokowano makiety różnych znanych budowli amerykańskich, na tle których kręcone są zewnętrzne sceny filmowe. Właśnie niedaleko gmachu Opery, zauważyliśmy nagle znajomy budynek. Był to ni mniej ni więcej tylko budynek polskiego Konsulatu Generalnego w Nowym Jorku, a przy nim tabliczka z napisem „Parking tylko dla samochodów CD” (Korpusu Dyplomatycznego). Na samym budynku tablica miała jeszcze starą

nazwę, tj. „Konsulat Generalny PRL”, ale poczuliśmy się usatysfakcjonowani znalezieniem polskiego śladu w słynnej wytwórni filmowej.

Jeżdżąc po Orlando, w drodze do poszczególnych celów naszej podróży, pytaliśmy kierowców autobusów o centrum miasta, gdyż wszędzie były tylko skupiska hoteli lub biurów, na co nie otrzymaliśmy jednoznacznej odpowiedzi. Jedni wskazywali na stary teatr miejski, inni na siedzibę burmistrza, lecz miejskiego centrum w naszym rozumieniu nie spotkaliśmy. Zupełnie inaczej wyglądało w Miami. Niekończące się miasto z hotelami usytuowanymi wzdłuż wybrzeża z dostępem do plaży. Olbrzymia dzielnica handlowa, dzieląca się na sektory wyspecjalizowane w towarach dla poszczególnych państw regionu np. Argentyny, Brazylii czy Kolumbii. Specjalizacja ta miała szczególnie znaczenie w odniesieniu do sprzętu RTV, a zwłaszcza telewizorów, gdyż w każdym z wymienionych krajów funkcjonował inny system nadawczy.

Miami, z uwagi na swoje położenie i doskonale rozwiniętą sieć połączeń lotniczych z regionem Ameryki Centralnej i Ameryki Południowej, stanowi prawdziwą mekkę zakupową dla turystów latynoamerykańskich przyjeżdżających do Stanów Zjednoczonych. Ze względu na wspomnienia, nie mogliśmy sobie odmówić wędrowki do dzielnicy zwanej „małą Hawaną” i wypicia w jednym z barów prawdziwej kawy po kubańsku. Poczuliśmy się tam jak byśmy znajdowali się w starej Hawanie, gdyż dookoła rozbrzmiewał nie język angielski, lecz specyficzny w swoim kubańskim wydaniu, hiszpański. Kubańczycy, głównie uchodźcy z rewolucyjnej Kuby, stanowią największą część ludności latynoamerykańskiej zamieszkującej Florydę, którą dzieli zaledwie 90 mil od stolicy Kuby, Hawany. Słuchając rozmów klientów baru, jeszcze bardziej zacząłem rozumieć problem porozumienia między społecznością kubańską zamieszkałą w Miami, a ich rodakami na wyspie. Czas dopiero pokaże, jakie będzie rozwiązanie tej kwestii.

Przez przypadek zafundowaliśmy sobie wycieczkę przez całe miasto aż do końca plażowego Miami Beach za... jednego dolara. Wsiadliśmy do mikrobusu, który jechał taką trasą i niezależnie od ilości przejechanych przystanków, bilet kosztował właśnie 1 dolara. Mając czas przemierzaliśmy tę trasę od końca do końca, podziwiając po drodze wspaniałe rezydencje miejscowej lub zagranicznej elity, wieżowce biur należące do największych amerykańskich koncernów i firm oraz międzynarodowych korporacji. Zobaczyliśmy też fragment portu w Miami, należący do jednych z największych portów USA, a w przypadku pasażerskich statków wycieczkowych jest nazywany wprost „rejsową stolicą świata”. Czas było jednak wracać do pracy, a dzieci – do szkoły. Udaliśmy się więc na lotnisko w Miami i po wspomnianych już perypetiach z wizą argentyńską, samolotem Aerolineas Argentinas odlecieliśmy do Buenos Aires, kończąc w ten sposób amerykańską przygodę.

## Rozdział XIV

### Azjatyckie zaskoczenia i australijskie dygresje

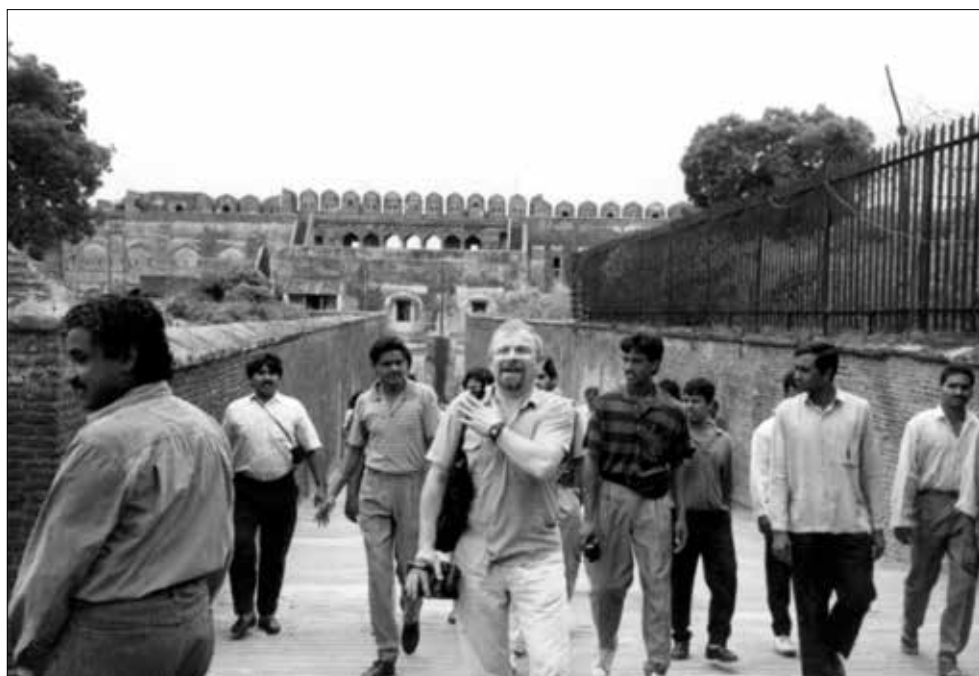
Najpierw kilka słów wyjaśnienia, bo skąd nagle taki „azjatycki” tytuł u „latynosa”? Otóż, gdy po powrocie z Buenos Aires stawiłem się w Centrali MSZ, ponownie zostałem zatrudniony w Gabinetie Ministra, ale ministrem był już prof. Krzysztof Skubiszewski. Co prawda, przez kilka miesięcy byłem w tzw. dyspozycji kadr, a nie na etacie, bo, jak mi wyjaśnił dyrektor Gabinetu: „Minister się panu przygląda, z uwagi na pańskie moskiewskie studia”. Obserwacja zakończyła się dla mnie pozytywnie, bo zostałem pełnoprawnym pracownikiem Gabinetu i miałem przyjemność i satysfakcję redagować m.in. osobiste pisma pana ministra do różnych osobistości w Polsce i na świecie. Ale jest to inny temat, którego ta książka nie obejmuje. Pracując w Gabinetie miałem możliwość zapoznania się z różnego rodzaju działalnością Ministerstwa, które nie zawsze, przynajmniej w owym okresie, były znane szerszej publiczności. Dotyczyło to m.in. kontroli wewnętrznej pracy w Centrali oraz działalności placówek zagranicznych. Wydział kontroli mieścił się wówczas w Gabinetie Ministra i koordynował tę działalność, korzystając także z pomocy ekspertów z innych departamentów ministerstwa. Do wykonywania kontroli placówek zagranicznych wykorzystywane były m.in. z uwagi na oszczędności, podróże kurierów dyplomatycznych. Zamiast dwóch kurierów zawodowych, jak



przewidywały procedury, wyjeżdżał tylko jeden, a drugi był tzw. kurierem towarzyszącym, wypełniającym zadania związane z działalnością odwiedzanych przez niego placówek. Rolę tę pełnili głównie dyrektorzy lub wicedyrektorzy poszczególnych departamentów MSZ, ale, od czasu do czasu, stawało się to udziałem innych pracowników merytorycznych Centrali. Właśnie w tej roli udało mi się odbyć dwie podróże do Azji, a podczas jednej z nich do Australii oraz do Czarnej Afryki, o czym będzie jeszcze mowa w następnych rozdziałach. Sprawy zawodowe pomijam, gdyż nie im poświęcona jest ta książka. Dla nieznających kulisów dyplomacji, kilka słów o roli i zadaniach kurierów dyplomatycznych. Zgodnie z Konwencją Wiedeńską z 1961 roku o stosunkach dyplomatycznych, każde państwo ma prawo do przesyłania korespondencji do swoich placówek zagranicznych przez kurierów dyplomatycznych. Zastąpili oni dawnych posłańców znanych z historii, takich jak np. Filippides, który po zwycięstwie wojsk greckich nad Persami pod Maratonem, w 490 r. p.n.e. dotarłszy do Aten z radosną wieścią padł z wycieńczenia lub słynni posłańcy króla Inków roznoszących po całym imperium rozkazy królewskie. W latach 50. powstał znakomity film, z Curdem Jurgensem w roli głównej, na podstawie książki Juliusza Verne, „Michał Strogow – kurier carski” opowiadający nie tylko o przygodach, ale także o wyzwaniach i trudach związanych z realizacją postawionych przed kurierem zadań. Współcześnie, zgodnie z Konwencją Wiedeńską, kurierzy dyplomatyczni mają zagwarantowany immunitet nietykalności osobistej i to samo dotyczy poczty przewożonej przez nich, pod warunkiem, że jest specjalnie oznaczona i wymieniona w tzw. liście kurierskim. Poczta taka nie może być w żadnym wypadku otwierana przez służby celne krajów, przez które przejeżdża kurier, chociaż celnicy mogą sprawdzać bagaż prywatny kurierów. Ambasady mają z kolei obowiązek odebrania kurierów z lotniska i zapewnienia im zakwaterowania oraz odwiezienia na lotnisko lub dworzec kolejowy. Rewolucja technologiczna i zmiany w telekomunikacji wpłynęły zasadniczo na system kontaktów ministerstwa z placówkami, zmieniły też rolę i zadania kurierów dyplomatycznych, a także częstotliwość ich podróży. W opisywanym przeze mnie okresie podróże kurierskie np. w ramach kontynentu europejskiego odbywały co 2-3 tygodnie, natomiast przy wyjazdach na inne kontynenty co 2-3 miesiące. Częste wizyty kurierskie w stolicach europejskich, w tym kurierów tranzytowych udających się na inne kontynenty, powodowały, że pracownicy tych placówek traktowali je jako zło konieczne i ograniczali swoją opiekę do ścisłego przestrzegania przepisów tj. odbioru i odwiezienia z powrotem na lotnisko. Inaczej sytuacja wyglądała w przypadku placówek odległych od Polski. Rzadki kontakt z krajem, a zwłaszcza z ministerstwem, powodował, że pracownicy tych ambasad



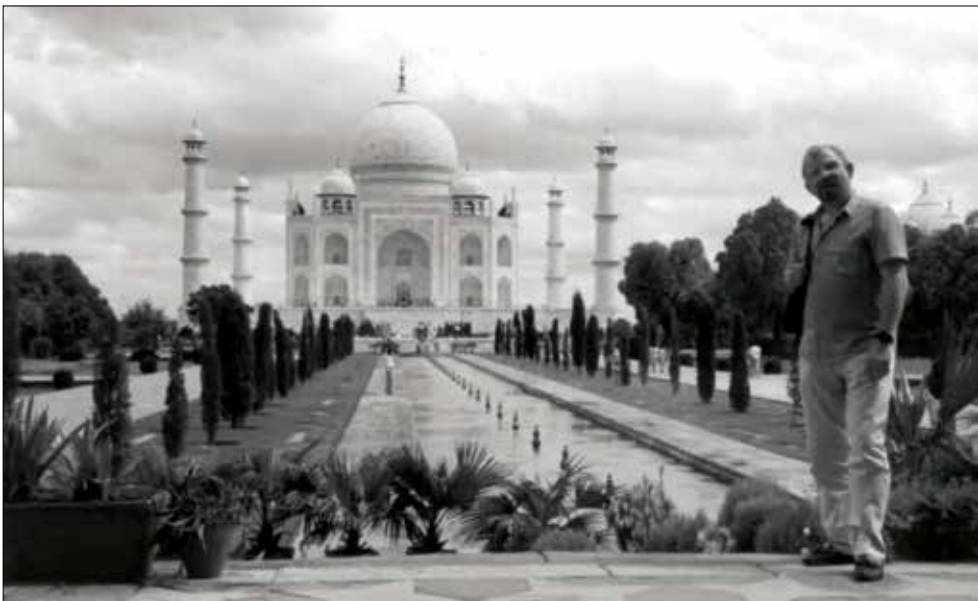
Autor na tle Bramy Indii w New Delhi



Zwiedzanie „Czerwonego Fortu” w New Delhi

starali się, z jednej strony, pochwalić się przed przyjezdnymi miastem, w którym urzędowali lub jego okolicami, zazwyczaj egzotycznymi, z drugiej zaś strony, chcieli dowiedzieć się najnowszych wieści z Polski czy z Centrali MSZ. Konkretnie sytuacje, jak zwykle, zależały od ludzi i chęci wzajemnych kontaktów. Jako kurierzy lub osoby delegowane do załatwienia określonych spraw zleconych przez Centralę musieliśmy, w pierwszym rzędzie, je wykonać, a dopiero w wolnym czasie spróbować zobaczyć i zakosztować egzotyki krajów, do których zawiodła nas trasa podróży. Trzeba było najpierw popracować, nieraz kilkanaście godzin, aby mieć wolne godziny lub dzień i poświęcić je na zwiedzanie nieznanych miejsc czy zabytków. Piszę to, by czytelnik nie zrozumiał opacznie rozdziałów związanych z podróżami kurierskimi, sądząc, że były to wycieczki krajoznawcze za państwowe pieniądze.

Pierwsza moja podróż do Azji wiodła przez Indie, Singapur, Malezję i Indonezję do Australii i z powrotem przez Tajlandię i ponownie przez Indie. Lot z Warszawy via Zurich do New Delhi trwał kilkanaście godzin i lądowanie nastąpiło około północy miejscowego czasu. Mimo dyplomatycznych paszportów nagle powstał problem, podczas odprawy celnej, z powodu mojej prywatnej kamery filmowej. Hinduski celnik pieczołowicie wpisał jej numery fabryczne do paszportu, abym, jak później mi wyjaśniono, nie mógł jej sprzedać w Indiach. Po wyjściu z lotniska, mimo nocnej pory, pierwszym



Autor na tle panoramy świątyni Tadž Mahal  
w mieście Agra, w indyjskim stanie Uttar Prades

odczuciem był powiew bardzo gorącego powietrza, który, ubranym w garniturę przybyszom uświadomił, że znaleźli się w kraju tropikalnym. Świadomość ta wzrosła jeszcze bardziej następnego dnia rano, kiedy musieliśmy wraz z kolegą przebyć odległość dzielącą nasze kwatery w ambasadzie do głównego wejścia do placówki, czyli raptem około 200 metrów, podczas gdy temperatura na dworze przewyższała 50 stopni Celsjusza. Po załatwieniu niezbędnych spraw służbowych, mieliśmy okazję na przejażdżkę po mieście.

Mimo literatury, filmów czy reportaży dziennikarskich w telewizji, rzeczywisty widok ulicy hinduskiej zaskakiwał i w niektórych momentach szokował. Nawet dla mnie, przyzwyczajonego już do widoków brazylijskich *faveli* czy nędznych lepianek argentyńskiej prowincji, było to jednak zjawisko zupełnie nowe i zadziwiające. Można było podziwiać piękne, szerokie ulice i aleje wysadzane drzewami, szczególnie w otoczeniu sławnej „Bramy Indii”, wzniesionej przez Anglików w 1931 roku ku czci indyjskich żołnierzy poległych na frontach w I wojnie światowej, jak również wspaniałe pałace i rezydencje w bogatych dzielnicach willowych miasta, aby jednocześnie obserwować i męczyć się w panującym na ulicach chaosie. Z jednej strony, tętniące życiem miasto uwięzione w tłoku, spieszące się samochody, z drugiej strony, zaprzęgnięte ludźmi ryksze i leniwie kroczące „święte” krowy, które faktycznie chodzą jak chcą, tylko z lekka odganiające przez kierowców lub przechodniów. Na jednym ze skrzyżowań, na wysepce dzielącej ulice, ujrzelśmy nagle całkowicie nagiego Hindusa wznoszącego modły do niebios. Jak nam wyjaśniono, był to „święty mąż”, który medytował nad marnością tego świata i nic mu w tym nie mogło przeszkadzać, nawet najskromniejszy ubiór. W tym przypadku klimat był jego sprzymierzeńcem, a dobrzy ludzie nie pozwalali mu umrzeć z głodu. Podjechaliśmy także do dzielnicy New Delhi, gdzie mieszczą się gmachy budynków rządowych. Nie one jednak nas zafascynowały, ale stada małych wałęsających się po drzewach, chodnikach i parapetach. Wyjaśniono nam, że jest to kolejna plaga indyjskiej stolicy. Jeszcze gorsza sytuacja panowała na mniejszych uliczkach czy w okolicach lokalnego bazaru, który minęliśmy w drodze powrotnej do ambasady, ale to już nas zupełnie nie zdziwiło.

Nie chcę powtarzać dziennikarskich opisów podróży do Indii, ale na ulicach, zwłaszcza tych mniejszych było widać obrazki i sceny z życia człowieka w najprzedziwniejszych sytuacjach. Otóż pełniły one jednocześnie rolę sypialni, jadłodajni, salonu fryzjerskiego, sklepu czy straganu z przeróżnymi towarami, a nawet biura pośrednictwa pracy czy miejsca wypoczynku. Dla Europejczyka już sam widok indyjskiej ulicy stanowi szok, nie mówiąc o podziałach kastowych, bogactwie maharadzów i nędzy dużej części ludności. Przypomniało mi się powiedzenie jednego z kolegów, znawców tego regionu

świata: „Indie są fascynujące, ale żeby je poznać i zrozumieć trzeba tam mieszkać przez wiele lat”. Tak naprawdę, powiedzenie to można odnieść do każdego kraju, podobnie jak inne stwierdzenie, że: „najłatwiej napisać książkę o jakimś kraju przebywając w nim dwa tygodnie, trudniej, kiedy się mieszka rok, jeszcze trudniej, gdy żyje się w nim kilka lub kilkanaście lat”. Ponieważ w czasie tej podróży nie mieściliśmy się nawet w minimalnym wymiarze czasu cytowanego powiedzenia, zarówno dla mnie, jak i dla czytelnika tej książki, będą to tylko ulotne migawki z odwiedzanych krajów, które jednak zapadły mi głęboko w pamięć.

Tak więc, wracając do tytułowej intencji rozdziału, wartym odnotowania było zwiedzenie słynnego „Czerwonego Fortu” w indyjskiej stolicy, jego nazwa pochodzi od czerwonego piaskowca, z którego sam fort, jak i pałac usytuowany wewnątrz, został zbudowany w XVII wieku przez mogolskiego władcę Szachdżahana. Utkwiły mi w pamięci jednak nie te budowle, ale napotkana, niecodzienna scena uliczna. Idąc w stronę pałacu zwróciłem uwagę na kilku Hindusów idących równo w szeregu i wymachujących długimi biczami, takimi jak w filmie „Indiana Jones”. Sądziłem, że jest to jakiś spektakl dla turystów, ale jak mi wytłumaczono było to po prostu ścinanie trawy na trawnikach okalających pałac. Po przejściu szeregu „biczowników” była ona tak pięknie wystrzyżona, jak na angielskich stadionach piłkarskich. Takich niespodzianek czekało mnie w tej podróży więcej. Ponieważ zadania służbowe udało nam się załatwić stosunkowo szybko, wykorzystaliśmy wolny czas, aby zobaczyć jedną z najświetniejszych budowli świata, Tadź Mahal w mieście Agra położonym w odległości 200 km od New Delhi. O mały włos byśmy tam w ogóle nie dotarli. Na granicy stanu Uttar Pradeś, gdzie znajduje się Agra, miała miejsce blokada kierowców ciężarówek protestujących przeciwko podniesieniu opłat za przejazd między stanami. Tylko dzięki negocjacjom hinduskiego kierowcy z ambasady udało nam się przejechać przez blokadę wąskim przesmykiem między ciężarówkami tarasującymi całkowicie szosę. Stan dróg był fatalny, ruch jeszcze gorszy, więc protest kierowców specjalnie nas nie zdziwił. Natomiast zadziwił nas swoim pięknem i bogactwem oglądany później kompleks Tadź Majal. Jest to olśniewający biały grobowiec stanowiący mauzoleum Mumtaz Mahal, ukochanej żony ówczesnego władcy Szahdżahana, otoczony czterema minaretami i dwoma meczetami po jego bokach. W jednym z nich nie można muzułmanom się modlić, gdyż nie jest zwrócony w stronę Mekki, ale zbudowany został zgodnie z zasadą symetrii. Przy wejściu spotkał mnie jednak niemiły zawód. Zabrano mi kamerę filmową i oddano do przechowalni na czas zwiedzania obiektu, pozwalając jedynie wziąć ze sobą aparat fotograficzny. Widok zewnętrzny kompleksu zgadzał się całkowicie z wyobrazeniami

o nim, które miałem na podstawie zdjęć czy reportaży filmowych, szczególnie pięknie wyglądał oglądany w promieniach słońca odbijających się od kopuł tej budowli. Odmienne wrażenie sprawiało natomiast wewnątrz mauzoleum, gdyż trzeba je było oglądać w półmroku, mieszając się z tłumem turystów z całego świata. Do New Delhi wracaliśmy z obawą, czy nie spotkają nas niespodziewane przeszkody lub blokady, gdyż tego samego wieczora odlatywalismy w dalszą podróż. Jednakże, na szczęście dla nas, nic takiego się nam nie przytrafiło. Już jako „znajomi kierowców” przejechaliśmy przez trwającą nadal blokadę ciężarówek i bez przeszkód dotarliśmy do ambasady, aby stamtąd wyjechać na lotnisko.

Singapur przywitał nas piękną pogodą. Po całonocnej podróży byliśmy trochę zmęczeni, toteż z przyjemnością wypiliśmy kawę w polskim przedstawicielstwie handlowym. Z okien na 33 piętrze, gdzie mieściło się biuro, mogliśmy podziwiać panoramę miasta. Dosłownie las wieżowców rozciągał się z każdej strony naszego budynku. Gospodarz opowiadał nam historię tego miasta-państwa, które obejmuje obszar nie większy od Warszawy, za to o dwukrotnie większej ilości mieszkańców, pochodzących z całego regionu Azji Południowo-Wschodniej. Chińczycy, Tamilowie z Indii, Malaje oraz Europejczycy, tworzą przedziwny konglomerat językowy i kulturowy tej byłej kolonii angielskiej, która w ostatnich dziesięcioleciach stała się wielkim centrum finansowym nie tylko tej części Azji, ale całego współczesnego świata. Jest to też jeden z najważniejszych światowych portów morskich. Wkrótce udaliśmy się na spacer po dzielnicy handlowej, potem zaś zrobiliśmy krótką przejażdżkę po mieście. Podziwialiśmy szerokie aleje, pięknie zadbane i czyste oraz wiele rozpoczętych budów kolejnych wieżowców. Warto wspomnieć, że za rzucenie np. niedopałka na chodnik lub ulicę w tym mieście grozi bardzo wysoka grzywna. W centrum handlowym, które odwiedziliśmy, spotkaliśmy mnóstwo ludzi o różnych odcieniach skóry, mówiących różnymi językami i oglądających lub kupujących towary sprowadzone ze wszystkich zakątków świata. Byliśmy tym wszystkim zafascynowani, ale nasz kilkugodzinny pobyt się kończył i znowu witało nas lotnisko, gdzie wsiedliśmy do samolotu udającego się do stolicy Malezji, Kuala Lumpur.

Wylądowaliśmy tam już po zapadnięciu zmroku. Z lotniska odległego od miasta ok. 50 km jechaliśmy autostradą ku coraz jaśniejszym światłom stolicy i jednocześnie największego miasta kraju. Wkrótce przejeżdżaliśmy jasno oświetlonymi ulicami i alejami, prowadzącymi do siedziby polskiej placówki, gdzie mieliśmy spędzić dwa dni.

Po załatwieniu spraw służbowych z attaché, pełniącym obowiązki kierownika placówki, zostało nam trochę wolnego czasu, który zamiast poświęcić

na wypoczynek, przeznaczaliśmy na zwiedzanie miasta. Położone niedaleko cieśniny Malakka, Kuala Lumpur powstało w XIX wieku jako angielska faktoria handlu cyną. Prawdziwy rozkwit miasta rozpoczął się jednak w latach 50. XX wieku, kiedy w 1957 roku nastąpił kres angielskiej administracji i Kuala Lumpur stała się stolicą niepodległego państwa, Malezji. Najpierw zwiedziliśmy plac Niepodległości, gdzie stoi stumetrowy maszt z flagą państwową oraz okolice pałacu Sułtana Abdula Samada, gdzie mieściła się siedziba brytyjskiego Gubernatora. Pałac został zbudowany pod koniec XIX wieku w stylu mauretańskim, z miedzianymi kopułami i ponadstumetrową wieżą zegarową. Przejeżdżając koło chińskiej świątyni spotkaliśmy orszak ślubny w tradycyjnych chińskich strojach. Przejazd po centrum i przedmieściach, jak zwykle, ukazał nam wystawne rezydencje miejscowej bogatej elity i ubogie domy, wręcz nędzne lepianki biedniejszej ludności stolicy. Problemy żołądkowe (prawdopodobnie spowodowane nieświeżym jedzeniem w samolocie) zmusiły nas do powrotu do ambasady, gdzie musieliśmy się poddać intensywnemu leczeniu.

Ośłabieni, ale ciekawi interesujących miejsc w stolicy, udaliśmy się następnego dnia do zbudowanego w latach 60. Malajskiego Meczetu Narodowego, który jest jednym z największych w Azji i może pomieścić ok. 8 tysięcy wiernych. Posiada główną kopułę w kształcie 18-ramiennej gwiazdy oraz 48 mniejszych kopuł. Stojący obok minaret ma wysokość 73 m. Wewnątrz meczetu, wzdłuż ścian umieszczone były wielostopniowe półki na obuwie. Zdjęliśmy i my buty i weszliśmy do środka. Olbrzymie i puste o tej porze sale, wyściełane były dywanami dla modlących się. W jednym z mniejszych pomieszczeń zobaczyliśmy grupę dzieci słuchających nauki religii islamu głoszonej przez kapłana wykładowcę. Wychodząc, znaleźliśmy nasze buty obok kilku innych par. Nurtowało nas pytanie. Jak przy pełnej liczbie uczestników modłów odnajdują oni swoje buty? Pytanie zostało jednak bez odpowiedzi. W dalszej drodze spotkaliśmy kolejny pałac, w stylu mauretańskim, którym okazał się kolejowy Dworzec Centralny wybudowany na początku XX wieku. Zaraz potem zatrzymaliśmy się w pałacu w stylu malajskim, gdzie mieści się Malajskie Muzeum Narodowe, na jego zewnętrznej ścianie znajdują się dwie ogromne mozaiki o tematyce historycznej. Ale i tym razem zabrakło nam czasu, aby zapoznać się bliżej z burzliwymi dziejami tego kraju. Niestety, nie udało nam się również zwiedzić słynnych ogrodów Taman Tasik Perdana ze sztucznym jeziorem, parkiem orchidei, parkiem motyli i, największym w tym regionie Azji, parkiem ornitologicznym z ponad pięćdziesięcioma gatunkami ptaków.



Autor na tle ulicznej palmy w Singapurze



Obowiązki jednak wzywały. I znowu lotnisko, znowu samolot i przelot – do Indonezji. Jest to jedno z najbardziej zaludnionych państw świata, liczące ponad 200 mln ludności, o łącznej powierzchni prawie 2 mln km<sup>2</sup>, leżące na ponad 17 tysiącach wyspach i wysepkach. Wylądowaliśmy w międzynarodowym porcie lotniczym Dżakarty, znajdującym się poza miastem i do siedziby naszej placówki pojechaliśmy piękną autostradą. Przyszła mi do głowy gorzka refleksja, gdy mijaliśmy przedmieścia indonezyjskiej stolicy. Jesteśmy znowu w kraju tzw. Trzeciego Świata i ponownie jedziemy doskonałą autostradą, a my w naszym, wspaniałym i kochanym kraju nad Wisłą nie możemy do Warszawy dojechać nawet porządną dwupasmową drogą, nie mówiąc już o braku obwodnicy wokół polskiej stolicy.

Trwało to jednak tylko chwilę, potem przyszły bardziej pozytywne porównania. Takich lepierek i biedy, jakie widzieliśmy po drodze, na pewno nie spotkamy na Mazowszu i wokół polskich miast. Im bliżej Dżakarty, tym więcej mijaliśmy nowych placów budów, samych wieżowców. Dotarliśmy wreszcie do ambasady, mieszczącej się w ładnym, parterowym pawilonie, gdzie dowiedzieliśmy się, że to ostatnie miesiące jej egzystencji, gdyż w tym miejscu też ma stanąć wieżowiec. Jak to zwykle bywa nie trwało to kilka miesięcy, ale kilka lat. W chwili obecnej siedziba ambasady jest już pod innym adresem.

Pełniący obowiązki kierownika placówki radca Mariusz Woźniak, który później był m.in. Ambasadorem RP w Etiopii, przyjął nas bardzo życzliwie i poza załatwieniem niezbędnych spraw służbowych, wiele opowiadał o Indonezji, jej historii, mieszkańcach, problemach etnicznych i religijnych, a także współczesnych zagadnieniach politycznych i gospodarczych. Zasugerował również, aby oprócz „rzucenia okiem” na Dżakartę, liczącą 8,5 mln mieszkańców, zwiedzić park „Taman Mini Indonesia Indah”, czyli tzw. „Małą Indonezję” oraz ogród zoologiczny Ragunan. Skwapliwie skorzystaliśmy z tych sugestii i nie zawiedliśmy się.

„Mała Indonezja” to teren rekreacyjny położony ok. 25 km od stolicy, gdzie na obszarze około 200 ha przedstawiona została Indonezja w miniaturze. Każda tutejsza prowincja jest reprezentowana w oddzielnym pawilonie zbudowanym wg tradycyjnych wzorów danego regionu. Wewnątrz pawilonów można zobaczyć oryginalne stroje i przedmioty używane przez mieszkańców poszczególnych prowincji, a grupy taneczne przedstawiają jej folklor. Pawilony są rozlokowane wokół jeziora, które stanowi centralny punkt parku. Na jeziorze jest przedstawiony, w pomniejszonej skali, cały archipelag indonezyjski z głównymi wyspami, takimi jak Jawa, Borneo, Sumatra, Celebes, Bali i inne. Widać to doskonale z góry, z wagonika kolejki linowej, która wozi zwiedzających z jednego brzegu jeziora na drugi. Na terenie parku znajduje

się 15 muzeów, każde o odmiennej tematyce, m.in. muzeum wojskowe, telekomunikacji, energetyki i transportu czy sportu. Znajduje się tam również 11 specjalistycznych parków, m.in. orchidei, roślin leczniczych, kaktusów, papug, akwarium ze słynnymi „smokami z wyspy Komodo”, parki zabaw dla dzieci, teatry czy też świątynie wszystkich wyznań istniejących na archipelagu. Nie mogło także zabraknąć restauracji regionalnych. Z uwagi na bliską odległość od stolicy, dobrą komunikację i atrakcyjność posiadanych obiektów, „Mała Indonezja” jest licznie odwiedzana przez turystów zarówno zagranicznych, jak i krajowych. Można tu spędzić beztrudnie od kilku godzin do nawet kilku dni, gdyż w pobliżu są liczne hotele. Jak nam opowiadano, idea powstania tego obszaru wyszła w 1970 roku od żony prezydenta Indonezji, Suharto, po jej pobycie w Disneylandzie w Kalifornii w USA. Budowę rozpoczęto w roku 1971, a oficjalne otwarcie „Małej Indonezji” miało miejsce 20 kwietnia 1975 roku. Park jest konsekwentnie rozbudowywany o nowe pawilony i atrakcje, aby mógł przyciągać coraz więcej turystów, którzy nie zawsze mają czas na zwiedzanie rozległego archipelagu, a dzięki pobytowi w tym miejscu mają chociaż jego namiastkę.

Podobnie atrakcyjne dla nas było zwiedzanie Ogrodu Zoologicznego. W niektórych jego częściach zwierzęta niebędące drapieżnikami są praktycznie na wolności. Chcąc sprostać pragnieniom turystów zawarcia bliskiej „znajomości” z drapieżnikami, np. panterami czy tygrysami, pracownicy Ogrodu wyprowadzają młode osobniki tych zwierząt i turysta ma możliwość zrobienia sobie zdjęcia z nimi czy ich pogłaskania. Oczywiście skorzystaliśmy z kolegą z tej okazji, ale byliśmy też świadkami sytuacji dość groźnej. Pewna turystka postanowiła poczęstować małą czarną panterę jakimś smakołykiem, wbrew zakazom, i nagle zwierzę rzuciło się na nią wyrwijąc jej z ręki torebkę. Na szczęście szybka reakcja obsługi, która przytrzymała panterę na smyczy, zapobiegła dalszym atakom zdenerwowanego zwierzęcia.

Czas przy tego rodzaju atrakcjach płynie szybko i znowu znaleźliśmy się na lotnisku, aby tym razem przeskoczyć na inny kontynent, do Australii. I wtedy pojawił się problem. Okazało się, że mieliśmy nadbagaż, za który należało dopłacić. Początkowo, nie budziło to naszych obaw, gdyż byliśmy na tego typu sytuacji przygotowani i mieliśmy stosowne vouchery LOT-u, z wystawionymi na całą trasę biletami. Spokojnie więc wręczyliśmy je pracownikom australijskiej linii Qantas, którą mieliśmy lecieć do Sydney i czekaliśmy na wezwanie do wejścia, tym bardziej, że z lotniskowego głośnika ogłaszano już odlot naszego samolotu. Nagle pojawił się przedstawiciel Qantas i oświadczył, że linia nie honoruje voucherów LOT-u i albo zapłacimy za nadbagaż gotówką, albo nie polecimy dalej. Próba dyskusji



Świątynie w stolicy Tajlandii, Bangkoku

lub prośba o kontakt z kierownictwem linii na lotnisku nie dały rezultatu i sytuacja zaczynała być coraz bardziej nerwowa. Z głośnika płynęły już imienne wezwania do odprawy, a przedstawiciel Quantas był nieugięty. Żadne argumenty ani nasze paszporty dyplomatyczne nie wywierały żadnego wrażenia. Przy trzecim, głośnikowym wezwaniu skapitulowaliśmy. Wyciągnęliśmy prywatne pieniądze i zapłaciliśmy żądana sumę. Nasz upór wynikał bardziej z chęci bronięcia honoru polskiej linii lotniczej, nieznanego pracownikowi Quantas, niż z wysokości opłaty. Jako ostatni pasażerowie zajęliśmy nasze miejsca w samolocie, który natychmiast wystartował.

Lot do Australii przebiegł spokojnie. Wylądowaliśmy w Sydney, którego panoramę mogliśmy podziwiać z okien samolotu. Piękna zatoka z równie pięknymi plażami, port morski, słynna Opera i łukowaty most nad zatoką wywierały ogromne wrażenie. Widok ten przypominał mi obrazy, oglądane w programach telewizyjnych, z uroczystości noworocznych, uświetnianych pokazami ogni sztucznych nad mostem i Operą, które zawsze dodają specjalnego uroku naturalnie pięknej panoramie miasta. Warto pamiętać, że australijski Nowy Rok wyprzedza o kilka godzin obchodzony u nas. Jednak twarde lądowanie samolotu wyrwało mnie z rozmyślań i szybko wróciłem do rzeczywistości. Zateęskniłem za kunsztem pilotów naszego LOT-u. Oczekujący na nas konsul poinformował, że udamy się na chwilę do siedziby Konsulatu Generalnego w Sydney, aby pozostawić tam niezbędne rzeczy i wyruszyć w dalszą podróż do stolicy Australii, Canberr, gdzie mieści się polska ambasada.

Zmieniliśmy samolot na mniejszy i poleciliśmy do stolicy usytuowanej pośrodku między dwoma największymi miastami Australii tj. Sydney i Melbourne. Właśnie dzięki rywalizacji między nimi, na początku XX wieku, o bycie stolicą państwa, podjęto decyzję o budowie nowej stolicy. W ten sposób powstało zupełnie nowe miasto, zaprojektowane od początku do końca przez architektów, z Amerykaninem Walterem B. Griffinem na czele. Wybrano, charakteryzujący się pełnią zieleni, obszar nazywany przez aborygenów australijskich „Canberra”, czyli „miejsce spotkań”, położony nad rzeką Molonglo. Budowa nowej stolicy trwała od 1913 do 1927 roku, kiedy to uroczystie przeniesiono tam siedzibę rządu i parlamentu z Melbourne. Kiedy wylądowaliśmy na miejscowym lotnisku, gdzie wokół nie widać było prawie żadnej zabudowy miejskiej, wydawało nam się, że wylądowaliśmy w parku, więc zapytałem jak daleko jest miasto? Odpowiedź była prosta: „Już jesteście w mieście”. Faktycznie, droga z lotniska do właściwego miasta trwała bardzo krótko. Po drodze zobaczyliśmy piękną rezydencję w starym angielskim stylu na wzgórzu wśród drzew. Jak się okazało, była to siedziba angielskiego Generalnego

Gubernatora, oficjalnego przedstawiciela królowej Elżbiety II, gdyż Związek Australijski jest członkiem brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a brytyjska królowa jest jednocześnie królową Australii. Miasto składa się z dwóch części rozdzielonych sztucznym jeziorem, nad którym dominuje fontanna, a wyrzucana woda sięga poziomu 146 metrów i przypomina fontannę na Jeziorze Genewskim.

Kiedy wjechaliśmy do wyizolowanej dzielnicy dyplomatycznej natychmiast przyszło mi do głowy porównanie z Brasilią, z uwagi na podobne rozwiązania i podział miasta na dzielnicę rządową, handlową, mieszkaniową i dyplomatyczną. Proporcjonalnie jednak rzeczywistość brazylijska była o wiele większa niż ta kameralna, australijska. W mieście praktycznie nie było wieżowców, a najwyższy budynek nie przekraczał siedmiu pięter, co w porównaniu z rozmachem i wysokością zabudowy Brasili jeszcze bardziej świadczyło o „provincjonalności” australijskiej stolicy, o czym mogliśmy się przekonać później, zwiedzając Sydney.

Nie omieszkaliśmy oczywiście zwiedzić dzielnicy rządowej, w której mieści się nowy gmach Parlamentu, oddany do użytku w 1988 roku oraz stary budynek, w którym australijscy deputowani i senatorowie obradowali w latach 1927-1988, a gdzie obecnie mieści się Muzeum. Ciekawe było samo wejście do Parlamentu, gdyż jest ono ozdobione godłem kraju przedstawiającym herby poszczególnych regionów Australii podtrzymywanym z jednej strony przez strusia, z drugiej przez kangura, symbole miejscowej fauny, które często też są wykorzystywane komercyjnie np. na etykietach win. Uwagę naszą zwrócił namiot rozbity na trawniku przed Parlamentem i otaczające go transparenty z napisami typu: „Żądamy zwrotu naszych ziem”, „Więcej swobód dla rdzennych mieszkańców kraju”. Jak nam wyjaśniono, chodziło o stałe stanowisko Aborygenów, czyli pierwszych mieszkańców Australii domagających się przyznania pełni praw obywatelskich i prawa reprezentacji w Parlamencie. Zobaczyliśmy jeszcze gmach Sądu Najwyższego oraz Uniwersytetu założonego w 1946 roku, a także bardzo skromną, w porównaniu do innych miast, dzielnicę handlową. To właśnie m.in. z tego powodu nazywa się Canberę „stołeczną wsią”, ale z drugiej strony zazdrości się jej mieszkańcom zielonych przestrzeni, czystego powietrza i spokojnego trybu życia.

Następnego dnia skorzystaliśmy z zaproszenia ambasady i wybraliśmy się na wycieczkę do niezbyt odległego od stolicy „buszu”, chronionego jako Park Narodowy i rezerwat. Już na parkingu powitał nas „dyżurny” struś domagający się jakiegoś kawałka bułeczki czy chlebka. Na coś takiego byliśmy jednak przygotowani i po wręczeniu „haraczu” udaliśmy się pieszo w głąb rezerwatu. Widzieliśmy skaczące kangury: jedne szare, inne o czerwonej sierści,



Autor z młodym lampartem w ZOO w stolicy Indonezji, Dżakarcie



Autor z wężem podczas zwiedzania stolicy Tajlandii, Bangkoku

jedne duże, drugie małe, a nawet te wyglądające z kieszeni matek. Naszemu przejściu towarzyszył jazgot ptaków, głównie różnokolorowych papug. Potem doszliśmy do zbiornika wodnego, gdzie pływała, latała lub nurkowała chmara ptactwa wodnego. Naszym celem było jednak zobaczenie w naturze misiów koala. Tak więc weszliśmy do lasu eukaliptusowego rozglądając się pilnie po koronach drzew, gdzie według informacji uzyskanych od pracownika Parku, można było je dostrzec. Po godzinnej wędrówce udało nam się wypatrzyć dwa misie, słodko śpiące w konarach na wysokości kilkunastu metrów nad ziemią. Zmęczeni, ale zadowoleni, wróciliśmy do ambasady, by przygotować się do podróży do Sydney, którą mieliśmy odbyć samochodem.

Wyruszyliśmy w drogę w deszczu, który towarzyszył nam przez co najmniej przez sto kilometrów z trzystukilometrowej trasy. Mijaliśmy po drodze małe miasteczka, a właściwie osady farmerskie nie spotykając nic ciekawego. Zatrzymaliśmy się jednak po drodze, aby podziwiać wodospad w dolinie przypominającej opisywane już wodospady w Iguazu, ale o nieporównywalnie mniejszym potencjale wody. Wieczorem dotarliśmy do Sydney, gdzie w pokojach gościnnych konsulatu, nazywanych „Hiltonem”, umieszczonych nad garażami urzędu, mieliśmy spędzić kolejne trzy noce. Z punktu widzenia architektonicznego ten konsularny „Hilton” w niczym nie przypominał słynnych hoteli tej sieci, ale w środku był bardzo przyjemny i wygodny.

Przed zwiedzaniem miasta z bliska postanowiliśmy najpierw obejrzeć je z oddali. Korzystając z uprzejmości pracowników konsulatu udaliśmy się do miasteczka Manly, skąd rozciągał się widok panoramiczny całej zatoki, nad którą rozpościera się aglomeracja Sydney składająca się z 38 samodzielnych gmin. Właśnie do Manly Cove dotarł, w styczniu 1788 roku, kapitan Arthur Philip w czasie tzw. „Pierwszej Floty” (First Fleet). Dzień później dotarł do kolejnej zatoki nazwanej „Sydney Cove” na cześć ówczesnego brytyjskiego Ministra Spraw Wewnętrznych i tam wbił flagę Wielkiej Brytanii. Zostawialiśmy samochód na parkingu i skierowaliśmy się na brzeg skarpy wysoko położonej nad wodą, skąd była lepsza widoczność na rysujące się w oddali największe miasto Australii, będące stolicą stanu Nowa Południowa Walia. Zrobiliśmy zdjęcia miasta i zatoki, po czym wróciliśmy do samochodu, gdzie czekała nas przykra niespodzianka. Ktoś usiłował dokonać włamania, gdyż w zamku przednich drzwi tkwił ułamany śrubokręt, a boczna szybka była rozbita. Prawdopodobnie włamywacz został przez kogoś spłoszony i auto nie zostało otwarte. Na sąsiednich miejscach parkingowych również dostrzeżliśmy rozbite szkło, z czego należałoby wnosić, że nie tylko my padliśmy ofiarą włamania. W zaistniałej sytuacji wróciliśmy do konsulatu, a zwiedzanie miasta odłożyliśmy do następnego dnia.

Sobotnią wycieczkę do centrum Sydney rozpoczęliśmy od obejrzenia jednego z jego symboli, znanej na całym świecie słynnej Opery, (Sydney Opera House), której budowa zakończyła się w 1973 roku. Obeszliśmy ją wokół z zewnątrz, a następnie podziwialiśmy jej wewnętrzne pomieszczenia, ale bez wejścia do głównej sali otwieranej tylko na czas spektaklu. Z bliska oglądaliśmy też równie słynny „wieszak”, czyli most Harbour Bridge, jeden z największych na świecie mostów łukowych o rozpiętości prawie 500 metrów, oddany do użytku w 1932 roku. Takich turystów jak my było mnóstwo, gdyż deptak Opery przyciąga zwiedzających jak magnes. Wśród Europejczyków i Azjatów, głównie Japończyków, dostrzegliśmy nawet chińską młodą parę w towarzystwie gości weselnych. Poznaliśmy jeszcze lokalną starówkę „The Rocks” i zagłębiliśmy się w olbrzymi i przepiękny ogród botaniczny, leżący koło centralnego dworca autobusowego i kolejowego miasta. Czas biegł jednak szybko i wróciliśmy do miejsca zamieszkania, mijając po drodze dzielnicę biznesową, Central Business District, zdominowaną przez wysokie biurowce.

W kolejny, niedzielny dzień australijskiego pobytu przyjęliśmy zaproszenie jednego z pracowników i udaliśmy się na połów ryb, kupując po drodze haczyki, ciężarki i przynętę. Aby dotrzeć do miejsca połowu przeszliśmy przez plażę nudystów i dostaliśmy się do małej zatoczki. Tam, stojąc lub siedząc na dużych głazach, zarzucaliśmy wędki i usiłowaliśmy coś złapać w morskiej wodzie. Gdy nic nam nie wychodziło w jednym miejscu przemieszczaliśmy się na kolejne głazy. Nagle, usiłując przeskoczyć na sąsiedni kamień, ześliznąłem się po jego mokrej nawierzchni i wpadłem do wody, gubiąc jednocześnie but, który zaczął odpływać. Rozbita noga spuchła niemiłosiernie. Udało mi się jednak wdrapać na głaz i wszyscy usiłowaliśmy wyłowić bujający się na fali but. Na szczęście, przyplływ rozwiązał nam ten problem, wyrzucając but na brzeg. To była nasza jedyna zdobycz tego dnia. Wróciliśmy do konsulatu przejeżdżając wzdłuż wybrzeża i podziwiając nadmorskie plaże, których podobno jest około siedemdziesiąt.

Po powrocie szybko przebrałem się i pospieszyłem na umówione spotkanie ze Stasiem Durkiem, starym znajomym z Brazylii, z którym spędzaliśmy razem niezapomniany Sylwester w Belo Horizonte. Zaraz po przyjeździe do Sydney, a szczególnie po przechadzce w pobliżu Opery, usiłowałem go odnaleźć. Niestety, w polskim konsulacie na jego temat nic wiadano. Zastosowałem starą, w praktyce sprawdzoną metodę, a mianowicie wziąłem książkę telefoniczną miasta. Osób o nazwisku Durek było w niej kilka, ale tylko trzy nosiły imię Stanisław, oczywiście bez polskiego „ł”. W dwóch przypadkach nikt telefonu nie odebrał, natomiast w trzecim usłyszałem, charakterystyczne



dla Polaków, „Halo”. Zapytałem po polsku, z głupia frant, „Czy pan gra na fagocie?”. Z drugiej strony zapadła długa cisza, aż wreszcie usłyszałem głos mówiący po polsku: „Już nie gram, ale kto mówi?” Po przedstawieniu się umówiliśmy się na spotkanie, do którego doszło w przeddzień mojego wylotu z Australii. Stasio oczekiwał mnie przed konsulem w swoim samochodzie, a po drodze do domu, w innej dzielnicy miasta, opowiedział historię przyjazdu swojego do Australii. Po otrzymaniu wiz, jako muzycy, a tacy byli potrzebni w Australii, wyjechali z Brazylii. Po przyjeździe, z Marcinem i małym Rafałem, (Raphaelem), pracę w słynnej Operze w Sydney dostała tylko żona Maria, a Staszek zaczął jeździć taksówką na nocnej zmianie, aby w dzień zajmować się dziećmi. Przy okazji zaczął ich uczyć gry w tenisa, a później z nimi trenować. Starszemu szybko się to znudziło, ale młodszy złapał bakcyła i zaczynał odnosić sukcesy w rozgrywkach dziecięcych. Jako nastolatek trafił do czołówki młodych tenisistów w Sydney, a w następnych latach, jako junior i później senior, brał udział w różnych turniejach w Australii i obu Amerykach, a nawet w turniejach tenisowych rozgrywanych w Polsce. W przestronnym domu, na tarasie czekali już chłopcy, w pobliżu zachęcająco pachnącego grilla. Niestety, żona Stasia miała wieczorny koncert w Operze i nie mogłem się z nią zobaczyć. Przy grillu, zrobionym przez Stasia na sposób brazylijski i przy australijskim winie powspominaliśmy nasze spotkania z okresu pobytu w Brazylii i oczywiście owego zwariowanego Sylwestra w Belo Horizonte.

Do konsulatu wróciłem wczesnym wieczorem, aby zdążyć się spakować się przed wylotem następnego dnia rano oraz pożegnać się z pracownikami.

Tak jak wylot z Dżakarty do Australii odbył się z problemami, tak i tym razem nie mogło być inaczej. W tym przypadku lotniskowym funkcjonariuszom nie spodobały się nasze bagaże podręczne, gdyż uznali, że są za duże i za ciężkie. Faktycznie mieli rację i w następnych latach w MSZ je zmieniono i dostosowano do międzynarodowych standardów. Ale przecież jakoś musieliśmy ten problem załatwić, gdyż samolot czekał... znowu tylko na nas. Razem z naszym konsulem z Sydney przytaczaliśmy wszystkie możliwe argumenty dotyczące poczty dyplomatycznej i jej specjalnego znaczenia w przepisach międzynarodowych, ale one zupełnie nie trafiały do przekonania załatwiającego nas funkcjonariusza płci żeńskiej. I chyba tylko dzięki naszej „męskiej”, polskiej postawie, australijska „słaba płęć” w końcu dała za wygraną i... „w drodze wyjątku” pozwoliła nam wejść na pokład samolotu odlatującego do kolejnego kraju azjatyckiego, do Tajlandii.

W stolicy Tajlandii, Bangkoku byłem dwukrotnie. Pierwszy raz w opisywanej podróży do Australii, drugi, kiedy jedna z podróży służbowych wiodła mnie przez Tajlandię do Chin, Korei i Japonii. Za każdym razem były



Panorama nowoczesnej dzielnicy biznesowej w Sydney



Widok na słynną Operę w Sydney i Harbour Bridge



Karmienie kangura w rezerwacie niedaleko australijskiej stolicy, Canberry

to kolejne zaskoczenia, gdyż spotykałem się z różnymi ludźmi, poznawałem inne fragmenty miasta czy zabytki. W Bangkoku te ostatnie mają stałe godziny otwarcia i zamknięcia, poza nimi, ma się takie wrażenie, że miasto żyje przez całą dobę. Ożywiony ruch na ulicach, otwarte sklepy, bary i restauracje, nie mówiąc już o „salonach masażu” i „klubach erotycznych”, z czego słynie tajska stolica. Tutaj też można kupić „złotego” „Rolexa” za 10-15 dolarów czy uszyć garnitur na miarę w ciągu 24 godzin. Co jeszcze rzuca się w oczy na każdym kroku to miły, przynajmniej z pozoru, uśmiech i życzliwość mieszkańców miasta, zwłaszcza kiedy rozmawiają z cudzoziemcami. Oto moje niektóre, osobiste wrażenia.

Zabytki Bangkoku są nieporównywalne, np. świątynie z posągami Buddy: z najmniejszym, mierzącym zaledwie niecałe 70 cm, ale najbardziej czczonym przez wyznawców Szmaragdowym Buddą, znajdującym się w kompleksie Wat Phra Kaeo leżącym obok starego Pałacu Królewskiego, Złotym Buddą, który w postaci prawie czterometrowego posągu, ważącego prawie 5 ton znajduje się w świątyni Wat Trai Mitr, w chińskiej dzielnicy miasta czy też największym posągiem Buddy leżącego na prawym boku, który mierzy kilkadziesiąt metrów długości i prawie pięć wysokości, w świątyni Wat Po. Jeśli dodamy do tego świątynię Jutrzenki lub Świtu, czyli Wat Arun, o niepowtarzalnej zabudowie wzorowanej na architekturze Khmerów, będącą jednym z symboli Bangkoku, a którą najlepiej podziwiać płynąc łodzią rzeką Menam, to już możemy się domyśleć, dlaczego tak dużo turystów odwiedza Tajlandię i Bangkok. Wymienione świątynie nie wyczerpują oczywiście listy zabytków tajskiej stolicy, nie mówiąc już o innych, znajdujących się na terenie całego kraju. Wspomniałem je, tylko dlatego, gdyż tylko właśnie te mogłem zobaczyć, z uwagi na krótki pobyt i brak czasu.

Bangkok nie jest tylko miastem pełnym zabytków związanych z historią czy religią, ale jest stolicą i największym miastem kraju liczącym ponad 5 mln mieszkańców. Przede wszystkim jest to, centrum przemysłowe, handlowe i finansowe, o czym świadczy nowoczesna dzielnica z drapaczami chmur mieszczącymi hotele, banki i urzędy, bardziej przypominająca centra zachodnich miast Europy czy Ameryki niż azjatyckie miasto. Oprócz tej oazy nowoczesności, istnieje w Bangkoku także dzielnica chińska i indyjska, z kolorytem i zwyczajami typowymi dla tych nacji. Miasto przecinają kanały, które oprócz funkcji komunikacyjnych, pełnią także funkcje handlowe i mieszkalne. W mieście panuje ożywiony ruch uliczny, tworzą się nieustannie korki, uszy drażni gama hałasów, a w powietrzu unosi się nieprzerwanie ciężki smog, dlatego też policjanci kierujący ruchem na skrzyżowaniach noszą stale na twarzach maski ochronne. Po ulicach poruszają się pojazdy wszelkiego rodzaju:

autobusy, samochody, taksówki oraz motorki trójkołowe z ławką dla 2-3 osób tzw. tuk tuki, czy też ryksze rowerowe.

Główna ulica turystyczna miasta, Khao San Thanon, jest pełna lokali rozrywkowych, barów i sklepów, którym dodatkowo towarzyszą kramy zajmujące część chodnika, przez co nieraz aż trudno się przecisnąć przez tłum zagranicznych turystów. Aby zwiększyć atrakcyjność ulicy oraz łatwość poruszania się, po godzinie 18, tj. po zapadnięciu zmroku jest zamykany ruch samochodowy i cała przestrzeń uliczna należy wyłącznie do przechodniów. W okresie mojego pobytu, czyli w połowie lat 90. wśród *farangów*, jak nazywani są tutaj biali cudzoziemcy, przeważali Europejczycy i Amerykanie, którzy byli doskonale widoczni z uwagi na swój wzrost, między drobnymi i niskimi mieszkańcami stolicy, a ściślej rzecz biorąc, między jego mieszkankami, gdyż już wówczas Bangkok stał się ulubionym miejscem tzw. seksturystyki, zapoczątkowanej przez Amerykanów po ich wejściu do Wietnamu w 1961 roku. O tej „gałęzi” tajskiej gospodarki napisano już tyle, że nie będę konkurował ze znawcami tematu.

Swój pobyt w tajskiej stolicy wykorzystałem dla poznania jego zabytków, o których m.in. wspominałem wcześniej, postanowiłem także sprawdzić umiejętności miejscowych krawców oferujących swoje usługi w szyciu garniturów w ciągu 24 godzin. Wybrany zakład znajdował się niedaleko ambasady i można było do niego dojść pieszo, bez potrzeby angażowania pracowników czy transportu. Po wzięciu miary, sympatyczny i mile uśmiechnięty mistrz igły i nożyczek zaproponował pierwszą przymiarke po południu tego samego dnia, mimo że odwiedziłem go późnym rankiem. Stawiłem się oczywiście o oznaczonej porze, ale gotowe były tylko pierwsze elementy marynarki tj. przód i tył, bez rękawów, a na spodnie był tylko przygotowany materiał. Kolejna wizyta wyznaczona była na następny dzień rano, czyli po upływie reklamowanej doby. Marynarka była gotowa, spodnie też, ale rękawy w marynarce i spodnie okazały się za krótkie. Umówiliśmy się na wieczór, gdyż następnego dnia mieliśmy już odlot. Wieczorem felery zostały na tyle poprawione, że można było garnitur założyć, ale żeby mi się czuło w nim komfortowo, tego bym nie powiedział. Widząc to i wiedząc, że nie zdąży mi już nic poprawić, dla uspokojenia klienta, czyli mnie, krawiec dodał do garnituru krawat gratis i zgłosił gotowość dalszych ewentualnych poprawek podczas mojej następnej wizyty w Bangkoku. Były to prorocze słowa, gdyż niespodziewanie, po kilkunastu miesiącach ponownie zjawiłem się w tym mieście. Miałem ze sobą garnitur i udałem się z nim do mojego mistrza. Na wszelki wypadek miałem dla niego dodatkową robotę. Chodziło o uszycie marynarki z miejscowego materiału, która miała być kopią mojej, polskiej, ulubionej marynarki.

Po 24 godzinach, a jakże!, ubranie i marynarka były gotowe. Garnitur, mimo poprawek wiele się nie zmienił i wkrótce po powrocie do Polski oddałem go komuś z rodziny. Za to „klon” polskiej marynarki był nadzwyczajny. Po prostu identyczny. Nie darmo znawcy mówią, że narody azjatyckie są mistrzami w kopiowaniu, o czym świadczy inwazja chińskich podróbek znanych marek europejskich i amerykańskich na rynki całego świata.

Jeszcze o jednym nietypowym zdarzeniu z Bangkoku warto wspomnieć. Jeśli uważny czytelnik pamięta rozdział o podróży z księdzem Janem do dżungli niedaleko Sao Paulo i przygodę z węzami, to historia podobna, a raczej spotkanie z węzem boa w tajskiej stolicy również miało miejsce. Podczas zwiedzania tamtejszego ogrodu zoologicznego, podobnie jak w Dżarkarcie, pracownicy ZOO starali się jak najbardziej uatrakcyjnić pobyt turystów. W tym przypadku oferowali zdjęcie z węzem boa mierzącym ponad dwa metry. Wąż był grubości ramienia kulturysty, gdyż jak powiedziano, był po posiłku i właśnie w trakcie jego trawienia, będąc tym samym niegroźnym dla otoczenia. Za namową towarzyszących mi kolegów, postanowiłem zrobić sobie zdjęcie z przedstawicielem miejscowej fauny. Sądziłem, że zdjęcie będzie



Autor ze Stasiem Durkiem i jego synem w ich domu w Sydney

typu: wąż leży, a ja nad nim stoję, czy coś w tym rodzaju. Ku mojemu zaskoczeniu, dwaj pracownicy ZOO podnieśli boa i wpakowali mi go na szyję. Aż ugiąłem się pod tym ciężarem, poczułem wilgotną i oślizłą skórę na swoich barkach i ramionach. Nie powiem, żeby było to przyjemne uczucie. Przed okazaniem strachu powstrzymywał mnie widok obu mężczyzn trzymających tego boa-dusiciela oraz świadomość, że jest on najedzony i mojej biednej szyi nic nie grozi. Poprosiłem o szybkie zdjęcie i z ulgą uwolniłem się od tego, dość nieprzyjemnego ciężaru.

O korkach komunikacyjnych już wspominałem, ale jak zwykle są dwie opinie na ten temat: jedna, kiedy jesteś bezstronnym obserwatorem zjawiska, druga, kiedy dotyczy to ciebie bezpośrednio. Patrzyłem spokojnie na korki przy czteropasmowych rondach jeżdżąc po mieście gdy je zwiedzałem, ale kiedy spieszyliśmy się do muzeum Pałacu Królewskiego i na jednym z takich rond pomyliliśmy drogę, to, aby wrócić na prawidłową, straciliśmy prawie godzinę wracając do tego samego miejsca, gdzie zbłądziliśmy. I wcale nie było mi do śmiechu. W Bangkoku godziny otwarcia i zamknięcia zabytków muzealnych są bezwzględnie przestrzegane i kwestia wejścia na czas jest bardzo ważna. W naszym przypadku zdołaliśmy zdążyć na wejście do pierwszego kręgu świątyni i obiektów pałacowych, ale nie wystarczyło już czasu na zwiedzenie wszystkiego. Uzbrojeni strażnicy, grzecznie, ale zdecydowanie pokazali na zegar oraz kamery telewizyjne, które z kolei ich kontrolowały i poprosili nas oraz innych spóźnionych turystów o opuszczenie muzeum.

Podczas mojego drugiego pobytu w tajskiej stolicy jechaliśmy na lotnisko nowo zbudowaną autostradą. Z braku miejsca zbudowano ją, jako drugie piętro starej autostrady. Podziwialiśmy więc widoki z wysokości, aż do momentu, kiedy „górną” autostrada się skończyła i połączyła, kilka kilometrów przed lotniskiem, z „dolną”, czyli starą autostradą. I o ile jazda na wysokościach przebiegała szybko i płynnie, to z chwilą połączenia obu dróg, zaczął się horror. Jazda w olbrzymim korku, samochód za samochodem, podczas, gdy czas biegł nieubłaganie. Na szczęście dla nas, towarzyszący nam pracownicy ambasady, znali ten problem i wyjechaliśmy dużo wcześniej niż nam się wydawało wskazane. Ale tym sposobem zdołaliśmy dotrzeć na czas i spokojnie się odprawić. W pamięci pozostał jednak obraz rzeki samochodów poruszających się jak przysłowiowa mucha w smole, trąbienie klaksonów, krzyki zdenerwowanych pasażerów i policjanci kierujący w maskach ruchem na skrzyżowaniach. Za chwilę byliśmy już jednak w powietrzu i fascynujący Bangkok pozostał daleko za nami.

## Rozdział XV

### Czarna Afryka

Marzeniem człowieka stają się niekiedy cele, których w normalnym życiu zawodowym nie sposób osiągnąć z uwagi na przebieg kariery czy specjalizację. Właśnie z tych względów nie widziałem siebie na placówce w Azji czy też w Afryce. Jedną rzeczą jest świadomość tego, a drugą marzenie, aby chociaż „liznąć” te kontynenty i postawić na nich stopę. Udało mi się to z Azją i dodatkowo z Australią, pozostawała więc do „zdobycia” Afryka. W owym czasie trasy podróży kurierskich były dwie. Jedna wiodła m.in. przez Kenię, Zimbabwe, Tanzanię i Republikę Południowej Afryki, druga obejmowała swoim zasięgiem Angolę, Kongo, Nigerię, Senegal i Wybrzeże Kości Słoniowej.

Po wielu staraniach i dzięki łutowi szczęścia, zostałem zakwalifikowany do podróży na wspomnianej drugiej trasie, jak zwykle z odpowiednim zestawem zadań. Podróż poprzedziły wizyty u lekarza i odpowiednie szczepienia: ospa, cholera, żółta febra, by zabezpieczyć się przed tymi chorobami występującymi w krajach przyszłej podróży.

Przed zanurzeniem się w Czarnej Afryce i podziwianiem jej wciąż naturalnego piękna, a jednocześnie zacofania cywilizacyjnego, wylądowaliśmy w Paryżu, skąd dopiero mieliśmy wylecieć do Luandy, stolicy Angoli. Znając już główne zabytki historyczne i muzea Paryża z poprzednich wizyt w tym



mieście postanowiłem, korzystając z wolnego czasu odwiedzić dzielnicę La Defense – najbardziej nowoczesną wizytówkę francuskiej stolicy. Chodząc po jej szerokich ulicach podziwiałem wspaniałą architekturę, godną XXI wieku i poszczególne budowle ze szkła i betonu, w tym słynne „okno” znane mi z widokówek otrzymanych od znajomych i z obawą myślałem o czekającej nas podróży w głąb Czarnego Lądu.

Wylot z paryskiego lotniska De Gaulle’a miał miejsce w nocy i po dziewięciu godzinach lotu non stop wylądowaliśmy w Luandzie. Dawna perła portugalskiej kolonii niczym jej nie przypominała. Zanedbane i zrujnowane domy, dziury w jezdniach, często brak oświetlenia i porządku zaprzeczały opowieściom o mieście z okresu panowania Portugalii, kiedy to Luanda była zaliczana do najpiękniejszych miast Afryki. Jeżdżąc po jej ulicach można było zobaczyć kilka dobrze utrzymanych pięknych gmachów i rezydencji zbudowanych w stylu kolonialnym, zajmowanych przez ówczesne władze i instytucje niepodległego już państwa. W kraju trwały nadal walki między wojskami rządowymi, a zbuntowanymi oddziałami partyzantki Jonasa Savimbi, przywódcy UNITA. O tych politycznych uwarunkowaniach i jednocześnie prozie codziennego życia w zrujnowanym wojną kraju opowiadał nam, ze swadą i humorem, szef placówki Andrzej Braiter, późniejszy ambasador Polski w tym kraju. Dzielnie sekundowała mu urocza żona, Katarzyna. Blondynka, elegancka i wielojęzyczna, była bardzo popularna w korpusie dyplomatycznym akredytowanym w stolicy Angoli. Właśnie dzięki dobrym stosunkom w ramach korpusu, polskim dyplomatom udawało się utrzymywać normalny poziom życia w tym kraju, gdzie brakowało nieraz podstawowych produktów żywnościowych. Dyplomaci z zachodnich krajów przywozili je z krajów sąsiednich, głównie z RPA. Często zdarzały się awarie elektryczności – także podczas naszego pobytu – i braki wody, co nie tworzyło dobrych warunków do normalnej, spokojnej pracy. Były jednak już o wiele lepsze, jak stwierdzali nasi dyplomaci, niż w czasach, kiedy w Luandzie toczyły się walki, a ambasada była ostrzeliwana, z racji sąsiedztwa siedziby państwowej telewizji, o kontrolę nad którą walczyły obydwie strony konfliktu. W pewnym momencie trwania wojny personel polskiej ambasady był nawet ewakuowany do Republiki Południowej Afryki. W okresie naszego pobytu, w lipcu 1994, trwały jeszcze walki prowadzone przez wojska legalnego rządu prezydenta Dos Santosa z oddziałami wiernymi szefowi UNITA, Jonasowi Savimbi, w różnych rejonach kraju, ale jednocześnie miały miejsce negocjacje między zwaśnionymi stronami pod auspicjami ONZ. Zakończono je w listopadzie 1994 roku, w stolicy Zambii, Lusace, kiedy to obie strony podpisały plan pokojowy, zgodnie z którym po zawieszeniu broni rządząca partia MPLA i UNITA miały

stworzyć nowy, wspólny rząd. Nad wprowadzeniem tego planu miało czuwać ONZ, które objęło Angolę mandatem Misji Weryfikacyjnej ONZ. Do utworzenia rządu pojednania narodowego doszło jednak dopiero w marcu 1996 roku. Prezydent Dos Santos pozostał nadal na urzędzie, a wiceprezydentem został mianowany Savimbi. Mimo tego, nie przeprowadzono planowanych wolnych i demokratycznych wyborów. Ich zasady zostały określone dopiero w lutym 1999 roku. Realny koniec walk politycznych i zbrojnych nastąpił po śmierci Jonasa Savimbi w 2002 roku, kiedy to nowi przywódcy UNITA podpisali pokojowe porozumienie z rządem, co umożliwiło normalizację życia w kraju i zapoczątkowało jego odbudowę i poprawę sytuacji społeczno-gospodarczej. Do Angoli powróciło wielu Portugalczyków mieszkających tam poprzednio, co dało kolejny impuls do rozwoju tego bogatego w surowce i kopaliny kraju. Ale to już całkiem inna, współczesna historia, którą można śledzić za pośrednictwem światowych mediów.

Kolejnym etapem podróży miało być Kongo noszące oficjalną nazwę Zair. Wraz z naszym gospodarzem, Andrzejem Braiterem, udaliśmy się skoro świt na lotnisko, aby oczekiwać na samolot z Kinszasy, którym mieliśmy dolecieć do celu. Budynek lotniska był jeszcze zamknięty, a wokół niego kłębił się tłum oczekujących podróżnych. Był to widok dość nietypowy, gdyż byli tam nie tylko mężczyźni, kobiety i dzieci, ale każdej rodzinie, obok walizek i toreb z odzieżą, towarzyszył cały sprzęt gospodarstwa domowego: garnki, patelnie, miski, wanienki itp. rzeczy. Dzięki karcie dyplomatycznej weszliśmy do budynku zamkniętego jeszcze lotniska i razem z przedstawicielem kongijskiej linii czekaliśmy na spóźniający się samolot. Gdy wreszcie przyleciał, jako pierwsi ustawiliśmy się do odprawy. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy przed nami stanął jakiś wojskowy w randze pułkownika i zaczął długo konferować z odprawiającym samolot urzędnikiem. Prawdziwe zdumienie nas ogarnęło, kiedy nagle zaczęto odprawiać osoby, które widzieliśmy przed wejściem na lotnisko. Okazało się, że pułkownik jest przedstawicielem Organizacji Jedności Afrykańskiej zapewniającej powrót emigrantów kongijskich do ojczyzny po latach pobytu w Angoli, gdzie schronili się przed wojną domową w Kongo. W zaistniałej sytuacji, weszliśmy na pokład samolotu jako ostatnie osoby. Na szczęście, samolot był duży i nie zabrakło miejsca tak dla nas, jak i dla wszystkich emigrantów z ich całym dobytkiem. Wśród hałasu, czynionego głównie przez dzieci, przyszła mi do głowy pewna myśl i refleksja: czyżby podobne niespodzianki miały nas spotkać jeszcze w tej podróży po Czarnym Łądzie? Przyszłe dni miały to potwierdzić.

Po trochę męczącym locie wylądowaliśmy w stolicy Zairu, Kinszasie. W przeszłości było to Królestwo Konga, później, jako kolonia, Kongo Belgijskie,

a po uzyskaniu niepodległości w 1960 roku – Demokratyczna Republika Konga. W wyniku walk wewnętrznych, podczas których zginął jeden z bohaterów walk wyzwoleniczych, Patryk Lumumba, w roku 1965 władzę zdobył gen. Mobutu. W 1971 roku zmienił nazwę kraju na Zair, a swoje nazwisko na Mobutu Sese Seko. Został obalony w 1997 roku i kraj odzyskał swoją starą nazwę, która nadal jest aktualna. Tak więc, znaleźliśmy się w samym środku Czarnej Afryki. To było widać zaraz po wyjściu z lotniska. Praktycznie nie można było dojrzeć białego człowieka na ulicy, a jeśli nawet, to tylko w samochodach poruszających się zazwyczaj dość szybko po stołecznych ulicach Kinszasy. Prawdopodobnie biali kierowcy tych samochodów postępowali tak, jak nasz opiekun, kierownik placówki, Bogusław Nowakowski (ambasador przebywał na urlopie w kraju), cały czas z krótkofalówką w ręku, meldujący o swoim położeniu i odbierający najnowsze wieści z placówki. W czasie przejazdu przez miasto wskazywał nam uzgodnione w ramach korpusu dyplomatycznego miejsce ewentualnej ewakuacji w razie wybuchu zamieszek w stolicy. Co prawda, nic na to nie wskazywało, ale udzieliło nam się uczucie zagrożenia, zwłaszcza kiedy zobaczyliśmy przed siedzibą placówki jej zbrojną ochronę. W tej sytuacji mogliśmy zapomnieć o swobodnym wyjściu na miasto i położeniu po nim. Zawsze towarzyszył nam ktoś z personelu ambasady i poruszaliśmy się tylko samochodem placówki.



Negocjacje przy zakupie pamiątek w Dakarze, stolicy Senegalu

Mając kilka godzin wolnych chcieliśmy pojechać na miejscowy bazar, aby kupić jakieś afrykańskie pamiątki. Można je było także nabyć w miejscowym muzeum etnograficznym, ale tego dnia było zamknięte, więc pojechalismy na lokalne targowisko. Tym razem, opiekunem i tłumaczem jednocześnie była Polka mieszkająca w Kongo i pracująca w naszej ambasadzie. Targowisko było w zasadzie normalne. Kilka rzędów długich stołów, na których piętrzyły się różne wyroby miejscowych rzemieślników czy artystów. Maski z drewna, włócznie i tarcze bojowe, skóry zwierząt i kamienie półszlachetne oddzielnie i w wisiorach, bransoletach itp. Chodząc między stołami widzieliśmy dużo wyrobów z kości słoniowej lub też ją przypominających. Były one oferowane przede wszystkim nam, ale wiedząc o zakazie ich wywozu i przywozu do Polski omijaliśmy te stoiska, co wywoływało niezadowolenie i złość sprzedawców. Coraz bardziej wzrastała ich agresywność, tym bardziej, że okazało się, że w tym czasie byliśmy jedynymi cudzoziemcami na targowisku. W tej sytuacji, postanowiliśmy zrezygnować z jakichkolwiek zakupów i czym prędzej wydostać się z bazaru. Okazało się, że nie było to takie łatwe. Mimo, że udało nam się wsiąść do samochodu, jednakże najbardziej agresywni sprzedawcy nie pozwalali zamknąć drzwi i nachalnie ładowali się ze swoimi towarami do środka wozu. Jedynym sposobem na to, aby się od nich uwolnić okazało się kupno, od blokującego drzwi, pamiątek, którymi były drewniane figurki zwierząt i w momencie chowania przez niego pieniędzy do kieszeni, zamknięcie drzwi samochodu i szybki odjazd. Dla mnie, znającego podobne targowiska latynoamerykańskie, pełne kolorów, uśmiechu i grzeczności sprzedawców, takie zachowanie było prawdziwym zaskoczeniem.

Innego rodzaju szokiem była próba naszego wyjazdu z Kinszasz następnego dnia. Po przyjeździe na lotnisko poinformowano nas, że samolot nigeryjskich linii lotniczych nie przyleci, gdyż samoloty tego kraju zostały uziemione z powodu strajku transportowców dostarczających paliwo. Ewentualny lot inną linią był możliwy dopiero w kolejny dzień. Wróciliśmy, więc do ambasady i zaczęliśmy zawiadamiać Centralę MSZ oraz zainteresowane placówki o zmianie terminu podróży. W celu zabezpieczenia i potwierdzenia wylotu, tego samego dnia po południu udaliśmy się wraz z kierownikiem placówki, Bogusławem Nowakowskim, który w kilka lat później wrócił do Konga, jako ambasador, do współpracującej z naszą placówką agencji podróży. Weszliśmy do biura agencji i ku naszemu zaskoczeniu ukazał się nam następujący widok. Wśród czarnych pracowników agencji przy jednym z biurk siedziała autentyczna blondynka. To, że nasz opiekun skierował do niej swoje kroki nie wywołało na nas specjalnego zdziwienia, jednakże, kiedy zwrócił się do niej po polsku i uzyskał odpowiedź w naszym rodzimym języku byliśmy

naprawdę zaskoczeni. Później dowiedzieliśmy się, że przyjechała do Konga z mężem, który studiował w Polsce i mimo późniejszego rozwodu, nie wróciła do kraju, gdyż znalazła interesującą pracę. Sympatyczna blondynka potwierdziła nasz wylot następnego dnia samolotem linii Air Afrique, ale jednocześnie zaproponowała sprawdzenie informacji o lotach miejscowych linii lotniczych, których przedstawiciel urzędował w sąsiednim lokalu. Udaliśmy się, więc do niego, a ten z rozbijającym uśmiechem poinformował nas, że jeżeli chcemy lecieć do Nigerii to ich samolot będzie odlatywał za dwie godziny i gdy się pospieszymy, to mamy szansę nim wylecieć. Po usłyszeniu tego dostaliśmy szaleńczego przyspieszenia w działaniu. Nastąpił szybki powrót do ambasady, ponowne pakowanie, i jeszcze szybszy rajd na lotnisko. Faktycznie samolot lokalnych linii stał na płycie lotniska. Co prawda, wspomniane dwie godziny zamieniły się w cztery, ale wylecieliśmy prawie zgodnie z wyznaczonym wcześniej programem, bo tylko z kilkugodzinnym opóźnieniem. Miałem nadzieję, że „szokowe” przypadki się skończyły i dalsza podróż będzie przebiegać planowo i bez żadnych niespodzianek. Oczywiście, co było do przewidzenia, nie miałem racji.

Lagos, ówczesna stolica Nigerii (aktualnie nową stolicą jest Abudża, zaprojektowana i zbudowana od podstaw) przywitała nas dziwną ciszą i pustkami na autostradzie prowadzącej z lotniska do miasta. Kolega ze studiów, Jan Wieliński, pełniący obowiązki kierownika placówki, gdyż kolejny ambasador był na urlopie w kraju, wyjaśnił nam, że jest to spowodowane strajkiem dostawców ropy i benzyny do stacji benzynowych i brakiem paliwa dla prywatnych samochodów. Dzięki temu jazda do Ambasady zajęła nam tylko pół godziny, a nie, jak nam powiedziano, ok. 3 godzin w normalnych czasach. O problemach związanych z tym strajkiem mogliśmy się sami przekonać już w Kinszasie, kiedy musieliśmy zmieniać nasz przylot nigeryjskimi liniami na samolot zairskich linii lotniczych. Okazało się jednak, że strajk dotyczył również bezpośrednio naszą placówkę w Lagos. Otóż budynek ambasady i rezydencja ambasadora znajdująca się również na posesji placówki funkcjonowała dzięki działającym na ropę agregatom dostarczającym prąd i zasilającym urządzenia klimatyzacyjne. Tymczasem zapas ropy praktycznie był na wykończeniu. Jako szef ambasady Jan Wieliński (jeden z najlepszych dyplomatów znających Afrykę – był kilkakrotnie na placówkach w różnych krajach afrykańskich, w tym jako ambasador w Zimbabwie) zaznajomił nas z przygotowanym przez niego planem zaopatrzenia zbiorników ambasady w nowy transport ropy, tej samej nocy. Dzięki znajomościom w wielu środowiskach został załatwiony nieoficjalnie transport olbrzymiej cysterny ropy, która eskortowana przez miejscowych strażników z ochrony ambasady miała, pod osłoną nocy wjechać

na teren placówki i napełnić ropą jej zbiorniki. Zaoferowaliśmy z miejsca swoją pomoc, wiedząc jak żywotne ma to znaczenie dla wszystkich pracowników ambasady mieszkających w jej budynku i dla funkcjonowania samej placówki.

Pierwsza faza operacji przebiegła bez zarzutu. Olbrzymia, długa na 30 metrów cysterna z ochroną stojącą po obu stronach szoferki, z groźnie wyglądającymi karabinami, pamiętającymi chyba okres I wojny światowej, nadjechała po zapadnięciu zmroku. I wtedy zaczęły się problemy. Z uwagi na swoją szerokość cysterna dosłownie o milimetry przejechała przez bramę wjazdową ambasady i stanęła. Ze względu na długość nie mogła jechać dalej, nie mówiąc już o wykonaniu skrętu w stronę zbiorników, które były usytuowane w głębi ogrodu.

Co robić? Trzeba było przepompować ropę węzami z cysterny do zbiorników. Ale skąd je wziąć? Na szczęście szef operacji ponownie skorzystał ze swoich znajomości i wezwał na pomoc... straż pożarną. W zamian za udostępnienie części ładunku cysterny dla potrzeb straży, zostały rozwinięte węże i ropa powoli zaczęła napełniać zbiorniki. Pojawił się jednak inny problem. Zamówienie było zlecone na mniejszą cysternę i mniejszą ilość ropy, tymczasem w olbrzymiej cysternie stojącej na podwórzu ambasady po napełnieniu



Autor z młodymi przedstawicielkami  
jednego z plemion w Nigerii

zbiorników i beczek dla straży nadal pozostawało sporo ton ropy. I kolejny raz kierownik placówki stanął na wysokości zadania. Po jego telefonie do znajomego Polaka, dyrektora jednej z zagranicznych firm motoryzacyjnych, nadjechały dwie furgonetki z beczkami, do których przelano pozostałą ropę. Ze względów bezpieczeństwa, kierowca cysterny nie mógł wrócić z ładunkiem, gdyż mógł być narażony na napad ze strony licznych band grasujących w okolicy, gdyż ropa była najbardziej poszukiwanym towarem w dniach strajku, ze względu na jej brak na stacjach benzynowych. Z radości, że operacja się udała, kierowca cysterny bez specjalnej już uwagi wyjeżdżając na ulicę... uszkodził bramę wjazdową ambasady. Ale jak się mówi, „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”.

Po nieprzespanej i pełnej napięcia nocy postanowiliśmy się nieco odprężyć i z zadowoleniem przyjęliśmy zaproszenie kierownika placówki do spędzenia kilku godzin na plaży morskiej położonej niedaleko stolicy, tym bardziej, że był to dzień wolny od pracy. Odpoczynek i kąpiel w morzu były przerywane nieustannym potokiem plażowych sprzedawców oferujących najprzeróżniejsze towary, poczynając od piwa i coca coli, poprzez ręczniki, koszulki, klapki



Katedra św. Pawła w Abidżanie  
– Wybrzeże Kości Słoniowej  
– konsekrowana przez  
papieża Jana Pawła II

aż po wyroby jubilerskie i obrazy. Więc, odwrotnie niż w Zairze, nie myśmy chodzili po bazarze, ale bazar przychodził do nas. Dzięki słońcu i kąpeli w morzu faktycznie odpoczęliśmy po nocnej operacji „zaopatrzenie w ropę”, nie wiedząc nawet jak nam się to przyda podczas kolejnego etapu podróży.

Zgodnie z programem lotów mieliśmy lecieć nigeryjskimi liniami do Abidżanu, stolicy Wybrzeża Kości Słoniowej, podobnie jak z Kinszasy do Lagos, jednakże samoloty tej linii stały na ziemi z powodu braku paliwa, bowiem strajk dostarczycieli paliw trwał nadal. Administracyjnemu placówki udało się załatwić zmianę rezerwacji na inną, latającą linię i po pożegnaniu się z innymi pracownikami ambasady, udaliśmy się wraz z nim na lotnisko. Po przyjeździe okazało się, że, mimo rezerwacji, nasze miejsca już zostały zajęte. Dopiero po interwencji i pokazaniu paszportów dyplomatycznych zostaliśmy przesunięci do pierwszej klasy, w której na szczęście, były wolne miejsca. Po wejściu do samolotu i przejściu przez prawie całą jego długość, aby dostać się do swoich miejsc, doceniliśmy wartość tej zmiany. Samolot ze swoimi pasażerami przypominał bardziej wesoły autobus i namiastkę kolorowej, afrykańskiej ulicy. Wysokie Murzynki, ubrane w długie przewiewne i kolorowe szaty z mnóstwem bagaży na półkach i na kolanach, głośno rozmawiały, śmiały się i zachowywały się tak jakby naprawdę wsiadły do miejskiego autobusu lub tramwaju. Po zajęciu miejsc w pierwszej klasie, już w relatywnie spokojniejszej atmosferze, rzuciliśmy okiem na nowe bilety i dotarła do nas kolejna niespodzianka losu. Zamiast lecieć niecałe dwie godziny bezpośrednio do Abidżanu musieliśmy jeszcze lądować po drodze trzy razy. Pierwszy raz w stolicy Nigru, Niamey, następnie w noszącej piękną nazwę stolicy Burkina Faso – Ouagadougou i w stolicy Mali, Bamako. Podróż rzeczywiście przypominała jazdę tramwajem i trwała ponad pięć godzin. Na każdym z tych przystanków część ludzi wysiadała, wsiadali nowi z wielkimi tobołami i wszyscy byli bardzo głośni. Siedzieliśmy z przodu samolotu, dzięki czemu docierał do nas tylko stłumiony hałas, śmiech i rozmowy pasażerów z klasy ekonomicznej, którą mieliśmy planowo lecieć. Nie wiem jak byśmy wytrzymali ten hałas przez tyle czasu. Patrząc przez okna na wysiadających i wsiadających pasażerów w poszczególnych państwach, zauważyliśmy różnice zarówno w strojach, zwłaszcza u kobiet, jak również we wzroście i odcieniu skóry. Zasadniczą rolę odgrywała w tym przypadku przynależność do różnych plemion zamieszkujących ten obszar Afryki. Podobna rzecz miała się z językami używanymi przez reprezentantów tych plemion, którzy przez chwilę stali się naszymi współtowarzyszami podróży. Postrzegając tę różnorodność, nie byliśmy jednak zmuszeni do zgłębiania detali, tylko odnotowywaliśmy je w pamięci i wymienialiśmy komentarze na ten temat.



Po tym pełnym wrażenia locie wylądowaliśmy w końcu w Abidżanie, byłej stolicy Wybrzeża Kości Słoniowej. W mieście tym znajdowała się polska placówka dyplomatyczna kierowana przez przedstawiciela Ministerstwa Gospodarki, zresztą jedyne, miłego i sympatycznego, przysłanego z Polski. Sądzę, że, zwłaszcza młodemu czytelnikowi, należy się kilka słów wyjaśnienia. System placówek „czysto” handlowych został przejęty z PRL-u. W krajach, gdzie Polska nie miała priorytetów politycznych, ale z danym krajem utrzymywała dobre stosunki ekonomiczne i handlowe ustanawiane były polskie przedstawicielstwa dyplomatyczne pod hasłem „Ambasada”, ale w całości personel takiej placówki wywodził się z szeregów pracowników Ministerstwa Gospodarki lub central handlu zagranicznego podległych temu ministerstwu. Merytorycznie i finansowo taka placówka była rozliczana także przez Ministerstwo Gospodarki. Na jego wniosek Ministerstwo Spraw Zagranicznych wystawiało jedynie paszporty dyplomatyczne lub służbowe dla personelu tych placówek, gdyż to ostatnie leżało w wyłącznej gestii MSZ. W okresie PRL-u takich placówek było bardzo dużo, a w innych, gdzie personel zależny był od obydwu ministerstw, pracownicy z pionu handlowego stanowili zdecydowaną większość w stosunku do dyplomatów z MSZ, jak np. w Konsulacie Generalnym w Sao Paulo w okresie mojego tam pobytu. W latach dziewięćdziesiątych i następnych, z powodu zmian zaistniałych w Polsce, struktura ta coraz bardziej zanikała, aż praktycznie do całkowitego zniknięcia, m.in. ambasada w kraju Wybrzeża Kości Słoniowej, podobnie zresztą jak w Senegalu, zostały zlikwidowane. Wielu z pracowników takich placówek przeszło do pracy w handlu zagranicznym, ale już w przedsiębiorstwach prywatnych, część została przyjęta do MSZ. Jednym z przykładów tej ostatniej opcji był ówczesny kierownik placówki w Abidżanie, Piotr Myśliwiec, który już w bieżącym stuleciu był m.in. Ambasadorem RP w Angoli.

Pobyt w Abidżanie upłynął spokojnie, bez żadnych przykrych niespodzianek. Obejrzelśmy miasto założone przez Francuzów w latach 80. XIX wieku, które pełniło przez pierwszą połowę XX wieku, a właściwie do roku 1960, tj. do chwili uzyskania niepodległości, funkcję centrum administracyjnego francuskiej kolonii o tej samej nazwie. W latach 1963 – 1983 miasto było stolicą kraju. Mimo że w 1983 roku przeniesiono stolicę Wybrzeża Kości Słoniowej do miasta Jamasukro, Abidżan nadal pozostał największym centrum administracyjnym, gospodarczym, kulturalnym i naukowym kraju. Tutaj też miał swoją siedzibę garnizon francuskich wojsk, co wpływało niewątpliwie na poziom bezpieczeństwa w mieście. Podczas tego krótkiego pobytu w Abidżanie, mającym nowoczesną architekturę, spotkaliśmy

niespodziewanie absolwentów polskich uczelni, którzy, dzięki wykształceniu w Polsce, zajmowali dość poważne stanowiska w życiu politycznym i społecznym kraju. Zwiedziliśmy także słynną katedrę św. Pawła z jej charakterystyczną sylwetką przypominającą słonia w wydaniu futurystycznym, konsekrowaną przez papieża Jana Pawła II w czasie jego pielgrzymki do tego kraju w sierpniu 1985 roku.

Pożegnaliśmy gościnnie Abidżan późnym wieczorem i siedząc już w samolocie lecącym do Dakaru, ostatniego etapu naszej podróży kurierskiej, byliśmy prawie pewni, że niemiłe, dotychczasowe przygody pozostały definitywnie za nami.

Przylot, jak zwykle opóźniony, nastąpił około pierwszej w nocy. Trochę nas zdziwiło, że nikt na nas nie czeka w strefie zastrzeżonej lotniska, ale mając na uwadze, że nie wszędzie władze lotniska zezwalają na wejście do niej, zdecydowaliśmy się przejść przez kontrolę graniczną i wraz z bagażami wyjść do publicznej strefy lotniska. I tu nastąpiła przykra niespodzianka. Nie było nikogo z polskiej ambasady, a właściwie jej jedynego przedstawiciela, bo podobnie jak w Abidżanie, obie placówki miały jednoosobową obsadę z kraju. Zamiast polskiego dyplomaty zaczęły się wyciągać do nas i do naszego bagażu ręce jakiś nieznanych osobników oferujących swoją pomoc przy odwiezieniu nas do samochodu... ale jakiego? Zdecydowanymi ruchami odtrąciliśmy tę pomoc i skierowaliśmy swoje wózki bagażowe do widocznego w jednym kącie hali lotniska stanowiska lokalnej policji. Zdeprymowało to nieco pseudoochotników i dało nam krótki moment swobody, aby zastanowić się nad zaistniałą sytuacją. Poprosiliśmy policję o zezwolenie na wykorzystanie ich telefonu, (gdyż komórkowych telefonów jeszcze wtedy nie było), aby zadzwonić do ambasady. Cisza w słuchawce. Ponowna próba i to samo. Wracam do kolegi stojącego przed komisariatem z bagażami i widzę, że znowu odpiera ataki natrętów „od pomocy”. Przeanalizowaliśmy zaistniałą sytuację. Być może, naszemu gospodarzowi w drodze na lotnisko coś się przytrafiło (awaria samochodu czy też wypadek?) i dlatego nie ma go ani przy nas, ani w siedzibie ambasady.

Mijają kolejne minuty. Natarczywość „pomocników” wzrasta. Oferują zawiezenie nas swoimi samochodami do naszej placówki. Akurat! Już widzimy oczyma wyobraźni siebie w buszu bez bagażu i nie wiadomo czy z życiem. Ponownie skorzystałem z policyjnego telefonu. Cisza. Na wszelki wypadek zadzwoniłem do naszej placówki w Abidżanie i przedstawiłem sytuację, w jakiej znaleźliśmy się po przylocie do Dakaru oraz prosząc o próbę i dodzwonienie się do ambasady w Dakarze. Może ktoś się pojawi?

Sytuacja stawała się coraz bardziej nieciekawa. Staliśmy z dwoma wózkami bagaży, otoczeni przez osobników oferujących swoją pomoc i powstrzymywanych jedynie widokiem policjantów za szybą, przy której tkwiliśmy. Ale jak długo?

Rozmawialiśmy między sobą zastanawiając się na głos, co do dalszego postępowania, gdy nagle usłyszeliśmy pytanie po polsku: „Czy panowie przyjechali z Abidżanu?”. Zadał je przechodzący obok wysoki blondyn i po naszym potwierdzeniu, przedstawił się: „Janusz Mrowiec, kierownik polskiej ambasady w Dakarze”. Odetchnęliśmy z ulgą. Wszyscy razem skierowaliśmy się z bagażami do samochodu stojącego na parkingu przed budynkiem lotniska, ku widocznemu niezadowoleniu naszych potencjalnych „pomagierów”.

Już w czasie jazdy do ambasady wyjaśniliśmy sobie okoliczności przeżytej sytuacji. Otóż, nasz gospodarz, jako dyplomata, siedział w salonie VIP i obserwował podawane informacje o przylotach. Nasz samolot był opóźniony, więc spokojnie czekał na nasz przylot. Informacja o przylocie nie ulegała zmianie, mimo, że samolot już dawno wylądował, ale tej wiadomości nie podano na ekranach. Była przecież już trzecia w nocy i wszyscy reagowali w zwolnionym tempie. W sali VIP nie działała klimatyzacja i nie było żadnego bufetu (!) i gdy naszemu gospodarzowi zaczęło dokuczać pragnienie, musiał wyjść do ogólnej hali lotniska, aby kupić w funkcjonującym tam bufecie coś do picia. Po drodze zauważył nas, rozmawiających po polsku, w nieciekawym towarzystwie i domyślił się, że jesteśmy tymi, na których czekał.

Dalej już było dobrze i sympatycznie. W nagrodę za stres przeżyty przez nas na lotnisku zostaliśmy zaproszeni przez naszego gospodarza do klubu miejscowej arystokracji położonego nad morzem, gdzie leżąc na słonecznej plaży i kąpiąc się w błękitnym oceanie staraliśmy się wrócić do psychicznej równowagi przed powrotem do kraju. Sądzę, że w dużej mierze nam się to udało.

Powrót do Europy prowadził do Rzymu, a kolejnym portem lotniczym było Okęcie w Warszawie. W ten sposób zakończona została moja profesjonalna i prywatna przygoda z Czarną Afryką.

## Rozdział XVI

# Seulskie obrazki, trzęsienie ziemi w Japonii i pekińska grypa

Tak jak wspomniałem w Bangkoku byłem dwukrotnie. Raz wracając z Australii do Warszawy via Zurich, drugi raz rozpoczynając podróż do Korei, Japonii i Chin. W tym drugim przypadku pierwszym etapem była Korea Południowa, a ściśle rzecz biorąc jej stolica, Seul. Podobno, jak mówią Azjaci, „biali” ludzie są dla nich wszyscy jednakowi, tak dla mnie, na pierwszy rzut oka, wszyscy Koreańczycy byli tacy sami. Niewysokiego wzrostu, zwłaszcza starsze pokolenie, mieli charakterystyczne czarne włosy. Takie właśnie morze czarnych głów widziałem w Centrum Olimpijskim w Seulu, gdzie odbyły się Igrzyska Olimpijskie w 1988 roku, kiedy przed jednym z obiektów olimpijskich, zamienionym na olbrzymią halę widowiskową, odbywał się koncert sławnej, miejscowej grupy rockowej. Kończyła się właśnie pierwsza część, a oczekujący tłum czekał na wejście na kolejny występ młodzieżowych idoli. Stojąc na podwyższeniu, miałem przed sobą widok fascynujący, który rzeczywiście przypominał falujące, czarne morze.

Seul będąc stolicą kraju jest też największym miastem Korei i centrum życia politycznego, gospodarczego i finansowego. Ma zachowane centrum historyczne z pałacami królewskimi dynastii Joseon, liczne świątynie i sanktuaria. Rzeka Han, która przepływa przez miasto, dzieli je na dwie części,

historyczną i nowoczesną. Ponadto leżąca w środku rzeki wyspa Yeouido zabudowana jest wysokimi biurowcami i z daleka przypomina nowojorski Manhattan.

Seul jest również wielkim ośrodkiem sportowym. Stadion Olimpijski może pomieścić 70 tysięcy osób, a Park Olimpijski, z licznymi obiektami dla różnych dyscyplin sportu, robi na zwiedzających olbrzymie wrażenie, gdyż obiekty te, jak zauważyliśmy, są wykorzystywane przez tysiące ludzi uprawiających sport lub uczestniczących w innych imprezach, takich jak obserwowany przez nas koncert. Dzięki tej bogatej infrastrukturze, Seul bardzo często gości wielkie międzynarodowe imprezy, jak np. wspomnianą olimpiadę w 1988 roku czy Igrzyska Azjatyckie w 1986, a w okresie późniejszym Mistrzostwa Świata w Piłce Nożnej organizowane wspólnie z Japonią w 2002 roku. W parkach, niezależnie od, krytych pomieszczeń klubowych, można było zaobserwować grupki młodzieży ćwiczących narodowy sport koreański, tj. taekwondo. To moje zainteresowanie sportowym obliczem koreańskiej stolicy wynikało, m.in. z chęci spełnienia prośby syna, któremu obiecałem zdjęcia obiektów olimpijskich. Brak czasu, nie pozwolił zapoznać się bliżej z zabytkami historycznymi Seulu, które oglądaliśmy przeważnie z okien samochodu. Dotyczyło to także nowoczesnej dzielnicy biznesowej z budynkiem Światowego Centrum Handlu o wysokości 228 m wysokości. Jednakże, nie omieszkaliśmy, zaliczyć spaceru po słynnym deptaku seulskim Jongno, nazywanym drogą dzwonów. Znajduje się bowiem na jego trasie dzwon, który obwieszczał w dawnych czasach, godziny otwierania i zamykania bram miejskich, z których kilka zachowało się do dzisiaj. Dla podtrzymania tradycji dzwon bije obecnie tylko raz w ciągu doby. Podczas jazdy po mieście, a jeździliśmy dużo, aby zobaczyć jak najwięcej, zwróciliśmy uwagę na bardzo gęstą zabudowę mieszkalną, szczególnie w dzielnicach położonych dalej od reprezentacyjnych obiektów czy szerokich arterii komunikacyjnych łączących poszczególne części miasta. Seul należy do najgęściej zaludnionych miast świata, gdyż na 1 km<sup>2</sup> przypada średnio ok. 15 tysięcy ludzi. Z ciekawości, wjechaliśmy w jednej z dzielnic, niedaleko naszej placówki, w jej wąskie uliczki i ze zdumieniem patrzyliśmy na niskie, parterowe domki stojące praktycznie obok siebie i rozdzielone tylko parkanem. Zgodnie z naszymi przepisami budowlanymi, mowy by nie było o tego typu zabudowie, gdyż żadne odległości domu od domu nie były zachowane. Jak nam wyjaśniono, wynika to z bardzo wysokiej ceny gruntów w stolicy, do której ciągle emigrują przybysze z prowincji, szukając pracy i lepszych warunków życia. Jednym ze sposobów zarabiania na inwestycjach mieszkaniowych przez bogatych Koreańczyków jest wynajem domów lub mieszkań cudzoziemcom lub zagranicznym firmom. Za wynajem muszą



Japonka w tradycyjnym stroju na tokijskiej ulicy

oni opłacić czynsz co najmniej za dwa lata z góry. Te właśnie pieniądze są wykorzystywane do budowy kolejnych domów. Cóż, co kraj to obyczaj.

I jeszcze jedna ciekawostka. Kolega chciał zrobić drobne zakupy odzieżowe. Kiedy nasi uczynni koledzy z ambasady dowiedzieli się o tym, zaoferowali się nas zawieść na jeden z bazarów. W przewodniku o Seulu czytaliśmy o bazarach mieszczących się niedaleko murów miejskich, toteż ze zdziwieniem zauważyliśmy, że w drodze na ów bazar oddaliliśmy się dość daleko od centrum. Wyjaśniono nam, że jechaliśmy się na bazar leżący niedaleko amerykańskiej bazy wojskowej, gdyż tylko tam mogliśmy kupić rzeczy o wymiarach pasujących na Europejczyka lub Amerykanina. Wynikało to z faktu, że dzięki istnieniu bazy, miejscowi rzemieślnicy nauczyli się szyc odzież dla służących tam wojskowych, zgodnie z ich wymiarami, które różnią się od wymiarów azjatyckiej ludności z ich typowymi krótkimi nogami i rękami, nie mówiąc już o wzroście. Korzystając z okazji kupiłem parę butów sportowych marki i produkcji koreańskiej. Zdziwiłem się, że są one droższe niż podobne marki „Adidas” czy „Nike” też produkowane przez miejscowy przemysł. Było to, jak wytłumaczono, przekonanie o wyższości własnej marki nad produkcją na licencji zagranicznych marek, światowej renomy. Wróciliśmy do hotelu z zakupami, aby spokojnie się spakować i przygotować do lotu następnego dnia do Tokio. Włączyliśmy telewizor i nagle, ku naszemu zaskoczeniu, zaczęliśmy oglądać niesamowite sceny zniszczeń po tragicznym trzęsieniu ziemi w Japonii, na wyspie Honsiu, a konkretnie w mieście Kobe. Półtoramilionowe miasto w ciągu 20 sekund przeżyło wstrząs o sile 7,2 stopnia w skali Richtera. Patrzyliśmy ze zdumieniem na sceny transmitowane na żywo przez stacje telewizyjne. Walące się domy, wiadukty przerwane i prowadzące do nikąd ze stojącymi na nich jeszcze samochodami i wszędzie ludzie usiłujący ratować innych spod ruin. Zapowiadano również możliwość wystąpienia kolejnych wstrząsów, nie tylko w rejonie Kobe, ale także w okolicach Tokio. Skontaktowaliśmy się z ambasadą i zapytaliśmy, czy nasz jutrzejszy wylot do japońskiej stolicy, w zaistniałych okolicznościach, jest możliwy. W oczekiwaniu na odpowiedź, nadal siedzieliśmy przed szklanym ekranem hotelowego telewizora oglądając wstrząsające widoki z Kobe. Jak się później okazało trzęsienie ziemi w Kobe, w dniu 17 stycznia 1995 roku, było jednym z największych w Japonii w XX wieku. Zginęło w nim bezpośrednio ok. 6 tysięcy osób, wielokrotnie więcej było rannych, a miasto wielkości Warszawy zostało obrócone w gruzy. Prawie 200 tysięcy budynków zostało zniszczonych lub uszkodzonych, zawaliły się mosty i wiadukty, a wskutek uszkodzenia sieci gazowej wybuchły pożary, które dokonały dalszych zniszczeń w strukturze miejskiej. Jak obliczono straty materialne przekroczyły kwotę 100 miliardów dolarów, co było najbardziej

kosztowną klęskę żywiołową w historii jednego kraju. Głośną również sprawą stała się pomoc miejscowej mafii Yamaguchi-Gumi dla poszkodowanych mieszkańców miasta. Mafia organizowała bezpłatne posiłki i udzielała pomocy finansowej najbardziej potrzebującym. Dzięki pomocy rządu i społeczeństwa japońskiego oraz pomocy międzynarodowej, Kobe zostało w pełni odbudowane przy wykorzystaniu najnowocześniejszej, antysejsmicznej technologii, eliminującej błędy poprzedniej zabudowy miasta.

Dźwięk telefonu przerwał nasze rozmyślenia i wymianę uwag na temat oglądanych obrazów. Po porozumieniu się z naszą ambasadą w Japonii podjęto decyzję, że polecimy zgodnie z planem, czyli następnego dnia rano. O śnie raczej mogliśmy zapomnieć, było to drzemanie na spakowanych walizkach w oczekiwaniu na przyjazd samochodu, który miał nas odwieźć na lotnisko. Przyjechał po nas konsul, który po drodze nas uspakajał, że zgodnie z ostatnimi informacjami z Japonii, nie ma obaw co do ponownego trzęsienia, zwłaszcza w okolicach japońskiej stolicy. Wchodząc na lotnisko usłyszeliśmy nagle słowa po polsku wypowiedane przez mężczyznę ubranego w mundur kapitana koreańskiej linii lotniczej: „Dzień dobry panie konsulu” i odpowiedź naszego konsula: „Dzień dobry kapitanie, co słyhać?”. „Nieciekawie, lecę do Kobe, a tam podobno jest zrujnowane lotnisko. Oby można było wylądować”. Tym razem wszyscy mu odpowiedzieliśmy „Powodzenia, kapitanie!” Był to polski pilot pracujący w Korei. Jak widać, nasi są wszędzie. Nastąpiło krótkie pożegnanie z konsulem i wsiedliśmy do samolotu lecącego do Tokio.

Na lotnisku w japońskiej stolicy oczekiwali nas pracownicy naszej placówki dyplomatycznej, z którymi pojechaliśmy do siedziby ambasady, słuchając po drodze najnowszych informacji o skutkach trzęsienia i sytuacji w Kobe oraz o prognozach na najbliższe dni w tamtym rejonie oraz w okolicach Tokio. Mimo uspokajających informacji, po przyjeździe do budynku placówki zauważyliśmy pewną nerwowość i bieganinę pracowników urzędu. Zapytani o przyczynę, wyjaśnili, że zawieruszyło się gdzieś na terenie ambasady kilka kasków budowlanych, które formalnie mieli na stanie posiadania wszyscy pracownicy. Zgodnie ze statystykami, najczęściej urazów głowy podczas trzęsienia ziemi powodują spadające z góry przedmioty, jak cegły, gruz czy belki stropowe, stąd obowiązek natychmiastowego używania kasków ochronnych w momencie alarmu. Na szczęście, kaski się znalazły, prognozy również były optymistyczne, co wpłynęło na uspokojenie i poprawę atmosfery.

Dowiedziałem się, że w Kobe przebywał prof. Józef Stompel prowadzący tam zajęcia muzyki fortepianowej, który informował na bieżąco ambasadę i polskie media o sytuacji w Kobe i losie przebywających tam obywateli polskich. Jego radiowych korespondencji z Kobe słuchałem jeszcze po powrocie



do kraju. Skojarzyłem osobę profesora, którego poznałem w Buenos Aires, kiedy gościł tam na zaproszenie argentyńskiego Towarzystwa im. F. Chopina i prowadził kursy doskonalenia muzycznego dla młodych adeptów fortepianu. Poznałem więc nową osobowość profesora, który w doskonały sposób, ze znakomitego muzyka przeistoczył się w dziennikarza.

Nie trudno zgadnąć, że nasz krótki, co prawda pobyt w Tokio, przebiegał w cieniu tragedii w Kobe i przypominaniu innych podobnych katastrof, szczególnie zaś trzęsienia ziemi, o sile 8,3 w skali Richtera, które nawiedziło Tokio i Jokohamę dnia 1 września 1923 roku, powodując śmierć ponad 140 tysięcy osób.

Mimo złożonej i nerwowej sytuacji, nasi koledzy z placówki postarali się nam pokazać choć trochę uroków japońskiej stolicy, poczynając od niektórych miejsc ogólnie dostępnych, zwiedzanych przez Prezydenta RP Lecha Wałęsę, który miesiąc wcześniej w grudniu 1994 roku składał oficjalną wizytę w Japonii, m.in. park Ueno i Sanktuarium Meiji – świątynię *shinto*, gdzie znajdują się prochy cesarza Meiji uznawane za narodowe relikwie, aż po nocny widok wiszącego Tęczowego Mostu z kolorowymi światłami na linach konstrukcyjnych i krótką eskapadę do sławnej dzielnicy Ginza. Zdumiała mnie, z jednej strony, ogromna ilość ludzi chodzących po ulicach, z drugiej, same ulice wijące się na różnych poziomach i przecinające się ze sobą. Tokio ma bardzo dobrze rozwinięty system miejskich dróg ekspresowych, jak i szybkiej kolei miejskiej, stąd też na przybyśzu z zewnątrz sprawia ono wrażenie wielkiej gmatwaniny i chaosu, ale wbrew temu jest to wszystko bardzo uporządkowane. Nie korzystałem z linii tokijskiego metra, toteż nie mogłem na żywo oglądać tłumów pasażerów upychanych do wagonów przez specjalnych „upychaczy”, znanych z relacji telewizyjnych. Z kolei dzielnica handlowa zadziwiła mnie feerią światel na ulicach i w wielkich galeriach handlowych oraz przetaczającym się w środku i na zewnątrz tłumem ludzi, głównie młodzieży, podziwiającej najnowsze produkty elektroniki czy przemysłu samochodowego. Jak nam powiedziano stosunkowo najtańszym towarem na rynku wewnętrznym są samochody, jednakże każdy nabywca przed zakupem musi okazać zaświadczenie, że ma miejsce na jego parkowanie, a to ze względu na zagęszczenie zabudowy miejskiej. Również najnowsze wyroby, szczególnie z elektroniki, trafiają w pierwszym rzędzie na rynek japoński, a po ich zaakceptowaniu przez rodzimych konsumentów są dopiero eksportowane do innych krajów.

Mimo że Tokio szczyci się historią sięgającą XII wieku, to największy rozwój miasto przeżyło w XIX wieku, szczególnie w drugiej jego połowie, kiedy po wielkim pożarze śródmieścia w 1872 roku, rozpoczęto budowę



Wieczór w tokijskiej dzielnicy Ginza

nowoczesnej stolicy na wzór zachodni. Powstał wówczas m.in. pierwszy park miejski Ueno, stanowiący kompleks publicznej zieleni miejskiej, w którym były, organizowane wystawy przemysłowe, zlokalizowano w nim także tokijskie Muzeum Narodowe. Do miasta doprowadzono linię kolejową łączącą stolicę z Jokokamą, a w samym mieście uruchomiono pierwszą linię tramwaju konnego. Rozpoczęto także budowę dzielnicy rządowej wokół Pałacu Cesarzowskiego. Ten gwałtowny rozwój miasta, kontynuowany w pierwszych dekadach XX wieku, przerwany został przez tragiczne trzęsienie ziemi w 1923 roku. Niezależnie od olbrzymich strat ludzkich, zniszczeniu uległo prawie dwie trzecie obszaru Tokio w wyniku samego trzęsienia, jak i na skutek powstałych z jego przyczyny pożarów. Rozpoczęto więc kolejne odbudowywanie japońskiej stolicy, ale już według nowoczesnych wzorów z szerokimi arteriami komunikacyjnymi, gmachami użyteczności publicznej, terenami zielonymi, zachowując jednak, tam gdzie to było możliwe, pozostałości z przeszłości.

Budowa, a właściwie modernizacja Tokio, jest procesem ciągłym i miasto stale zmienia swoje oblicze. Ponieważ w ostatnich latach XX wieku i na początku obecnego stulecia dzieje się to wręcz w niebywałym tempie, zmiany infrastruktury, architektury i wzrost liczby ludności doprowadziły Tokio do pozycji jednego z największych miast świata. Miasto ze względu na migrację wewnętrzną ciągle rośnie i rozszerza granice aglomeracji. Jednakże, z uwagi na swoje usytuowanie geograficzne, znajdujące się w strefie sejsmicznej i dotychczasową tragiczną historię trzęsień ziemi nadal w jego mieszkańcach tkwi wielka obawa przed kolejnym kataklizmem, co zresztą przewidują naukowcy, i ponownym zniszczeniem miasta. Obawa ta była wyczuwalna w rozmowach także podczas naszego pobytu. My sami, choć wielce żałowaliśmy, że nie możemy być dłużej w tym fascynującym kraju i poznać go lepiej, to jednak z pewnym westchnieniem ulgi opuszczaliśmy Kraj Kwitnącej Wiśni.

Kolejny etap podróży wiódł nas do jednej z najstarszych cywilizacji świata, czyli Chin i ich stolicy, Pekinu. Pierwsze spostrzeżenia podczas jazdy z lotniska do ambasady dotyczyły przestronnych, szerokich alei i ulic wypełnionych małą ilością samochodów, a wielką rowerzystów (obecnie te proporcje zdecydowanie się zmieniły). Zgodnie z planem podróży, miałem spędzić w Pekinie kilka dni, gdyż w międzyczasie, mój towarzysz miał pojechać do stolicy KRL-D, Phenianu i wrócić do chińskiej stolicy, aby już razem ze mną powrócić do Warszawy. Muszę przyznać, że trochę mu zazdrościłem, bo chociaż ja pozostawałem dłużej w Chinach, to jednak omijała mnie wizyta w jednym z ostatnich bastionów komunizmu na świecie i możliwość choćby spojrzenia na rzeczywistość Północnej Korei, tym bardziej, że mógłbym ją skonfrontować

ze świeżymi wspomnieniami z pobytu w Korei Południowej. Z poleceniami Centrali się jednak nie dyskutowało, toteż postanowiłem, po załatwieniu obowiązkowych spraw służbowych, zobaczyć jak najwięcej zabytków Pekinu i poznać codzienne życie mieszkańców tego rodzącego się dopiero światowego giganta.

Zgodnie ze zwyczajem panującym w porządnym ambasadach dostaliśmy opiekuna ze strony placówki, którym okazał się młody pracownik istniejącego wtedy Biura Rady Handlowego. W ciągu dnia pojechaliśmy zobaczyć centrum miasta, a w nim plac Tienanmen, czyli plac Niebiańskiego Spokoju. Należy on do największych na świecie, obok placu Czerwonego w Moskwie i Zokalo – placu Konstytucji w stolicy Meksyku. Podobnie jak wspomniane place w Moskwie i Meksyku, pekiński pełni rolę centralnego miejsca obchodów podczas najważniejszych wydarzeń w państwie, m.in. rocznicowych manifestacji i defilad wojskowych. Patrząc na ten plac przywoływałem w pamięci sceny oglądane w telewizji 4 czerwca 1989 roku, kiedy to wojsko, przy użyciu czołgów rozpędziło na nim rzesze protestujących studentów, wśród których zanotowano liczne ofiary śmiertelne (co najmniej 5 tysięcy) i jeszcze większą ilość rannych. Spacerując po placu zwróciłem uwagę na dużą ilość ubranych w mundury przechadzających się milicjantów oraz wiele innych osób w cywilu, wyglądających na agentów bezpieczeństwa. Ci ostatni podchodzili do grupek zgromadzonych Chińczyków i najwyraźniej prosili ich o rozejście się. Kiedy to nie skutkowało, do akcji wkraczali mundurowi. Grupy zagranicznych turystów nie były jednak niepokozone. Widać było wyraźnie, że władze obawiały się powtórki wydarzeń z 1989 roku i profilaktycznie nie dopuszczały do gromadzenia się na placu większych skupisk.

Na olbrzymim placu zajmującym powierzchnię ok. 50 ha znajdują się tylko dwie budowle: Muzeum Narodowe Historii Chin i Mauzoleum Mao Tse-tunga, zbudowane już po jego śmierci w 1976 roku i udekorowane jego olbrzymim portretem. Ciało chińskiego przywódcy jest wystawione na widok publiczny jak mi opowiadano, na pierwszym piętrze, na czarnym katafalku, w kryształowej trumnie. Przed Mauzoleum stoi 38-metrowy pomnik Bohaterów Ludowych zbudowany z granitowych bloków. Dolna część monumentu jest ozdobiona 10 płaskorzeźbami prezentujących najważniejsze wydarzenia z nowożytnej historii Chin.

W północnej części placu znajduje się Brama Tienanmen, czyli Brama Niebiańskiego Spokoju prowadząca do Zakazanego Miasta, czyli cesarskich pałaców i ogrodów oraz świątyń. Zarówno przed Mauzoleum, jak i przed wejściem do Zakazanego Miasta stały olbrzymie kolejki chętnych do zwiedzania, toteż zrezygnowaliśmy z próby wejścia, szczególnie do strefy pałaców

cesarskich, gdyż należałoby tam spędzić prawie cały dzień, a niewiele czasu pozostawało do ich zamknięcia. Odłożyliśmy więc zwiedzanie Zakazanego Miasta na koniec pobytu w Pekinie, aby było to jak gdyby jego ukoronowaniem i przysłowiową wisienką na torcie. Jaki był rezultat tej decyzji, o tym później.

Wieczorem nasz opiekun zaprosił nas na kolację do restauracji, a ponieważ znał chiński postanowił zadziwić nas swoją znajomością lokalnego menu i zamawiał wciąż nowe i nowe potrawy. Mimo że byliśmy po całym dniu głodni, a jedzenie serwowane było w małych porcjach, to już po kilku potrawach zaspokoiłiśmy głód i następne dania byliśmy w stanie jedynie próbować, a były coraz smaczniejsze. Jak mówi powiedzenie „oczy by jadły, ale żołądek nie może” i tak właśnie było z nami. Doceniliśmy w pełni zarówno uprzejmość opiekuna, za co serdecznie mu podziękowaliśmy, jak też bogactwo i smak chińskiej kuchni oraz znakomitą obsługę, której w naszym imieniu podziękował towarzyszący nam opiekun.

Już po powrocie do siedziby placówki przypomniał mi się wieczór w chińskiej ambasadzie w Buenos Aires, kiedy chiński radca zaprosił swoich kolegów z korpusu dyplomatycznego, w tym i mnie z żoną, na swoje pożegnanie, spowodowane wyjazdem na inną placówkę, ale już w roli ambasadora. Kolacja odbyła się z całym dyplomatycznym i chińskim ceremoniałem. Serwowano dwanaście dań, porcje były mikroskopijne, ale cudownie podane, tak, że nie było mowy o przejedzeniu. Do każdego dania serwowano również wino (do każdego inne), ale także w mikroskopijnych kieliszczykach, więc również nie przekroczono normy w picciu. Temu wszystkiemu towarzyszyła wspaniała dekoracja stołu, chińska muzyka i obsługa w kolorowych chińskich strojach. Nie myślałem wówczas, że będę miał okazję smakować dania chińskiej kuchni w samych Chinach.

Na temat chińskiej kuchni specjaliści mogą się rozwódzić długo i ciekawie, ja tego nie zamierzam robić. Miałem okazję być innym razem w czasie tego pobytu w restauracji razem z naszym ambasadorem w Pekinie, Zdzisławem Góralczykiem – wybitnym znawcą tego kraju (zanim został ambasadorem był w Chinach najpierw jako student, a następnie na kolejnych, coraz wyższych stanowiskach dyplomatycznych). Bazując na swoim chińskim doświadczeniu i znajomości zwyczajów europejskich, zamówił dla nas tylko trzy dania i to w zupełności nam wystarczyło. Było smacznie i w sam raz.

Zgodnie z planem mój towarzysz podróży wyjechał do Phenianu, a ja zostałem w Pekinie, by załatwić sprawy służbowe oraz, korzystając z wolnego czasu, kontynuować zwiedzania miasta i jego zabytków. W tym celu wykorzystałem także nadarzające się okazje.



Autor  
na Wielkim Chińskim Murze  
niedaleko Pekinu



Na centralnym placu Pekinu, Tienanmem

W Pekinie przebywała delegacja jednej z firm polskich, która była zainteresowana kupnem sztucznych kwiatów produkowanych przez miejscowe rzemiosło. Wraz z nimi udałem się na zwiedzanie chińskiego przedsiębiorstwa. Gospodarze zaprowadzili nas do hali produkcyjnej, gdzie przy dziesiątkach stołów kobiety wycinały, kleiły, zwijały i kompletowały poszczególne części kwiatów. (Przypomniął mi się podobny widok z fabryki cygar w Hawanie, gdzie nad robotnikami, obydwu płci, górował na specjalnym podium lektor czytający książki lub bieżące wiadomości). Szokiem był jednak dopiero widok chińskiego magazynu gotowej produkcji. W olbrzymiej hali prezentowały się najprzeróżniejsze kwiaty, wyglądające tak naturalnie, że aż trudno było uwierzyć, że wyszły one z rąk oglądanych przed chwilą kobiet. Róże, storczyki, tulipany i dziesiątki innych kwiatów przedstawiały niesamowity widok, jak gdyby była to jedna kolorowa łąka. Polscy goście byli zachwyceni i umówili się na konkretne, handlowe rozmowy na następny dzień.

Wykorzystując bliskość miejsca pojechaliśmy zwiedzić słynne grobowce cesarzy epoki Ming. Znajdująca się w odległości ok. 50 km od centrum Pekinu nekropolia zajmuje obszar 40 km<sup>2</sup>, na którym pochowano 13 cesarzy dynastii Ming, 23 cesarzowe, a także dużą ilość konkubin cesarzy oraz ich synów i córek. Zwiedzającym udostępniono tylko kilka budowli z całego kompleksu. Na jego teren wchodziło się przez piękną, wykonaną z białego marmuru bramę o pięciu wejściach zbudowaną w XVI wieku, po czym dochodziło się do właściwej bramy wejściowej tzw. Wielkiej Czerwonej Bramy pochodzącej z tego samego okresu, za którą był usytuowany Pawilon Steli ozdobiony rzeźbami mitycznych zwierząt. Dalej wędrowaliśmy kilkukilometrową tzw. drogą duchów, przy której ustawione były posągi zwierząt realnych, takich jak słonie, wielbłądy czy konie oraz mitycznych jak smoki, a następnie stały posągi chińskich mandarynów. Droga duchów kończyła się Bramą Smoka i Feniksa, a po jej przekroczeniu wchodziło się na teren grobowca cesarza Yongle i jego żony. Składał się on z kilku pawilonów, do których przechodziło się przez kolejne bramy. Również przez bramy, wchodziło się do znajdującego 27 m pod ziemią grobowca cesarza Wanli i jego dwóch żon. W Sali, gdzie stały ich sarkofagi, jeden z turystów usiłował ukradkiem zrobić zdjęcia, nie wiedząc, że cała sala jest monitorowana przez kamery. Zrobił się wielki szum, do nieszczęśnika podbiegła ochrona i po chińsku usiłowała mu coś wytłumaczyć, a nawet zabrać kamerę. Po interwencji przewodnika grupy skończyło się na zapłaceniu kary za nielegalne zdjęcia. Po tym zajściu zrezygnowaliśmy z dalszego zwiedzania i wróciliśmy do Pekinu.

Parafrazując znane powiedzenie „być w Rzymie i nie widzieć papieża” na „być w Chinach i nie widzieć Wielkiego Chińskiego Muru” kolejnego dnia,

pojechałem na zwiedzanie fragmentu tej słynnej budowli widocznej podobno nawet z kosmosu, a położonej niedaleko chińskiej stolicy, w miejscowości Badaling. Z uwagi na swoją bliskość, ok. 70 km od centrum stolicy, i dobrze zachowane mury ten odcinek stanowi jedną z największych atrakcji turystycznych. Liczy 4,8 km długości i wznosi się na wysokość 9 metrów. Na tej przestrzeni jest usytuowanych 19 strażnic o wysokości 12 metrów.

Zanim dojechaliśmy na miejsce usiłowałem sobie przypomnieć podstawowe informacje na temat tej wielkiej, a jak twierdzą niektórzy znawcy, największej budowli wszystkich czasów. Zaczęto ją budować kilkaset lat przed naszą erą, kiedy Chiny były jeszcze podzielone na szereg niezależnych państw. W celu obrony przed atakami koczowniczych plemion mongolskich, każde z tych państw budowało swój własny obronny mur. Dopiero w okresie panowania cesarza Szy Huang-ti, pierwszego z dynastii Cin, ok. 220 roku p.n.e. rozpoczęto z jego inicjatywy łączenie poszczególnych odcinków istniejących już murów w jednolity mur obronny. Budowa trwała około 10 lat, w przeciągu których trzystutysięczna armia robotników połączyła lub zbudowała mury o długości 5 tysięcy km, od zachodu do wschodu państwa chińskiego. Wielu z nich zmarło podczas prac budowlanych, toteż niekiedy Wielki Mur jest nazywany najdłuższym cmentarzem świata. W ciągu następnych wieków Mur modernizowano i wydłużano do ponad 7600 km za panowania dynastii Ming w XV wieku. Był on ufortyfikowany licznymi wieżami obronnymi i strażnicami, miał także magazyny broni i żywności. Z wież strażniczych przekazywano sygnały dymne lub świetlne za pomocą ognisk, o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Po koronie Muru liczącego 5,5 m szerokości mogło iść w jednym szeregu 10 żołnierzy piechoty lub 5 koni kawalerii. Mur biegnie przez grzbiety górskie na wysokości ok. 1000 m.

Po przybyciu na miejsce mieliśmy do wyboru: iść na Mur pieszo do najwyższego punktu położonego na wysokości 888 m lub pojechać kolejką linową przygotowaną dla leniwych turystów. Wybraliśmy pierwszy wariant i wchodziliśmy powoli, w górę w długiej kolejce zwiedzających. Przeszliśmy przez strażnicę, gdzie spotykały się dwa strumienie zwiedzających, jedni szli w górę, drudzy w dół. Jeszcze przed wejściem na trasę widzieliśmy handlarzy oferujących lokalne pamiątki, m.in. swetry, szale i czapki. Tego dnia było chłodno, wiał zimny wiatr i oferowane produkty cieszyły się dużym powodzeniem wśród turystów. Ze zdziwieniem zauważyłem, że cudzoziemcy stanowili zdecydowaną mniejszość w tym tłumie, ale przypomniało mi się chińskie powiedzenie mówiące, że „człowiek, który nie był na Wielkim Murze nie może być bohaterem” i stąd zapewne tylu „chińskich bohaterów” wspinało się na górę. Po dojściu na wierzchołek muru, mimo przenikliwego wiatru moż-



na było podziwiać wspaniałe widoki rozciągające się za nim. Niesamowity był też widok samego Muru wijącego się jak wąż wzdłuż górskiego pasma. Nie pozostaliśmy tam jednak długo, gdyż zimno dawało o sobie znać i szybkim marszem wróciliśmy na dół, gdzie z ulgą zainstalowaliśmy się w ciepłym wnętrzu samochodu i odjechaliśmy z powrotem do Pekinu, wymieniając po drodze uwagi na temat historii cesarskich Chin.

Wycieczka, mimo wspaniałego waloru poznawczego, miała dla mnie dość nieprzyjemne konsekwencje. Po powrocie do ambasady (nasza placówka w Pekinie była to prawdziwa minidzielnica, obejmująca kilka budynków, m.in. właściwy budynek ambasady, rezydencję ambasadora, Biuro Handlowe, budynki mieszkalne pracowników i hotel, w którym zatrzymywały się załogi samolotów LOT-u latających wówczas do chińskiej stolicy) poczułem się źle, a w nocy złapała mnie bardzo wysoka gorączka, która rano, po zmierzeniu przekraczała nadal 40 stopni Celsjusza. Jak się czułem lepiej nie mówić. Na szczęście, wśród personelu placówki był polski lekarz, którym okazała się żona jednego z pracowników i po zbadaniu i poleceniu pozostania w łóżku podała mi jakieś chińskie proszki na zabicie temperatury. Jednocześnie stwierdziła, że moja choroba jest rezultatem wirusa grypy grasującego w tym czasie w Pekinie. Mimo kalendarzowej zimy, kiedy temperatura winna być kilka stopni poniżej zera, w tym czasie oscylowała ona wokół zera, a wiejące wiatry rozprzodzały wirusa na całe miasto. Jak stwierdziła pani doktor, z tego powodu pół Pekinu kichało i prychało na pozostałą część ludności, a moje wędrówki krajoznawcze, a zwłaszcza wyprawa na Wielki Mur walenie się przyczyniły do złapania choroby. Oczywiście o żadnym wyjściu na miasto nie było mowy i moja wymarzona wyprawa do Zakazanego Miasta została anulowana. Gorączka nadal utrzymywała się i zagrożony stawał się planowany powrót do Warszawy. W międzyczasie, z Phenianu wrócił kolega-kurier i zastał mnie chorego w łóżku, niezdolnego do podróży. Dopiero dodatkowe lekarstwa wpłynęły na takie obniżenie gorączki, że dostałem lekarską zgodę na podróż samolotem do Warszawy, do której dolecieliśmy po 11 godzinach nieprzerwanego lotu. I tak skończyła się dla mnie druga azjatycka podróż, podczas której nie było mi dane zobaczyć niektórych, istotnych zabytków lub miejsc, takich jak chociażby góra Fujijama w Japonii czy Zakazane Miasto w Pekinie. Wśród podróżników popularne jest jednak powiedzenie, że „w każdym kraju należy zostawić jakąś nieodkrytą część, aby móc do niej wrócić”. Może więc uda mi się jeszcze zobaczyć te miejsca?

## Rozdział XVII

### Życie jak w Madrycie

„España olé!”. Z tym hasłem wróciłem z ministerstwa do domu dowiedziawszy się, że moja kandydatura została zaakceptowana na wyjazd do Hiszpanii w randze radcy i Kierownika Wydziału Konsularnego Ambasady RP w Madrycie. Przywitano mnie jednak w domu z mieszanymi uczuciami. Złożono mi gratulacje, ale w czasie narady rodzinnej okazało się, że nie wszystko jest złotem, co się świeci. Syn oświadczył, że zaczyna klasę maturalną i nigdzie przed maturą się nie wybiera. Żona, walcząca o swój własny, samodzielny odcinek pracy w Hiszpanii, stwierdziła, że jej instytucja nie jest jeszcze gotowa, by ją wysłać, a poza tym samego syna nie zostawi w Polsce, więc również zostaje w kraju. Do wyjazdu do słonecznej Hiszpanii zostało więc nas dwoje: córka, ja i oczywiście nasz niezapomniany jamnik Fred. W tym też składzie wyjechaliśmy do Madrytu. Miasto to na cztery lata miało stać się moim domem, a dla dzieci i żony nawet dłużej, tak więc popularne powiedzenie „życie jak w Madrycie” oznaczało w moim przypadku, po prostu normalne życie, ze wszystkimi jego smutkami i radościami. Pierwszy raz w Madrycie znalazłem się jesienią 1973 roku, jeszcze w okresie dyktatury gen. Franco, gdy leciałem na Kubę. Mieszkałem wówczas w hotelu „Madrid” odległym zaledwie o 100 metrów od słynnego placu Puerta del Sol, czyli Bramy Słońca, najbardziej znanego placu w Madrycie. Jego nazwa pochodzi z XV wieku,



Nowoczesna architektura na placu Kastylijskim w Madrycie



Zabytkowe gmachy przy ulicy Gran Via i Alcalá w centrum Madrytu

kiedy to brama ta stanowiła jedno z miejsc wjazdowych do miasta. Hotel był usytuowany na tyłach dawnego urzędu pocztowego, ale wówczas była to siedziba frankistowskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Bezpieczeństwa Narodowego (Obecnie urzędują w nim szef i władze autonomicznej prowincji Madryt – władze miasta mają odrębną siedzibę). W czasie tego krótkiego pobytu właśnie na ten gmach został dokonany zamach bombowy przez hiszpańskich przeciwników reżymu Franco. Na szczęście zwiedzałem w tym czasie pobliskie madryckie Stare Miasto, ale powrót do hotelu był utrudniony ze względu na olbrzymią ilość policji i agentów bezpieczeństwa obstawiających miejsce zamachu.

Bardziej niż sam zamach z tamtych dni zapamiętałem na Puerta del Sol neonową reklamę andaluzyjskiego wina „Tio Pepe”, istniejącą do dziś i niedźwiedzia, symbol Madrytu, wspinającego się na drzewko poziomkowe, aby zjeść owoce czy też widok śmieci na podłodze w okolicznych barach i kafejkach (im więcej śmieci tym bardziej odwiedzany bar!). Nie przypuszczałem wówczas, że będę tam wielokrotnie wracał sam czy też oprowadzając delegacje lub znajomych odwiedzających Madryt.

Na Puerta del Sol zbiegają się główne ulice Madrytu, a na jednym z chodników jest punkt oznaczony jako km 0, od którego są liczone odległości dróg w całym kraju. Ponadto tutaj, na wieży gmachu mieszczącego urząd szefa prowincji madryckiej znajduje się zegar, na który w noc sylwestrową są zwrócone oczy całej Hiszpanii, gdyż zgodnie z biciem tego zegara o północy Hiszpanie zjadają 12 winogron – jedno z każdym uderzeniem zegara na każdy miesiąc zaczynającego się roku, aby przyniosło szczęście. Dopiero później, kieliszkiem szampana wita się Nowy Rok. Pamiętam, jak za pierwszym razem, chcąc świętować zgodnie z tą tradycją, żona kupiła przepiękne, duże winogrona i o mało co byśmy się udławili próbując nadażać z ich zjedzeniem, zgodnie z biciem zegara. Zaczęliśmy więc Nowy Rok na wesoło. W latach następnych postępowaliśmy jak Hiszpanie, wybierając małe winogrona, przygotowane i sprzedawane w sklepach przed Sylwestrem. Do dzisiaj zresztą kontynuujemy ten sympatyczny i zabawny zwyczaj.

Pierwszym krokiem do normalnego życia w Madrycie było znalezienie mieszkania do wynajęcia. Były dwie opcje: albo blisko miejsca pracy, albo blisko szkoły córki. Oczywiście przeważała ta druga, tym bardziej, że do wybranej przez nas szkoły chodziła już córka dyrektora LOT-u, Andrzeja Mysłowskiego, z którym wspólnie przeżyliśmy kilka lat w Buenos Aires. Po zlikwidowaniu placówki w Argentynie władze LOT-u przeniosły go właśnie do oddziału w Madrycie. Córka została zapisana, rozpoczęła zajęcia w szkole, a jej papiery z dotychczasowej nauki w szkołach Argentyny i Polski złożyłem w Ministerstwie Edukacji celem nostryfikacji. Nie przeczuwałem,

że powtórzy się argentyński koszmar oświatowy, a jednak tak się stało. Kilka miesięcy po rozpoczęciu nauki otrzymałem wezwanie do stawienia się w Ministerstwie, gdzie poproszono mnie o uzupełnienie papierów, gdyż w przeciwnym przypadku córka zostanie cofnięta do niższej klasy.

O co poszło? O argentyńską szkołę podstawową, gdzie cykl nauki trwał siedem lat, a nie osiem jak w Hiszpanii czy w Polsce. Uzupełniłem więc papiery o zaświadczenie z polskiego Ministerstwa Oświaty – przetłumaczone i poświadczane, a jakże, przez Ambasadę Hiszpanii w Warszawie, że siedem równa się osiem tzn. że Polska uznaje siedmioletni cykl argentyński na równi z ośmioletnim cyklem polskim. Po ich złożeniu zupełnie o nich zapomniałem, sądząc, że sprawa została załatwiona. Tymczasem zbliżał się koniec roku szkolnego i dyrektor szkoły poinformował mnie, że nie będzie mógł wystawić świadectwa uprawniającego do przejścia do następnej klasy, gdyż formalnie nie otrzymał dotychczas zgody na przyjęcie córki do klasy, którą właśnie kończy. Zrobiłem całkiem niedyplomatyczną awanturę w ministerstwie, stwierdzając, że biurokracja w byłych koloniach hiszpańskich jest niczym w porównaniu ze skostniałymi przepisami w metropolii, ale nic to nie pomogło. Osiem musiało być osiem.

Zaczęliśmy wraz z dyrektorem szkoły obmyślać nową strategię rozwiązania konfliktu, gdy niespodziewanie – podobnie jak w Argentynie – przyszła nam z pomocą polityka. W Hiszpanii odbyły się wybory parlamentarne, w rezultacie których zmienił się rząd (przegrali socjaliści z Gonzalezem, a nowym premierem został Aznar), a co za tym idzie, nastąpiły również zmiany na stanowiskach w poszczególnych ministerstwach. I nagle – sprawa została załatwiona pozytywnie przez nowe kierownictwo resortu oświaty i córka bez stresu mogła odebrać promującą ją świadectwo. I jak tu nie mówić wpływie polityki na życie normalnego człowieka!

Jako kierownik Wydziału Konsularnego miałem wyjątkowe uprawnienia, których nie miał nawet ambasador, do udzielania ślubów obywatelom polskim przebywającym za granicą. Podczas pracy w Hiszpanii udzieliłem ich prawie trzystu. Większość z nich miała charakter standardowy, ale niektóre zapisały mi się w pamięci. W przypadku jednego z nich piękna panna młoda, która przychodząc do konsulatu przed ślubem, sprawiała, że cały personel spoglądał na nią przez okna, została w przeddzień uroczystości, pogryziona przez psa i zamiast białej mini spódniczki odsłaniającej jej długie i piękne nogi, pojawiła się na ślubie w długiej sukni, aby zakryć obandażowane rany na nogach. Wyglądała niemniej wspaniale i wzbudziła zachwyt wszystkich gości. Innym skrajnym przykładem był ślub pewnego robotnika, który jako pan młody, po wypowiedzeniu sakramentalnego „tak”, natychmiast się przebrał w roboczy kombinezon i pojechał z powrotem do pracy, zostawiając świeżo poślubioną



Oficjalna inauguracja *corridy* w Madrycie



Nieuchronny koniec jednego z walczących na arenie byków



Przy żaglowcu „Pogoria”  
w hiszpańskim porcie Kadyks



Autor z żoną i córką razem z inż. Jerzym Ziemkiewiczem i jego żoną  
w ich domu w Zeanauri w Kraju Basków

żonę towarzyszącym jej świadkom. Dla wielu par, które poznałem wcześniej i które były miłe i sympatyczne, miałem przygotowany podczas ślubu dodatkowy program muzyczny, który pozwalał tylko młodej parze zatańczyć, aby towarzyszące jej osoby mogły zrobić pamiątkowe zdjęcia. Słyszając muzykę z reprezentacyjnego salonu, gdzie odbywała się ceremonia ślubna, pracownicy konsulatu komentowali, że „znowu jakaś sympatyczna para bierze ślub, skoro konsul puszcza dodatkową muzykę”. Zresztą niejednokrotnie pracownicy występowali w roli świadków, kiedy młoda para ich nie miała, a procedura ślubna musiała być zachowana. Odmawiałem natomiast przyjmowania zaproszeń do uczestnictwa w weselach, które przeważnie miały miejsce tego samego dnia lub następnego. Pamiętam jeden wyjątek, z tym, że nie ja wówczas udzielałem ślubu. Otóż, młody architekt z Warszawy brał ślub z Hiszpanką w pięknej katedrze w mieście Cuenca, znanym jako miasto wiszących domów nad przecinającym miasto głębokim wąwozem. Zwrócił się do mnie z prośbą o udział w ceremonii ślubnej z polską flagą narodową, aby podkreślić wobec zebranych gości swoje polskie pochodzenie i na dodatek obecność polskiego konsula. Takiej prośbie nie mogłem odmówić i wziąłem w uroczystościach udział, razem z moją córką. Polska flaga powiewała przy głównym ołtarzu, a udzielający ślubu kapłan w ciepłych słowach wyrażał się o panu młodym i jego ojczyźnie, Polsce. Przemierzając wielokrotnie trasę Warszawa – Madryt – Warszawa samolotem spotykałem nieraz na lotniskach obu miast pozdrawiające mnie pary, które przypominały, że to właśnie ja udzielałem im ślubu. Nie muszę mówić, że było to miłe, gdy widziałem te pary nadal razem.

Czytającemu może nasunąć się pytanie, skąd tyle ślubów polskich? Dla wyjaśnienia dodam, że w ambasadzie mogli brać śluby wyłącznie obywatele polscy, podczas gdy pary mieszane robiły to w hiszpańskich urzędach stanu cywilnego. Otóż, była to druga połowa lat dziewięćdziesiątych, a praktycznie od początku wspomnianej dekady trwała emigracja zarobkowa Polaków do Hiszpanii zwiększając znacznie jej liczebność. Do tego czasu nie była ona zbyt wielka. W czasie II wojny światowej oraz po jej zakończeniu znalazło się w tym kraju około tysiąca osób polskiego pochodzenia, w tym także przedstawiciele kilku rodzin arystokracji polskiej, którzy po zmianie ustroju w powojennej Polsce osiedlili się na stałe w Hiszpanii. W latach osiemdziesiątych, szczególnie po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego, bardzo wielu Polaków pracujących wówczas w Hiszpanii na kontraktach zawodowych (architekci, inżynierowie, artyści, zwłaszcza muzycy) wykorzystało pozytywną postawę rządu hiszpańskiego i pozostało w tym kraju na stałe. Po roku 1989, czyli po przemianach demokratycznych w Polsce, nastąpiła fala emigracji zarobkowej, a była to głównie emigracja nielegalna, zaś jej główny trzon stanowiły osoby pochodzące z najbardziej biednych województw



w Polsce, ze ściany wschodniej i z Podkarpacia. Nasiliła się ona po 31 stycznia 1994 roku, tj. po wejściu w życie porozumienia między Polską a Hiszpanią o zniesieniu obowiązku wizowego. Co prawda, porozumienie to dotyczyło przede wszystkim ruchu turystycznego, obejmującego pobyt do 90 dni, ale zostawało wykorzystywane przez Polaków do legalnego przyjazdu i nielegalnego pozostawania w Hiszpanii na dłuższy okres. Sprzyjało temu m.in. uruchomienie prywatnej komunikacji między poszczególnymi regionami Polski a skupiskami Polaków w Hiszpanii. Przykładem takim było choćby miasto Alcalá de Henares (30 km od Madrytu – miejsce urodzin Cervantesa), gdzie osiedliła się duża grupa pochodząca z rejonu Podkarpacia. Znaleźli tutaj pracę i możliwość zamieszkania, nauki, a nawet stowarzyszenia się, co spowodowało kolejne przyjazdy rodzin i znajomych z Polski. Jak żartowano w pewnym momencie w Wydziale Konsularnym, na podstawie wydawanych paszportów lub innych dokumentów potrzebnych do legalizacji pobytu, nie wiadomo było czy osób pochodzących z Mielca mieszkało więcej w Hiszpanii, czy w samym Mielcu. Ponieważ emigrantami byli głównie ludzie młodzi, stąd też tak duża ilość ślubów cywilnych, która nieraz przewyższała ilość zawieranych ślubów w polskich kościołach w Madrycie czy w samej Alcalá. Moje stosunki z polskimi księżmi pracujących w tych parafiach były dobre, zwłaszcza w Madrycie, gdzie się często byli to misjonarze z Ameryki Południowej, w tym jeden z Brazylii, na którego mszy prymicyjnej byliśmy obecni z żoną w Sao Paulo. Niejednokrotnie wymienialiśmy się informacjami dotyczącymi możliwości okazania pomocy emigrantom znajdującym się w trudnym położeniu czy to prawnym, czy też socjalnym.

Niezbyt przyjemnym zajęciem dla konsula były kontakty z policją w sprawie zatrzymywanych Polaków zarówno za prawdziwe przestępstwa, jak i za przekroczenie czasu legalnego pobytu. W przypadku tej ostatniej kategorii, zatrzymani nie mieli przeważnie żadnych dokumentów, aby nie można było im tego przekroczenia przepisów udowodnić. Musieli jednak wypełnić dokumenty na policji, które były z kolei przesyłane do konsulatu w celu potwierdzenia tożsamości tych osób. Przy wypełnianiu tych papierów niektórzy wykazywali się dużym poczuciem humoru podając jako swoje nazwisko słowa praktycznie nie do wymówienia przez Hiszpanów jak np. „Konstantynopolitańczyk” czy „Brzęczyszczkiewicz” (chyba zapamiętane z filmu). Dopiero osobiste stawienie się tych osób i rozmowa z konsulem rozwiewały wątpliwości i powodowały przyznanie się do prawdziwych nazwisk. Karą było wydalenie do Polski, co nie przeszkadzało zainteresowanym wrócić w następnym tygodniu, prywatnym transportem z powrotem do Hiszpanii.

Wspominając pracę w konsulacie nie mogę nie napisać o bardzo dobrym kolektywie, z którym współpracowałem, a zwłaszcza o paniach Aldonie



Uroczystości rocznicy bitwy pod Albuera w hiszpańskiej prowincji Badajoz



Międzynarodowi uczestnicy uroczystości na polu bitwy

i Mirce, które były żonami pracowników innych wydziałów ambasady. Dzięki dobrej atmosferze w pracy udawało nam się razem załatwiać szybko i sprawnie wiele trudnych i skomplikowanych spraw konsularnych.

Miłym akcentem pracy konsularnej (jej niemiłe strony to: wypadki, pogrzeby, aresztowania za przemyt narkotyków lub kradzieże samochodów i inne ludzkie nieszczęścia, niech pozostaną jedynie w sprawozdaniach urzędowych) było współdziałanie z towarzystwami polonijnymi w Hiszpanii. Po przyjeździe do Madrytu w 1995 roku zastałem dwie funkcjonujące organizacje tego typu. Jedną z nich, działającą głównie w hiszpańskiej stolicy i jej najbliższych okolicach było „FORUM”, czyli Hiszpańsko-Polskie Stowarzyszenie Kulturalne, drugim zaś Stowarzyszenie Polaków w Hiszpanii „Orzeł Biały”, z siedzibą w Alcalá de Henares. Obydwa stowarzyszenia zajmowały się oświatą dla dzieci w wieku szkolnym, prowadząc sobotnie szkoły nauki języka polskiego, historii i geografii Polski. Ponadto, w ramach imprez polonijnych, odbywały się turnieje piłki nożnej, tenisa stołowego czy wycieczki rekreacyjno-sportowe. We współpracy z ambasadą organizowano różnego typu uroczystości z okazji polskich świąt państwowych, takich jak Konstytu-

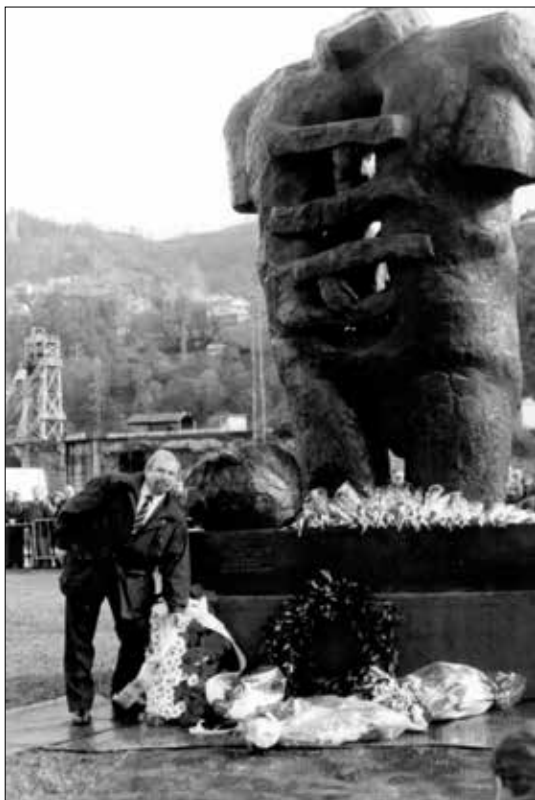


Pomnik gen. Franco usytuowany przed tzw. Nowymi Ministerstwami w centrum Madrytu

cja 3 Maja czy Święto Niepodległości w listopadzie. Z powodu tych okazji wielokrotnie wyjeżdżałem również do Kraju Basków na podobne uroczystości przygotowywane przez inż. Jerzego Ziemkiewicza oraz Konsula Honorowego RP w Bilbao wśród społeczności polskiej tam zamieszkałej. Podczas wizyt przeprowadzałem rozmowy na rzecz utworzenia lokalnej organizacji polonijnej. Powstała ona w październiku 1998 roku jako Stowarzyszenie Kulturalne Baskijsko-Polskie Arrano-Zuria (Orzeł Biały).

Były to wówczas początki powstawania szerokiej reprezentacji Polaków w poszczególnych rejonach Hiszpanii w ramach postępującego napływu polskich emigrantów i osiedlania się ich tam na stałe. Obecnie wystarczy wejść na strony internetowe Polonii w Hiszpanii, aby zobaczyć, jak w ciągu zaledwie kilkunastu lat zmieniła się ilość, struktura i formy działalności Polaków w tym kraju. Niezależnie od wzrostu ilości organizacji, sieci konsulatów kierowanych przez Konsuli Honorowych RP, pojawiły się także polskie sklepy, biura podróży czy handlu nieruchomościami. To jest jednak już współczesna historia, w której w jakimś sensie miałem również swój udział. Ponieważ utrzymuję nadal kontakty z wieloma znajomymi, którzy tam mieszkają,

Składanie wieńca  
pod pomnikiem górników  
poległych w katastrofach  
na całym świecie  
z okazji święta Barbórki w Asturii,  
gdzie również pracowali  
górnicy z Polski



przy spotkaniach, czy to w Polsce, czy w Hiszpanii, wspominają oni z uśmiechem, m.in. wspaniałe bale karnawałowe organizowane z mojej inicjatywy w reprezentacyjnych salonach ambasady w Madrycie czy też inne wspólne imprezy.

Pełniona przeze mnie funkcja nie ograniczała mojej działalności jedynie do Madrytu i okolic, lecz obejmowała większość terytorium Hiszpanii. Powstały w 1996 roku Konsulat Generalny RP w Barcelonie swoim zasięgiem kompetencyjnym ograniczał się do czterech prowincji Katalonii i Wysp Balearskich. Stąd też, służbowo odwiedzałem polskich górników pracujących w Asturii, rejon Walencji (w związku z założeniem Konsulatu Honorowego), port Sagunto (wplynięcie polskiego żaglowca „Dar Młodzieży”), Galicję (awaria polskiego statku) czy też Andaluzję (wizyta w Kadyksie żaglowca „Pogoria” z osobami niesłyszącymi z warszawskiego Instytutu Głuchoniemych) i już wspomniany Kraj Basków. Wyjazdy, jak to bywa z wyjazdami służbowymi („załatw sprawę i wracaj”), stały się jednak inspiracją do ponownego odwiedzenia tych miejsc i rejonów już na dłużej, prywatnie, z rodziną w ramach urlopu lub przedłużonego weekendu. Dobra sieć autostrad i dróg szybkiego ruchu istniejąca już wówczas w Hiszpanii, zbudowana dzięki organizowanym przez ten kraj Igrzyskom Olimpijskim w Barcelonie oraz Światowej Wystawie w Seville w 1992 roku, pozwalała na szybkie przemieszczenie się samochodem z miejsca na miejsce. Różnorodność regionów hiszpańskich z ich specyficznym dla każdego z nich folklorem i zwyczajami, kuchnią czy naturalnym środowiskiem, powodowała, że pobyt w tym kraju dla mnie i mojej rodziny na zawsze pozostawił wiele wspaniałych wspomnień. Jestem przekonany, że osoby, które chociaż raz odwiedziły Hiszpanię mają podobne odczucia.

A propos pamięci historycznej... Jak Hiszpanie potrafili wykorzystywać fakty i wydarzenia historyczne dla celów promocji współczesnej Hiszpanii i miejsc związanych z tymi wydarzeniami mogą świadczyć m.in. obchody uświetniające kolejne rocznice bitwy pod Albuerą niedaleko Badajoz w prowincji Extremadura na pograniczu z Portugalią. Bitwa miała miejsce 16 maja 1811 roku, w okresie wojen napoleońskich. Z jednej strony stanęły wojska brytyjsko-hiszpańsko-portugalskie, z drugiej zaś francusko-polskie. Na czele wojsk napoleońskich stał marszałek Soult idący na odsiecz oblężonemu w twierdzy Badajoz wojskom francuskim, a w ramach jednostek kawalerii francuskiej uczestniczyło prawie 600 Lansjerów Nadwiślańskich. Siłami koalicji brytyjsko-hiszpańsko-portugalskiej dowodził brytyjski marszałek Beresford. W jej skład wchodziła także niezależna niemiecka brygada i bataliony Królewskiego Niemieckiego Legionu. Każda ze stron dysponowała artylerią, po 48 dział. Bitwa, w której brało udział ok. 60 tysięcy żołnierzy

(25 po stronie francuskiej, 35 ze strony koalicji) była jedną z największych i najkrwawszych bitew w okresie wojen napoleońskich na Półwyspie Iberyjskim. Poległo w niej, po obu stronach, prawie 13 tysięcy żołnierzy, a mimo to, bitwa nie przyniosła rozstrzygnięcia dla żadnej strony, ani też nie zaważyła na przebiegu samej wojny. Formacją, która zapisała się w tej bitwie, byli polscy ułani (Lansjerzy Nadwiślańscy), którzy śmiałym atakiem rozbili brytyjską brygadę piechoty. Po tej bitwie zaczęto, na wzór polskiego oddziału ułanów, w europejskich armiach tworzyć podobne formacje.

Dla uczczenia rocznicy bitwy władze prowincjonalne Badajoz i miejskie Bohaterskiego Miasta La Albuera (Muy Heroica Villa La Albuera), gdyż taką oficjalną nazwę nosi dziś miasto, organizowały corocznie uroczyste obchody bitwy, na które byli zapraszani przedstawiciele narodów w niej uczestniczących, niezależnie po której stronie walczyli. Jest to – w rozumieniu organizatorów – ich wkład w budowę i rozwój zjednoczonej, pokojowej Europy. Tak więc, byli zapraszani reprezentanci stosownych przedstawicielstw dyplomatycznych akredytowanych w Hiszpanii, a mianowicie Francji, Wielkiej Brytanii, Portugalii, Niemiec i Polski. W zasadzie uczestniczyli w nich attaché wojskowi, ale mogli być również obecni cywilni reprezentanci ambasad. Właśnie w tej roli miałem możliwość wzięcia udziału w takich obchodach w 1998 roku. Bez względu na dzień tygodnia, uroczystości mają miejsce 16 maja, czyli w rocznicę bitwy. Po przyjeździe do miasta wszyscy dyplomaci byli witani przez miejscowe władze i na centralnym placu miasteczka odbywały się uroczystości, w których licznie uczestniczyli mieszkańcy miasta i przyjezdni turyści. Najpierw miał miejsce przemarsz żołnierzy lokalnego garnizonu z towarzyszącą im orkiestrą. Następnie grane były hymny poszczególnych państw i wciągane na maszt stosowne flagi narodowe, a reprezentanci narodów uczestniczących w bitwie składali hołd i wieńce pod pomnikiem ku czci poległych znajdującym się na środku placu. Dyplomaci wygłaszali krótkie okolicznościowe przemówienia. Kolejnym punktem programu były występy chórów i zespołów folklorystycznych, a uroczystość zamykała defilada wojskowa.

Był to rutynowy program, ale w związku z tym, że byłem jedynym cywilem wśród wojskowych czułem się trochę nieswojo, poza tym wszyscy obecni reprezentowali kraje należące do NATO i Unii Europejskiej, a my byliśmy dopiero po formalnym przyjęciu do NATO, co miało miejsce rok wcześniej w Madrycie, i na długiej drodze do członkostwa w UE, dlatego też w swoim wystąpieniu, wyraziłem nadzieję, że nasz marsz do wspólnoty narodów europejskich będzie jak najkrótszy. W czasie objazdu pola bitwy i zwiedzania muzeum, gdzie była wystawiona jej makieta, znalazłem się w towarzystwie brytyjskiego generała reprezentującego ten sam pułk fizylierów

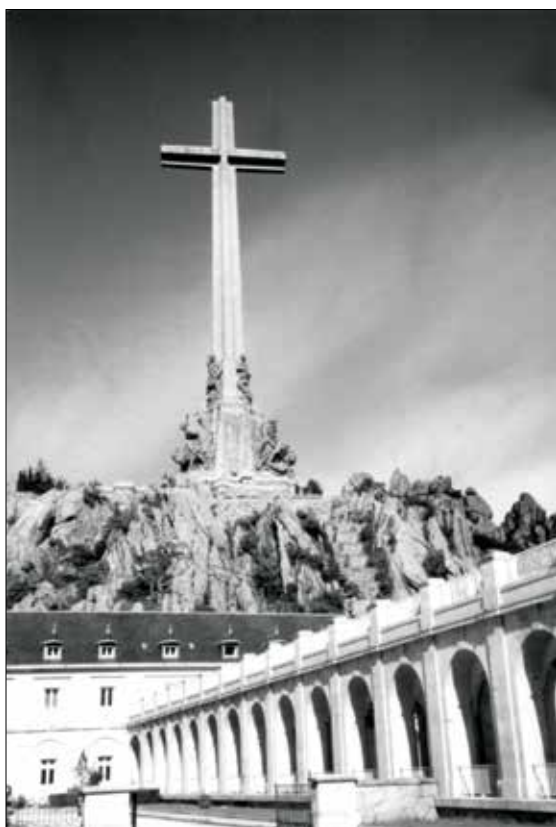
brytyjskich, który brał udział w realnej bitwie 187 lat wcześniej. Trochę byłem zaambarasowany, kiedy stojąc obok niego, słuchałem opowieści przewodnika o szarzy polskich ułanów wycinających w pień broniących się Anglików. Niemiecki attaché był bardziej racjonalny, gdyż słysząc relację o bitwie skomentował, iż powinien być w podwójnym wydaniu, jako że Niemcy walcząc po stronie koalicji walczyli także ze swoimi krajanami wcielonymi siłą do wojsk francuskich. Wieczorem, wszystkim zaproszonym gościom i turystom zaprezentowano sztukę teatralną „Albuera Maj 1811” wystawianą przez mieszkańców miejscowości w historycznych strojach z epoki i w oryginalnych plenerach. Wracając do Madrytu zwróciłem uwagę na tablice stojące przy nowej, asfaltowej drodze prowadzącej do Albuery, informujące, że została ona wybudowana z funduszy europejskich. Był to więc widomy znak przejścia od Europy wojen do Europy pokoju i współpracy.

Mówiąc o wojnach napoleońskich w Hiszpanii trudno nie wspomnieć o Somosierze (Samosierze), gdyż tę nazwę zna prawie każdy Polak. Dnia 30 listopada 1808 roku wojska napoleońskie, idące na Madryt, zostały zatrzymane na przełęczy Somosierra przez hiszpańskich obrońców dysponujących



Widok katedry  
w Santiago de Compostela  
w hiszpańskiej Galicji  
– miejsca tradycyjnych  
pielgrzymek do św. Jakuba

czterema liniami dział, które swoim ogniem pokrywały wąską drogę o długości prawie 300 metrów, biegnącą wąwozem na szczycie. Próby zdobycia przełęczy przez piechotę francuską, a tym samym otwarcia dalszej drogi do Madrytu zakończyły się niepowodzeniem i dużymi stratami wśród atakujących. Wówczas – jak podają historyczne kroniki – zdenerwowany Napoleon posłał do boju swoją przyboczną gwardię – polskich szwoleżerów pod dowództwem Jana Koziętulskiego. Błyskawiczna szarża szwoleżerów zaskoczyła hiszpańskich obrońców i spowodowała, że ich działa mogły wystrzelić tylko jedną salwę. Wąwóz został zdobyty, chociaż szwadron poniósł ciężkie straty. Ze 125 jeźdźców pozostało przy życiu jedynie 37, wszyscy oficerowie zginęli lub zostali ranni, w tym dowódca szwadronu Jan Koziętulski, który jeszcze na polu bitwy został odznaczony przez Napoleona Krzyżem Kawalerskim Legii Honorowej. Legenda o szarży ułańskiej przeszła do historii nie tylko polskiej, ale światowej, a także została upamiętniona na licznych obrazach, m.in. Wojciecha Kossaka. Tuż przed moim przyjazdem do Hiszpanii pojawił się jeszcze jeden symbol tej bitwy. W miejscowości Somosierra, leżącej dzisiaj obok autostrady Madryt-Burgos, a przebiegającej przez dawny wąwóz,



Pomnik nad grota  
w Dolinie Poległych,  
w której pochowani są  
bojownicy wojny domowej  
w Hiszpanii (1936-1939).  
Tutaj znajduje się grób gen. Franco



znajduje się przydrożna kapliczka pamiętająca czasy napoleońskie. Na jej ścianie w 1994 roku została umieszczona pamiątkowa tablica z brązu informująca o bitwie, a ufundowana przez polskie firmy działające w Hiszpanii. W uroczystości odsłonięcia wzięli udział przedstawiciele Wojska Polskiego i armii hiszpańskiej oraz hiszpańskich władz centralnych i lokalnych, a także Ambasady Polskiej w Hiszpanii.

Podczas mojego pobytu w rocznicę bitwy przedstawiciele ambasady oraz organizacji polonijnych składali kwiaty pod wspomnianą tablicą też, tradycyjnie, odwiedzali prywatne muzeum bitwy zorganizowane przez proboszcza lokalnej parafii ks. José Medina Pintado. Za jego utworzenie i sprawowanie opieki nad pamiątkami bitwy został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Pamiętam także, jak z inicjatywy ówczesnego ambasadora, Władysława Klaczyńskiego wraz z członkami hiszpańskiego Towarzystwa Historycznego, urządziliśmy poszukiwania śladów po bitwie na terenie, gdzie się rozgrywała przed dziesiątkami lat. Uzbrojeni w wykrywacze metali oraz historyczne szkice spenetrowaliśmy dość duży obszar pól i łąk. Rezultat poszukiwań był pozytywny, aczkolwiek skromniejszy od naszych oczekiwań. Znaleźliśmy cztery ołowiane łuski z czasów bitwy, umieszczone później w zbiorach Ambasady, a także bardzo dużą ilość łusek pochodzących z okresu hiszpańskiej wojny domowej, gdyż podobnie jak w czasach napoleońskich, Somosierra stanowiła bastion obronny wojsk republikańskich przed atakami wojsk gen. Franco w drodze na Madryt. Już po moim wyjeździe z Hiszpanii na ścianie kapliczki w Somosierra została umieszczona druga tablica oddająca hołd hiszpańskim obrońcom przełęczy. W ten sposób wszyscy bohaterowie bitwy zostali upamiętnieni w stosowny sposób. Polska tablica czcząca pamięć historycznej szarży ułańskiej była właściwie swoistym ewenementem, gdyż odsłonięta z honorami przez polską i hiszpańską kompanię honorową oddawała cześć najeźdźcom, jakimi byli w tym czasie Polacy służący w wojskach Napoleona usiłującego podbić Hiszpanię. Obecnie obydwie tablice się równoważą i oddają hołd bohaterstwu i brawurze każdej ze stron.

Opowiadając o pobycie w Hiszpanii trudno nie wspomnieć o dalszych losach rodziny. Zgodnie z oczekiwaniami syn zdał maturę, a następnie egzamin na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ale że był to okres wakacji przyjechał do Madrytu. Namówiłem go, aby dla sprawdzenia swojej wiedzy i znajomości języka hiszpańskiego podszedł „z marszu” do egzaminu na Wydział Prawa na największym madryckim Uniwersytecie Complutense. Mając już zapewnione studia w Warszawie, syn zgodził się i wraz z innymi kandydatami z Hiszpanii i innych krajów, stanął do walki o studencki indeks. W odróżnieniu jednak od polskich uczelni, wyniki egzaminów nie były podawane zaraz po ich zakończeniu, ale dopiero na początku roku akademickiego,

tj. w październiku. Wakacje się skończyły, w międzyczasie syn poznał uroki hiszpańskiej stolicy i trochę Hiszpanii i we wrześniu wrócił do Warszawy, bez znajomości rezultatów egzaminów. Przyszły pierwsze dni października, syn zaczął studia na Uniwersytecie Warszawskim, a w Madrycie dopiero w drugim tygodniu pojawiły się listy przyjętych na Wydział Prawa, gdyż zgodnie z tradycją studenci tego Wydziału zwyczajowo jako ostatni na Uniwersytecie rozpoczynali zajęcia, dopiero w drugiej połowie miesiąca. Ku mojemu miłemu zaskoczeniu na wywieszonych listach znalazłem nazwisko syna. Powstał dylemat. Studia w Polsce czy w Hiszpanii?

Sprawę przesądziła żona, która otrzymała decyzję ze swojej instytucji o możliwości podjęcia pracy w Madrycie. Tak więc rodzina w komplecie zameldowała się w Madrycie, a do naszego jamnika dojechała jego siostra z miotu, Nescia (czarna, a nie brązowa jak Fred i o połowę mniejsza od niego. Fred liczył sobie 107 cm długości od pyska do ogona!). Nie wiedziałem wówczas, że rodzina pozostanie dłużej w Hiszpanii niż ja. Zgodnie z zasadami MSZ do kraju wróciłem po czterech latach, a dzieci z żoną dopiero po następnych czterech. W międzyczasie syn i córka ukończyli studia na Uniwersytecie Complutense, a żona rozwijała ożywioną działalność jako dyrektor Ośrodka Informacji Turystycznej. Z pewnością pozostałaby jeszcze dłużej, gdyby nie mój wyjazd do ambasady w Meksyku na stanowisko zastępcy ambasadora. Tymczasem życie w Madrycie toczyło się normalnie. Dzieci studiowały na dwóch różnych wydziałach tego samego uniwersytetu: syn na prawie, córka na dziennikarstwie. Była chyba zresztą pierwszą, oficjalną wolontariuszką w Hiszpanii zbierającą pieniądze dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Żona, jako dyrektor Polskiego Ośrodka Informacji Turystycznej, w swoim biurze mieszczącym się w budynku zwanym Wieżą Madrytu (Torre de Madrid) na placu Hiszpańskim, promowała turystykę do Polski, a ja w ambasadzie zajmowałem się bieżącymi sprawami konsularnymi i od czasu do czasu brałem udział w „wielkiej polityce”. To ostatnie oznaczało, że wraz z innymi kolegami-dyplomatami uczestniczyłem lub pomagałem przy wizytach oficjalnych delegacji państwowych lub rządowych przyjeżdżających do Hiszpanii. W lipcu 1997 roku w Madrycie miało miejsce wydarzenie związane z przyjęciem Polski do NATO, a mianowicie Sesja Rady Partnerstwa Euroatlantyckiego na szczelbu szefów państw lub rządów, w którym uczestniczył Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, a wraz z nim ministrowie spraw zagranicznych i obrony. To właśnie na tej sesji została podjęta decyzja o przyjęciu Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej na członków NATO. Była także obecna grupa polskich posłów i senatorów, której miałem przyjemność towarzyszyć podczas całego pobytu w stolicy Hiszpanii. Byli oni zaproszeni przez grupę amerykańskich kongresmenów i senatorów,

z którymi się spotkali w madryckim hotelu „Ritz”. Miałem wówczas możliwość poznania m.in. wielokrotnej senator Barbary Mikulski, od lat walczącej bezskutecznie o zniesienie wiz dla Polaków przy wjazdach do USA. Były też ważne wizyty premierów Józefa Oleksego, Włodzimierza Cimoszewicza czy Jerzego Buzka w 1999 roku, podczas której została potwierdzona Wspólna Deklaracja Premierów Polski i Hiszpanii w sprawie nadania wzajemnym stosunkom specjalnego i uprzywilejowanego charakteru, podpisana w styczniu 1998 roku w Warszawie, podczas wizyty premiera José Marii Aznara. Akt ten pozwolił nam korzystać z doświadczeń Madrytu przy negocjacjach towarzyszących wstępowaniu do Unii Europejskiej i zgodnie z nim do dzisiaj odbywają się wspólne posiedzenia obu rządów.

Pamiętając o pracy czy studiach, nie zapominaliśmy także, w gronie rodzinnym, o wspólnych podróżach. Niezależnie od krótkich wypadów weekendowych do miejscowości leżących niedaleko Madrytu, takich jak chociażby historyczne Toledo, San Lorenzo de Escorial czy Segovia lub uroczych podmadryckich miasteczek: Alcalá de Henares, Aranjuez czy Chinchon, które słynie z produkcji alkoholu anyżkowego, planowaliśmy i realizowaliśmy również dłuższe wycieczki jak np. do Kraju Basków czy Galicji. W tym miejscu chciałbym opisać jedną z podróży, która naszą czwórkę wiodła przez dużą część Hiszpanii, Portugalie i Gibraltar. Zbliżały się wakacje w 1998 roku. Dzieci przeczytały w polskiej prasie o rozłożonym na kilka etapów rejsie po Morzu Śródziemnym żaglowca „Zawisza Czarny”. Ponieważ miały uprawnienia sternika jachtowego, zdobyte na jeziorach mazurskich, postanowiły popróbować swoich sił na morskim akwenie wykorzystując swój pobyt w Hiszpanii, co oznaczało dojazd do wyznaczonego portu hiszpańskiego z Madrytu, a nie z Polski. Podróż morska miała zaczynać się w porcie Algieras koło Gibraltaru i wiodła przez Maroko i Portugalie do Bilbao w Kraju Basków. Aby ich odwieźć do portu, gdzie miały wejść na pokład żaglowca, wzięliśmy z żoną urlopy wypoczynkowe. Po rodzinnej naradzie podjęliśmy decyzję, aby ze zwykłego odwiezienia dzieci do miejsca przeznaczenia uczynić dłuższą podróż krajoznawczą po Hiszpanii oraz wpaść przy okazji na wystawę EXPO 98 do stolicy Portugalii, Lizbony. Pomysł bardzo się wszystkim podobał i nie pozostało nic innego jak spakować walizki, przygotować samochód i ruszyć w drogę,

Zostawiając z boku piękne i zawsze warte zwiedzania Toledo, w którym jednak byliśmy już kilka razy, a w czasie całego pobytu kilkanaście, wjechaliśmy na teren prowincji Extremadura, do miasteczka Guadalupe. Malowniczo położona wśród gór miejscowość słynie z rzeźby Matki Boskiej, wyrzeźbionej podobno przez św. Łukasza, która jest celem wielu pielgrzymek. Rzeźba jest umieszczona w klasztorze hieronimitów zbudowanym przez króla Alfonsa



Plantacje oliwek w hiszpańskiej prowincji Jaen



Panorama zabytkowego miasta Toledo

XI w końcu XIII wieku i rozbudowywanego w wiekach następnych. W rezultacie powstała obok świątyni, forteca i pałac królewski. Ciemna Madonna z Guadelupe stała się patronką całej Hiszpanii. O żywotności jej kultu mogliśmy się sami przekonać, chodząc brukowanymi uliczkami miasta między pielgrzymami przybyłymi z całej Hiszpanii, a także z Portugalii i Francji. Można było spotkać również przybyszów z Ameryki Łacińskiej. W samym klasztorze znajduje się kilka oddzielnych budynków, w których m.in. mieści się Muzeum Malarstwa i Rzeźby, Muzeum Szat Kościelnych oraz Sala Manuskryptów pisanych i malowanych przez zakonników. Najcenniejszym zabytkiem jest tzw. Hiszpańska Kaplica Sykstyńska bogato udekorowana, m.in. portretami mnichów namalowanymi przez sławnego malarza Zurbarana w XVII wieku. Z kaplicy przechodzi się do pomieszczenia ze słynnym obrazem Matki Boskiej z Guadelupe. Przewodnik opowiadał, że właśnie do Guadelupe, Krzysztof Kolumb przywiózł, ze swojej wyprawy do Ameryki, Indian, którzy zostali ochrzczeni przy miejskiej fontannie w 1496 roku. Na cześć Czarnej Madonny jedna z wysp karaibskich została nazwana jej imieniem. Klasztor został obrabowany przez wojska napoleońskie w 1808 roku, ale odzyskał w sto lat później swoją dawną świetność, dzięki zakonowi franciszkanów, którzy przejęli klasztor po hieronimitach. W dawnym szpitalu, znajdującym się naprzeciwko klasztoru, został urządzony *parador* (hiszpańska nazwa hotelu mieszczącego się w obiektach zabytkowych zmodernizowanych i przystosowanych do potrzeb współczesności, traktowanego jako hotel kategorii „lux”). Aż do zbudowania Escorialu w końcu XVI wieku klasztor z Guadelupe pełnił rolę głównego sanktuarium kraju, do którego z pielgrzymkami udawali się kolejni królowie hiszpańscy oraz, za przykładem Kolumba, konkwistadorzy Ameryki. A tych, pochodzących z Extremadury, było wielu. Oprócz zdobywcy Peru, Francisco Pizarra należał do nich Herman Cortez, który podbił imperium Azteków i zdobył dla Hiszpanii Meksyk, Vasco Nunez de Balboa, odkrywca Oceanu Spokojnego, który przebył Przesmyk Panamski, Pedro de Valdivia – odkrywca Chile i Sebastian de Moyano Belalcazar, zdobywca Quito w Ekwadorze. Kolejnym etapem było Trujillo, rodzinne miasto Francisco Pizarra, który podbił Peru dla korony hiszpańskiej. Jego pomnik na koniu znajduje się na centralnym placu miasta, o nazwie Plaza Mayor. Nie wiedziałem wówczas, że w latach następnych, będę mógł oglądać taki sam pomnik w Limie i to w dwóch różnych miejscach miasta oraz grobowiec konkwistadora w limskiej katedrze. Tam też poznałem zupełnie inną opinię o nim. W Hiszpanii, a zwłaszcza w Trujillo traktowany jest jak bohater, gdyż m.in. dzięki łupom zrabowanym Inkom w Peru, wybudowano w mieście liczne pałace i budowle. Tymczasem w Peru, Francisco Pizarro uważany jest za rozbójnika i grabieżcę, stąd m.in. usunięto jego pomnik z bliskiego sąsiedztwa

pałacu prezydenckiego i przeniesiono w inne miejsce, a jego grób w katedrze bez wskazówki przewodnika trudno jest odnaleźć. W Trujillo można odwiedzić Muzeum Pizarra, gdzie można zapoznać się z dokumentami i pamiątkami rodzinnymi rodu Pizarrów. Brat Francisco, Hernando Pizarro zbudował Pałac Markiza Konkwistadora na Plaza Mayor, a kuzyn Francisco de Orellana był pierwszym Europejczykiem, który przez dwa lata żeglował po Amazonce, aż do jej ujścia, gdzie zresztą został zabity przez Indian. Pałac Orellano-Pizarro, z pięknym patio, usytuowany jest również przy centralnym placu miasta. Znajdowała się tam szkoła prowadzona przez zakonnice.

Dalej podróż zawiodła nas do Caceres – miasta liczącego ponad 2000 lat i będącego stolicą prowincji o tej samej nazwie. Osada założona przez Rzymian w I w.p.n.e., od V wieku była pod panowaniem Wizygotów, a od 711 roku została podbita przez Maurów. Dopiero w I połowie XII wieku miasto wróciło pod panowanie królów kastylijskich. Ze względu na zachowaną średniowieczną architekturę i mury obronne, Caceres zostało wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Obok stosunkowo dobrze zachowanych pałaców i rezydencji miejscowych notabli, to co, rzuciło nam się w oczy, to była bardzo duża ilość bocianich gniazd, a jedna z wież miasta nosiła nawet nazwę „Wieży Bocianów”. Podziwiając budowle z XV i XVI wieku, zbudowane w stylu gotyckim i renesansowym, kierowaliśmy się jednak dalej w stronę granicy z Portugalią, aby po drodze dotrzeć do najbardziej wysuniętej na zachód prowincji Cesarstwa Rzymskiego, Luzytanii i jej stolicy Augusta Emerita, noszącej dziś nazwę Meridy (kilka lat później miałem okazję odwiedzić meksykańską Meridę na Jukatanie).

Merida została założona w 25 r. p.n.e. i ma jedne z największych w Hiszpanii znalezisk obiektów z czasów rzymskich. Teatr rzymski (Teatro Romano), na ponad 5 tysięcy miejsc, jest bardzo dobrze zakonserwowany i wzbudza podziw zwiedzających. Zbudowany z granitowych bloków funkcjonuje nadal i co roku odbywa się w nim w miesiącach letnich Festiwal Teatralny, na który przyjeżdżają zespoły z całej Europy. Duże wrażenie wywarł na nas również amfiteatr rzymski mogący pomieścić około 15 tysięcy widzów. W czasach Cesarstwa miały tutaj miejsce wyścigi rydwanów oraz walki gladiatorów. Z innych obiektów, które wizytowaliśmy, warto odnotować most na rzece Guadiana mający ponad 700 m długości, który jest największym mostem rzymskim zachowanym w Hiszpanii i z którego można podziwiać mury maurańskiej twierdzy Alcazaba z IX wieku, ruiny akweduktu, kościół św. Eulalii z IV wieku, Casa Romana z freskami w stylu pompejańskim i mozaikami oraz wspaniałe Muzeum Sztuki Rzymskiej. Kontemplując jeszcze Łuk Trajana i ruiny Świątyni Diany opuściliśmy te rzymskie pozostałości

na hiszpańskim terytorium i wjechaliśmy do stolicy prowincji, miasta Badajoz, odległego zaledwie o 6 km od granicy z Portugalią.

Bliskość granicy wpłynęła na nas pobudzająco. Zostawiając historię i jej zabytki wróciliśmy do teraźniejszości końca XX wieku. Czas było pomyśleć o posiłku, zatankowaniu samochodu i jeździe do Lizbony. Wylądowaliśmy w zajezdzie „Meson Zacarias” („U Zachariasza”) prowadzonego przez Hiszpana i jego żonę, Portugalkę. Kuchnia była oczywiście hiszpańsko-portugalska, wyśmienita i do tego olbrzymie porcje. Na końcu, jako deser, domowe ciasto i wyborna kawa. Do tego wszystkiego bardzo sympatyczna obsługa, przez samego właściciela opowiadającego różnego rodzaju historyjki i anegdoty. Tak się nam spodobało to miejsce, że w okresie późniejszym jadąc z żoną do Lizbony jeszcze dwa razy gościliśmy u miłych gospodarzy nie zawodząc się nigdy, ani na jedzeniu, ani na uprzejmości obsługi. Zatankowaliśmy tuż przed granicą, której praktycznie nie było, gdyż oba państwa były już członkami Unii i wjechaliśmy na piękną, asfaltową autostradę, pachnącą świeżością, gdyż była budowana na EXPO. Niespodziewanie, po kilku dosłownie kilometrach po stronie portugalskiej autostrada się skończyła i zostaliśmy skierowani na normalną dwupasmową drogę krajową. Jako przybysza z Polski specjalnie to mnie nie zdziwiło, gdyż nie takie rzeczy widziało się w PRL-u. Ostatni odcinek drogi do Lizbony przejechaliśmy autostradą już istniejącą i do miasta wjechaliśmy nowym, pięknym mostem „Vasco da Gama” rozpościerającym się nad rzeką Tag, zbudowanym na EXPO 98.

Pobyty w Lizbonie był typowo turystyczny. Zwiedzanie EXPO zaledwie w ciągu jednego dnia to było stanowczo za mało na takie wielkie międzynarodowe widowisko w postaci kilkudziesięciu pawilonów narodowych, w tym polskiego prezentującego bogactwo bursztynowe naszego wybrzeża i wyroby z niego, przygotowane przez polskich artystów-rzemieślników. Następnego dnia poświęciliśmy na zwiedzanie miasta. Nie omieszkaliśmy odwiedzić starej dzielnicy Lizbony, Alfama z obowiązkowym przejazdem starym tramwajem, przejść się nadmorskimi bulwarami podziwiając Wieżę Betlejemską (Torre de Belem), zobaczyć fascynujący Klasztor Hieronimitów czy Zamek św. Jerzego, aby wylądować na końcu we współczesnym Muzeum Gulbenkiana. Podczas zwiedzania miasta, przypomniałem sobie, jak w 1992 roku, wracając z Argentyny, przypadkowo, w starej Lizbonie, spotkałem znajomego dyplomatę peruwiańskiego, z którym utrzymywałem kontakty w Warszawie. Radości było co niemiara. Zaprosił nas wszystkich do swojego domu się w miejscowości Cascais słynącej ze znakomitych plaż i położonej niedaleko portugalskiej stolicy. Przyjęliśmy miłe zaproszenie i kolejnego dnia podmiejskim pociągiem dojechaliśmy do Cascais. Znaleźliśmy tam wszyscy to, za czym od dawna tęskniliśmy: słońce, plażę i morze, a właściwie Ocean



Panorama centrum Lizbony



Widok uliczki z zabytkowym tramwajem w starej części Lizbony, dzielnicy Alfama



Atlantycki. I dokładnie w czasie snucia tych wspomnień złapał nas telefon od organizatorów rejsu dla dzieci, który zmienił nasze plany podróży. Okazało się, że „Zawisza Czarny” miał małą awarię i wymiana załogi miała nastąpić nie w Algeciras, jak planowano, ale w porcie miasta Malagi, gdzie był naprawiany. By zdążyć musieliśmy wyjechać z Lizbony następnego dnia rano kierując się na południe kraju. Chcąc zobaczyć jednak trochę Portugalii pojechaliśmy drogami krajowymi, a nie płatną autostradą, do której kierowały olbrzymie drogowskazy ustawione przy drogach, przez które przejeżdżaliśmy. Poza łykiem nowoczesności widzianej w Lizbonie i w strefie EXPO, oglądaliśmy wiejski krajobraz Portugalii, który nie różnił się niczym od polskich wsi. Widać było, zwłaszcza w infrastrukturze komunikacyjnej, że dobrodziejstwa Unii zaczynały dopiero tu docierać. Ilość niebieskich tabliczek informujących o tym, że zbudowano to i owo z funduszy Unii rosła w miarę zbliżania się do sławnych kurortów portugalskich na wybrzeżu Algarve. Niestety, z braku czasu, musieliśmy je ominąć i skierować się do niewielkiego przejścia granicznego z Hiszpanią. Już na terytorium hiszpańskim, na małej stacji benzynowej spotykaliśmy dwa samochody jadące w stronę Portugalii. Jakież jest nasze zdziwienie, kiedy okazało się, że obydwie były z... Polski. Sądząc po rejestracji, jeden z Warszawy,



Autor na jednej  
z uliczek Alfama w Lizbonie

a drugi z Białegostoku. I jak nie przytoczyć, w tym miejscu znanego powiedzenia, „gdzie kamieniem nie rzucisz, tam spotkasz Polaka”. Po krótkiej wymianie zdań każdy pojechał w swoją stronę. Oni rozkoszować się urokami Algapve, a my kontynuowaliśmy podróż w stronę Malagi.

Zatrzymaliśmy się na noc w Algeciras, gdzie mieliśmy zarezerwowany hotel, gdyż kolejny telefon z Malagi poinformował nas, że wyjście żaglowca przewidziane jest dopiero następnego dnia po południu. Wykorzystaliśmy, więc okazję, aby wczesnym rankiem pojechać zobaczyć sławną skałę Gibraltaru – terytorium zależne Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy zdobyli go w 1704 roku od Hiszpanów, a w 1713 roku Traktat z Utrechtu przyznał im suwerenne prawa do tego terytorium. Nadal toczy się jednak spór z Hiszpanią, która nie pogodziła się z utratą tego skrawka Półwyspu Iberyjskiego. Powodowało to i nadal powoduje czasami napięcia w stosunkach między obu państwami, jak np. blokowanie drogi dojazdowej do Gibraltaru przez hiszpańskie służby graniczne lub protesty dyplomatyczne w przypadku składania wizyt w tym miejscu przez oficjalne osobistości brytyjskie. Obszar tej ostatniej kolonii w Europie to niecałe 7 km<sup>2</sup>, zamieszkuje go ok. 30 tysięcy osób. Zgodnie z radą usłyszaną w hotelu, gdzie spędziliśmy noc, zostawiliśmy samochód



Autor z żoną przed  
Wieżą Betlejemską w Lizbonie

na jednym z miejskich parkingów i odtąd poruszaliśmy się pieszo lub minibusem po stromych i wąskich uliczkach tej swoistej „Skały”, jak nazywają ją Hiszpanie.

Gibraltar jest strefą wolnocłową, więc praktycznie sklepy mieszczą się jeden obok drugiego oferując turystom towary z całego świata po atrakcyjnych cenach. Przeważa współczesna elektronika, alkohole i papierosy. Wśród właścicieli sklepów i sprzedawców rozróżnialiśmy osoby pochodzenia włoskiego, hiszpańskiego i portugalskiego, ale wszyscy obok posługiwali się także językiem angielskim, co nieraz brzmiało bardzo dziwnie. Gonił nas jednak czas, toteż lokalnym minibusem wjechaliśmy szybko na wzgórze do ruin arabskiej fortecy legendarnego wodza Tarika ibn Zijada z VIII wieku. Z tego miejsca, z najdalej wysuniętego punktu Europy (Europa Point), podziwialiśmy rozległą panoramę Oceanu i ponieważ mieliśmy szczęście, bo był to pogodny dzień, mogliśmy zobaczyć brzeg kontynentu afrykańskiego. Nieodzownym punktem zwiedzania było oglądanie sławnych gibraltarskich małp – magotów, jedynych w Europie małp, dzięki istnieniu których – jak głosi legenda - Skała Gibraltarska należy do Brytyjczyków i będzie należała dopóki będą tam żyć magoty. Z braku czasu nie zwiedziliśmy słynnych tuneli wydrążonych w skałach, z których najstarsze pochodzą jeszcze z końca XVIII wieku, kiedy to wojska francusko-hiszpańskie oblegały przez 4 lata brytyjską twierdzę. Później jeszcze były rozbudowane, a w czasie II wojny światowej służyły do przechowywania broni i amunicji, był tam także umieszczony szpital wojskowy. Nie zapomnieliśmy jednak wstąpić do miejscowej katedry, aby zobaczyć pamiątkową tablicę poświęconą gen. Władysławowi Sikorskiemu, który zginął tragicznie 4 lipca 1943 roku w katastrofie lotniczej, niewyjaśnionej zresztą do dnia dzisiejszego. W szybkim tempie dojechaliśmy do Malagi i skierowaliśmy się wprost do portu, gdzie spostrzegliśmy cel naszej podróży – żaglowiec „Zawisza Czarny” oraz skupioną wokół niego gromadę młodzieży polskiej przybyłej na zmianę załóg, a także hiszpańskiej publiczności podziwiającej polski jacht. Ci, którzy wracali do Polski wsiedli do oczekującego na nich autobusu i odjechali, natomiast ich zmiennicy, w tym nasze dzieci, zajęli ich miejsca w kajutach i na pokładzie jachtu. „Zawisza Czarny” w swojej podróży przez Morze Śródziemne zawiązał m.in. do Lizbony, gdzie w ramach EXPO miał miejsce na jego pokładzie „Dzień Polski”, a honorowym gościem, a właściwie gospodarzem dla zaproszonych reprezentantów państw uczestniczących w EXPO, był Premier RP Jerzy Buzek, z którym młoda załoga żaglowca chętnie robiła sobie pamiątkowe zdjęcia. Dowiedziałem się o tym z opowiadań dzieci, kiedy w domu pokazywały fotografie z pobytu w Lizbonie, mniej natomiast mówiły o przebytej morskiej chorobie między Malagą a hiszpańską Ceutą na kontynencie afrykańskim. Dotyczyło to także przeżytych

sztormów na słynnych „Biskajach” u brzegów Galicji, gdzie też, w mieście A Coruña, zakończyły swą morską przygodę... Kilkanaście lat później, będąc na grillu u znajomych pod Warszawą, spotkałem – jak mi przedstawiono – kapitana jachtowego, który na dźwięk mojego nazwiska, stwierdził, że był szefem wachty na „Zawiszy Czarnym”, w której pełniła służbę moja córka. Jak wiadomo, świat jest mały!

Ta krótka podróż przez Andaluzję tak nas urzekła, że postanowiliśmy tam wrócić. A ponieważ w rodzinie panowała jednomyślność w tej kwestii, zrobiliśmy tak i to nawet kilka razy. W pierwszym rzędzie, co zresztą każdemu czytającego te słowa polecam, odwiedziliśmy magiczny trójkąt: Sewilla, Kordoba i Grenada. Nieważne, co opisują przewodniki albo opowiadają ci, którzy tam byli, to po prostu trzeba samemu zobaczyć i wczuć się w atmosferę odwiedzanych miejsc, poznać zabytki i ich piękno, wywodzące się z mieszaniny różnych kultur i ras, a przede wszystkim mieć kontakt z mieszkańcami Andaluzji, z ich radością życia i gościnnością. Mogliśmy to odczuć sami, chociażby podczas pobytu w Kordobie, kiedy właściciel hostelu, gdzie zatrzymaliśmy się, radził nam co zwiedzać, w jakich porach i gdzie jeść. Rady te były naprawdę przydatne, gdyż np. jedliśmy w lokalach, gdzie w zasadzie stołowali się tylko miejscowi, smacznie i o wiele taniej niż w restauracjach czy barach typowo turystycznych. Syn do dzisiaj wspomina zjedzony wówczas *rabo de toro*, czyli gulasz zrobiony z ogona byka. Mówiąc o Kordobie trzeba pamiętać, że w VIII wieku była stolicą mauretańskiej Hiszpanii za panowania Abd ar-Rahmana I. Była też centrum religijnym, naukowym i kulturalnym. Właśnie wtedy rozpoczęto budowę największego obecnie zabytku miasta Mezquity rozbudowywanej przez kolejnych kalifów. Jest to jeden z największych meczetów na świecie i jedyny w Hiszpanii zachowany z okresu średniowiecza. Wśród tysiąca jego kolumn można zobaczyć również fragmenty pochodzące z czasów rzymskich i wizygockich. W samym centrum meczetu jest zbudowana chrześcijańska katedra, zgodnie z rozkazem Karola V, która jest czynna. Jak nam powiedziano, że jeżeli ktoś pójdzie rano w niedzielę do tej katedry na katolicką mszę może obejrzeć przy okazji cały meczet gratis, inaczej, tak jak my, za wstęp do tego obiektu trzeba sporo zapłacić. Andaluzja była, w czasach naszego podróżowania po niej, jedynym regionem Hiszpanii, gdzie oficjalnie obowiązywała przerwa obiadowa tj. *sjesta*, trwająca od dwunastej w południe do piątej po południu. Dla nas, przybyszów znad Wisły, wydawało nam się to dziwne i niezrozumiałe, ale po pobycie w letnie dni, kiedy słońce w tych godzinach paliło niemiłosiernie, a temperatura dochodziła do 45 stopni Celsjusza w cieniu, pojęliśmy w pełni sens tej decyzji. Wspomniałem o Kordobie, ale na trasie wspomnianej podróży była jeszcze przecież Sewilla ze swoimi wspaniałymi zabytkami, takimi jak katedra, Alkazar, wieża La Giralda czy

też wyspa Cartuja, nie mówiąc już o Granadzie ze słynną Alhambrą. Miasta te zostały tak pięknie opisane w przewodnikach turystycznych, że po prostu odsyłam czytelników do nich. Po ich przeczytaniu na pewno wzrosnie chęć, aby samemu te cuda zobaczyć.

Andaluzja jest to również kraina górska. Aby się o tym przekonać, dobrze byłoby, tak jak my, odbyć podróż do Rondy, niedużego miasteczka, położonego wysoko w górach, do którego dojeżdża się górkami serpentynami. Samo miasto jest przedzielone głębokim jarem z położonym nad nim mostem, łączącym obie jego części. Położone nad skalnym urwiskiem, było, w czasach panowania na tych terenach islamu, ufortyfikowaną stolicą królestwa, która została zdobyta przez chrześcijańskie wojska w 1485 roku. Trzysta lat później w Rondzie zainaugurowano jedną z najstarszych i najpiękniejszych aren *corridy* w Hiszpanii. Dzieje tej sztuki walki człowieka z bykiem na przestrzeni wieków można prześledzić w istniejącym tam muzeum i jednocześnie podziwiać zebrane tam stroje toreadorów oraz inne eksponaty związane z *corridą*. W mieście zachowały się jeszcze zabytki pochodzące z czasów panowania arabskiego nad tym terytorium, które częściowo zostały przebudowane w epoce renesansu zachowując fragmenty arabskiej sztuki zdobniczej.

Dla zagranicznych turystów bardziej znane jest jednak wybrzeże Andaluzji, słynne Costa del Sol. Dzięki uprzejmości hiszpańskich przyjaciół, mogliśmy obejrzeć znane i w Polsce miejscowości, takie jak: Estepona, Marbella czy Puerto Banus, ze swoimi nadmorskimi bulwarami i pięknymi siedzibami szefów arabskich lub znanych osobistości ze świata filmu i muzyki. W położonym nad Marbellą wzgórzu oglądaliśmy, z zewnątrz, m.in. jedną z rezydencji znanego piosenkarza Julio Iglesiasa, odkupioną zresztą od słynnego toreadora hiszpańskiego Enrique Ponce, która oprócz luksusowego domu i innych wspaniałości posiada także prywatny kościółek. Z rezydencji rozciąga się wspaniały widok na leżącą u podnóża Marbellę, a nawet widoczna jest skała Gibraltaru.

Opisując podróże po Andaluzji czynię niejaka krzywdę innym rejonom Hiszpanii, które również odwiedziłem sam lub z członkami rodziny, jak np. Katalonię czy Galicję. Sądzę, że wyjściem z tej sytuacji będą opowieści hiszpańskie zebrane w oddzielną całość. Związane jest to z rodzinnymi historiami, gdyż jak wspominałem, po czteroletnim pobycie w Madrycie, wróciłem do pracy w Centrali MSZ w Warszawie, gdy tymczasem żona, jako dyrektor Polskiego Ośrodka Informacji Turystycznej pozostała nadal w Hiszpanii, podobnie jak dzieci kontynuujące studia w madryckim Uniwersytecie. Nic dziwnego, że moje podróże, już całkiem prywatne, na Półwysep Pirenejski, do Hiszpanii lub Portugalii były częste. Trwało to kilka lat, aż do momentu wyjazdu na kolejną placówkę. Tym razem był to jeden z największych krajów Ameryki Łacińskiej, leżący geograficznie w Ameryce Północnej, czyli Meksyk lub mówiąc oficjalnie, Meksykańskie Stany Zjednoczone.

## Rozdział XVIII

### Rzym, Watykan, papież

Zanim jednak przejdę do opisu pobytu na ziemiach Azteków i Majów chciałbym powiedzieć w kilku słowach o podróży do Wiecznego Miasta, która miała miejsce w czasie pobytu na placówce w Madrycie, podczas krótkiego urlopu. Tak się złożyło, że w Wydziale Handlowym Ambasady Polskiej w Rzymie pracowali nasi przyjaciele Irena i Edward Kowalscy, z którymi los nas zetknął w Brazylii. Postanowiliśmy wykorzystać okazję i przyjąć ich zaproszenie do odwiedzenia Rzymu. Ciągłe odkładana podróż, z uwagi na nawał pracy w Hiszpanii, doszła wreszcie do skutku w październiku 1998 roku. Na datę swojego wyjazdu patrzyliśmy przede wszystkim przez pryzmat możliwości wzięcia razem urlopu oraz możliwości przyjęcia nas przez Kowalskich w Rzymie, nie zwracając uwagi na inne okoliczności, o których mieliśmy się dowiedzieć dopiero na miejscu. Przedsmak atmosfery, która oczekiwała nas we Włoszech odczuliśmy już w samolocie lecącym do Rzymu. Przy rejestracji lotu wyznaczono nam miejsca, które znalazły się w środku pielgrzymki hiszpańskiej udającej się do Wiecznego Miasta. W ostatniej fazie lotu, tuż obok nas, stanął opiekun pielgrzymki i zaczął wyjaśniać swoim podopiecznym program całego pobytu. Mówił o wizytach w poszczególnych kościołach Rzymu i w Watykanie oraz o spotkaniu z papieżem Janem Pawłem II podczas

cotygodniowej audiencji na placu św. Piotra przed Bazyliką. Swoje wystąpienie, które, chcąc nie chcąc, słuchaliśmy, zakończył po włosku: „Signori e signore e molta pasta e molti macarroni”, czyli: „Panie i panowie i dużo ciasta i dużo makaronu”, wywołując śmiech wszystkich uczestników pielgrzymki, łącznie z nami. Z tym hasłem i uśmiechem na ustach wyszliśmy z lotniska, gdzie czekał na nas Edzio Kowalski i pojechaliśmy do ich rzymskiego mieszkania, gdzie z kolei czekała już Irena z obiadem. Spokojnie, przy kawie ustaliliśmy nasz program pobytu, który zasadniczo nie różnił się od programu pielgrzymki usłyszanego w samolocie. W końcu przecież „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu” i „nie zobaczyć w tym czasie papieża” to byłoby po prostu grzechem. Z drugiej zaś strony, być w starożytnym Rzymie i nie zobaczyć jego najważniejszych zabytków też byłoby niewybaczalnym grzechem. Aby więc tych grzechów uniknąć, opracowaliśmy plan łączący oba te elementy – zwiedzania miasta dostosowany do kilku dni naszego pobytu. Ponieważ nasi mili gospodarze jednak w ciągu dnia pracowali i nie mogli nam poświęcić zbyt dużo czasu, postanowiłem następnego dnia odwiedzić znajomych w polskiej ambasadzie i poprosić ich o rady i wskazówki oraz ewentualną pomoc przy zwiedzaniu miasta. Tak też uczyniliśmy i wtedy wybuchła prawdziwa bomba informacyjna. Koledzy nie mogli nam poświęcić ani minuty, gdyż wszyscy pracownicy placówki przeżywali gorący okres wizyt w Rzymie najważniejszych osobistości polskich: prezydenta, marszałków Sejmu i Senatu, nie mówiąc już o innych parlamentarzystach czy przedstawicielach rządu. Okazało się, że trafiliśmy na obchody 20 rocznicy wyboru papieża-Polaka i najwyższe czynniki państwa postanowiły zaszczyścić swoją obecnością te uroczystości. Co prawda, prezydent przylatywał do Rzymu w dniu naszego powrotnego odlotu do Madrytu, ale inni członkowie parlamentu i rządu przebywali już w Rzymie, co oznaczało dla polskich dyplomatów praktycznie dwudziestoczterogodzinny dzień pracy. Zaistniałą sytuację rozumiałem doskonale, ponieważ rok wcześniej przeżyłem to samo podczas Sesji NATO w Madrycie, kiedy to zostaliśmy przyjęci do tej organizacji. Jedynym sukcesem naszej wizyty w ambasadzie było koleżeńskie załatwienie dla nas zaproszeń na audiencję papieską na placu przed Bazyliką św. Piotra w strefie gości honorowych.

Oczekując tłumów pielgrzymów i turystów z okazji zbliżającego się papieskiego jubileuszu w pierwszym rzędzie zwiedziliśmy Bazylikę św. Piotra i słynne Muzea Watykańskie. W Bazylice wspięliśmy się na jej Kopułę, skąd mogliśmy podziwiać najbliższe okolice siedziby papieża, w tym Ogrody Watykańskie oraz rozległą panoramę Rzymu. W kolejne dni zwiedziliśmy niektóre, najbardziej znane zabytki Rzymu, o których wcześniej czytaliśmy lub oglądaliśmy

na filmach, takie jak: Koloseum, ruiny Forum Romanum, słynna Fontanne di Trevi, Piazza Navona, Piazza di Spagna oraz słynne Schody Hiszpańskie czy też siedziby prezydenta, rządu i parlamentu. Zwiedzanie odbywało się przeważnie pieszo, niezależnie od zmęczenia, mogliśmy się więc przyjrzeć z bliska tak zabytkom, jak i rzymskiemu ruchowi ulicznemu. W porównaniu z Madrytem był to dla nas wielki chaos z udziałem autobusów, samochodów, motocykli i charakterystycznych dla tego miasta, motorynek. Wszystko to pędziło na złamanie karku, natychmiast po zmianie świateł, co jeszcze bardziej potwierdzało powiedzenie o brawurze „włoskich kierowców”. Przeżyliśmy też oficjalny strajk komunikacji miejskiej, trochę dla nas dziwny. Zaczynał się bowiem o dziewiątej rano, czyli kiedy pracujący dojechali już do swoich zakładów oraz biur i trwał przez cały dzień, tzn. do piątej po południu, czyli innymi słowy do momentu, kiedy większość ludzi wracała z pracy do domu. Tym sposobem zmniejszała się ilość niezadowolonych ze strajku z innych branż korzystających z transportu publicznego. Dzięki życzliwym Kowalskim, korzystając z ich samochodu, mogliśmy obejrzeć okolice Rzymu i spędzić miłe chwile przy kolacji w jednej z sympatycznych restauracji na Zatybrzu.



PREFETTURA DELLA CASA PONTIFICIA

*Permesso personale per partecipare all'Udienza del Santo Padre  
che avrà luogo in Vaticano, nella **Piazza San Pietro**,  
mercoledì 14 ottobre 1998 alle ore 10.*

**REPARTO SPECIALE**

**INGRESSO: PIAZZA DEL SANT'UFFIZIO**

*L'accesso sarà dato alle ore 8*

**N° 167**

*Zaproszenie na audiencję z Papieżem*

Zaproszenie do specjalnego sektora na audiencję papieską  
na placu św. Piotra w Rzymie



Nadszedł dzień audiencji papieskiej na placu św. Piotra. „Uzbrojeni” w zaproszenia do sektora VIP przechodziliśmy przez plac wśród pielgrzymów przybyłych z różnych stron świata, w tym wielu z Polski i z krajów Ameryki Łacińskiej, co było widać po różnokolorowych strojach narodowych i flagach. W końcu dotarliśmy na wyższą część placu, gdzie stały krzesła dla honorowych gości. Zauważyliśmy, że sektor ten też był podzielony na dwie części. W pierwszej, znajdującej się najbliżej miejsca, gdzie miał zasiąść papież, zarezerwowano praktycznie miejsca dla samych duchownych, wśród których przeważały czerwone piuski biskupie. Dopiero za nimi były ustawione krzesła dla pozostałych gości, gdzie z kolei przeważały osoby świeckie. Nasze miejsca były usytuowane w pierwszym rzędzie za duchownymi, mieliśmy więc dobre pole obserwacji zarówno przed audiencją, jak i w czasie jej trwania. Porządku pilnowali księża-pracownicy Kurii Rzymskiej, z których najbardziej widoczni byli polscy księża. Oni usadzali gości, a nawet przesuwali ich z jednej strefy do drugiej, w zależności od rangi i pochodzenia krajowego. Zrozumiałem wtedy niektóre złośliwe wypowiedzi na łamach prasy włoskiej i z innych krajów, że Watykanem rządzi „polska mafia”. Rozmyślenia te przerwało pojawienie się papieża Jana Pawła II, który rozpoczął objazd całego placu pozdrawiając poszczególne sektory pielgrzymów, aby dojechać do podwyższenia i przejść (jeszcze wtedy mógł to zrobić samodzielnie) do papieskiego tronu ustawionego pod baldachimem. Na trasie przejścia zostały umieszczone osoby niepełnosprawne na wózkach inwalidzkich, do których papież podchodził i je błogosławił. Po tradycyjnej modlitwie celebrowanej przez towarzyszących papieżowi księży i wygłoszeniu przez niego samego błogosławieństwa dla niektórych pielgrzymek wymienionych z imienia i dla wszystkich zgromadzonych na placu, rozpoczął się kolejny akt audiencji. Zgłoszone wcześniej i zaakceptowane przez Kurię osoby lub pary małżeńskie podchodziły oddzielnie do papieża i, po krótkiej rozmowie, również otrzymywały znak błogosławieństwa z rąk Jana Pawła II. Po tej ceremonii papież udał się do swojej siedziby w Pałacu Papieskim.

Osobiście przeżywałem wielkie emocje, gdyż po raz pierwszy znalazłem się tak blisko polskiego papieża, dotychczas nie miałem takiej okazji. Ani będąc w Polsce, ani za granicą: w kraju nie byłem akurat w tym mieście, które odwiedzał podczas swoich pielgrzymek, za granicą zaś, przyjeżdżałem bowiem tuż po zakończeniu jego wizyt, jak miało to miejsce w przypadku Brazylii i Meksyku. Zazdrościłem mojej żonie, która będąc na międzynarodowej konferencji Światowej Organizacji Turystycznej (WTO), odbywającej się w Rzymie kilka lat wcześniej, została przyjęta wraz z jej kierownictwem na audiencji prywatnej w Watykanie przez Jana Pawła II i osobiście mogła



Papież Jan Paweł II w czasie audiencji



Widok na Bazylikę św. Piotra w Watykanie

się z nim przywitać. Zresztą, dzięki żonie znalazłem się jeszcze raz w Rzymie i w Watykanie już po moim powrocie z Hiszpanii do Polski. Żona pracowała nadal jako dyrektor Ośrodka Informacji Turystycznej w Madrycie i uczestniczyła w naradzie dyrektorów podobnych Ośrodków z całego świata, zorganizowanej we włoskiej stolicy. Dojechałem do niej z Warszawy jako osoba towarzysząca, „towarzysząc” żonom pozostałych dyrektorów. Przez przypadek, jedna z nich postarała się o zaproszenia na spotkanie z Janem Pawłem II w Auli Pawła VI w Pałacu Papieskim. Okazało się, że nie była to zwykła audiencja dla wszystkich, jedynie dla Polaków i to nie z byle jakiej okazji. Mianowicie były to imieniny papieża, czyli Karola. Siedząc na widowni obserwowałem długą kolejkę delegacji z różnych miejscowości Polski i przedstawiciele wielu stowarzyszeń religijnych, nie mówiąc o biskupach i przełożonych różnych zakonów, którzy wręczali Solenizantowi wszelkiego rodzaju prezenty od ludowego rękodzieła, po obrazy i książki wraz ze stosownymi życzeniami. Jan Paweł II podziękował wszystkim serdecznie za życzenia i prezenty, a wszystkim obecnym w Auli udzielił papieskiego błogosławieństwa. W odróżnieniu jednak od audiencji na placu św. Piotra, w czasie tej audiencji, papież poruszał się już na specjalnym wózku, a jego słowa nie zawsze były wyraźne i zrozumiałe jak niegdyś. Mimo to, sama jego obecność wzbudzała wielkie wzruszenie i z wielkim uczuciem zebrani zaśpiewali Dostojnemu Solenizantowi tradycyjne, polskie „Sto lat”.

W krajach Ameryki Łacińskiej postać Jana Pawła II cieszyła i nadal cieszy się wielkim szacunkiem i poważaniem. Odczuwałem to w swojej pracy zawodowej, przy załatwianiu różnych spraw byłem przyjmowany jako „ten pochodzący z kraju ojczystego papieża” i wielokrotnie udawało mi się załatwić definitywnie lub przyspieszyć załatwienie sprawy przez lokalnych urzędników. Polska mennica wydała monety z podobizną Jana Pawła II, które ofiarowane miejscowym notablom w Meksyku czy w Peru były najlepszym dla nich prezentem. Bez wątplenia, „Papież znad Wisły” był w ostatnich dziesięcioleciach najlepszym i największym Ambasadorem Polski w świecie, dzięki któremu słowo „Polska” stało się znane i bliższe najszerzym warstwom społecznym w wielu krajach, zwłaszcza w tych, które odwiedził w swoich licznych podróżach.

## Rozdział XIX

### To jest Meksyk

„Que viva Mexico!”. Słowa te, podobnie jak wspomniane „España olé!”, nie spotkały się z pełnym entuzjazmem najbliższej rodziny. Dzieci kończące studia w Madrycie z miejsca zadeklarowały, że nie pojadą ze mną, a żona, że najpierw musi przekazać swoje obowiązki w Madrycie, chociaż mogła jeszcze zostać w Hiszpanii. W tej sytuacji, w październiku 2003 roku wyleciałem sam, via Frankfurt, samolotem Lufthansy do Meksyku, lądując na stołecznym lotnisku Benito Juarez. Rozpoczęły się tam właśnie prace zmierzające do jego rozbudowy i powiększenia o nowy terminal. Prace te towarzyszyły mi przez cały okres pobytu, gdyż ilekroć, a było to wielokrotnie, jechałem na lotnisko na przywitanie delegacji rządowych i innych ważnych osobistości lub po prostu znajomych, zmieniały się trasy prowadzące do pawilonu przylotów, jak i przejścia wewnątrz samego dworca lotniczego. Były jednocześnie oznaką, jaką wagę przykładają meksykańskie władze do rozwoju kraju i jego wizytówki, którą stanowi niewątpliwie port lotniczy stolicy. Rezultat był imponujący. Nowy terminal jest większy od pierwszego, również powiększonego i zmodernizowanego, a między nimi kursuje kolejka szynowa. Zatrzymałem się nad tym pierwszym obiektem na nowo spotkanej meksykańskiej rzeczywistości (pierwszy raz w Meksyku byłem w 1976 roku) gdyż dosłownie był

on dla mnie symbolem zmian, jakie przechodzi współczesny Meksyk. Innym, ciekawym i charakterystycznym elementem pobytu była moja legitymacja dyplomatyczna wydana przez meksykański MSZ dnia 28 października tj. w dniu imienin Tadeusza w Polsce, a w Meksyku św. Judy Tadeusza (San Juda Tadeo) – patrona spraw niemożliwych i beznadziejnych. W życiu prywatnym używam swojego drugiego imienia, byłem ciekawy jak jego patron jest przyjmowany w Meksyku. Okazało się, że w kościołach meksykańskich wszędzie są wydzielone kaplice ku czci świętego i przy jego figurze lub obrazie pali się najczęściej świeczek stawianych przez wiernych proszących o pomoc w sprawach życiowych trudnych do rozwiązania. W centrum miasta znajduje się kościół św. Hipolita z XVI wieku, zbudowany przez Hiszpanów, upamiętniający ich zwycięstwo nad Aztekami pod wezwaniem, jednakże w czasach późniejszych nadano mu imię San Juda Tadeo i obecnie kościół jest bardziej znany pod tym imieniem niż jego pierwszego patrona. W dniu święta, tj. 28 października, wokół kościoła odbywał się wielki festyn i można było kupić na rozłożonych stoiskach różnego rodzaju i rozmiaru figurki lub obrazki z wizerunkiem świętego. Ponadto, jak głosi anegdota, w tym dniu w kościele spotykają się na modlitwie, przedstawiciele dwóch profesji całkowicie przeciwstawnych w realnym życiu, a których jest patronem, przynajmniej w Meksyku, a mianowicie: policjantów i... złodziei. Bywało, że nieraz wykorzystywałem imię i potwierdzającą to legitymację do załatwiania spraw z administracją państwową różnego szczebla, w momencie kiedy wszelkie racjonalne argumenty do załatwienia sprawy zawodziły, wówczas moje odwołanie do świętego i jednocześnie mojego patrona radykalnie zmieniały sytuację i wychodziłem z urzędu z pozytywnym rezultatem.

Przylatujących do stolicy Meksyku zadziwia ogrom tego miasta. Po wstępnej informacji pilota o zbliżaniu się samolotu do lądowania leci się jeszcze około pół godziny nad miastem. W zależności od pory dnia (dzień lub wieczór) z okien samolotu rozciąga się panorama tego miejskiego molocha, liczącego ponad 20 mln mieszkańców, lub wieczorem nieprzerwana strefa świateł. Poza centrum miasta z drapaczami chmur, przeważa, niska zabudowa, stąd też jego rozległość. Architektura związana jest z jego położeniem, gdyż leży ono w aktywnej strefie sejsmicznej i trzęsienia ziemi są tutaj na porządku dziennym. Jedno z bardziej tragicznych w ostatnich dziesięcioleciach miało miejsce 19 września 1985 roku, kiedy zniszczone zostało centrum miasta, zginęło kilkanaście tysięcy osób, a w wielu wysokich budynkach zostały naruszone ich konstrukcje nośne. Trwało zaledwie dwie minuty, ale jego siła osiągnęła 8,1 stopni w skali Richtera. Na próżno szukałem w centrum miasta hoteliku, w którym mieszkałem w 1976 roku, widocznymi pamiątkami – symbolami

tego trzęsienia – były niektóre wysokie budowle pozostałe w centrum miasta do pierwszych lat mojego pobytu, w tym 25 piętrowy gmach meksykańskiego MSZ, z którego użytkowane były jedynie sale konferencyjne znajdujące się na poziomie parteru i I piętra. Reszta budynku, z obawy przed zawaleniem, stanowiła pustostan. Znajdujące się niedaleko centrum prasowe Olimpiady 1968 roku, zbudowane w kształcie piramidy azteckiej, stało również opuszczone. Natomiast kilka budynków usytuowanych wzdłuż reprezentacyjnej alei stolicy, Paseo de la Reforma, poczynając od 2005 roku zaczęto remontować i powstały w nich nowe, luksusowe hotele. Mam osobiste wspomnienia związane z trzęsieniami ziemi w meksykańskiej stolicy, które zapamiętałem. Pierwsze, w wieczór noworoczny 2004 roku, kiedy w mieszkaniu znajdującym się na 10 piętrze, siedząc przed telewizorem poczułem się jak gdybym był na huśtawce, a wiszące na ścianie za telewizorem meksykańskie aniołki zaczęły wykonywać jakiś dziki taniec, zaczęły też dzwonić chilijskie, miedziane dzwoneczki wiszące pod sufitem. W telewizji wyświetlano jakiś film, sięgnąłem więc po radio, w którym nadawano komunikat o trzęsieniu ziemi, epicentrum którego znajdowało się w stanie Guerrero, a jego siła w stolicy osiągnęła 6,1 stopni w skali Richtera. Zgodnie z usłyszanym komunikatem chwilowo nie odnotowano poważniejszych szkód materialnych ani ofiar. Uspokojony, wróciłem do oglądania filmu, ale pół godziny później aniołki rozpoczęły znów taniec w rytm dzwoneczków. Tym razem komunikat radiowy informował o tzw. replice, czyli ponownym trzęsieniu, ale tylko o sile 5,8 stopnia. Do rana nastąpiły kolejne wstrząsy, ale o malejącej już sile. Jak się okazało następnego dnia, koledzy z placówki mieszkający najwyżej na wysokości I piętra, praktycznie nie odczuli niczego. Zacząłem wówczas myśleć o zamianie mieszkania. Kropkę nad „i” jak zwykle postawiła moja żona, kiedy sama przeżyła kolejne trzęsienie o sile 5,9 stopnia. Tej samej nocy delegacja polska wracająca z jednopiętrowej rezydencji ambasadora, już po trzęsieniu, do hotelu, w którym zajmowała pokoje powyżej 30 piętra, ze zdziwieniem zastała gości hotelowych w piżamach na zewnątrz budynku, z obawy przed potencjalną katastrofą. Zmieniliśmy więc mieszkanie na inne, na sąsiedniej ulicy, na piątym piętrze w solidnym budynku, którego architektem był twórca słynnego Narodowego Muzeum Antropologii, Pedro Ramirez Vasquezana. Do końca pobytu nie przeżyliśmy już podobnych stresów, chociaż wstrząsy o mniejszej sile trwały cały czas. Restrykcje budowlane wprowadzane przez władze po trzęsieniu 1985 roku dały jednak swoje pozytywne rezultaty, gdyż wszystkie nowe budynki, zwłaszcza wysokie, musiały mieć atest na wypadek trzęsień ziemi. Zdało to egzamin przy kolejnym, mającym miejsce w dniu 21 marca 2012 roku, kiedy siła wstrząsu sięgnęła 7,6 stopnia, ale nie spowodowała poważniejszych zniszczeń ani ofiar w ludziach.

Innym aspektem codziennego życia w mieście Meksyk były odległości dzielące nas, zamieszkałych niedaleko ambasady w południowej części miasta, od centrum czy innych dzielnic, gdzie znajdowały się siedziby i rezydencje dyplomatyczne albo instytucje państwowe, do których należało dojeżdżać na spotkania lub oficjalne imprezy. W najbliższych okolicach, oprócz polskiej ambasady na ulicy Cracovia, zawdzięczającej swoją nazwę jednemu z ambasadorów rodem z Krakowa, znajdowały się tylko placówki dyplomatyczne Stolicy Apostolskiej i Chin. Pozostałe, jak wspomniałem, były położone w innych dzielnicach, odległych od nas, w zależności od stopnia nasilenia ruchu ulicznego, od godziny do półtorej w jedną stronę. Pamiętam, jak dojeżdżaliśmy przez cały rok do Ambasady Holandii na spotkania unijne, podczas sprawowania prezydencji UE przez Holandię i kolejnej, Luksemburga, do dzielnicy Santa Fé, położonej dosłownie na przeciwległym końcu miasta i wzorowanej na paryskiej dzielnicy La Defense. Ta zupełnie nowa dzielnica wieżowców, o nowoczesnej architekturze, powstała na dawnym wysypisku śmieci, które zwożono przez lata z całego miasta. Dojazdy do poszczególnych siedzib MSZ, położonych w kilku punktach centrum, różnych instytucji



Widok z Zocalo  
– centralnego placu stolicy  
w kierunku  
Wieży Latinoamerykańskiej  
– symbolu meksykańskiej stolicy

publicznych i kulturalnych zajmowały dużo czasu. Wystarczy powiedzieć, że droga na lotnisko, na które jeździło się dość często, w zależności od pory dnia i dnia w tygodniu zajmowała, od pół godziny w niedzielę rano do prawie trzech godzin w piątek po południu. Było to niezmiennie, mimo wysiłków władz i ciągle poprawianej sieci dróg ekspresowych wewnątrz miasta. Zbudowano m.in. tzw. drugie piętro autostrady śródmiejskiej, a dla poprawienia komunikacji miejskiej, na wzór brazylijskiej Kurytyby i kolumbijskiej Bogoty, uruchomiono wzdłuż najbardziej ruchliwych ulic przecinających sporą część miasta tzw. metrobus – łączący w sobie funkcje metra i autobusu miejskiego, poruszającego się po wydzielonych pasach. Przebywanie tyle czasu w samochodzie lub w komunikacji miejskiej nie należało więc do przyjemności, tak jak stałe przebywanie w mieście. Meksyk należy do jednego z najbardziej zanieczyszczonych smogiem miast w świecie, dlatego też w stolicy obowiązuje obowiązek co półrocznego sprawdzania stanu silnika samochodu na wydzielanie spalin. Położenia miasta na dużej wysokości (średnio 2240 m n.p.m.) również wpływa na samopoczucie człowieka. To wszystko powoduje, że zarówno zamożniejsi mieszkańcy, jak i cudzoziemcy tam mieszkający oraz



Portal kościoła św. Franciszka  
– jednego z najstarszych świątyń  
Meksyku, z XVI wieku



turyści bardzo chętnie wyjeżdżają poza teren stolicy, np. do słynnego kurortu morskiego Acapulco, czy też „srebrnego” miasta Taxco położonego w górach, aby choć czasowo znaleźć się w strefie czystego powietrza.

Kwestia zanieczyszczenia powietrza w stolicy była związana także z aktywnością wulkanu Popocatepepl znajdującego się w odległości ok. 60 km od Meksyku. W momencie wznowienia aktywności wulkan wyrzuca olbrzymie ilości gazów oraz pyłu i zależnie od kierunku i siły wiatrów, niekiedy pył ten jest bywa zanieiony aż do stolicy. Osobiście się o tym przekonałem, kiedy pewnego dnia samochody na parkingu zewnętrznym przy bloku, gdzie mieszkaliśmy zostały pokryte warstwą szarego popiołu. Dopiero po przeczytaniu gazety, dowiedziałem się, że sprawcą zjawiska był popularny „El Popo”. Zwiedzaliśmy z żoną Park Narodowy Iztaccihuatl-Popocatepetl, założony w 1935 roku i obejmujący obszar ponad 250 km<sup>2</sup>. „El Popo” ze względu na swoją aktywność jest zamknięty dla wysokogórskich wspinaczy. Jest on drugim najwyższym szczytem w Meksyku (5426 m n.p.m – po wulkanie Pico de Orizaba – 5636 m n.p.m). Znajdujący się obok nieczynny wulkan „Izta”, o kształcie leżącej kobiety, mierzy 5286 m n.p.m., na niego doświadczeni alpinisci mogą się wspinać. Oba wulkany są połączone przełęczą, Paso de Cortés oraz legendą indiańską. Według niej żył kiedyś młody Indianin o imieniu Popoca, który zakochał się z wzajemnością w księżniczce Mixtli. Będąc biednym postanowił zaimponować jej swoją dzielnością i wyruszył na wojnę, aby zdobyć tytuł „wojownika orła” (Caballero Aguila) i być godnym jej poślubienia. Księżniczka nie mogąc się doczekać jego powrotu popełniła samobójstwo. Popoca wróciwszy z wojny jako zwycięzca zastał swoją ukochaną już martwą. Wierząc, że wieczne śniegi wrócą jej życie zaniósł jej ciało na górę, położył na śniegu, a sam usiadł obok z płonąca pochodnią. Zgodnie z legendą taki stan rzeczy trwa do dzisiaj. Nazwa Popocatepetl pochodzi z języka nahautl i oznacza „dymiąca górę”, a Iztaccihuatl z kolei „białą kobietę”, z uwagi na śniegi leżące na szczytach obu gór. Indianie uznają te dwa szczyty za istoty boskie i modlą się u ich stóp o urodzaj i deszcze w porach suszy. Są one także najczęściej powtarzanym motywem malarskim, a obrazki z „El Popo” i „Izta” królują niepodzielnie na wszystkich bazarach pamiątkarskich w rejonie stołecznego Meksyku lub najbliższym znajdującego się od nich miasta Puebla.

Problem ewentualnej erupcji wulkanu „El Popo” spędza jednak sen z powiek naukowcom, gdyż w połączeniu z trzęsieniem ziemi byłaby to prawdziwa tragedia dla gęsto zaludnionego rejonu Meksyku. Dzięki prowadzonym badaniom w roku 2000, dwa dni przed erupcją, zarządzano ewakuację ponad 40 tysięcy osób zamieszkałych w najbliższym sąsiedztwie wulkanu i dlatego też nie odnotowano żadnych ofiar.

Najwyższy szczyt w Meksyku, wygasły wulkan Pico de Orizaba, noszący także prekolumbijską nazwę Citlalte'petl oznaczającą gwiazdzistą górę, mogłem podziwiać z szosy biegnącej u jego podnóży, w drodze do portu Veracruz. Wznosząca się w oddali majestatyczna, samotna góra, przykryta wiecznym śniegiem wzbudza podziw i chęć dotarcia na jego szczyt, co wielu turystów czyni.

Nie mogę się takim wyczynem pochwalić, ale mogę za to innym. Wędrowałem osobiście po zalanym lawą miasteczku San Juan w stanie Michoacán, gdzie nastąpiła erupcja najmłodszego wulkanu w Meksyku, Paricutin, którego nazwa pochodzi od wioski o tej nazwie, na polach której, w roku 1943, uaktywnił się wulkan. Zarówno wioska, jak i sąsiednie miasteczko zostały zalane lawą, a jedyne ocalałe ruiny to pozostałość po budowanym tam kościele. Aby tam dotrzeć, trzeba odbyć kilkukilometrowy spacer lub zafundować sobie przejażdżkę na koniu oferowaną przez miejscowych wieśniaków. Już na miejscu można wspinać się na fragmenty lawy, aby móc z bliska obejrzeć ocalały główny ołtarz z jednej strony i duży fragment portalu wejściowego z drugiej. W środku, czarne, różnej wielkości bloki zastygłej lawy. W niedalekiej odległości widać stożek wulkanu, na miejscu dawnej wioski, o wysokości 400 m, wystający ponad pole kukurydziane, na którym się wulkan „urodził”. Swoją aktywność zakończył w roku 1952. Wspinaczka, chodzenie po lawie, jak i sama przejażdżka konna po leśnych wertepach zawsze będą mi towarzyszyć we wspomnieniach o Meksyku.

W tym samym stanie mogłem podziwiać zjawisko przyrodnicze, dotąd jeszcze do końca niewyjaśnione przez naukowców. Otóż do strefy leśnej w stanie Michoacán, na swoje tereny lęgowe corocznie przylatują z Kanady motyle z gatunku monarcha. Jest ich wiele dziesiątków milionów. Można je podziwiać od listopada do marca, kiedy to nowe już pokolenie udaje się w drogę powrotną na drugi koniec kontynentu północnoamerykańskiego. Fenomen ten podziwiałem w „Santuario de Mariposa El Rosario”. Niesamowite wrażenie zrobiły dla mnie miliony motyli na ziemi wyglądające jak kolorowe łąki lub zwisające z drzew zbite, jak olbrzymie worki. Droga na wierzchołek góry wiodła przez las i na każdej spotkanej polanie było podobnie. Co skłania corocznie motyle do przelotu liczącej kilka tysięcy kilometrów drogi i w te same miejsca? Na pełną odpowiedź zapewne jeszcze poczekamy. Meksyk jest fascynujący pod każdym względem, ze względu na swoją historię, zarówno przedkolumbijską, jak i kolonialną czy współczesną, ludność, kulturę, zwyczaje i tradycje, kuchnię czy rzemiosło ludowe oraz zróżnicowanie poszczególnych regionów. Leżący nad dwoma oceanami: Spokojnym i Atlantyckim ma wspaniałe plaże i miejsca do nurkowania, góry i wulkany,

a także pustynie i dżungle. Jego terytorium liczące prawie 2 mln km<sup>2</sup> jest też potężnym wyzwaniem dla kogoś chcącego poznać cały ten obszar. Mimo wielu podróży służbowych oraz prywatnych, nie mogę stwierdzić, że w pełni zwiedziłem i poznałem dogłębnie ten wspaniały kraj i ludzi go zamieszkujących. Tym niemniej spróbuję przekazać kilka swoich refleksji i wspomnień z nim związanych.

A przygody? Uważam, że już samo poznawanie tak odległych od nas krajów i ludzi, ich zwyczajów i tradycji jest wielką przygodą, a jeśli uda się przeżyć pomyślnie zmiany klimatyczne, nie złapać żadnych chorób egzotycznych i zostawić w tych krajach przyjaciół, których zawsze możesz odwiedzić, to można powiedzieć, że ci się w życiu powiodło i masz o czym opowiadać swojej rodzinie i znajomym, co też poniekąd czynię.

A przygoda? Jak mówi piosenka „Jak przygoda to tylko w Warszawie”. Miałem właśnie taką, jaka mi się nie zdarzyła nigdy w egzotycznych krajach. Na tyłach polskiego parlamentu zostałem napadnięty, pobity i obrabowany ze wszystkiego. Ciekawe, prawda?

Opisując miasto Meksyk, jego wielkość, miejsce pracy i zamieszkania, odległości do przebycia oraz trudności codzienne z tym związane, należy wskazać również na pozytywne aspekty usytuowania placówki i znajdującego się nieopodal mieszkania. Dzielnica San Angel, czyli Świętego Anioła leżąca dość daleko od właściwego centrum miasta była nadal dobrze zachowanym rejonem bogatych rezydencji skrytych w ogrodach za murami, zza których widać wspaniałą roślinność, wśród której wyróżniały się różnokolorowe bugenwille. Tutaj też znajdowały się liczne zabytki z XVI i XVII wieku, jak np. kościół San Jacinto czy też karmelitański kościół Carmen wraz z klasztornym muzeum. Znajdowały się w nim cenne zbiory malarstwa i zabytkowych mebli oraz zmumifikowanych ciał dawnych jego mieszkańców, które można było oglądać w podziemiach w skrzyniach ze szklanym przykryciem. Na placu San Jacinto i okolicznych uliczkach każdej soboty odbywał się tradycyjny jarmark sztuki ludowej znany pod nazwą Bazar Sábado. Zazwyczaj cicha i spokojna okolica zamieniała się w tętniące życiem miejsce pełne malarzy, artystów i mistrzów ludowego rękodzieła, głównie Indian przybyłych z różnych stanów i reprezentujących różne plemiona. Turyści krążyli między straganami, na których wystawiane są rozmaite wyroby z drewna, kamienia, szkła, ceramiki i innych materiałów np. muszli morskich, a towarzyszyła im muzyka grana przez orkiestrę na scenie usytuowanej na placu lub od przechadzających się grup *mariachi* ubranych w swoje tradycyjne stroje. Jak na każdym jarmarku oprócz sztuki królowała też urozmaicona kuchnia. Od przepelnionych restauracji i barów aż do obwoźnych wózków sprzedających gorące *tacos*,

Pomnik Niepodległości  
tzw. Aniołek (El Angelito)  
na głównej alei miasta Meksyk,  
Paseo de la Reforma



Autor obok popiersia  
Ignacego Jana Paderewskiego  
ufundowanego staraniem meksykańskiej  
Polonii na Paseo de la Reforma,  
w meksykańskiej stolicy



*tortille* czy *enchiladas*. W odróżnieniu od większości przybywających na ten jarmark samochodami i mających problemy z parkowaniem, jako mieszkańcy tej dzielnicy mogliśmy udawać się na niego pieszo, nie tracąc czasu na dojazd i znalezienie parkingu. Bywaliśmy tam częstymi gośćmi, dlatego też wielu sprzedawców nas doskonale znało i nawet wtedy, kiedy nic u nich nie kupowaliśmy, zawsze nas pozdrawiali i zabawiali chwilą rozmowy. Spotykaliśmy ich także na innym jarmarku, który odbywał się w niedzielę w innym punkcie miasta, gdyż po przebyciu setek kilometrów od rodzinnej wioski starali się maksymalnie wykorzystać pobyt w stolicy i sprzedać jak najwięcej swoich wyrobów.

Wielbiciele sztuki mogli zobaczyć zlokalizowane w tej dzielnicy Muzeum Studia Diego Riviery, gdzie ten słynny meksykański artysta mieszkał i tworzył (inne muzeum D. Riviery poświęcone jego muralom znajduje się w centrum miasta). Ciekawostką tego Muzeum było to, że składało się z dwóch domów połączonych tarasem, gdyż jak piszą historycy sztuki, pozwalało to na czasową separację burzliwego małżeństwa artysty z Fridą Kahlo. Jej muzeum mieści się w sąsiedniej dzielnicy Coyocan, znanej także z zamieszkiwania przez artystów i cyganerię. W tej właśnie dzielnicy przed II wojną światową funkcjonowała polska ambasada, obecnie mieści się tam Włoski Instytut Kulturalny (podobna sytuacja miała miejsce w stolicy Argentyny, Buenos Aires).

Także po sąsiedzku było położone miasteczko uniwersyteckie UNAM (Universidad Nacional Autonoma de Mexico – Narodowy Autonomiczny Uniwersytet Meksyku) – największego uniwersytetu w kraju, gdzie studiuje ponad ćwierć miliona studentów. Swojego rodzaju symbolem tego miejsca, znanym na całym świecie, jest dziesięciopiętrowa Centralna Biblioteka pokryta w całości mozaiką Juana O’Gormana. W kompleksie Uniwersytetu znajdował się również, zbudowany w kształcie wulkanu Stadion Olimpijski na Olimpiadę w 1968 roku, słynną z występów studenckich i „meksykańskiej fali”. W murach UNAM – uczyli się także polscy studenci lub doktoranci, a nierzadko wśród ich wykładowców byli również profesorowie polscy zamieszkali na stałe w Meksyku lub przyjeżdżający z Polski na zaproszenie władz Uniwersytetu. W jego kulturalnych obiektach często występowały polskie zespoły teatralne i muzyczne oraz były organizowane wystawy polskich malarzy i grafików. Niejednokrotnie w czasie mojego pobytu organizowaliśmy lub współuczestniczyliśmy w organizacji tego typu imprez. Królowała w tej problematyce moja żona Maria, która jako I Sekretarz Ambasady, odpowiedzialna za sprawy kulturalne i naukowe, organizowała właśnie tego typu imprezy zarówno w meksykańskiej stolicy, jak i na terenie całego kraju. Wystarczy powiedzieć, że zaraz po przyjeździe, w 2004 roku, spadło na nią

w dużej mierze organizacja udziału Polski w VII Majowym Festiwalu Kultury w Guadalajarze, gdzie Polska była gościem honorowym. Wzięło w nim udział ponad 170 artystów z naszego kraju. Ponadto zaprezentowali się na nim także polscy artyści zamieszkali na stałe w Meksyku i w USA. Była to największa prezentacja polskiej kultury w dotychczasowej historii stosunków Polski z krajami Ameryki Łacińskiej. Dodatkowe znaczenie i waga tych prezentacji miał fakt, że w swoim końcowym etapie Festiwal miał miejsce podczas trwania III Szczytu Przywódców Państw Unii Europejskiej i Ameryki Łacińskiej i Karaibów. Wystawy malarskie, koncerty muzyczne, teatr i polskie filmy cieszyły się dużym powodzeniem wśród meksykańskiej i międzynarodowej publiczności.

Stałym elementem pracy żony była organizacja udziału polskich artystów w corocznie organizowanym w Guanajuato Festiwalu Cervantino, gdzie m.in. w 2005 roku wystąpił Krzysztof Penderecki z orkiestrą Varsovia, a w 2006, Teatr Ósmego Dnia i Kwartet Wilanów. Dzięki działaniom żony i ja miałem możliwość poznać wielu polskich artystów przyjeżdżających do Meksyku, jak i tych, którzy mieszkali i działali w samym Meksyku. Należeli do nich m.in. Ludwik Margules – twórca współczesnego teatru meksykańskiego czy wykładowca w dziedzinie teatru na UNAM-ie Lech Hellwig-Górzyński, rzeźbiarz Paweł Anaszkiwicz i Xawery Wolski, malarki Monika Śledzińska, Barbara Batorska i Anna Żarnecka, pianiści Ewa Żuk i Józef Olechowski, wiolonczelistka Bożena Sławińska, skrzypkowie Erika Dobosiewicz i Sebastian Kwapisz, baletmistrz Dariusz Blajer, scenograf Edyta Rzewuska czy też zajmująca się tkaniną artystyczną – Androna Linartas (b. członkini Zespołu „Mazowsze”). Z wieloma z nich utrzymywaliśmy także kontakty towarzyskie jak np. z parą artystów z Krakowa, Barbarą Paciorek-Paletą i Zbyszkiem Paletą. Ona była uznaną graficzką i profesorem na kilku stołecznych Uniwersytetach, on – skrzypek, kompozytor, jeden z założycieli sławnej krakowskiej „Piwnicy pod Baranami”. Nieraz odwiedzaliśmy ich w położonym na wysokości 3000 m n.p.m. domu góralskim, w zakopiańskim stylu, zaprojektowanym i zbudowanym pod czujnym okiem Zbyszka na przedmieściach meksykańskiej stolicy. Oddychaliśmy tam prawdziwym, świeżym powietrzem i przy grillu spędziliśmy miłe chwile. Mieliśmy możliwość poznać także dwie córki tego małżeństwa Ludwikę i Dominikę – obie aktorki, bardzo popularne z racji występowania w telewizyjnych serialach meksykańskich. Basia była autorem wydanego po raz pierwszy po hiszpańsku albumu antologii plakatu polskiego „Plakat polski 1945-2006”. Nie wiedziałem wówczas, że lecąc do Peru w niecałe dwa lata później, via Meksyk, będę te albumy wiózł w bagażu podręcznym jako materiały promocyjne w związku z wystawą Basi w Limie, która miała mieć



Nowa bazylika Guadalupe



Stara bazylika Matki Bożej z Guadalupe,  
w pobliżu znajduje się pomnik papieża Jana Pawła II

miejsce dwa miesiące później. Wystawa zorganizowana na limskim Uniwersytecie przedstawiała plakaty z antologii oraz własne prace graficzne Basi, która ponadto prowadziła warsztaty dla studentów. Zarówno tę wystawę, jak i jej pobyt w peruwiańskiej stolicy organizowałem już jako dyplomata akredytowany w Peru. Robiłem to z zresztą z pełnym zaangażowaniem i przyjemnością.

Wśród Polaków zamieszkałych w Meksyku spotkałem także znanych mi dotychczas z lektury sportowej trenerów-twórców słynnego, polskiego lekkoatletycznego Wunderteamu: Tadeusza Kępkę, Jerzego Hauslebera i Andrzeja Piotrowskiego. Przybyli oni do Meksyku zakontraktowani przez rząd tego kraju, aby pomóc w przygotowaniu ekipy na Olimpiadę w 1968 roku i już zostali, wychowując całą plejadę znakomitych sportowców meksykańskich, w tym wielu medalistów olimpijskich czy mistrzostw świata. Miałem okazję uczestniczyć też w uroczystości nazwania biblioteki uniwersyteckiej imieniem prof. Jerzego Plebańskiego – polskiego uczonego, b. rektora Uniwersytetu Warszawskiego, nazywanego „ojcem fizyki meksykańskiej” czy poznać prof. Marię Sten – antropologa i tłumacza literatury polskiej. Osobiście odsłaniałem popiersie polskiej prof. Czesławy Prywer-Lidzbarskiej w Alei Zasłużonych na terenie meksykańskiej Narodowej Akademii Rolniczej – jednej z dzieci z Santa Rosa, która zapisała cały swój majątek tej uczelni. O polskich uczonych w Meksyku można pisać o wiele więcej i jestem przekonany, że kiedyś to nastąpi, by ich postaci zostały zapamiętane w historii stosunków polsko-meksykańskich. W historii tych relacji ma swoje miejsce również rodzina Stebelskich. Wojciech Stebelski, którego poznałem podczas pobytu, był Konsulem Honorowym RP w Tulancingo, natomiast jego ojciec Henryk Stebelski pełnił funkcję Kierownika Wydziału Konsularnego Polskiego Poselstwa w Meksyku w czasie II wojny światowej. Właśnie jego oficjalny strój przedwojennego konsula Wojciech, czyli Adalberto Stebelski przekazał jako dar dla ministerstwa i obecnie mogą go podziwiać osoby odwiedzające warszawski gmach MSZ.

Osobą, która wywarła na mnie duże wrażenie, był inżynier Jerzy Skoryna – uczestnik Powstania Warszawskiego, żarliwy patriota i katolik, dzięki któremu powstały i pozostały ślady polskie w Meksyku. Należy do nich m.in. popiersie płk pilota Stanisława Skarzyńskiego – pierwszego Polaka, który przeleciał samotnie Atlantyk w 1933 roku – znajdujące się w pamiątkowej części stołecznego lotniska oraz pomnik Ignacego Paderewskiego usytuowany na reprezentacyjnej alei meksykańskiej stolicy. Pod tym pomnikiem Polacy zamieszkali w Meksyku składają kwiaty z okazji Dnia Niepodległości, 11 listopada. Duże zasługi miał także w sferze relacji między Episkopatem



Polski i Meksyku. Zapamiętałem dobrze nasze ożywione dyskusje dotyczące historii współczesnej Polski.

Uczestniczyłem wraz z innymi członkami placówki w ponownym otwarciu polskiego Konsulatu w Guanajuato kierowanym przez Konsula Honorowego. Przy tej okazji odwiedziłem miasto Santa Rosa, znajdujące się w tym stanie. Zajmuje ono szczególne miejsce w historii obydwu krajów. W 1942 roku, podczas wizyty gen. Władysława Sikorskiego w Meksyku, na jego prośbę, władze meksykańskie wyraziły zgodę na utworzenie w tym mieście ośrodka dla polskich uchodźców, głównie kobiet i dzieci, pochodzących z terenów zajętych przez wojska sowieckie. Pierwszy transport Polaków z indyjskiego Bombaju dotarł do Santa Rosa w lipcu 1943 roku i liczył ponad 700 osób, w tym prawie 250 dzieci. Ośrodek funkcjonował do grudnia 1946 roku. Działała w nim szkoła, kościół, warsztaty rzemieślnicze i ośrodek zdrowia. Przez to miejsce przewinęło się prawie 4000 osób. Większość z nich w latach następnych wyjechała z Meksyku, ale nieliczne osoby pozostały jak np. wymienione wcześniej panie Anna Żarnecka i Barbara Batorska, które wyszły za mąż za obywateli meksykańskich. Po likwidacji polskiego Ośrodka w jego murach władze meksykańskie zorganizowały sierociniec dla dzieci z okolicznych miejscowości. Z uwagi na jego historię patronat nad nim sprawowała też polska ambasada. Podczas naszej wizyty w Santa Rosa omówiliśmy sprawy związane z pomocą placówki dla sierocińca, a sami ze wzruszeniem oglądaliśmy pozostałe tam polskie ślady, m.in. tablicę pamiątkową umieszczoną na budynku, gdzie mieściła się niegdyś polska szkoła.

Inną osobą, o której warto wspomnieć jest Marek Keller, znany mi dotychczas z relacji prasowych jako darczyńca pamiątek po Fryderyku Chopinie dla Muzeum tego polskiego kompozytora w Warszawie. Przedstawiono mi go na jednym z przyjęć w polskiej ambasadzie. Szczupły, w okularach i charakterystycznym wąsikiem wywarł na mnie pozytywne wrażenie, zwłaszcza, po krótkiej, ale interesującej rozmowie. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że znajomość ta będzie kontynuowana do dzisiaj, a nasze spotkania będą miały miejsce zarówno w dalekim Meksyku, jak i w Warszawie czy też Owczarni k/Brwinowa, gdzie dzięki jego inicjatywie i finansom powstał Ogród Rzeźb Juana Soriano. Zaczęło się jednak od wizyty w jego domu w stolicy Meksyku, gdzie poznałem osobiście Juana Soriano – wielkiego rzeźbiarza, malarza i scenografa meksykańskiego, wówczas już bardzo sławnego. W dużej mierze zawdzięczał swoją popularność Markowi – wybitnemu znawcy sztuki i genialnemu marchandowi. Ich przyjaźń zaczęła się jeszcze w latach siedemdziesiątych w Paryżu, dokąd Marek, b. członek Zespołu „Mazowsze”, wyjechał z Polski, aby do niej powrócić na dłużej dopiero w pierwszej dekadzie XXI wieku.

Widok na kościół  
w „srebrnym mieście” Tasco



W sklepie z pamiątkkami w Tasco



Promował dzieła Juana Soriano na całym świecie, organizując wystawy w największych salach i najbardziej znanych galeriach sztuki. Monumentalne rzeźby zdobiące place i miejsca publiczne w stolicy Meksyku i w innych miejscach na świecie (m.in. w Paryżu, Toskanii czy Teksasie), z których zasłynął Soriano były przeciwieństwem jego niewielkiego wzrostu. Cechowało go także duże poczucie humoru, dzięki czemu zawsze był duszą towarzystwa, w którym się znalazł. Bardzo ceniłem tę znajomość, lecz niestety, nie trwała ona długo. Wkrótce po uroczystości wręczenia polskiego orderu w polskiej ambasadzie, w styczniu 2006 roku, Juan Soriano ciężko zachorował i zmarł w szpitalu. Jego pogrzeb stał się wielkim wydarzeniem w życiu kulturalnym Meksyku. Trumnę z jego ciałem wystawiono na widok publiczny w stołecznym Pałacu Sztuki, a wartość honorową pełniły znane osobistości meksykańskiej kultury i sztuki. Z uwagi na przyjazne więzy łączące mnie ze zmarłym artystą na zmieniającej się warcie, wraz z ministrem kultury, Markiem Kellerem i ambasadorem Wojciechem Tomaszewskim stanąłem również ja. Była to, bez wątpienia, smutna chwila mego meksykańskiego pobytu. Po powrocie do Polski stałem się świadkiem poszczególnych etapów powstawania w brwinowskiej Owczarni Ogrodu Rzeźb Juana Soriano, swoistego dzieła Marka Kellera dla upamiętnienia artystycznego dorobku tego wybitnego artysty i przyjaciela, z którym założyli razem Fundację, promującą dzieła artystów meksykańskich na świecie. Za tę działalność Marek został odznaczony w 2012 roku przez prezydenta Meksyku Orderem Orła Azteków. Przekazując kolejne pamiątki po Fryderyku Chopinie, zakupione na różnych aukcjach, do Muzeum Chopina w Warszawie Marek stał się jego największym darczyńcą. W Owczarni natomiast organizował okresowe wystawy artystów meksykańskich, jak np. w 2012 roku wystawę poświęconą życiu i twórczości Fridy Kahlo z oryginalnymi fotografiami pochodzącymi z jej prywatnych zbiorów. Podczas jednej z rozmów w warszawskim mieszkaniu Marka, urządzonym w przepięknym stylu i ozdobionym ciekawymi obrazami, rzeźbami i meblami pochodzącymi zarówno z Meksyku, Polski, jak i innych krajów, wspominając czasy młodości i pytany o jego kontakt z Zespołem „Mazowsze” z uśmiechem opowiadał, że na egzaminy do Zespołu przyjechał w wojskowym mundurze, gdyż odbywał wówczas służbę wojskową i był członkiem Centralnego Zespołu Artystycznego Wojska Polskiego. Natomiast największym wyzwaniem, który stoi przed nim obecnie jest doprowadzenie do końca budowy Muzeum Juana Soriano w meksykańskim mieście Cuernavaca w stanie Morelos, do którego pragnie przekazać całą swoją kolekcję posiadanych dzieł Juana Soriano, takich jak rzeźby, obrazy, grafiki, projekty sceniczne i inne rzeczy pozostałe po wielkim

artyście meksykańskim. Według planów Muzeum w Cuernavaca „mieście wiecznej wiosny”, jak go nazywają Meksykanie, ma być zainaugurowane w 2015 roku.

Te kilka słów o niektórych poznanych osobach z meksykańskiej Polonii, nie wyczerpuje oczywiście tematu, gdyż wielu z tych wspomnianych postaci, jak i nie wymienionych w tej książce należą się oddzielne opowieści lub wręcz książki o ich fascynującym życiu. Na razie, chciałbym zaproponować czytelnikom dalszą wędrówkę po niektórych obiektach niezwykłego miasta, jakim jest Meksyk oraz ciekawych miejscach tego olbrzymiego i interesującego kraju.

Obowiązkowym punktem zwiedzania meksykańskiej stolicy było Narodowe Muzeum Antropologii w parku Chapultepec, w którym zgromadzono liczne, wspaniałe eksponaty archeologiczne starożytnych cywilizacji, które w swojej historii zamieszkiwały terytoria obecnego Meksyku. To trzeba po prostu zobaczyć, zwłaszcza, kiedy się nie ma możliwości pojechania tam, gdzie mieszkały cywilizacje Tolteków, Misteków, Zapoteków, Azteków czy Majów. To samo dotyczy centralnego placu stolicy noszącego oficjalnie nazwę placu Konstytucji, a znanym powszechnie jako Zocalo. Jest on jednym z trzech największych placów na świecie, obok pekińskiego Tiananmen (placu Niebieskiego Spokoju) oraz moskiewskiego placu Czerwonego. Usytuowane są przy nim wykopaliska Templo Mayor (z czasów Azteków), Metropolitarna Katedra i Palacio Nacional, czyli obecna siedziba władz państwowych, zbudowany w miejscu, gdzie stał kiedyś pałac Montezumy. Pośrodku placu powiewa olbrzymia flaga państwowa Meksyku (podobnych flag jest w stolicy jeszcze kilka w różnych częściach miasta). W dni powszednie plac żyje swoim życiem. Wycieczki turystów, stragany handlowe, Indianie tańczący w strojach lub wypędzający złe duchy dymem z kadzideł czy też przechodzące lub koczujące różnego rodzaju demonstracje. Zmienia on jednak swoje oblicze w przeddzień święta narodowego, tj. 15 września, czyli w rocznicę słynnego „El Grito” tj. okrzyku księdza Miguela Hidalgo w Dolores w 1810 roku, wzywającego wiernych do rozpoczęcia walki o niepodległość Meksyku. Miałem możliwość uczestniczenia w takiej nocnej uroczystości w Pałacu (w zastępstwie nieobecnego Ambasadora). O godzinie 23.00, prezydent Meksyku z balkonu Palacio Nacional przy szczelnie wypełnionym Zocalo ogłaszał ponownie niepodległość Meksyku wymieniając nazwiska bohaterów walk i wznosząc na końcu trzykrotnie okrzyk „Viva Mexico!, Viva la Independencia”, a wszyscy na placu powtarzali za nim te słowa. W chwilę później nad placem rozkwitała feeria kolorowych sztucznych ogni. Następnego dnia Zocalo ponownie zmieniało oblicze. W dniu święta narodowego prezydent z pałacowego balkonu odbierał defiladę wojskową. Dookoła placu maszerowały



Przy piramidzie tzw. Obserwatorium,  
w kompleksie ruin w Coba



Kolumny tolteckie z płaskorzeźbami w miejscowości Tula  
– niedaleko miasta Meksyk

oddziały wojskowe, poczynając od oddziałów w strojach historycznych, następnie zaś defilowały oddziały reprezentujące poszczególne rodzaje wojsk. Najnowszy sprzęt i uzbrojenie wojsk meksykańskich był pilnie obserwowany przez zagranicznych attaché wojskowych. W części Pałacu dostępnej dla turystów, na jego pierwszym piętrze można podziwiać wspaniały mural Diego Rivierę przedstawiający historię Meksyku od czasów przedkolumbijskich, hiszpańską konkwistę, walki o niepodległość i rewolucję meksykańską z 1910 roku.

Ważnym punktem zwiedzania meksykańskiej stolicy, a wręcz obowiązkowym dla katolików, jest odwiedzenie Bazyliki Matki Boskiej z Guadalupe u stóp wzgórza Tepeyac, do której corocznie przybywa ponad 12 mln pielgrzymów. Bazylika, a właściwie dwie, stara i nowa. Pierwsza, z XVIII wieku była zbyt mała, by pomieścić wzrastającą z roku na rok rzeszę pielgrzymów, a także z powodu kolejnych trzęsień ziemi zaczęła się przechylać jak krzywa wieża z Pizy i została zamknięta na czas remontu. Druga, zbudowana obok w latach 70. XX wieku, według projektu architekta Pedro Ramireza Vasquezana, w swoim okrągłym budynku może pomieścić jednorazowo ponad 10 tysięcy wiernych. Między obiektami stoi pomnik polskiego papieża, Jana Pawła II, bardzo poważanego i szanowanego przez mieszkańców Meksyku. W 2002 roku właśnie w bazylice Guadalupe Jan Paweł II kanonizował Indianina Juana Diego, któremu na tym wzgórzu w 1531 roku ukazała się Matka Boska. Jak wielkim szacunkiem cieszy się polski papież w Meksyku niech świadczy fakt, że w ostatnie dni jego życia trwała nieustanna modlitwa w bazylice odmawiana przez tysiące wiernych. Kiedy umarł, mając w ambasadzie wystawę fotograficzną Jana Bujaka „Pielgrzymki Jana Pawła II do Polski”, zaproponowaliśmy jej wystawienie w Muzeum Bazyliki, co zostało natychmiast przyjęte i praktycznie w ciągu 24 godzin zorganizowane. Zwiedziło ją tysiące wiernych i na prośbę przełożonego świątyni wystawa trwała jeszcze trzy miesiące. W czasie mojego pobytu pomagałem w załatwieniu wizyty w bazylice prezydentowi Lechowi Wałęsie i w jego imieniu umieszczałem wieniec pod pomnikiem Jana Pawła II, wchodząc po drabinie, aby umieścić go nie u stóp pomnika, ale pod samą figurą papieża. Mogłem dzięki temu, razem z Lechem Wałęsą, oglądać święty obraz Matki Boskiej z poziomu ołtarza, a nie z ruchomego chodnika, z którego go podziwiają rzesze pielgrzymów.

Jak już wspomniałem, do meksykańskiej stolicy przyjechałem najpierw sam, kilka miesięcy później dojechała żona, natomiast dzieci, po ukończeniu swoich hiszpańskich studiów, wróciły do Polski. Jednakże syn postanowił kontynuować studia podyplomowe w Belgii, gdzie mieszkała jego narzeczona, poznana podczas pobytu na wymianie studenckiej w Niemczech. I właśnie

od nich dostaliśmy zaproszenie na ślub organizowany w Polsce. Tymczasem, mimo radości z tego faktu, sytuacja związana z wyjazdem na uroczystość, nagle się skomplikowała. Nie dosyć, że nie przysługiwał mi urlop służbowy w kraju, gdyż zgodnie z ówczesnymi przepisami taki urlop był raz na dwa lata, a byłem dopiero rok, to jeszcze zostałem kierownikiem placówki po wyjeździe do kraju poprzedniego ambasadora, a przyjazd nowego się opóźniał. Z uwagi na procedury dyplomatyczne polski MSZ nie chciał się zgodzić na mój wyjazd. Chodziło m.in. o to, że nowy ambasador mógł zacząć urzędować dopiero po złożeniu kopii listów uwierzytelniających w miejscowym Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a o taką wizytę można było tradycyjnie wystąpić dopiero po przybyciu nowego szefa placówki na teren państwa przyjmującego. Znalazłem się w przysłowiowej kropce, gdyż podana data przyjazdu nowego ambasadora praktycznie uniemożliwiała mi przyjazd na ślub syna.

Ale to był przecież Meksyk! Dzięki, bez wątpienia, „poparciu” mojego patrona od rzeczy niemożliwych i życzliwości przyjaznych mi urzędników w meksykańskim MSZ, udało mi się tak sprawę załatwić, że data wizyty nowego ambasadora z listami została wyznaczona następnego dnia po jego przyjeździe do Meksyku. Po przekazaniu tej wiadomości do kraju otrzymałem zgodę na prywatny urlop i wyjazd do Polski. Na szczęście, wydarzenia potoczyły się zgodnie z założonym harmonogramem. Przyłot ambasadora Wojciecha Tomaszewskiego, którego zmieniałem na stanowisku radcy w ambasadzie w Buenos Aires, miał miejsce wieczorem. Następnego dnia rano składaliśmy już oficjalną wizytę w MSZ, a po południu wsiadłem do samolotu Lufthansy, aby via Frankfurt, odlecieć do Warszawy. Tam zaś, nawiązując do słów znanej piosenki odbył się „wspaniały ślub”, wspomniany do dziś przez obecnych na nim gości.

Patrząc na mapę Meksyku wspominam podróże do znanych i mniej znanych miejsc i miejscowości, gdzie byłem prywatnie lub służbowo. O tych ostatnich chcę pisać jak najmniej, zgodnie z założeniami tej książki. Ale trudno nie wspomnieć o Guadalajarze – stolicy stanu Jalisco i drugim pod względem wielkości mieście Meksyku. W maju 2004 roku miał tam miejsce tzw. III Szczyt Państw Ameryki Łacińskiej i Karaibów oraz państw Unii Europejskiej. Jako świeżo upieczony kraj Wspólnoty Europejskiej po raz pierwszy braliśmy w tym, ważnym politycznie i gospodarczo, wydarzeniu udział. W ramach placówki zostałem wyznaczony jako koordynator przygotowań do Szczytu. Brałem udział w poprzedzających go spotkaniach i wyjazdach do Guadalajary, aby na miejscu zapoznać się z miejscem obrad, hotelami i całą infrastrukturą przyszłego wydarzenia. Nie wiedziałem wówczas, że kilka lat później będzie to miało wpływ na mój wyjazd do stolicy Peru, Limy, gdzie pełniłem tę samą rolę podczas kolejnego Szczytu, w roku 2008. Ale o tym potem.

Dzięki wyjazdom przygotowawczym do Guadalajary mogłem poznać to miasto nie tylko poprzez obiekty, które miały być siedzibą Szczytu, a mianowicie Instituto Cabañas Cultural czy Teatro Delgollado. Ten pierwszy, noszący imię założyciela i fundatora kompleksu, biskupa Juana Ruiza de Cabañas, z początku XIX wieku, stanowił prawdziwy labirynt różnego rozmiaru pomieszczeń, korytarzy i tarasów neoklasycystycznego budynku zaprojektowanego przez Manuela Tolsę. W środku wznosiła się tzw. Kaplica Tolsá, która była ozdobiona dziełem jednego z największych muralistów meksykańskich José Clemente Orozco, przedstawiającym cierpienia Indian podczas podboju przez hiszpańskich konkwistadorów. W grupie przedstawiciele państw uczestniczących w przyszłym szczycie mogliśmy podziwiać wszystkie sale, tak jak mogą to czynić zwiedzający go codziennie turyści, natomiast podczas samych obrad budynek zmienił się nie do poznania. Podzielony na główną salę obrad, mniejsze sale narad, oddzielne na spotkania dwustronne delegacji, wydzielone strefy bezpieczeństwa dla VIP-ów i obsługującego ich personelu całkowicie zmieniły wnętrze budynku, zachowując bez zmian tylko jego zewnętrzny widok. W przeciwieństwie do tego przypadku, w czasie przygotowań nie mogliśmy zobaczyć wnętrza Teatru Degollado,



Występy grupy *mariachi* w parku tematycznym Xcaret na Jukatanie



gdyż trwał remont, a jego wspaniałe rezultaty mogliśmy podziwiać już razem z uczestnikami Szczytu. Pięknie odnowiony, ze złoceniami i w czerwonym aksamicie, robił duże wrażenie na zapelniającej go publiczności, która siedząc mogła podziwiać nie tylko występy artystów, ale także na suficie teatru sceny z *Boskiej komedii* Dantego.

W ramach tego poznawczego pobytu zwiedziliśmy również Pałac Gubernatora ozdobiony kolejnym murałem J. C. Orozco, pochodzącego z tego stanu, dedykowany księdzu Miguelowi Hidalgo – „ojcu niepodległości Meksyku”. W Pałacu miało się odbyć przyjęcie wydane przez Prezydenta Meksyku dla szefów delegacji zagranicznych. Już we własnym zakresie obejrzelśmy stojącą w centrum katedrę z charakterystyczną iglicą pokrytą żółtą dachówką i otaczającą ją cztery place. Na jednym z nich znajdują się posągi osób wybitnych i zasłużonych dla miasta, przy innym usytuowana była siedziba władz miejskich. Najciekawszym jednak dla naszej grupy była możliwość odwiedzenia miasteczka Tequila – słynnego z produkcji *tequili* – znanego na całym świecie pod tą nazwą alkoholu meksykańskiego. Organizatorzy Szczytu przewidzieli wycieczkę do tej miejscowości dla pierwszych dam towarzyszących szefom delegacji. Dotyczyło to w praktyce żon prezydentów krajów latynoamerykańskich, gdyż przywódcy europejscy przylatywali bez żon, ale na wycieczkę



Przed tablica informacyjną w miejscowości Tulum na Jukatanie

poznawczą zabrano wszystkich uczestników misji przygotowawczej. Położona kilkadziesiąt kilometrów od Guadalajary Tequila jest niewielkim miasteczkiem, a jej mieszkańcy trudnią się głównie uprawą niebieskiej agawy, z której produkowana jest *tequila* najwyższej jakości. Zwiedziliśmy zakład produkcyjny, a w nim mogliśmy zobaczyć poszczególne fazy produkcji tego napoju alkoholowego oraz wysłuchaliśmy wykładu na temat historii powstania i rodzajów produkowanych tam trunków. Ukoronowaniem wycieczki był spacer po wspinałym, pięknie utrzymanym parku połączony z degustacją, opisywanych na wykładzie, różnych rodzajów *tequili*. Wśród kolegów z europejskich krajów Unii wyrażaliśmy żal, że nie będziemy mogli – tym razem oficjalnie ponownie tu zawitać.

Wszystko to działo się w kwietniu, czyli jeszcze przed formalnym przyjęciem Polski, z dniem 1 maja, do Unii, które uroczyście świętowaliśmy wieczorem 30 kwietnia w Ambasadzie Irlandii sprawującej wówczas Prezydencję UE. Tymczasem trwały ostatnie przygotowania do Szczytu, a my nie wiedzieliśmy na placówce, kto będzie szefem naszej delegacji. Z krajów Ameryki Łacińskiej i Karaibów przylatywali zwykle prezydenci, natomiast z Europy premierzy lub ich zastępcy. W Polsce trwał wówczas kryzys gabinetu premiera Marka Belki i mimo nalegań gospodarzy nie mogliśmy, bez informacji z Warszawy, podać nazwiska szefa delegacji ani nawet jej składu. Dosłownie w ostatniej chwili przyszła wiadomość, że delegacji polskiej przewodniczyć będzie Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski, który przyleci bezpośrednio z Bukaresztu, z innej międzynarodowej konferencji. Przyłot miał nastąpić wczesnym rankiem w dniu otwarcia Szczytu. Zgodnie z przyjętym ceremoniałem Prezydent Meksyku Vicente Fox miał witać szefów poszczególnych delegacji między 8 a 9 rano, od najniższych rangą do najwyższych, tak więc polski prezydent miał być powitany dopiero pod koniec powitania. Była to pocieszająca wiadomość dla nas, oczekujących na lotnisku, gdyż godzina przylotu samolotu z Bukaresztu niebezpiecznie się przesuwała. Początkowo miała to być szósta rano, później siódma i wreszcie lądowanie samolotu miało miejsce o 8.10. Nastąpiła szybka operacja wyjścia z samolotu na lotnisku i prezydencki samochód z ochroną pomknął na miejsce powitania, a cała reszta oddzielnie, ale już spokojnie w kolumnie samochodów na miejsce obrad. Tylko dziennikarze towarzyszący prezydentowi, razem ze mną, udali się spiesznie do Centrum Prasowego. Tam właśnie mogliśmy zobaczyć na ekranach TV chwilę powitania prezydentów Polski i Meksyku. Jakim cudem, jadąc bez eskorty motocyklowej, dotarliśmy wcześniej do Centrum Prasowego, położonego tuż obok miejsca ceremonii powitania, niż dotarł tam samochód prezydenta z eskortą, pozostanie chyba tajemnicą naszego miejscowego kierowcy i jego doskonałej znajomości miasta.

Miasto podczas trwania Szczytu zmieniło się bardzo. Teren obrad i strefa śródmiejska, po której chodziliśmy swobodnie podczas wizyt przygotowawczych, została oddzielona od reszty miasta stalowym płotem dwumetrowej wysokości. Wstęp miały tylko osoby ze specjalnymi przepustkami obsługujące Szczyt i stali mieszkańcy strefy. Było to podyktowane względami bezpieczeństwa, gdyż protesty przeciwko Szczytowi zapowiedzieli już wcześniej antyglobaliści i je konsekwentnie realizowali, co mogliśmy obserwować w informacjach ze Szczytu. W wyniku manifestacji i starć z policją aresztowano ponad sto osób. Wydarzenia przy okazji Szczytu w Guadalajarze miały wymiar bardziej międzynarodowy niż krajowy, gdyż wśród aresztowanych demonstrantów było więcej cudzoziemców niż Meksykanów, toteż miały one spore reperkusje w prasie międzynarodowej i wywołały liczne protesty organizacji pozarządowych.

Wkroczyliśmy tu już jednak w sferę polityki, czego pragnąłbym uniknąć w tej książce, więc na tym opowieść o pięknym mieście Guadalajara zakończę, zachęcając wszystkich do jego odwiedzenia, podziwiania zabytków, słuchania piosenek *mariachi* i delektowania się *tequilą*. Konkurencyjny alkohol produkowany z kaktusów z zakonserwowanym wewnątrz robakiem, czyli *mezcal con gusano* miałem okazję pić w stanie Oaxaca, ten meksykański stan z tego słynie. Trunek wyrabiany jest powszechnie przez ludność i w zależności od „producenta” zawiera on mniej lub więcej procent alkoholu, niekiedy nawet powyżej 60 procent. W sklepach był sprzedawany alkohol do 45 %. Rzecz jasna, że Oaxaca słynęła nie tylko z tego. Jako stan leżący w środku Meksyku stanowił jakby swoiste odzwierciedlenie całego państwa meksykańskiego. Stan, podobnie jak cały Meksyk, jest bardzo zróżnicowany geograficznie. Przeważają równiny, na których jest położona stolica stanu, miasto Oaxaca de Juarez, ale występują także trzy pasma górskie oraz piękne piaszczyste wybrzeże Pacyfiku. Jest także najbardziej indiańskim stanem Meksyku. Wśród ludności indiańskiej najwięcej można spotkać potomków Zapoteków i Misteków, ale mieszka tutaj jeszcze kilkanaście innych plemion mówiących własnymi językami i różniących się kulturowo. Stąd też piękna mozaika etnicznych strojów oraz wyrobów sztuki ludowej z drewna, garncarstwa czy tkactwa. Centrum stolicy stanu oraz leżące w pobliżu ruiny Monte Alban – dawnej stolicy Indian Zapoteków zostały wpisane przez UNESCO na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego.

Aby osobiście zapoznać się z tym stanem postanowiliśmy odbyć wraz z żoną kilkudniową wycieczkę, tym bardziej, że nadarzyła się okazja połączenia urlopu ze służbowym wyjazdem do leżącego na wybrzeżu Puerto Angel na zaproszenie tamtejszego Uniwersytetu Morskiego w celu wygłoszenia

prelekcji o współczesnej Polsce (ja) i jej kulturze (żona). Pojechaliśmy naszym samochodem i o ile podróż do miasta Oaxaca (prawie 600 km) przebiegała spokojnie, to sytuacja zmieniła się od momentu wyjazdu ze stolicy stanu i po wjechaniu w góry Sierra Madre, aby dojechać na wybrzeże. Do wyboru mieliśmy – zgodnie z radami znających te okolice – trzy drogi. Jedna, łagodnie spadająca, ale kilkadziesiąt kilometrów dłuższa, druga szeroka, ale z bardzo zniszczoną nawierzchnią oraz trzecia, wąska, z wieloma zakrętami, ale względnie dobrze utrzymana i najkrótsza. Jak można się domyślić wybraliśmy trzecią opcję. Samochód prowadziła żona, która czuła się lepiej jako kierowca niż pasażer. Dystans 220 kilometrów przejechaliśmy w pięć i pół godziny, co było całkiem niezłym rezultatem, uwzględniając warunki podróży. A były one niełatwe. Droga była naprawdę wąska, wspinająca się na górę, w najwyższym punkcie przekraczającą trzy tysiące metrów, i opadającą w dół oraz z panującą w najwyższych partiach gór mgłą. Najgorsze były jednak zakręty, bo było ich kilkadziesiąt (po pięciuset przestałem je liczyć), co wymuszało powolną jazdę z obawy przed kolizją z pojazdami jadącymi z przeciwnej strony. Po dojechaniu do celu powiedziałem do żony, że może śmiało brać udział w rajdach samochodowych, z górskimi włącznie. Komplement ten chyba spowodował, że drogę powrotną przemierzaliśmy tą samą trasą.

Przedtem, w sennym i spokojnym zazwyczaj miasteczku San Angel, przeżyliśmy swojego rodzaju „deszczową” przygodę. Po wykładach na Morskim Uniwersytecie położonym na wzgórzu pojechaliśmy samochodem jednego z profesorów na kolację do miasteczka. Podczas jej trwania rozszalała się gwałtowna burza z piorunami i prawdziwym oberwaniem chmury. To, że zgasło światło i kończyliśmy jedzenie przy świecach, tworzyło nawet romantyczny nastrój, który jednak prysł, kiedy chcieliśmy wyjść i wrócić do Uniwersytetu. Co prawda, deszcz przestał padać, ale lokalna rzeka tak wezbrała, że zalała drogę, którą przybyliśmy i nie było mowy o przejechaniu jej samochodem. Cóż było robić! Zostawiwszy samochód, niezalanym mostkiem, tylko dla pieszych, pokonaliśmy rzekę, aby później iść prawie dwa kilometry pod górę. Uff!

Wracając do Oaxaca obejrzelśmy ciągle rozbudowujący się kurort Huatulco z nowoczesnymi hotelami, polami golfowymi i przystanią jachtową. Przy okazji, jadąc nadmorską drogą, wstąpiliśmy do ciekawego Centrum Hodowli Żółwi Morskich (Centro Mexicano de la Tortuga) w Mazunte, gdzie podziwialiśmy zgromadzone tam okazy, od najmniejszych do prawdziwie olbrzymich i byliśmy świadkami wykluwania się małych żółwiątek ze skorupki.

Po powrocie do Oaxaca i zainstalowaniu się w hotelu, poszliśmy zwiedzać miasto, do jego centrum. Tutaj czekała nas niespodzianka, mimo, że wcześniej

czytałem o tym w stołecznej prasie. Na Zocalo, czyli centralnym placu miasta rozbili miasteczko namiotowe protestujący od kilkunastu dni nauczyciele. Dowodzeni przez swoich lokalnych przywódców związkowych domagali się od władz polepszenia warunków pracy i podwyżki płac. Jednakże, tym postulatom socjalnym towarzyszyły także inne, czysto polityczne, takie jak np. ustąpienie gubernatora stanu, nowe wybory stanowego parlamentu itp. Ponieważ protest trwał już kilkanaście dni, zazwyczaj gwarne i wypełnione turystami i stałymi mieszkańcami centrum miasta opustoszało i stało się tylko zaśmieconym koczowiskiem biedoty nauczycielskiej. Kawiarnie i bary świeciły pustkami, gdyż trudno było potencjalnym klientom cieszyć się z życia patrząc przez szyby na zapłakane i nędznie ubrane dzieci towarzyszące protestującym matkom. Kilka muzeów zamknęło, z powodu braku zwiedzających, swoje podwoje. Na szczęście, prawie w ostatniej chwili udało nam się wejść i podziwiać wspaniały klasztor Dominikanów z kościołem o dwóch wieżach i wspaniałymi złoceniami wewnątrz, zwłaszcza w przepięknej Kaplicy Rosario oraz znajdujące się obok, w dawnych budynkach klasztornych, Muzeum Regionalne. Było ono nowoczesnie urządzone, multimedialne, można było zapoznać się z historią regionu, wykopaliskami z pobliskiego Monte Alban, w tym z przepiękną kolekcją biżuterii ze złota i kamieni szlachetnych tworzonych przez Indian Misteków. Służą one jako inspiracja dla miejscowych jubilerów produkujących podobną biżuterię lub kopie oryginałów w celu sprzedaży odwiedzającym miasto turystom.

Z uwagi na istniejącą w mieście sytuację, opisaną powyżej (w hotelu byliśmy praktycznie jedynymi cudzoziemcami), ruszyliśmy na zwiedzanie okolic stolicy, słynnych z twórczości miejscowych artystów ludowych. Swoistym fenomenem był jak gdyby podział okolicznych wiosek lub miejscowości na wyrób określonych produktów sztuki ludowej, które są wyrabiane przez większość mieszkańców danej społeczności. Tak np. mieszkańcy San Bartolo Coyotepec słyną ze swoich figurek, przeważnie kobiecych, wyrabianych z czarnej ceramiki, a z kolei w San Martín Tilcajete produkuje się różnokolorowe, rzeźbione zwierzęta, zarówno podobne do realnych, jak i o fantastycznych kształtach, w zależności od inwencji artysty. Miały one różne rozmiary, ale dla wygody kupujących je turystów, mogły być złożone z wielu elementów, aby łatwo było je zapakować i po powrocie do domu samemu złożyć. Jeżdżąc ulicami tych wiosek, czasami asfaltowymi, przeważnie zaś nie utwardzonymi (na szczęście było sucho), przydomowe wystawy lub szyldy na domach zapraszały do wstąpienia, obejrzenia i, co zrozumiałe, zakupu prezentowanych wyrobów. Artyści i rzemieślnicy z Ocotlán de Morelos byli znani z garncarstwa, podobnie jak w Santa María Atzompa z zielonej ceramiki. W innych



Widok zniszczeń w Cancun po przejściu tropikalnego cyklonu Wilma



Widok jednego z hoteli w Strefie Hotelowej w Cancun

wioskach produkowane były tkaniny, dywany czy też sławne meksykańskie *poncha*, bardzo przydatne na chłodne wieczory i noc. Inną dziedziną stanowiły wyroby skórzanе, takie jak kurtki, torebki, paski itp. Ciekawe, że zarówno wyroby tkackie, tak i skórzanе były przeważnie zdobione różnymi wzorami. Można wśród nich było spotkać wzory roślin lub figury zwierząt, ale także postacie indiańskich bogów lub postaci z legend. Zaskakiwała nas uprzejmość i gościnność tych ludzi, niezależnie od tego czy udało im się coś sprzedać ze swoich wyrobów. Wracając tego dnia do hotelu w Oaxaca wstąpiliśmy jeszcze do wioski Santa Maria de Tule, aby obejrzeć jedno z najstarszych i największych drzew na świecie, a mianowicie cypryśnik meksykański liczący sobie ponad dwa tysiące lat i mierzący prawie 50 metrów w obwodzie. Widok był imponujący. Korona i gałęzie drzewa o wysokości 40 m, pod którymi mogło się schronić ponad 500 osób zajmowały sporej wielkości plac, przed znajdującym się nieopodal kościoła.

Po powrocie, w hotelu dowiedzieliśmy się, że planowana jest akcja federalnego wojska przeciw uczestnikom namiotowego miasteczka i może to nastąpić w najbliższym czasie. Z uwagi na zasłyszane wieści i możliwość blokady stolicy stanu udaliśmy się z samego rana na zwiedzanie Monte Alban – ruin zapoteckiego sanktuarium leżącego ok. 10 km od miasta. Wjechaliśmy wąską drogą na wzgórze do pawilonu wejściowego, gdzie zostawiliśmy samochód na parkingu, kupiliśmy bilety i rozpoczęliśmy pieszą wędrówkę po rozległym terenie ruin. Z podziwem oglądaliśmy poszczególne budowle, a właściwie ich ruiny, Wielkiego Pałacu, Obserwatorium czy Pałacu Tańczących zawdzięczającego swoją nazwę płaskorzeźbom przedstawiającym tańczące figury ludzkie. Było też tradycyjne boisko do gry w rytualną piłkę, której opisy można znaleźć w przewodnikach turystycznych, ale nie ma ona nic wspólnego z naszą piłką nożną. Przechodziliśmy również obok kurhanów, w których grzebano zmarłych. W końcu wspieliśmy się też na piramidę południową tzw. Platformę Sur, skąd widać było rozległą panoramę całej okolicy.

Patrząc w stronę nieodległego miasta spostrzegliśmy nagle dymy unoszące się nad nim oraz latające nisko helikoptery. Czyżby rozpoczęła się operacja oczyszczania miasta ze strajkujących nauczycieli? Z odległych wieków i rozważań o przeszłości indiańskich plemion przenieśliśmy się w twarłą rzeczywistość XXI wieku. Wróciliśmy do miasta i zastaliśmy tam nowy widok centrum. Nie było strajkujących, gdyż zostali wyprowadzeni z centrum siłą, za to na ich miejscu było widać brygady sprzętaczy usiłujących zaprowadzić porządek. Resztki śmieci i popalonych namiotów szybko zniknęły na podstawionych przez władze miasta ciężarówkach. Widok ten nappełnił nas optymizmem, gdyż mieliśmy w planie pozostać w Oaxaca jeszcze jeden

dzień, jednakże po rozmowach w hotelu optymizm ten rozwiął się jak mgła. Uprzedzono nas, że wyrzuceni strajkujący postanowili zablokować drogi dojazdowe do miasta i na miejscowe lotnisko. Nic innego nam nie pozostało, jak następnego dnia wczesnym rankiem wyjechać z miasta i ruszyć w drogę powrotną do stolicy Meksyku. Zostawiliśmy za sobą niskie domy Oaxaca, budowane tak ze względu na trzęsienia ziemi i z pewną obawą wyjechaliśmy za rogatki miejskie. Były one jeszcze nieobstawione, chociaż już było widać kręcące się małe grupki młodzieży, toteż tylko przyspieszyliśmy i skierowaliśmy się na drogę do stolicy. Blokada dróg rzeczywiście nastąpiła i trwała kilka dni do ponownego wejścia do akcji federalnych sił policji i wojska, ale raporty o tych wydarzeniach już spokojnie oglądaliśmy w domu, w dziennikach telewizyjnych.

Podróżą, dzięki której mogłem zapoznać się z innymi zjawiskami społecznymi Meksyku, była wycieczka radców z placówek dyplomatycznych Unii Europejskiej do Tijuany – stolicy stanu Dolna Kalifornia leżącej na granicy ze Stanami Zjednoczonymi i będącej sąsiadem amerykańskiego miasta San Diego. Byliśmy tam zaproszeni przez miejscowe władze, z którymi, włącznie z gubernatorem stanu, odbyliśmy bardzo ciekawe spotkania. Dzięki nim, jak i wycieczkom w teren, mogliśmy poznać nieco lepiej problem nielegalnej imigracji z Meksyku do USA. Odbywała się ona wieloma drogami. Jedną z nich było przeskakowanie słynnego muru, a właściwie betonowego płotu o wysokości 3,5 metra. Podczas naszej obecności trwała już budowa nowego muru o wysokości 7 metrów, biegnącego równolegle wzdłuż starej przeszkody. Ciekawostką był fakt, ujawniony przez prasę amerykańską, że firmy z USA budujące ten nowy mur zatrudniały przy nim nielegalnych robotników pochodzących z... Meksyku.

Jadąc szosą wzdłuż granicznego muru można było zaobserwować wielkie krzyże namalowane na nim i podpisane konkretnymi nazwiskami nieszczęśników, którym „amerykański sen o szczęściu” skończył się w tym miejscu. Nie jest to widok wpływający na dobry nastrój. Razem z przedstawicielami lokalnych władz odwiedziliśmy także punkt graniczny (zarówno przejście dla pieszych, jak i przejazd dla samochodów). Na obydwu ruch jest bardzo duży. Jak nam powiedziano, w ciągu roku granicę w tym miejscu przekracza kilkadziesiąt milionów ludzi w obie strony. Spowodowane jest to m.in. tym, że Tijuana jest strefą wolnocłową, gdzie można nabyć importowane towary z całego świata po atrakcyjnych cenach. Ponadto obowiązuje tutaj prawo meksykańskie zezwalające na sprzedaż alkoholu młodzieży, stąd też coroczne wakacyjne najazdy amerykańskich nastolatków na meksykańskie bary i restauracje dla napicia się alkoholu, czego im nie wolno robić we własnym





Piramida Słońca w Teotihuacan niedaleko meksykańskiej stolicy



Piramida w Monte Alban niedaleko miasta Oaxaca

kraju. Tijuana zawsze przyciągała Amerykanów, gdyż znajdowali tu wszystko to, co było zabronione w USA, jak w swoim czasie alkohol, gry hazardowe czy prostytucja, a ponadto była pierwszym miastem meksykańskim, gdzie poszukiwanym przestępcom można było się schronić przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości. Wiele filmów rodem z Hollywoodu pokazuje to w klarowny i wielce przekonujący sposób.

Większość mieszkańców Tijuany jest zatrudniona legalnie w San Diego i przekracza granicę na podstawie specjalnych dokumentów w ramach małego ruchu granicznego. Przy nas amerykańska straż graniczna odesłała ze swojego stanowiska odległego o 30 metrów od strażników meksykańskich, nieletniego chłopca, który usiłował przejść granicę nielegalnie, co prawda z oryginalną przepustką, ale ze swoją naklejoną fotografią, co natychmiast wychwyciły amerykańskie skanery. Okazało się, że chłopiec pochodzi ze stanu Michoacán i pragnął dołączyć do swoich krewnych, którym się już udało przedostać do USA. Zapytaliśmy o jego dalsze losy. Usłyszeliśmy w odpowiedzi, że będzie odesłany do swego rodzinnego stanu, ale prawdopodobnie wkrótce podejmie kolejną próbę nielegalnego sforsowania granicy. Zawieziono nas także do miejsca, gdzie nie ma już muru, ale są rozległe podgórskie tereny, przez które trzeba przejść pieszo starając się ominąć amerykańskie patrole graniczne (ze strony meksykańskiej żadnej straży nie ma) i dostać się na autostrady wiodące w głąb kraju. Ze względu na możliwość pracy mieszkańców Tijuany w San Diego, nie oni są tymi, którzy przeskakują mur czy pokonują bezludne tereny pustynne, aby dostać się do wymarzonego amerykańskiego raju. Tymi, którzy ryzykują nawet życie dla osiągnięcia tego celu są Meksykanie pochodzący ze stanów leżących w centrum lub na południu Meksyku.

Duże wrażenie wywarła na nas wizyta w tzw. Parku Pokoju i Miejscu Spotkań. Granica między obu państwami przebiega w tym miejscu na lądzie i w zatoce morskiej. W pewnym punkcie szczelnego zazwyczaj muru są przerwy, które są oczywiście zakratowane, ale w taki sposób, żeby Meksykanin podchodzący ze strony amerykańskiej mógł uścisnąć rękę swojemu krewnemu stojącego po stronie meksykańskiej, a wszystko to pod bacznym spojrzeniem strażników z samochodów „Border Patrol” stojących w odległości kilkudziesięciu metrów.

Inną możliwością, którą wybierają poszukiwacze lepszego życia są drogi przez pustynie, najpierw meksykańską, a następnie amerykańską w stanie Arizona. Pochłania ona jednak wiele ofiar, zwłaszcza wśród nieprzygotowanych do niej podróżników. Upał, brak wody i cienia oraz wiele dni marszu mogą przetrwać tylko najbardziej wytrzymali i zdrowi. Lecąc do Tijuany samolotem mogłem z wysoka patrzeć na bezkresne obszary piasku lub kamieni w stanie Sonora, przez które muszą przejść zwolennicy tej drogi. Wśród wielu ofiar, które pochłonęła pustynia byli w swoim czasie także Polacy.

Drugim zjawiskiem charakterystycznym dla Meksyku, a szczególnie w pasie granicznym z USA, jest handel i przemysł narkotyków. Ma ono wielorakie oblicza. Z jednej strony jest to walka państwa i rządu z kartelami narkotykowymi, z drugiej zaś walka między samymi kartelami o podział stref wpływów wewnątrz kraju i opanowanie kanałów przerzutowych do USA. Wojna ta toczyła się stale, ale po wstąpieniu na urząd prezydenta Meksyku Felipe Calderona w 2006 roku nabrała nowego wymiaru. Nowy prezydent ogłosił stan stałej walki z kartelami i wprowadził do akcji oddziały wojskowe. W najbardziej niebezpiecznych miejscowościach kraju wojsko zajęło strategiczne miejsca w poszczególnych miastach i drogach prowadzących do nich. Dotyczyło to także odwiedzanej przez nas Tijuany. Jadąc drogą wzdłuż granicy musieliśmy zatrzymywać się przy posterunkach wojskowych blokujących drogę (ślalom między kolczatkami) sprawdzających podejrzane samochody. Chodziło nie tylko o przemysł narkotyków z Meksyku do USA, ale i broni ze Stanów Zjednoczonych do Meksyku, sprowadzanej przez kartele do walki z wojskami rządowymi, a także między sobą. W związku ze schwytaniem wielu przywódców karteli i wydaniem ich władzom amerykańskim rozpoczęła się walka „młodych wilków” o ich zastąpienie oraz zwiększenia sfery wpływów. Walka ta przybierała coraz bardziej brutalne formy każdej ze stron uczestniczących w konflikcie. Masowe egzekucje, tortury, dekapitacje przeciwników były spotykane na porządku dziennym. Ginęli również dziennikarze piszący o tych sprawach. Podczas pobytu w Tijuanie odwiedziliśmy redakcję jednego z dzienników, którego redaktor naczelny został zabity przez narkotykową mafię za pisanie artykułów o jej przestępstwach. W okresie rządów Felipe Calderona (2006-2012) zginęło ponad 40 tysięcy osób, w tym wiele osób niewinnych, które przypadkiem znalazły się w strefie ognia między walczącymi stronami.

Czy szybko skończy się ta wojna? Chyba nie, gdyż zbyt duże zyski przynosi ten proceder. Meksykańskie kartele i ich amerykańscy odbiorcy szukają wciąż nowych sposobów i dróg przemytu narkotyków. Jak donosi od czasu do czasu prasa, budowane są specjalne, nawet kilkusetmetrowe tunele np. między Tijuana i San Diego w celu przerzutu zakazanego towaru.

Dzięki pobytowi w Tijuanie poznałem jeszcze jedną rzecz wartą polecenia wszystkim. Mianowicie meksykańska Dolna Kalifornia jest producentem bardzo dobrego wina, najlepszego w tym kraju. Miałem okazję zapoznać się z tymi winami w restauracji „Rincon Polaco”(Zakątek Polski) prowadzonej przez Meksykanina Carlosa Guerrę – przyjaciela Polski, który preferował te wina bardziej od innych. Podczas naszego radcowskiego spotkania z gubernatorem stanu, mówił on wiele o postępującej integracji z sąsiednią,

amerykańską Kalifornią w różnych dziedzinach. Po jego przemówieniu, w ramach pytań i uwag, wystąpiłem z apelem, aby integracja ta nie objęła także produkcji wina, gdyż meksykańskie jest zdecydowanie lepsze. Spotkało się to z bardzo dobrym przyjęciem przez gospodarzy i zapewnieniem, że w tej dziedzinie integracji nie będzie. Nie zaprzeczę, że podano po tym kolejną butelkę wyśmienitego wina. Miłą niespodzianką po powrocie do Polski był fakt znalezienia w niektórych sklepach win z meksykańskiej Dolnej Kalifornii. Jaki dzisiejszy świat jest mały!

O Meksyku można nieskończenie. O historii, cywilizacjach przedkolumbijskich, podboju przez hiszpańskich konkwistadorów, epoce kolonializmu i walkach o niepodległość czy też współczesnym Meksykiem. O ludziach, zwyczajach i tradycjach czy też kulturze, kuchni i muzyce. Jak mówią sami Meksykanie, nie ma takiego drugiego kraju jak Meksyk na świecie („Como Mexico no hay dos”). Nie jest to jednak wyłącznie temat tej książki, być może, w przyszłości ona też powstanie. Czytający może zapytać, a gdzie jest mowa o piramidach Azteków czy Majów? Tyle książek o nich napisano, że nie śmiałybym być konkurentem dla słynnych archeologów, historyków i badaczy przedkolumbijskich cywilizacji, więc odsyłam czytelników do ich dzieł lub dobrych przewodników turystycznych po Meksyku. Natomiast jest faktem, że osobiście wchodziłem kilka razy na Piramidy Słońca i Księżycy w Teotihuacán koło meksykańskiej stolicy i przemierzałem wielokrotnie trzykilometrową Aleję Zmarłych, łączącą te obiekty, towarzysząc oficjalnym delegacjom polskim lub znajomym wizytującym Meksyk. Muszę stwierdzić, że wbrew pozorom 248 stopni Piramidy Słońca łatwiej pokonać niż niższą Piramidę Księżycy z uwagi na wysokość schodów i ich stromość. O wiele łatwiej też wejść na piramidę w Tuli i zrobić sobie zdjęcie z ponad czterometrowymi posągami stojącymi na jej szczycie. Bez problemów można zwiedzać wspomniane Monte Alban czy piramidy Majów na Jukatanie. Podziwiałem i wdrapywałem się na niektóre piramidy na terenie jednego z cudów świata w Chichen Itza, oglądałem i słuchałem widowiska „Światło i dźwięk” w ruinach Uxmal oraz kąpałem się w jednej z podziemnych studni (*cenote*). Zwiedziłem wiele innych miejsc w tym kraju, co się nadaje na dłuższe – jak wspominałem – opisy, więc zakończę tę meksykańską gawędę opisem podróży, którą odbyłem wraz z żoną już po powrocie z placówki z Meksyku na Jukatan.

Wracając z misji w Peru (o tym kraju w następnym rozdziale), w ramach urlopu zatrzymałem się w Meksyku, do którego doleciała żona z Polski. Nie byliśmy razem w krainie Majów na Jukatanie, skorzystaliśmy więc z zaproszenia naszego przyjaciela, Jurka Mrożka i po odwiedzeniu starych znajomych w mieście Meksyku, odlecieliśmy do Cancun. Przywitał nas wspomniany

Jerzy Mrozek, absolwent poznańskiego Uniwersytetu, na którym studiował iberystkę i filozofię, zafascynowany turystyką, która zaprowadziła go właśnie do Meksyku. Najpierw był sporadycznie pilotem wycieczek po tym kraju, aby w końcu stać się w tym zawodzie profesjonalistą, co zaowocowało utworzeniem własnego biura podróży. Ale o tym potem. Wylądowawszy w Cancun nie zatrzymaliśmy się w tym mieście, a jedynie je zwiedziliśmy. Mówiąc o Cancun, należy rozróżnić, tzw. Strefę Hotelową zbudowaną na wybrzeżu, która jest oddzielona od starego miasta Cancun zalewem. Strefa obejmuje kilkadziesiąt dużych, luksusowych hoteli, bardzo zróżnicowanych architektonicznie, leżących na samym pasku plaży ciągnącej się 25 km wzdłuż wybrzeża. Biały piasek plaż i turkusowe wody laguny przyciągają rzesze turystów, głównie ze Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej. W ostatnich latach także polscy turyści coraz częściej zagląдают do tej części Meksyku. Byliśmy tam w czerwcu 2008 roku, prawie trzy lata po przejściu strasznego, tropikalnego cyklonu Wilma, który z szybkością prawie 300 km spustoszył wybrzeże Jukatana w październiku 2005 roku. Rezultaty uderzenia Wilmy mogliśmy obserwować jadąc wzdłuż Strefy Hotelowej. Właśnie ona padła głównie ofiarą cyklonu. Co prawda, żaden z hoteli nie został zburzony, ale praktycznie wszystkie ucierpiały. Powyrywane okna i drzwi, zalane dolne piętra spowodowały olbrzymie straty i konieczność remontu i modernizacji całej Strefy. Widać jeszcze było w niektórych budynkach czarne folie zakrywające otwory okienne, mnóstwo robotników pracujących przy ich remontach i dwa – trzy dumne napisy: „Wkrótce otwarcie”. W związku z tym, że cyklon zabrał również plaże przed hotelami, został wynajęty duński statek-pogłębiarka, który wybierał piasek z dna morskiego i odbudowywał białe plaże dla przyszłych gości hotelowych. Samo miasto Cancun, dzięki temu, że nie leżało bezpośrednio na wybrzeżu, poza wyrwanymi lub połamanymi drzewami, uniknęło większych strat. Humorystyczną pozostałością po huraganie stała się zupa Wilma serwowana w lokalnych restauracjach.

My natomiast wylądowaliśmy w małym hoteliku w Playa del Carmen położonym tuż przy plaży (urlop to urlop!). Miasteczko bardzo kameralne, pełne turystów, ale trochę innych niż w Cancun (powiedzenie: „byłem na wczasach w Cancun” oznacza w praktyce wczasy w Strefie Hotelowej na zasadzie „All inclusive”). Więcej tutaj można spotkać Europejczyków, zarówno tych bogatych, jak i młodzieży, dla której miasteczko to stało się bardziej modne niż odległy o 60 km bogaty Cancun i gdzie obok drogich hoteli, bez trudu można znaleźć tańsze hostele lub kwatery. Było ono także ulubionym miejscem wielbicieli nurkowania, którzy mieli tutaj swoją bazę przed zanurzeniem się w wody rafy koralowej Morza Karaibskiego w tym

miejscu lub w wodach pobliskiej wyspy Cozumel, która uchodzi za mekkę nurków z całego świata. Z naszego hoteliku oglądaliśmy, codziennie rano rytuał wypożyczenia sprzętu do nurkowania po drugiej stronie ulicy, następnie marsz nurków plażą do promu odpływającego na Cozumel.

Niezależnie od pięknej, piaszczystej plaży i turkusowego morza, zamiast nurkowania wybieraliśmy zwiedzanie okolic. Zwiedziliśmy Tulum – prekolumbijską osadę Majów wzniesioną nad skalnym urwiskiem i górującym nad nim „zamkiem” odgrywającym w przeszłości rolę latarni morskiej, niżej zaś, na wybrzeżu, rozpościerała się kolejna piękna plaża. Wśród ruin, na zielonej trawie spały lub poruszały się leniwie w słońcu iguany różnej wielkości. Oddalając się od wybrzeża wylądowaliśmy w środku dżungli, aby podziwiać piramidy Coby (z największą 42 metrową Wielką Piramidą) i ruiny innych budowli tego miasta – kiedyś jednego z największych miast Majów, a obecnie prawie całkowicie zarośniętego przez zieloną dżunglę. Odwiedziliśmy też park tematyczny Xcaret, który stanowi ciekawe połączenie centrum wypoczynkowo-rekreacyjnego z ogrodem zoologicznym. Można tu bowiem zobaczyć zarówno okazy flory i fauny występujące w Meksyku, w tym, dzikie



Uroczystość odsłonięcia popiersia prof. Czesławy Prywer-Lidzbarskiej  
– wybitnego botanika na Autonomicznym Uniwersytecie Chapingo w stanie Meksyk

zwierzęta jak jaguary czy tapiry i domowe konie czy osły oraz całą plejadę żółwi, ryb i ptaków. Podczas spacerów można było obejrzeć rekonstrukcje ruin archeologicznych Majów i Azteków, przejść po tropikalnym ogrodzie botanicznym, a nawet wykąpać się razem z delfinami. Co krok odbywały się jakieś spektakle na świeżym powietrzu, m.in. latający Indianie tzw. Voladores de Papantla (w tej miejscowości również byliśmy, ale można ich spotkać też przy Muzeum Archeologicznym w stolicy kraju). Wieczorem, w podziemnym amfiteatrze miał miejsce show prezentujący historię powstania Meksyku, od czasów prekolumbijskich, poprzez konkwistę do czasów współczesnych, oraz jego kulturę poprzez prezentacje poszczególnych regionów Meksyku z ich tańcami i piosenkami, z udziałem kilkuset artystów. Z uwagi na muzykę, stroje i inne elementy sceniczne show był ciekawy nie tylko dla cudzoziemców, ale i Meksykanów przybyłych tutaj również w celach wypoczynkowych. Na tę wycieczkę przyjechalśmy autobusem z Playa del Carmen i tak też wracaliśmy, ale z drobną przygodą. Kiedy wychodziliśmy po spektaklu rozszalała się gwałtowna burza i potoki deszczu lały się z nieba. Po przebiegnięciu ok. 50 m dzielących nas od wyjścia do autobusu byliśmy zmoczeni od stóp do głów. Na dodatek, w autobusie zacięły się drzwi i przez kilka minut walki kierowcy, aby je otworzyć, deszcz dokonał reszty. Nie było na nas (i na innych też) dosłownie suchej nitki. W takim stanie wróciliśmy do hotelu.

Ciekawą wyprawą była wycieczka na Wyspę Kobiet położonej niedaleko Cancun. Trzeba do niej dopłynąć statkiem, co trwa ok. pół godziny. Niewielką powierzchnię wyspy można zwiedzić rowerem lub wózkiem golfowym. Wybraliśmy ten ostatni środek transportu i objechaliśmy wyspę asfaltową drogą zatrzymując się przy niektórych jej ciekawych miejscach, na południu wyspy: latarni morskiej stojącej na wysokim, stromym brzegu, świątyni Bogini Ixchel czy pirackiej hacjendzie Mundaca, zaś na północy, by podziwiać szeroką, piaszczystą plażę z turystami opalającymi się lub nurkującymi u jej brzegów. Dla wszystkich gości wyspa miała bogatą ofertę towarów produkowanych przez miejscowych rzemieślników lub różnorodny zestaw potraw rybnych w małych restauracyjkach usytuowanych przy przystani, do której przybijają turystyczne statki. Innego dnia, pożyczonym od Jurka samochodem pojechaliśmy z samego rana do ogłoszonego w ostatnich latach jednego z siedmiu cudów współczesnego świata, do kompleksu Chichen Itza. Nie będę go opisywał, bo w każdym z przewodników turystycznych świata jest on dokładnie scharakteryzowany ze wszystkimi szczegółami. Nie wspięliśmy się na najwyższą piramidę świątyni Kukulcana, gdyż z powodu nieprzeliczonych rzesz turystów w poprzednich latach, gospodarze po prostu tego zabronili. Byliśmy za to na szczycie Piramidy Wojowników, gdzie jest

usytuowany posąg, tzw. Chac Mool, na którym składano serca ofiar poświęconych bogom oraz bardzo dobrze zachowane boisko do gry w indiańską piłkę. Znaliliśmy już trochę piramid Majów i Azteków, więc zwiedzanie poszło nam, na szczęście, dość szybko. Idąc na parking do samochodu, zrozumieliśmy w pełni zakaz wchodzenia na piramidę Kukulcana. Autokar za autokarem, pełne turystów, zaczęły wypełniać parkingi przed strefą zwiedzania. I jest tak – jak nam powiedział Jurek – każdego dnia przez okrągły rok. A przecież było to jeszcze przed konkursem na siedem cudów świata!

Z przyjemnością przyjęliśmy zaproszenie Jurka, aby z nim i najstarszym synem Sebastianem (wówczas niespełna dwuletnim – obecnie ma jeszcze dwóch młodszych braciszków i siostrzyczkę) poznać inny, dziki zakątek Jukatanu – Rezerwat Biosfery Sian Ka'an, wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO w 1987 roku. Nazwa Sian Ka'an oznacza w języku Majów „miejsce, gdzie narodziło się niebo”. Obejmuje on obszar podmokłych terenów Morza Karaibskiego oraz okresowo zalewane lasy tropikalne, lasy namorzynowe i rafy koralowe. Bogata jest także flora i fauna Rezerwatu. Występują tutaj takie zwierzęta, jak jaguary, pumy, czepiaki, wyjce, krokodyle i ponad 300 gatunków ptaków. Wybraliśmy się tam na całodzienną wycieczkę.

Około 40 km za Tulum skręciliśmy w szutrową drogę i jechaliśmy przez kolejne dwie godziny aż do wioski rybackiej Punta Allen, leżącej na końcu wąskiego piaszczystego półwyspu porośniętego palmami. Nie zatrzymaliśmy się jednak tam, tylko wynajęliśmy łódkę i popłynęliśmy na inną małą wysepkę, gdzie stały zaledwie dwa małe domki. Jak się okazało, mieszkały tam dwie rodziny rybackie, które dobrze znały Jurka. Zamówiliśmy u nich obiad, ale popłynęliśmy dalej, aż do rafy koralowej. Przed samą rafą kąpaliliśmy się i przez maski oglądaliśmy dno usiane wspaniałymi koralowcami i przepływające co chwila koło nas ryby, różnej wielkości i koloru. Dzięki temu, że właściwa rafa znajduje się dalej i zatrzymuje fale morskie, woda koło naszej łódki była spokojna. Nawet Sebastian zażywał kąpieli ubrany w kapoki na ramionach i holowany przez ojca. Nie tylko my byliśmy entuzjastami poznania rafy, gdyż za chwilę podpłynęła duża łódź motorowa pełna turystów, którzy poszli za naszym przykładem i powskakiwali do wody. Na horyzoncie krążyły jeszcze dwie podobne. Na nas czekał jednak zamówiony obiad, toteż wskoczyliśmy z powrotem do łodzi i pomknęliśmy na małą wysepkę. Tam zaś, na prymitywny, zbity z desek stół, wjechały smakowite homary i zimne piwo. Delektując się tymi smakołykami patrzyliśmy na kołyszące się jeszcze w dali łódzie przy rafie, a w bliższej perspektywie latające mewy nad palmami oraz brodzące pelikany. Można by pomyśleć, co za raj, ale po rozmowie z gospodarzami, optyka tego rajskiego, zdawało się zakątką, uległa zmianie. Wysepka



była bez prądu i większość towarów, oczywiście poza rybami i owocami morza, trzeba było dowozić z lądu. W czasie huraganu Wilma woda naniała na wysepkę mnóstwo piasku, zasypując przydomowe ogródki. Opowieści o Rezerwacie, jego mieszkańcach płynęłyby jeszcze dłużej, lecz Sebastian obudził się z popołudniowej drzemki i dał nam niedwuznacznie do zrozumienia, że trzeba wracać do domu. Wskoczyliśmy, więc do łódki i dopłynęliśmy z powrotem do Punta Allen, gdzie przesiedliśmy się do samochodu Jurka i udaliśmy się do domu, odległego o 14 km od Cancun, w którym również zamieszkaliśmy przed powrotem do stolicy Meksyku i Europy. Dom jest usytuowany w środku buszu, zbudowany z kamienia przez poprzedniego właściciela, ale urządzony i zmodernizowany przez Jurka i jego meksykańską żonę, Sarę. Przeprowadzili się tutaj ze stolicy, kiedy Sara zaszła w ciążę, aby przyszłe dziecko mogło urodzić się w czystym powietrzu, a nie w stołecznym smogu. Sara jest zwolenniczką natury i wszystkiego, co ekologiczne, tak, że nawet rodziła Sebastiana, dwóch następnych synów i córkę w domyślny, indiański sposób, w wodzie, pod okiem indiańskiej znachorki. Jurek z Sarą prowadzą biuro podróży z główną siedzibą w Playa del Carmen i filią w stolicy kraju. Kiedy byłem u Jurka rok wcześniej, pokazywał mi sąsiadujący z jego domem zarośnięty teren i wyjaśniał, że chciałby go kupić i urządzić tam mały turystyczny ośrodek z tradycyjną, indiańską łaźnią i towarzyszącymi jej obrzędami. Kiedy byliśmy u nich podczas wspomnianej podróży, z dumą pokazywał nam stojące już w stanie surowym domki i przygotowany teren pod przyszły basen. Od roku 2011, ośrodek funkcjonuje (jego zdjęcia można zobaczyć w Internecie) i przyjmuje zagranicznych turystów przyjeżdżających do Cancun, którzy są zainteresowani zobaczeniem czegoś innego, niż tylko plaże i bary w Strefie Hotelowej. Może i mnie się jeszcze uda to zobaczyć?

Podczas pobytu w Meksyku miałem możliwość odbyć dwukrotnie podróże służbowe na Dominikanę, która znajdowała się w kompetencji ambasady w Meksyku, jako zastępca konsula, w celu dokonania obowiązującego jeszcze wówczas oficjalnego opieczątowania trumien polskich obywateli, którzy zginęli tragicznie na tej wyspie. Przy okazji spotkałem, a jakże, Polaków mieszkających i pracujących na tej egzotycznej, karaibskiej wyspie. Podczas tej podróży tranzytem zatrzymałem się w Panamie, gdzie po raz pierwszy byłem w 1976 roku. Ale gawęda o tym znajdzie się chyba już w następnej książce.

## Rozdział XX

### Inkaskie słońce Peru

Pierwsze moje spotkanie z Peru było niezbyt udane, jak to już opisałem przy okazji wizyty parlamentarzystów w 1988 roku, ale została chęć powrotu na dłużej i lepszego poznania tego fascynującego kraju. Peru z powierzchnią ponad 1200 tys. km<sup>2</sup> zajmuje pod tym względem trzecie miejsce wśród krajów Ameryki Południowej, po Brazylii i Argentynie. Kraj dzieli się na trzy regiony geograficzne: pustynne wybrzeże (Costa) zajmujące ok. 10%, góry (Sierra) – ok. 30% oraz dżungla (*selva*) – ok. 60% powierzchni kraju. Podobnie jak pod względem geograficznym, tak również pod względem ludności kraj jest bardzo zróżnicowany. Z 28 mln Peruwiańczyków około 1/3 mieszka w Limie, bądź w stołecznej aglomeracji. W kraju obowiązują dwa języki oficjalne: hiszpański i keczua, chociaż używa się także języka ajmara. Indianie posługujący się językiem keczua stanowią 45% ogółu mieszkańców, 37% to Metysi, 15% – biali, a pozostałe 3% to Murzyni lub potomkowie imigrantów z Japonii i Chin. Zdecydowana większość społeczeństwa, bo ok. 90% to katolicy, chociaż nierzadko wiara chrześcijańska miesza się z wierzeniami przedchrześcijańskimi. Jak widać, z tego krótkiego zestawienia statystycznego, różnorodność i kontrasty charakteryzują ten kraj. Jeśli dodamy do tego jego bogatą historię od czasów przedinkaskich: kultury Chavin, Nazca, Mochica, Sican, Chimu,

tj. do roku 1438, kiedy władzę na terytorium Peru zdobywają Inkowie, których imperium trwa do roku 1532 tj. do podboju przez hiszpańskich konkwistadorów pod wodzą Francisca Pizarra, przez okres kolonialny do 1821 roku tj. do uzyskania niepodległości, aż do czasów współczesnych, to trzeba przyznać, że kraj ten potrafi fascynować i przyciągać do siebie zarówno naukowców: archeologów, historyków, językoznawców, lekarzy i sejsmologów, jak i zwykłych turystów chętnych poznać jego przeszłość i teraźniejszość.

Poznałem wiele państw Ameryki Łacińskiej, tym bardziej byłem zainteresowany odbyciem podróży do Peru, zwłaszcza po tym pierwszym, wspomnianym na początku, nieudanym kontakcie. Kolejne wizyty w stolicy Limie miały miejsce przy okazji krótkich podróży służbowych, które dały mi możliwość choćby pobieżnego zwiedzenia stołecznych zabytków i samego miasta, założonego przez Francisca Pizarra w 1535 roku. Jego pomnik stał tuż koło Pałacu Prezydenckiego, kiedy odwiedziłem Limę na początku XXI wieku, ale, kiedy ostatni raz byłem w Limie, zobaczyłem go już na nowo zbudowanym placu na skarpie, gdzie odbudowano fragment starych murów obronnych miasta. Francisco Pizarro wskazał również miejsce budowy limskiej katedry zlokalizowanej przy centralnym placu miasta noszącym obecnie nazwę Plaza Mayor, a dawniej Plaza de Armas (Plac Broni). Mieszczą się przy nim także główne gmachy publiczne miasta. Są to Pałac Prezydencki, Ratusz Miejski, Pałac Biskupi, a na środku placu stoi XVII-wieczna fontanna, wykonana z brązu. Jest to miejsce, które w pierwszym rzędzie zwiedza każdy przyjeżdżający tutaj turysta. Robi zdjęcia fontanny, katedry, (która wielokrotnie była niszczone przez trzęsienia ziemi, zwłaszcza w 1746 roku, została odbudowana wg planów z 1632 roku), ewentualnie ją zwiedza, aby zobaczyć grób Pizarra znajdujący się w jednej z kaplic, następnie fotografuje Pałac Biskupi i Ratusz, czatuje na zmianę warty przy Pałacu Prezydenckim, aby zrobić kolejne zdjęcia. Piszę te słowa, gdyż robiłem tak samo, podobnie jak setki obserwowanych przeze mnie turystów przemierzających Plaza Mayor w różnych kierunkach. Patrząc na te gmachy z charakterystycznymi dla starej Limy pięknymi, rzeźbionymi balkonami, czułem się dumny, jako Polak, gdyż większość wzmiankowanych gmachów budowanych (Pałac Prezydencki – 1938, Pałac Biskupi – 1924, Ratusz – lata 40. XX wieku) lub rekonstruowanych (katedra) była dziełem polskiego architekta, Ryszarda Jaxy-Małachowskiego. Zbudował on jeszcze wiele innych pięknych gmachów w różnych dzielnicach Limy. Kolejny polski ślad w samym centrum to znajdująca się obok Pałacu Prezydenckiego stacja kolejowa Desamparados. Z tego miejsca brała swój początek linia kolejowa Lima – Huancayo, zbudowana przez polskiego inżyniera Ernesta Malinowskiego, która wiodła przez górskie szczyty Andów na wysokości

ponad 4800 metrów i była najwyższą na świecie, aż do czasu zbudowania przez Chiny kolei do Tybetu na wysokości 5000 m n.p.m. Zwiedzając stację i stojąc przed pamiątkową tablicą ku czci Ernesta Malinowskiego i innych budowniczych tej kolei, nie przypuszczałem, że będę miał okazję nią jechać i być w jej najwyższym punkcie (4818 m n.p.m.), gdzie stoi pomnik jej twórcy. Ale o tym później.

Krótkie pobyty służbowe w Limie pozwalały jedynie na zwiedzanie miasta, jego zabytków oraz muzeów. Niedaleko od Plaza Mayor znajdują się war-  
te obejrzenia: kościół i klasztor pod wezwaniem św. Franciszka pochodzący z XVII wieku – przykład architektury sakralnej z okresu kolonialnego, w salach klasztornych znajduje się zaś galeria malarstwa religijnego, głównie malarzy hiszpańskich z XVII wieku oraz kościół Santo Domingo wraz z klasztorem, gdzie pochowane są ciała św. Róży (patronka Limy) i św. Martina de Porres, których kult jest rozpowszechniony w Ameryce Południowej. Podobnym kultem cieszy się obraz Chrystusa Cudotwórcy (El Señor de los Milagros) w kościele i klasztorze nazaretanek położonym na drugim brzegu rzeki Rimac, nad którą leży Lima. Według legendy czarnoskóry Chrystus na krzyżu został namalowany przez afrykańskiego niewolnika i powieszony na jednej ze ścian sali, gdzie odbywały się spotkania. W czasie trzęsienia ziemi w 1655 roku, które praktycznie zniszczyło całe miasto, ocalała tylko ściana z obrazem Chrystusa. Uznano to za cud i dobudowano do niej pozostałe mury kościoła stojącego do dzisiaj. W połowie października każdego roku odbywają się procesje z obnoszeniem obrazu, na które przybywają liczne pielgrzymki z Peru i innych krajów.

Panoramę Limy mogłem oglądać ze wzgórza San Cristobal, na które wjeżdża się małym autobusem po wąskiej drodze. Przy okazji można obejrzeć bogate zbiory w Muzeum Taurino, związane z walkami byków. Odwiedziłem także Muzeum Inkwizycji z komnatą tortur oraz Muzeum Złota i Broni. To ostatnie, prywatne, zrobiło na mnie duże wrażenie nie tyle z racji reklamowanych znalezisk archeologicznych ze złota z różnych epok, gdyż było to już po zwiedzaniu Muzeum Złota w Bogocie, ale właśnie broni. Zmarły właściciel Muzeum, Miguel Mujica Gall, zebrał ponad 25 tysięcy eksponatów poczynając od początków cywilizacji do czasów współczesnych, ze wszystkich kontynentów. Zgromadzonej broni towarzyszą stroje, zbroje lub współczesne mundury wszystkich formacji biorących udział w bitwach lub wojnach w średniowieczu i dwóch wojnach światowych XX wieku. Do tego dochodzą medale wojskowe różnych krajów, wśród których dostrzegłem także polskie odznaczenia wojskowe. Mimo że, jak pisałem, te kilkakrotne pobyty służbowe były krótkie i wyżej opisane zabytki i muzea mogłem zwiedzać jedynie

w czasie wolnym, to dzięki służbowemu charakterowi wizyt udało mi się zobaczyć także gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych mieszczący się w Pałacu Torre Tagle z XVIII wieku, ozdobiony kamienną rzeźbioną fasadą wejściową i pięknymi, drewnianymi balkonami od strony ulicy, natomiast wewnątrz znajduje się typowe hiszpańskie *patio* otoczone drewnianymi, rzeźbionymi krużgankami na wysokości pierwszego piętra. Przebywając w ambasadzie w dzielnicy Jesus Maria lub rezydencji w dzielnicy San Isidro mogłem również zobaczyć te willowe dzielnice zamieszkałe przez przedstawicieli wyższych sfer i biznesu społeczeństwa peruwiańskiego. Dzielnica Miraflores to z kolei położona nad zatoką strefa hoteli, restauracji, nocnych klubów i sklepów.

Lima ma specyficzny mikroklimat. Wskutek inwersji cieplnej prawie nigdy nie pada deszcz, lecz w okresie od maja do października występuje wilgotna mgła tzw. *garúa*. Również sporadycznie zdarzają się piękne, upalne dni ze świecącym słońcem, gdyż normą jest lekka mgiełka, które je przysłania. Dotyczy to wyłącznie Limy, gdyż już kilkanaście kilometrów za miastem słońce świeci pełnym blaskiem. W czasie jednej z podróży odnotowałem zjawisko, o którym, jak opowiadałem kolegom znającym Limę, nie mogli uwierzyć. Zresztą sam bym nie wierzył, gdybym osobiście tego nie przeżył. Mianowicie, podczas jednej z podróży, po przylocie na lotnisko w Callao (odległym o 14 km od centrum Limy) zauważyłem, że czekający na mnie pracownik ambasady ma w ręku parasol i do tego mokry. Zdziwiłem się, znając uwarunkowania klimatyczne Limy, ale po wyjściu z budynku dworca lotniczego, znaleźliśmy się w strugach autentycznego deszczu padającego bez przerwy do czasu przyjazdu do ambasady. Następnego dnia, nastąpiło kolejne zdziwienie. Ostry blask promieni słonecznych przenikających przez szyby obudził mnie z samego rana i ku ogólnemu zaskoczeniu mieszkańców Limy, tak świecące słońce utrzymywało się przez cały dzień, co natychmiast zostało wykorzystane przez wszystkich, jako okazja do opalania się na plażach lub w parkach. Ale kolejnego dnia wszystko wróciło do normy. Nie było deszczu, nie było pełnego słońca, tylko jak zwykle słońce przebijało się przez mgłę zawisłą nad miastem.

Wspomniałem o Callao, gdzie mieści się międzynarodowe lotnisko Limy, ale jest to przede wszystkim port morski, jeden z większych i najnowocześniejszych na Pacyfiku, założony w 1537 roku. Na końcu półwyspu (La Punta) znajduje się potężny fort San Felipe zbudowany w XVIII wieku, w celu obrony wybrzeża. W 1826 roku został zdobyty, po rocznym oblężeniu, przez wojska Simona Bolívara, jako ostatni punkt oporu wojsk hiszpańskich wiernych królowi. Odegrał także ważną rolę w odparciu inwazyjnych wojsk

hiszpańskich w 1866 roku. Dzięki fortyfikacjom obronnym i bateriom artylerii zainstalowanych na wybrzeżu przez Ernesta Malinowskiego atak okrętów hiszpańskich dnia 2 maja 1866 roku został odparty i bombardowane z lądu okręty po kilku dniach odpłynęły do Hiszpanii. Pamiątkową tablicę ku czci Malinowskiego można oglądać w Muzeum Wojskowym, mieszczącym się dzisiaj w Fortcie oraz na pomniku stojącym na nabrzeżu wybudowanym na pamiątkę tego zwycięstwa.

Wszystkie te, krótkotrwałe podróże zaostrzały tylko ciekawość i chęć poznania oraz dotarcia do legendarnego Machu Picchu. Marzenie to postanowiliśmy zrealizować z żoną pod koniec naszego pobytu w Meksyku. Przypadek sprawił, że dowiedzieliśmy się, że w Peru mieszka i pracuje na Uniwersytecie Katolickim w Limie, jeden z najbardziej znanych współczesnych peruwiańskich archeologów, Krzysztof Makowski, który był kolegą z klasy żony z okresu szkoły średniej, z liceum im. Narcyzy Żmichowskiej w Warszawie. Tym bardziej wzrosła chęć zobaczenia tego fascynującego kraju. Mając już polecenia powrotu z placówki z Meksyku latem 2007 roku postanowiliśmy wykorzystać należny nam urlop na podróż do kraju Inków w kwietniu tego samego roku.

Przy pomocy pani Marii Kralewskiej de Canchaya, prowadzącej biuro turystyczne w Limie (poznaliśmy ją internetowo dzięki Jurkowi Mrozkowi), ustaliliśmy plan podróży obejmujący trasę Meksyk – Lima – Cuzco – Machu Picchu – Cuzco – Puno – Lima – Meksyk. Pobyt w Limie, zostawiliśmy na koniec podróży i po przylocie z Meksyku przeszliśmy od razu na krajowy dworzec lotniczy, gdzie wsiedliśmy do samolotu linii lokalnych do Cuzco. Samolot w ciągu 45 minut trwania lotu pozwolił nam z góry podziwiać Andy, przepaście i ośnieżone szczyty, aż wreszcie nadleciał nad Cuzco, ale zanim wylądował dość długo krążył nad miastem z uwagi na otaczające miasto szczyty górskie i trudne podejście do pasa startowego. Wreszcie wylądowaliśmy. Wyszliśmy z samolotu i zauważyliśmy, że niektórzy pasażerowie zaczęli ciężko oddychać. Zdaliśmy sobie sprawę, że przecież znajdowaliśmy się na wysokości 3300 m n.p.m. i ci, którzy przylecieli z nizin, z miejsca odczuli tę różnicę wysokości. Z nami było wszystko w porządku. Startowaliśmy bowiem z poziomu 2400 m n.p.m., na którym leży Meksyk. Zauważyliśmy, że najpopularniejszym napojem było *mate de coca*, czyli herbata z koki pozwalająca na szybsze przystosowanie się do wysokogórskiego klimatu. W każdym hotelu stał cały koszyczek torebeczek z *mate* i można je było brać do woli. Zgodnie z programem wycieczki czekał na nas przewodnik, który odwiózł nas do małego hotelu, położonego niedaleko centrum miasta. Miała to być nasza baza na czas pobytu w Cuzco, gdyż wszystkie planowane wycieczki w okolice były jednodniowe.

Wylądowaliśmy więc w Qosco, czyli pętku świata jak nazywali go Inkowie – mieście, które było stolicą imperium Inków do czasu, kiedy Hiszpanie, najpierw go zdobyli w 1533 roku, a później spalili, po stłumieniu powstania przeciwko nim dowodzonego przez Manco Inkę, i przenieśli stolicę do Limy. Tym niemniej Cuzco pozostało nadal ważnym centrum miejskim i religijnym. Na miejsce zburzonych lub spalonych świątyń i pałaców Inków powstały kościoły i klasztory katolickie oraz rezydencje bogatych hiszpańskich zdobywców. I to dosłownie. Na fundamentach inkaskich budowli wznoszono bowiem nowe budynki kolonialnej architektury wzorowanej na kulturze europejskiej. Jednakże – jak piszą kronikarze – kiedy wiosną 1650 roku Cuzco i okolice nawiedziło potężne trzęsienie ziemi kolonialne budowle zaczęły pękać i walić się, podczas gdy fundamenty zbudowane przez Inków zostały nienaruszone.

Zwiedzanie miasta zaczęliśmy od jego centralnego placu, podobnie jak w Limie, nazwanego Plaza de Armas (Plac Broni) i również, jak w stolicy, przemianowanego w 1997 roku na Plac Główny (Plaza Mayor). Jego historia jest ciekawa, zarówno jeżeli chodzi o czasy inkaskie, jak i okres kolonialny. W czasach Inków pełnił właśnie rolę środka państwa, skąd rozchodziły się drogi do wszystkich miast imperium. Na nim też odbywały się najważniejsze ceremonie religijne i wojskowe. W czasach konkwisty plac był świadkiem egzekucji zbuntowanych Inków, w tym przywódcy jednego z powstań przeciw Hiszpanom, Tupaca Amaru II w 1781 roku. Nad placem górował królewski Pałac Boga Słońca, Wiracocha, skąd król Inków, czyli syn boga, rządził podległymi mu plemionami. Właśnie na jego fundamentach zbudowano katedrę, a jej budowa trwała ponad 100 lat. Z zewnątrz można podziwiać jej trójkondygnacyjny, barokowy portal – pierwszy tego rodzaju w Ameryce Południowej, a wewnątrz – wspaniały ołtarz główny wykonany w całości ze srebra. Do relikwii katedry należy postać ukrzyżowanego Chrystusa znanego jako Nuestro Señor de los Temblores (Pan Jezus od Trzęsień Ziemi). Zgodnie z legendą wyniesiony na zewnątrz podczas trzęsienia ziemi w 1650 roku spowodował, że się skończyło. Dlatego też podczas tradycyjnych procesji wielkanocnych jego figura wynoszona jest z katedry i wędruje po ulicach miasta, a w samej katedrze palą się przy nim ciągle świece przynoszone od wiernych. Wnętrze kościoła jest pełne obrazów indiańskich malarzy z XVII wieku i lat późniejszych, od których ten typ malarstwa przybrał nazwę Szkoły Cuzco, której najbardziej znanym przedstawicielem był Diego Quispe Tito. Interesującym przyczynkiem peruwiańskim jest obraz Marcosa Zapaty z XVIII wieku, „Ostatnia wieczerza”, na którym przed Chrystusem i uczującymi z nim apostołami leży na talerzu, zamiast chleba, pieczona świnka morska (*cuy*), ostra papryka i andyjski ser, a w szklankach zamiast wina jest *chicha morada*

– lokalny napój z kukurydzy o fioletowej barwie. Katedra posiada również na jednej z wież, mający ponad 300 lat, największy na całym kontynencie dzwon, zwany „Maria Angola”. Wykonany ze stopu złota, srebra i brązu, waży ponad tonę, a jego dźwięk można usłyszeć, w zależności od warunków atmosferycznych, w odległości od 20 do 40 km od Cuzco. Drugim kościołem, usytuowanym przy Plaza Mayor jest El Triunfo zakonu jezuitów (Compañía de Jesus) – pierwszy chrześcijański kościół w Cuzco, nazwany tak na cześć zwycięstwa Hiszpanów nad oblegającym miasto Indianami pod wodzą Manco Inca w 1536 roku. Został zbudowany na miejscu pałacu ostatniego Inki, Huayna Capac. Kolejne zabytki tego niezwykłego miasta mogliśmy poznać wyruszając z Głównego Placu w różne strony. I tak, zobaczyliśmy obecny klasztor i kościół św. Dominika (Iglesia de Santo Domingo), dawniej najważniejsze miejsce kultu religijnego Inków, czyli Świątynia Słońca (El Templo de Coricancha). Jest to cały kompleks architektoniczny. Według przekazów hiszpańskich kronikarzy jego ściany były wyłożone złotymi płytkami z drogocennymi kamieniami, a pośrodku centralnej sali była umieszczona, zrobiona z czystego złota, okrągła tarcza symbolizująca słońce tak ustawiona, aby padały na nią promienie wschodzącego słońca. Oprócz Sali Słońca były także kaplice poświęcone Księżycowi, Gwiazdom, Błyskawicy i Tęczy (Arco Iris). Tęcza była uważana przez Inków za dobry znak i flaga z jej wszystkimi kolorami stanowi dzisiaj flagę miasta Cuzco. Burmistrzem miasta opowiadał, że podczas wyjazdów zagranicznych, gdy stawia przed sobą proporczyk z flagą miasta, nieraz się tłumaczy, że jest to flaga Cuzco, a nie jego prywatny symbol. Do dzisiaj z pięknego kompleksu zachowały się jedynie inkaskie mury: duże bloki skalne dopasowane tak precyzyjnie, bez użycia żadnej zaprawy, że przetrwały trzęsienia ziemi. Prawdopodobnie miały na to wpływ kształty kamieni, nie były one proste, lecz trapezoidalne, dzięki czemu wytrzymywały wstrząsy tektoniczne. Tego typu mury spotykaliśmy wszędzie w zachowanych ruinach obiektów inkaskich, w tym i w Machu Picchu. Odwiedziliśmy także inne kościoły, jak La Merced z przepięknymi ołtarzami oraz kościół i klasztor św. Katarzyny (Convento de Santa Catalina) – za czasów inkaskich klasztor Dziewic Słońca oraz kościół (Iglesia San Blas) ze wspaniałe rzeźbioną drewnianą amboną.

Do tego ostatniego trzeba się wspinać po stromej wąskiej uliczce, gdzie po obu stronach znajdują się pracownie artystów malarzy i rzemieślników tworzących piękne wyroby z drewna, m.in. rzeźbione ramy do obrazów. Były one tak ładne, a jednocześnie bardzo lekkie.

Nasza wycieczka została tak zaplanowana, że Cuzco zwiedzaliśmy sami, bez przewodnika posługując się oczywiście przewodnikami drukowanymi,



natomiast pozostałe wycieczki były organizowane przez miejscowe biura podróży, które zbierały turystów z poszczególnych hoteli według kryteriów celu podróży i języka przewodnika. Należy stwierdzić, że system ten działał perfekcyjnie. Powodowało to, że każdego dnia mieliśmy innego przewodnika i inny skład wycieczki. Wszystkich możemy pochwalić za dużą wiedzę o zwiedzanych obiektach i okolicach, uprzejmość (wszyscy Peruwiańczycy są bardzo mili i uprzejmi wobec cudzoziemców) i sprawność organizacyjną (w momencie, kiedy np. zepsuł się w drodze nasz autobus, dosłownie po 10 minutach podjechał drugi i mogliśmy bez przeszkód i zbytej straty czasu kontynuować podróż). Następnego dnia, już z przewodnikiem i grupą turystów, udaliśmy się na zwiedzanie okolic Cuzco, równie interesujących, jak samo miasto. Pierwszym przystankiem była twierdza Sacsayhuamán, odległa zaledwie 4 km od Cuzco. Zrobiła na nas imponujące wrażenie i czuliśmy podziw dla jej budowniczych. Potrójny, wysoki mur ułożony z potężnych bloków skalnych, które ważą kilkanaście ton każdy (u podstawy, im wyżej tym bloki są mniejsze), ściśle dopasowanych jeden do drugiego, ciągnący się na przestrzeni ponad pół kilometra, tworzą przeszkodę nie do zdobycia. W czasach inkaskich były na terenie twierdzy jeszcze trzy wieże obronne, a wewnątrz jej murów liczne pomieszczenia dla stacjonujących tam kilku tysięcy żołnierzy. Ponadto twierdza była zaopatrywana w wodę ze źródeł rzeki płynącej do Cuzco (jest położona na wysokości 3500 m n.p.m., wyżej o ponad 100 m niż miasto.). Zygzakowate mury – jak opowiadał przewodnik – przypominają zęby pumy – zwierzęcia, na planie sylwetki którego Inkowie zbudowali Cuzco. Patrząc na te mury z perspektywy XXI wieku trudno sobie wyobrazić, jaką techniką dysponowali Inkowie, aby te ogromne gązdy, po pierwsze wygładzić, po drugie dopasować, a po trzecie je zmontować w mur obronny. Nawet przy zastosowaniu dzisiejszej najnowocześniejszej maszyny trudno byłoby to zrobić, a w owych czasach na pewno jeszcze trudniej. A jednak zrobili to! W 1536 roku twierdza była centrum powstania Indian pod wodzą Manco Inki przeciw Hiszpanom, którzy przez 10 miesięcy byli oblegani w Cuzco, jednakże wytrwali i zwyciężyli powstańców, co w konsekwencji pomogło im opanować całe terytorium imperium Inków. Z okresu tego powstania pochodzi herb miasta Cuzco: zamek symbolizujący twierdzę i 8 latających kondorów, które żywiły się ciałami zmarłych w walce Indian. Na polach przed ruinami twierdzy Sacsayhuamán 24 czerwca każdego roku ma miejsce tradycyjne święto Inków, „Inti Raymi” na cześć Boga Słońca. Z tej okazji gromadzą się rzesze ludzi przybyłych z całego Peru oraz tysiące zagranicznych turystów, aby oglądać spektakl, w którym uczestniczy kilkuset aktorów. Prezentują oni, ubrani w kolorowe stroje epoki Imperium powitanie panującego

Inki noszonego w lektyce, zapalenie tradycyjnych ogni i złożenie lamy w ofierze Bogu Słońca. Towarzyszą temu występy zespołów tanecznych i muzycznych, co nadaje swoisty, niepowtarzalny charakter i urok temu świętu. Kolejnym punktem wycieczki tego dnia stała się Święta Dolina (Valle Sagrado de los Incas) położona w dolinie rzeki Urubamby. Głównym miastem Doliny jest Pisac, a jego największą atrakcją wielki jarmark, podczas którego okoliczni mieszkańcy sprzedają swoje wyroby rękodzielnicze z kamienia, skóry i wełny. Co prawda, nie było to święto Inti Raymi, ale również był duży tłum, bardzo kolorowo, gościnnie i wesoło, gdyż co chwila, można było spotkać zespoły lub pojedynczych muzyków grających melancholijne melodie andyjskie, a ilość oferowanych produktów przyprawiała o zawrót głowy. Zgodnie jednak z planem wycieczki pojechaliśmy dalej. Oczekiwało nas zwiedzanie Ollantaytambo – wielkiej inkaskiej fortecy strzegącej wejścia do Świętej Doliny od strony północnej. Było to nie tylko forteca militarna, ale również centrum religijne, z nigdy nie dokończoną Świątynią Słońca. Jej ruiny, podobnie jak ruiny fortecy, były zbudowane z różowego porfiru, który nie pochodził z tej doliny, lecz został przetransportowany z sąsiedniej. Na stokach górskich można było także podziwiać spichlerze służące Inkom do przechowywania płodów rolnych, natomiast w samym mieście funkcjonowały kanały rozprowadzające wodę dla jej mieszkańców, zbudowane przez Inków w XV wieku. Chinchero – pałac, a właściwie ruiny, jednego z ostatnich wodzów inkaskich Tupa Inca – to był kolejny i ostatni punkt zwiedzania Świętej Doliny. Lepiej niż pałac zachowany był stary kolonialny kościół, przed którym rozłożył się barwny jarmark indiańskich wyrobów, sprzedawanych głównie przez kobiety w towarzystwie małych dzieci. Czas jednak nagiął do powrotu, gdyż następnego dnia czekała nas pobudka wczesnym rankiem, aby pociągiem udać się do naszego wymarzonego Machu Picchu.

Wstaliśmy o 5 rano, aby w pół godziny później wsiąść do autobusu, który zawiózł nas do stacji kolejowej San Pedro w Cuzco, skąd punktualnie o szóstej odjeżdżał pociąg do Aguas Calientes – docelowej stacji dla turystów udających się do Machu Picchu. Pierwszy etap podróży to sławetne zygzaki, gdyż pociąg musiał ominąć góry otaczające Cuzco. Pociąg wspinał się powoli do wysokości 3800 m i w promieniach wschodzącego słońca można było zobaczyć ładną panoramę Cuzco, a jednocześnie obserwować biedne, zaniedbane przedmieścia tego miasta. Przejechaliśmy następnie w Świętą Dolinę i przystanęliśmy w zwiedzonym poprzedniego dnia Ollantaytambo, gdzie niespodziewanie weszła do pociągu duża grupa turystów. Okazało się, że część biur podróży dowoziła swoich klientów autobusem do tej stacji, gdyż dalej nie ma już szosy i oszczędza im tym samym zygzakowatej, dość długiej i trochę

nudnej jazdy pociągiem. Kolejny przystanek to był kilometr 88, gdzie tym razem wyszła z pociągu niewielka grupa osób z plecakami i ekwipunkiem turystycznym. Dowiadujemy się później, że byli to śmiałkowie, których celem było także Machu Picchu, ale mieli tam dotrzeć tzw. drogą Inków (Camino Inca). Prowadzi ona przez góry, przekraczające niekiedy 4000 m n.p.m. i trwa od trzech do pięciu dni. Uczestnicy takiej wyprawy wędrują leśnymi ścieżkami przez dżunglę i mijają po drodze inne ruiny inkaskie. Tymczasem nasz pociąg dojechał do Aguas Calientes (Gorące Wody – faktycznie znajdują się tutaj gorące wody termalne, stąd też nazwa miejscowości), położonej na wysokości 2000 m n.p.m. Ostatni odcinek drogi do tajemniczego „Starego Szczytu”, bo tak w języku keczua nazywa się Machu Picchu pokonaliśmy mikrobussem. Pełną zakrętów czterystumetrową drogą przejechaliśmy szybko w górę, mijając po drodze turystów, którzy postanowili ten odcinek przejść pieszo. Wreszcie dotarliśmy na miejsce, czyli znaleźliśmy się w jednym siedmiu nowych cudów świata wybranych przez internautów w 2007 roku. Na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO Machu Picchu zostało wpisane już w 1983 roku. Przed nami rozciągał się kompleks ruin legendarnego miasta Inków na tle górującego nad Machu Picchu Huayna Picchu (Młodego Szczytu). Przewodnik opowiadał o historii oraz o odkryciu tego miejsca. Według dostępnych źródeł, miasto zostało zbudowane za czasów dziewiątego i najpotężniejszego władcy Inków, Pachacutiego w XV wieku i po około stu latach od jego powstania zostało opuszczone przez jego mieszkańców, z niewiadomych do dzisiaj przyczyn. Prawdopodobnie z tego powodu hiszpańscy konkwistadorzy nigdy do niego nie dotarli. Zrobił to po raz pierwszy amerykański archeolog, profesor Uniwersytetu Yale, Hiram Bingham w lipcu 1911 roku. Dotarł w to miejsce w poszukiwaniu ostatniej stolicy Inków, Vilcabamby. Kilka tysięcy przedmiotów z wykopalisk z Machu Picchu profesor Bingham wywiózł z Peru do Uniwersytetu Yale w USA, gdzie znajdują się tam do dzisiaj, ich zwrotu domaga się rząd peruwiański. Miasto dzieliło się zasadniczo na dwie części: dolną – rolniczą, gdzie na tarasach położonych na różnej wysokości uprawiano płody rolne i do których kanałami doprowadzano wodę oraz wyższą, gdzie znajdowały się główne obiekty sakralne, rezydencje królewskie i domy mieszkalne. Wszystkie były zbudowane z kamieni o kształtach trapezoidalnych i ściśle połączonych ze sobą bez użycia jakiegokolwiek zaprawy, której podobno Inkowie nie znali. Po tej wstępnej prelekcji naszego przewodnika, ruszyliśmy za nim na zwiedzanie najważniejszych obiektów i zaczęliśmy przemierzać setki schodów, to wspinając się, to schodząc, gdyż były one rozlokowane na różnych wysokościach. Wycieczka trwała kilka godzin i po jej zakończeniu czuliśmy się naprawdę

zmęczeni. Z drugiej zaś strony, byliśmy pełni podziwu dla kunsztu i wysiłku inkaskich architektów i budowniczych miasta. Zgodnie ze zwyczajem, na najwyższym poziomie znajdowały się świątynie, w tym Świątynia Słońca (okrągła, z położonym centralnie ołtarzem, gdzie oddawano cześć Słońcu), Świątynia Trzech Okien (w zależności od pory dnia promienie słoneczne wpadały przez jedno z nich do wnętrza świątyni) oraz Główna Świątynia (ze względu na wielkość). Najważniejszym zabytkiem sakralnym było Intihuatana, co w języku keczua oznacza „miejsce, gdzie przystaje słońce” lub „kamień słońca”. Był to kamienny słup, którego cień wyznaczał dla Inków pory roku. Dwa razy w roku nie rzucał on cienia tj. 21 marca i 21 września, co było dla mieszkańców sygnałem rozpoczęcia prac polowych, a później sygnałem do zbioru plonów. Jedynie w Machu Picchu Intihuatana zachował się w naturalnym stanie, gdyż w innych inkaskich osiedlach i miastach „kamienie słońca” zostały zniszczone przez Hiszpanów w ramach walki z pogańskimi wierzeniami. Wędrując dalej po niekończących się schodach zwiedziliśmy inne części miasta. Ciekawostką było to, że mimo upływu prawie stu lat i badań wykonywanych zarówno przez archeologów peruwiańskich, jak i z innych krajów, nazwy poszczególnych sektorów pozostały takie, jak nadał im na początku Hiram Bingham. Zresztą i sama nazwa Machu Picchu była też jego pomysłem, gdyż żadna nazwa inkaska nie zachowała się do momentu odkrycia tego miejsca. Przemierzyliśmy więc Sektor Królewski, Sektor Miejski, Sektor Kamieniołomów, każdy z nich obejmuje pozostałości budynków, w których np. mieszkała rodzina królewska lub inni mieszkańcy miasta, aż do zejścia, po schodach do Grupy Kondora, kompleksu zabudowań, który był prawdopodobnie więzieniem, ze znajdującą się wśród nich Świątynią Kondora, nazwana tak od rzeźby kondora na dnie jaskini. Zaraz obok znajdowała się kolejna jaskinia, zwana Intimachay, będąca małym obserwatorium astronomicznym. Przez specjalnie wybite okno promienie porannego słońca oświetlały tylną ścianę jaskini dokładnie w 10 dni przed przesileniem zimowym i 10 dni po przesileniu. Z tego poziomu oglądaliśmy położone jeszcze bardziej w dole tarasy Sektora Rolniczego, obecnie porośnięte trawą, a na niektórych z nich chodziły, dostojnie skubiąc od czasu do czasu trawę, alpaki z rodziny lam. Aby wydostać się z ruin, znowu musieliśmy podejść w górę do Domu Strażników, gdzie było zarówno wejście i wyjście. Stąd można było zobaczyć drogę prowadzącą do miasta. Popatrzyliśmy jeszcze raz na Machu Picchu, na Huayna Picchu i mimo zmęczenia, zadowoleni wsiedliśmy do mikrobusu. Na pożegnanie z przewodnikiem ofiarowaliśmy mu czapkę z napisem „Poland”, aby jakiś symboliczny polski ślad został w tym, tak fascynującym miejscu, po naszej wymarzonej wizycie. Mikrobus zjechał do Aguas Calientes, skąd dalej pociągiem wróciliśmy do Cuzco.

Po wyczerpującej wyprawie do Machu Picchu postanowiliśmy przed dalszą podróżą trochę odpocząć i spędziliśmy kolejny dzień w Cuzco. Bez pośpiechu, ponownie przechadzaliśmy się po mieście, odkrywając jego nieznanne wcześniej zakątki, takie jak Muzeum Archeologiczne czy Muzeum Inka. Przede wszystkim obserwowaliśmy jednak ulice Cuzco i jego mieszkańców. Uwagę przyciągały głównie kobiety, które ubrane były w tradycyjne stroje, bardzo kolorowe suknie, przykryte poncho, a na głowach nosiły wełniane lub słomkowe kapelusze. Przyglądaliśmy się temu wszystkiemu, aby możliwie jak najwięcej zapamiętać, gdyż udawaliśmy się w podróż na drugi koniec Peru, do Puno nad jezioro Titicaca, gdzie mieliśmy spotkać się z zupełnie innymi plemionami Indian i inną kulturą. Delektowaliśmy się bardzo smaczną kuchnią peruwiańską i po prostu odpoczywaliśmy w egzotycznym otoczeniu. Mieliśmy w końcu zasłużony urlop. Następnego dnia rano wyruszyliśmy pociągiem z Cuzco do Puno, aby przemierzyć prawie 400 km w 12 godzin. Za radą nieocenionej Marii Kralewskiej kupiliśmy bilety pierwszej klasy (różnica ceny między biletem I i II klasy była niewielka) i wsiedliśmy do jednego tej klasy wagonu, gdzie okazało się, że byliśmy dwojgiem z czworga(!) pasażerów. Pozostali to była mama z dorosłą córką z... Indonezji. Tak więc, tłoku nie mieliśmy, a na dodatek, w odróżnieniu od innych wagonów, dysponowaliśmy dodatkową, otwartą rampą, skąd można było obserwować mijane krajobrazy z trzech stron, gdyż nasz wagon był usytuowany w składzie pociągu jako ostatni. Wyruszyliśmy z Cuzco położonego na wysokości 3400 m n.p.m. i wysokość, systematycznie wraz z przebiegiem kilometrów, wzrastała, dochodząc na 184 km, w miejscowości La Raya do 4320 m n.p.m. Tutaj pociąg zatrzymał się, aby turyści mogli sobie zrobić zdjęcia i kupić coś na małym bazarze rozłożonym bezpośrednio przy torach. Oferowane były szaliki, czapki, rękawiczki, różnego rodzaju tkaniny – wszystkie produkty były robione ręcznie przez miejscowe Indianki. Stały one przy stołach z towarami, a za nimi pasły się spokojnie alpaki tworząc doskonale scenę wartą upamiętnienia na fotografii. Robili to liczni turyści wysiadający z wagonów jadących przed nami. Sygnał lokomotywy i ruszyliśmy dalej. Za oknami lub z rampy nadal podziwialiśmy krajobrazy płaskowyżu, gdzie od czasu widać było stado lam lub dalekie zabudowania wiejskie, a wszystko, na tle potężnych szczytów andyjskich, niektórych pokrytych wiecznym śniegiem. Obserwacje te i robienie zdjęć przerwało pojawienie się elegancko ubranych kelnerów, którzy zaserwowali pasażerom trzydaniowy obiad, w ramach biletu. Poprosiliśmy później o podanie *mate de coca*, gdyż mimo tego, że zjechaliśmy poniżej poziomu 4000 m n.p.m. to jednak jechaliśmy nadal na wysokości 3800 – 3900 m, a napitek ten pozytywnie wpływał na samopoczucie człowieka na dużych



Katedra w Limie



Pomnik Francisco Pizarro w Limie obok Pałacu Prezydenckiego

wysokościach, czego doświadczyliśmy już podczas pobytu w Cuzco. Nasza prośba została spełniona, ale ku naszemu zdziwieniu, za dodatkową opłatą, czego nie spodziewaliśmy się po hotelowych zwyczajach w Cuzco. Zapłaciliśmy oczywiście i chyba „w nagrodę” (choć zgodnie z programem przejazdu pociągiem) otrzymaliśmy autentyczny pokaz mody w wykonaniu modelek i modeli prezentujących tradycyjne wyroby peruwiańskie, ale z tzw. wyższej półki pod względem jakości i wykonawstwa. Towary były przeznaczone na sprzedaż dla turystów jadących pociągiem i cenowo dość zasadniczo różniły się od podobnych wyrobów oferowanych na ludowych bazarach. W ślad za prezentacją mody zmierzała ku nam kolejna atrakcja pociągu turystycznego. Była nią grupa muzyczno-taneczna, która wykorzystując rampę naszego wagonu urządziła prawdziwy spektakl muzyki i tańców peruwiańskich. Tak więc, długi czas podróży, w jego drugiej części, niepostrzeżenie się skrócił i nagle spostrzegliśmy, że dojeżdżamy do ostatniego przystanku przed stacją końcową w Puno, a mianowicie do miasta Juliaca, które jest nazywane przez samych Peruwiańczyków „najbrzydszym miastem świata”. Pociąg sunął powoli przez centrum miasta, a z jego torów pospiesznie usuwane były kramy i stoiska handlowe funkcjonujące w tym miejscu, kiedy nie jeżdżą pociągi. Parterowe lub jedno, czasami dwupiętrowe brzydkie domy stojące wzdłuż przebiegu linii kolejowej raczej potwierdzały cytowaną wcześniej opinię Peruwiańczyków. Patrzyliśmy z okien pociągu z ciekawością na mijane fragmenty ulic, gdyż właśnie z tego miasta, dysponującego międzynarodowym lotniskiem, mieliśmy później odlatywać samolotem do Limy. Zgodnie z inną zasłyszaną opinią, Juliaca była też wielkim ośrodkiem przemytu, dzięki lotnisku i bliskości granicy z Boliwią. Przemycana była głównie koka lub wytwarzane z niej produkty, ale także towary luksusowe i elektronika. Po niecałych 40 km dalszej drogi dojechaliśmy do celu naszej podróży, do Puno, które miało być naszą bazą przed wyprawą na jezioro Titicaca.

Osobiście byłem bardzo ciekawy spotkania z jeziorem Titicaca ze strony peruwiańskiej, gdyż miałem możliwość go zobaczyć od strony Boliwii towarzysząc delegacji parlamentarnej. Wówczas była to jednak tylko chwila, gdyż z braku czasu nie wypłynęliśmy na jego wody, teraz miało być dużo więcej czasu, aby się z nim zapoznać bliżej. Jezioro Titicaca, którego powierzchnia wynosi ponad 8,5 tys. km<sup>2</sup> jest najwyższym położonym w świecie żeglownym zbiornikiem wodnym, o głębokości dochodzącej prawie do 300 m i stanowi naturalną granicę między Peru i Boliwią. Większa część jeziora należy do Peru i tu właśnie i znajduje się także ponad 30 wysp, częściowo zamieszkałych przez Indian Ajmara, którzy żyli jeszcze przed przybyciem Inków. Dla tych ostatnich jezioro, podobnie jak dla Ajmarów, było miejscem świętym,

gdyż zgodnie z legendą, z wód jeziora pojawili się na ziemi Manco Capac Inca, założyciel królewskiej dynastii Inków wraz z żoną i siostrą jednocześnie, Mamą Ocllo. Wędrując, doszli do Cuzco, gdzie założyli stolicę inkaskiego imperium. Przed wyruszeniem łodzią na jezioro zwiedziliśmy Puno. W centrum, na Plaza de Armas (a jakże!) znajduje się katedra, z połowy XVIII wieku, zbudowana w stylu barokowym, jednakże dość skromna i prosta wewnątrz, lecz z wyróżniającym się głównym ołtarzem wykonanym z marmuru, bogato inkrustowanym srebrem. Na placu umieszczono pomnik zwany Arco Deústua, wystawiony na cześć żołnierzy poległych w walkach o niepodległość Peru. Innym pomnikiem, który warto zobaczyć, był biały pomnik Manco Inki na wzgórzu w Parku Huajsapata, skąd rozciągał się piękny widok na leżące w dole jezioro. W porcie z zainteresowaniem oglądaliśmy zabytkowy parostatek „Yavari”, zbudowany w Anglii i przewieziony w częściach w latach 60. XIX wieku do Puno, gdzie ponad 100 lat pływał po jeziorze. W roku 1975 zakotwiczony na stałe w tym porcie, został przekształcony w muzeum,



Widok na jezioro Titicaca



Następnego dnia rano zostaliśmy zabrani przez naszego nowego przewodnika. Razem z nim zbieraliśmy z innych hoteli przyszłych towarzyszy podróży na wyprawę łodzią po jeziorze. Podobnie jak na wycieczkach w okolicach Cuzco towarzystwo było międzynarodowe: Skandynawowie (Fin ze Szwedką i para norweska), Kanadyjczycy, Chilijczyk i Argentynka, Anglicy, Włosi oraz para Peruwiańczyków z Limy. Wsiedliśmy na motorową łódź, która przez dłuższy czas przedzierała się przez trzciny i zieloną rzęsę pokrywającą wody jeziora przy jego brzegu, aż do chwili wypłynięcia na czyste wody. Przewodnik opowiadał nam, że pierwszym etapem naszej żeglugi po Titicaca będą pływające wyspy Uros (Islas de los Uros) zamieszkałe przez potomków Indian Uros (ostatnia przedstawicielka autentycznych Uros i mówiąca językiem tego plemienia zmarła w 1959 roku). Posługują się oni językiem ajmara (*aymara*), ale w regionie jest popularny też język keczua (*quechua*). Na jeziorze znajduje się kilkanaście wysepek, gdzie Indianie Uros żyją na stałe, zrobionych z trzciny (*titora*) mocno ze sobą splecionej rosnącej w jeziorze. Mają one grubość kilku metrów i są zakotwiczone na dnie jeziora. W związku z naturalnym gniciem dolnych warstw znajdujących się w wodzie, mieszkańcy wysp ciągle splatają nowe warstwy na górnych poziomach wyspy. Domy stojące na wyspach również robione są z trzciny. Do jednej z takich wysepek skierowaliśmy się naszą łodzią, zauważając przy tym, że inne łodzie z turystami, zmierzały ku sąsiednim wyspom, zgodnie z wytycznymi dawanymi przez strażnika siedzącego na wieży przy wjeździe do strefy wyspiarskiej. Tak więc, nie było tłoku z powodu wszystkich łodzi przy jednej wyspie, lecz turyści zostali podzieleni według kryterium: jedna łódź, jedna wyspa. Zeszliśmy po trapie i z miejsca odczuliśmy jej małą stabilność, gdyż nogi zapadały się w trzcinę i stawiając na niej kroki mieliśmy wrażenie jak gdyby wyspa poruszała się. Na naszej wyspie stało kilka chat z trzciny, w tym w jednej z nich – zgodnie z szyldem – mieściła się szkoła, do której dzieci były dowożone również z innych wysepek. Na środku tej pływającej platformy Indianki oferowały wyroby rękodzielnicze, przez nie same produkowane. Były to różnego rodzaju pamiątki dla turystów: charakterystyczne czapki, poncha lub wyroby z trzciny. Mężczyzn praktycznie nie było widać, ale jak wyjaśniał przewodnik, zajęci byli połowem ryb stanowiących do niedawna główne źródło dochodów, gdyż powoli staje się nim turystyka. Mieszkańcy wysp nie płacili podatków i dostawali również pomoc państwa, m.in. w postaci zainstalowanych na wyspie paneli słonecznych, dzięki którym mieli własne źródła energii zapewniające światło i używanie domowych sprzętów elektrycznych. Zauważyliśmy, że przy naszej łodzi motorowej przycumował dziwny statek drewniany z wysuniętym dziobem przypominający statek Wikingów. Kierujący nim Indianin zaprosił chętnych

z naszej grupy do małej przejażdżki między wyspami, oczywiście, za dodatkową opłatą. Kilka osób razem z nami zdecydowało się wejść na pokład tego dziwnego statku, a dodatkowo wsiadła trójka miejscowych dzieciaków (dwie dziewczynki i chłopiec w wieku 8-12 lat), aby naszą mini podróż umilić śpiewem. Dzieciaki zaśpiewały najpierw piosenkę w języku ajmara, później keczua i po hiszpańsku, a następnie zaproponowali śpiewanie melodii w innych językach, gdyż znały wiele piosenek z całego świata. Uczestnicy wycieczki wyrazili chęć usłyszenia piosenki angielskiej, francuskiej i włoskiej. Po ich wykonaniu wzrósł nasz podziw dla małych śpiewaków. Wtem żona zapytała, czy w ich bogatym repertuarze mają piosenkę polską. Zamiast odpowiedzi dzieci zaczęły śpiewać „Sto lat, sto lat...” Zaskoczenie było dla nas kompletne i dla pozostałych cudzoziemców również. Na jeziorze Titicaca, tak oddalonym od Polski, usłyszeć naszą tradycyjną piosenkę. Coś niebywałego! Otrzymałszy zasłużoną gratyfikację, dzieci wyjaśniły nam, że tej piosenki nauczył je polski misjonarz pracujący w tym regionie. Wróciliśmy na wyspę, przesiedliliśmy się z powrotem na naszą łódź motorową i kontynuowaliśmy rejs po jeziorze. Tym razem, celem była wyspa Taquile, już nie pływająca, ale skalista. Aby zobaczyć miasteczko ulokowane na szczycie skalistej góry, trzeba było przejść zakosami wyznaczoną ścieżką, pokonując przy tym prawie 600 schodów lub stopni. Po drodze oglądaliśmy małe chaty wraz z uprawnymi tarasami i drzewami owocowymi koło domów. Na dachach wielu z nich – podobnie jak na pływających wyspach – widać było słoneczne panele, mimo, że od lat 90. XX wieku wyspa była zelektryfikowana. Wysiętek włożony we wspinaczkę rekompensował wspaniały widok najwyższego punktu, gdyż wtedy dopiero można było ogarnąć wzrokiem ogromny obszar jeziora Titicaca. Doskonale widoczna była także druga skalista wyspa, Amantani, odległa o kilka kilometrów, gdzie w sześciu wioskach zamieszkiwali Indianie Ajmara. Po obejrzeniu pięknej panoramy jeziora zwiedziliśmy miasteczko na Taquile, przypatrując się przy okazji jego mieszkańcom. Jak nam opowiadał przewodnik, miejscowa ludność zachowuje tradycyjne stroje i sposób życia wzorowany na tradycjach plemienia Ajmara. Mężczyźni zajmują się tkactwem, natomiast kobiety uprawą roli. Cechą charakterystyczną ubioru męskiego są czarne spodnie, biała koszula z kolorową przepaską oraz czapka ozdobiona długim, kolorowym pomponem i po sposobie jego noszenia można odróżnić kawalera od mężczyzny żonatego, co niewątpliwie ułatwia miejscowym dziewczętom „polowanie” na przyszłego męża. Kobiety noszą czarne lub ciemne spódnice, podobne bluzki i bardzo kolorowe wstążki i kamizelki. Przykrywają głowy chustami i trochę przypominają Hiszpanki z ubiegłych stuleci. Sposób ich przywdziewania także pozwala ustalić stan cywilny kobiety. Oznacza to, że szanse poznania się młodych

są wyrównane. Zwiedziliśmy centralny plac miasteczka ze znajdującym się tam urzędem burmistrza, kilka ulic odchodzących od placu z domami zbudowanymi z kamienia i zupełnie inną drogą zeszliliśmy na brzeg, gdzie w międzyczasie podpłynęła już nasza łódź, aby innym szlakiem wodnym powrócić do Puno. Przed samym portem przepłynęliśmy koło wyspy Esteves połączonej groblą z Puno, na której znajduje się hotel „Libertador Isla Esteves”, który w czasach kolonialnych był więzieniem dla peruwiańskich bojowników walczących o niepodległość. Pełni wrażeń wróciliśmy do hotelu na zasłużony wypoczynek.

Ostatniego dnia pobytu, jedząc śniadanie i popijając *mate de coca*, zastanawialiśmy się nad porządkiem dnia. Chętnie byśmy zostali dłużej w tym regionie, płynąc jeszcze raz na jezioro, czy na inne wyspy takie jak Wyspa Słońca (Isla del Sol), gdzie po raz pierwszy ukazał się Manco Capac i gdzie co roku organizowane są tradycyjne święta, czy też zwiedzając okolice Puno, ale mieliśmy świadomość, że do wyjazdu na lotnisko w Juliaca, a stamtąd do Limy zostało tylko kilka godzin. Zwróciliśmy się więc do kierownika hotelu z prośbą o poradę, co w wolnym czasie moglibyśmy interesującego zobaczyć. Kierownik, po chwili namysłu, zawołał miejscowego taksówkarza i po krótkiej naradzie pojechaliśmy do Chucuito, odległego 20 km od Puno. W tej miejscowości, powstałej na miejscu osady inkaskiej zachował się jeszcze inkaski zegar słoneczny na centralnym placu, a na lekkim podwyższeniu kolonialny kościół św. Dominika oraz kościół La Asunción (Wniebowzięcia). Obejrawszy to taksówkarz zrobił tajemniczą minę i stwierdził, że pojedziemy jeszcze do jednej świątyni, a mianowicie inkaskiej Świątyni Płodności. Po kilku minutach jazdy znaleźliśmy się na miejscu. Niewielki teren był ogrodzony kamiennymi fallusami, a w jego środku sterczał olbrzymi fallus, a na całym terenie znajdowało się jeszcze kilkadziesiąt mniejszych. Przy zakupie biletów wstępu podeszły do nas dwie małe dziewczynki (jedna 7-8 lat, druga 5-6) i zaoferowały swoje usługi jako przewodniczki po świątyni. Patrząc na nie, byliśmy trochę zdziwieni, ale przyjęliśmy propozycję. Już w środku, z zaskoczeniem słuchaliśmy starszej z nich opowiadającej swobodnie o tym, jak niepłodne Indianki przychodziły do tego miejsca i siadały na jednym ze znajdujących się tam fallusów, wierząc, że to je uzdrowi i doczekają się potomstwa. Legendę tę recytowała jak wyuczoną lekcję i prawdopodobnie (z uwagi na wiek) sama nie rozumiała treści przez nią opowiadanych. Podziękowaliśmy im serdecznie i oprócz uczciwie zarobionych pieniędzy daliśmy im drobne polskie upominki. Z tym samym taksówkarzem i bagażami zabranymi uprzednio z hotelu pojechaliśmy prosto na lotnisko, w „przepięknym” mieście Juliaca, skąd nastąpił powrót samolotem do Limy.

W peruwiańskiej stolicy skorzystaliśmy z możliwości zamieszkania w pokoju gościnnym ambasady i stąd zacząłem pokazywać żonie Limę, którą zdążyłem zwiedzić w czasie poprzednich pobytów w tym mieście. W tej samej dzielnicy co ambasada, o wdzięcznej nazwie Jezus Maria, jest inny jeszcze znak obecności Polaków w Peru, a mianowicie pomnik wystawiony przez peruwiańskie władze w 1914 roku na cześć polskiego inżyniera, Edwarda Habicha – założyciela pierwszej w Peru wyższej szkoły inżynierskiej (obecnie Narodowego Uniwersytetu Inżynieryjnego) oraz innych polskich inżynierów sprowadzonych przez Habicha z Polski: Ksawerego Wakulskiego, Władysława Folkierskiego, Władysława Klugiera i Aleksandra Babińskiego. Z okazji Święta Niepodległości przedstawiciele polskiej placówki dyplomatycznej i miejscowej Polonii składają pod pomnikiem wieńce i kwiaty. Ma to miejsce także podczas polskich wizyt oficjalnych na wysokim szczeblu. Zwiedzanie centrum miasta i jego atrakcji był to kolejny etap poznawania Limy, tym razem przez nas oboje.

Zgodnie z ustaleniami mailowymi, umówiliśmy się na spotkanie z kolegą szkolnym żony – profesorem Katolickiego Uniwersytetu w Limie, Krzysztofem Makowskim. Pan profesor postanowił nam pokazać inne Peru, czyli to co stanowiło jego pasję i przyniosło sławę i uznanie wśród szerokich kręgów naukowych zajmujących się archeologią i najstarszymi dziejami Ameryki Łacińskiej. Sama jego postać i wygląd wzbudzały szacunek. Wysoki, z brodą i wąsami wyróżniał się pośród raczej niskich wzrostem Peruwiańczyków, z których jedynie prezydent Alan Garcia był wyjątkiem i obaj z profesorem stanowili znakomitą parę. Przyjechał do nas dużym terenowym jeepem i rozmawiając opuściliśmy stołeczną Limę, mijając po drodze tzw. *pueblos jóvenes* (młode miasta), zbudowane z byle czego przez napływających z interioru mieszkańców kraju, szukających pracy i szczęścia w stolicy. Przypominały one znane nam już widoki z Brazylii i Meksyku, a także z przedmieść stolicy Wenezueli, Caracas, gdzie miałem możliwość być w podróży służbowej. Zwróciliśmy również uwagę na zmieniający się klimat, potwierdzający tezę o specyficznym mikroklimacie Limy. Tylko wyjechaliśmy kilkanaście kilometrów poza zamgloną, jak zwykle stolicę, gdy oślepiło nas słońce oświetlając z jednej strony szosy pustynne, piaskowe wzgórze, z drugiej zaś migotało w falach Oceanu Spokojnego. Wstąpiliśmy na stację benzynową, by uzupełnić paliwo i kupić wodę do picia, gdyż upał zaczął o sobie dawać znać. Profesor z żoną pogrążyli się we wspomnieniach lat szkolnych, ja zaś podziwiałem znajdujący się nieopodal stacji Pacyfik i płynące po nim statki. Wróciwszy do samochodu zauważyłem, że pracownik stacji kończy tankować paliwo i raczej z ciekawości niż z przeczucia zapytałem profesora na jakim paliwie

jeździ jego samochód. Gdy, nie przerywając konwersacji z żoną, odpowiedział spokojnie, że jeep jest benzynowy, zwróciłem uwagę, że właśnie został zatan-  
kowany ropą. Co było potem, nietrudno zgadnąć. Spuszczenie świeżo nalane-  
go paliwa i jego ponowne nabranie, przerywane przeprosinami pracowników  
stacji. Po niespodziewanej stracie czasu, ruszyliśmy dalej w podróż, zagłębiając  
się coraz bardziej w górski krajobraz i oddalając się od oceanu. Dotarliśmy  
do Lurin, miejsca, gdzie profesor ze swoją ekipą archeologów dokonywał  
wykopalisk ruin przedinkaskiego miasta. Imponowało swoją rozległą  
powierzchnią i poszczególnymi budowlami. Były tutaj i mury pałacu  
królewskiego, i mury świątyni, a także domostwa zamożniejszych i zwykłych  
mieszkańców. Prace wykopaliskowe potrwać zapewne jeszcze wiele lat. Być  
może, zostaną odtworzone budowle, tak jak w Pachacamac, dokąd pojecha-  
liśmy później. Świątynny kompleks Indian Huari żyjących ponad tysiąc lat  
przed Inkami był jednym z miejsc kultu, gdzie kapłani przepowiadali przy-  
szłość. Po zajęciu tych terenów Inkowie jeszcze bardziej je rozbudowali. Ich  
dziełem była Świątynia Słońca i Dom Acllawasi (Wybranych Dziewic pełnią-  
cych służbę w świątyni). Dla Inków miejsce to stało się również miejscem kul-  
towym, a tradycje przepowiadania przyszłości przejęli także kapłani inkascy.  
Był to olbrzymi teren, który zwiedziliśmy dzięki nieocenionemu jeepowi pro-  
fesora, słuchając jego barwnych i fascynujących opowieści o prehistorii tej  
części świata. Późnym wieczorem wróciliśmy do Limy wzbogaceni o widoki  
i wiedzę historyczną o Inkach i ich poprzednikach.

Umówiliśmy się na następne spotkanie w Warszawie, gdyż profesor jest  
także wykładowcą na Uniwersytecie Warszawskim. Dzień ten był jak gdy-  
by zwieńczeniem naszego urlopowego pobytu w Peru i jednocześnie okazją,  
zwłaszcza dla żony, wspomnienia tak już odległych, lecz niezapomnianych  
lat szkolnych w Polsce.

Następnego dnia, z limeńskiego lotniska w Callao, odlecieliśmy do Mek-  
syku, aby po kilku miesiącach pobytu pożegnaliśmy się dyplomatycznie  
z tym krajem, aby powrócić do Polski. Był wrzesień 2007 roku. Żona wró-  
ciła do swojej atrakcyjnej pracy w turystyce, a ja wylądowałem w niejasnych  
dla mnie politycznie okolicznościach z powrotem w Ministerstwie Spraw  
Zagranicznych w Warszawie. Nie było dla mnie etatu, pozostawałem więc  
w tzw. dyspozycji kadr, co przypomniało mi sytuację po powrocie z Argentyny,  
z tą różnicą, że wówczas podjąłem pracę w Gabinetie Ministra do czasu mia-  
nowania na etat, pod czujnym okiem ministra, a tym razem, nie znaleziono  
dla mnie żadnego etatu w Centrali. Znowu prawdopodobnie przypomniano  
sobie o moich studiach w Moskwie. Pracowałem więc bez świadczenia pracy,  
bo codziennie musiałem podpisywać swoją obecność, czyli gotowość do pracy,

na specjalnej liście, na której znajdowałem, zarówno kolegów ze studiów, jak i innych znanych dyplomatów powracających z placówek, którzy czasowo nie znaleźli uznania i chęci ich zatrudnienia przez ówczesne polityczne kierownictwo resortu. Dopiero po kilku miesiącach takiej pracy zostałem wezwany do Biura Kadr i zaproponowano mi kilkumiesięczny wyjazd do Peru w celu przygotowania udziału polskiej delegacji w kolejnym Szczycie przywódców i szefów rządów krajów Ameryki Łacińskiej i Karaibów oraz Unii Europejskiej. Miała to być rola, którą już pełniłem, będąc na placówce w Meksyku i koordynując działania związane z udziałem polskiej delegacji z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim na podobnym Szczycie w Guadalajarze. Akceptując złożoną ofertę brałem pod uwagę zarówno moją ówczesną sytuację w ministerstwie, jak i chęć ponownego odwiedzenia tego pięknego i fascynującego kraju, jakim jest Peru. I w taki właśnie sposób wyjechałem na początku 2008 roku do naszej ambasady w Limie.

W odróżnieniu od opisanego już ciekawego pobytu urlopowego, tym razem czekała na mnie trudna i odpowiedzialna praca dyplomatyczna, związana nie tylko z głównym celem wyjazdu, ale i codziennym życiem ambasady. Mając wszystkie możliwe pełnomocnictwa i uprawnienia przeszedłem prawdziwy test dyplomatycznego zawodu. Ze względu na urlop i wyjazdy służbowe ambasadora pełniłem kilkakrotnie funkcję szefa placówki. Z podobnych przyczyn zastępowałem konsula, a także prowadziłem sprawy związane z promocją polskiej kultury w Peru. Mieszkając jednocześnie na terenie placówki pełniłem, chcąc nie chcąc, rolę jej ochroniarza i odźwiernego oraz administratora. Tylko dzięki doświadczeniu nabytemu na poprzednich placówkach udało mi się sprostać tym wszystkim wyzwaniom. Zgodnie jednak z założeniem tej książki nie sprawy służbowe miały być jej tematem, lecz przygody lub wydarzenia im towarzyszące.

Margines wolnego czasu, którym dysponowałem w świetle opisanych wyżej zajęć był niewielki, tym niemniej starałem się go wykorzystać, aby lepiej poznać stołeczną Limę oraz wykorzystać nadarzające się okazje do wyjazdu w nieznane mi dotąd regiony Peru. Sprzyjał temu system przyjętych przygotowań do Szczytu, jak i funkcje pełnione w ambasadzie. Udało mi się np. odwiedzić La ciudad blanca (białe miasto) Arequipę z racji udziału w jednym ze spotkań poprzedzających Szczyt. Drugie co do wielkości miasto Peru zachwyciło mnie swoją architekturą i zabytkami. Z każdego miejsca w mieście widać było w dali na horyzoncie wulkan El Misti z wiecznym śniegiem na szczycie. To właśnie pochodzący z wybuchów wulkanu biały tuf posłużył mieszkańcom do budowy domów i rezydencji i jemu Arequipa zawdzięcza swoją nazwę „białego miasta”. Stare miasto Arequipy zachowało urok

kolonialnego XVII-wiecznego hiszpańskiego grodu ze wspaniałymi kościołami i pałacami ówczesnych możnych ukrytych w pięknych ogrodach. Chodziliśmy po centralnym placu miasta (a jakże, Plaza de Armas) podziwiając dwie wieże katedry oraz budynki stojące wokół placu z krucygankami i jezuicki kościół La Compañía. Wewnątrz tego ostatniego znajduje się – jak twierdzą znawcy – najpiękniejszy w Peru barokowy, połączony ołtarz główny. Mieliliśmy, tzn. uczestnicy tego Seminarium możliwość odwiedzenia także klasztoru Santa Catalina uchodzącego za najważniejszy zabytek miasta, dzięki swojej historii i architekturze. Przeznaczony dla córek arystokracji miał raczej niewiele wspólnego z deklarowanym ubóstwem i skromnością żyjących w nim mniszek. Wystarczy dla przykładu – jak nam opowiadał przewodnik – że wysoko urodzone mniszki – miały własną służbę i jadały na srebrnej i porcelanowej zastawie. Wewnątrz klasztoru zajmującego dość dużą powierzchnię chodziło się uliczkami noszącymi nazwy hiszpańskich miast np. Kordoby czy Sewilli. Klasztor posiada olbrzymią kolekcję malarstwa z XVII i XVIII wieku, stanowiącą prawdziwą ucztę dla miłośników sztuki. Ze względu na brak czasu nie mogliśmy poświęcić mu zbyt wiele czasu, gdyż czekał nas jeszcze roboczy obiad z władzami miasta. Będąc w Limie wiele słyszałem o animozjach między mieszkańcami Limy i Arequipy nt. ważności ich miast dla kraju. Przypominało to mi historię Warszawy i Krakowa czy też Madrytu i Barcelony. Na wspomnianym obiedzie burmistrz ze swadą i humorem przedstawiał zagranicznym dyplomatom znaczenie Arequipy w kontekście historii, kultury i rozwoju całego Peru. Na zakończenie swojego przemówienia wręczył gościom paszporty dyplomatyczne „Niepodległej Republiki Arequipy” z wizami i pieczęciami gwarantującymi ponowny, swobodny wjazd do miasta. W środku książeczki paszportowej znajdują się różne ciekawostki o mieszkańcach Arequipy, wykaz zabytków, które warto zobaczyć, maksymy i powiedzonka charakterystyczne dla miasta, a na przedostatniej stronie przypomnienie Dekretu Prezydenckiego z dnia 25 listopada 1882, że z powodu „okupacji Limy przez wojska chilijskie” proklamuje się „miasto Arequipę jako stolicę Republiki”. Wszystko to było napisane z jednej strony, patrząc od strony szaty graficznej dokumentu, poważnie, natomiast teksty w środku tryskały dużym poczuciem humoru i pewnym akcentem wyższości wobec innych regionów Peru. Patrząc dzisiaj na ten paszport, żałuję, że nie mogłem być dłużej w regionie Arequipy i odwiedzić słynny Kanion Colca – jeden z najgłębszych wąwozów na naszej planecie (ponad 3 tys. m), dnem którego płynie rzeka Colca, którą po raz pierwszy przepłynęli kajakami i pontonami Polacy w 1981 roku, wpisując się do światowych rekordów Guinnessa. Ale jak się popularnie mówi, w każdym kraju trzeba coś zostawić, aby warto było do niego wracać, więc może jeszcze los mnie tam zaprowadzi ?

Kolejna okazja trafiła mi się w pewien weekend, kiedy mogłem dołączyć do grupy turystycznej udającej się do Paracas, Wysp Balletas i płaskowyżu Nazca, dzięki uprzejmości znanej mi dyrektor polonijnego biura podróży. Przed wyjazdem zostałem ostrzeżony o niebezpieczeństwach, jakie mogą mi grozić w przypadku latania awionetkami nad płaskowyżem Nazca, bowiem dwa dni wcześniej awionetka wioząca turystów francuskich przy lądowaniu zaczepiła o druty wysokiego napięcia i spadła na szosę, a pasażerowie ponieśli śmierć. Ale do latania było jeszcze daleko, gdyż wcześniej pojechalśmy do miasta Pisco, a stamtąd na półwysep Paracas, tworzący wraz z zatoką i archipelagiem Wysp Ballestas (Islas Ballestas) Rezerwat Narodowy Paracas, który mieliśmy zwiedzać. Stanowił on oazę dla ptactwa wodnego oraz wielu przedstawicieli fauny morskiej. Ponadto było to miejsce, gdzie występowała w wodach niezliczone bogactwo różnorodnych ryb. W regionie tym można spotkać czerwono-białe flamingi, dzięki którym – jak głosi legenda – powstała flaga niepodległego Peru, wymyślona przez bohatera narodowego gen. San Martina, który wylądował tutaj w 1820 roku. Pozostałością po prekolumbijskiej cywilizacji, odkrytej dopiero w latach 30. XX wieku, był, widoczny z plaży na sąsiedniej wyspie, geoglify nazwany ze względu na swój kształt El Candelabro (Kandelabr), chociaż niektórzy uczeni opowiadają się bardziej za tezą, że przypomina on bardziej roślinę rosnącą w tej strefie, tj. kaktus. Wykonano go na suchym, pustynnym terenie, o wysokości ponad 150 m i szerokości ok. 80 m. Dzięki wykopanym rowom, wzdłuż jego sylwetki, można go zobaczyć nawet z odległości kilkunastu kilometrów. Płynąc na Wyspy Ballestes przepływaliliśmy koło niego w jeszcze bliższej odległości, ale podobnie jak uczeni całego świata nie mogliśmy rozszyfrować jego znaczenia i celu, dla którego powstał. Kolejna więc zagadka peruwiańska nierozwiązana do dnia dzisiejszego! Ponad godzinę szybkiej jazdy dużą łodzią motorową i na horyzoncie pojawiły się Wyspy Ballestes, niewielkie, lecz każda inna w formie swej skalistej budowy, wyrzeźbione pracowicie przez wody oceanu i erozję. Zresztą, powierzchni tych wysepek, prawie nie widać, gdyż są pokryte tysiącami przeróżnych gniazd ptaków, takich jak flamingi, kormorany, albatrosy, pelikany, głuptaki i oczywiście mewy. Ale ptaki nie były tam same. Dzielili terytorium wysepek z lwami morskimi i pingwinami. Dotyczyło to także wód otaczających wysepki, gdyż pełno w nich było młodych lwów morskich bawiących się i podpływających pod łodzią. Starsze osobniki wylegiwały się natomiast na skałach i nie zwracały na nas uwagi, patrzyły raczej na otaczające ich stada samic. Zaskakiwała nas niesamowita ilość tych zwierząt zgromadzonych na tak małej przestrzeni. Nieustający krzyk ptaków krążących w powietrzu i nurkujących co chwilę w wodzie, aby wyłonić się z niej



z upolowaną zdobyczą, robił niesamowite wrażenie wzrokowe i słuchowe, można było naprawdę ogłuchnąć. Trochę zmęczeni, wracaliśmy przez kolejną godzinę do portu i wszyscy zgodnie siedliśmy w najbliższej restauracji, aby wzmocnić nadwątlone siły po kilkugodzinnym pobycie na morzu. Nie muszę dodawać, że zaserwowano nam typowe dania z owoców morza. Odwiedziliśmy również miasto Ica, gdzie jeszcze było widać ruiny domów po trzęsieniu ziemi, jakie nawiedziło ten rejon w 2007 roku. Miasto jest znane z produkcji wina, gdyż tutaj corocznie przy okazji zbioru winorośli odbywają się, trwające cały tydzień, uroczystości Międzynarodowego Święta Wina. Mówiąc o alkoholu należy wspomnieć o *pisco* produkowanym także z winogron, a który jest najbardziej znanym alkoholem peruwiańskim, o pochodzenie którego toczy się „wojna” między Peru a Chile. Przypomniało to mi podobną wojnę między północnymi prowincjami Hiszpanii o pochodzenie popularnego w tamtych rejonach aperitif *pacharán*. Najpopularniejszym drinkiem na bazie *pisco* jest tzw. *pisco sour*. Do czystego *pisco* dodaje się sok z limonek, specjalny syrop i ubite białko jajek, odpowiednio preparując to wszystko. Drink dla niewtajemniczonych bywa trochę zdradliwy, gdyż jego słodki smak maskuje dużą zawartość alkoholu i usypia czujność pijącego. Rejon Ica stanowi zieloną dolinę, co zawdzięcza systemowi irygacji, rozprowadzającego wodę z rzek płynących ze szczytów andyjskich do oceanu, dzięki czemu uprawia się tutaj bawełnę i winogrona. Z drugiej zaś strony, w rejonie tym wieją wiatry zwane *paracas*, które nawiewają piaski układające się w przeróżnego rodzaju i formy piaszczyste wydmy. Jadąc pustynną drogą, jak na Saharze, dosłownie kilka kilometrów od Ica, znaleźliśmy się nagle w prawdziwej oazie, z jeziorem Huacachina i palmami rosnącymi wokół niego. Dookoła piętrzyły się olbrzymie wydmy, po których turyści usiłovali poruszać się quadami lub wdrapywać się pieszo na ich szczyt, aby spojrzeć na pustynny krajobraz. W oazie był hotel, restauracje i sklepy z pamiątkami. Nie zatrzymaliśmy się jednak tutaj na dłużej. Po krótkim pobycie i zwiedzeniu oazy kontynuowaliśmy podróż do Nazca, gdyż następnego dnia, wczesnym rankiem mieliśmy przewidziane loty awionetkami nad płaskowyżem, na którym znajdują się tajemnicze rysunki. Po drodze jednak zatrzymaliśmy się na słynnej Panamericanie tj. szosie biegnącej wzdłuż całego wybrzeża Ameryki Południowej, w miejscu, gdzie zbudowano wieżę obserwacyjną, z której można zobaczyć dwie figury na płaskowyżu nazwane: „drzewo” i „ręce”. Przy wieży można było kupić kamienie rzeźbione w kształcie wszystkich figur spotykanych na tym terenie. Patrząc z wieży na olbrzymią przestrzeń pustynnego krajobrazu zaczęliśmy odczuwać przedsmak czekającej nas następnego dnia przygody. Zostaliśmy obudzeni w hotelu o piątej rano, zjedliśmy szybkie śniadanie i udaliśmy się w drogę

na miejscowe lotnisko, gdzie czekały nas podniebne loty. Całość wycieczki została podzielona na pięcioosobowe grupy, gdyż w każdej awionetce było sześć miejsc razem z pilotem. Przed wejściem do samolotu, stał pilot, który patrząc na grupę oceniał ich uczestników wg wagi i wzrostu i wskazywał każdemu jego miejsce w kabinie. Mnie przypadło siedzenie obok pilota, tak że z miejsca poczułem się jakbym był drugim pilotem, tego małego w sumie, samolociku. Wreszcie wystartowaliśmy, mając przed sobą 30 minut lotu nad jedną z najbardziej tajemniczych i nierozwiązanych do dzisiaj zagadek, Czy oglądane z góry, linie przedstawiające rysunki zwierząt, ptaków czy figur geometrycznych miały jakieś znaczenie? Czy wyznaczały pasy startowe dla przybyszów z innych planet? Takie i inne pytania zadaje sobie cały świat naukowy od chwili ich odkrycia w 1939 roku. Te pytania stawialiśmy sobie i my patrząc na poszczególne rysunki, zwłaszcza na tzw. astronautę czy też figury małpy, jaszczurki, kondora, pająka czy kolibra. Pilot starał się zadowolić wszystkich pasażerów stwarzając możliwości zrobienia dobrych zdjęć, toteż nadlatywał nad każdą figurę, to z jednej, to z drugiej strony. Chwila prostego lotu do następnego rysunku i znowu następował przechył samolotu na lewy lub na prawy bok. Na szczęście dopisywała nam pogoda, bo nie było porannej mgiełki i widok z góry był naprawdę imponujący. Siedząc obok pilota i przeżywając wszystkie jego manewry za sterem na niewielkiej wysokości nad ziemią doceniłem chęć i pragnienie ludzi, którzy chcą latać. Jest to naprawdę niesamowita frajda i przeżywanie lotu całym ciałem, w odróżnieniu od lotu olbrzymim, kilkusetosobowym samolotem pasażerskim. Wyznaczone pół godziny lotu minęło nadszpodziewanie szybko i z żalem musieliśmy lądować, aby ustąpić miejsca kolejnym amatorom silnych wrażeń. Zauważyłem, że niektórym wycieczkowiczom, lot przyniósł dodatkowe atrakcje żołądkowe, ale było ich niewielu. Po wykonaniu lotów przez wszystkich uczestników wycieczki wróciliśmy do hotelu, gdzie nastąpiło moje pożegnanie z grupą. Udawała się ona w dalszą podróż, autobusem do Arequipy, natomiast ja, wracałem, też autobusem komunikacji międzymiastowej do Limy, do swoich obowiązków w ambasadzie. Na jednym z przystanków z 450 kilometrowej trasy do stolicy, kupiłem lokalną gazetę i przeczytałem olbrzymi tytuł na pierwszej stronie dziennika: „Znowu wypadek w Nazca! Awaryjne lądowanie japońskich turystów na Drodze Panamerykańskiej! Tym razem bez ofiar!”

Czas biegnął nieubłaganie i szybkimi krokami zbliżał się termin Szczytu. Prace przygotowawcze Peruwiańczyków przy organizacji lokali i miejsc, gdzie miał się odbywać nabrały tempa, chociaż oceniając to z punktu widzenia europejskiego, miały one charakter „tempa latynoskiego”, czyli spokojnego, „bo przecież wiadomo, że zdążymy, mimo że tak nie wygląda”. Z kraju

przyszła wiadomość, że poza uczestnictwem w Szczycie, premier złoży oficjalną wizytę w Peru, co wiązało się z przygotowaniem stosownego programu. Dla jego uściślenia przyleciał z Polski przedstawiciel Kancelarii Premiera oraz przedstawiciel BOR-u. Jednym z punktów programu miało być złożenie wieńców pod pomnikiem Edwarda Habicha i polskich inżynierów, znajdującym się niedaleko ambasady oraz pomnikiem inż. Ernesta Malinowskiego – twórcy i budowniczego wysokogórskiej kolei w Peru. Jeżeli w pierwszym przypadku nie było żadnych problemów ze stroną peruwiańską, to w przypadku drugiego gospodarze wykazali dużą wstrzeźliwość. Wynikało to ponieważ z faktu, że pomnik ten jest usytuowany w najwyższym punkcie przebiegu linii kolejowej Lima – Huancayo tj. na przełęczy Ticlio, na wysokości 4818 m n.p.m. i prowadzi tam jedna, niezbyt szeroka droga, w niektórych miejscach w nienajlepszym stanie. W zaistniałej sytuacji, przed kontynuowaniem rozmów na ten temat, została podjęta decyzja o przejechaniu tej trasy i faktyczne sprawdzenie warunków jazdy i sytuacji wokół pomnika, w kontekście zachowania się organizmu na tak dużej wysokości. W samochodzie placówki, prowadzonym przez miejscowego kierowcę, znalazłem się ja, jako przedstawiciel ambasady oraz przybyli z Polski urzędnicy Kancelarii Premiera. Zaopatrzeni na wszelki wypadek w lekarstwo na chorobę wysokogórską wyjechaliśmy rano, aby jak najszybciej pokonać 143 kilometrową trasę i wrócić do Limy. W połowie drogi na przełęcz, Ticlio zatrzymaliśmy się w przydrożnym barze i na zasadzie eksperymentu, jeden z nas wypił lekarstwo, drugi tylko herbatę *coca*, a przedstawiciel BOR-u nie brał nic. Droga do pomnika nie była wcale tak tragiczna, jak starali się ją przedstawić gospodarze, ruch samochodowy był również względny. Dojechawszy na przełęcz w pobliże pomnika, zostawiliśmy samochód i ostatnie kilkadziesiąt metrów chcieliśmy przejść jak najszybciej. Już po chwili, zorientowaliśmy się, że popełniliśmy błąd, gdyż wszyscy odczuli brak powietrza i zauważyli jedni u drugich zwolnione ruchy ciała na skutek różnicy wysokości i braku dostatecznej ilości tlenu. Po małym przystanku, aby dać organizmowi szansę przystosowania się, podeszliśmy już spokojnym, wolnym krokiem do pomnika, spod stóp którego mogliśmy podziwiać ośnieżone szczyty Andów, a pod nogami opadającą już od tego punktu drogę prowadzącą zygzakami na drugą stronę pasma górskiego. W celu uniknięcia podobnego błędu, podczas wizyty premiera kolumna samochodowa podjechała bezpośrednio pod sam pomnik. Refleksja nad pięknem natury mieszała się z podziwem dla dzieła Ernesta Malinowskiego, budowanego w latach 70. XIX wieku. Kilkadziesiąt tuneli i mostów, specjalne obrotnice pozwalające na zmianę kierunku jazdy przyniosły sławę polskiemu inżynierowi, a jego Kolej Transandyjska aż do 2006 roku dzierżyła rekord najwyższej położonej

linii kolejowej świata. Była ona zbudowana głównie w celu możliwości transportu bogactw naturalnych z głębi kraju na wybrzeże Oceanu Spokojnego, pełniąc także funkcję przewozu pasażerskiego. Tej ostatniej kolej w chwili obecnej już nie wykonuje, poza specjalnymi przejazdami turystycznymi organizowanymi raz w tygodniu. Nie wiedziałem wówczas, że najbardziej malowniczy odcinek tej linii kolejowej z tunelami i mostami będę mógł przejechać podczas wizyty premiera, co było naprawdę dużym i niezapomnianym przeżyciem. Po obejrzeniu samego pomnika, autorstwa znanego rzeźbiarza Gustawa Zemły, z odlaną z brązu podobizną Ernesta Malinowskiego i godłami Polski i Peru, odsłoniętego w stulecie jego śmierci w 1999 roku, wróciliśmy do samochodu, aby kontynuować naszą zwiadowczą podróż po drugiej stronie przełęczy, zjeżdżając poniżej 4000 m n.p.m. Tym razem, naszym celem była wizyta w wiejskiej szkole noszącej imię naszego wielkiego rodaka, którą miał odwiedzić także premier, po złożeniu kwiatów u stóp pomnika. Uzgodniliśmy z kierownictwem szkoły program wizyty premiera i towarzyszących mu osób, jak też rodzaj prezentów dla szkoły i jej uczniów, które zostaną im wręczone podczas wizyty. Właśnie ta część wizyty polskiego premiera była chyba najbardziej pokazywana przez polskie stacje telewizyjne, a zwłaszcza moment wręczenia przez peruwiańskich gospodarzy tradycyjnych andyjskich nakryć głowy dla premiera i jego małżonki. Wróciliśmy bez przeszkód do Limy i opracowaliśmy wstępny projekt programu wizyty, aby przedstawiciele z Warszawy mogli go zabrać do dalszych uzgodnień w kraju. Trzeba przyznać, że batalia o wizytę pod pomnik Malinowskiego i w szkole noszącej jego imię ze stroną peruwiańską, która nie chciała się na to zgodzić, trwała do końca, wysuwano argumenty zdrowotne, komunikacyjne i bezpieczeństwa. W rezultacie rozmów uzgodniono kompromisowo, że ten dzień wizyty będzie oddany do dyspozycji delegacji polskiej, bez udziału oficjalnych przedstawicieli strony peruwiańskiej. Tak też się stało i ponownie przebyłem drogę na przełęcz Ticlio. Mimo ostrzeżeń i rad dotyczących zachowania ostrożności na tej wysokogórskiej trasie wielu członków delegacji, a szczególnie dziennikarzy „wiedziało lepiej” jak postępować, w pewnym momencie choroba wysokości dała o sobie znać i ze współczuciem patrzyliśmy na niektóre osoby nią dotknięte. Ciekawostką było to, że dotknęło to głównie tych, którzy pisali złośliwe, niemerytoryczne teksty o wizycie premiera. Na szczęście obyło się bez konieczności większych interwencji medycznych. Jak gdyby w nagrodę wszystkich czekała niespodzianka, a mianowicie, przejazd turystycznym pociągiem linią kolejową Ernesta Malinowskiego i do tego – jak wspominałem wcześniej – jego najbardziej atrakcyjnym fragmentem. Z okien pociągu podziwialiśmy górskie szczyty Andów z jednej strony, a z drugiej, biegnącą w dole szosę,

na której jadące samochody wyglądały jak pudełka zapalek. Raz po raz wagony ogarniała ciemność – znak, że znowu wjechaliśmy w tunel, a po chwili słoneczny blask rozjaśniał wszystko dookoła. Z każdym przebytym kilometrem w dół w pasażerów wstępowała dodatkowa energia, co zwłaszcza było widać po zachowaniu dziennikarzy. Najodważniejsi, mimo zakazów, zamienili wygodne siedzenia wagonów na niepewne ich dachy, skąd filmowali zaciekle mijane krajobrazy. Mam nadzieję, że kiedyś zobaczę ten nakręcony przez nich film, bo atrakcja była niesamowita, a widoki naprawdę fantastyczne. O przebiegu Szczytu przywódców i szefów rządów krajów Ameryki Łacińskiej i Karaibów oraz Unii Europejskiej w Limie, jak i „podróży życia” polskiego premiera i jego małżonki do Peru informowały wszystkie polskie media, dlatego tę część wspomnień pomijam, tym bardziej, że w wielu przypadkach dotyczyłyby one spraw służbowych i zawodowych, a to nie mieści się w projekcie tej książki. Nawiązując do tradycyjnego zakończenia polskich legend i bajek, mogę tylko stwierdzić, w odniesieniu do przyjęcia naszego premiera „i ja przy tym byłem, *mate de coca* i *pisco sour* piłem” i „również olśniewał mnie blask Orderu Inkaskiego Słońca Peru, wręczanego polskiemu premierowi przez peruwiańskiego prezydenta w jego pałacu w Limie”.

Popularne powiedzenie dyplomatów mojej i starszej generacji mówiło, że „najpiękniejsze perfumy, to zapach spalin samolotu z odlatującą delegacją rządową”. Wizyta dwustronna się skończyła, międzynarodowy Szczyt również, w związku z tym kończył się także mój służbowy pobyt w Peru. Specjalnego pakowania rzeczy nie miałem, a ponieważ zostało jeszcze kilka dni do wyjazdu postanowiłem odwiedzić ostatni, większy kraj Ameryki Południowej, w którym dotychczas nie byłem, a który można powiedzieć był tuż „za miedzą”, a mianowicie Ekwador.

## Rozdział XXI

# Ekwadorski Środek Świata

Poprzednie moje podróże służbowe po kontynencie omijały Ekwador, gdyż nie mieliśmy tam placówki dyplomatycznej. W historii swego istnienia była ona trzy razy likwidowana i reaktywowana. W związku z wyznaczonym już powrotem do kraju była to dla mnie ostatnia szansa do odwiedzenia choćby największych miast tego kraju: stolicy Quito i Guayaquil – wielkiego centrum handlowego oraz portu. W tych miastach działali polscy konsulowie honorowi, których przy okazji chciałem odwiedzić, gdyż pracując w ambasadzie w Limie miałem z nimi częsty kontakt telefoniczny, gdyż kompetencyjnie Ekwador podlegał Ambasadzie RP w Peru, podobnie zresztą jak Boliwia. Szybko załatwiłem rezerwacje biletów do Quito i z Guayaquil do Limy (na odcinek Quito – Guayaquil musiałem kupić bilety już w Ekwadorze) oraz miejsce w pensjonacie prowadzonym przez Polkę, panią Halinę Lachowicz w ekwadorskiej stolicy.

Po niedawnych wspinaczkach na przełęcz Ticlio, wysokość położenia Quito mnie nie przerażała, gdyż było to „tylko” 2850 m n.p.m., po boliwijskim La Paz jest to druga, najwyżej położona stolica państwa na świecie. W lecącym do Quito samolocie poznałem polskiego archeologa udającego się do miejscowego Uniwersytetu, z którym już od dłuższego czasu

współpracował przy prowadzeniu prac wykopaliskowych na terenie Ekwadoru. Na lotnisku oczekiwał go konsul Tomasz Morawski, gdyż archeolog zatrzymywał się u niego w gościnie. Wraz z nim zostałem zabrany przez konsula do jego domu i po tradycyjnej *mate de coca* i rozmowach dotyczących mojego pobytu w tym kraju, przenieśliśmy się do zarezerwowanego uprzednio pensjonatu. Tam również powtórzyła się ceremonia picia herbaty i rozmowy na temat planów turystycznych. Niespodziewanie, otrzymałem propozycję pojechania następnego dnia w otaczające Quito góry, do kompleksu wód termalnych w towarzystwie męża gospodyni pensjonatu. Ofertę natychmiast zaakceptowałem i wczesnym rankiem (jak to bywa na urlopie, chcesz coś zobaczyć, musisz wstać rano) udaliśmy się w podróż. Mimo że Quito jest położone wysoko, to musieliśmy wspiąć się jeszcze wyżej, bo aż do wysokości 3300 m n.p.m., gdyż właśnie tam znajdował się cel naszej podróży: Aguas Termales de Papallacta – olbrzymi kompleks turystyczny zbudowany wokół występujących tam wód termalnych. Na dużej przestrzeni były usytuowane baseny zbudowane z naturalnych kamieni, w każdym z nich występowały wody o różnej temperaturze i różnych właściwościach leczniczych. Można było w nich siedzieć, leżeć, a nawet pływać. Ponadto, w małych szałasach przypominających indiańskie chaty, można było zażyć także gorącej, parowej łaźni, a następnie wykąpać się w wodzie o normalnej temperaturze. Nic więc dziwnego, że spotkaliśmy tam wielu turystów, w tym wycieczkę z USA. Rozmawiając z jej pilotem, zresztą bardzo ładną dziewczyną, zwróciłem uwagę na jej karaibski akcent. Zapytana o to przyznała, że jest z pochodzenia Kubanką, ale urodzoną już w Miami, gdzie stale mieszkała. Podobnie jak my, wycieczka przyjechała tylko na kilka godzin, natomiast wielu Ekwadorczyków, głównie mieszkańców Quito, zatrzymywało się tutaj na kilka dni w hotelu, którym także dysponował ten kompleks turystyczny. Był położony bowiem obok rezerwatu ekologicznego Cayambe-Coco, gdzie można było, idąc szlakami turystycznymi, podziwiać faunę i florę tego regionu. Tutaj też znajdował się najwyższy wodospad kraju, San Rafael, o wysokości 160 m i jeden z najbardziej aktywnych wulkanów w Ekwadorze, El Reventador. Po kilku mile spędzonych godzinach wróciliśmy do naszego hotelu w Quito.

Razem z archeologiem – moim towarzyszem podróży, zwiedziliśmy kolonialne centrum San Francisco de Quito, bo tak brzmi pełna i oficjalna nazwa ekwadorskiej stolicy. Kiedy weszliśmy na główny plac miasta Plaza de Independencia (Plac Niepodległości), gdzie mieścił się Pałac Prezydencki, katedra i Pałac Arcybiskupi i zauważyliśmy, że jest on pełen ludzi i wojska. To ostatnie, w sformowanych oddziałach, zajmowało część placu i wydawało się, że szykuje się do defildy. Przed samym Pałacem Prezydenckim, gdzie stoją zazwyczaj

dwaj gwardziści ubrani w mundury z epoki walk o niepodległość, tym razem, szpaler gwardzistów oddzielał Pałac od reszty placu. Tłum cywili, przemieszczający się po placu, a zwłaszcza kobiety, był ubrany odświętnie. Zapytaliśmy o powody tego zgromadzenia. Okazało się, że trafiliśmy na obchody rocznicy bitwy u podnóża wulkanu Pichincha (Batalla de Pichincha). Rozegrała się ona 24 maja 1822 roku, w okresie walk o niepodległość Ekwadoru, kiedy to wojska powstańcze, dowodzone przez gen. Antonio José de Sucre, zwyciężyły wojska hiszpańskie wierne królowi i zapewniły niepodległość zbuntowanym prowincjom, które przybrały nazwę Republiki Ekwadoru. Z tej okazji zgromadzony tłum oczekiwał pojawienia się na balkonie Pałacu Prezydenta Republiki, Rafaela Correi, jego przemówienia i defilady wojskowej.

Nie mogliśmy takiej okazji przepuścić! Zostaliśmy więc na placu i za chwilę – zgodnie z oczekiwaniem tłumu – na balkonie pojawił się Prezydent Republiki, Rafael Correa i, z wrodzoną latynoamerykańskim liderom swadą i egzaltacją, wygłosił rocznicowe przemówienie, przerywane okrzykami i brawami stojącej na placu publiczności. Zaraz po tym rozpoczęła się defilada oddziałów wojska, które maszerowały dookoła placu, w tym przed balkonem Pałacu Prezydenckiego, z którego pozdrawiał ich prezydent. Ale to nie był jeszcze koniec, gdyż miejsce wojska zajęła młodzież, ze szkół średnich, idąca z pocztami sztandarowymi swoich szkół, zarówno publicznych, jak i prywatnych, co było łatwo rozróżnić po patronach szkół. Niektóre szkoły miały w swoich szeregach własną orkiestrę przygrywającą z całych sił, zwłaszcza w momencie przemarszu przed prezydentem. Nie czekając na koniec tej uroczystości wycofaliśmy się z placu i poszliśmy zobaczyć kościół zakonu jezuitów La Compañía oraz kościół św. Franciszka, dwie najbardziej zabytkowe budowle religijne z XVI i XVII wieku, budowane przez kilkadziesiąt lat, np. jezuiti budowali swój kościół 160 lat. Obydwa stanowią także przykład swoistego stylu barokowego, będącego mieszanką sztuki hiszpańskiej, mauretańskiej, włoskiej z akcentami indiańskimi, co zostało nazwane przez historyków sztuki „szkołą Quito”. Stare miasto Quito należy do najlepiej zachowanych miast kolonialnych w całej Ameryce Łacińskiej. Z przyjemnością chodziliśmy jego uliczkami, już w 1978 roku zostało wpisane na Listę UNESCO Światowego Dziedzictwa Kulturalnego.

Mój pobyt w Quito nie był długi, chociaż i tak praktycznie zrezygnowałem z zatrzymywania się w Guayaquil na rzecz przedłużenia pobytu w ekwadorskiej stolicy. Nie mogłem jednak zrezygnować z podróży do Środka Świata (La Mitad del Mundo), czyli innymi słowy, równika, tym bardziej, że mogłem ją odbyć autobusem komunikacji miejskiej. Położone kilkanaście kilometrów od stolicy miasteczko noszące nazwę Mitad del Mundo, przylega do głównej



atrakcji tego miejsca, tj. Pomnika Środka Świata. Wysoka, trzydziestometrowa konstrukcja, na wierzchołku której jest umieszczony globus, ma cztery strony, reprezentujące odpowiednie strony świata. Szeroka linia biegnąca po ziemi oznacza linię równika. Większość zdjęć robionych przez zwiedzających turystów pokazuje osoby stojące w rozkroku, jedną nogą na półkuli północnej, drugą na południowej. Miejsce to i takie ustawienie osób bywa bardzo popularne wśród nowożeńców, którzy przyjeżdżają tutaj, by wykonać pamiątkowe zdjęcia. Wewnątrz aktualnego pomnika, zbudowanego w 1979 roku, (zastąpił on pierwszą jego wersję z 1936 roku) mieściło się Muzeum Etnograficzne, gdzie eksponowane były wszystkie grupy narodowościowe zamieszkujące Ekwador. Samo miasteczko stanowi kopię typowego miasta kolonialnego w miniaturze. Ma centralny plac, na którym odbywały się występy zespołów folklorystycznych, a dookoła wznosił się kościół, siedziba burmistrza, bazar i typowe domy kolonialne, gdzie były sprzedawane wyroby rękodzieła pochodzące z różnych stron kraju, a także restauracje serwujące typowe dania kuchni ekwadorskiej i międzynarodowej. Były też areny: do walki byków oraz do walk kogutów. Uliczki w miasteczku nosiły nazwy poszczególnych prowincji ekwadorskich. W pawilonach kulturalnych noszących z kolei nazwy różnych krajów były eksponowane materiały dotyczące badań i odkryć na terenie Ekwadoru, dokonanych przez zagranicznych uczonych. Można też było obejrzeć makieety miast Quito, Guayaquil i Cuenca. Podczas zwiedzania tego kompleksu zauważyłem dwie pary nowożeńców, jeden autobus wycieczkowy oraz sporo indywidualnych samochodów. Było to popołudnie, raczej nietypowa pora turystyczna, toteż bez pośpiechu i tłumów można było te wszystkie atrakcje zobaczyć i wrócić kolejnym autobusem do przemiłego hotelu pani Haliny.

Krótki, ale intensywny i bardzo ciekawy pobyt w stolicy Ekwadoru dobiegł jednak końca i trzeba było wracać via Guayaquil do Limy, a kilka dni później do kraju. Pożegnałem się z gospodarzami hotelu oraz konsulem Tomaszem Morawskim, który jest swoistą instytucją w Ekwadorze. Pełni nie tylko funkcje Konsula Honorowego RP, ale jest w praktyce autentycznym ambasadorem Polski. Żadna wizyta oficjalna czy nieoficjalna nie może się obejść bez jego pomocy, nie mówiąc o opiece i radach, których udziela pojedynczym osobom, uczonym, dziennikarzom czy też zbłąkanym turystom. Niech dalej mu więc służy zdrowie i energia!

Z uwagi na przedłużenie pobytu w Quito skorygowany plan zakładał mój przylot do Guayaquil rano i odlot do Limy wieczorem. W międzyczasie miałem umówione spotkanie z Konsulem Honorowym RP w tym mieście, panem Francisco Rizzi Pastor. Był on jednym z ważniejszych przedsiębiorców w kraju i bardzo szanowanym obywatelem gospodarczej stolicy Ekwadoru, jaką jest

miasto Guayaquil, zwane również „Perłą Pacyfiku”. Jest to największe miasto Ekwadoru (ponad 2 mln mieszkańców) i jeden z większych portów na południowym wybrzeżu Oceanu Spokojnego. W mieście tym mieszczą się siedziby najważniejszych firm eksportowych i importowych z całego kontynentu, jak również filie największych banków świata. Wzdłuż rzeki Guayas biegnie Bulwar imienia Simona Bolívara, przy którym znajduje się wiele atrakcji turystycznych, m.in. Muzeum Antropologiczne, Muzeum Sztuki Współczesnej oraz Muzeum Marynarki i Morskie. Na jego dwuipółkilometrowej trasie jest usytuowany największy pomnik miasta zwany Rotonda przedstawiający historyczne spotkanie dwóch wielkich wodzów wojen niepodległościowych – Simona Bolívara i José de San Martín. Tutaj ulokowały swoje siedziby: prestiżowy Klub Naval i Guayaquil Yacht Klub. Miejscem spotkań, konferencji międzynarodowych czy wystaw dzieł sztuki jest z kolei Kryształowy Pałac – dawny bazar miejski, a obecnie jedna z najbardziej atrakcyjnych tutejszych budowli. Trasę tę przejechałem wraz z jednym z dyrektorów firmy naszego konsula, z którym spotkałem się w budynku kapitanatu portu, gdzie mieściło się też biuro jego firmy. Z powodu wyjazdu z rodziną do Europy, nie mogłem mi towarzyszyć podczas zwiedzania miasta, lecz zapewniłem zastępstwo i samochód. Obok wspomnianego Bulwaru obejrzałem dzielnicę Las Peñas – najstarszą część miasta oraz wzgórze Santa Ana, u podnóża którego zostało założone miasto w 1535 roku. Na więcej nie wystarczyło czasu. Trzeba było jechać na lotnisko, gdyż odprawy międzynarodowe trwały dość długo. Z uwagi na duże lotnisko i ruch tranzytowy, gdyż stąd m.in. odlatują samoloty na Wyspy Galapagos, celnicy długo i skrupulatnie badali bagaże podróżnych w poszukiwaniu narkotyków lub rzadkich okazów flory i fauny przemycanych przez międzynarodowe gangi. Znane były, chociażby z telewizji, losy niektórych Polaków złapanych jako kurierów narkotykowych i ich dalsze smutne losy w więzieniach Ekwadoru, Peru czy Kolumbii. Na lotnisku niespodziewanie spotkałem konsula Francisco Rizzi Pastora z całą rodziną, gdyż nasze samoloty wylatywały o podobnych godzinach. Mieliśmy więc trochę czasu na interesującą rozmowę o stosunkach polsko-ekwadorskich, głównie handlowych, którą przerwał megafon lotniskowy wzywający do samolotu. Lot do Limy przebiegł spokojnie i ponownie znalazłem się w naszej ambasadzie w Peru.

I zaczęła się ostatnia część mojego pobytu w Peru tj. pakowanie bagażu przed powrotem do Polski. Po drodze wprawdzie czekało mnie jeszcze spotkanie z żoną i wędrowka urlopowa po Meksyku (o czym było w poprzednim rozdziale), ale z punktu widzenia formalnego był to powrót służbowy z placówki. Jak się okazało później, ostatni. Po powrocie z Peru zostałem

skierowany do pracy w nowo powstałym i raczkującym wówczas departamencie Ministerstwa, Centrum Informacji, które z czasem stało się flagowym okrętem resortu, dzięki któremu informacje o sytuacjach kryzysowych na świecie lub o wypadkach Polaków za granicą są natychmiast przekazywane kierownictwu resortu lub państwa. Trwało to do czasu wręczenia mi papierów, zmuszających do przejścia na zasłużoną emeryturę, w ramach kolejnej reorganizacji Ministerstwa. Tak więc moja kariera dyplomatyczna w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zatoczyła swoje koło. Jako praktykant zaczynałem od reorganizacji resortu, a kolejna tego typu operacja spowodowała, że znalazłem się poza jego murami.

C'est la vie!

## Rozdział XXII

### Dziwne przygody warszawskie

W poprzednich rozdziałach próbowałem przedstawić niektóre przygody lub podróże, które miały miejsce w okresie 40 lat kariery dyplomatycznej. Sądzę jednak, że można by je uzupełnić wydarzeniami, które dla mnie były wielką przygodą, a miały miejsce wkrótce po rozpoczęciu pracy w resorcie Spraw Zagranicznych lub w latach późniejszych. Nie miały nic wspólnego z pracą w MSZ, ale dzięki zatrudnieniu w tym ministerstwie, zostałem do nich zaangażowany.

VI Zjazd PZPR w grudniu 1971 roku stał się dla mnie nie tyle wydarzeniem politycznym, co pewnego rodzaju przygodą. W związku ze znajomością języka portugalskiego zostałem „wypożyczony” z MSZ przez Wydział Zagraniczny Komitetu Centralnego Partii do obsługi, w charakterze tłumacza i osoby towarzyszącej, jednej z delegacji zagranicznych przybyłych na zjazd polskich komunistów. Moim „podopiecznym” okazał się Sekretarz Generalny Komunistycznej Partii Brazylii, legendarny Luis Carlos Prestes. Ucząc się najnowszej historii Brazylii pamiętałem o słynnej „kolumnie Prestesa”, kiedy to w latach 20. XX wieku, zbuntowani młodzi wojskowi, przeważnie młodszy rangą oficerowie, wystąpili przeciw ówczesnemu rządowi Brazylii, domagając się demokratycznych i społecznych reform. Jednym z przywódców

powstania w południowej Brazylii był właśnie kapitan saperów, Luis Carlos Prestes. Połączył dowodzone przez siebie oddziały ze zbuntowanymi wojskowymi z Sao Paulo, którzy zostali wyparci z miasta przez wojska wierne rządowi i rozpoczął marsz przez interior Brazylii, głosząc idee zmian potrzebnych krajowi. Przemarsz „kolumny Prestesa” trwał prawie trzy lata (1924 – 1927), jednakże nie spotkał się z odzewem ze strony ludności, więc buntownicy przekroczyli granice Boliwii i rozproszyli się. Historię wędrówki kolumny opisał w książce „Rycerz Nadziei” słynny brazylijski pisarz Jorge Amado. Sam Prestes przebywał na emigracji do 1935 roku, kiedy to przyłączył się do buntu części garnizonów wojskowych w północnej części Brazylii i Rio de Janeiro przeciw dyktaturze ówczesnego prezydenta Getúlio Vargasa. Bunt został jednak zlikwidowany przez wojska rządowe, a Prestes wraz z innymi znalazł się w więzieniu, gdzie przebywał do 1945 roku. W międzyczasie został wybrany Sekretarzem Generalnym Komunistycznej Partii Brazylii, którą to funkcję sprawował do 1980 roku. Po wojskowym zamachu stanu w 1964 roku, udał się ponownie na emigrację, do ZSRR, gdzie przebywał do 1979 tj. do momentu ogłoszenia przez ówczesnego prezydenta Brazylii, gen. João Figueredo amnestii dla wszystkich działaczy opozycji z okresu rządów wojskowych, poczynając od 1964 roku, co pozwoliło Prestesowi na legalny powrót do ojczystego kraju, gdzie zmarł w 1990 roku.

Pobył w Polsce L.C. Prestesa miał miejsce w okresie jego emigracji i pobytu w Moskwie, skąd też przybył na VI Zjazd PZPR. Dla mnie, ten wielki „rycerz nadziei” okazał się miłym starszym panem (miał już 73 lata) i bardziej mi przypominał wzrostem „małego rycerza”, czyli pana Wołodyjowskiego z Trylogii Henryka Sienkiewicza niż wielkiego herosa. Towarzyszyłem mu podczas całego Zjazdu, tłumacząc rozmowy prowadzone przez niego w kularach lub w hotelu (na samą salę obrad Zjazdu nie miałem – podobnie jak inni tłumacze – wstępu) oraz w czasie wyjazdu poza Warszawę. W dniu kiedy Zjazd wybierał swoje władze partyjne, zagraniczne delegacje odwiedzały różne zakłady pracy w całej Polsce. Nam przypadł wyjazd do Gorzowa i spotkanie z przedstawicielami organizacji partyjnej w „Stilonie”. Podczas zwiedzania zakładu pracy oprowadzający nas inżynier tak długo i bardzo technicznie objaśniał system produkcji, że nie nadążałem z tłumaczeniem, ale „mój rycerz” odniósł się do tego spokojnie i stwierdził, że technika za bardzo go nie interesuje i bym dał sobie spokój z łamaniem głowy i języka. Po zwiedzeniu hali produkcyjnej miało miejsce spotkanie z zakładowym aktywnym partyjnym, podczas którego goście (oprócz Komunistycznej Partii Brazylii byli jeszcze obecni inni przedstawiciele partii komunistycznych z krajów Ameryki Łacińskiej) opowiadali o swoich krajach i odpowiadali na pytania zebranych.

Powróciliśmy do Warszawy na koniec obrad Zjazdu, po czym delegacje zagraniczne wróciły do swoich krajów, a w przypadku Prestesa oraz kilku innych przywódców komunistycznych, do Moskwy, gdzie przebywali na emigracji politycznej. Bardzo miłe wspominać tę swoją przygodę, gdyż dzięki niej znalazłem się w samym środku wydarzeń politycznych w kraju, z drugiej zaś strony miałem okazję poznać osobiście wiele osób, znanych dotychczas jedynie z kart historii lub pierwszych stron gazet jak np. legendarną Dolores Ibárruri, „La Pasionarię” z Hiszpanii, która w czasie trwania Zjazdu obchodziła 76 urodziny. Siedząc przy sąsiednim stoliku w czasie śniadania w hotelu, byłem zaskoczony, podobnie jak wszyscy obecni, kiedy została jej wręczona przez posłańca, olbrzymia wiązanka 76 czerwonych róż przysłana szanownej jubilatce przez Edwarda Gierka.

Zdobyte doświadczenie bardzo mi się przydało podczas kolejnego oddelegowania z MSZ do obsługi XXXI Sesji Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej w czerwcu 1977 roku. Tym razem zostałem opiekunem delegacji z Angoli, która została zaproszona w charakterze obserwatora. Przewodniczącym delegacji był wicepremier rządu odpowiedzialny za planowanie gospodarcze, który zaraz po Szczycie w Warszawie miał lecieć do Moskwy na rozmowy dotyczących stosunków ekonomicznych między ZSRR a Angolą. Sesja miała miejsce w hotelu „Victoria”, gdzie również zamieszkały wszystkie delegacje w niej uczestniczące. Moja rola była podobna do tej, którą pełniłem w czasie VI Zjazdu PZPR, ale w pewnym momencie wyszła poza normalny margines pracy. Angolski wicepremier bardzo się interesował, jakie przyjęcie może go oczekiwać w Moskwie i na jakie spotkania może tam liczyć. Poprosił mnie bym zorientował się w tej sprawie rozmawiając z przedstawicielami delegacji radzieckiej. Zgodnie z prośbą przeprowadziłem takie rozmowy na szczeblu roboczym i dostałem zapewnienie, że przed końcem Sesji stosowna odpowiedź będzie udzielona. Faktycznie tak się stało. Ku mojemu zaskoczeniu, a jeszcze większemu wicepremiera, powiedziano nam, że angolski gość zostanie przyjęty osobiście przez premiera ZSRR Kosygina, który przewodniczył rosyjskiej delegacji, w jego prywatnym apartamencie, który zajmował w hotelu „Victoria”. Niespodziewanie wynikł problem tłumacza, gdyż strona radziecka nie miała nikogo, kto znałby język portugalski, a z kolei angolski wicepremier nie znał rosyjskiego. W zaistniałej sytuacji obie strony uznały, że najlepszym wyjściem będzie moja osoba, tym bardziej, że portugalskiego uczyłem się w MGIMO w Moskwie. Chcąc nie chcąc, musiałem podjąć się takiej roli. W drodze do apartamentu radzieckiego premiera byłem co najmniej trzy razy przeszukiwany przez rosyjskich ochroniarzy Kosygina. Rozmowa odbyła się w rzeczowej atmosferze, gdyż w jej rezultacie wizyta wicepremiera Angoli



Fotografia Mirosława Hermaszewskiego i Piotra Klimuka  
z autografami obu kosmonautów

w Moskwie została odwołana i po zakończeniu Sesji RWPG w Warszawie cała delegacja angolska wróciła prosto do Luandy. Przypomniało mi to trochę historię, którą opowiadał w małym, towarzyskim gronie na Kubie Ryszard Kapuściński o tym, jak w czasie wojny wyzwolenczej w Angoli tłumaczył depesze Fidela Castro z hiszpańskiego na portugalski dla władz angolskich. Było to kolejne doświadczenie, że w zawodzie dyplomaty lub tłumacza trzeba być przygotowanym na wszelkie niespodziewane sytuacje, jakich nam nie szcędzi życie.

Kolejna „delegacja” z MSZ do tłumaczenia miała miejsce w lipcu 1978 roku. Zostałem włączony do grupy tłumaczy, która miała obsługiwać wizytę kosmonautów w Polsce, tj. mjr dypl. pilota Mirosława Hermaszewskiego i płk. Piotra Klimuka, wraz z towarzyszącymi osobami, po ich historycznym locie kosmicznym. Wizyta polsko-radzieckiej pary kosmonautów otrzymała najwyższy szczebel oprawy protokolarnej. Samolot przylatujący z Moskwy na lotnisko wojskowe Okęcie w dniu 21 lipca był przywitany przez przedstawicieli najwyższych władz państwowych i partyjnych, z udziałem Kompanii Reprezentacyjnej Wojska Polskiego i delegacji społeczeństwa stolicy. Następnie odbył się przejazd ulicami stolicy wśród tłumów witających warszawiaków do Pomnika Lotnika, gdzie kosmonauci złożyli wiązanek kwiatów, a dalej do gmachu Sejmu. W głównym holu siedziby polskiego parlamentu Mirosław Hermaszewski złożył meldunek o wykonaniu zadania I Sekretarzowi KC PZPR, Edwardowi Gierkowi. Przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński udekorował obu kosmonautów polskimi odznaczeniami (a także konsultanta-kierownika lotu kosmicznego ppłk. dypl. pilota Zenona Jan-kowskiego, który był dublerem Hermaszewskiego). Podczas odbywającego się w tym samym czasie uroczystego posiedzenia Sejmu, Mirosław Hermaszewski, tym razem wobec całej Izby, złożył meldunek o wykonaniu zadań wynikających z programu lotu kosmicznego. Po nim wystąpił również jego radziecki towarzysz wspólnego lotu płk Piotr Klimuk, a główne przemówienie wygłosił Edward Gierek. Sejm przyjął specjalną Uchwałę upamiętniającą udział pierwszego Polaka w lotach kosmicznych. W czasie oddzielnego spotkania z Ministrem Obrony Narodowej polscy oficerowie otrzymali nominacje na wyższe stopnie oficerskie. Wieczorem, w Pałacu Rady Ministrów, odbyło się spotkanie kosmonautów z korpusem dyplomatycznym zaproszonym z okazji ówczesnego Święta Odrodzenia Polski, obchodzonego 22 lipca. W tym właśnie dniu kosmonauci i delegacja radziecka odwiedziła Hutę Warszawa oraz zwiedziła Stare Miasto i Zamek Królewski. Następnego dnia miały miejsce kolejne spotkania, m.in. z delegacją polskiej młodzieży udającą się na XI Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Hawanie, podczas którego



Mirosławowi Hermaszewskiemu został nadany tytuł Honorowego Gościa XI Festiwalu (po wylocie delegacji radzieckiej do Moskwy w dniu 31 lipca M. Hermaszewski udał się tego samego dnia do Hawany celem wzięcia udziału w Festiwalu. Uczestnicząc w spotkaniu z młodzieżą festiwalową wspominałem swój osobisty udział w takiej samej imprezie kilka lat wcześniej w stolicy NRD Berlinie. Niesamowite i niezapomniane przeżycie!) Ważne i interesujące spotkanie odbyli kosmonauci w siedzibie Polskiej Akademii Nauk, gdzie spotkali się z polskimi uczonymi oraz przekazali informacje o przebiegu i eksperymentach naukowych przeprowadzonych podczas lotu kosmicznego. Temat ten był kontynuowany podczas spotkania z polskimi naukowcami uczestniczącymi w programie „Interkosmos” w pałacu w Jabłonie. W kolejnych dniach kosmonauci odwiedzili Wrocław, Legnicę, Wołów (rodzinną miejscowość Hermaszewskiego), Katowice, Szkołę Lotniczą w Dęblinie oraz cmentarz w Radomiu (gdzie jest pochowany, poległy w czasie II wojny światowej, ojciec płk Piotra Klimuka ), Poznań i Toruń. W wyjazdach tych nie uczestniczyłem już osobiście, gdyż z uwagi na zmniejszenie ilości osób biorących udział w tych podróżach został ograniczony także zespół tłumaczy. Byłem natomiast obecny przy pożegnaniu kosmonautów radzieckich przy ich odlocie do Moskwy. Na pamiątkę z tej „przygody” zostały mi widokówki podpisane przez Mirosława Hermaszewskiego i Piotra Klimuka oraz Zenona Jankowskiego. Jakże inne wspomnienia mam ze spotkania z pierwszym kosmonautą świata Jurijem Gagarinem. Jako uczeń szkoły średniej wędrowałem z kolegą po Polsce popularnym w latach 60. autostopem i przypadkowo, będąc w Katowicach, natrafiliśmy na przejazd Jurija Gagarina, który składał wizytę w Polsce. Tłumy ludzi stały przy ulicach, którymi przejeżdżał sznur samochodów, a w jednym z nich, w odkrytej limuzynie jechał radziecki zdobywca kosmosu. Znaleźliśmy się w miejscu, gdzie miało być tzw. „spontaniczne” zatrzymanie samochodu kosmonauty, aby ładnie ubrane dziewczyny mogły mu wręczyć wiązankę kwiatów oraz obraz przedstawiający go w kosmosie. W momencie zatrzymania się samochodu, na wprost miejsca, gdzie staliśmy, prześliznąłem się pod sznurem oddzielającym jezdnię od wiwatujących ludzi, wskoczyłem na stopień limuzyny i z najbliższej odległości zrobiłem dwa zdjęcia Gagarinowi, po czym wspaniały aparat „Druh” odmówił posłuszeństwa i prawie w tym samym czasie zostałem ściągnięty z samochodu na ziemię przez milicjantów, chcących mnie zatrzymać, ale udało mi się wyrwać i dać nura w tłum przechodniów stojących na chodniku. Na wszelki wypadek razem z kolegą szybko zmieniliśmy miejsce obserwacji. Nie mogłem wówczas przewidzieć, że w przyszłości będę czynnym świadkiem powitania pierwszego polskiego kosmonauty przez najwyższych oficjeli państwa i partii i że będę obecny w najważniejszych momentach życia politycznego kraju.



mjr dypl. pilot MIROŚLAW HERMASZEWSKI  
kosmonauta — badacz

Fotografia Mirosława Hermaszewskiego z autografem kosmonauty

W końcu 1984 roku wróciłem z Brazylii i niespodziewanie dla siebie poczułem się jak gdybym z tamtego kraju w ogóle nie wyjeżdżał. Wokół wszyscy mówili o Brazylii, niewolnikach, plantacjach, złych właścicielach tych plantacji i pięknych niewolnicach tam pracujących. Okazało się, że wpadłem na początkowy etap „Isauromanii”. Winna temu była telenowela lub inaczej mówiąc, brazylijski serial telewizyjny „Niewolnica Isaura” („Escrava Isaura”). Został on nakręcony w 1976 roku przez brazylijską telewizję TV Globo, na podstawie abolicjonistycznej powieści pisarza Bernardo Guimarães napisanej w 1875 roku tj. jeszcze przed zniesieniem niewolnictwa w Brazylii, co nastąpiło dopiero w roku 1888. Serial został sprzedany do ponad stu krajów na świecie i wszędzie odnosił sukcesy. Nie inaczej stało się w Polsce. Był to praktycznie pierwszy zagraniczny serial emitowany przez polską telewizję po zniesieniu stanu wojennego. Jego oryginalność, egzotyczne krajobrazy i dobra gra aktorów sprawiły, że stał się bardzo popularny w Polsce. Uwzględniając ówczesny kontekst sytuacji politycznej miał dodatkową zaletę, że nie był to produkt radziecki ani amerykański. Podczas wyświetlania jego 15 godzinnych odcinków, co miało miejsce we wtorki, po dzienniku telewizyjnym, robiło się pusto na ulicach i ludzie siadali przed telewizorami, aby śledzić



Jurij Gagarin podczas przejazdu przez Katowice – zdjęcie zrobione przez autora

losy pięknej niewolnicy Isaury. Jak obliczono, frekwencja widowni sięgała nie-raz powyżej 80%! Nowonarodzonym dziewczynkom nadawano imię Izaura. Nigdy nie myślałem, że będę miał coś wspólnego, z tym serialem, poza tym, że znajomi dowiedziawszy się, że wróciłem z Brazylii, usiłowali dowiedzieć się czegoś więcej o tym kraju i stosunkach społecznych tam panujących, w nawiązaniu do wiedzy uzyskanej podczas oglądania serialu. Tłumaczyłem, że rzeczywistość dzisiejszej Brazylii jest zupełnie inna, gdyż serial dzieje się w XIX wieku, a od tego czasu Brazylia przeszła długą drogę reform i przemian ustrojowych, politycznych i społecznych, choć pewne zjawiska opisane w powieści i pokazane w serialu można jeszcze spotkać, chociaż w innej formie, w głębokim interiorze tego olbrzymiego kraju. Na skutek popularności serialu, kierownictwo polskiej telewizji zaprosiło parę wykonawców głównych ról, tj. Lucielę Santos grającą Isaurę oraz Rubensa de Falco, który wcielił się w rolę złego Leóncia, do Polski na tygodniowy pobyt. Ich przyjazd nastąpił w maju 1985 roku i stał się z miejsca wielkim wydarzeniem. Kamery telewizyjne i dziesiątki fotografów towarzyszyły im na każdym kroku. Brazylijscy artyści odwiedzali szkoły, szpitale, zakłady pracy m.in. w Warszawie, Łodzi, Katowicach czy Krakowie. Wszędzie spotykali tłumy wielbicieli obojga płci. Podczas ich pobytu w Warszawie, zupełnie niespodziewanie dowiedziałem się w pracy, że jako reprezentantowi MSZ, przypadła mi rola towarzyszenia aktorom podczas ich wizyty w jednej ze szkół na Pradze noszącej imię Ruy Barbosy – wielkiego uczonego brazylijskiego z początków XX wieku. Szkoła ta utrzymywała kontakt zarówno z Towarzystwem Polsko-Brazylij- skim, jak i z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Ponieważ program wizyty w szkole był podany do publicznej wiadomości, w jej okolicach zgromadziły się nieprzebrane tłumy, paraliżując całkowicie ruch samochodów i autobusów. Samochód, w którym jechaliśmy do szkoły, mimo eskorty policyjnej, z wiel- kim trudem przebijał się przez tłum fanów i fanek obojga aktorów. Mimo że brałem już udział w wizytach na najwyższym szczeblu państwowym, to co widziałem, było to zupełnie nowe doświadczenie. Na myśl przychodził mi film „Help” o Beatlesach i wielbicielki szalejące na widowni ich koncertu lub ścigające muzyków po ulicach Londynu. W szkole sytuacja była już opanowa- na i w miarę spokojna. Zgodnie z programem odbyło się spotkanie z ucznia- mi szkoły, którzy z kolei zaprezentowali brazylijskim gościom mały program artystyczny po portugalsku. Nie obyło się bez podpisywania zdjęć, składania autografów przez aktorów na wszelkiego rodzaju przedmiotach, itp. Gene- ralnie było bardzo przyjemnie i zarówno młodzież, jak i aktorzy byli zadowo- leni ze spotkania. Ponowne szaleństwo rozpoczęło się po wyjściu ze szkoły i próbach wejścia do samochodu, gdyż zgromadzone tłumy czekały nadal

pod szkołą, aby zobaczyć swoich ulubieńców czy też otrzymać od nich autograf. Milicja stanęła jednak na wysokości zadania i powoli, ale zdecydowanie samochód z aktorami przesuwał się do przodu, aby wreszcie wyjechać poza zgromadzone tłumy i móc kontynuować program dnia (na szczęście już bez mnie) przygotowany przez organizatorów tj. TVP. Oglądając w następnych dniach informacje telewizyjne z wizyt aktorów w poszczególnych miastach Polski i obrazki podobne do tych, które osobiście przeżyłem, czułem ogromną ulgę, że nie dostałem polecenia służbowego z pracy, aby towarzyszyć aktorom w czasie ich całego pobytu w Polsce.

Było to jednak cenne doświadczenie, które przydało mi się w Meksyku, kiedy wielokrotnie towarzyszyłem Piotrowi Adamczykowi w różnych imprezach związanych z promocją filmu o polskim papieżu Janie Pawle II. Nie była to taka skala, ale reakcja publiczności była bardzo podobna, szczególnie uwzględniając fakt, że polski papież był i jest nadal bardzo szanowany i popularny w tym kraju. Telewizja Polska wysłała nawet swojego korespondenta z Waszyngtonu, redaktora Piotra Kraśkę, aby mógł przekazywać na żywo reportaże z premiery filmu i opowiadać o reakcjach miejscowej publiczności. O ile wiem, wywiązał się bardzo dobrze z tego zadania.

Inne przygody lub historie warszawskie były już ściśle związane z moją pracą w MSZ. Dotyczyło to przygotowań i uczestnictwa w oficjalnych lub roboczych wizytach prezydentów, premierów, ministrów spraw zagranicznych czy niższych rangą, ale wysokich przedstawicieli innych państw w czasie ich pobytu w Polsce i w Warszawie. Były to kolejne okazje do kontaktów z najwyższymi przedstawicielami polskich władz państwowych czy też Sejmu i Senatu, a jednocześnie możliwość poznania wybitnych osobistości światowej polityki.

## Zakończenie

Kończąc pisanie tych wspomnień, zdaję sobie doskonale sprawę, że są one niepełne, zarówno jeżeli chodzi o poznanych ludzi, jak i przeżyte zdarzenia. Było ich znacznie więcej. Nie znajdzie też czytelnik opisów skandali czy wyrazów żalu wobec niektórych przedstawicieli tej instytucji, w której przyszło mi pracować lat czterdzieści, bo uważam, że, jak ładnie ujmuje to stare powiedzenie, „co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”. Dlatego też świadomie nie przytaczam historii czy faktów dotyczących spraw służbowych, którymi się zajmowałem przez te lata czy to w Centrali czy na placówkach zagranicznych.

W książce starałem się opisać autentyczne historie, które mnie spotkały w podróżach po pięciu kontynentach, chociaż moje niedoskonałe pióro nie oddaje w pełni tych emocji, które im towarzyszyły, ale mogę za to szczerze zapewnić, że są one prawdziwe.

Większa część książki dotyczy krajów Ameryki Łacińskiej i Hiszpanii, tam bowiem spędziłem najwięcej czasu jako zawodowy dyplomata, zgodnie z kierunkiem studiów, które kończyłem z kolei w zupełnie innej strefie geograficznej. Starałem się, w miarę możliwości, podać niektóre fakty historyczne

dotyczące tych krajów czy też opisy miast odwiedzanych przeze mnie. Jak już pisałem we wstępie nie jest to jednak przewodnik turystyczny, lecz raczej zachęta do sięgania po tego typu książki, a w konsekwencji, po ich przeczytaniu, odbycia podróży do danego miasta czy kraju.

Uwagę taką mogę odnieść też do niektórych opisanych działań dyplomatycznych czy spostrzeżeń na temat zawodu dyplomaty, gdyż wbrew popularnym stwierdzeniom o życiu dyplomatycznym „łatwym i przyjemnym” chciałbym zapewnić, że jest to autentyczna profesja, do której trzeba być doskonale przygotowanym, nie tylko językowo, lecz pod każdym względem, wszechstronnie życiowo. W odróżnieniu bowiem od innych zawodów, dyplomata reprezentujący swój kraj, zwłaszcza podczas pobytu za granicą, jest, a przynajmniej powinien być, jego godnym przedstawicielem przez 24 godziny na dobę, a nie jedynie podczas kilku godzin urzędowania w biurze.

Ze względu na ograniczoną objętość książki, nie mogłem przedstawić czytelnikom, więcej osób, spośród tych które poznałem w czasie swojej kariery dyplomatycznej, a to przecież była i jest najcenniejsza część tych dyplomatycznych gawęd. Nie chciałbym, aby nie wymienieni w tej książce przyjaciele i znajomi z krajów, w których przebywałem lub odwiedziłem, żywili do mnie jakikolwiek żal czy urazę, dlatego też, będę ten temat kontynuować, gdyż ci wyjątkowi, wspaniali i zwyczajnie dobrzy ludzie, których miałem zaszczyt i przyjemność spotkać, w pełni na to zasługują.

O tym, że tytułowe, dyplomatyczne gawędy mówią prawdę o przeżytych przygodach i wydarzeniach niech świadczą także zdjęcia zrobione przeze mnie w czasie tych podróży.

Warszawa, 30 września 2013 r.

Autor

## Spis treści

Wstęp .....	5
Rozdział I	
<b>Hawana, „Mazowsze” i...</b> .....	7
Rozdział II	
<b>Książę Roman Sanguszko</b> .....	23
Rozdział III	
<b>Księża, masoni, znikające plaże i dżungla amazońska</b> .....	35
Rozdział IV	
<b>Brydż, tenis, futbol i dyplomacja</b> .....	61
Rozdział V	
<b>Szampańsko-benzynowy Sylwester</b> .....	69
Rozdział VI	
<b>Węże i „dżungłówka”</b> .....	75
Rozdział VII	
<b>Brazylijski karnawał</b> .....	83
Rozdział VIII	
<b>Parlamentarne podróże</b> .....	89



Rozdział IX	
<b>Argentyńska mozaika</b> .....	105
Rozdział X	
<b>„Złota rybka” w rzece Parana</b> .....	127
Rozdział XI	
<b>Winna Mendoza, Sylwester w Valparaiso i Santiago de Chile</b> .....	133
Rozdział XII	
<b>Chilijskie wędrówki z „Tatusiem” i czekoladowa „Mamusia” w San Martin de los Andes</b> .....	145
Rozdział XIII	
<b>Amerykańskie podróże: Nowy Jork, Waszyngton, Orlando, Miami</b> .....	157
Rozdział XIV	
<b>Azjatyckie zaskoczenia i australijskie impresje</b> .....	167
Rozdział XV	
<b>Czarna Afryka</b> .....	191
Rozdział XVI	
<b>Seulskie obrazki, trzęsienie ziemi w Japonii i pekińska grypa</b> .....	203
Rozdział XVII	
<b>Życie jak w Madrycie</b> .....	217
Rozdział XVIII	
<b>Rzym, Watykan, papież</b> .....	245
Rozdział XIX	
<b>To jest Meksyk</b> .....	251
Rozdział XX	
<b>Inkaskie Słońce Peru</b> .....	289
Rozdział XXI	
<b>Ekwadorski Środek Świata</b> .....	317
Rozdział XXII	
<b>Dziwne przygody warszawskie</b> .....	323
Zakończenie .....	333